

CHIMERA

TOM 5. ZESZYT 13. LIPIEC 1902
REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WARSZAWA—NOWY ŚWIAT 22

TREŚĆ.

TOM V. ZESZYT 13. — LIPIEC 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym B. WIERZBICKIEGO i S-ki.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1902 года.



Pokłon trzech króli. Obraz szkoły cechowej krakowskiej z początku XV w. Własność kościoła św. Katarzyny w Krakowie.



CZĘŚĆ WSTĘPNA. *I.*



zy śpiącego można przebudzić GRZECZNIE?.. Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najlżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanem, lecz nie byłoby GRZECZNIE, bo, końcem końców trzeba śpiącemu przerwać snowania myśli jego — i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Niemożna przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem GRZECZNYM, i pewne brutalstwo nieodłącznem zdawa się być od roboty takowej. Ztąd to głównie i pierwszorzędnie pochodzi ta odpychliwość, jaką na samym wstępie spotyka u ogółu każdy nowy pomysł

lub wynalazek, o ile jest początkującym lub posiłkującym nowe koło rzeczywistości i oczywistości; — budzić albowiem grzecznie w żaden sposób nie daje się. Owszem, większość ogromna spółczesnych, ażeby stanowczo uprzedzić wydarzenia i spoczynek utrwalić, starała się i bardzo pilnie stara uzasadnić i rozpowszechnić przekonanie, iż NIC NOWEGO pomyślanem i okazanem nie może być i że wszelka umysłowa w tym kierunku podejmowana praca przez to samo jest płonnym zachodem.

A co (należy ostrzedz) może się na pozór udowadniać z tej przyczyny, że, skoro wszystkość rzeczy i spraw świata tego w jedną harmonię jest obejmowana, — łatwo jest odwrotnie w tejże harmonijnej jedności dopatrzeć wszystkiego zaczątków, jakoby przeto już nic NOWEGO być nie mogło! Jest w tem jednak błąd ogromny, to jest: że ABSURDUM bierze się za NOWE... tylko albowiem ABSURDUM leży po za ogólnym prądem harmonii bytu wszystko ogarniającej. I wielokrotnie i do syta nasłuchany w tym względzie cudzych zwątpień, byłem raz użytym w delegacyi do jednego istotnie zasłużonego człowieka, któremu koledzy ofiarowali byli dobrze zasłużony medal. Rzecz tę cenną oddawałem w ręce uradowanemu i nie spodziewałem się był bynajmniej żadnych patetycznych utrudnień w tem poselstwie, osoba albowiem i prawdziwie zasłużoną była i szczerej prostoty pełną. Atoli, skoro uznawany i oceniony, przyjąwszy swój medal, począł starannie go obzierać, dostrzegłem nagle na jego licach przebłysk podobny do uśmiechu, pomieszanego z wiel-

ce głębokiem wrażeniem, — to zaś było tak dziwnie wyraziste, iż długo jeszcze potem nasuwała mi sama wyobraźnia ten psychologiczny obraz. Aż we wiele czasu po delegacyi, znalazłszy się raz bardzo poufnie z mężem, o którym tu się mówi, podniosłem umyślnie okoliczność i zapytałem o przyczynę szczególnego wrażenia...

—Rzecz jest niezmiernie prosta!—odpowiedział,— po pierwszy raz w życiu zobaczyłem czoło, usta i NOS WŁASNY w profilu... I, gdyby nie wasz medal, może, jak bardzo wielka liczba ludzi, położyłbym się w grób, nigdy pierwej własnego nosa mniej jednostronnie nie widziawszy. Ja, który przecież ze wszech stron piramidy oglądałem!.. Otóż, myśl mi przyszła była, że zaiste muszą być jeszcze rzeczy NOWE do okazania ludzkości, jeżeli, mówię, własny jej nos można zwiastować!

„ — szkoda wielka — rzekłem — że tego właśnie nie raczyłeś nam był powiedzieć — — “

„ — kiedy... jakoś... sam przyznaj, iż takich rzeczy się NIE MÓWI... “— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —



ą-ż zatem głębiny i stopnie szczerości ducha i oczywistości, które się jakoby SPÓŁMILCZENIEM ogółu uznawa, ale którym jawność spółczesna odmawia wygłosu, co okres, co wiek takowych to zmilknień nieuchronnie dla rozwoju swojej pełności potrzebując? Za całego okresu heroicznego greckiej filozofii, to jest, aż do Arystotelesa (lecz nie policzając tego mędrca), nikt nie pojmowałby takowej JAWNOŚCI-WZGLĘDNEJ, zakreślone z góry szranki mającej, ani ona komu wystarczałaby! Nieledwie że na ulicy zapytać było przecie można, co jest dusza? jak i ile nieśmiertelna? co życie i żywot? na co i dla czego filozofia?.. Zapytywany z niemniejszą odpowiadał prostotą — „tyle a tyle wiem, lub nie wiem; co

do filozofii, ta za cel ma uczynić człowieka MORALNIE SZCZĘŚLIWYM!“ *)

Starożytni NIE ZNALI WCALE pewnego rodzaju uśmiechu, który dopiero myśmy wynaleźli, a który też wynalazek nam przynosi niemały zaszczyt. To jest, oni nie znali uśmiechu zatęchłego umysłu i zupełnie zwątpiałego serca, z jakim odpowiadają dziś mędrkowie na zapytania ludzi naiwnych, świeżych i coraz rzadszych! — Zacny Dyogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki wtórej, skoro, w księgozbiorze akademii widząc zapracowanych starców, pytał, ktoby to byli?— Ci, co prawdy szukają — odrzeczono. — „Ah! a KIEDYŻ ONI BĘDĄ MIELI CZAS JĄ PRAKTYKOWAĆ!?..“ Te wielkie słowa jego i inne brzmiące żywo, jakby wczora rzeczonemi były, nie spotkały były na razie naszego spółczesnego uśmiechu i ostrzeżenia, iż „TAKICH RZECZY SIĘ NIE MÓWI...“ że do takich głębin wielkiego zadania bytowego nie zstępuje się — że WIEDZA (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności specyalne) ma zadanie inne... a JAKIE ZADANIE??.. tego się także nie mówi! —
— — — — — — — — — — — — — — —

Słowem — że mądrość oczekiwać spokojnie winna na uzupełnienie wiedzy przez pojedyncze rozwinię-

---

*) I uczony Arystoteles podziela to dogmatyczne filozofów uznanie, że filozofii celem jest uszczęśliwienie moralne człowieka, — dodaje wszelako dwa jeszcze warunki, to jest, ażeby człowiek był URODZIWYM i POSIADAŁ MAJĄTEK (sic). — Jest to jeden z powodów, dla których mędrca tego policzamy do nowszego okresu. *C. N.*

cia umiejętności wszystkich, i że wtedy czas przyjdzie praktykowania prawdy! To jest bardzo piękne, tylko, z jednej strony, nie zaspokaja wcale, i owszem, prawie potwierdza Dyogenesa zarzut, z drugiej, jesteśmy w stanie zrobić tę małą uwagę, że podział na specyalne umiejętności zaskoczonym bywa i może być przez pojawienie się całych nowych umiejętności, których prąd i kierunek od naszego umyślnego systematorstwa nie zależy.

Rzecz szczególna! ze wszystkich mędrców starożytnych jedynego Dyogenesa powiedzenia wybrzmiewają nam do dziś jako utwory spółczesne. Moglibyśmy go nazwać HAMLETEM FILOZOFII, gdyby na myśl tęż samą nie wpadał był Plato, nazywając go „OBŁĄKANYM SOKRATESEM!“ Wszelako, omyliłby się bardzo, ktoby Dyogenesa poczytywał jedynie za improwizatora dorywczego i za bezkierunkowy jaki HUMOR. On nie jest dotąd jeszcze obejrzanym w całości umysłu swojego. Zwłaszcza, iż sam powiada: „Ja, przesadzając we wszystkiem i pełniąc nazbyt, - czynię to ku temu, ażeby ci, co przyjdą po mnie, nie potrzebowali PEŁNIĆ NAZBYT, LECZ W SAMĄ MIARĘ...“ Filozof, który to i z taką wyraża trzeźwością, nie jest samym tylko genialnym humorystą. Lecz planetarna wartość wielkiej Dyogenesowej gwiazdy mniej była i mniej jeszcze bywa ocenianą od jej błyskotliwych tęcz dowcipu. Na mędrcu tym zamyka się ta filozofia, którą ja HEROICZNĄ nazywam. Wedle tegoż uważania mojego, filozofia ta nie zaczyna się wcale od THALESA, lecz od AJSCHYLOSA dramatycznych

przedstawień, gdzie wykładało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało IDEE POSTACIAMI, zaś zamyka się i kończy niemniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest, zamyka się DYALOGAMI PLATOŃSKIEMI, tak, iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie podziwia i ceni, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodu i rozwoju myśli Greckiej, lecz DLA DZIEJÓW SZTUKI zostawa. Gdy tymczasem Platoński DYALOG ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty śród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linii ostateczną jakoby rzeczywistością onych dyalogów Olympijskich, Ajschylowskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze niema, gdzie święte i mądre FATA człowiekiem dla idei pogardziły. Pogląd ten, OSOBISTYM MOIM BĘDĄC, może nie znaleźć usłusznienia, ale usuwa on na swoje miejsce pojęcia SZKÓŁ, które sprawiedliwemi być nie mogą względem czasów, w których jeszcze szkół nie było i w których to, co później jedną ze szkół zowie się, było raczej powszechną ogólnością. SZKOŁY świadczą więcej o miejscu niż o ciągu rzeczy, a niekiedy są tylko nominalne. *)

---

*) Dla tak różnowzględnych przyczyn szkoły filozoficzne brały nazwy swoje, iż nie można wiele się na tem opierać. Np. szkoła ELEACKA (Veliacka) dla tego, iż w mieście VELIA trzech się filozofów narodziło było; — SZKOŁA ELIACKA (Phedona), która, przeniósłszy mieszkanie do ERETRY, zowie się i ERETRYACKĄ... Pojmujemy nazwę SZKOŁY JOŃSKIEJ dla wielkiej doniosło-

Także i dostąpiona z pochodem czasów doskonałość specyalna (np. tragedya Sofoklejska) nie godzi się ażeby przeto wstecznie upodrzędniać miała objaw pierwotny, bo ten pierwotny objaw, lubo zaczątkowy, miał także swoją doskonałość, będąc wyznaniem publicznem wiary i wiedzy swego czasu.

Czy, przez PRZYBLIŻENIE *(à peu près),* jak pierwotni czynili, czy (jak po-Arystotelejscy) przez SYSTEM, otrzymuje się i udziela słuszniej światło i dobro?.. Oto już pytanie etycznie kardynalne i wprost podejmujące zacny ów Dyogenesa utysk względem Akademickich pracowników, skoro widząc ich, prawdy szukających („QVAERERE VERVM“), słusznie wołał — „KIEDYŻ ONI CZAS BĘDĄ MIELI, AŻEBY ZNALEZIONĄ PRAKTYKOWAĆ!?“ Zaiste, jakniebądź i czujnie i spółpracowicie oczekuje człowiek na owe, których dostąpić mamy, doskonałości, zaręczone nam postępem, ulepszeniami potwierdzane i jaśniejące coraz nowym, coraz pełniejszym (lubo zawsze niewystarczającym) systematem, jednakowoż, tenże sam człowiek i spółcześnie zajmuje przecież także żywe miejsce w codziennej dramie doczesności, a na jej powołania odpowiadać i dopisywać onym jest obowiązany. Miałżeby on przeto jedną wiedzę podrzędną i zdawkową

ści żywiołu Jońskiego — ale czy na on czas cała umysłowa Grecya nie była Jońską?.. Szkoła ITALSKA jest tak dalece szkołą samej wielkiej osobistości Pytagora, iż po śmierci jego wyprzedaje się z rękopismów za pieniądze... i to PLATOŃSKA AKADEMIA zyskuje na owej pozgonnej likwidacyi. *C. N.*

na codzienne takie wypadki? — drugą zaś w zapoczątkowanych pracach ludzkości i jej spodziewaniu domniemaną? Jedną TYMCZASOWO POSŁUGUJĄCĄ, drugą OBIECANĄ... Ztąd obiedwie niezupełnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe. Śród takich to wiedz i tak się znajdując postawionem, uważa człowieczeństwo za dobre używać częstotliwie, zamiast odpowiedzi, NIEWYPOWIEDZIANYCH ODWŁOK zdania, PRZEMILCZEŃ i NIEDOGŁĘBIEŃ wątpliwych. Atoli, takowe, właśnie że umyślnie czy przemyślnie NIEWYPOWIEDZIANE ODWŁOKI zdania, PRZEMILCZENIA i NIEDOGŁĘBIENIA, są przecież utajoną myślą, więc są tylko koniecznie niedopowiedzianym ciągiem rzeczy!..

Czy SYSTEM posiłkuje w czemśkolwiek prawdę? czy sprawdza ją albo jej świadczy?.. on, który zarówno rzeczom fałszywym jak niefałszywym może służyć!.. gdzie i poco wciąż nowe i zastępujące dawne systemata prowadzą, przewalając uprzedzicieli swoich?.. czy nareszcie system, sam w sobie uważany, kształci się także i postępuje?.. *Myślę*, że nie! albowiem, skoro system się buduje na pojęciu ZUPEŁNOŚCI, CAŁOŚCI I HARMONII, takowym brakować nic nie może; mógłby tylko na szerz postępować, coraz większą obejmując wszystkość następstw, pojawisk i szczegółów. I byłoby nareszcie do wnioskowania, że ostatecznem dostąpieniem doskonałości systematu musiałoby być jego porównanie z systematem świata naszego. W tem wszystkiem wszelako nic nam prostotliwie nie powiedziano dotąd, i dlatego z wątpliwością wyrażam

się. Wiem, że, czemuniebądź system służy, zawsze on nie większą, ani mniejszą cząstkę prawdy obejmuje, to jest, że, budując się na pojęciu CAŁOŚCI, ZUPEŁNOŚCI I HARMONII, jużci że wyrażać musi ideę SYMETRYI, MIARY i PROMIENNOŚCI... oto wszystko!..

Zaś, co do działania PRZEZ PRZYBLIŻENIE *(approximative)*, to wydawa mi się być najwłaściwiej doniosłym atrybutem ducha ludzkiego. Nie wiem, zaprawdę, czyli jest jaka forma działalności umysłowej odpowiedniejsza położeniu naszemu jak PRZYBLIŻENIE! Jesteśmy w każdym zmyśle i rozmyśle naszym otoczeni kryształem przezroczystym, ale uobłędniającym poglądy nasze. Podobno, że, cokolwiek czynimy, zagaja się, albo uzupełnia przez PRZYBLIŻENIE. Jesteśmy sami poniekąd nieinaczej istniejącymi na Planecie wirującym szybciej od uderzeń pulsu... A przeto, możnaby nawet rzec, iż działanie przez PRZYBLIŻENIE nie jest dla nas przypadkiem, lecz podbitym sobie warunkiem. *) Ztąd to, obejmując i jednocząc dwa wielkie klejnoty umysłowe, czyli: ROZWAGĘ UMIEJĘTNOŚCI I NIEROZWAGĘ INSTYNKTU PRZYRODZONEGO, jest ono zupełnie CZŁOWIECZEM. To też my, tak rzecz pojmujący, nie odpowiadamy PRZEMILCZENIAMI na pytania żywotne — bynajmniej...

---

*) Godziłoby się zapytać czynnego GENERAŁA, doświadczonego KAPITANA OKRĘTU, biegłego CZŁOWIEKA STANU, do ila oni w głównych i stanowczych działaniach swoich opierali się na BYSTREM *à peu près* — a o ile na systematycznem działaniu? *C. N.*


o kilkunastoletnim pobycie w jednej z najświetniejszych stolic Europy, kolega mój, gdy miejsce miał opuszczać i skoro już wszystko do podróży przygotowanem było, rzekł do mnie: „Oto będę miał teraz nieco swobodnego zupełnie czasu, zechciej przeto o stosownej godzinie czekać mię jutro w małym parku przed budynkiem głównej Biblioteki — a ja będę się starał nadbiegnąć z jednej CZYTELNI (cabinet de lecture), gdzie mam jeszcze z kimś spotkać się i na papiery potrzebne okiem rzucić — poczem, zajdziemy też zobaczyć Bibliotekę... inaczej przecie wyjechać nie godziłoby się!..“

W słowach tych, zupełnie naturalnych, cóż usłyszał każdy obecny i wszelki spółczesny? a co usłyszał-

by milczący przez lat parę Pythagorejczyk?.. w tychże samych, mówię, wyrazach, które wszelako wystarcza cokolwieczek odmiennym wygłosić nastrojem, ażeby, piorunującą stawszy się satyrą, cały przedstawiły obraz błędu i nieszczęścia głębokiego naszej wiedzy i za nią idącej cywilizacyi?

To też prostem i logicznem następstwem stało się, że kolega mój niedopisał i spóźnił się. — Oczekiwałem go spokojnie w przyjemnym cieniu bukszpanów, patrząc na maleńkie dziecko złotowłose, bawiące się kamyczkami z piasku wygrzebywanemi ze starannością nieprzerwaną...

Skoro zaś oczekiwany nadbiegł wreszcie, już zaledwo wystarczyło nam czasu na obejście wokoło gmachu Biblioteki i na architektoniczne uznanie jego zalet. Otóż! — mówiło się, — skoro spojrzymy na te szerokie i rozszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzymy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich, i hebrajskiej JEDNEJ I JEDYNEJ... zaiste, że sama się myśl, beznakłonnie ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czem skończyć ma ta nasza literacka płodność? to: na czem ona zatrzyma się i w co się odrodzi? — Będzież potrzeba, ażeby być jako tako, z gruba oczytanym, tyle pierw oczu stérać, ile ich zaniepodziewa w księgach swoich mandaryn chiński, do ostatecznego egzaminu przygotowujący się?!

Dziś — gdy jeżeli gdzie naprzykład dziewięć set peryodycznych pism wychodzi, to oneż dziewięć set

dzienników daje tyleż romansów i powieści, w felietonach, a przeto samych już romansów dziewięć set na rok, coś jakoby trzy na dzień, spotyka się... i to jeszcze, w jednym tylko kraju Europy i w jednej ze stolic!

— Dopowiedzieć co rychlej przynależy, że to zawsze jeden tylko romans, ów ostatni, ÓW INTERESUJĄCY ROMANS OBCHODZIĆ WINIEN, ów, co obchodzi wszystkich, i że to zawsze jedna tylko broszura, owa ostatnia, owa, która to zainteresowała wszystkich, ta jest tylko obowiązującą. I że nawet nie czytać można innych, a jednak być człowiekiem...*)

Tymczasem, niefortunnie rzucone i wdeptane w śmiecie osobistości moralnie zaniedbane, przy bladej świeczce, z trudem zakupionej, czytywać będą na dorywczo wpadłych im w ręce drukach to, co przypadek sam im nastręczył i w oczy cisnął przy zbytkowaniu i rozpuście umysłowej szczęśliwszych śmiertelników. I udarty jakiś kawałek papieru drukowanego świecić będzie tym chciwym rozwinięcia umysłowego oczom i sercom. Atoli, jak, według chińskiej karygodności, wybiera kat z podanego mu kosza pełnego nożów ten lub ów nóż trafem w rękę jego wpadający, a noszący na sobie napis — UCHO, NOS, OKO, SERCE... i wedle takowego to napisu zakrwawia go na członkach

---

*) Czytelnictwo opieszałe bywa naglonem napisami wykrzyknikowemi na rogach ulic: „CZYTAJCIE TO A TO!!“ — przyczem rodzaj ręki z palcem wskazującym ów nakaz w rysunku kolosalnym... rodzaj PIĘŚCI ściśniętej... „CZYTAJCIEŻ!! TEN ALBO ÓW NOWY ROMANS!“ — *C. N.*

skazanego; tak, nieszczęśliwy ów, a chętny ukształcenia umysł, tułając się za BEZ-CELNIE i BEZ-SZCZERZE postawioną pracą umysłową, natrafiać musi i natrafia na pojawy więcej daleko zakrwawień i RAN, niźli POJĘĆ mu przynoszące! — W całości zatem naszej umysłowej rzeczy jest coś sfałszowanego, coś zakłamanego powierzchownie i nieznoszącego szczerych prostych zapytań, jak to zwykło się zdarzać w fałszywych położeniach! Że albowiem wiedza, dla użytku jakowego bieżącego uprawiona, zawsze końcem końców musi ostatecznie, nawet przez otrzymane rzeczywiste swe owoce, służyć WIEDZY DLA WIEDZY, to jest tylko doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych wypływem — lecz człowiek w tem, nic sam nie postanowiwszy, bywa tylko jakoby arcy-interesującą igraszką ciekawości bezgranicznej!.. ciekawości, która, jeżeli wycofanemu z interesów i dostatnio postawionemu w rzeczywistości, a przyjaznemu wiedzy umysłowi może robić przyjemność umysłową (zwłaszcza gdy innych przyjemności tenże już nie używa), to niekoniecznie dawa się (mówię) sama ona BEZDENNA-CIEKAWOŚĆ stawić rodzącej się, rosnącej i postępującej wciąż Ludzkości jako jedyny umysłowego bytu interes.

Człowiek chce wiedzieć: GDZIE? i PO CO PRACUJE MYŚLĄ?.. choćby tylko dla tego, że bez tej wiadomości niecała jego energia w dzieło zagaja się. Byłoby to zapewne czemś w rodzaju bardzo NIEGRZECZNEJ rzeczy, gdyby kto do spółczesnego mędrca słowa te wystosował:

„Racz powiedzieć, Mężu! czy człowiek może „WSZYSTKO WIEDZIEĆ?

„Czy oczekiwać on ma, aż wypojedyńczone umni-„ctwa dokwitami swojemi ostatecznemi stworzą wie-„niec i koronę światła? A tymczasem, czyli należy, „ażeby codzienne jego życie świadczyło zastałym nało-„gom lub przesądom i posługiwało przyjętym hierar-„chicznie pychom? — Mężu! rzeknij...“ *)

PARABAZA takowa, zaiste, że byłaby rodzajem NIEGRZECZNOŚCI, i to tem wyraźniejszej, że na samym wstępie (niniejszej CZĘŚCI PIERWSZEJ MILCZENIA naszego) dostatecznie się udowodniło, jak dalece jest niepodobieństwem śpiącego GRZECZNIE przebudzić.

Cypryan Norwid.

---

*) Na pytania te, z zupełną prostotą gotowi jesteśmy odpowiedzieć i poniekąd, dla umiejętnie czytających, odpowiadamy na nie w ciągu NINIEJSZEGO TEKSTU.— *C. N.*

Z utworów Kazimiery Zawistowskiej.

CZASEM MA DUSZA...

Czasem ma dusza, jakby świetlna grota,
Godowych świateł nieci krąg olbrzymi.
I mar wygnanych wraca rój pielgrzymi,
Przez umajone wraca zielem wrota.

Wchodzących wita gędźba lutni złota,
W struny uderzył ktoś kwiatami wiosny,
I grają wszystkie, grają hymn miłosny,
Grają jak słońca zawrotna pieszczota.

Grają zaklętym w dźwięki aromatem
Łąk pokoszonych — i niw kłośnych gwarem,
Szumem rzek jasnych — nadbrzeżnym szuwarem,

Krasą motyli — bzów zroszonych kwiatem. —
Grając mi, niosą zapach leśnej gluszy
I wszystkie wonie mej dziewczęcej duszy.


AVE ATQVE VALE
AB.

EPITAPHIUM. I.

Długie czarne warkocze, więzione w twej dłoni,
W złocie jaskrów zerwanych u leśnej krynicy —
Roje białych motyli, sznur kwietnych jabłoni,
Pierwszy urok upojnej dziewiczej świetlicy.

Do twych kolan się dusza rozmodlona kłoni,
Śpiewając ci pokorny hymn oblubienicy,
Ów z łez-pereł spleciony i kwiatowych woni
Nieśmiertelny różaniec miłosnej tęsknicy.

Długie czarne warkocze, a na nich twe dłonie...
Czasem czuję je jeszcze i brzemię lat znika,
I przeszłość się jak muszla perłowa odmyka,

By wspomnień nagie ciernie białym stroić kwiatem,
I oddycham znów róży purpurą i latem,
I widzę złote jaskry i białe jabłonie. —

II.

Ze spichrza swojej duszy wziąłeś dziwne ziarna,
Aby posiać w mej duszy ugory jałowe,
I popatrz, jak się pleni ta siejba ofiarna,
Jak bujnie młode pędy krzewią się cierniowe.

Białe kwiaty tęsknoty jako mgła oparna
W kielich smutku wsączają sznury łez perłowe,
I chyżo wzrasta, chyżo roślinność cmentarna,
By drzewo twojej męki owinąć krzyżowe.

Jeśli zechcesz, ja przyjdę... i na krzyż twej męki
Moja dusza upadnie jak poświetl księżyca,
I wszystkie łzy twe weźmie na swe białe lica,

I jak z harfy zaklętej dobędzie z nich dźwięki,
I przejdę przepaść tęsknot dzielącą nas czarną,
Boś mą duszę zapłodnił swą siejbą ofiarną. —

III.

O maków purpurowych, kraśnych maków kwiecie!
O usta całowane, drogie usta twoje!
Złote życia na oścież otwarte podwoje,
Słońce! Słońce w upalnem rozgorzałem lecie!

Słońce, słońce! I maków purpurowych kwiecie!
Pszennych łanów poszumy, pszczół grające roje!
I usta całowane, drogie usta twoje,
I w lipowych alejach kwietniane zamiecie!

Harfo wspomnień! twe struny z rdzy krwawych korali
Dłoń moja dziś otrząsa, ogrzewa, rozzłaca,
Lecz melodya ta dawna, słoneczna nie wraca,

Tylko motyw tęsknoty snuje się i żali...
A ścichłe, obumarłe, jak cmentarni stroże,
Więdną maki w królewskiej zszarpanej purpurze.

POWROTNA FALA.

O powrotna łez falo — o powrotne głosy
Z pogrzebanej przeszłości — dłoń szczodrych szafarzy
Złoto w kontur pobladłych dziś rzuca miraży,
W urnie stygłych popiołów nieci iskier stosy.

O sny zwiędłe! O kwiaty otrząśnięte z rosy!
Jak tłumnie z rozespanych wstajecie cmentarzy.
Ruczajów błękit widzę w niezabudek twarzy,
Jaskrami rozzłocone widzę sianokosy.

O powrotna łez falo! Widzę, idą z mroków
Baśnie ku mnie i wonie z ogrodów młodości.
I stoję nadsłuchując, czy szelest tych kroków

Twego przyjścia nie głosi — Ty, pełna litości!
Ty, co duszom, na które czerń Twych skrzydeł padła,
Dajesz takie czarowne przedśmiertne widziadła!..

UMARŁEJ DUSZY.

Wieniec ci plotę — w szmaragdy mirtowe
Plotę dziewicze uskrzydlone pąki
Zerwane z Marzeń mistycznej Twej Łąki,
By ci owiły skrzydła Ikarowe.

Twe skrzydła? Duszo? Patrz, w białą osnowę
Skrzydlatych pędów pną się kwiaty ziemi
I biel ich gniotą barwy jaskrawemi —
W purpurze szału — brutalne — zmysłowe.

Piłaś ich wonie?.. Spragniona i głodna?
Duszo ma? Duszo z żaru i pieszczoty —
Mętną strug wodę lałaś w puhar złoty?

I toast życia wychyliwszy do dna,
Smutna do śmierci, pochyliłaś głowę
Na twe opadłe skrzydła Ikarowe. —

CIENIE.

Idźcie z mej duszy — idźcie drogą mleczną —
Po gwiazd gościńcu — a na wasze głowy
Deszcz niech upadnie — wonny — jaśminowy —
Budząc kapelę dźwięków nadpowietrzną.

Idźcie z mej duszy w krainę bajeczną,
Bo, raz umilklszy, wasz śpiew bezechowy
Ów łuk przymierza rozerwał tęczowy,
Łuk, co był rzucon w mą duszę słoneczną.

Dziś dusza moja jest cichym grobowcem,
Wy, jak motyle w grobowcu zbłąkane,
Ranicie skrzydła o granitów ścianę.

Idźcie więc, Cienie, chłonąc blask i wonie —
Bo tu kolumna tylko gromnic płonie —
I dym kadzideł wonieje jałowcem…

EPITAPHIUM.

Czy nad Twą łodzią także lśniły zorze —
Źrenice Boga w trójkątnej oprawie?
Czy łódź Twą także w pian srebrnych kurzawie
Z pieśnią tryumfu w dal porwało morze?

I czy Ci także o zbyt wczesnej porze
Pogasły światła, a w strzaskanej nawie
Tylko zbłąkane wołały żórawie?
Twe sny — żórawie bezdomne w przestworze.

Łódź Twa nadpływa? Rzuć w nią marzeń tęcze,
Z łez tkane tęcze — rzuć w nią — niechaj płynie
Z trumną Twej duszy. W szafirów głębinie

Niechaj utonie — a przez fal obręcze
Raz jeszcze ujrzy, nim padnie w otchłanie,
Swej pierwszej zorzy przejasne świtanie.

ZNUŻENIE.

Czerń skrzydeł Twoich kładziesz mi na lica —
A przez tych skrzydeł okiennicę czarną,
Miast patrzeć w słońca ulewę pożarną,
Ja w chłodne srebro patrzę fal księżyca.

Jaki tam spokój i jaka tęsknica! —
Ponad tą ziemią wystygłą, cmentarną,
Cisza swą lampę roztliwszy ofiarną
Światłem ją próchen poi i podsyca.

Jaki tam spokój — bez miary — bez końca —
Siedziba duchów odesłanych z ziemi.
Duchy, co ziębły wśród powodzi słońca,

Cisze te chłoną oczyma sennemi
I, zaświatowy czując wiew błękitu,
Zastygłe, martwe, przędą sen niebytu.

Z WIZYJ PIEKIELNYCH.
(PIEŚŃ V PIEKŁA.)

O ten orkan chłoszczący! Jak smaga! Jak żenie!
Jękami huraganu w dal bezkresną pędzi
To stado białopierzne — ten łańcuch łabędzi,
Za niesytość rozkoszy potępione cienie!..

O ten orkan piekielny! Jak smaga! Jak żenie!
Włos wichurą skłębiony w ostre skręca bicze,
Siekąc, krwawiąc nim trupie kochanków oblicze,
Pośród gromu — wśród jęku — gna ich w dal — w prze-
[strzenie.

O skłębionych ciał taniec! O kolebki-łona!
Pośród mordów — zgliszcz — pożóg, wstęgo ust czerwona!
Światowładna ust krużo, w proch waląca mury!

O dłoni całowanych — dłoni białych — sznury...
Jakóbowej drabiny wszechmożna potęga!
Wir ciał ludzkich — krzyk piekieł, który w niebo sięga!..

TOBIE.

Daj mi sny twoje — daj ten sen skrzydlaty
O mnie prześniony — ja chcę duszę własną
W jego zwierciedle ujrzeć cichą, jasną,
Rozkołysaną jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,
A tam, twą dłonią poruszone smutnie,
Niech się rozdźwięczą wszystkie ścichłe lutnie
W ów akord nagle zerwany przed laty. —

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśnioną,
Raz jeszcze wszystkie pogasłe w ukryciu
Perły mej duszy tęczowo zapłoną,

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,
Chwilę jedyną — bo potem w noc ciemną
Pojdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną.

I.

Bądź ty mi dobrym — zejdź sercu mojemu
Jaśnią podobną ciepłu słonecznemu —
Bądź duszy mojej morzu burzliwemu

Kojącą ciszą wpółsennej zatoki,
Zwartej łagodnie gór kwietnemi stoki...

Bądź ustom moim jak trunek miłosny,
Po którym serce skwita kwiatem wiosny!
Bądź ustom moim słodki i litosny...

I na te usta, do twych ust tęskniące,
Kładź się jak rosy napoje rzeźwiące.

Bądź oczom moim czarem wizyj sennych,
Wyprzędłą baśnią miraży promiennych,
Wonnem pąkowiem zieleni wiosennych

Opleć mi duszę jak uroczne ziele,
By w ślad stóp moich chodziło wesele...

II.

Chciałabym, z tobą poszedłszy w zaświaty,
Wtulić się w jasność jakiejś białej chaty.
I wszystkie słońcu skradzione uśmiechy
Wpleść w miękkie złoto jej żytniancj strzechy.
I w takiej chacie odciętej od sioła,
Pojąc się ciszą rozlaną dokoła
I patrząc codzień na wstające zorze,
Czuć w duszy własnej to Królestwo Boże
Wielkiej miłości — i czuć przy swej głowie
Twą głowę piękną jak młodość i zdrowie.
I zapomniawszy, czem wpierw było życie,
W zaczarowanym swej duszy błękicie
Prząść z nieskończonej kądzieli Wieczności
Nić promienistą Wiary i Miłości.

III.

O przyjdź ty do mnie — bom dziwnie samotna.
Noc się nade mną rozelkała słotna
I dziwnie jestem w tej nocy samotna...

Strugami deszczu mży mgielna szaruga.
Noc pełna cieni, wystygła i długa,

Przezgonnych psalmów snując hymn pokutny,
Łka w strunach deszczu w rytm niezmiernie smutny,
W mgłach odrętwiałych łka swój hymn pokutny.

I jak wid śmierci leci mi nad głową
Ta noc rozgrana ulewą deszczową...

Więc przyjdź ty do mnie — przyjdź w tę ciszę mroczną,
A oczy moje przy tobie odpoczną,
Oczy zasnute mgieł oponą mroczną.

I wzlecę w jasne oczu twoich głębie,
Jako za światłem tęskniące gołębie.

I spiję niebo z gwiazd złotemi ćwieki!..
I przymknę pjane rozkoszą powieki.

Wypiwszy niebo z gwiazd złotemi ćwieki!

. . . .

KRÓLESTWO MOJE.

Królestwo moje nie na tej ziemi,
Fale je skryły grzywy piennemi,
Ląd mój słoneczny, jasny, pogodny,
Nurt oceanu zatopił wodny.

Lecz z mego lądu w mroków godzinie
Stłumiona gędźba stu dzwonów płynie.
Lecz z mego lądu przez fal obręcze
Grają mi pieśnie i świecą tęcze.

Bo na mym lądzie skarby bezcenne,
Koronne złota i berła lenne.

Bo po mym lądzie chodzą tęsknoty
I do mej duszy klucz dzierżą złoty.

I kiedy słabną jej skrzydła znojne,
Władcze jej kładą szaty dostojne
I jasnowidzeń dają źrenice,
By, w swe królewskie patrząc dzielnice,
Żyła tęsknoty porywem wiecznym
Za utraconym lądem słonecznym.



(Dokończenie.)



yło to za czasów mej manii samoprześladowczej. — Żyłam w bezwzględnej duchowej samotności, jak łódź od okrętu oderwana od społeczeństwa, które mnie wydało, obca zarówno jego najliczniejszym i najmarniejszym, jak i jego szczupłym i wytwornym grupom,—a zbyt niedojrzała i ciemna, by stworzyć własną, lub żyć w świadomym z gromadą rozbracie. — Dziś jest on dla mnie jasnym — i gdy spojrzę wstecz, w gehennę mojej młodości, — to w przyczynach tych mąk niewysłowionych niema dla mnie tajemnic. — Widzę siebie, dzikie źrebię stepowe, z żywiołowym instynktem wolności, nieznoszące uzdy, bodaj tkanej z pajęczyn i jeżące się niepohamowanym buntem pod najlżejszem dotknięciem tresury; — widzę siebie, dzikie, wol-

ne, głos własnej natury jedynie rozumiejące źrebię — zagnane na rozległe, lecz pełne ogrodzeń pastwisko społeczne, między uklasyfikowane kojce i przegrody, ciskające się co krok o drewna płotów, — wpadające między zgorszone stada, wypędzane zewsząd połączoną siłą kopyt i rogów, — tratujące zboża i winnice, — gnane batem pastuchów to w jeden opłotek, to w drugi, — sadzące przez rowy, kopce, karki, — daremnie w rozpacznym popłochu szukające zgubionej drogi stepowej...

...aż nagle wpadło w jakiś głęboki dół kompostowy, gdzie wrzawa becząca i rycząca ucichła, — gdzie się zamknął horyzont i wyprostowały ironicznie strome ściany samotności. — Dzika to, nieświadoma, ze skamieniałym układem świata rozdźwięczna wolność mej natury wygnała mnie była wówczas na pozaspołeczne pustkowie i osadziła bystrą łódź młodzieńczą na mieliźnie wygnania. — Było to zjawisko proste i nieuniknione, — wtedy jednak dręczyło mnie jak niedocieczona zagadka i przyprowadzało do stanu graniczącego z obłędem. — Dusza moja była nieopisanym chaosem. — Samotność, matka wiedzy i potęgi, zamieniła się dla mnie w jędzę, mieszającą szalej do chleba i wody, — gdyż była mi nie towarzyszką z pragnienia, potrzebą duchową, — lecz obmierzłą, zewnętrzną koniecznością, wynikiem przyczyn niepojętych — i gwałtem zadanym mej rozwścieczonej żądzy życia. — Było to okropne życie ziarna, przywalonego górą piachu, przez którą z śmiertelnym mozołem przebijało się żywotne źdźbło. — Było to przedzgonne szamotanie się szczenięcia, rzuconego do gnijącej studni, o wysokich i zagrzybionych ścianach: — nieustająca i daremna praca wydostania się na powierzchnię — i wybuchy rozpaczy, przerywane wybuchami wściekłości. — Pragnienie ruchu i czynu, tajemnicza niewola w więzieniu z odwróconych pleców, bezimienna krzywda, nieuchronność zagłady — wszystkie

biesy wyły we mnie, ciskały się w stęchłym lochu, wydrapywały kłami i pazurami szczeble, — a gdy, zbroczone krwią, padały na bagniste dno swej piwnicy, — to zbierały się na wiec — i — by nie poszaleć — usiłowały zgadnąć, jaka moc fatalna zepchnęła mnie w tę nędzę bez wyjścia — i jakim sposobem mogłabym się z niej wydobyć. — Lecz te narady, zamiast prowadzić do praktycznej mądrości, — uświadamiały mi tylko głębiej i okrutniej moją nieznajomość świata, życia z ludźmi i swojej własnej duszy, — stwarzającą zaczarowane koło, którego przestąpić nie byłam w możności. — Nie umiałam w niem także żyć. — Paląca ciekawość świata społecznego, głód wrażeń do przeżycia, kąpieli w burzliwych potokach, nurka pod spiętrzone fale, wyścigu, walki, hartowania się, zaczarowań, pracy i uciech gromadnych, uświadomienia się przez doświadczenie, zobjektywizowania się w życiu czynnem, zmierzenia swego JA z NIE-JA, — młodzieńczy, żywiołowy GŁÓD ZEWNĘTRZNOŚCI pastwił się nade mną we dnie i w nocy. — Jak zagłodzone zwierzę zjada własne tkanki, tak duch mój, oszalały łaknieniem RZECZY, pożerał własną siłę. — Kołowałam jak obłąkaniec po ulicach miasta, hypnotyzowana czarodziejsko kwitnącym dla mych oczu światem ludzi, — i z uczuciem niewypowiedzianej wzgardy dla swych bezsilnych pożądań, dla swej rozpaczliwej tęsknoty. — Brak bezpośredniego krzywdziciela kazał mi winowajcę widzieć w sobie, w swem niedołęstwie, czy zwyrodnieniu. — Darła się we mnie podeptana duma, czułam się wyrzucona z łona świata jak zdechła ryba — lub nieudana próba natury, — skazana na wymarcie, na dożywotni, łaskawy chleb piwnicznej wegetacyi. — Obojętność tłumu suggestyonowała me rozdrażnione nerwy i ociemniałe myśli, — niszcząc we mnie poczucie mej wartości i siły, mych zdolności rzetelnych i jedynych, mego PRZEZNACZENIA. — Znienawidziłam własne je-

stestwo, przeklinałam godzinę swego poczęcia, — wydałam szyderstwu duszę swoją na urągowisko i krzyżowanie — i po raz pierwszy nicość wydała mi się dobrodziejstwem: — takim samobójczym wstrętem napawała mnie moja niedola.

Dzień wlókł się za dniem, przynosząc tylko rozmaitość głodowych obłędów. — Żądza życia, jak wilk, wpadała w stado moich myśli i zmuszała je do popłochu i ucieczki, — wprowadzała nerwy w nieustanne drganie, wypędzała mnie z domu na ulicę i z ulicy w znienawidzoną pustkę domu. — Wewnętrzny szał mącił mi przed oczyma litery książek, odrzucał od pracy i ciskał na podłogę w konwulsyjnej agonii rozpaczy. — Bezsenność, wynik bezskutecznej szarpaniny z losem i własnym demonem, stawała się ostatnim żywiołem mojego nieszczęścia, i groziła zupełnem zniszczeniem. — Rozszerzała mi ona źrenice w ciemnościach i kazała oglądać bez końca ten nędzny szmat drogi, przebytej od dzieciństwa, znaczonej kamieniami głupoty i klęski. Zmuszała mnie do przeżywania po raz tysiączny całej ohydy cierpień znienawidzonych i budziła dreszcz odrazy dla tworu, który tylko takie życie stworzyć umiał. — Pod chłostą niemilknącego szyderstwa wiłam się jak skrępowane i katowane zwierzę, błagając własne ciało o zapomnienie senne. Lecz sen uciekał od wyklętego domu, a drzemanie przynosiło z sobą zgrozę widzeń strasznych, — a w budzące się przerażeniem oczy wzierała wyschłą twarzą jędza beznadziei.

Zdawało mi się często, że stoję na bezludnym placu, zamkniętym wymarłemi domami — i przerywanym tu i owdzie długiemi, także bezludnemi, ślepemi zaułkami, biegnącemi wśród skał tajemniczej warowni. — W te zaułki rzucała się moja żądza życia, w dzikim pędzie z obawy przed nagłem zatrzaśnięciem jakichś wrót wybawczych.— Lecz prędzej czy później trafiała na przeszkodę zagradza-

jącego muru i wracała z ponurem czołem na pusty plac swej samotności.

Jednym z takich zaułków była ŻĄDZA POTĘGI. — W pijanem bezsennością majaczeniu zrodziła się myśl, że życie odpada od tworów słabych jak pijawki od trupa, — i że więc przyczyną mego opuszczenia jest słabość. — Lecz gdzie jej źródło? By dotrzeć do niego, zapuściłam się w swój świat wewnętrzny. — Lecz cel praktyczny był mi złym przewodnikiem, mącił bezstronne widzenie, prowadził do odkryć fałszywych. — Oczy moje, obłąkane pragnieniem, przekształcały pozór zjawisk, — a ręka niecierpliwa czynu pustoszyła je barbarzyńską maczugą. Najpiękniejsze drzewa, najśpiewniejsze ptaki, najwynioślejsze skały budziły mą najdzikszą zaciętość. — Wyobraziłam sobie, że potęga tkwi w niegodziwości, i wiedziona WOLĄ DO ZŁEGO, znienawidziłam wszystko piękno swej duszy, jako słabe kwiaty, niewspółmierne z ciężkim młotem życia; — zaś otoczyłam staranną opieką wszelką pleśń i jad, wszelkie kłamstwo i niskość, widząc w nich siłę przyciągającą i broń zdobywczą. — Sądząc się zbyt ubogą w pierwiastki zła, jęłam podpatrywać swych bliźnich, wykradać im ich występki i krzewić je w sobie. — Przyjęły się i wzrosły zrazu bujnie, — lecz potem spostrzegłam ze zgrozą, że grunt, w który zostały przesadzone, zmienił ich naturę; że te chciwe, suche ciernie rozkwitają we mnie trującym mnie tylko kwiatem melancholii; że pleśń i jad zdolne są podkopywać tylko własne korzenie, — że kłamstwo staje się we mnie igraszką intelektualnej przewrotności, — a podłość zamienia się w śmiertelnie smutnego pajaca ironii. — Lecz wiele minęło czasu, zanim przejrzałam.

A wówczas pragnienie siły jęło się przedzierać przez inne jeszcze puszcze myślenia.—Złożądna przebiegłość i zręczne manewry wirtuozów powodzenia są niczem (rozumowałam), — gdy nad niemi dowództwa nie obejmie wola że-

lazna, prosta,ześrodkowana. — Taka do ostatnich granic skoncentrowana wola mogłaby się nawet zupełnie obejść bez poniżających sposobów praktycznych, działałaby bezpośrednio na przedmioty i bieg zdarzeń, — jednem „STAN SIĘ!“ osiągałaby swój cel. — By zdobyć tę moc czarodziejską, rzuciłam się do książek. — Na pierwszej zaraz stronie widniał napis: WYRZECZENIE. — Hasło to padło w tłum mych rozżartych pożądań i zostało powitane grubiańskim śmiechem, kamieniami i błotem. — Ciemnej i nieszczęsnej gawiedzi instynktów zgrzytało jak naigrawanie to słowo niewczesnej mądrości. — Znalazły się wśród nich subtelniejsze, sofistyczne głosy demagogów, skłonnych do dysputy z hypnotyzującem przykazaniem Magii. — Wyrzeczenie — (tak prawili) — jest aktem możliwym dla duszy zawiedzionej, nie zaś pragnącej. — Duch się doskonali poddaniem pokusie, gdyż pokusa zawsze zawodzi, jeśli się jej usłucha, — a w tym zawodzie tkwi zaród nowego pragnienia, już wyższego rzędu. „Zadowalać“ żądze znaczy doprowadzać je do absurdu, więc niszczyć je, wydzierać im żądło ponęty, podczas gdy głodzenie ich w sobie wytwarza marną i przewlekle niepokojącą poezyę grzechu. — A na te słowa demagogów — żebraczy, oszalały tłum żądz zgrzytał i wyciągał pięści, złorzecząc życiu próżnemu pokus, mogących wyczerpać ich wściekłe wrzenie, ich niski i zabójczy głód — i wieść drabiną coraz wyższych rozczarowań aż na chłodny szczyt bezwzględnej, doskonałej, boskiej obojętności.

Usiłowałam więc potęgę znaleźć na innych drogach, porzuciłam ścieżki lodowcowe i rzuciłam się w nurt samodoświadczeń. — Hartowałam swe tchórzowstwo i współczucie, pędziłam przed siebie zasapaną gnuśność, wywlekałam na jaw nietoperze fałszywych wstydów, urągałam rachitycznej próżności, — połamałam w sobie wszystkie zgniłe płoty, puściłam z dymem walące się rudery — i na

ogołoconym placu rzuciłam na siebie hordy nagich pragnień, by z ich śmiertelnej walki poznać zwycięzcę, — tego, który miał skupić w wolę nadludzką wszystkie siły mej istoty i pożarciem reszty żądz urość w wielkoluda. — Lecz walka została nierozegrana, gdyż żądza życia, jak ameba, zmienia swój kształt zależnie od pokusy, — i dopóki żyje w nas bodaj jedna chuć — żyją wszystkie. Potęga zaś przychodzi, gdy jej głód żaden nie woła...

Zaczem przyszła mi jeszcze myśl inna, — zuchwały pozornie, w gruncie kompromisowy zamiar odtworzenia w obrębie mej istoty makrokosmu, — przyjęcia rozłamu mej istoty na boską i ludzką, na wiekuistą i stworzoną, na kontemplacyjną i czynną, na rozkazującą i uległą.—Zamarzyłam o wyodrębnieniu z chaotycznej masy mego jestestwa, bez niszczenia tejże, uwięzionego w niej Ducha, wszystko wiedzącego i mogącego, w zakresie tolerowanych, lecz zmuszonych do ślepej uległości, duszy i ciała, — i używającego ich jako narzędzi do DZIEŁA ŻYCIA. — Rozumiałam już, że samo zło i samo dobro nie mogą stanowić mojej siły ani przewodnika, lecz przystałam na ich istnienie w sobie podrzędne, jako na elementy mojej psychy, — i wyrzeczenie zastąpiłam KARNOŚCIĄ. — Duch mój, moje jakby numenalne JA, wyższe ponad zło i dobro, miało rządzić we mnie dyabłem i aniołem dla celu własnego uświadomienia, jako wyższy od nich DEMON POTĘGI. — Po ćwiczeniach w cnocie i niegodziwości była to próba syntezy, — po walce bezowocnej instynktów przeciwnych — usiłowanie przymierza między ziemią i zaświatem. — Nie stracić ani jednej uciechy zwierzęcej, ani jednego bicia serca, ani jednej kropli upajających trucizn znikomości, — a stopić je w kryształ mądrości i w rozkosz wyższej harmonii; — być sobie samej rozhukanym źrebcem i jeźdźcem o udach stalowych a orlim wzroku na plan nieskończonej drogi; — wzburzonem morzem i nieruchomą gwiazdą, ręką i topo-

rem, — Prosperem i Kalibanem. — Pomysł ten olśnił mnie, porwał. — Rzuciłam się namiętnie do urzeczywistnienia go. — Drgałam męską radością, uświadamiając sobie, jakiego ogromu energii mi potrzeba, dla obdzielenia w sobie tych dwu gigantów mocy, — ile mądrości tęgiej, przenikającej, by nie zbłądzić w wyborze chwili i narzędzia. — Rozmyślałam, na jakiem prawie zasadniczem oprzeć ten wybór, jakiem światłem przyjść w pomoc ślepemu instynktowi, jak wzmocnić go i uczynić nieomylnym TAKTEM wyższego rzędu, — taktem MĘDRCA-DZIAŁACZA.

Trzeba było przedewszystkiem poznać siebie, jako rynsztunek wojenny. — Teraz chwytał mnie w swe zagadkowe labirynty drugi zaułek: POŻĄDANIE SAMOWIEDZY. — Po raz wtóry zapuściłam się w swój świat wewnętrzny, — i tym razem nawet bez szpagatu korzyści praktycznej jako przewodnika. To też długie to było i straszne błądzenie, — po ruchomych, ustępujących pokładach tajemniczej i niezgruntowanej głębiny, wśród tumanów widmowych i dziwnokształtnych zjawisk. — Nieprzebitą noc rozdzierał oślepiająco płomienisty świst przelatających strzał kometowych, w dusznym mroku chwytały mnie stalowe szpony i włochate łapy potworów, które, za ujęciem, więdły mi w rękach na kłaki wilgotnie gnijących korzeni, — w przestrzeni świtały fosforycznie i nikło upiorowe gamy kształtów, załamujących się jak fala morska w coraz nowe, wciąż zmienne linie i wyrazy, — śpiewne pogwary rosły w zgiełk, ryk i wycie, urywane nagłą maczugą milczenia, by z pod obucha wypłynąć żałosnem szeptaniem wód pluskających. — Żaden obraz nie trwał w mem spojrzeniu, każda masa rozpływała się w mych palcach, każdy ton rozszczepiał się w uchu, — mgła stawała się głazem, głaz rozsypywał się w mrowisko, — miłość zgrzytała nienawiścią, abstrakcya zabarwiała się lubieżnie, żądza była wodnym pęcherzem, okrywającym próż-

nię; — każdy instynkt, uczucie, myśl, były jakimś potworem milionokształtnym, odradzającym się z najdrobniejszej części. — Tu nie było części i całości, tu całość była ułamkiem i każdy atom zawierał w sobie wszystkość. — Tu nie było granic, początku ni końca, skutku ni przyczyny. — W tym chaotycznym organizmie mózg płynął z krwią w żyłach, — płuca wzbierały po za gardło i dyszały na powietrzu, ogromne i sine, — serce wpijało się we wnętrzności, włosy zamieniały się w ręce, — a z ramion wyrastały głowy. — Każda chwila przynosiła nową zmianę, potworną lub cudowną, tajemniczą lub prostacką, — a czujność moja, w tym świecie baśni ohydnej i dręczącej, traciła poczucie rzeczywistości, zamierała omdleniem—i ocknąwszy się z urzeczenia, rozglądała się zdziwiona po naiwności i nieruchomości zewnętrznego świata.

Czem jestem? jaka jestem? zostawało mi w głowie z tych błądzeń po piekle. — Wewnętrzna analiza była jaskinią bez wyjścia. — Tam wszystko było jednorodnym, nierozwikłanym chaosem, — wieczną autozagadką wewnętrznego, niezredukowanego czucia. — Umyśliłam więc zdobyć samowiedzę inaczej: ujrzeć się OD ZEWNĄTRZ, objektywnie, perspektywicznie, NA WŁASNE OCZY; — poznać widzialny kształt tej przelewnej treści, — i po oznakach konkretnych dojść do osi pacierzowej, do planu swego ustroju duchowego. — By dopiąć celu jęłam gromadzić suche fakty swego życia, — ogołacać je z wszelkich naleciałości myślowych, — by tak spreparowany szkielet postawić przed swój sąd bezstronny. — Lecz ta bezstronność, na przekór wszelkim usiłowaniom, była zawsze tylko przypuszczalnem wczuciem się w przypuszczalną psychologię tłumu, nie zaś tym doskonale abstrakcyjnym sądem, który mi był potrzebny. — Ten sam, a raczej o wiele prawdziwszy skutek mogło mieć odniesienie się wprost do opinii ludzi. — Nie wzgardziłam i tym środkiem. — Urządzałam w tym kie-

runku liczne i dość pocieszne interviewy, — zbierając ich sprzeczne i naiwne sądy, zgadzające się jedynie na punkcie mej INNOŚCI. — Lecz co oznaczała ta inność? — W jaką stronę odchylała się od ogólnego typu? — Nie znajdowałam na to objaśnień, to też wkrótce wzgardziłam niemowlęcym bełkotem świadomości swych bliźnich i szukałam klucza tajemnicy w bezpośredniem ich wrażeniu. — Zatapiałam w nich groty spojrzeń, wywlekałam przed nimi swe uczucia i myśli najskrytsze, — działałam na nich czynem, — by zbierać ich reakcye; — pochylałam się nad nimi jak nad zwierciadłami dla ujrzenia w nich oblicza swojej duszy. — Lecz ich duszyczki były zadymionemi lusterkami, — ich serca pustym wąwozem, gdzie zamiast odpowiedzi tłukło się zdziwionem echem moje własne pytanie, — lub wymateracowaną celą, w której głos mój brzmiał głucho, tępo — i marł podcięty. — Tępość ta, budząc we mnie gniew, kazała mi urągać im szyderstwem i wzgardą. — Chciałam odpowiedzi, dowodu W NICH, czem jestem, bodaj przez jęk, wściekłość lub krzywdę. — Lecz oni nie jęczeli, nie mścili się. Oni tylko — uciekali... jak przed wściekłym psem, przed rozjuszonym żebrakiem, uciekali wszyscy razem, ująwszy się za ręce, z ironicznym śmiechem odwróconych twarzy, — zostawiając absurd próżni powietrznej mym zdumionym szałom, mej podniesionej pięści...

Przez pewien czas usiłowałam zastąpić sobie nauki ludzkiej bezpośredniości, zbyt ciasnej, wskazówkami swojej własnej, — przez zmuszenie interwencyi t. z. rozumu do zupełnej bierności i postępowanie ślepo uległe t. z. „głosom wewnętrznym,“ nieobliczalnym impulsom, głuchym pchnięciom swej nieświadomości. — Dawałam się im powodować jak spirytysta swojemu medyum, — i z przedziwną ciekawością popełniałam czyny niewytłomaczone, wypowiadałam słowa niezrozumiałe, szłam za najciemniejszym

wątkiem wyobraźni lub serca, śledząc uporczywie rezultaty swej nieświadomej cerebracyi, jej związek z życiem, tajemniczy sens i możliwe w nich istnienie nadwiedzy. — Lecz i ten eksperyment był tylko błędnem kołem.

Zostawało mi tylko zwierciadło. Całe godziny spędzałam z oczyma na swem odbiciu fizycznem. Ale i tu niepodobna było ustalić ani jednego, ostatecznego wrażenia. — Niekiedy z lustra słaniała się ku mnie swawolna radość życia, — to znowu nędzarka wyciągała niemą twarz z błaganiem o śmierć. — Czasami oglądałam gorzko wykrzywione oblicze wykolejonej ambicyi, — to znów czystą, płomienną twarz niespożytego geniusza; chude, złośliwie błyszczące lica drapieżnej pokusy osiadały na niewinnych rysach bezcielesnego anioła; — martwota niedokończonej głowy marmurowej przekształcała się w mych oczach na larwę koboldową, — bolesność madonny ustępowała cynicznemu szyderstwu więdnących wszetecznic... Ale było jedno odbicie, które mnie przejmowało mistyczną trwogą, a zjawiało się, ilekroć spojrzałam w zwierciadło znienacka, lub gdy długo, nieruchomo trzymałam na niem wzrok: — było to zjawienie obłoku twarzy o niknących konturach, w którym z pożerającą uporczywością rozszerzały się do potwornych rozmiarów chłonne, długiemi błyskawicami rozświecające się otchłanie oczodołów. — Była w niej bezcielesność i groza demoniczna, — jakby mi się ukazywało, mrożąc w żyłach krew, — nieodgadnione i złowrogie oblicze mego Ducha. — Wzrok mój ziemski, mózg mój, nie znosiły ciemnej potęgi tych upiorowych otchłani. — — Z dreszczem zwierzęcego strachu uciekałam od nich, pewna, że jeszcze chwila patrzenia — a legnę trupem, lub oszaleję, lub... Jeszcze straszniejsze przeczucia niewypowiedzianej grozy, przeraźliwych objawień, bezpowrotnych zawrotów wstrząsały mą nędzną, ludzką miazgą na widok tej mary szatańskiej.

Zmordowana bezowocnem nurtowaniem siebie, zawiesiłam walkę o wiedzę bezinteresowną i ograniczyłam pragnienie do SAMOWIEDZY PRAKTYCZNEJ. — Wyrozumowałam, że od świata odcinają mnie jakieś nieznane mi błędy postępowania, wynikające z nieznajomości życia międzyludzkiego i że przez poznanie tego ostatniego osięgnę świadomość pierwszych, oraz możność ich prostowania. — Zaszyłam się więc w gromadę. — Wiedząc już z pierwotnych doświadczeń, że mnie z niej wyrzuca moja fatalna i nieodgadniona odrębność, wchodziłam w tłum z przebiegłą nieśmiałością, wysilając mózg na sposoby zewnętrznego i wewnętrznego utożsamienia, na coś w rodzaju zwierzęcej MIMICRY. — Starałam się nadać swej twarzy, plecom, głosowi, słowom, ruchom i szacie barwę i linię jeżeli niezupełnie jednakowe, to przynajmniej zupełnie zgaszone, nie zwracające uwagi. — Chciałam niedostrzeżenie wgryźć się w samo serce stada, by w niem podsłuchać rytm jego pulsu i porównać je z mojem. — Cały świat zamienił się dla mnie w szkołę praktycznej umiejętności. — Po ulicach chodziły moje żywe modele, za ladami sklepów uśmiechały się moje nauczycielki i kłaniali mistrzowie, — w salonach wykładały mi mądrość czcze gadaniny, — księgami Wedy była mi modne, „wzięte" romansidła. — Wkrótce jednak między mną a temi studyami stanęła fatalna, nieprzezwyciężona zapora: — NUDA bezbrzeżna, rozpaczliwa, której żaden wysiłek woli, żadne cucenie w imię ostatecznego tryumfu nie zdołały rozpędzić. — Nauka życia potocznego była mi na nic, dusza moja odrzucała jej przepisy z tym samym upartym wstrętem, z jakim zwierzę odtrąca pokarm nieodpowiedni. — Nie mogłam się zasymilować z gromadą; — każde usiłowanie kompromisu bodaj stawało się częściowem samobójstwem, każde prawidło obcowania z nią w równości godziło w któryś z zasadniczych korzeni mego bytu. — Tylko jako trup mo-

głam była dojść do jednodźwięku z niewspółmiernem otoczeniem. — Pragnąc nakłonić się do tych ludzi, sterczałam między nimi jak drzewo objedzone przez chrabąszcze, krążyłam jak zgasła planeta, w absolutnej próżni nerwowej. — Duch uciekał ze zdumionego ciała, w pustym mózgu rozlegały się idyotyczne echa okolicznego zgiełku, oczy stawały mi kołem, nieprzezwyciężone ziewanie darło się na usta, stygłam jak na mrozie, uczuwałam zmęczenie większe niż po najforsowniejszym marszu lub pracy, obumierałam, — a gdzieś w głębi mojej odbywał się jakiś nieustanny, kreci trud, dostępny mej świadomości na podobieństwo szmeru źródeł podziemnych. — — — — A ta martwota, niemożność przełamania swej natury, były jednym z nieprzeliczonych powodów mej rozpaczy, — tę nudę brałam za najpewniejszy dowód swej niemocy i staczałam z nią obezsilające boje, jak chory na tyfus z duszącą go zmorą.

Po długiej męce zrozumiałam nareszcie istotę tej martwości i jęłam wynajdować nowe sposoby zbratania się z gromadą. — Dostrajanie się do jednodźwięku było poniżające i płonne, lecz pozostawała możliwość SHARMONIZOWANIA swej jaźni z duszą zbiorową. — Wiedziałam już, że zgoda między tym tłumem a mną może być tylko pozorna, utrzymywana przez moją hypokryzyę; wiedziałam, że nas dzieli przepaść dwu ras zasadniczo sobie wrogich, — instynktowa nienawiść bawołu dla tygrysa. — A jednak ciągnął mnie do niego, jako do jedynej, przystępnej mi zbiorowości, instynkt gromadny, równie bezwzględny w szukaniu zaspokojenia jak głód i zmysły — i, jak głód i zmysły, umiejący maskować prosty popęd rajskiemi urokami. — Mówiłam sobie, że komunię duchową zastąpić może rozkosz władania motłochem; — że obcowanie intelektualne zresztą jest tylko cząstką życia międzyludzkiego, którą, ostatecznie, poświęcić warto dla całości; — głuszyłam szept in-

tuicyi, ostrzegający przed fałszywością tego rozdziału treści jednorodnej ducha, — i, odrzucając jako beztreściową wydzielinę ich świadomość ubogą, tępą i naiwną, — zamyślałam żyć z ich impulsami, jak w menażeryi, wśród odmiennych, lecz bogatych typów zwierzęcych. — Niektóre zwłaszcza okazy nęciły mnie nieprzepartym czarem jakichś pokus prawie przeciwnych naturze. — By się do nich zbliżyć, wpadałam na pomysły maskaradowe. — Jak Jowisz grecki zamieniałam się w byka i łabędzia, by posiąść te przepyszne twory ziemi; — odrzucałam precz skrzydła fregacie, by pójść w tan z bażantami i strusiami; — przyćmiewałam w sobie umyślnie blask bóstwa, by ich olśnieniem nie przerazić, nie odegnać od siebie; — ja, drapieżnik, brałam na się skóry owcze, tłumiłam swój ryk w łagodnym beku i naprężonym muskułom skradających się nóg dawałam pozór niedbałości i zmęczenia, by módz się zakraść w samo serce stad żyjących i uciec ztamtąd do lasu, trzymając w paszczy „najsmaczniejsze jagnię.“

To się nazywało we mnie miłością — i było nią w pewnym stopniu — do chwili, póki gąszcz matecznika nie zamknął się nade mną i moją zdobyczą. — Radosna piękność niektórych synów ziemi wyzwalała we mnie tęskne porywy zachwytu i szału, buchające hymnami wniebowzięcia i psalmami niedoli ku nocnym gwiazdom i wschodzącemu słońcu. — Umierałam z miłości, gdy byli ode mnie daleko, cała żądza życia skupiała się chwilowo w ich pożądaniu. — Lecz gdy wybijała godzina wcielania marzeń, — gdy, jak w potwornym śnie, z tych rajskich kwiatów ziemi wychylały się ku mnie zwierzęce ramiona zadowoleń, — wtedy nagle osłupiała, wystudzona, zbłąkana, — jak zbudzona ze snu księżycowego na skraju dachu, — padałam na płaski, grząski śmietnik rozczarowań, próżno szukając w niebie bram tęczowych, — próżno chcąc powiązać jawę ze snem i miłosne marzenie z rozkoszą. — Usta moje gasły

pod ich ustami, ciało odpychało ich uścisk, — dusza odchodziła beznadziejnie szydercza od przerwanej uczty, — i „najsmaczniejsze jagnię“ oddawała błędnym drogom puszczy... Umiałam tylko tworzyć i niszczyć. Kochać nie umiałam.

(Dokończenie.) Marya Komornicka.

W mroku gwiazd.



Stanąć tak nad morzem
z chmur kłębami na dnie
i w głąb niemą rzucać
jarzące klejnoty...

I pod jej pałacem
oprzeć skroń na murach
i wyrzec się — wyrzec
duszy swej na wieki...

I żagiel rozwinąć,
kiedy burza wyje,
i mknąć ponad góry,
i spadać — i płynąć...

KOLOSSEUM.

Ruinom podobne serce moje — ruinom ogromnym i bezkształtnym.
Mrok otulił rany moje, po lazurowych wschodach prowadzi mię zaduma w gwiazdy.
Oryonie — bracie mój — w purpurowem zarzewiu wulkanów czytający księgę przeznaczeń —
i Ty, siostro moja, Andromedo, przykuta do skał —
i Ty, łamiąca dłonie, Kassyopeo, której córę wzięło na pożarcie złe bóstwo — miłość —
i Ty, Perseuszu, coś ujarzmił obłąkane loty swojej wyobraźni —
i Ty, Liro — i Ty, Orle — i Ty najbliższa nam grzywo Centaura —
— — o gwiazdy magowie, składający hołd wiekuistnemu Sercu! wzmocnijcie chlebem aniołów mnie — najciemniejszego z tułaczów po otchłani.

Męczennicy, których krew użyźnia bryłę ziemi — dziewice, niewinniejsze od lilij — młodzieńcy, dzielniejsi od posągów — rozżarzcie serce moje w trybularz wonności.

I wy, Geniusze, tworzący wszechład — ogień — wodę — powietrze i ziemię — eter — gwiazdy i przeznaczenie gwiazd — świeczniki boże siedmioramienne — skrysztalcie mię w klejnot wiedzy, na czarny węgiel rzućcie iskrę objawień.

Aniołowie — otom dzwon zaryty w piasku, — na wysokich górach postawcie mię, braciszkowie moi, abym dolinom opętanym w mroku zwiastował Ducha Pocieszyciela.

O ruiny serca mego, ogromne i bezkształtne w mroku — poryte wąwozami cieniów, które nie wiem dokąd zawiodą — pełne więzień i klatek na potwory, łańcuchów — pordzewiałych od krwi i od łez —
— — Czarodzieje filtrują jady w przysionkach mych —
handlarze bronzu rozkopują łone moje —
niewolnice kupczą wdziękiem Afrodyty —
dumna młodzież rozpędza rydwany dokoła cyprysowych alej —
lecz łasice gryzą się w ciemnościach, a świerszcze sykają nad upadkiem —
i tylko gwiazdy wświecają się w sznur obłąkanych nieskończonością okien —
a niebiosa rozwinęły się nade mną jako szafirowe żagle.

O przedwieczne rodzeństwo — aniołowie,
geniusze i święci — dźwignijcie księżyc z fali morza zamarzłego — niechaj cyprysy moje napełni szmerami proroctw.

W ciemności schodzi duch mój — w ciemności roztęczone od szronu gwiazd — łyskające kopułą czarodziejskiego zamku, gdzie białe rumaki strącane są w głuche jeziora — a w fosforycznych grotach ucztują widma potępionych.

Tysiącoletnie drzewa rozpaczy nurzają się w lodowych zatorach, płyną szeleszcząc ku bezdennym wirom — nad mglistym wyżłobionym lejem Anioł śmierci waży się w krwawym płomieniu, niby dogorywająca na wieży latarnia.
Stało się —
zapadły pode mną niebiosa — kępa kwiatów pod stopą kamiennego olbrzyma, i mrok zgęstniał dokoła.
A nad głębiami Duch — gasi gwiazdy — i rozżarza wizye, świetniejsze od gwiazd.

MELANCOLIA.

Żyje we mnie jakiś głuchy płacz — jakiś szloch i płacz żyją we mnie —
niby w grocie kropel wieczny szmer, monotonnych kropel tajny jęk.
Ach, to pewno przez zbójców zamkniona ze złotemi włosami królewna
(kasztelanka lub może pasterka), — z pól słonecznych, zielonych porwana,
zapomniana i w grocie zamknięta i na ostrych się głazach krwawiąca
złotowłosa mej duszy królewna.
Łzy jej płyną jak zimne opale — łzy jej płyną wśród nocy bez końca
i w kryształy się lodów zwieszają — w zamyślenia wiszące kryształy.
Raz przypełznął ze szmerem do groty — wąż kusiciel tych głuchych podziemi,
usta chciwie przyłożył do zdroju, lecz się wzdrygnął przed blaskiem nieznanym.

A wtem ujrzał w szafirach królewnę — i swe oczy głębo-
kie, zielone,
swoje oczy widzące w ciemnościach utkwił w bladej płaczącej
królewnie —
i mądremi oczyma pocieszał i prowadził ją w otchłań głę-
boką —
fosforycznie oczyma przyświecał — i prowadził ją w otchłań
głęboko.
Aż pod ręką skrwawioną, co szuka w mroku oparcia,
grać poczęły jak dzwony bólów zamarzłych kryształy:
chór wyklętych pielgrzymów nuci pieśń grobu świętego,
tarcze błyskają, miecze — wśród kolumn czarnych bazaltu —
wstają z grobów olbrzymy — szał rozpędzonych rumaków
niesie ich w ogniach kłębiących przed gniewny w piorunach
Majestat.
Nagle śpiewy zamilkły — głucha rozwarła się otchłań —
widać wśród ścian oślizłych mgłą wirujące jezioro.
I na zwilgłym grobowcu drżąca spoczęła Królewna, w otchłań
patrzy bezgwiezdną — w świątyń zagasłych jezioro.
Wtem ją mocne ramiona objęły w krzyku bezdźwięcznym
i uniosły nad otchłań skrzydeł sześcioro,
i ujrzała cudowną w blasku miesięcznym —
twarz Lucifera.

Oto mej duszy świątynia — z czarnych, jak miłość, marmurów,
gdziem lud spiżowych posągów zaklął nad głębią rozpaczy.
Niech wicher morski gra, niech strąca lwów — Poskramiaczy
w płynny wulkanów żar — w ogniowy pałac Ahurów.
Tu napowietrzny most z bolesnych krwawych stygmatów
między górami na morzu, jakoby nici pajęcze —
i tu Cię będę niósł, jak chmura porwaną tęczę,
na ten najwyższy cypl — w zorzy polarnej dwóch światów.
I Tobie oddam regiony, co w skalnych zboczach mej duszy
jak ametysty lśnią: sny prerye; sny jako miesiąc w borze,
i tę ścieżynę modlitwy, którą szedł Chrystus raz w mroku.
A dla mnie to bezbrzeżne kraterów gasnących morze,
upiory świateł, wieczność, której już nic nie poruszy —
chyba ten Bóg — co przyszedł mię potępić — w Twoim wzroku.

Magia mej duszy niechaj Cię wywoła
z zarzewia komet czy z mroku przepaści —
przyjdź — ustroimy w lotus nasze czoła
i gibkie ciała nasze nard namaści.

Pachną mi dziwnie Twoje złote włosy,
jak prześwietlone senne kłosy.
Twych oczu lazur, jak górskie jeziora,
w których się pławi czarna sykomora.
A Twoje usta, pachnące jak róże —
chłodne — jak płomień zaklęty w marmurze.
W ogrodach piersi kwitnące jabłonie,
jakoby księżyc w mgieł srebrnych oponie.
Biodra toczone ze słoniowej kości,
jako indyjska świątynia miłości.

O przyjdź — na liściach zwiędłych piszę
ten sen mój obłąkany —
rzucam je w strumień łez moich wezbrany —
niechaj w anielskie odpłyną zacisze — —

Ale mi włócznią swą miedzianą
potrząsasz — i groźna jak mrok —
rozdzierasz serce moje —
czarną pianą
dyszy mi toń — ja pieczar tych smok —
weź moje skarby i Twe zimne serce
opasz — niech błyszczy!

Szmaragd Ci wspomni te zielone łąki,
po których szliśmy strojni w asfodele —
rubin — czyscowe jeziora rozłąki —
i miłość, którą oddałaś w kościele
innemu, — a dyament — moje serce dumne,
stopione w ogniach i rzucone w trumnę.
Na czole Twojem płomień chryzolitów,
abyś widziała gwiazdy konające —
ortoklast zimny, smutny jak miesiące,
zamrozi w oczach Twoich sen błękitów.

Ale ci jeszcze składam te szafiry
i perły jak chmury bezdomne,
i krwawej jaszmy obłąkane wiry —
na znak, że Ciebie nigdy nie zapomnę —
pierścień Ci włożę z mrocznych karbonatów,
bo się spotkamy — za progiem tych światów.

GŁĘBINY DUCH.

W żelaznych trumnach króle Tatry.
Noc — wicher i warczenie chmur.
Noc — głębia i błyskanie watry.
Z topieli pełznie okrwawiony Mór.
Na głębię! na głębię!
na serce morza pośród gór —
wśród skał lodowo-śnieżnych
wirują myśli jastrzębie —
duch rwie się do bezbrzeżnych
krain.
Odbijam tratwę w mrok i patrzę w śmierci jamę
i tworzę nową pieśń, jak Jubalkain —
olbrzymów pieśń — umarłych bogów dramę —
olbrzymów pieśń — Wöluspa i Szachname.

Wichry! śnieżyce! mych szałów tabuny!
przepaście! bory! słuchacze mych dum!
w zatorach zemsty law kipiących szum —
serc potrzaskanych tajemnicze runy —
księżyce, gwiazdy — me bracia — me struny!

Azalim skald? posiadłem dar cierpienia.
Azalim król? któż większe ma przestworza?
tak Atlantyda rzucona w głąb' morza
tysiącem kolumn błyszczy się i spienia.

Znam bogów brzask: zielone oceany,
w płomieniach zorzy lodowe katedry,
ryk mastodontów, paroście i cedry,
harf złotośpiewnych mistyczne peany
i demiurgów orszak zadumany.

Ponad górami, niby księżyc w pełni,
snuje me serce czarodziejską przęśl —
fiołkowy obłok u stóp mych się wełni —
a jezior szklanych zatopiona gęśl
gra wizye gwiazd —
— ja z uchylonej trumny
słucham — a wokół walą się kolumny —
i ziemia drży pode mną — i drży serce moje.
jak posąg, w miażdżonej świątyni —
a w chmurach pędzą skrwawieni heroje,
pytając mię o znak: śmierć na pustyni!
Nad górą świata, nad głębiami szczytów,
słyszę jęk matki, co mi serce rwie —
rzucam w jej łono pył aerolitów —
rzuciłbym słońce — lecz łzami się mglę.

Z czarnych kryształów mój pałac — w gryfy lemury rżnięty —
gwiazdy przez witraż świecą zamarznięty.
Perły posadzką, w koralach namioty —
huczą nade mną gdzieś przeznaczeń młoty.
Myśl moja rzeźbi posągowe mary
(na Jowiszowem czole stygmat kary).

Po salach błądzę jako lew skrzydlaty
(echem grobowem wtórzą kazamaty).
W melodyach ciszy nie zadrga zasłona
(w trumnie z ołowiu ktoś jęczy i kona).
Mrok zimny pluszcze w spiżowe podwoje
(gwiazdy migocą w zmarzłe serce moje).

Zgrzytnęły dźwierze — pleśń i katakumba —
pochodnia krwawi napis: in hac tumba.
Wyrazy milkną, lecz połysk przelśniewa —
w trumnie z ołowiu głos żałobny śpiewa.
Chyłkiem się wije cień zamaskowany —
idę rozpacznie do ostatniej ściany.
Dotknąłem gwoździa — nisze się ozwarły —
padłem na progu, jak człowiek umarły.
Nieznana ręka podjęła mię z prochu —
widzę grób — lampę konającą w lochu.
Na stopniach klękam sarkofagu —
od blasków się źrenica mruży —
jak dwa płomyki białej róży
świecą dwie ręce zapalone —
dwie żywe ręce — jak przy Magu —
me serce żywcem pogrzebione.
I zaszlochały łzy w głębinie,
zamigotały skrzydła zmięte —
aniołów grają chóry święte —
w różanych widzę mgłach świątynię —
ale me serce już pęknięte —
już go tym rajem nie upoję —
anioły lecą ze mną w boje.
Precz! — i wydarłem złote miecze —
od przepaści moich progu
wara wam — i wara Bogu!
oto me serce człowiecze —

rubinowa tajemnica —
oto je rzucam w odmęty!

— — — — — — — — —

Jak czarna lecę błyskawica,
nad przepaściami słychać me tętenty.
A za mną śpiewa borów chór
i łkają dzwony zatopionych miast —
krwawi się serce morza pośród gór —
konają tęcze zdruzgotanych gwiazd —
hurra — tytany! w ręku piorun siny —
ten świat roztrącić — w głębiny! w głębiny!

BIAŁE RÓŻE KRWI...

Białe róże krwi rosną przy mej celi —
a dokoła bór w swych upiornych snach.
Kiedy zimna noc — jako czarny ptak —
na wierzchołkach gór zostrzy krwawy dziób —
dwie siostrzyczki me — ach, dwie obłąkane
z lśniącemi oczyma, jak zaklęte skarby —
— — — — — — — — — — —
i słucham piosenek — i drżą srebrne rosy —
odmykam okno gotyckiej wieżycy.
I łkają słowiki i z szumem drżą fale —
do groty umarłych wszedł księżyc.
Węże z nad jezior prężą się uśpione,
a drzewa olbrzymy pośród chmur i nieba.
Gwiazdy jak róże kwitną wśród gałązek,
taniec szkieletów —
— — — — — — — — — — —
Na katafalku z czarnych kamieni
leży blady królewicz
i litośnie patrzy na swą zabójczynię.

Ona, jak posąg, bezmowna —
w ekstazie bólu uśmiecha się
przez zasłonkę grobu.
Patrzy litośnie królewicz —
dwa jeziora oczu ścinają mu się w lód.
— — — — — — — — — — —
Dwie siostrzyczki moje palą kwiat paproci.
Ziemia rozpęka w urwisko.
Nad jeziorem śmierci
siedzi nagi człowiek i w zielonkawą patrzy toń.
jako w źrenice święte Urenusa.
A strojne karły i wesołki,
tańcząc na nitkach pajęczyn,
zawodzą spiżowy choral o narodzinach gwiazd.
Mój brat: przed obliczem siedmiu posągów
skrzyżowaliśmy nasze miecze i czaszę krwi
piliśmy na braterstwo.
Całą wieczność szukałem —
odnalazłem weseląc się w płaczu moim.
Zaklinam go w dawne imiona anielskie —
przypomina — budzi się, jak ze snu —
uśmiecha się, jak Jehowa, z poza mgławicy,
a strumień piany toczy się po zoranych ustach.
Prosi, bym do uścisku podał dłoń —
chwycił mocno rękę moją —
zataczając się w okropnej radości,
wykręcił i z całej mocy
złamał na żelazach.
Zmiażdżoną ręką uderzył mię w twarz
i wyzwał na straszny — zagrobny bój —
w nurtach głębokiej wody.
Łzy płyną mu anielskie, rzewne
po obliczu zbrużdżonem piorunami,
jak ziemia —
— — — — — — — — — — —

Dwie siostrzyczki me rzucają do ognia
pszeniczną śnieć.
Siedzę na ganku wśród odwiecznych lip,
szafranowe krokusy pachną mi świętem Wielkiejnocy,
lilowe malwy i czarne bratki
szepcą opowiastki o tych, co minęli.
A słońce rozsypało krwawe róże
na obłokach — i gdy zagasły — stało się,
jakby ktoś ogród zamienił w żużle i popiół.
Pies wierny skomli przez sen
u moich nóg.
Prowadzi do mnie małe dziecię
żona — za rączkę.
I cisza taka święta
wśród omglonych łąk i lasów.
Świerszcze sykają pod progami,
żaby rechocą —
jakby szklane, grające wirowały sfery.
I poszedłem, ach — na drogę pod krzyż —
i nie wrócę już — nigdy nie wrócę.

— — — — — — — — — — —

O siostrzyczki moje, podłożcie smolny żar,
i niech rozszumi
oceanowym śpiewem ognia ta puszcza.
W płonących wirach dymu
zapadną się moje czarne księstwa —
w roztopach żywicy
skamienią się moje napowietrzne jeziora —
upiorne skrzydła moje
zanurzę w prastarych wulkanach —
i tylko serce me złóżcie z modlitwą do ziemi.
Nad popiołami
zaszumią zboża —
będą ludzie pożywać — i błogosławić.

ŚWIĘTY.

Tyś umarł? nie wiem, lecz się zbudziłem ze łzami,
i jeszcze grają chóry tych anielskich lutni,
i moje serce, jakby fala, łka mi,
i słyszę — cicho szepcą Twoi uczniе smutni.

Czytałem księgę w prześwietlonych zbożach —
kronikę Twoich męczarń i Twych bólów świętych —
wtem, jakby świat mi roztęczył się w zorzach
i jakby kwiaty szumią w stepach wniebowziętych:
tak-żeś się cieszył, gasnąc — tak radował w Panu,
konając — i czułem ból Twojego ciała
i dusza moja — ach, gorzko płakała,
żeś jej tam nie wziął — jak kłos zżęty z łanu
i rzucony na drogę pod żelazne koła
w pył...

STYGMATY ŚW. FRANCISZKA.

O wzgardź mną, Panie, bom niegodny Ciebie — lecz w piersi mojej słyszę harfy granie i ręce moje wyciągam w zaranie — ku Tobie.
Uderza na mnie blask Mocy i Tronów — gwiazdy mi grają wśród wieczornych dzwonów — na niebie krwawe błyskają purpury — Twoich tajemnic otchłanie i góry.
A duchy z twarzą posępnie ukrytą — oczy im świecą przez wór San-Benito. I patrzę w zimne ich oczodoły — gdzie bezwstyd w dzikie zamarł szaleństwo — w krypcie kościoła tajne męczeństwo — za filarami błyszczą anioły.
I podszedł do mnie Upiór-strach nocny — ręce mi związał, bym legł bezmocny. A harfę podał w gasnące dłonie — serce, co wiecznym pożarem zionie.
I umęczyłem jeszcze raz drugi to smętne i krwi mej polały się strugi. Odejm mnie, Panie, moim szponom — odejm mnie, Panie, błotu mojemu — czemu nie przychodzicie mi łzy? i darmo trzymam twarz odwróconą — widzę Twe oczy zachodzące — widzę jak czarne zimne słońce zakrywa Ciebie mi.

Stoję na ostrym cyplu góry — pode mną w głębi czarnopiórej — nade mną — wkoło — Ty.
Idę ku Tobie, Tajemnico — wsłuchany w poszept kwiatów — otwarte szczęścia mego rany — oh, serc mam więcej niźli światów — niż gwiazd —
A płomień ku mnie z Twego słońca — a burze ciepłe przelatują jestestwo moje — zodyakalne światło nad horyzontem, jako lodowe framugi.
Niechcąc zakrwawiłem kwiatki i poruszyłem umarłego w trumnie — gałązki ciernia oplotły mi głowę — z rąk płyną świetlane smugi.
Ptaszki lecą pytać się, com widział w niebiosach: duszyczki wasze bardzo tęskniące. Umarli pytają mnie o swych losach — i tylko kwiatki cicho na skoszonej łące oddają aromat, jak siostra Łazarza, Panu.



Tadeusz Miciński.

DOKTOR FAUST.

(KWIECIEŃ 1553.)



eśnym głębokim wądołem posuwał się zwolna jeździec.

Na stokach jaru piętrzyły się wzwyż wielkie, łyse drzewa; górne ich wierzchołki kładły się lekko w blask słoneczny, dołem było szaro i mroczno.

Wiatr wiosenny przeciągał ciężkiem tchnieniem przez parów.

Ciężko wlókł się jeździec, ciągnąc za sobą wielką kosę, tak, że biało-skrzące ostrze zorywało czarną ziemię na przydrożu.

Bułany był stary koń; ciężko osadzał się na nim jeździec, starczo naprzód pogarbiony; twarz miał zrytą w szerokie zmarszczki i czarne bruzdy; biała, chuda dłoń dzierżyła uzdę, biała, chuda dłoń spoczywała na kosisku.

Zdał się większym, niźli ludzie bywają, w oczach jego nie było wcale białka, tylko ta czarność, co spoziera.

Gdziekolwiek koń jego stąpnął, tam wypełniało się powietrze ostrą, ziemistą, stęchłą wonią więdnących liści, co butwieją, mierzwy, co gnije, mchów, co murszeją, i karczy, co próchniejąc w żagwiowy zamieniają się czyr. Z wysokich drzew padały stare, suche gałęzie, odbijając się hałaśliwie o konary, lub też czyniąc to tak cicho, że plusk kopyt końskich o wilgotną ziemię wydawał się jedynym dźwiękiem na świecie.

I plusk kopyt drugiego jeszcze konia po za nim, hen w oddali, na drodze.

Jeździec zatrzymał się i jął nasłuchiwać; potem skinął głową, jak gdyby zrozumiawszy, i ruszył dalej.

Po chwili ukazał się w leśnym wądole drugi jeździec na rydzym koniu.

I ten wyższy był, niźli ludzie bywają, ale o wejrzeniu dwudziestoletniego wyrostka; czyniły go takim jasne kędziory i gładkie policzki wokół pełnych uśmiechniętych warg.

Częścią z samodziału chłopskiego, częścią z purpury królewskiej były jego szaty. Smukłe członki wszakże przeświecały w oślepiającej nagości poprzez samodział i purpurę, — w pogańskiej nagości! Gdyż Amorem było to chłopię w kędziorach, co jak złotych wiórów pęki wiły się wokół jego głowy. Z ramion zwisał mu kołczan ze strzałami; wielki łuk przysypłał niedbale do grzywy swego konia.

I gdziekolwiek koń jego stąpił, tam rozwijały paprocie swe kosmate pastorałki ponad czarną, wilgotną ziemią, poprzez zmurszałe liście przechodziło drgnienie życia, tryskały zewsząd żółte i białe pędy, tysiączne nasiona i zarodki budziły się ze snów, przedwczesne kwiaty poczynały wybłękitniać się pod ciemną osłoną zimowego listowia, nad głową jeźdźca nabrzmiewały i wyświetlały się pąki,

a górą, na powietrznej dali żeglowały ciągi przelotnego ptactwa, niby czarne znaki na szarobłękitnem niebie.

Amor zrównał się ze starcem z kosą, skinęli na powitanie głowami i jechali dalej poprzez wąwóz leśny, słowa nie mówiąc do siebie. Ale gdy droga wywiodła ich z boru skośnie poprzez pole na trakt królewski i gdy przed ich oczyma stanęło wielkie miasto: jego dachy brunatne, jego wyniosłe, szare blankowania, a ponad niemi strzeliste złotolśniące wieżyce, — wówczas obaj jeźdźcy skinęli sobie po raz wtóry głowami i uśmiechnęli się zlekka.

I jechali dalej drogą królewską, co rozkładała się przed nimi szerokim, szarym gościńcem, wijąc się w dali coraz to węższą i węższą wstęgą, by wreszcie jako wątła nić wpaść w czarne oko czerwonych wrót miejskich.

Oni wciąż jechali.

Tuż przed bramą rozciągał się wielki, nagi ogród warzywny pośród karłowatych jabłoni; w ogrodzie stał dom, na którym jeden dach piętrzył się nad drugim: dwie długie, strome płaszczyzny z omszałych dachówek. Gromadę czarnych kominów podpierały pręty żelazne i wiązały tęgie, żelazne łańcuchy.

Jeźdźcy zatrzymali się tutaj.

Po wschodniej stronie domu było okno, wielkie jak brama wjazdowa, a podobne olbrzymiej szachownicy z drobnych w ołów oprawnych szybek. Okno było w tej chwili otwarte i przymocowane do ściany, a w wielkim jak brama jego otworze stał doktór Faust, ze wzrokiem wlepionym w drogę, która, jak wiedział, prowadziła z leśnego wąwozu.

I Śmierć z Amorem, niewidoczni, jako zwykle bywają, cienia nawet nie rzucając za sobą, podjechali zwolna do tego okna.

I tu zatrzymały się ostatecznie ich wielkie nadludzkie postacie. Trzepotał się na wichrze czarny płaszcz Śmier-

ci, powiewała purpura Amora. Wielkie konie powsuwały szyje w otwór okna, zwieszały senne ociężałe łby nad księgami i pergaminami, żuły leniwie swe kiełzna, a sącząca się z pysków piana ociekała białemi płatami na czerń liter i na jaskrawe barwy inicyałów.

[Myśli za myślami oblegały natarczywie doktora Fausta, gdy stał tam w oknie, wsparłszy dłonie na szerokiej podokiennej desce, białe, w pierścienie zdobne dłonie tuż pod zwisłemi pyskami obu koni. Jaśniała w świetle biel jego czoła i bladość oblicza, wyświetlał się niemal każdy włos z osobna w ciemnej, kędzierzawej brodzie.

I każda myśl, jaką przemyślał o tych obu niewidzialnych tam za oknem, dosłyszalnym prawie padała dźwiękiem.

„Oto mam już lat czterdzieści," — myślał, — „mogę żyć jeszcze lat dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Potem skończy się wszystko.

Oto znowu wróciła wiosna, oto znowu mam o rok mniej do życia."]

Śmierć przyszła, aby porwać czterdziestoletniego doktora Fausta; ale Amor wstawia się za nim i Śmierć darowywa mu jeszcze dalsze czterdzieści lat życia. Po upływie tego czasu zjeżdżają się znowu oboje, aby go zabrać. Znajdują starca, któremu lata na nic się nie zdały: siły jego byłe już zużyte przed czterdziestu laty; druga połowa jego żywota martwem była życiem.

PRZEŁOŻYŁ Wacław Berent.

TU RÓŻOM BY KWITNĄĆ.


u różom by kwitnąć.

Takim dużym, bladawo żółtym różom.

W bujnych więziach musiałyby zwisać z poza muru ogrodowego, siejąc obojętnie wątły puch swego kwiecia w ślady kół na drodze, niby jasny odblask przepychu kwietnego, co świetnieje w głębi ogrodu.

I musiałyby tchnąć zwiewną, nikłą wonią różaną, nieujętą jak zapach nieznanych owoców, o których zmysły w snach swoich marzą.

A może winneby to być czerwone róże?

Może.

Byłyby to drobne, krągłe, jesienne róże o świecących liściach. Świeże i kraśne, pięłyby się w lekkich girlandach po murze i byłyby jako pozdrowienie lub ucałowanie ręki dla wędrowca, który znużony i okryty pyłem

idzie gościńcem i cieszy się, że go już zaledwie parę minut drogi dzieli od Rzymu.

O czem też on myśli? Jakie jest jego życie?

Oto — już zniknął za domami, które z tej strony zakrywają wszystko: i drogę i miasto. Ale po drugiej stronie widać daleko; hen aż do rzeki, aż do zrujnowanego mostu snuje się leniwo gościniec w powolnie wijących się zakrętach. A dalej legła niezmierzona Kampania.

Szarość i zieleń takich wielkich równin! tchnie z nich coś jakby omdlałość dalekiej mozolnej podróży, omdlałość kładnąca się ciężko na duszę ludzką, pogrążająca ją w samotności i opuszczeniu, niecąca w niej tęskność i oczekiwanie.

Więc już lepiej wyszukać sobie taki jak ten kąt między wysokiemi murami ogrodowemi, gdzie powietrze wionie ciepłem, miękkością i ciszą; usiąść w słońcu na ławie, zagłębiającej się w niszę, — siedzieć tam i patrzeć na połyskliwe zielone akanty w przydrożnym rowie, na srebrem centkowane osty i złotawe kwiaty jesienne.

Naprzeciwko wznosi się długi, szary mur, okryty zeschłą trawą. Pełno w nim szczelin i kryjówek jaszczurczych. Tam winneby kwitnąć róże, w tem właśnie miejscu wychylać się z za muru, gdzie z jego długiej, jednostajnej płaszczyzny wystercza wielki, misternie z krat żelaznych dzierzgany kosz, dzieło starej, ślusarskiej roboty. Tworzy on obszerny, powyżej piersi sięgający balkon, na który miło snadź wejść, gdy zamknięty ogród nic już dać nie może prócz znużenia

A zdarzało im się to często.

Nienawidzili swą starą, wspaniałą willę, kryjącą się pono tam w głębi. Nienawidzili ją wraz z jej marmurowymi schodami i grubo tkanemi tapetami; nienawidzili te odwieczne drzewa o czarnych, dumnych koronach, te pinie i laury, te szlachetne jesiony, cyprysy i dęby, przez

cały czas ich wzrastania, tą nienawiścią, jaką dyszą niespokojne serca do codzienności bez wrażeń, do wszystkiego, co wraz z niemi nie pała pożądaniem i przeto sprzeciwiać się im zdaje.

Ale z balkonu można było wybiedz poza obręb przynajmniej spojrzeniem. Więc pokolenia za pokoleniami wystawały na nim, topiąc wzrok w oddali; a każde ze swem *za* i ze swem *przeciw*. Niejedno ramię zdobne złotemi manelami wspierało się na poręczy balkonu, niejedno kolano, osłonięte jedwabną suknią, wciskało się w jego czarne arabeski, nieraz z krat jego wiały barwne wstęgi, na znak pozdrowienia lub przyrzeczenia miłosnej schadzki. Nawet ociężałe, brzemienne matrony stawały niegdyś tutaj, śląc w dal niemożliwe do spełnienia tęsknoty. I rosłe, bujne, opuszczone kobiety, blade jak nienawiść... ach, gdybyż można zabić myślą, gdybyż można zaklęciem rozewrzeć otchłanie piekieł!.. Kobiety i mężczyźni! wciąż kobiety i mężczyźni, a nawet te wątłe, białe duszyczki dziewczęce, co jak zbłąkane w locie gołębie tulą się do czarnych krat i wołają: Hej, chwytajcie nas, szlachetni drapieżnicy!

Tu możnaby sobie rozegrać w wyobraźni całe jakieś przysłowie dramatyczne.

Widownia doskonale nadawałaby się do niego.

Mur z balkonem pozostałby, jak jest; tylko droga musiałaby być szersza i zataczać krąg dokoła starej, niepozornej fontanny. Fontanna musiałaby być koniecznie z żółtawego piaskowca i mieć basen z popękanego porfiru. Mógłby ją zdobić delfin z odłamanym ogonem i z jednem nozdrzem zatkanem. Z drugiego wystrzelałby cienki promyk wody. — Obok fontanny ławka w półkole z piaskowca i palonej cegły.

Lotny, szarawy pył, czerwonawa, polewana cegła, żółtawy, gąbczasty, ciosany piaskowiec, ciemny, wygładzo-

ny, od wilgoci połyskujący porfir, i wreszcie żywy, drobny, srebrzyście drgający promień wodny: materyał i barwy zestrajają się nieporównanie.

Osoby: dwaj pazie.

Ale nie wzięci z jakiejś historycznej, ściśle określonej epoki, bo pazie rzeczywiści zgoła nie odpowiadali swemu ideałowi. To pazie, którzy na obrazach lub w książkach kochają i marzą.

Tylko w strojach to i owo przypomina historyę.

Artystka, która gra młodszego pazia, ma na sobie obcisłe ubranie z lekkiego, jasnobłękitnego jedwabiu, przetykanego heraldycznemi liliami z najświatlejszego złota. Kostyum, przybrany możliwie suto koronkami, zmierza nietyle do zachowania charakteru jakiejś określonej epoki, ile do uwydatnienia bujnych, młodzieńczych kształtów, wspaniałych płowych włosów i jasnej cery.

Jest mężatką, ale jej małżeństwo trwało zaledwie półtora roku, potem się rozwiodła, a podobno była wogóle niezbyt przykładną żoną. Może tak było, ale trudno sobie wymarzyć skończeńsze niewiniątko. Naturalnie, nie chodzi tu o jakąś milutką niewinność z pierwszej ręki, która niewątpliwie ma swój urok, ale o ową wybornie utrzymaną, prawidłowo rozwiniętą niewinnność, która nikogo nie omami, która wprost chwyta za serce i czaruje pełnią potęgi, stanowiącej nieodłączny atrybut wszelkiej doskonałości.

Drugą rolę w przysłowiu gra wiotka melancholiczka. Jest niezamężna i niema żadnej przeszłości, absolutnie żadnej. Niema człowieka, któryby znał choćby najdrobniejszy epizod z jej życia. A jednak jakże wymowne są te delikatnie zarysowane, prawie chude kształty, ta regularna twarzyczka o bladości bursztynu, okolona kruczemi włosami, i silna, prawie męzka szyja! Nęci uśmiechem, szyderczym, a zarazem pełnym chorobliwej tęsknoty, i niezgłębionemi



oczyma, których czerń jest miękka i świetlista jak ciemne płatki w kwieciu bratków.

Odziana w strój bladawo żółty, skrojony nakształt kirysu, o szerokich zakładkach, sztywnym, stojącym kołnierzu i topazowych guzikach. Z za kołnierza i z obcisłych rękawów wyziera wązka taśma sfałdowanej krezy. Pluderki ma krótkie, szerokie, koloru martwej zieleni, z matowo purpurowemi potrzebami. Do tego szare trykoty. — Paź błękitny ma naturalnie lśniąco białe.

Obaj w beretach.

Tak wyglądają.

I oto paź żółty stoi na balkonie, przechylony przez poręcz, a błękitny siedzi wygodnie rozparty na ławie pod wodotryskiem. Rękoma, na których połyskują pierścienie, oplata kolano, a marzące jego oczy błądzą po Kampanii.

Wreszcie odzywa się:

— Nie, niema nic w świecie nad kobiety! — Nie pojmuję tego... snadź czar jakiś jest uwięziony w liniach ich kształtów. Gdy patrzę, jak obok mnie przechodzi Izaura, Rozamunda, Donna Liza, lub która inna, gdy widzę, jak suknie tulą się do ich kształtów, jak układają się w fałdy przy każdem ich stąpnięciu, zdaje mi się, że serce wypija wszystką krew mych tętnic, pozostawiając czaszkę pustą i bez myśli, a członki drżące i z sił wyzute. I cała moja jaźń skupia się w jedno jedyne, długie, trwożne tchnienie tęsknoty. Co to jest? Zkąd to pochodzi? To takie dziwne! Jakby niewidzialne szczęście mijało moje drzwi, a ja powinienbym je schwytać, pojmać i mieć jak swoją własność — i nie mogę go ująć, bo go nie widzę.

Na to odpowiada drugi paź z balkonu:

— A czyś ty kiedy siedział u jej stóp, Lorenzo, gdy zatopiona w myślach zapomni, poco cię wezwała? Siedzisz w milczeniu i czekasz, a nad tobą chyli się cudne jej oblicze, dalsze od ciebie w mgławicach swych snów,

niż gwiazda tlejąca na jego niebie, a jednak tak bliskie twemu spojrzeniu, tak bliskie! Przed twym podziwem nie tai się ani jeden rys, ani jedna linia z piękności poczęta, ani jeden promień, co prześwietla spokojną białość jej lic i płonie w miękkiej różowości jej rumieńca. Czy ci się wtedy nie marzyło, że może ona nie jest z tego świata, w którym ty przed nią klękasz w podziwie, że może należy do niej inny świat, że może inny świat ją otacza, w którym jej świątecznie przyobleczone myśli zdążają ku jakiemuś celowi, tobie nieznanemu? w którym ona kocha zdala od świata twego i innych ludzi, zdala od tego, co twoje? kędy w oddal snują się jej marzenia i pożądania? I czyś wtedy nie czuł, że w najprzelotniejszem mgnieniu jej myśli niema miejsca dla ciebie, aczkolwiek twoją najżywszą tęsknotą jest poświęcić się dla niej, oddać za nią życie i wszystko, co masz, byleby między nią a tobą istniało coś, co nawet nie jest promykiem wspólności, a cóż dopiero ściślejszym węzłem?

— Ach, ty wiesz, że tak jest. Lecz...

A teraz na poręczy balkonu pojawia się zielona jaszczurka. Zatrzymuje się w biegu i rozgląda dookoła. Ogonek się porusza...

Gdybyż był kamień pod ręką...

Baczność, moja czworonożna przyjaciółko!

Nie, tej chyba nikt nie trafi, ona słyszy kamienie w locie. Ale się przynajmniej zlękła.

Tejże chwili nikną obaj pazie.

A tak ładnie było tej błękitnej z ogniem nieświadomej tęsknoty w spojrzeniu i przeczuciowym niepokojem w ruchach. Dokoła jej ust słaniał się nikły cień bólu, kiedy mówiła, a zwłaszcza kiedy się zasłuchała w nieco przytłumiony głos żółtego pazia, w którego słowach, drażniących a jednak pieszczotliwych, drgał ton szyderstwa i razem sympatyi.

A czyliż teraz nie wydaje się, że obaj znowu są tutaj?

Są tutaj. Odszedłszy, grali dalej i mówili o owej nieokreślonej miłości młodzieńczej, która nie zna spokoju, która tuła się po wszystkich krajach przeczuć i wszystkich niebiosach nadziei i chorzeje z tęsknoty, że nie dano jej rozgorzeć w potężnym, namiętnym żarze jedynego wielkiego uczucia. Młodszy mówił o tem z goryczą, starszy z tęsknotą. A teraz żółty przekonywa błękitnego, że nie powinien tak niecierpliwie pragnąć odwzajemnionej miłości, która porywa i przykuwa do siebie.

— Wierzaj mi — powiada — miłość, którą znajdziesz w uścisku dwojga białych ramion, w której dwoje oczu zwiastuje ci bliskość nieba, a dwoje warg da napewno błogość, taka miłość zbyt blizka jest ziemi i ziemskiego prochu. Ona wymienia wolną wieczność marzeń za szczęście, co na godziny się mierzy i z godzinami starzeje, a chociaż wciąż się odmładza, to jednak za każdym razem traci jeden promień z owej niewiędnącej gloryi, która wieńczy wiekuistą młodość snów. Nie, to ty jesteś szczęśliwy!

— Nie, to-ś ty szczęśliwy! — odpowiada błękitny. — Dałbym świat za to, aby być takim, jak ty.

I błękitny powstaje i idzie drogą, wiodącą w dal Kampanii, a żółty patrzy za nim z tęsknym uśmiechem i mówi do siebie: nie, to on jest szczęśliwy.

Wtem z daleka, z drogi odwraca się błękitny jeszcze raz w stronę balkonu i z beretem w ręku woła: Nie, to ty jesteś szczęśliwy!

Tu różom by kwitnąć.

A teraz niech powionie wietrzyk, niechaj otrząśnie deszcz kwiecia z rozkwitłego różokrzewia i pożenie je śladem odchodzącego pazia.

ARABESKA.

Czyś błądził kiedy w mrocznych lasach?
Znasz ty Pana?
Ja go przeczułem,
Ale nie w mrocznych lasach,
Gdy mówi wszelkie milczenie.
Nie! TEGO Pana nie znałem ja nigdy.
Ale przeczułem miłości Pana —
I wtedy milkło, co zazwyczaj mówi.

Na słonecznych łęgach
Rośnie dziwne ziele.
Tylko w najgłębszej ciszy,
Gdy słońce żarów tysiącami sieje,
Rozchyla swe kwiecie.
Jak obłąkane majaczy się oko
I jak ceglaste lico trupa:
Widziałem je
W miłości mojej.

Wonną mi była jak jaśminu biel,
Makowe soki krążyły w jej krwi,
Jej ręce chłodne i jak marmur białe
Śniły na jej łonie,
Jak wodne lilie na jeziornej głębi.
Miękko padały jej słowa,
Jak jabłoni kwiecie
Na rośne pada trawy.
Ale bywały chwile,
Kiedy wzwyż biły, jasne i zimne,
Jak tryskające w górę wody.
Westchnienie drgało w jej śmiechu,
A radość w jej łkaniu;
Korzyć się przed nią musiało wszystko —
Tylko ócz dwoje śmiało się sprzeciwiać,
Jej własnych oczu dwoje.

Z trującej lilii
Lśniącego kielicha
Piła do mnie,
Do tego, co już nie żyje,
I tego, który teraz przed nią klęczy.
Piła do nas wszystkich
— A wtedy oczy korzyły się przed nią —
Czarę ślubowań niezmiennej stałości
Z trującej lilii
Lśniącego kielicha.

Wszystko minęło!
Na śnieżnej równinie
W ciemnym lesie
Samotnie rośnie ciernowy kierz,
Wśród jego liści targają się wichry.
Grono po gronie,

Grono po gronie
Strząsa jagody czerwone jak krew,
W biały je sieje śnieg, —
Płonące jagody
W zimny śnieg. —

Znasz ty Pana?

ARABESKA DO RYSUNKU MICHAŁA ANIOŁA.

(Profil kobiety ze spuszczonemi oczyma w Uffiziach).

Wbiegłaż fala na ląd?
Wbiegłaż na ląd i spłynęła znów
Powoli po perłach żwiru
Z powrotem w odmętów świat?
Nie, wspięła się jak bojowy koń,
Wznosząc wysoko swą wilgotną pierś!
Jej grzywa lśniła od pian,
Śnieżysto białych jak łabędzi grzbiet.
Świetliste pyły i drżące tumany
Tęczowo wionęły w błękit:
Zmieniała ciągle
Ruchliwy kształt
I na szerokich, na łabędzich skrzydłach
Przez białą światłość leciała słoneczną.

Znam loty twoje, ty, lecąca falo;
A przecież złoty dzień zagaśnie
I w płaszczu tkanym z mroków nocnych

Znużony legnie na spoczynek,
A w jego tchnieniu rozbłysną wkrąg rosy,
Kwiaty się zamkną wokół jego łoża,
Zanim dobieżysz celu.

— A gdy dosięgniesz złotej kraty,
Gdy bujasz cicho na rozwitych skrzydłach
Nad szerokiemi alejami parku,
Ponad gąszczami wawrzynów i mirtów,
Nad koronami ciemnych magnolij,
Co ciebie gonią jasnem, cicho się jarzącem,
Co cię ścigają drętwem swych kwietnych ócz spojrzeniem;
Gdy ci zaszemrzą tajemnie irysy;
Kiedy cię w miękkie, rzewne sny kołyszą
Wonie geranij,
Jaśminów i tuberoz duszące wonie;
Kiedy się niesiesz, hen, ku białej willi,
Na której szybach drżą miesięczne blaski,
A straż jej dzierżą wyniosłe, czarne,
Wyniosłe, wierne cyprysy —
Wtedy zamierasz w pełnym przeczuć lęku,
W drżeniu trawiącej tęsknoty.
Jak wiew się ślizgasz, idący od morza,
I wpośród liści konasz winogradu,
W pośród szumiących winogradu liści,
Na marmurowym progu balkonu;
A na balkonie jedwab portyery
Powoli w ciężkich kołysze się fałdach,
A złote grona winne
Z powyginanych trwożnie wici
Sypią się na murawę. —
Płomienna nocy!
Wolno wypalasz się nad ziemią!
Snów tajemniczo snujący się tuman,

Wichrząc się, pełza twemi ślady,
Płomienna nocy!
— Wola jest woskiem w twojej miękkiej dłoni,
A wierność przed twem tchnieniem chwiejną jeno trzciną!
Czemże rozsądek, czy on twem dziecięciem?
I czem niewinność, gdy ją wzrok opęta,
Twój ślepy wzrok, co swoją dziką mocą
Zdoła rozkiełznać w orkan fale krwi,
Tak, jako księżyc zimne wzburza morze?
— Płomienna nocy!
Potężna, ślepa Menado!
Zkądś przez ciemności błyskają i szumią
Tajemne fale tajemnego dźwięku:
Brzęk puharów,
I stali krótki, śpiewający świst,
I krwi szemranie, i rzężenie rannych,
I bełkocący ryk obłędu, społem
Z ochrypłym krzykiem purpurowych żądz...
— Lecz to westchnienie, płomienna nocy?
Westchnienie, co, hen, zrywa się i mrze,
Mrze i znów potem wszczyna się na nowo,
To westchnienie, płomienna nocy!

Patrz, portyery fala się rozchyla;
Postać kobiety pięknej i wyniosłej
Kreśli się ciemno na tle ciemnych niebios.
— Święty smutek w twem spojrzeniu,
Nieznający ukojenia smutek,
Beznadziejny smutek,
Palący, zwątpień pełny smutek.
— Noce i dnie mkną ponad ziemią,
Pory roku zmieniają się jak barwa ludzkich lic,
Długie, ciemne fale pokoleń bez końca
Toczą się przez glob,

Toczą się i przemijają,
A wraz z niemi umiera czas.
Poco życie?
Poco śmierć?
Poco żyć, skoro nie minie nas śmierć?
I poco walczyć, wiedząc, że nastanie
Chwila, gdy z ręki wytrącą nam miecz?
A te ogniste stosy cierpień, poco?
Godzin tysiące, pełne gnuśnych mąk
W gnuśnym pochodzie ku męce śmiertelnej?

Czy to myśl twoja, ty, dostojna pani?

Lecz ust jej skarga, ni jęk nie rozchyla;
Stoi milcząca, nieruchoma, cicha,
Kreśląc się ciemno na tle ciemnych niebios,
Jak w serce nocy wbity miecz.

PRZEŁOŻYŁ Stanisław Wyrzykowski.



W głębi.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Oto skarżę się boleśnie,
że nie mogę być pod słońcem,
że nie mogę być.

. . . .

Na widnokręgu szeroka fala, szeroki fali wał.

. . . .

Jakże smutno iść do głębi,
na dno mętnych, ciemnych wód, —
O! jak smutno iść!

. . . .

Na widnokręgu przepaść wilgotna, nic... okrom skargi fal!

. . . .

Wypłynąłem raz pod słońce,
wypłynąłem tylko raz.

. . . .

Na topieli głowę widać, głowę ludzką pośród pian.

. . . .

Raz najpierwszy i ostatni,
raz jedyny oczy moje
oglądały słońca chwałę,
oglądały słońca moc.

. . . .

Na topieli głowa ludzka jeszcze wznieść się usiłuje.
Gdzieście dotąd były oczy?
Kędy na świat się otwarły?

. . . .

Wał się wzdyma, grozi, pieni; z nurtu wstaje wodny grom.

. . . .

W zielonkawej głębi były,
w smutnej głębi oczy moje;
tam się na świat otworzyły,
gdzie są mętnej wody zdroje,
gdzie jest ciemny świat...

. . . .

Topielcowa głowa biedna wnet pogrąży się w odmęty.

. . . .

Nie wiedziałem, że wzrok mają
zdolny ciebie, słońce, witać,
godny ciebie znać.
Bom w topieli się narodził,
jak w ojczyźnie byłem w toni,
bom w ciemności żył!

Moj ty domu — smętny jesteś!

Któż wyniańczył mię od dziecka?
Kto wyniańczył, wypiastował?
Kto mi — w tobie był kołyską?
w tobie, domu mój!

Przychodziła woda cicho,
kołysała mię. —
Całowała dziecka czoło,
zaglądała dziecku w oczy,
usypiała duch!

Przez twe ściany, domu, domu,
płynął cichej wody szept. —
Zielonkaważ była woda,
dziwna woda, gęsta woda,
jak nieczysty zdrój!

Przychodziła dziecko niańczyć!..
Zamuliła dziecka myśli,
rozmiękczyła dziecku serce
i uśpiła duch!

. . . .

Z fal się jeszcze raz wynurza topielcowa biedna twarz.

. . . .

Nie chcę ciebie, o piastunko!
wodo-matko, daruj mi!
wypuść z objęć niekochanych:
twe objęcia mękę czynią,
w szepcie łkanie brzmi!

Duszno! gnębi twa pieszczota...
Duszno! wypuść, błagam cię!
Pocałunek twój okropny...
Do ust sięga pocałunek,

dusi, w gardle dech zapiera,
w piersiach braknie tchu. —

. . . .

Zamykają się nad głową wielkie, zwarte kręgi fal. —

. . . .

Nie chcą oczy me powracać
w ten podwodny, ciemny świat!
Ukochały-ż oczy moje
słońce w chwale na niebiosach,
ukochały jego światło,
ukochały blask.

Nie chcę! nie chcę! odpłyń, wodo,
nie zaglądaj mi w powieki,
nie napełniaj powiek moich,
i nie wdzieraj się do źrenic,
i nie wdzieraj, bo tam w głębi
stoi tęskny bólu protest,
stoją bólu łzy. —

Nie chcę! odpłyń! Szumi wciąż...
Nie chcę! odpuść! Wzbiera głos...
Rozkrzyczanej wody zgiełkiem
otuliła czoło, skroń...
Szlochającem całowaniem
obezwładnia usta me. —

Chciałbym wołać; protest cichy
zmienić w straszny bólu jęk...
Walczyć! Boże!.. resztą sił...
I szamocę się rozpacznie,
i rozpieram fali głąb',
i tak cierpię mękę wielką,
i tak cierpię, Boże mój!

. . . .

Chwilę jeszce widna głowa, co niebawem pójdzie w toń.

. . . .

Dusi! cierpię! w ustach woda...
w gardle pełno wody mętnej,
w sercu lęk. —

Och! powietrza! Chcę odetchnąć...
Całym bólem pragnień wielkich
raz zaczerpnąć... i odetchnąć —
Niema tchu!

Już nie mogą usta wołać; —
niechże skarga w oczy idzie,
niech przez oczy w niebo bije,
w ból, — a w głos.

Jam do oczu krzyk swój włożył:
niechże świadczą one... głośno,
niech protestem będzie wzrok.

Zawołajcie, oczy moje,
zapytajcie o bezprawie...
Krzyczcie tęskno, kędy słońce —
krzyczcie — strasznie... kędy Bóg!..

. . . .

Ponad głową się zawarły wielkie, smutne kręgi fal. —

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Podwodny świat.

Wielka przestrzeń zalana przez jakąś toń zielonawą, a mętną. Dno błotniste i grząskie. Gdzieniegdzie majaczeją zarysy dziwacznych roślin podwodnych. Wszystko się dzieje na tle ruchomem, i ciemnawem, i smutnem.

Mąż wodnik i wodnica żona, oboje młodzi i całkiem do ludzkich postaci podobni, nadpływają po cichu z owego tła ciemnych wód.

MĄŻ.

Moja kochanko. włosy rozplataj;
niechaj się kładą na łonie fal. —

ŻONA.

Już płyną za mną jak fale jasne.

MĄŻ, patrzy na nią.

Jak złote mgły —

. . . .

Piękną mi jesteś w światłości onej,
co się u czoła poczyna tobie,
a sięga stóp!
Stań, stań na chwilkę, a głową strząśnij:
obaczę iskry w potopie wód,
obaczę włosy twe spadające...
promiennym płaszczem gdy cię ogarną
do — białych stop!

ŻONA.

Ach! ty się bawisz!

MĄŻ.

O!.. ja się pieszczę!
A tę pieszczotę dla oczu biorę
od twego wdzięku, od twoich lic!

ŻONA.

Wciąż mi układać potrzeba włosy,
to znów rozplatać, byś czar ich miał...

MĄŻ.

O! ja się pieszczę...

ŻONA.

Ach, wciąż! ach, wciąż!

MĄŻ.

Żeś piękna, mówię —

ŻONA.

Ach, wciąż! ach, wciąż!

MĄŻ.

Ty mi królujesz w tym hymnie słów —

ŻONA.

Króluję... Tak!

MĄŻ.

Promienna jesteś w miłości mej. —
Ku tobie idą kochania słowa,
ku tobie lecą jak ciche skry. —
Uwiły wieniec, wokoło... wkoło...
W tym wieńcu... jakże? czy słodko ci?

ŻONA.

A — tak jest! — słodko...

Po chwili.

Słodko i smutno. —

MĄŻ.

Dlaczego... piękna?

ŻONA.

Ja nie wiem... Tak. —

MĄŻ.

Odganiaj smutki, wesele miej!

ŻONA.

Odgonić — chcę.

MĄŻ.

Pamiętaj, luba, że uśmiech twój
to życia mego i moc i treść. —

ŻONA.

Ty żyjesz w moim uśmiechu... Wiem.

MĄŻ.

Powtarzasz, niby tęskliwe echo. —

ŻONA.

Bo... czegoś brak! —

MĄŻ.

Kwilisz jak dziecko! Dosyć, bo wreszcie
wywołasz we mnie i żal i gniew!

Chwila milczenia. W onem milczeniu słychać wyraźniej cichy a szemrający głos wody.

Wiesz co? do pracy pójdziemy chyżo,
bo na mnie czas!

ŻONA.

Do pracy?.. Ha!..

MĄŻ.

Dlaczego szydzisz tym głosu dźwiękiem?

ŻONA.

Czy szydzę?.. Nie!

Po chwili:

Tak... jeno smutek za serce wziął!

MĄŻ.

W gąszczu podwodnym, gdzie domek nasz,
w tych krzach wilgotnych, gdzie gniazdo mam,
pójdę gałązek nałamać cienkich,
muszę ostrożnie gałązki brać! —
Aby się szczęście w mieszkaniu śmiało!
Uplotę wieńce zielonych traw,
uczynię lubej przybytek luby
jak sen i czar!

Odpływają nieco opodal, kędy przez wodę widać istotnie zarysy krzów fantastycznych.
Milczenie. Oboje przez chwilę obrywaniem gałązek zajęci.

MĄŻ.

A to jest praca! Gałązki kruche
łamią sie w palcach, by ścisnąć raz...
Trza cierpliwości do tego wielkiej;
ja, Bogu dzięki, wytrwanie mam!

ŻONA.

Spojrz, jakie twoje ramiona silne...

MĄŻ.

Ha! tak, niezgorsze! Cóż? miło ci?

ŻONA.

Patrzę i patrzę...

MĄŻ.

Duma w serduszku urasta!.. co?

ŻONA.

Och!.. taki wstyd mię żałosny bierze..

MĄŻ.

Co mówisz, luba?

ŻONA.

Za twe ramiona, iż — silne są!

MĄŻ.

Krzyknęłaś dziwnie, kochanko moja!
żono-kochanko, czy-ć się co śni?

ŻONA.

Ja nie śpię! Patrzę, wytężam wzrok!
. . . .

MĄŻ.

Wstyd za mą siłę? O! rozważ tylko,
co mówić chcesz!..

ŻONA.

Mierzę oczyma twych ramion tęgość:
zdawałoby się, o Boże mój!
sięgną po jakieś ogromne dzieło,
olbrzymów trud!

MĄŻ.

Nie mogę pojąć —

ŻONA.

A one... drobne gałązki biorą!

MĄŻ.

Zasępiasz myśli...

ŻONA.

Z drobnych gałązek wianuszki wić...

MĄŻ.

Daj... myślom pokój!

ŻONA.

Widzę, jak splatasz... z baczeniem wielkiem,
widzę, jak trudzisz się niesłychanie,
mówiąc, iż takie zajęcie — czyn!

MĄŻ.

Zasępiasz serce —

ŻONA.

Tak mocne ramię... O! ha! ha! ha!

MĄŻ.

Zasępiasz serce! —

ŻONA.

Buchnął śmiech ze mnie!.. Patrzę i patrzę:
pragnę podziwiać twych rąk obrotność,
twą pracowitość ocenić chcę...
Lecz coś mię zdjęło, hen!.. w duszy!.. bólem,
zalewa jakiś gryzący żal...
goryczy jad...
I śmiech wybuchnął... O! ha! ha! ha!

II.

Ciż i stary Wodnik zgrzybiały, który po dnie błotnistem z trudnością powoli idzie.

STARY.

Słyszę po wodzie coś się rozbiegło...
jako do śmiechu podobny ton...

ŻONA.

Tom ja się śmiała z kalectwa, ojcze!

STARY.

Hę! co powiadasz!

ŻONA.

Kalekę widzieć — ucieszna rzecz!
Serce się wtedy ze śmiechu... drze!

. . . .

Ty nie wiesz?.. U nas w tej mgle i głębi
rodzą się jakieś potworki dziwne,
pająki wód. —

STARY.

Ja po dnie dawno, o! dawno chodzę,
ja, moja młoda, już wszystko wiem...

ŻONA.

Pełzają!.. Prawda? ucieszny widok!
Silą się, wzdęte, aż płynie pot...
biedne i śmieszne... O! ha! ha! ha!

STARY.

Twój śmiech jest przykry...

ŻONA.

Serdeczny — z serca! z goryczy — gorzki!

Po chwili:

Oto patrzę, jak się czołga,
niedołężny stawia krok,
sunie nędzny i pogięty,
żałośliwy, a bez sił,
ten potworek dziwny wielce,
ten kaleka — czyn!

MĄŻ, wybucha.

A więc wskaż inny! Daj inny, daj!

ŻONA.

Jakoż ja tobie oczyma wskażę?

. . . .

Oczy moje są świecące,
by umiały kochać błyskiem.

by kochały moc!

. . . .

Jakoż ci dłonią wskazywać będę?

. . . .

Moje dłonie są pieszczone,
aby wsparły się na sile,
łagodziły gniew!

. . . .

Czyż ja ci sercem przed tobą pójdę
na strach i cień?

. . . .

Serce moje jest niewieście,
uczynione do miłości,
kochające jest!

. . . .

Miękkie serce, rzewne serce:
w miłowaniu jego świat,
w uległości jego szczęście,
a w słodyczy kres. —

. . . .

Tęsknoty pełne są piersi moje:
niewiasty żądzą — ukochać wielkość!
Jak gołąb cicho... miłosne oczy
zmrużyć przed wielką siłą szlachetną
to — prawo jej!

MĄŻ, gwałtownie.

Ty chcesz ode mnie potęgi ludzkiej!
Alem ja — kto?
Ja wodnik jestem z głębiny mroku,
z ogromnej, ciemnej przepaści wód!..

ŻONA.

Ja chcę, byś — wielki stanął przede mną,

bowiem to moje najświętsze prawo,
najdroższa cześć!

MĄŻ.

Szaleństwa żądasz!

ŻONA.

I tęskna jestem...

Poczynają zwolna odpływać, a każde w stronę przeciwną.

STARY.

Stójcie! powiedzcie! czy kto nie słyszał?..
zali nie wraca już do mnie syn?

ZONA.

Twój syn ciekawy?

STARY.

Mój syn wędrowiec —

MĄŻ.

Zuchwały?.. wiem!

Oboje zbliżają się znowu do starca.

STARY.

Popłynął w górę, by oczy wynieść
kędyś, pod słońce, jeżeli jest. —

. . . .

Chwilkę się za nim krążyła woda. —
I ustał prąd,
i ucichł szum,
zaginął drogi jego ślad. —

. . . .

Po dnie błotnistem ja zwolna chodzę,
pomału nogi zgrzybiałe sunę,

z ciężkością głowę od piersi dźwigam,
z wysiłkiem chowam aż w sercu — łzy.
Czasem też poślę wzrok tęskny za nim —
Darmo! nad głową jest bezkres fal!

MĄŻ.

Dlaczego poszedł? —

STARY.

Mówiłem przecie!

MĄŻ.

Zuchwalstwo próżne, nie dla nas słońce!
Ono dla ludzkich stworzone oczu...

ŻONA.

Dla ludzkich tylko?..

MĄŻ.

My — syny głębin!

ŻONA.

Wy, ojcze, chyba świadomi nieco,
wy pono niegdyś bywali — tam?

STARY.

Hej! hej! a kiedy?..

Po chwili:

Niechże przypomnę!.. A tak, bywałem
jakoś nad wodą, gdzie inszy świat.
Ej! w boru — niegdyś...

ŻONA.

Co to bór, ojcze!

STARY.

Dawno!.. nie pomnę!.. I po co wam?

ŻONA.

To wyście leśny bywali rusał?
Teraz... pleśnieje wam grzbiet pochyły
w tym domu snu!

STARY.

Nie byłem rusał! Nie! inna rzecz!..
jam leśny strzelec w tym czasie był!

ŻONA.

Co to jest strzelec?

STARY.

Przypomnieć trudno; tak dawny czas!

ŻONA.

Byliście wtedy, powiedzcie, proszę,
niby człek — piękny?

STARY.

Ano... podobno!

ŻONA.

Czy to być może? Kiedy spoglądam
na wasze plecy wygięte w kabłąk,
na ten omszały jak w pleśni kark,
to mi nie sposób uwierzyć! nie!..

STARY.

Ha! nie wierz, dziecko!

ŻONA.

Grzbiet tak potwornie schylony macie,
doprawdy — garb!

STARY.

Bo widzisz, cięży ten wody ogrom —
przepaść się kładzie na plecy moje
od mnóstwa lat! —
Na dnie przepaści kto prosty będzie?
Kto się nie zegnie? Ha! mówcie, kto?

ŻONA.

Więc i my z czasem... podobni jemu?..

MĄŻ.

Tak! a ty moją dziś krasą młodą
pogardzać śmiesz!

STARY.

Jam starość wasza. —

ŻONA.

O, Boże mój!

MĄŻ.

A mojej... dzisiaj młodości... krzywdę
uczynić chcesz!

ŻONA.

Ja tęskna jestem. —

MĄŻ.

Pragnęłaś dziwów... niebyłych w głębi.

ŻONA.

Jam wielce tęskna. —

MĄŻ.

Popsułaś szczęście obojgu nam!

ŻONA.

Hej!.. a gdzie szczęście?

MĄŻ.

Prysnęło tobie w niebacznej dłoni —

ŻONA.

Ja nie wiem, gdzie...

Z cichem pluśnięciem poczynają odpływać, ale nie razem, lecz w dwie strony przeciwne.

III.

Stary wodnik i młody.

MŁODY, wynurza się nagle.

Oj! dziadu, widzę, czekacie wciąż. —

STARY.

Popłynął w górę wędrowiec mój,
hen! oczy poniósł, gdzie słońce jest!..

MŁODY.

Och! jak mu dobrze!

STARY.

Ano... kto wie?..

MŁODY.

Jakto niedobrze? tęsknicy wyzbył,

która nam tutaj wygryza myśli
i serce żre...

STARY.

Tęsknica?.. Ha!

MŁODY.

Bo dom tu smętny —

STARY.

Wesela chcesz?

MŁODY.

Tu świat jest ciemny —

STARY.

Ano... i cóż?..

MŁODY.

Tu świat — okropny!

STARY.

Czegoż się tobie zachciewa, dziecko?
Przywykłeś już!

MŁODY.

Ja chcę: by... kiedy odetchnę piersią,
nie wchodził w usta me lepki muł...

STARY.

Hi! skromna żądza!

MŁODY.

Bo czemże jesteś? ty, dom rodzony,
żałosny dom!..

Przepaść — nie przepaść, bo w tobie ciemno
i braknie tchu!
Oto, będąc w tobie, patrzę:
wkoło mrok!
Oto, pragnąc tak oddechu,
jeno wodę wciągam w piersi,
jeno tracę dech!
Gdybyż woda czysta była,
gdyby jasną pić...
Lecz nie! osad po niej... brudny!
Czuję straszny osad w gardle,
błoto... muł! —

GŁOS, w głębi.

Krańcowy jesteś!

STARY.

Aha! rozsądny przemówił wodnik:
młodzieńcze: sza!



(Dokończenie.) Jadwiga Marcinowska.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Z PAMIĘTNIKÓW NIEZNAJOMEGO.



esztka starego, ba, prastarego Paryża, rozpościerająca się naokół kościoła św. Juliana, jest powierzchownym stolicy francuzkiej zwiedzaczom zazwyczaj równie mało znana, jak sama owa odwieczna, przejściowo gotycka świątyńka, która, nawet przy teraźniejszem ubóstwie swem i obdarciu, należy jednak jeszcze do najrzadszych i najbardziej zajmujących pomników budownictwa paryzkiego. Znęcony architektonicznemi pięknościami, zwiedzałem kościół św. Juliana bardzo często i zazwyczaj pod wieczór, gdy odprawiały się w nim nieszpory. W zmroku zapadającego dnia i w dymie kadzideł wydawali się i wierni, obecni na nabożeństwie, niezwykle zajmującymi; kościół był mianowicie pozostawiony zamieszkałym w Paryżu

chrześcianom syryjskim, i wysokie ich postacie, ciemne oczy, śniade twarze, nadawały całemu zgromadzeniu obcą jakąś, niezwykłą powierzchowność. Czułem się tam jakby o sto mil od Sekwany, a o tysiąc od bulwarów, i miałem wrażenie, że wiew dalekiego wschodu, który zawsze tak marzący czar na mnie rzuca, równie tajemniczo muska mi twarz, jako w biblii, gdy wionie niepochwytny dech bóstwa, zanim samo ono przemówi.

A potem, okolica św. Juliana jest, dzięki bardziej południowemu charakterowi swemu i patynie minionych wieków, niewymownie malownicza, zwłaszcza pod wieczór, w stłumionem a jednak ciepłem ubarwieniu tych niezrównanych paryzkich zachodów słońca, w czarodziejstwach tego modrawego, prześwietlonego zmierzchu, który tak przedziwnie najbanalniejsze idealizuje ulice. Całe to otoczenie przypominało mi żywo kawał starej Florencyi, było to coś w rodzaju Merchato vecchio z żydowskiemi za niem ulicami, zanim szanowne te pomniki epok minionych runęły w gruzy pod motyką modernizującego szaleństwa i bezdusznej spekulacyi budowlanej. Odnosiłem istotną korzyść artystyczną, przyglądając się sąsiadującym ze św. Julianem budowom, tym wysokim, poczerniałym domom, chylącym się ku ruinie a chmurnie wypiętrzonym pod jasne niebiosa, tym przybytkom tajemniczym, za których niepomiernie nizkiemi drzwiami, lub też, naodwrót, wysokiemi, zwietrzałemi portalami ukazywały się perspektywy ciemnych przejść, korytarzy i schodów drewnianych. Zwłaszcza te schody oddziaływały często na moją wyobraźnię: nie byłbym się dziwił, gdyby nagle z których polała się struga krwi, tak wyglądały tragicznie! Co bo nie mogło się dziać w tych domach! Tam, na tem czwartem piętrze, gdzie w oknie siedzi czarny kocur, jakiś inny niż zwykłe kocury, mogłaby mieszkać czarownica, a ta stara kobieta z obwisłemi, siwemi włosami, wymyślająca niezro-

zumiale komuś w oknie piątego piętra i wytrząsająca dzikim ruchem obu rękoma nad próżnią, jeździła niewątpliwie za ciemnych nocy powietrzem na „czarne msze“ samego szatana. Za to, o kilka okien dalej mogła mieszkać sama poezya, wcielona w młode, piękne dziewczę, wykwitające z ruin zniszczonych przez wiek, niby lilia w baśni czarowna. Całe okiekno jej, w tym domu, podobnym z poczerniałości swej do jakiegoś zamczyska zaklętego, obrosła świeża, jasno zielona roślina pnąca, o czerwonych jak purpura kwiatach; złote promienie słońca migoczą śród liści, a śpiew drobnej ptaszyny, słodki, przeciągły, spływa z pod bujnych latorośli w powszednią wrzawę ulicy.

Dom ten zajmował mnie najbardziej ze wszystkich. Przypuściłem sobie do głowy i uparcie byłem przekonany, że mieszkają tam ludzie niezmiernie zajmujący. Ilekroć wyszedłem z kościoła św. Juliana, zatrzymywałem się mimowoli przed tym budynkiem i przyglądałem mu się ciekawie. Jednego razu, gdy zdjęto na nim zniszczony szyld jakiegoś kupca żelaza, który prawdopodobnie doszedł do ruiny (ten szyld wyglądał tak nieszczęśliwie!), ujrzałem ukryte pod nim, spękane jakieś godło, szczątek zapewne byłego portalu. Rozeznałem wyraźnie w tarczy tej heraldycznie stylizowane fale i pośród nich gwiazdę. Od owej chwili ochrzciłem ten czarny dom: „pod tonącą gwiazdą.“ Wydał mi się przez to jeszcze bardziej zajmującym i pragnąłem jeszcze żywiej dostać się kiedyś do ciemnego, mrocznego jego wnętrza. Pewnego dnia, zdarzyło mi się coś w rodzaju sposobności do urzeczywistnienia tej chętki.

Stałem właśnie na chodniku, zapatrzony w korytarz, wiodący ku schodom, gdy wtem z mrocznej jego głębi wyszła kobieta. Była już niemłoda i bardzo nieładna. Zuchwale zwróciła się do mnie, uśmiechnęła się wstrętnie i zachrypłym głosem jęła zapraszać mnie do siebie. Jednocześnie przyglądała mi się od stóp do głów. W jej za-

chowaniu się było coś podejrzanego, coś wychodzącego poza jej rzemiosło; miała w oczach jakąś badawczość przenikliwą, która mimowoli nasuwała podejrzenie złodziejstwa. Nie odpowiedziałem nic, ale odgadła bez słów moją odmowę. Zachmurzyła się i rzekła jakieś grubiaństwo. Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść sobie, — i dnia tego wytrzeźwiałem trochę ze swych zapałów romantycznych.

Mniej więcej w tydzień potem, poszedłem znowu do św. Juliana. W kościele było tym razem dość pełno — i zatrzymałem się niedaleko wejścia. Po chwili, usłyszałem tuż koło siebie westchnienie, ale tak niezwykłe, wyrywające się widocznie z samego dna piersi, wywołane zapewne przez niepowszedni jakiś żal, westchnienie tak niewymownie bolesne, że ze wzruszeniem obejrzałem się na człowieka, który tak strasznie cierpiał. Ujrzałem o krok od siebie pod kolumną mężczyznę niemłodego już, porządnie, ale prawie ubogo odzianego, o twarzy, właściwie mówiąc, ani zajmującej, ani wyrazistej, z wyjątkiem ciemnych, zamyślonych, smutnych jakichś oczu. Nie wyglądało, aby się modlił. Poruszał wprawdzie w tej chwili ustami, ale raczej nerwowo, niespokojnie, niecierpliwie, potem przesunął po czole zżółkłą, suchą, uduchowioną ręką, westchnął znowu, lżej wszakże, niż przedtem, odrzucił znowu głowę w tył, mrużąc w znużeniu jakiemś oczy, i wreszcie, nie przeżegnawszy się, ani rzuciwszy okiem ku ołtarzowi, zawrócił się i powoli wyszedł z kościoła. Robił na mnie wrażenie człowieka, który chciałby być pobożnym, ale nie zdoła. Miałem uczucie, że i ja też nie zdołam tego, i żem w tej świątyni, dokąd po części ciekawość, a po części artystyczne zwabiło mię zajęcie, zupełnie nie na miejscu. Wyszedłem również mechanicznie z kościoła, z przykrem uczuciem wyklętego. Nagle ujrzałem owego mężczyznę, przechodzącego przez ulicę i zmierzającego prościutko do tajemniczego domą „pod tonącą

gwiazdą.“ Rozpędziłem się za nim, działając jakby bez woli, jakby we śnie, i stanąłem koło niego, właśnie gdy we drzwi wchodził.

— Panie — rzekłem.

Obejrzał się, przypatrzył mi się obojętnie i odrzekł: — Czego pan sobie życzy?

Teraz dopiero poczułem śmieszność swoją i swej sytuacyi. Jakże tu było tak jednem słowem wyrazić i wyjaśnić temu nieznajomemu cały łańcuch mniej lub więcej nieokreślonych wyobrażeń i romantycznych wątków, który ukułem w duszy pod sugestyą starego domu? W tej chwili nie wiedziałem sam dobrze, czego chcę. Wejść do domu? Któż mi bronił? Przedrzeć się do tajemnic jego? Czyż tam jakie były? Poznać się z tym nieznajomym? Czemu? Dla tego, że westchnął i że mieszkał może „pod tonącą gwiazdą“?

Zaczerwieniłem się lekko, wyciągnąłem przez szczęśliwe natchnienie własną swą chustkę i skłamałem zająkliwie:

— Panie, zdaje mi się, że zgubiłeś pan tę oto chustkę.

Sięgnął mechanicznie do kieszeni i odrzekł uprzejmie: „Nie. Mylisz się pan. Dziękuję.“ Uchylił kapelusza, skinął głową i poszedł. Znikł w mroku korytarza, i słyszałem skrzypienie tych trzęsących się schodów, z których ciągle jeszcze żadna struga krwi się nie lała. Śmiałem się sam z siebie tak szalenie, że musiałem śmiech tłumić chustką, która mi, niby ocalony sztandar po bitwie nieszczęśliwej, w ręku została. Cała rzecz wydała mi się teraz tak dziwacznie komiczną, że przez sam wstyd przerwałem swe wędrówki do św. Juliana. Dom „pod tonącą gwiazdą“ stracił dla mnie chwilowo, skutkiem tego wytrzeźwienia, cały dawny swój powab.

Zresztą, byłem wówczas bardzo zajęty. Szpital w którym odbywałem swe studya, był przepełniony. Zwłaszcza nerwowych „subjektów,“ jak się tam mówiło, było mnó-

stwo, i to z przypadkami zupełnie dla mnie nowemi. Zajmowało mię to niezmiernie, tak, że na czas jakiś zapomniałem o wszystkiem oprócz swych studyów specyalnych; ani rozrywki, ani korzyści artystyczne nie nęciły mnie teraz wcale. Duch mój przechodził kryzys, albo, lepiej mówiąc, zaczął wchodzić na drogę, wiodącą do kryzysu późniejszego. Podnietą do tego były owe właśnie „subjekty nerwowe“ w naszym szpitalu, oraz pewne doświadczenia z somnambuliczkami, które widywałem w klinice Salpetrière. Niezłomna dotąd wiara moja w nieomylność wiedzy dzisiejszej, w świadomy siebie pozytywizm, zaczynała się teraz właśnie chwiać, a oczom moim, zdumionym i nieodważającym się jeszcze pewnie spoglądać i obserwować bez lęku, ukazywało się, pośród tajemniczych mroków i mglistych oprzędów, nowe, nieprzeczuwane źródło poznania, tryskające z odmętowych jakichś, zwichrzonych bezdeni.

Częstokroć, dumając lub robiąc badania, uczuwałem nagły zawrót głowy i miałem wrażenie, że ziemia z pod nóg mi się usuwa. Niekiedy chodziłem, sam jak somnambulik, niepewnym krokiem po swym długim, wązkim pokoju, — i nagle opanowywał mię nieokreślony jakiś postrach, jak gdybym za chwilę miał stracić zmysły. Chwytałem wtedy za kapelusz i uciekałem z domu. Tułanie się i błąkanie po ulicach paryzkich, kędy taki rześki, wesoły, beztroski ruch wrzał naokół, oddziaływało na mnie wtedy zwykle niby kąpiel orzeźwiająca. Kończyły się takie przechadzki zazwyczaj wstąpieniem do małej, lecz eleganckiej kawiarni na bulwarze świętomichalskim, kędy pod wieczór koledzy moi ze studyów na wesołą schodzili się pogawędkę.

Pewnego razu, gdy, zatrzymany w domu przez chorobliwe jakieś wyczerpanie, po dwóch dniach niebytności zjawiłem się na tej naszej schadzce, zgromadzeni przyjaciele

powitali mnie jakby po pięcioletniem przynajmniej niewidzeniu.

— A propos — rzekł mi Anatol, jeden z nich, gdym po powitaniach zaczął ich wypytywać, co nowego słychać w szpitalu — à propos, Sewerynie, wspominałem cię wczoraj z niezwykłem zajęciem. Znasz, nie wiem, ile set języków, a wiesz, że my Francuzi zazwyczaj tylko ten nasz ojczysty jako tako umiemy —

Musiałem się uśmiechnąć. Zdobyłem tę sławę bajecznego lingwisty niesłychanie tanio. Przy jakichś okolicznościach wyszło przypadkiem na jaw, żem się za pobytu w Anglii i we Włoszech nauczył tamtejszych języków, potem wykryła się ta u Czechów niezbędna niemczyzna, a w końcu elementarna znajomość owej dla Francuzów tak tajemniczej skarbnicy różnych narzeczy słowiańskich. Gdy towarzysze moi spostrzegli mię kiedyś czytającego jakąś gazetę rosyjską, nie wiem już, w której kawiarni, zaimponowała im ta „azbuka“ nie do uwierzenia.

— Cóż ci tak żywo przypomniało moją uczoność? — spytałem Anatola, w odpowiedzi na jego żartobliwie przesadną wzmiankę o mojem znawstwie języków.

— Wyobraź sobie, — odrzekł, — w czasie twojej nieobecności zdarzyło się nieszczęście na ulicy. Wywrócił się omnibus — i było wiele osób lżej lub ciężej ranionych. Jednego z tych biedaków przywieziono do nas do szpitala. W nocy przyszła silna gorączka, i majaczył na głos. Naprzód plótł coś od rzeczy po angielsku, potem, w głębokiem jakiemś wzruszeniu, począł mówić, z tragicznym akcentem, jakąś mową zupełnie mi obcą, bardzo melodyjną, ale dziwną, egzotyczną. Nie wiem, czy było to narzecze indyjskie, czy jakieś słowiańskie. Wtedy przyszła mi na myśl twoja wiedza.

— Zobaczymy jutro — rzekłem, i rozmowa urwała się o tej kwestyi.

Nazajutrz wszakże nie poszedłem rano do szpitala, jak w przeddzień wieczór sobie zamierzyłem. Nie czułem się jakoś w usposobieniu. Byłem bez przyczyny głęboko rozstrojony. Napróżno doszukiwałem się, co mi właściwie było, co mogło powodować ten smutek i nieokreślony jakiś niepokój.

Doszedłem do wniosku, że miałem w nocy jakiś przykry sen, którego rano już nie pamiętałem, ale skutkiem którego pozostało mi w myśli coś niby czarny cień. Wyszedłem z domu wcześnie. Ranek był piękny, i gdy znalazłem się nad Sekwaną, zachęciła mię świeżo połyskująca jej woda do przejażdżki po łagodnie kołyszących się falach. Wsiadłem na mały, właśnie odchodzący parowiec i pojechałem w dół rzeki aż do St. Cloud. Nie było tam żywej duszy; przechadzałem się długo z prawdziwą rozkoszą pod szumiącemi drzewami. W skromnej restauracyi siadłem również zupełnie sam do późnego śniadania, a potem chodziłem znowu tak długo, aż zmordowany padłem w trawę na wzgórzu, z którego szeroki i piękny otwierał się widok. Mój ranny zły humor znikł bez śladu — i czułem w duszy harmonię i spokój. W cichej ekstazie ogarniałem w uścisk ziemię i niebo, miałem uczucie, że muszę ją ucałować, tę „naszą matkę ziemię," jak lud z poetyczną śpiewa tkliwością, ale nagle, śród tego rozradowania słoneczną światłością, padła mi znowu na serce niewyjaśniona jakaś melancholia, niby cień od ciągnącej przez nieboskłon chmury. Wydało mi się nagle, że patrzę na tę matkę naszą, ziemię, z jakiegoś punktu poza nią, i widziałem ją całą, całą, nietylko tę jej część przed sobą, jak szerzyła się w objęciu niezmierzonego widnokręgu, aż do ograniczających ją u skraju nieba mgieł. I naraz wiedziałem, przez jakiś błysk pamięci, że w nocy, w tym zapomnianym rano śnie, tak właśnie ujrzałem ją całą, i wizya ta na okamgnienie w pełnej znowu stała

przede mną wyrazistości... Całą widziałem ją, tę ziemię naszą, lecącą szalenie przez nieogarnione przestworza wszechświata, lecącą kędyś za niepojętym, nieznanym celem. Dokąd? Dokąd i poco? Kto odpowie na to pytanie?..

Widziałem ją, jak leciała przez tę próżnię zawrotną, nietylko w tem okamgnieniu, lecz od niepamiętnie dawnego początku do nieogarnionej, niedojrzanej przyszłości, bez tchu, wyjąc, naoślep, jak zwierze szczwane grozą niewidzialnej jakiejś rozwścieczonej sfory, więcej niż tytanicznej, niewyobrażalnie przerażającej, bezopornie potężnej. Leciała, okryta pianą wzburzonych swych wód i mórz, ze zjeżonemi włosami swych praborów, z nieregularnie, dziko tłukącem sercem swych wulkanów, z pałającą myślą swej żyjącej ludzkości i ze smętkiem swych obumarłych, zapadłych w przeszłość cywilizacyj... Naokół niej świeciła w tym straszliwym locie lazurowa glorya jej widnokręgu, boski uśmiech nad otchłaniami zgróz, a w pradawnej jej pamięci migały widma granitowych świątyń egipskich, białych marmurowych chramów helleńskich, i strzelały wzwyż, powietrznie zmógłszy materyę, sklepienia katedr gotyckich... W piersi jej grzmiały nadludzkie poezye Izajasza i Ajschylosa, dzwoniły odgłosy Iliady i Ramajany. Z gigantycznemi fanfarami bronzowych tych trąb i z magicznym szelestem harf onych złotych mieszała się skarga ludzkiej nędzy i męki zwierzęcej — ale ponad te westchnienia niezmiernego smutku wzbijał się, niby radosny przybój fal, hymn niebo zdobywającej psychy człowieczej, wybuchały boskim równe chóry wysiłków ludzkich ku ideałowi, i w śmiertelnym lęku swym przyciskała matka ziemia, jako pociechę najwyższą i pychę najświętszą, garstkę lilij polnych z królestwa bożego oraz biały lotos Buddy do ciężko dyszących i boleśnie jęczących piersi!.. I wyciągnąłem ręce do tej wizyi, i zawołałem we wnętrzu swem:

„Dokąd porywa cię, o matko nasza, przeznaczenie twe tak nieodparcie? Ku zagubie, czy ku Bogu bliżej? Aniołże czy demon cię wlecze, o myśli ludzka, o ludzki ideale? Zapadniesz w nicość czy też wzrośniesz do niebios? Niebiosa ci nie starczą i nie ogarną ciebie!.. A jednak, biada, gdybyś tylko zaginąć miała bez śladu i gdyby próżne nic było twym celem?..“ Ręce opadły mi, ukryłem twarz w wysokiej trawie, męka niezmierna ścisnęła mi serce, było mi tak niewymownie żal tej ludzkiej myśli i tego wysiłku, cień padł na mnie ciężki jak ołów, wszystkie dążenia ludzkie wydały mi się marnością, wszystka miłość — snem próżnym, wszystka wiedza ludzka — nicością. Demon negacyi stał nade mną, i ciężki, czarny ten cień padał z jego skrzydeł. Miałem wrażenie, że wszystko runęło we mnie, i że to moje małe ja pogrzebały gruzy walącego się gmachu podkopanej przeczeniem, wymarzonej tylko wielkości ludzkiej. Leżałem cicho w trawie z zamkniętemi oczyma, nie żyłem, oddychałem tylko i czułem swój ciężar. Ale coś, co było ponad tem oddychającem ciałem, poza tym ciężarem, coś w rodzaju innego jakiegoś istnienia, które z tym ciężarem i tem oddychaniem nie miało nic wspólnego, a które jednak było w mej świadomości cielesnego człowieka, jęło ukazywać mi się nieokreślnie, na podobieństwo snu: czułem się ze zdumieniem jednym — aby tak rzec — we dwóch osobach. Było to jako piorun i jako sen, jako objawienie i obserwacya zarazem: objawiłem się sobie i patrzałem na siebie. Czułem to wszystko bardzo niewyraźnie, tak niewyraźnie, jak teraz wysłowić zdołam to wrażenie, ale dość było tego, aby cień negacyi i próżnego powątpiewania rozpłynął się jak chmura przelotna. Nadmateryalne moje ja ozwało się było i w mej przez materyę ograniczonej świadomości, niby gwiazda, co na okamgnienie błyśnie w pomroce. W tejże chwili zaśpiewał skowronek unoszący się nade mną, jasna

pieśń jego polała się ciepłą falą w me serce i przeniknęła mię nawskroś, niby promień światłości. Ten słodki śpiew był mi jako słowo nadziei. Przyszedł mi na myśl poemacik Shelley'a o skowronku. „And singing still dost soar, and soaring ever singest“ — szepnąłem, i chmura moja rozwiała się.

Z sercem mniej lekkiem wprawdzie, niż gdy wstępowałem na to wzgórze, ale bez porównania mniej posępnem, niż było przed chwilą, zeszedłem w dół ku rzece i popłynąłem z powrotem do miasta. Podczas jazdy nie mogłem w zupełności powstrzymać się od rozmyślań, acz zmuszałem się do brania raczej udziału w wesołej rozmowie spółtowarzyszów podróży. Gdzieś na brzegu stawiano właśnie dom.

— Pracuj, — rzekłem sobie cicho, — pracuj, jak ci tam robotnicy. Każdy z nich spełnia swoje zadanie i nie rozmyśla o całości, którą nie on zaprojektował i za którą nie on odpowiada.

Ale uczułem wnet kulawość tego porównania — i nie uspokoiło mnie ono. Z całej tej paraboli zapamiętałem jedno tylko słowo: „pracuj,“ i wedle niego zamierzyłem sobie postępować. Dla tego też, gdy przybiliśmy w mieście do wybrzeża, poszedłem prosto do naszego szpitala, acz dzień chylił się już ku wieczorowi i acz wiedziałem, że dziś zapewne nie na wiele się już tam przydam.

Na korytarzu spotkałem Anatola. Powitał mnie zdaleka, wołając z uśmiechem:

— Jakże w czas przychodzisz! Jakby na zawołanie! Tamten chory bredzi właśnie w tym szczególnym języku. Pójdź, posłuchaj i zaspokój moją ciekawość.

Pociągnął mnie za rękę do wielkiej komnaty, z której wyszedł przed chwilą. Powietrze było tam świeże, bo dokoła ścian stało stosunkowo mało łóżek, a pod otwartemi oknami szumiały stare drzewa szpitalnego ogrodu.

Niebo zaglądające do pokoju było jasne, całe blado żółte, jakie bywa w chwili rozpoczynającego się zachodu; na żółtawem tem tle migały wdzięcznie sylwetki jaskółek, a szczebiot wróbli wpadał wesoło ze dworu do sali. Siostra miłosierdzia siedziała przy łożu, ku któremu wiódł mię Anatol; z tego szpitala nie wypędzono jeszcze brutalnie zakonnic. Wstała spokojnie, gdyśmy się zbliżyli; nie była ani młoda, ani piękna, ale wyraz twarzy miała przyjemny, a zachowanie pełne bezwiednej godności. Zabrała jakiś przedmiot i oddaliła się niedosłyszalnym krokiem. Spojrzałem na chorego. Był to mężczyzna niemłody już, nie mający nic szczególnego w swej fizyognomii, z wyjątkiem oczu nader wyrazistych i świecących teraz podniesionym w gorączce blaskiem. Zdawało się, że spojrzeniem przeprowadza odchodzącą zakonnicę. Mówił półszeptem, w jakiemś poruszeniu, głos miał przyjemny, płynęło zeń coś marzącego. Nie mówił wszakże żadnym egzotycznym językiem, majaczył w tej chwili poprawną angielszczyzną z bardzo nieznacznym akcentem cudzoziemskim.

— To jest najstarsza z tych sióstr, — mówił przed siebie, jak gdyby, recytując, — najstarsza z tych sióstr...

— Kto? Ta siostra miłosierna? — spytał Anatol, który dość dobrze umiał po angielsku.

— Miłosierna? — odpowiedział majaczący z jakiemś zdumieniem. — Nie znam, nie wiem... — Spojrzenie jego skierowało się ku sufitowi; milczał chwilę, potem jął mówić znowu: — Matka łez, najstarsza z tych trzech... Mater lacrymarum! Ta, co woła za znikłemi na wieki postaciami! Stała w Ramie, gdzie słyszano głos wyrzekający, — Rachel płacząca za dziećmi swemi i odrzucająca wszelką pociechę! Stała w Betlehem, gdy miecz Heroda mordował niewiniątka... Matka łez, matka łez!..

Przymknął na chwilę oczy, potem naraz otworzył je

szeroko i — ku memu wielkiemu zdumieniu — najdźwięczniejszą zawołał słowacczyzną:

— Gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy! Co ich jest, co ich jest! Ulewa cała — a oto demon wlecze tę naszą ziemię, trzyma ją za zielone jej włosy, leci z nią, leci, leci! Zatapia się z nią w białej pianie wzburzonej mlecznej drogi, w wirze szaleńczo pierzchłych z orbit konstelacyj, w odmęcie komet potwornych, w żarze pękających z rozhukiem słońc! Teraz wlecze ją przez czarną próżnię! Jęczy ta stara matka nasza, jęczy rozpacznie! O macocho, jakżeś ubroczona krwią, jak pokalana nierządem! Ale żal mi ciebie jednak. Nie sądź jej, Boże, — jeśliś jest!

Po ostatnich słowach zaśmiał się przerażająco, jak waryat. Stałem jak skamieniały. To widzenie majaczącego godziło się tak uderzająco z mojem własnem, które przeżyłem niedawno na wzgórzu w St. Cloud, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, czy nie ulegam jakiej halucynacyi sluchowej, albo czy nie śpię i czy nie śni mi się znowu ten sam sen w zmienionej nieco postaci.

— Co mówi? czy rozumiesz go? — pytał szeptem Anatol, a gdy mu zaraz nie odpowiedziałem, dodał zaniepokojony: — Jesteś jakiś blady, patrzysz tak dziwnie, co ci jest?

Pochyliłem się, nie zważając na Anatola, ku choremu i rzekłem mu po czesku: — Znasz mnie pan?

Pytanie to nie miało żadnego sensu, bo też właściwie nie wiedziałem nawet, o co się pytam. Chory patrzał na mnie milcząco swym chmurnym wzrokiem. Czeskie odezwanie się moje nie zdziwiło go bynajmniej, tak właśnie, jak nic nie dziwi majaczącego lub śniącego.

— Znam, znam, owszem, — odrzekł po chwili.

— Któż-em ja tedy? — spytałem.

— Ten, co idzie skrajem przepaści, — odpowiedział.

Odpowiedź ta poruszyła mię głęboko; zadrżałem mi-

mowoli. Toż to, co mówił, było prawdą, — czyliż nie zataczałem się niepewnie nad przepaścią zagadek i powątpiewań?

Anatol, widząc, że milczę, sam o coś spytał chorego, ale ten okazał teraz wielką niechęć.

— Dajcie mi, panowie, pokój, — rzekł. — Senność mnie ogarnia, jestem znużony, czyliż nie widzicie, jak cierpię, cierpię, cierpię?

I głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi, takie ciężkie, takie szczególne, takie niezwykłe, że drgnąłem cały. Nie słyszał-żem już kiedyś tego westchnienia? Jak przez objawienie nagłe, poznałem teraz człowieka leżącego przede mną na łóżku: był to ten sam, który niezwykłem swojem westchnieniem w kościele św. Juliana tak mnie uderzył niedawno? Jakże mogłem nie poznać go od pierwszego spojrzenia! Jak mogłem nie poznać tych ciemnych, śmiertelnie smutnych oczu, które teraz przymykał! Milczał i oddychał dość spokojnie. Siostra miłosierdzia powróciła i, podczas gdy, wzburzony i wzruszony, wpatrywałem się w bladą twarz chorego, rozmawiała cicho z Anatolem, który, wreszcie, widząc, że się nie poruszam, pociągnął mnie za rękaw.

— Pójdźmy, — rzekł, — nie przeszkadzajmy mu spać.

— Ma w sobie coś w rodzaju tyfusu, to widoczne, — dodał na korytarzu. — Rany, będące skutkiem tego wywrócenia się omnibusu, ma biedak tylko tak w dodatku. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, w jakim bredził języku?

Powiedziałem mu to, objaśniłem pokrótce, o czem majaczył, — i rozeszliśmy się.

Wrażenie tego dnia było głębokie; miałem uczucie, żem silnie, trwale związany z chorym, który długo leżał w naszym szpitalu; odwiedzałem go pilnie po kilka razy na dzień i wyrządzałem mu z prawdziwą radością wszelkie możliwe usługi. Był mi wdzięczny za te dowody szczere-

go współczucia, i powoli jęło rozwijać się między nami coś w rodzaju cichej, dyskretnej przyjaźni. Nie okazywałem żadnej ciekawości, a chory unikał widocznie zwierzeń co do swych kolei życiowych. Słowak z pochodzenia, zwał się Daniel Rojko. Był teraz małym urzędnikiem prywatnym w jakimś wielkim zakładzie przemysłowym w Paryżu. Gdy mi to powtarzał w dobie bliższego, zaufańszego poznawania się nawzajem, uśmiechnął się, ale z uśmiechem połączyło się bolesne, gorzkie jakieś ust ściągnięcie.

— Do jak niewielkich rzeczy, — rzekł jakby mimowoli, — dobiłem się w życiu! Cóż zostało z wielkich niegdyś ambicyj, co z fantastycznych planów, snow chimerycznych, utopijnych wysiłków i dążeń?

— Tak się dzieje nam wszystkim, — rzekłem smutnie. — Świat nas oszukuje —

— Nie, — odparł w zamyśleniu, — oszukujemy siebie sami. Szukamy w ludziach i w świecie zawsze tylko tego, co sami sobie we wnętrzu własnem wytworzymy, a jeżeli to, cośmy znaleźli, nie odpowiada temu, czegośmy szukali, — skarżymy się i wyrzekamy.

— Nie jesteś pan pobłażliwy dla siebie, — rzekłem.

Nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko.

— Jestem tak nieskończenie nędzny, — szepnął po chwili, tak cicho, że ledwie·m to dosłyszał. Popatrzył na mnie. — Kiedyś, — dodał, — powiem panu coś o sobie — — może.

Nie odpowiedziałem, nie okazałem żadnej ciekawości — i nie było to bynajmniej udanie. Wyraz jego oczu był tak nieskończenie smutny, że współczucie przemogło we mnie wszystkie inne wrażenia. Uścisnąłem mu tylko, żegnając się z nim dnia tego, dłoń goręcej niż zwykle. Przez długi czas potem nie mieliśmy podobnej rozmowy,

i nie myślałem już nawet o jego obietnicy, że mi opowie coś o swych losach, gdy pewnego dnia, w ogrodzie szpitalnym, Rojko, siedząc ze mną, już jako rekonwalescent, pod cieniem starego platanu na drewnianej ławeczce, nie wiem już, w jakim związku z naszą w owej chwili pogawędką, tak nagle zaczął opowiadać:

(Ciąg dalszy)

Juliusz Zeyer.

NIEŚMIERTELNOŚĆ.

I.

Omar, samotna źrenica, wzrok boga
bystry i twórczy, co świecąc w dal płynie,
u Mauzoleum Karyjskiego proga

rzekł: — Nie więź ducha w niechybnej ruinie,
nieszczęsny, któryś odkuł w martwej skale
tę piękną, białą z kołczanem boginię,

i któryś w całej potędze i chwale
wskrzesił heroja na dzikim rumaku:
— toczą twój marmur i kruszą metale

wieki, idące w spokojnym orszaku.

II.

Za dziesięć wieków, dwadzieścia — heroja
prochy pustynnych schłonie piasków morze,
dymem bogini będzie biała twoja.

Marność! Lecz jasne dzieło, które tworzę
potęgą słowa i myśli polotem,
odbija w sobie przyszłych wieków zorzę

i żyje słońca złotego żywotem.

III.

I umrze twoje dzieło, umrze przeto!
— zawołał Abdul, spokojna i szczera
źrenica. — Umrze i słońce, poeto.

Kiedy?.. Dla ciebie puls słońca, to era,
każde twe tętno, to chwila jest nowa:
ale dla tego, kto śmiercią umiera,

chwile i wieki — rzecz jedna, dwa słowa.

IV.

Rzekł. — I poeta nazawsze zaniechał
przemijających swych hymnów. Jedynie
do słońca, wiosny i róż się uśmiechał.

Milczał. — Umierał, gdy mdlała w gęstwinie
pobliskiej piosnka słowicza szalona.
Rzekł: To ma wartość, co nigdy nie ginie:

nie ginie dla nas to, co z nami kona.

FELICITAS.

Ta, którą-m gonił, to jeszcze nie Ona
była? — Nie ona, to była ta Złuda,
dziwnie podobna do niej. Pochwycona

niknie: to wszystko Atlanta są cuda. —
— A czy ją znajdę w tym wielkim kastelu? —
— Błędny rycerzu, może wam się uda. —

— Czy ją zobaczę?.. — O nie, przyjacielu!.. —
— Och! — Widzisz — niema; nie widzisz — jest, woła:
tak zwodził Atlant rycerzy już wielu. —

— I któż ją ujrzy? — Kto księgę tę zdoła
przeczytać, błędny rycerzu. — Ta księga?.. —
— O, kto ją czytał, nie powie nic zgoła. —

— A gdy przeczytam? — Atlanta potęga
runie. — I wtedy? — Wtedy ją ujrzycie. —
— ... Gdzie zamek?! — Zgorzał. Dym w niebo już sięga ... —

— Co to? — O, błędny rycerzu, to Życie. —

KSIĘGA. I.

Na stole z dębu, w wysokiej altanie,
otwarta księga. Ten dąb świeżo ścięty
niedawno jeszcze wsłuchiwał się w granie

burzy północnej i w wichrów lamenty,
a księga była stara. Zda się, słyszę,
jak robak śmierci toczy ją zawzięty.

Nie sam tu jestem. Ktoś w altany ciszę
wszedł... (nie, cóż znowu, zkąd, przez jakie wnijście?
z gór wicher zleciał i drzwiami kołysze.)

Ktoś jest. Szeleszczą, jakby zeschłe liście,
karty pożółkłe tej księgi otwartej...
Przed księgą człowiek stoi oczywiście,

jak myśl niewidny, i przewraca karty.

II.

Czlowiek jest tutaj i prędko przewraca
karty od pierwszej do ostatniej strony,
później powoli do pierwszej zawraca.

A potem, jakby rozniecierpliwiony,
po dziesięć, po sto, gniewnemi rękoma
przewraca karty w tej księdze zniszczonej.

I znów zaczyna. Ostrożnie i pomalenku,) po jednej — — lecz w miarę szukania*
coraz to prędzej... Nagle, nieruchoma

zawisła cisza, cisza zadumania...
Co, znalazł? Czyta w tej księdze otwartej? —
Czyta. Przez chwilę wyrazy pochłania

i znów przewraca pogniecione karty.

---

*) E poi li svolge a uno, a uno, lenta — mente, esitando...

III.

I szuka jeszcze, choć wszystkie litery
w jedno się zlały, o zmierzchu, w purpurze
obłoków, gnanych przez gniewne chimery.

I szuka jeszcze, choć wisząca w górze
ciemność zleciała i przyniosła ciszę,
a na niebiosach zapłonęły róże

błogosławionej Nocy. Szuka; słyszę
szelest kart suchy wśród pieśni tysiąca,
któremi ziemię chór syren kołysze.

Zawsze, od wschodu do zachodu słońca,
jak Myśl niewidny dla mojej źrenicy,
szuka i szuka od końca do końca

tu, pod gwiazdami, w księdze Tajemnicy.

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska.

MIASTO, W KTÓREM SIĘ NIE MA CZASU.

Nie mam czasu!
Nie ma czasu!
Nie mamy czasu!
Nie macie czasu!
Oto krzyk Paryża.
Odmienia on słowo:

NIE MIEĆ CZASU! Słówko krótkie i łatwe do wymówienia. — Lecz ileż na nie rzeczy się składa! I iluż rzeczom jest ono przeszkodą!

Paryż jest ogniskiem świata. Trzeba mówić o nim. By o nim mówić, trzeba go znać. Ale, żeby go znać dobrze, trzeba nań patrzeć z odległości.

To patrzę nań zbliska.

To patrzę nań zdaleka.

Widzę go dobrze, tylko gdy zdaleka nań patrzę.

O prawdo paradoksu! Prawdo zapoznana jak wszelkie prawdy!

Za czasów mej wczesnej młodości spór literacki, spór intelektualny rozgrzewał i porywał umysły. — Myśli nasze były żarliwe, słowa palące.

Namawiają mnie usilnie do przelania na papier swych wspomnień, i wątpię, czy zdołam się oprzeć tej radzie niebezpiecznej. Ileż idei! ile uczuć! ile poglądów! ile namiętności! Jakież natężenie pracy widziałem i odczuwałem!

Gdzież się podział zapał? Obecnie ludzie stali się po większej części geszefciarzami.

Czemże zaś jest geszefciarz? Geszefciarz to człowiek, który nie ma czasu.

Nim potępicie to przerażające określenie, zechciejcie się chwilę nad niem zastanowić.

Paryżanin był ongi „pracownikiem ducha, literatem.“ — Obecnie jest czasami, jest często „geszefciarzem.“ Nie mówię: ZAWSZE. — Nie chcę przesadzać, gdyż nie chcę kłamać, a przesada, według Józefa de Maistre, jest kłamstwem ludzi uczciwych. — Z góry wyjmuję wszystkich protestujących, gdyż protest zasługuje sam przez się na uwzględnienie natychmiastowe. Ale koniec końców Paryżanin jest często geszefciarzem, a geszefciarz to ten, który nie ma czasu.

Paryż robi wrażenie mrowiska, w którem każda mrówka dźwiga swoje brzemię. Ludzie popychają się, trącają, zagadują — ale się nie widzą.

Każdy grzęźnie w tłumie stosunków, w tłumie osób, w tłumie rzeczy, w tłumie sprzeczności, zdarzeń, trudności, niezadowoleń, — także w tłumie kompromisów, skrzyżowań, złożoności. — To przemnóstwo zmienia się co chwila co do stroju i kształtu. Ale jest to zawsze mnóstwo pomnożone przez mnóstwo.

Spotykacie człowieka, przyjaciela, brata. Towarzysz — współbrat — najwidoczniej pochodzi od brata.

Jesteście pełni myśli, uczuć, które trzebaby mu zwierzyć, w interesie wspólnego dzieła.

Wasze myśli są mu potrzebne; wam znowu potrzeba jego myśli, wymiana jest konieczna.

Ale on nie ma czasu.

Czekają nań interesa, upominają się o niego, rzucają się nań, skuły go i ciągną, spętawszy mu ręce i nogi, do lochu, w którym pochłaniają swe ofiary.

I czujecie w sobie zamieranie wszystkich słów, które miały się narodzić; umierają nietylko na waszych wargach, umierają w waszej duszy. Gdyż paryżanin, który powinien was był wysłuchać, którego trzeba wam było wysłuchać, nie ma czasu słuchać.

Nie ma czasu! straszne słowo!

Słowo, które należałoby zbadać w jego okrutnych głębokościach.

Nie ma czasu pracować. Nie ma czasu miłować. Przechodzi koło niego coś ważnego, nieznanego, czego poznanie jest niezbędne, — on nie ma czasu, by spotrzedz to. Nie ma czasu działać! Gdyż działać i kręcić się nie są synonimami. On się kręci, kręci, kręci. Rozdaje, na prawo, na lewo, wyrazy, uściski dłoni, a wzrok jego, roztargniony pośpiechem, nie skupia się na niczem.

No, i wiecież, co mu się wymyka? wiecież, co dlań zostaje niewiadomem? wiecież, co on zapoznaje? wiecież, o czem zapomina? Między innemi i ponad wszystko—Paryż.

Paryż w swej istocie, Paryż rzeczywisty, wymyka mu się całkowicie.

Widzi bruk bulwarów.

Paryża nie widzi.

Nie myślcie, że do widzenia wystarcza oko. By widzieć, trzeba uważać. A uwaga wymaga czasu! Kto nie ma wiele czasu, nic nie widzi. Oko nie widzi tego, co

jest tuż przy niem. Gdy przez pewien czas mam Paryż tuż przy sobie, przestaję go widzieć.

Zdaleka widzę go doskonale. Co prawda, mam pod ręką jego dzienniki, jego książki, jego korespondencye prywatne i publiczne, wszystkie echa jego rozmów.

Wywołuję go, i ukazuje mi się. Mam przed oczyma Paryż i jego zjawienie.

Zbliska zapominam. Widzę składowe jego fragmenty, ale jego samego — nie, nie widzę.

Czyście nigdy nie stwierdzili następującego zjawiska:

Myślicie o jakiejkolwiek osobie.

Studyujecie ją, rozpatrujecie, rozważacie ją. Gotowiście piórem lub pędzlem zrobić jej wizerunek. Jeżeli wizerunek już zrobiony przez was lub kogo innego i jest tu pod waszym wzrokiem, dopełniacie go nowemi spostrzeżeniami.

Patrzycie, posiadacie; mówiliście lub macie przemówić, wymowa drga na waszych wargach.

Ktoś wchodzi — to właśnie osoba, której portret macie przed oczyma.

Tak, tak! ta sama! ta, którąście tak dobrze znali przed chwilą, która była przedmiotem waszego wewnętrznego wzroku, przedmiotem waszej kontemplacyi.

Wchodzi, ale NIE MA CZASU! żyje wśród interesów, wiecznie popychana, ma szorstkość osoby zajętej, którą jakieś zajście zaskoczyło i zatrzymuje. Pisze lub odbiera telegram. Szczegół ją pochłonął.

No! a wy — cóż się z wami dzieje? to, że ją tracicie z oczu.

Zetknięcie się z nią pośpieszne i nic nieznaczące zniweczyło w was pojęcie o niej, któreście przed chwilą posiadali.

Była daleko — widzieliście ją. Stanęła tuż przed wami — straciliście ją z oczu.

Otóż! ta osoba — to miasto Paryż.

Posyła ono na świat cały swe wypływy — dobre czy złe. Cały świat pełny jest jego zapachów i smrodów.

Jest ono nadzwyczaj wielomówne, jego koleje roznoszą codziennie po całej ziemi zamieszkanej niezliczone jego słowa. Ten potop książek i dzienników pokrywa góry i doliny.

I góry i doliny są przesiąknięte, przesycone wodami tego potopu.

Ta woda, płodna życiem i płodna śmiercią, zawiera i rozsiewa wszędy, dokąd dociecze, wszystkie własności, wszystkie energie chmury, która ją wylewa.

Świat cały jest płytą fotograficzną, odtwarzającą rysy Paryża.

I na płycie widać Paryż. Ale w samym Paryżu Paryż jest niewidzialny.

Nie ma czasu się pokazać. Nie ma czasu dać się słyszeć. — W teatrze tym aktorzy mówią za prędko.

Jednem słowem — Paryż zabiera widzowi czas potrzebny do przyjrzenia mu się.

WIELCY LUDZIE.

Jest na ziemi kategorya ludzi, godnych wyjątkowej litości i współczucia, a którym świat odmawia więcej niż komukolwiek współczucia i miłosierdza; to kategorya tych, których zowiemy wielkimi ludźmi.

Wielcy ludzie są Biednymi osobliwego gatunku, biedniejszymi od Biednych. Biedny to ten, któremu brak czegobądź. Człowiek jest tem biedniejszy, im więcej ma potrzeb. Ptaki nie mają rent państwowych, ale nie są biedne, bo nie mają potrzeb, lub dlatego, że, rozpostarłszy skrzydła, znajdują łatwo i bez zapobiegliwości uprzedniej zadowolenie potrzeb swoich.

Człowiek jest najbiedniejszem ze stworzeń. Człowiek jest przygnębiony potrzebami.

Ale wielki człowiek jest Nędzarzem, wobec którego bledną wszystkie inne nędze.

Wielki człowiek ma, naprzód, wszystkie potrzeby człowieka zwykłego i odczuwa je głębiej niż ktokolwiek.

Dalej, ma potrzeby inne, zarazem podnioślejsze i despotyczniejsze, wołające donośniej i słuchane słabiej, gdyż nie są rozumiane, potrzeby, których uwzględnienie jest prawie niemożliwe, gdyż inteligencya tłumu zamknięta jest dla ich wołań.

Gdyby Krzysztof Kolumb chodził był od drzwi do drzwi, żebrząc na Chleb zwyczajny, Chleb wszystkim potrzebny, równie ludziom jak wielkim ludziom, — wysłuchanoby go lepiej z pewnością. Ale on żebrał na swój własny Chleb: trzeba mu było okrętów dla odkrycia Ameryki. To był jego Chleb. — Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. Naszego! Nie Chleba sąsiada, ale Naszego, tego, którego nam potrzeba!

Otóż, Chleb wielkich ludzi jest nieskończenie rzadszy od Chleba ludzi zwykłych.

Dlatego to wielcy ludzie są biedni ubóstwem ludzi zwykłych, gdyż mają wszystkie potrzeby ludzkie, i biedni ubóstwem osobliwem, wyjątkowem, specyalnem, biedni ubóstwem Pragnień gigantycznych i niezwalczonych, na mocy których są wielkimi Ludźmi.

Istotnie, czemże jest ten Ubogi, którego zwiemy Imieniem groźnem wielkiego Człowieka?

Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie.

Gdy w okoliczności uroczystej monarcha śle ambasadora do innego monarchy, — ambasadorowi temu powierzony jest sekret, którego mu niewolno odkryć nikomu, tylko samemu monarsze.

Gdy, w okoliczności uroczystej, Bóg śle Ludzkości człowieka uroczystego, — człowiekowi temu powierzony jest sekret, misya. Tylko tutaj sekret nazywa się Tajemnicą, i na mocy owej Tajemnicy wielki człowiek jest wielkim człowiekiem.

Mali ludzie ciągną swe znaczenie z czynów dokonywanych.

Bez czynów tych byliby absolutnie niczem. Wstępują niekiedy na swe czyny jak na deski sceny i ściągają wzrok tłumu. Żyją swemi czynami, wyzyskują je. Bębnią w kotły i mogą czasem narobić hałasu.

Ale sami w sobie nie mają trwania ani treści. Znikają widmowo. Okazują się zawsze niższymi od miejsca zajętego, od rezultatu osiągniętego. Własne dzieła miażdżą ich. Gdy dzieła te są raz spełnione, popełniciele ich wracają do właściwej sobie nicości. Przypadek, który ich narzucił, — odrzuca ich. — Po za jedną jedyną sposobnością stania się czemś, ludzie ci przestają istnieć.

Wielki człowiek, przeciwnie, jest wyższy od czynów swoich. Wzruszenie wywołane jego imieniem jest bardziej wiekuiste od zdarzeń jego Historyi.

To wzruszenie jest dzieckiem Tajemnicy, którą wielki człowiek w sobie nosi. Tajemnica jest jego cyfrą, jego tytułem, jego Imieniem.

Oto dlaczego wielki człowiek tak trudnym jest do osądzenia. Postępuje on na mocy czegoś, co pozostaje niewiadomem.

Ludzie zwyczajni mogą mu robić tysiąc zarzutów, prawdziwych lub fałszywych, sprawiedliwych lub niesprawiedliwych. — Powinniby jednak zawsze zachować względem niego cześć, jakiej wymaga obecność wielkiego Nieznanego. — Inaczej hańbią się, nie przyczyniając najmniejszego uszczerbku temu, którego shańbić zamyślali.

Wielki człowiek wymyka się ich razom, podczas gdy sami oni odnoszą rany bardzo poważne.

Ludzie zwykli, a nadewszystke ludzie niscy, uczuwają pewnego rodzaju pociąg do napadania na wielkich ludzi, pewnego rodzaju zadowolenie z tych napaści. Jest wiele mściwości w tej uciesze.

Napaści te mają pewne powodzenie. Ale nie łudźcie się. Powodzenie to zawdzięczają wielkiemu człowiekowi, którego znieważono. Zaciekawienie, które on budzi, nadaje nic nieznaczący rozgłos jego napastnikom. Ale ten śmieszny rozgłos będzie krótki i zniknie wraz z bluźniercą; człowiek, wielki człowiek zostanie, dostojny, niezdobyty na swej skale wiekuistej, a piętno ran, które mu zadać chciano, naznaczy czoła jego małych wrogów.

Kule dlań przeznaczone nie dosięgły jego podniosłości. Wracają i trafiają w tego, który je wymierzył.

Zaiste, nie mam tu zamiaru zakazywać krytyce historycznej poważnych badań nad życiem wielkich ludzi. Ma ona prawo i obowiązek żądania od nich obrachunków. Ale powinna sobie zdawać sprawę z pierwiastku przemyt-

niczego, który jest ich żywiołem. Powinna stać na wysokości Tajemnicy, do której przystępuje.

Napastnicy na wielkich ludzi robią im zarzuty niekiedy słuszne, częściej wszakże takie, które się słusznemi wydają. Czegóż tym ostatnim nie dostaje do sprawiedliwości? Brak im uświęcenia Idei, sprawiającej wielkość wielkiego człowieka. Napadają na oddzielne jego czyny. Nie dostrzegają tego, co czynów tych jest sprzęgiem i natchnieniem.

Ogólnie biorąc, mali ludzie wyrzucają wielkiemu człowiekowi, że nie postępował tak, jak oni, mali ludzie, byliby na jego miejscu postąpili.

I oczywiście, wielki człowiek, postępując jak mali ludzie, byłby sobie oszczędził tysiąca błędów, które może popełnił.

Jako wielki człowiek, miał tysiąc wad. Gdyby był postępował jak mali ludzie, zamiast owych tysiąca, posiadałby tylko jedną. ALE TĄ WADĄ BYŁOBY WŁAŚNIE TO, ŻE PRZESTAŁBY BYĆ WIELKIM CZŁOWIEKIEM.

Może pamiętacie tę słynną klacz, która miała wszystkie zalety, — prócz życia, i tylko tę jedną niedogodność, że zdechła.

Wielki człowiek, któryby sprostał życzeniom małych ludzi, miałby tę jedną niedogodność, że byłby do nich podobny.

Gdyby Krzysztof Kolumb miał był mniej uporu, nie byłby odkrył Ameryki.

Słyszę dziś wszystkie rady, jakiemi go zapewne częstowano:

„Ależ, mój kochany, bądźże rozsądny. Bądź tak jak my! Po co się wyróżniać? nie być jak wszyscy? Czyż

tego cię uczono? czy twoi bracia, przyjaciele, wujowie, dziadkowie, gnali kiedy na pełne morze, nie wiedząc, dokąd płyną? Oto do czego prowadzi Zarozumiałość!“

Ah, ileż tajemnic w tym wyrazie: Sprawiedliwość! Trzebaby naprzód zważyć góry, aby módz zmierzyć tego, który dźwigał je snadź na ramionach.

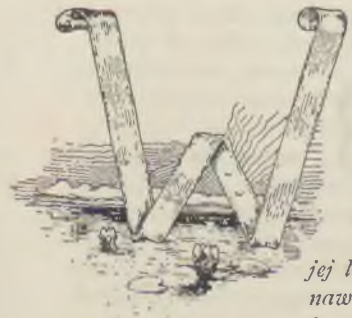
Tajemnicą Krzysztofa Kolumba była może Równowaga.

Ląd Stary narzucał mu poszukiwanie Nowego Lądu.

(Dokończenie.) Ernest Hello.

Sąsiedzi.

BAJECZKA.



zapuszczonym ogrodzie, niezbyt daleko ztąd i niebardzo blizko, w miejscu, gdzie dawniej był kwietnik a dziś wszechwładnie rozpanoszyły się chwasty, pomiędzy innem zielskiem rosła lilia.

Sąsiedzi i sąsiadki, jako: oset, szalej, łopian, rdesty, pokrzywy, cykorya dzika, skrzypy i inne osoby, z początku uważały lilię za krewniaczkę, a mogły się mylić, patrząc na jej liście grube i zwyczajnie zielone. Otaczały ją nawet pewną opieką: każdy chwast, z lekka dając jej uczuć swoją wyższość, doradzał to lub owo. Oset — żeby sobie zapuściła kolce; pokrzywa — żeby starała się wyrobić w swoich liściach jak najwięcej jadu; babka — żywiącego soku; mlecz wypytywał lilię o kwiat i zachwalał swój puszek; łopian, pod pozorem osłaniania lilii cieniem, zabierał jej słońce i t. d. Lecz wreszcie, choć z wielkim trudem, lilia wygórowała nad zielsko i wydała kwiat — biały, wielki, bujny kielich.

Tu zakipiało w otoczeniu. Wszystkie chwasty oburzała ta bezwstydna wielkość kielicha i ta niepokalana jego białość. Jak można

coś podobnego! Jakie to aroganckie i zarazem niepraktyczne! Zdaleka rzuca się to każdemu w oczy i razi, bardzo razi...

Tak mówiły chwasty, a w duchu życzyły lilii śmierci, bo już doprawdy zanadto przygniatała ich dumę rzadką pięknością swego wzrostu i kwiatu.

Gdy wielu czego pragnie, łatwo to następuje — cóż dopiero, kiedy wszyscy. Jakoż niedługiem życiem rozkoszowała się lilia.

Do ogrodu, który dla swej opustoszałości mógłby był raczej zwać się rozgrodem, przez obalony płot wtargnął raz osieł. Bystry wzrok tego zwierza zaczął szukać jakiegoś POŻYTKU i wkrótce dojrzał ulubiony chwast — oset. Raźno pokroczył w tym kierunku i szybko zaczął wcielać do swego wnętrza kolczaste liście ostu. Ponieważ w tej czynności zawadzała mu lilia łaskotaniem w nozdrza, złamał ją, zdeptał, stratował; najadłszy się, ryknął — i poszedł dalej.



Jan Lemański.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy stały się w ostatnich czasach strawą tak powszednią, tak często podawaną przez kuchmistrzów dziennikarskich i innych, i spożywaną przez społeczeństwo w tak nadmiernych ilościach, że koniecznem jest ze wszech miar zbadać jej higieniczność, przyjrzeć się sposobom jej przygotowywania, oraz skutkom przez nią wywoływanym. Sumienna autopsya jednych i drugich przekonywa nas najdowodniej, że w żadnej dziedzinie tylu co tu nie znaleźć falsyfikatów, *eo ipso* produktów szkodliwych, a niekiedy poprostu trujących. A w dodatku o dusze tu chodzi nie o ciała. — O konkursach mówiliśmy już kiedyś, stwierdzając faktami jałowość ich bez wyjątku prawie, i tłómacząc smutny ten wynik psychologią zbiorowego ciała sędziowskiego, którego członkowie, choćby każdy z osobna był wybitnie inteligentną jednostką, drogą porozumień i ustępstw wzajemnych dochodzą zwykle do zgody na nierażącą nikogo mierność. Dodać do tego należy psychologię drugiej strony, t. j., współubiegających się o nagrodę konkursową. Prawy artysta, który tworząc nie myśli o niczem innem, jedno o wcieleniu swej wizyi, o urzeczywistnieniu możebnie najdoskonalszego dzieła sztuki, mógłby, właściwie mówiąc, tylko przypadkowo znaleźć się w ich liczbie: gdyby o ogłoszonym konkursie dowiedział się dopiero w chwili, gdy utwór ma zupełnie gotowy. Inaczej sama myśl o współza-

wodnictwie, o warunkach konkursu, o terminie, i tym podobnych względach, obcych samej twórczości, mogłaby wywoływać niepożądane przystosowywania się lub choćby tylko roztargnienie uwagi, która winna się skupiać całkowicie i bezwzględnie na jedynym celu tworzenia. Aby prawy artysta, dopiero dowiedziawszy się o konkursie, zaczynał umyślnie pisać nań czy malować lub rzeźbić, — nie godziłoby się nawet przypuszczać, tak bardzo ta do pewnego stopnia praca na obstalunek, wydaje się w sprzeczności z jedynem twórców zadaniem. A jednak, znęceni czy to sławy, czy zysku nadzieją, biorą i oni, niestety, dość często udział w konkursach, co, naturalnie, na danem ich dziele natychmiast źle się odbija. I oto pierwszy, najgorszy, najszkodliwszy rezultat konkursów, iż demoralizują nawet niejednego z dobrych i zdolnych artystów, i to zazwyczaj bezowocnie. A jakby tego niedość jeszcze było, oto rozpasanie wszelkich dyletantyzmów i grafo- czy pinako-manij przy każdym, tak czy inaczej nazwanym konkursie, oto powodzie poronionych płodów, oto owe tysiące rzemieślniczo poprawnych płócien w każdym salonie paryzkim, oto owe setki naiwnych wprost w swem niedołęztwie utworów na każdym konkursie literackim. Co to szkodzi? „kupić nie kupić, potargować można,“ jak powiada jeden ze współzawodników w ostatnim konkursie Sienkiewiczowskim. Ci, którzy, narzekają na zbyt wielką ilość poetów (!?), a jednocześnie popierają i szeroko rozgłaszają wszelkie konkursy, winniby porządnie się zastanowić, ilu przez nie tych właśnie zbytecznych, nadliczbowych „poetów“ sami przysparzają, bo takich tylko może być zadużo. Wreszcie, gwoli uzupełnieniu tego smutnego wpływu konkursów, przybywa jeszcze psychologia publiczności, skłonnej z natury i pełnej zapału do wszelkich *circenses*, walk, spółubiegań się, agonów, wyścigów, a podniecanej jeszcze przez rozwijaną dokoła każdego konkursu gadatliwość w prasie i przez tryumfalne okrzyki dziennikarzy, wprowadzających zwycięzcę niby ogiera tresowanego z wolnej ręki. Zgiełk jest tak wielki, zainteresowanie sportowe tak gorące, że po za obrębem tego pola wyścigowego może się zjawić rzecz doskonała, i nikt z publiczności jej nie dostrzeże. Nikogo z zadyszanych widzów nie obchodzi, kto dobre dzieło stworzył, wszyscy myślą tylko o jednem: kto zwyciężył, choćby tryumfatorem był najprzypadkowszy i najniezasłużeńszy *outsider*. I często tryumf (?) taki w komunał potem przechodzi: malarz, który dostał wzmiankę w salonie, cieszy się zawsze uznaniem publiczności, choćby zupełną był miernotą, a zdobywca pierwszej nagrody w konkursie literackim pozostaje nim na długo w pamięci ogółu, choćby się okazało, iż sędziowie haniebnie

się pomylili. — Że mimo to wszystko prasa uprawia coraz gorliwiej metodę konkursów, to się tłómaczy „polowaniem z naganką“ na nowych współpracowników, a bardziej jeszcze reklamą, rozgłosem, jakie zyskuje dane pismo na ogłoszonym przez siebie, a zawsze prawie gorliwie przez kolegów omawianym „wyścigu.“ Jest to zatem, ze stanowiska *celu*, ta sama kategorya, co dawniejsze premia oleodrukowe czy książkowe.

(Dok. nast.)

Tredecim.

POEZYA.

Jan Kasprowicz: — *Ginącemu światu*. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — *Miłość*. Wydanie drugie. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Lwów. Księgarnia Polska. — *Moja pieśń wieczorna*. Lwów. Księgarnia Polska. — *Salve regina*. Lwów. Księgarnia Polska.

Królewskie pieśni! Wielkie, uroczyste organowe tony! Majestatyczne symfonie wiekuistych, nieznikomych tęsknot i pragnień duszy! Na usta cisną się słowa najradośniejszego zachwytu, najgorętszego uwielbienia na widok niesłychanej, olśniewającej, cudownej transfiguracyi poety. Oto z niewolnika dotykalnej rzeczywistości, z głosiciela „szczęścia ziemskiego dla wszystkich,“ wołającego:

Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi,

urasta nam w oczach kolosalny, wyzwolony, orficzny pieśniarz najgłębszych, metafizycznych pierwiastków ducha człowieczego. Oto szlachetny, lecz z natury rzeczy powierzchowny filantrop, apostoł współczucia dla wszystkich doczesnych nędz i bólów ludzkich, przetwarza się w psalmistę bólu większego od tych przemijających, „urodzonych z nicości“ płaczów i jęków, bólu wiekuistego, żrącego, lecz razem tak świętego, zabójczego, lecz razem „zapładniającego światy,“ bólu duszy, czującej, że nieskończoność jest jej udziałem, a szarpiącej się beznadziejnie w więzach ograniczoności cielesnej. Oto Tyrteusz wszystkich nędzarzy, wszystkich uciemiężonych i wydziedziczonych, głoszący miłość dla nich, lecz razem — bo to jest klątwą wszelkich tyrteizmów — nienawiść dla ciemiężycieli, dla szczęśliwych i wielkich tego świata, zmienia się w arcykapłana tak wielkiej, że aż niepojętej tłumom miłości, miłości, której obca wszelka janusowość, miłości wszystko ogarniającej, „zapominającej, że jest granica między

złem i dobrem,“ i przeto cudotwórczej, świat cały przeobrazić zdolnej. Oto trybun, wódz stronnictwa, jawi nam się jako „zapomniany człowiek na rozdrożu,“ ale który,

skrzydłami trzepocąc,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca,

wejrzał w „niezgłębione, nieobjęte moce,“ wczuł się w nieogarnioną jedność bytu, wchłonął ją niejako w siebie, i w którym teraz jak w ognisku zbiegają się wszystkie bytu promienie. Oto bard chaotycznych, oderwanych zdarzeń i zjawisk żywota, wtórzący ich zgiełkowi potężnym jak surma, lecz jak surma też chrapliwym niekiedy głosem, wydobywa nagle z piersi śpiew stokroć potężniejszy, „długi, przeciągły jak wichru powiewy,“ ale przytem czysty, przezroczy, jak rozdzwon stu tysięcy kryształowych dzwonów, wielki śpiew powszechny, nieprzemijający, na wsze czasy i kraje, w którym niepoliczone głosy bytu, zlane i sharmonizowane w duszy twórczej, w olbrzymią układają się symfonię.

Kolosalne, niewidzianej gwałtowności i tak późne, że aż niespodziane wyzwolenie się duszy z pod tyranii zewnętrzności! Przez to jarzmo któż nie przechodził? Oddziaływanie najbliższego pierścienia zjawisk cielesnych jest tak potężne, takie dominujące, takie brutalne, że — na podobieństwo światłości słońca, przy której nie możemy dojrzeć innych słońc, setki i miliony razy od naszego większych — przysłania nam wszystkie oddale, głuszy wszystkie subtelniejsze reakcye i przeczucia ducha i, pośród nieograniczoności bytu, zamyka nas w ciasnych murach wrażeń zmysłowych. Ludzie zwykli nie wychodzą nieraz przez całe życie z tego więzienia, a i poecie potrzeba dopiero — albo potężnych, świadomych, cofnięć się ducha w siebie, dla wytworzenia należytej oddali, odpowiednio stosunkującej perspektywy, albo też wielkich uciszeń się nocnych, pośród których objawiają się światy nieznane, wielkich samotnych wsłuchiwań się w dalekie szumy potoku życia, aby pochwycić prymordyalne, harmonizujące wszystko tony, głębokich nurkowań w morzu zjawisk, aby dotrzeć do ich istoty i uczuć nierozerwalność mikrokosmu duszy własnej i makrokosmu wszechświata. Stosunkowa słabość i płytkość pierwszych, młodzieńczych utworów, nawet u największych świata poetów, świadczy, że i oni stopniowo dopiero dochodzili do wyzwolenia dusznego, do owej Emersonowskiej potęgi marzenia, „która każdą moc poddaje twemu władaniu, która wdziera się w głąb’

rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych.“ Ale Kasprowicz nietylko mimowiednie, z natury istoty człowieczej, przez młodzieńczo-krótkowidzące przychylanie się ku bardziej oczywistym, najbliższym faktom materyalnym, ulegał temu jarzmu. Nienadaremnie był nadto dziecięciem trzeźwej, praktycznej epoki, która w przeciwieństwie do niebosiężnych wzlotów romantyzmu ubóstwiła dotykalną rzeczywistość, epoki odrzucającej wszystkie *Hirngespinnst*'y, powątpiewającej o wszystkiem, co zmysłom niedostępne, podporządkowującej wszystko dobrobytowi materyalnemu, epoki, dla której jedyną prawdą była prawda doświadczalna, jedynym celem — szczęście doczesne dla wszystkich, jedyną wiarą — postęp jakiś nieokreślony i fantastyczna jakaś równość, jedyną szlachetnością — współczucie dla nędzarzy i uciśnionych materyalnie, jedynem wymaganiem od wszystkich i od wszyskiego, a więc i od poezyi, — pożytek społeczny. Wstępujący w życie poeta przyjął z młodocianym zapałem wszystkie te nowe, gromko obwoływane hasła i doktryny, podał siebie i pieśń swoją na służbę światu — i skuł się jeszcze ściślej z zewnętrznością dobrowolnemi, świadomemi przekonaniami, które także umieją kneblować duszę i skrzydła jej przystrzygać. I była to — w publicystycznem życiu Kasprowicza — doba namiętności stronniczych, wystąpień nacechowanych chęcią prozelityzowania, napaści na „sztukę dla sztuki,“ braną lekkomyślnie, wzorem płytko myślących społeczników, za „cacko dla cacka,“ urągliwych odezwań się o poetach, którzy usuwali się od swarów społecznych, jako o ostrygach egoistycznie zamykających się w swej skorupie. I był to — w twórczości poetyckiej Kasprowicza — okres krzepkich, glebą pachnących malowideł wsi i grzmiących okrzyków bojowych, szorstko namiętnych wybuchów uczucia i melodramatycznych nieco obrazków nędzy, niefortunnego adaptowania, *ad usum* doktryny, najwznioślejszych tematów metafizycznych i twardego dydaktyzowania w pieśniach społecznych. Mocy w tem, a niekiedy i koloru bardzo wiele — ale życia wnętrznego nie czuć; szczerości dużo, ale głębi brak. Gdzieniegdzie tylko — i te miejsca są najlepsze, żyją po dzisiaj — zabrzmi cichutko, jakby przypadkiem wyrywające się westchnienie czy szloch wpółurwany, głos duszy...

Bo dusza wiła się, spętana i udręczona, w swojem więzieniu, pragnąc żyć, wypowiedzieć się, urzeczywistnić swe przeznaczenie. I pod jej zapewne tajemniczym nakazem, poeta, nie zdając sobie może z tego należytej sprawy, nadał, w przełomowej chwili pisania *Miłości,* drukującemu się wówczas, acz raczej do poprzedniej jeszcze

epoki należącemu zbiorkowi poezyj taki dla nas wymowny tytuł: *Anima lachrymans.*

(*Dokończenie.*) Miriam.

POWIEŚĆ.

Józef Weyssenhoff. *Sprawa Dołęgi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Arne Garborg. *Utracony ojciec.* Warszawa. Spółka Wydawnicza. — Karol Dickens. *Powieść o dwu miastach,* przełożyła Hajota. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Eliza Orzeszkowa. *Chwile.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Kazimierz Gliński. *Cecora.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—T. T. Jeż *Z ciężkich dni.* Tamże. — Michalina Domańska. *Brzydka.* Tamże. — J. Sielski. *W pół drogi.* Tamże. — Wiktor Gomulicki. *Biała.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Danilowski. *Z minionych dni.* Tamże. — Fr. Rawita. *Złudzenia.* Lwów. Altenberg. — Paweł Bourget. *Widmo.* Przełożyła B. Neufeld. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Karol M. Sheldon. *W jego ślady.* Przełożył W. Szukiewicz. Kraków. Gebethner i S-ka.

Sprawa Dołęgi, przez Józefa Weyssenhoffa. — Jest to próba przedstawienia współczesnej arystokracyi miejscowej, tej „maskarady uchodzącej za hierarchię,“ z jej tradycyjnym urokiem, nowożytnem zatracaniem się kastowem i duchowem nicestwem, z jej obecnym stosunkiem do społeczeństwa i z tkwiącemi w niej możliwościami na przyszłość. — Mówimy *próba,* gdyż mimo niezaprzeczone powaby szczegółów (np. strony portretowej, o ile ta się nie poniża do „zbierania wzorków,“ i krajobrazowej), powieść ta jest daleką od głębi i jednolitości cechujących *prawdziwe dzieła sztuki;* niedomyślana, niedoczuta, przedstawia wszystkie cechy *tworzywa,* nie zaś *stworzenia;* — fazę przejściową krystalizacyi, tę, której czytelnik znać nie powinien, — nie zaś krystalizacyę ostateczną, zdolną żyć przez stulecia. — Autor, przed tą wielką bryłą surowca, zawahał się uderzyć w nią śmiałym młotem, wyzwolić spętane w niej kształty idei, rzucić nam przed oczy twór żywy, — i od wymagań własnej wizyi wykręcił się ozdobieniem kloca płaskorzeźbami, opowiadaniem nierzadko anegdotycznem, dorywczem zaznaczaniem swoich intencyj, szkicowaniem niedowcielonej Duszy utworu. — Jest nią, a raczej być miała (gdyż w obecnym stanie rzeczy jest to raczej pokutujące widmo), — miłość autora dla świetnej przeszłości rodów magnackich, pragnienie wskrzeszenia jej na nowych podstawach, — *idea magnata-bohatera,* wielkiego-pana-ojca-ludu. — Najpiękniejsze karty powieści zawdzięczają jej swą siłę i dźwięczność rapsodową. — Wnosi ją w świat dystyngowanej pleśni Jan Dołęga, wielki człowiek powieści, a właściwie główna ofiara jej wspomnianej już, zasadniczej wadliwości.—

Ten, w założeniu, żywioł świadomej potęgi, twórczego czynu, inicyatywy, bohaterstwa, — łamie się we dwoje pod narzuconym sobie ciężarem wielkości — i z przeciwnika ideowego schodzi do nędznej roli „repoussoir'u" powieści, którą tem samem obniża z punktu widzenia kompozycyi. — Przeciwstawienie jaskrawsze — jeżeli już koniecznie chodziło o przeciwstawienie — byłoby wydobyło z utworu barwy gorętsze, rytm głębszy, życie mocniejsze. Kto wie jednak, czy do takiej współczesnej „Nieboskiej" starczyłoby wiedzy i skrzydeł autorowi, który, mimo względnie wysoką kulturę i dobry smak, okazuje duże braki w uświadomieniu, dobrowolną niewolę u t. z. „realizmu," — a przytem z niebezpiecznym dla szerokiego rozwoju sybarytyzmem przebywa w atmosferze powierzchownej, luźnej, *fumoir*'owej „obserwacyi." — „Podfilipski" zamykał się w niej prawie całkowicie. — „Sprawa Dołęgi" jest jakby pierwszym krokiem na drodze rozbratu z komfortem literackim i wyżynnych mozołów sztuki jędrnej, odkrywczej, bohaterskiej — na drodze syntezy szczytów. — Takie też tylko, względne, przyszłością zawarunkowane posiada znaczenie.

Utracony ojciec, przez Arne Garborg'a. Przekład niniejszego zawdzięczamy ustalonej u nas firmie autora „U mamy," gdyż osobista zasługa utworu jest względnie żadna, jeżeli weźmiemy pod uwagę cały tłum czekających daremnie na tłomaczenie dzieł obcych wartości pierwszorzędnej. — Jest to dalszy ciąg „Znużonych dusz," a raczej ostateczne wyczerpanie się ich wątka w wyjałowionej jakby i wycieńczonej duszy autora.

Powieść o dwu miastach, przez Karola Dickens'a. — Jedno z mniej znanych dzieł autora. Trzy-tomowy obraz z przed i z czasu wielkiej rewolucyi, żywy, rozedrgany ówczesnem tętnem, jak sztychy z owych lat przechowane; tu i owdzie popsuty zawziętością stronniczą i nacechowany rysami tej tak wymownej indywidualności twórczej. — Przekład bardzo poprawny. Zasługa tłómaczki (p. Hajoty) byłaby zupełną, gdyby nie licha przedmowa, w której polemizuje z fantastycznemi widmami „modernizmu," biorąc w pobłażliwą obronę wielkiego pisarza przed zarzutem *filisterstwa* (!!!) Bylibyśmy pani H. zobowiązani, gdyby, zamiast jałowego sporu z własną wyobraźnią, była wzięła pod uwagę raczej istniejącą już i wyczerpującą literaturę krytyczną o Dickens'ie i w braku własnej syntezy dała skrót tamtych. — Dziwi nas także początkowy aforyzm przedmowy, mianowicie, że *„żadna forma literackiej twórczości nie przeżywa się tak szybko jak powieść."* Jest to „punkt widzenia" czysto *bławatny*, nieznany takim „nouveautes" jak „Satyricon," „Don Kichot,"

„Dekameron,“ „Robinson Kruzoe,“ „Pamiętniki Paska,“ „Guliver,“ „Comédie Humaine,“ „Rouge et Noir“ i t. d. bez końca. — Czyżby pani H. zależało na wejściu do królestwa wieczności wszelakiej hołoty powieściowej? Byłoby to, zaiste, źle zrozumianem miłosierdziem. — Co do dzieł istotnych, — to należą one do chwały wiekuistej niezależnie od kategoryi, w które je wtłacza forma. Należą one wszystkie do nieśmiertelnej kategoryi *dzieł sztuki*. — Tem się tłómaczy i „aktualność“ Dickens'a, którego tłómaczka chce gwałtem *spowinowacić „z dekadentyzmem“*... Jest-że to świadome, więc poniżające, ustępstwo wobec „ostatniego krzyku,“ czy też bezwiedna sugestya okolicznej bezduszności?

Chwile, przez Elizę Orzeszkową. — Dziewięć nowel nierównej wartości, choć w całości nacechowanych wytrawnością wystałego miodu, jego mocą, spokojną gorącością i działaniem — raczej nie na głowę. — „Dymy,“ obrazek wakacyjny świeży i wdzięczny, został popsuty morałem, który ongi oszpecił „Dwa bieguny“ i rzuca cień na uświadomienie tej zkądinąd rzetelnej i niekiedy wysokiej artystki. — „Porcelanka,“ a zwłaszcza „Zagadka,“ mimo zabarwienie feministyczne, tchną czarem prawdziwej poezyi. — „Wśród kwiatów,“ nieco zbyt botaniczne, zwycięża w końcu przedziwnym zapachem żywicznym, kwintesencyą wybornie odczutego boru. W „Weselu Wiesiołka“ zakończenie (śmierć w postaci chłopa z kosą, kładącą kres godom kwiatowym) baśniową poetycznością okupuje antropomorfizm figlarkowy kart poprzedzających. — „Co mówi stary klon“ i „Kiedy u nas o zmroku,“ poza pewnemi zaletami krasomówczemi są dość błahe. — Za to dwie ostatnie nowele — „Moment“ i „Z różnych dróg“ — są perłami zbiorku. — Zwłaszcza „Moment,“ pod względem kompozycyi, głębi i wysokości lotu, należy do najpiękniejszych „momentów“ twórczości autorki, która w tym zwięzłym poemacie symfonicznym rozśpiewala aż pod niebiosa geniusz, przyrodę i nędzę człowieka, przeistaczając lichą mieścinę żydowską z księżycem i pieśnią przygodną w symbol dźwigającej się ku szczytom gehenny.

Cecora, przez Kazimierza Glinskiego. — Kunszt historyczny pociąga ku sobie dwa odrębne typy twórcze: wskrzesiciela i junaka. Pierwszy (np. Flaubert), uzbrojony bezdenną wiedzą i olbrzymią potęgą widzenia, wkopuje się w piramidy przeszłości, by ukazać się nam w prześwietlonych jak alabaster świątyń głazach niby płomienisty duch odrodzonego ich życia. — Drugi, szukający rozkiełznania swej natury, znajduje szerokie pole harców w bujnych i barwnych perspektywach dziejowych i bierze od nich ton i rytm dla bardziej osobistych wypowiedzeń. — Do tych ostatnich należy autor „Ceco-

ry,“ — co go jednak bynajmniej nie rozgrzesza z win nierówności, pośpiechu, braku należytego przygotowania, oraz posiłkowania się komunałami tradycyi, zamiast przeniknięcia się głębszego jej duchem. Błędy te rażą głównie w scenach rodzajowych i w typach oddzielnych, gdzie przeważa szablon, gruby szkic i oleodruk (Plichta, Adme, Kopyciński, Halszka). Olbrzymia postać Żółkiewskiego narzucała się wyobraźni autora, lecz nie zdołał jej ogarnąć i zgruntować, skutkiem czego sterczy jak wielki znak zapytania. Za to masy wojenne są traktowane z Kossakowskim rozmachem, pstrocizną chorągwianą, fantazyą szlachecką i temperamentem, a bohaterski odwrót wojsk ku Dniestrowi i straszliwa klęska końcowa tchną prawdziwym duchem eposu i godne są stanąć w rzędzie z najtęższemi rozdziałami naszej powieści dziejowej.

Z ciężkich dni, przez T. T. Jeża. — Jedna z lepszych powieści autora. Obraz rodzajowy z czasów Korybuta i Sobieskiego. Krwawy czas kozacko-tatarski w odniesieniu do futorów kresowych. Miniatura pełna życia, szczegółów charakterystycznych (tak drogich autorowi), owiana urokiem dum, tajemniczością tych niedoszukanych po lasach, burzanach i bodiakach gniazd i kryjówek, tętniących życiem dręczonej wojnami rzeczypospolitej. O kilka staj groza Dzikich Pól. — Język twardy, lecz rdzenny. — W wycieczkach dydaktycznych i satyrycznych znać typ umysłowy stempła epoki t. z. „organicznej,“ który zaczyna brzmieć archaicznie, mieć pewien powab „patyny.“

Brzydka, przez Michalinę Domańską. — Zarody cennych zalet: szczerości, prostoty, powściągliwości, zmysłu kompozycyjnego, samoistności. Pragnęlibyśmy rozszerzenia ciasnego horyzontu umysłowego i wrażennego i, co za tem idzie, istotniejszej krystalizacyi wrażeń. — Głębsze znurtowanie treści byłoby autorkę przywiodło do odkrycia, w fatalizmie bohaterki, kwestyi *temperamentu* raczej, niż zewnętrznego wyglądu, a tem samem obaliło wraz z tytułem i panieńską banalność idejki utworu oraz jej przedstawienia.

W pół drogi, przez J. Sielskiego. — Zasadniczy błąd tej ciekawej powieści, jeśli pominąć już jej „kluczykowość,“ polega na tem, że jest *zajmująca*. Znaczy to, że autorowi chodziło więcej o *zabawienie* czytelnika, niż o *stworzenie rzeczy pięknej*, więcej o tok, o „fabułę“, niż o treść wewnętrzną, więcej o anegdotę, niż o formacye duchowe. — Wynikiem a także przyczyną jest *rozproszenie* wrażliwości i umysłu, chwytające pierwsze lepsze środki dla wypowiedzenia swej wizyi, zamiast ją zgęścić, skrystalizować w kształt ściśle odpowiedni, niezmienny. Znamienną jest wypływająca ztąd *bezsilność* autora, który z żywiołów duchowych, bądź co bądź bogatych, i z ich zderzeń

nie umiał wyprowadzić ani jednej nuty dramatycznej lub lirycznej prawdziwie mocnej. — Po za nużącą rozwlekłością opowiadanie to razi jeszcze zbyt mechanicznem wzorowaniem się na szablonie powieściowego przekładańca francuskiego.

Biała, przez Wiktora Gomulickiego. — Książka ta jest wymownem świadectwem spustoszenia, jakiemu twórcza moc artysty poddlega nieuchronnie, gdy się poniży do cudzołóstwa z uprzejmością kompromisową. — Znak od obroży znośnym jest jeszcze na szyi kundla,—lecz przetarte nią kręgi wilcze są widokiem wprost dręczącym.— A jednak takie wrażenie wynosi się z nowel Gomulickiego. — Jest on urodzonym artystą, a przytem świadomym mordercą własnych natchnień, paktującym z armią komunału. — Rasowy instynkt odkrywcy, natura Farysowa, wyraża się w niniejszym zbiorku doborem treści, wyrazistą linią szkicową, stylem kutym misternie; — zaś tresura dziennikarska — zawracaniem Pegaza do stajni u pierwszego rozstrzygającego „wozu, przewozu,“ przebiegłem przyprawianiem garnków glinianych zamiast głów swym zastanawiającym rzeźbom, i akordów kadrylowych swym subtelnym i niepowszednim motywom. — Tak się dzieje w „Białej,“ znakomicie zaczętej i marnie dokleconej historyi odrodzenia duszy padłej. — Tak samo w innej noweli, „Te przeklęte czarne oczy,“ gdzie treść Poe'owską ucina patologia. — „Chałat,“ pełny życia w każdym z osobna okresie, w całości jest bez charakteru, gdyż rozwiązanie zostało jakby umyślnie osłabione. — „Alleluja,“ oparte na ogranej aryi „bankructwa wiedzy,“ mimo tragizm przygody (samobójstwo myśliciela) pozostawia chłodnym i sceptycznym co do szczerości autora. — Nie rozgrzewają również „Kwiaty z lasu,“ proza poetyczna, a raczej upoetyzowana, sztucznie liryczna, bezwonne kwiaty z najpiękniejszej bibuły, strojące martwość ogólników t. z. pesymistycznych.

Z minionych dni, przez G. Daniłowskiego. — Autor nie zdążył jeszcze urodzić się z Żeromskiego, w którego łono popadł z iście niewieścim talentem medyumicznym. Tyczy się to zarówno idei jak nastroju, kompozycyi jak stylu, typów jak efektów, krajobrazu jak psychologii. Tablicy porównawczej, jako łatwo przez każdego dającej się uskutecznić, nie podajemy, zaznaczymy tylko, że o ile Żeromski w Żeromskim przykuwa uwagę, o tyle Żeromski w Daniłowskim nudzi i usypia. — Reszta, którą osiągniemy z działania: „Z minionych dni“ minus „Promień“ i „Ludzie bezdomni,“ jest już niezaprzeczoną własnością autora i przedstawia się jako pogodna i świeża *epiczna* wrażliwość, (skrajnie przeciwległa ponuremu liryzmowi zapożyczonemu u Żeromskiego), lubująca się zwłaszcza w świe-

cie dziecięcym, który z wielkim wdziękiem przedstawiony został w „Nocy Świętojańskiej,“ najlepszym a raczej jedynym dobrym „fragmencie“ powieści. — Autor, po za tem, grzeszy zbytnią ufnością w uczuciowość czytelnika, której każe „dośpiewywać“ za wielkie partye bohaterskie. — Czyżby tenor artysty nie dopisywał w nutach wysokich i chronił się ostrożnie za wrzawą chóru? — Przypuszczeto, mało, zaiste, pochlebne, nasuwa się nieodparcie. Wierzymy bowiem, iż rzeczy najbardziej niewymowne, gdy opanują duszę twórcy z siłą imperatywu, czyli wytworzą w niej jedyny stan godny aktu tworzenia, — muszą znaleźć właściwą drogę wyrazu, symboliczną lub inną, i tę pełnię ekspresyi, do której nieubłaganie dąży wezbrana psyche artysty, gardząca wszelkiemi, choćby najszczytniej opatentowanemi półsrodkami.

Złudzenia, przez Rawitę. — Humor nieszkodliwy, przechodzący chwilami w ciętość satyryczną, niekiedy ginący w spokojnej melancholii („W starej wieży“). Werwa pobieżna, chwytająca tu i tam — od niechcenia — źdźbła życia; dyalog wartki, niekiedy twórczy. — Zupełny brak patosu, stałe przebywanie w strefie umiarkowanej, nawet gdy temat potrąca o tragedye i nawet przy skłonności do treści dramatycznej („Andzia,“ „Czy to było,“ „Nastusia“). — Zapach dobroci. — Jednem słowem, organizacya „ogromnie nasza,“ co niestety jeszcze nie pasuje na rycerza sztuki. — W sposobie tworzenia Kraszewszczyzna.

Widmo, przez Pawła Bourget'a, przełożyła p. Neufeld. — Jeden z przeciętnych fabrykatów tego pisarza, — czułostkowo - subtelna „piła,“ pełna „psychologicznej“ zawiłej rozwlekłości, ozdobiona „wynalazkami“ (trouvailles) stylu i myśli. — Skomplikowana, pracowita i nikła budowa, oparta na fundamencie powikłanych misternie sytuacyj namiętnościowych, z dramatem „zagadek“ na parterze, niedopełnionem samobójstwem na pierwszem piętrze i białą chorągwią rezygnacyi praktycznej na dachu.

W Jego ślady, przez Karola M. Sheldona, przełożył W. Szukiewicz. — Powieść na tle propagandy „uczennictwa Chrystusowego“ w Ameryce, — ściślej mówiąc, protokół próby praktycznej „wprowadzenia Chrystusa do business'u,“ z całą podobnych dokumentów oschłą konsekwencyą, uprzyjemnioną bezwiednym i wprost amerykańskim komizmem parlamentarnego spotkania się betleemskiej poezyi ewangelizmu z kupiecką trzeźwością Yankesów. — Charakterystyczne dużą siłą moralną i zupełnym brakiem metafizyczności oraz artyzmu i wyobraźni, której nie potrafiły rozruszać takie prometejskie i pod nosem leżące tematy jak olbrzymie masy ludowe ame-

rykańskie, sfera działań propagandy, — i jak łamanie się instynktów kupieckich z imperatywem miłosierdzia, rehabilitacyi bezwzględnej.

Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kolekcyonerstwo dzieł sztuki — wszystko jedno, czy to ekskluzywnie, zazdrośnie miłośnicze, czy ekspansywnie, szeroko pedagogiczne, czy nawet wyraźnie handlowe, pośredniczące — *o ile tylko nie idzie biernie za modą, reklamą, popytem czy rozgłosem, lecz opiera się na samodzielnem, głębszem znawstwie i zamiłowaniu gorącem*, jest zawsze i wszędzie, nawet w krajach posiadających bogate muzea i galerye publiczne, niesłychanie dodatnim czynnikiem kulturalnym. Żywym tego przykładem i dowodem jest Paryż. Mimo wspaniałych muzeów, Luwru, Luksemburgu i innych, mimo corocznych oficyalnych, liczebnie jak nigdzie bogatych salonów i wystaw, mimo coraz nowych artystycznych urzeczywistnień na wielką skalę, monumentalnych budowli, pomników, fresków i t. p.,— międzynarodowa stolica nadsekwańska nie byłaby takiem jedynem w świecie ogniskiem ruchu artystycznego, gdyby nadto nie miała swoich — nazwiska biorę pierwsze lepsze — Goncourt'ów i Duret'ów, Hayem'ów i Caillebotte'ów, Durand-Ruel'ów i Vollard'ów, i wielu, wielu im podobnych. Dzięki tymto znawcom i zbieraczom zapalonym rozwinęła się — rzec można śmiało — cała nowa sztuka francuzka, dzięki im wywalczyły sobie prawo do życia nowe kierunki i nowe indywidualności, odpychane uparcie przez oficyalne salony i galerye, dzięki im francuzka krytyka artystyczna mogła wydobyć się z formułek i rutyn akademickich, a nie wpaść jednocześnie we frazeologię bez treści, dzięki im każdy inteligentny paryżanin czuje dziś tak samo potrzebę posiadania lub przynajmniej widzenia dobrego obrazu czy rzeźby, jak dotąd czuł potrzebę pójścia na koncert czy do teatru, lub przeczytania książki. Muzeum luksemburskie, mające reprezentować dzieje sztuki współczesnej, niewytłómaczonemi i oburzającemi świeciłoby lukami, gdyby nie taki Caillebotte, który, wbrew niechęciom, przemocą niejako wcisnął do niego przepyszny zbiór impresyonistów, albo taki Hayem, który królewsko obdarzył je kilkudziesięciu wspaniałemi utworami Gustawa Moreau. Kto dziś jeszcze chce zobaczyć większą ilość doskonałych Manet'ów czy Puvis de Chavannes'ów, idzie nie do żadnego muzeum, lecz do Durand-

Ruel'a, a kogo zaciekawiają usiłowania najnowsze, ten już pod żadnym pozorem nie powinien ich szukać w salonach urzędowych, lecz u zbieraczy prywatnych i u zamiłowanych, stylowych kunsthandlerów, którzy rozsiedli się na stokach wzgórza montmartre'skiego. — I społeczeństwo zatem, i krytyka (*resp.* historya sztuki), i sztuka sama — nader wiele mają kolekcyonerstwu do zawdzięczenia. Zapewnia ono artystom (zwłaszcza zaśmiałym i przeto nieuznawanym przez czas dłuższy nowatorom) zbyt prac, a więc spokój materyalny, konieczny do dalszego tworzenia; zapobiega bezładnemu rozpraszaniu się dzieł sztuki, skupia je w grupy o mniej lub więcej wyraźnej myśli przewodniej i ułatwia przez to ogólniejsze krytyczne rzuty oka na pewne całości; promieniuje wreszcie naokół, powolniej lub szybciej, lecz niewątpliwie — i niepodobna wprost obliczyć jego wpływu na wzrost, w coraz szerszych warstwach społecznych, tych tak bezużytecznych z ciasno praktycznego punktu widzenia, lecz tak niewymownie uszlachetniających, powiedziałbym: uczłowieczających potrzeb i zamiłowań estetycznych. — Cóż dopiero mówić o znaczeniu kolekcyonerów i kolekcyonerstwa tam, gdzie niemasz muzeów, galeryj, pomników, budowli monumentalnych, wszystkiego, jednem słowem, co kształci wrażliwość estetyczną ogółu, a malarzom i rzeźbiarzom daje pole do pracy; gdzie nietylko z publiczności, ale i z pośród artystów mało kto widział czy to arcydzieła czasów minionych, czy najnowsze świetne realizacye w dziedzinie sztuk plastycznych; gdzie krytycy dziennikarscy najdziksze, najbezmyślniejsze szerzą o sztuce wyobrażenia; gdzie śród ogółu zupełna panuje względem niej obojętność; gdzie ludzie, jak mówi Norwid, „zaledwie biernie albo wypadkiem obznajmiają się z tym przedmiotem"? Tam zbiory prywatnych znawców i miłośników zastąpić muszą wszystko, muszą stać się jedyną ostoją sztuki, jedyną podporą artystów, jedyną nadzieją i zarodkiem jakichś przyszłych muzeów czy galeryj publicznych, jedynem źródłem kultury artystycznej. Rzecz prosta wszakże, iż nastąpić to może o tyle, o ile kolekcyonerzy zdadzą sobie sprawę z niezwykłego, wyjątkowego położenia i zrozumieją konieczność wyjątkowego również rozszerzenia swej działalności normalnej, a przedewszystkiem nieodzowność udostępnienia swych kolekcyj do najmożliwszych granic. Niemiło, to prawda, wynosić rzeczy, które się kocha i czci, na wrzawliwy i gruboskórny rynek. Uwagi, sądy, dowcipy niekulturalnego, a skutkiem dresury dziennikarskiej śmiesznie zarozumiałego tłumu przykro nieraz urazić mogą najgorętsze umiłowania znawcy-zbieracza. Cofać się jednak przed tem niewolno, choćby ze względu na zgubioną śród obojętnej czy naigrawającej się

publiczności garstkę pragnących, dla których szlachetny zbiór dzieł sztuki będzie snadź czekanem objawieniem, skrzepieniem dusznem, podnietą twórczą. To jest właściwy posiew na przyszłość, dla którego wiele znieść warto. Co do mas — kulturę ich zostawić trzeba czasowi. Od owych nielicznych iść będą niby coraz szersze koła na wodzie — i stworzy się ona, o ile to wogóle możliwe, zwolna i mimowiednie. Wszelkie gwałtowne i niecierpliwe prozelityzowanie wytwarza snobów jedynie. Na początek dość, jeśli w szerszych warstwach zbudzi się zaciekawienie i choćby powierzchowne zajęcie.

(Dokończenie). Z. P.

VARIA.

Wydanie zbiorowe utworów ś. p. Kazimiery Zawistowskiej ukaże się, dzięki staraniom brata zmarłej poetki, p. J. Jasińskiego, który wespół z p. Wł. Perzyńskim uporządkował puściznę rękopiśmienną, — za kilka tygodni. Korzystając z dobrej woli wydawcy, jesteśmy w możności dać czytelnikom naszym wybór tych niezwykle pięknych poematów w niniejszym i następnym zeszycie *Chimery*.

Franciszek Wojtala, nader zdolny artysta rysownik, po niedługiem, lecz, o ile wiemy, bardzo ciężkiem życiu, zmarł w Monachium. Jeszcze jedna, zda się, ofiara „kalwaryj sztuki," na których ginie, bez pomocy, współczucia i uznania, tylu naszych młodych artystów. — Ukończywszy t. zw. Kunstgewerbeschule, nieboszczyk poświęcił się wyłącznie rysunkowi zdobniczemu. Miał wielkie poczucie linii, plamy, ornamentu, a zwłaszcza w inicyałach głębokotwórczym wprost okazywał się artystą. Niezadługo przed ostatnią chorobą zmarłego, zdołaliśmy wejść, z nim w stosunki, i pozyskane wówczas dla *Chimery* inicyały będą może jedynemi jego pracami, jakie doszły do kraju, gdzie rysunek zdobniczy był oddawna zupełnie prawie ignorowany. Z kilku listów, które odebraliśmy wtedy od ś. p. Wojtali, pozostało nam wrażenie natury jędrnej, krzepkiej, po której, przy bardziej sprzyjających okolicznościach, wiele spodziewać się było można. Żegnamy go z żalem szczerym serdecznemi słowy.

Adolf Dygasiński

ur. w Niegosławicach r. 1839 — zm. w Grodzisku d. 3 czerwca 1902.

W epoce, która zgasiła, zda się, wszelkie zapały szczere i bezinteresowne, był entuzyastą do głębi serca i do ostatniej życia chwili. Na wrzawliwem targowisku literacko - dziennikarskich egoizmów, spółzawodnictw, obłud i kompromisów, zachował do końca czystość duszy, prawość charakteru, męzką odwagę i szlachetną otwartość. Jako twórca, miał — że użyjemy słów Guyau — wieczną nowość wyobraźni, wieczną świeżość wrażeń, wieczne dziecięctwo duszy, których tryumf — czasem świadomy, częściej bezwiedny — nad zacieśniającemi widnokręgi, takiemi czy innemi doktrynami obdarzał wszystkie, nawet mniej doskonałe jego rzeczy jakiemś dziwnie rosistem tchnieniem życia. Jako artysta, nie uważał nigdy literatury za fach, za rzemiosło, za sposób zarobkowania, nie pisał nigdy „jak maszyna“, dawał tylko wtedy, gdy miał co do dania, tworzył tylko, nigdy nie „po-tworzył.“ — Dla tego, do końca pozostał młodym; dla tego, u schyłku żywota mógł zbogacić piśmiennictwo jednym z najpiękniejszych swych poematów, owemi bojanowsko prostemi, a tak bezbrzeżnie i bezdennie, jak życie samo symbolicznemi „Godami życia;“ dla tego, nie potrzebował — jak pewni „starzy,“ z trwogą i niechęcią patrzący, z punktu widzenia misy, na powstawanie nowych pokoleń twórczych — obawiać się ich nadejścia; dla tego, drogim nam był i blizkim zawsze, droższym może i bliższym niż niejeden z rówieśnych; dla tego szczyciliśmy się, że ostatni zamierzony swój utwór (owe wspaniałe „Dęby,“ których, niestety, już nie dokończył) zechciał *Chimerze* przyobiecać; dla tego, gdy odchodził, z głęboką i serdeczną żegnaliśmy go żałością. — Inni wdzięczni mu byli, lub wdzięczność byli winni, za zasługi naukowe, pedagogiczne. publicystyczne, obywatelskie, — my czciliśmy go i kochali jako rzadki wzór pełnego, jednolitego w życiu i w twórczości człowieka, oraz jako twórcę wielkiego, nowego, samoistnego, ciągle naprzód i ciągle w głąb' się posuwającego. Był to jedyny może w swoim rodzaju malarz i piewca *życia,* — nie chłopów, nie zwierząt, lecz życia, jednego, powszechnego, wszystko ogarniającego, przelewającego się

jednako przez wszystkie zjawiska i będącego najwyrazistszem snadź uzewnętrznieniem i najlepszym dowodem jedności bytu. Pierwsze „nowele zwierzęce,“ w których Dygasiński wyprzedził różnych sławnych Kiplingów, a które w swoim czasie takie u nas wywołały zdumienie, że jeden *Przegląd Tygodniowy* śmiał je drukować, były niegorszemi, może lepszemi od Kiplingowskich obrazami bardzo pulsującej, pozwalającej wyczuwać ukryte głębie, ale jednak zewnętrznej raczej strony życia. Mnogość zjawisk zasłaniała jeszcze prąd jedyny i powszechny, za szczegółami ginęła poniekąd istota rzeczy — i ztąd, przy współdziałaniu doktryn przejściowych, powstawać mogły pewne zbłąkania się na migotliwej zdarzeń powierzchni, pewne omyłki we wnioskach i uogólnieniach, pewne płytkości w teoretycznym światopoglądzie, których przykładem jest, dajmy na to, ów słynny, acz co chwila w mimowolnych z dna duszy błyskach zaprzeczenie znajdujący pesymizm Dygasińskiego. Ale gdy różni Kiplingowie pozostali w miejscu, nie zdołali wyjść z granic jakiejś aposteriorycznej, ku zewnętrzności raczej zwróconej *psychologii* życia, on rozrósł się niby dąb krzepki, spotężniał, wyogromniał, ramiona wyciągnął aż ku słońcu, korzenie zapuścił aż ku dnom, aż ku praźródłom życia, aż ku jego istocie; gdy oni zatrzymali się w pewnej, bądź co bądź, anegdotycznej opowiadawczości, w sferze zmiennych i przemijających faktów, on, odsłaniając, przez cudownie intuicyjną, eliminującą wszelkie zbyteczne szczegóły syntezę, wiekuisty, jedyny, niezmienny prąd życia, w eposowy, — co mówię? — w przedhomeryczny jakiś, orfeuszowski czy bojanowski uderzył ton, w którym prostota największa z największą wiąże się głębią. — I dostaliśmy „Gody Życia,“ ten ostatni testament autora, ten klucz do całej jego jego twórczości, do całej jego duszy, ten hymn promienny, „otwierający Życiu dłonią przeczystą bramy nieśmiertelności...“ — I żal milknie, bo żyje ten, co pieśń taką dał, i w duszy wzbiera podziw i radość, radość słoneczna...

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 13.— Juillet 1902.

TEXTE: Cyprien Norwid—*le Silence;* C. Zawistowska—*Choix de poésies;* M. Komornicka—*La possédée;* Th. Miciński—*le Crépuscule des étoiles;* J. P. Jacobsen—*le Docteur Faust; Ici devraient fleurir les roses;* deux *Arabesques;* H. Marcinowska — *Dans les abîmes;* J. Zeyer — *La maison „à l'étoile submergée";* G. Pascoli — *l'Immortalité, Felicitas, le Livre;* E. Hello — *la Ville où l'on n'a pas le temps, les Grands Hommes;* J. Lemański — *les Voisins, fable ironique.* — Revue du mois: *Glosses, les Poèmes, les Romans, Art plastique, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: l'Adoration des Rois, peinture du maître inconnu de l'école corporative de Cracovie (XV siècle), reproduite en phototypie chez B. Wierzbicki et C-ie à Varsovie.

DESSINS DANS LE TEXTE—de Aubrey Beardsley, Hokusai, Korin, E. Okun, M. Wawrzeniecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE de J. Mehoffer.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.

Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. p.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

CHIMERA



TOM V ∘ ZESZYT 14 ∘ SIERPIEŃ 1902
REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WARSZAWA ∘ NOWY ŚWIAT 22

TREŚĆ.

TOM V ZESZYT 14. — SIERPIEŃ 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym
B. WIERZBICKIEGO i S-ki.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1902 года.



CHIMAERA

CZĘŚĆ DRUGA. WŁAŚCIWA: GRAMATYCZNA, FILOZOFICZNA I EGZEGETYCZNA. *II.*



iech pp. gramatycy zechcą wytłómaczyć wszystkim lingwistom Europy i Ameryki, tudzież wszystkim osobom umiejętnym: JAK TO SIĘ ZROBIŁO, ŻE CAŁA JEDNA CZĘŚĆ MOWY JEST OPUSZCZONA WE WSZYSTKICH GRAMATYKACH WSZYSTKICH JĘZYKÓW?

Czy nie byłoby to z przyczyny, iż nienazbyt często oneż gramatyki dają DEFINICYĘ CZĘŚCI MOWY?..

Nic tego nie wiem... Sam zaś, o ile dane mi jest znać, głoszę, iż cała jedna MOWY CZĘŚĆ jest z dotychczasowych gramatyk wypuszczoną. I to ta, na której buduje się i osklepia frazes — i nietylko nawet jeden frazes, lecz i następnego logiczne zagajenie,

i trzeciego, i czwartego wątek etc... Częścią tą mowy jest: PRZEMILCZENIE... Montesquieu nie powiada nic nieznanego, skoro mówi, iż daleko więcej od mówienia wyrazić może i wyraża nieraz MILCZENIE. Lecz, otóż to jedno tylko gdyby jego było atrybutem i świadectwem, jużci, że TO, CO OD MÓWIENIA WIĘCEJ WYRAZIĆ MOŻE, musiałoby być MÓWIENIA CZĘŚCIĄ. Pretensya zdaje się być dosyć usłusznioną!..

Milczenie więc, a mówiąc w zastosowaniu praktycznem: PRZEMILCZENIE, jest niezawodnie częścią mowy. Prawda nazbyt duża, ażeby jej nie przeczuwali pp. gramatycy, i ażeby nie podejrzewali, że jest jeszcze coś SEMIPSYCHOLOGICZNEGO do objęcia; ale poczęli sobie oni w tym względzie najniezgrabniej i prawie zabawnie, bo uczynili CZĘŚCIĄ MOWY WYKRZYKNIK! Zaś wykrzyknik nietylko policzać trudno do zasadniczych gramatyki posiadłości, z przyczyny, że jest on pozaskładniowym, bo cały się na wyrzutniach i niegramatycznościach buduje; ale i z tej, że, właściwie mówiąc, tylko tam brzmi wykrzyknik, gdzie nie jest deklamacyjnie zastrzeżonym i nakreślonym, lecz gdzie sam z ustroju słów gwałtem się wyrywa... Są wprawdzie osoby, które dwa i trzy wykrzykniki w jeden punkt kładą, ale to wcale rzeczy nie pomaga, ani nic w niej nie wzmacnia.

Co więcej, wykrzyknik nietylko powodować nie zwykł następstw budowania wypowiedzeń, lecz właśnie, że je zatrzaskuje i urywa. Nie można więc było niewłaściwszego zrobić wyboru.

Inaczej zupełnie jest z PRZEMILCZENIEM, które (według mojego twierdzenia) będąc żywotną częścią mowy daje się naprzód w każdem zdaniu wyczytać, a potem jest logicznym następnego zdania powodem i wątkiem. Tak, iż to, co DRUGIE z porządku zdanie głosi i wypowiada, było tylko co PIERWSZEGO zdania niewygłoszonem przemilczeniem, a to co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte, w trzeciego... i tak, aż do dna treści, która tym dopiero sposobem jest rzeczywiście wyczerpaną na mocy logiki w takowym procesie dotykalnie objawiającej się.

Pp. gramatycy zaprzątać się zwykli jakąś abstrakcyjną mową, której niema. Mowa, DLA TEGO, ŻE JEST MOWĄ, musi być nieodzownie DRAMATYCZNĄ! I jakże byłaby inaczej mową? — MONOLOG nawet jest rozmową ze sobą albo z duchem rzeczy. Zdania tak abstrakcyjnie bladego, któreby wcale nie przynosiło ze sobą PRZEMILCZENIA, prawie niepodobna jest wymyśleć! I gdyby się takowe złożyć udało, to musiałoby ono być nienależącem do ogółu żadnej żywotnej mowy.

Skoro mówisz:

„JAKŻE MI SIĘ MIEWASZ, PRZYJACIELU?"

Przemilczane w tem jest:

— Dość dawno Cię nie spotkałem lub nie widziałem, ażeby tem żywiej zapytać—„jakże mi się miewasz, przyjacielu?" — A to przemilczenie wstępne będzie zaraz wygłosem zdania następnego, i tak dalej.

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu? albowiem

dość dawno nie widziałem Ciebie, ażeby tem żywiej o to pytać.“

Podobnież, i w następnem zdaniu:

— NIE NALEŻY BYĆ O WIELE JAŚNIEJSZYM O PRZEDMIOTU — przemilczane jest:

— przedmiot każdy ma sobie odpowiedni stopień światła, pod którego wpływem najstosowniej przedstawia się — a przeto:

„NIE NALEŻY BYĆ O WIELE JAŚNIEJSZYM OD PRZEDMIOTU“ i t. p...—Czyli, toż samo wybrzmi przy następnem rozwinięciu rzeczy i przy stopniowej przemianie przemilczeń na wygłosy:

— Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu, każdy albowiem ma sobie odpowiedni światła stopień, pod którego wpływem się najsłuszniej przedstawia, i t. p.

Z tej to pochodzi właśnie przyczyny, co Montesquieu za innymi powiada o WYRAŻENIA MOCY WŁAŚCIWEJ PRZEMILCZENIU. I tę to więc moc jużci że posiadać musi przemilczenie, skoro (jak okazaliśmy wyżej) radykalny ma związek tak z każdem pojedyńczo zdaniem, jak i z całością budownictwa mowy. Czyli, że, nie będąc pierwej do tyla istotną częścią mowy, jakżeby cośkolwiekbądź uwyraźnić było w możności?..

GRAMATYCZNE i LOGICZNE nasze w tym przedmiocie poglądy, cokolwiek może skąpo, lecz stosownie do objętości niniejszego pisma, na tychto skreślonych powyżej zamykając,—przejdźmy do egzegetycznej i filozoficznej tegoż obrazu części.



ilozoficzne Pythagorasa MILCZENIE (którego znaczenia dotąd nie wyjaśniła żadna egzegeza) przychodzi nam tu opowiedzieć i sprawozdać na mocy osobistych naszych poszukiwań. Niekoniecznie dla tego, ażebyśmy to MILCZENIE mieli za Pythagorasa i jego zwolenników pomysł i wynalazek, tylko z tej przyczyny, że do nas doszła wiadomość o niem przez tę drogę, bo my przez historyę Pythagorejczyków o tej praktyce dowiedzieliśmy się. Rzecz zaś sama ani nawet egipską, nietylko grecką i Pythagorejską nie jest, lecz z najstarszych azyackich religijno-filozoficznych teoryj i praktyk płynie, a dopiero zaczerpnął jej był Pythagoras w Babylonie za czasu swej i wędrówki i niewoli.

Lecz czy nawet dziś, przy zupełnem rozbałamuceniu czytelnictwa, może znaleźć się taki lekkomyślny czytelnik, który, przed oczyma mając, że Italskiej szkoły Mistrz żądał był od poczynających uczniów DWA, TRZY, PIĘĆ i SIEDM lat milczenia, nie zastanowiłby się na chwilkę, iż tenże nie mógł przecież z onymi jak oficer z żołnierzami postępować, samym rozkazem nagim rządząc się, ale, że musiał on zalecenie takowe, a nienajponętniejsze, jakiemś usłusznieniem zadatkować.*) Wypoczęta od zewnętrznych nadużyć i w normalny wprowadzona stosunek harmonia pomiędzy uchem ZEWNĘTRZNEM a WEWNĘTRZNEM, pomiędzy PATRZENIEM OPTYCZNEM a WIDZENIEM—niemniej DOTYKANIEM, niemniej SMAKIEM... słowem, odbudowanie całej postawy zmysłowej człowieka, długim spokojem milczącej ciszy pozyskane, nie wiem nawet, czyli byćby mogło wystarczającą zapowiedzią... Myślę, że nie!.. myślę, że egzegeza tej ciemnej treści, takie tylko dająca tłómaczenie, byłaby przestającą łatwo na nabytkach nieco podrzędnych. Tam — to jest, pomiędzy Mistrza wnioskiem a przystępującego doń wolą—szło o coś pełniejszego od dyscypliny rad, o coś tak bezpośrednio żywego, iż tem sa-

---

*) Głosi się wprawdzie, iż Pythagoras względem uczniów swoich używał SŁOWA-WŁADZY Mistrzowskiego, co śród kilkuset osób razem żyjących mogło miewać swoje administracyjne zastosowanie. — Lecz tego inaczej u „PRZYJACIELA MĄDROŚCI“ brać nie można. Mowa zaś jest o PRZYSTĘPUJĄCYCH do Pythagorejskiej inicyacyi, nie o spółzamieszkałych. *C. N.*

mem zakląć dawało się cząstkę życia człowieka rozumnego i onąż umartwić. O co zaś szło tam?.. podobno, iż mnie zakrytem nie jest, albowiem dość uważnie poszukiwałem tego—lecz, ażeby tak niemałą sprawę bezpiecznie wypowiedzieć, należy mi siebie poniekąd aż do swojego osobistego przekonania filozoficznego pierw urzetelnić.

— To jest: iż NIE MYŚLĘ WCALE, AŻEBY WYSTARCZYŁO CZŁOWIEKOWI, GDYBY WIEDZIAŁ WSZYSTKO! MYŚLĘ OWSZEM, — ŻE CZŁOWIEK POTRZEBOWAŁBY ZAWSZE WIĘCEJ... — (Jakto? WIĘCEJ NIŻ WSZYSTKO?!..) — CZŁOWIEK POTRZEBOWAŁBY (MÓWIĘ) WIEDZIEĆ, KAŻDEJ PORY, DOBY, I CHWILI, I OKOLICZNOŚCI, WSZYSTKO TO, CO W TYCH RAZACH I WZGLĘDACH WIEDZIEĆ ON, JAKO ON, POWINIEN, I JAKO SPOŁECZEŃSTWA LUDZKIEGO CZŁONEK.

— To zaś wydawa mi się być WIĘCEJ NIŻ WSZYSTKO, albowiem toć jest wszystko, więcej znajomością i samejże niewiedzy i jej pomiaru.

Za dostojniejszą rzecz uważając otwarty w filozofii błąd, niż trującą umysły nierzetelność, wypowiadam zdanie moje prostotliwie. Zaś to podzielone (lubo i wyjaśnione przeze mnie) pojęcie było właśnie że pojęciem onej heroicznej filozofii, o której Mysteryach gdy się tu rozpoczęło mówić, wypadło nam przypadkiem nie utaić wyznania osobistego. Obraz albowiem takowy poszukiwanej dawno mądrości, może dałby się i dziś tem usłusznić, iż, jeżeli widzimy, że przy spółcześnie

panującym podziele na umiejętności ten albo ów specyalny pracownik stawa się z czasem jakoby doskonałą machiny częścią lub wytwornem narzędziem, tedy, dlaczegożby tejże samej wprawy nie nabierał i ogólną treść prawdy praktykujący umysł całego człowieka wedle machiny ogólniejszej?.. Myślę owszem, iż tam nasza podzielona na specyalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak, jak CZĄSTKOWOŚĆ SPECYALIŚCI, uwłaszczyć sobie biegle potrafi NIECZĄSTKOWOŚĆ...

Dostąpienie przeto, zbliżenie się albo zbliżanie do kanonu wiedzy, określonego i uczytelnionego powyżej, było zapowiedzią obiecalną przyjacielowi-wiedzy, przedsiębiorącemu MILCZENIA PRAKTYKĘ, którą zalecano i praktykowano dawno w pierwszych i nieledwie że najstarszych azyackich szkołach proroczych. *) EZECHIEL tegoż samego dotknął był, i tak samo w Babylonie jak Pythagoras. Co do swojej idei, budowała się rzecz ta na pojęciu PARABOLI w najgłębszem i najszerszem onej znaczeniu; zaś, co do praktyki, szło o osobiste zestosowanie ustatkowanego swojego myślnego organizmu do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia MONOLOGU WIECZNEGO, i to na takie zbliżenia lub oddalenia, do jakowych ta albo owa osobistość rzetelnie się mogła była doprowadzić... Wytłómaczmy się więcej szczegółowo:

---

*) Podobno dopiero za panowania Oziasa stanowi się epoka istotnej jawności proroctw przez odezwy zupełnie publiczne i przez pismo. Uprzednia zatem epoka nie taką samą musiała być. *C. N.*

Pochopnie, lubo nienajrozważniej, mówi się, że: „PARABOLA NIE DOWODZI NICZEGO...“ Jużci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest DOWIEŚĆ, ale UOCZYWISTNIĆ — jedna zatem parabola OCZYWISTNI, lecz wszystkie razem uważane parabole nietylko że DOWODZĄ, ale dowodzą tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tem!.. Dowodzą one albowiem analogicznego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha... Ztąd to i logicznie podejrzewany MONOLOG NIEUSTANNIE SIĘ PARABOLIZUJĄCY jużci, że, jednem ze źródlisk żywych prawdy będąc, udzielać się miał i mógł na takowe oddalenia albo zbliżenia, do jakich kto osobistym własnego milczenia monologiem rzetelnie się doprowadzić starał i potrafił. Dochodziliż tam MONOLOGIŚCI MILCZENIA? — jużci że dochodzili, skoro dobrze przed Pythagorasem, i nawet dużo później, niektórzy wcale do używalności mówionego słowa nie powracali, daleko więcej (stosownego czasu) wypowiadając przez lada drobny potoczny gest — przez upuszczenie lub podjęcie kamyczka z ziemi, uszczknięcie listka, dotknięcie jednym palcem rzeczy jakiejś pobliskiej. Widoczna w tem, jak dalece życzyli byli sobie na parabolizującym się jakoby bezwzględnie duchu opierać, mimo steru pojedyńczej człowieczej myśli. To tak i tu tłómaczy się i ona pozorna ciemność wyrażeń, i tajemnica rzeczy, i Pythagorasowi przyznawane atrybucye fantastyczne — czy to słyszenia harmonii światów przez RYTM obrotu ich, czy to rozumienia się ze

zwierzęty i pojęcia pieśni stworzenia bezmownego... Wybłyski te geniuszu i te cudowności mogli biografowie anti-Chrystusowi przeciwstawiać i przeciwstawiali żywym jeszcze bardzo wspomnieniom, na wschodzie, osoby, czynów i wędrówek Zbawiciela-świata; lecz, końcem końców, trzeba przecież je było z jakowegoś możliwego dykcyonarza wyciągnąć, który względne swoje istnienie musiał był mieć. Monologiści-milczenia, mniej zapamiętali, później i którzy przy zadaniu ducha ogólnem uprawiali zarówno wyłączne gałęzie wiedzy (a przeto może lepiej obejmowali ogół, iż zarazem i onegoż szczegół uznawali), dochodzili byli do tejże samej furyi profetyckiej, lecz jedynie w wielkich zdarzeniach wyjątkowych. Za czasów bardzo wszechstronnej krytyki i zapewne niemałego światła (bo za czasu SOKRATESA), kiedy jednakowoż lud atheński znalazł się był pod wpływem jednego z tych gwałtownych zawichrzeń sensu publicznego, które z wielkim i chełpiącym się zapałem ojczyznę JAK NAJPROSTSZĄ DROGĄ DO ZATRATY PROWADZĄ... kiedy (historyczniej mówiąc) szło o wydanie i prowadzenie zgubnej wojny na morzu i na lądzie przeciw Syrakuzie i Sycylii, a szał był tak za wojną, iż mało kto na umiarkowańsze zdania światlejszych oglądał się, — człowiek umiejętny i trzeźwy myślą, astronom i matematyk METON (reformator greckiego kalendarza i który pierwszy o ŁICZBIE-ZŁOTEJ pomyślił) nie zabierał głosu śród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ująwszy pochodnię rozgorzałą WŁASNY DOM SWÓJ PODPALIŁ..! Przemowa żadna w najwymowniej patryotycznych

ustach nie mogła była ani lepiej sytuacyi politycznej Athen skreślić, ani jaśniej rezultatów zamierzanej szalenie wyprawy wojennej ludowi przedstawić!.. A lubo naturalną jest rzeczą, iż natychmiast wielu uważało astronoma za WARYATA, tak samo, jak niemało uważało było dawniej Ezechiela za OBŁĄKANEGO, niemniej przeto i jednego i drugiego prorokowanie doszło jednakże do nas. Do tejże samej należy się tradycyi ów, lubo niezmiernie późniejszy, prorok, który, napotkawszy jadącego do Rzymu Pawła (świętego), zdjął ze siebie pas i spętał się sam, dając przez to widzieć, jakie w Rzymie przyjęcie na Apostoła oczekuje. Szkoły tejże samej możnaby się i dziś, lubo w bardzo grubych już kształtach, dopatrzeć, skoroby się uważnie i głęboko pomiędzy spółczesnymi Cyganami poszukało;*) — zaś podobno, że w Persyi estetyczne tradycye w tej mierze dochowały się jeszcze i są wyrażane przez poszukujących ILE TYLKO MOŻNA NAJMNIEJSZEJ LICZBY SŁÓW do powiedzenia jakiej treści. LAKONIZM albowiem, i nawet MONUMENTALNY rzymski styl, nie zkądinąd biorą swoją początek i wypromieją się.

---

*) Cyganie bardzo się kryją ze swemi rzeczywiście starożytnemi tradycyami, a te w zrubasznionych wielce formach i szczupło u nich znajdują się; lecz gdy z jednej wsi byli gwałtownie wyganiani i gdy ogniska zalano im, stara, drżąca cyganka powróciła, wzięła zimny jeden węgielek i schowała go w swoje napierśne odzienie. Kmieć sędziwy, to widząc, rzekł: — „trzeba niezbyt twardo ludzi tych wydalać, bo mogą być POŻARY w okolicy...“ *C. N.*

Egzegezy pod tym względem czynione, jakie posiadamy do dziś, są gorzej niż niegodne przedmiotu. My tu jednakże ograniczać się powinniśmy, nietylko na samą odpowiedniość proporcyj tego szczupłego fascykułu pamiętając, lecz, wspominając sobie zarazem i naszego zacnego, a nawet umiejętnego przyjaciela, któremu jednakże, po wieloletnim pobycie w jednej z najgłośniejszych stolic cywilizacyi, tyle zaledwo starczyło było chwil swobodnych, ile ich potrzeba, ażeby choć zewnętrznie gmach Biblioteki obejść i budownicze wartości jego ocenić lub podziwić. Pamiętny to, zaiste, acz maleńki wypadek! albowiem najniewinniej uparabolizował mi był istotne publiczności spółczesnej obcowanie ze sferą wyrobów umysłowych, i upomniał, do ila nierozwlekłym być wypada... NIE-ROMANSIŚCIE!..

Tego też dnia, a już wieczora, skoro raz w szczupłym parku zaczęło się było przechadzkę, wyprowadziła nas ona daleko poza miejsce dla Biblioteki okoliczne, i znaleźliśmy się na wyniosłości, pod której piersią szeroką przepływało lub wrzało całe ogromnego miasta życie. Imponującym bywa, bo upajającym, ów gwar szeroki, który, urabiając się ze wszech wydźwięków wszystkich działalności i energij, śpiewa sam sobie nieustannie: — „TAKICH TO, JAK JA, PIĘĆ, SZEŚĆ NA ŚWIECIE DZIŚ... TO CAŁA CYWILIZACYA JEGO, I WARTOŚĆ, I SIŁA!“

Jestci podobno tak, zaiste, że kilka ogromnych i nieustannych gwarów kilku stolic stanowi o żywotności historycznej i moralnej naszego świata; lecz, gdyby

się na te huczące morza działalności i energij rzuciło naraz z góry onemi wielkiemi liniami, których zarysem i proporcyą zwykł był Ajschylos postacie dwie urabiać z narodów i kroci, jakieżby tu, z tego, naprzykład, szerokiego tłumu i gwaru zgarnęły się kształty umysłowe? I tak sprawiedliwie otrzymane, jako je Ajschylos otrzymywał, to jest, ażeby postać, milionem będąc, milion ów wypowiadała ściśle, nic poza sobą nie roniąc, lub może tyle zaledwo, ile na upostaciowanie odpowiedniego chóru jej potrzeba...

Spróbujmy!..



użci, ten ogromny gwar i tłum zgarnąłby się naprzód w umysłową postać jedną, która nic innego, nic wtórego, nic godnego względu nie zna, nie dopuszcza i nie poczuwa oprócz SWOJEGO WŁASNEGO I SWOJEJ PASYI INTERESU. Kryć tego ani można, ani godzi się — tak jest. Postać ta znamienita ogarnęłaby i wyraziła większość masy wznoszącej i żywiącej ów kolosalny gwar stołeczny. Postać umysłowa, która pod jakimkolwiek tonem i formą porusza swe płuca i wargi, nic oprócz interesu swojej pasyi nie wygłasza, nie uwzględnia i nie dopuszcza. — Czy ten głos jest przemową parlamentarną, czy filozoficzną apostrofą, czy niewinną romansu formę przybierze, wsłuchaj się weń głębiej i spokojniej, a nie napo-

tkasz nic innego, oprócz monologu pasyi swojej i swego tylko interesu. O ile tym dwóm odbrzmieć może w czemkolwiek ktoś inny, czyja inna sprawa, lub interes, albo myśl, o tyle onemi zajmie się jeszcze ów osobisty monolog, ale zajmie tylko o tyle, i przeto, we wszystkości rzecz swą jedynie ważąc, NIE WYCHODZI on nigdy ze swego PUNKTU WYJŚCIA!..

A nie wychodząc nigdy ze swojego PUNKTU WYJŚCIA, jużci że jest zawsze na miejscu. Tak, iż złudzeniem tylko optycznem powinienby być ruch tej postaci... A nie obejmując z całej wszystkości nic, prócz tego tylko, co do niej się odnieść może, jużci że NIC taka dążność umysłowa nie świadczy i nie wypowiada dla prawdy bezwzględnej — ani jednego słowa nie dodawa do wielkiego bezinteresu wiedzy i uczucia; tak, iż złudzeniem akustycznem powinienby być we większej swej połowie kolosalny ów gwar stołeczny, z którego całokształt JEDEN właśnie podjąwszy, rozejrzeliśmy umysłowy jego charakter.

DRUGIM zaś kształtem z połowy drugiej tłumu i gwaru stołecznego, ogarniętym w niemniej kolosalną postać, byłby znowu umysł poszukujący jedynie, ażeby być upodobanym względem mody czasu swojego i ażeby podobać się... Ten, nim otwiera usta, już odczytał pierw twe mniemania i dopowiada tylko do nich zdania swoje, poczucia swe do cudzych układa, myśli swoje z domyślonemi w drugich myślami wiąże, — a jeżeli pierwszy nigdy swojego PUNKTU WYJŚCIA nie opuszcza, to ten drugi nigdy go i wcale nie miał. Pierwszy jest rozwijającym się nieustannie PERSONA-

LIZMEM, — drugi bezświadomą albo przemysłową ASSYMILACYĄ. — I oto są dwie postawy wielkie, cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar, nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, wyrażające. Zaiste, nienazbyt wysoko potrzeba się wznieść, ażeby, nie usłyszawszy tam ani jednego słowa podniesionego i wygłoszonego dla prawdy bezwzględnej i dla bezinteresu uczucia, pomyśleć słusznie: — jakże wielkiem jest albo bywa MILCZENIEM ten, lubo taki ogromny, gwar i zamęt!?..



dyby literatury ludów nie były żadnemi ogółami myślnemi, intuitywnie zadatkowanemi, lecz żeby się one przez stopniowany dorobek zyskiwało w miarę wzrostu i wydojrzewania człowieczeństwa, tedy dzieła pierwsze musiałyby być pokarmem dziecinnym, i dopiero o wiele późniejsze męskim. Tedy głębokie hymny, tedy moralne poważne zdania, w rym ujmowane, nie byłyby na zaczątku literatur, ani sama nawet potężna epopei istota tak wcześnie rodziłaby się. — Tymczasem, nawet NAJROZSĄDNIEJSZY z mędrców starożytnych Kung-fu-tseu (Confucius) właśnie że swoją, prawie już ministeryalną prozę czerpie z hymnów i pieśni początkowych, i właśnie że z epoki onej, w któ-

rej człowiek winienby był zajmować się bawidłami dziecinnemi. — Rubaszniej wyrażając się (bo spółcześni chcą tej jasności stylu, która jest RUBASZNOŚCIĄ), możnaby rzec, iż powinnyby być na początku literatur KSIĄŻKI DLA DZIECI, gdy tymczasem jest przeciwnie: utwory albowiem nacechowane solennością i uczuciem wielkości są otwierającemi rzecz umysłową.

Mają one, lub miewają, coś naiwnego, lecz nie początkującego dziecinnie, tylko jakoby coś dziedziczącego z charakterem synowstwa-boskiego.

NIEOBECNOŚĆ PROZY jest pierwszym wielkim pojawem na zaczątku wszystkich literatur. Człowiek, od pierwszego na świat kroku, wchodzi jako zupełna postać umysłowa: JEST POETĄ! I innego my umysłowego człowieka nie znamy udowodnie na początku dziejów, jedno POETĘ!

Trzymając się przekonania, że wielkie, charakterystyczne zarysy i linie, gdy się ze znajomością rzeczy i sumiennością je wykreśla, daleko są i trudniejszemi, i więcej kosztującemi pracy i czasu, i korzystniejszemi dla czytelnika, niż drobiazgowa jaka egzegeza bardzo wątpliwych, nigdy niewystarczających, a ciągle zbytecznych fragmentów,— zamiast próżno zaprzątać się, czy rzeczywiście Orfeja dziełami są ułamki, które może LINUS, MUZAJOS EUMOLPOS albo AMFION był utworzył?.. właściwiej godzi się nam światło rzucić na niejasną sprawę chronologii względem żywiołów. Mówimy np: HEZYOD I HOMER, ale żywioł, który przedstawia i urabia HEZYOD, jest o bardzo i bardzo wiele od żywiołu, którym tchnie Homer, starszym, tak, iż obok siebie dwóch tych

poetów stawiąc, jednego po drugim trza pojmować. Jakkolwiekbądź, psalmistowski Hezyoda żywioł poetycki może jeszcze nietylko bardzo późnego (porównawczo) PINDARA dać, ale nawet aż WIELKĄ OBRZĘDOWĄ PIEŚŃ HORACEGO! — Skoro zaś żywioł parę epok przetrwać podoła, usunąwszy się z pierwszorzędności i stosowne sobie temperamenta ras jakich objąwszy, trudno przeto pogodzić następstwa żywiołów z chronologicznemi warunkami i względami. Nie półmytyczny ORFEJ, AMFION etc..., nie sam teologiczny Hezyod, ale THALES GORTYŃSKI (nie filozof Thales z Miletu) powinienby oną poetycką epokę pierwszą umysłowej człowieka działalności w Europie przedstawiać. THALES Z GORTYNU albowiem był jeszcze zarówno: MUZYKIEM, PRAWODAWCĄ i lirycznym POETĄ!... I AMFION i ORFEJ w tychże pojednaniu atrybutów czerpali natchnienie, lecz drugiemu męczeńska śmierć przerwała była wcześnie rozwój zadania. Orfej jest rozszarpanym dlatego, iż światu północnemu przyniósł ewangelię INDYWIDUALNEJ MIŁOŚCI KOBIETY, czyli promień myśli i życia bardzo późno przez ludzi poznawany, jeżeli nawet u daleko czytelniejszych SEMITÓW dopiero PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI (Salomonową zwana) ewangelię tę podejmuje. Pierwej, żeni się bardzo stosownie przez zaufanego posłańca lub wiernego sługę, albowiem idzie nie o więcej, jedno, aby osoba miała tę gładkość, którą powoduje zdrowie, tudzież, aby z zacnego była rodu, z cnotą dziewiczą i z wyglądaną bardzo płodnością macierzyńską. Rze-

czy te doświadczony a serdecznie życzliwy służący gdy mógł sam ocenić, nic nie pozostawało do życzenia. Takowego wszakże pojęcia o małżeństwie ostatecznością krańcową musiało być i bywało przynajmniej raz-do-roczne pomieszanie wszystkich małżeńskich atrybucyj w czasie nocnego obrzędu rozpustnego. Póki albowiem indywidualna kobiety miłość nieznaną i nieuznawaną była, pozostawała tylko przyrodzona płciowa ogólność. Ten to prąd pojęcia i energii rozszarpał Orfeja...

Powracamy do wyżej powiedzianego określenia, iż pierwotny umysłowy człowiek jest POETĄ. Żal nam wielki, że ciemne i mało rozwikłane są wiadomości o trwaniu żywiołów, ich sukcesyach i procesyach, i o warunkach chronologii względem tak różnostałych zjawisk. Życzylibyśmy sobie albowiem — to samo, co okazaliśmy i wyłożyli w części gramatycznej, przeprowadzić jednym i równym krokiem w niniejszą część historycznie-literacką, okazując dowodnie, że tak samo, jak we składniowem budowaniu się zdań: pierwsze zdanie osadza się na PRZEMILCZENIU, które następnego logicznie zdania stawa się WYGŁOSEM, a przynosi ze sobą drugie przemilczenie dla nastręczenia wygłosu trzeciemu zdaniu i tak dalej... tak samo (mówię) i we wielkich, umysłowych wyrobach wieków i epok, to, co było PRZEMILCZENIEM całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawa się wygłosem literatury epoki drugiej, następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi trzecia, swoje znowu dla następnej PRZEMILCZENIE ze sobą wno-

sząc. Prawo przeto maleńkie, które odkryliśmy i podawamy, jest zasługującem na uwagę, albowiem okazuje się być całem i na rozmaitych polach zarówno żywem. Onego pierwo-umysłowego-CZŁOWIEKA-POETY dziełami pierwszemi są DUMANIA, INWOKACYE — ten wyraz „MUZO!" jest tylko ostatnią kartką wielkiego psałterza, która się dochowała przez swoje ze wstępem do dzieł drugiej epoki zjednoczenie. Inwokacye takowe, Boskiego wyglądające sprawowania, brały udział we wszelkiej działalności i psałterz niemały stanowiły... Niczego albowiem bezpośrednio działalność człowieka nie poczynała była — —

„Zeus zawsze i zewsząd najpierwszy jest,
„I ostatnim i środkującym — on, z płomiennym
„Piorunem, powstał i zeń jest wszystko:
„Podstawą on ziemi, on nieba jasnego osią,
„On Monarchą zupełnym, bo Niszczycielem [i Stwórcą!"

(Według tradycyj Orfeickich).

W powyższej INWOKACYI — i o ile ona całą jedną epokę dumań wyraża — zapytujemy przeto (według naszego prawa), co stanowi przemilczenie? co tam niewypowiedzianem będąc, ma przez to samo dać epoce następnej WYGŁOS i postawę?...

Jużci widoczna jest, że w Inwokacyi powyższej — i o ile ona wyraża całą jedną epokę — PRZEMILCZANYM JEST CZŁOWIEK, albowiem Zeus ze wszech miar i względów wyręczył wszystko. Człowiek, praca jego, walki, cierpienia, i doświadczenie, i rozwinięta

w nim siła zaradczości, to wszystko jest przemilczanem i daje dla następnej epoki wyrobu umysłowego zgotowane miejsce na EPOPEJĘ...

Dlatego też ostatnia Inwokacya z EPOKI INWOKACYJNYCH-PSALMÓW, lecz PIERWSZA Z EPOKI NASTĘPNEJ, brzmieć będzie:

„CZŁOWIEKA (teraz), o! Muzo, wypowiedz, któ-
„rego zmysł musiał się ubogacić, gdy, po zburzeniu
„świętego miasta Troi, błądząc, poznawał on ludzi,
„obyczaje i narody. — Człowieka, który cierpiał w ser-
„cu swojem... i narażał się na morzu, i nie dla siebie
„tylko, lecz ażeby i towarzystwo ocalić. A pociechy
„nawet i tej, ze zbawienia bliskich, nie miał, gdyż dla
„głupoty własnej poginęli!..." — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Po LEGENDOWEJ, po CUDOWNEJ pierwszej INWOKACYJNEJ EPOCE, widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza EPOPEJA przez samo przemilczenie — lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej (zawsze według naszego małego prawa) PRZEMILCZA? i co zatem przemilczenie owo, w łonie epopei niesione, dać ma jako zasadniczy wygłos trzeciej epoce? Słowem jednem: czem ta trzecia epoka będzie?— Jużci że bohaterowie Epopei swojemi olympijskiemi krokami przekraczają właściwą PROZĘ HISTORYCZNĄ, interesa państw i narodów, tudzież warunki polityczne i finansowe etc... a przeto owa właśnie PROZA HISTORYCZNA jest przemilczeniem, na jakiem piękna i bujna postać Epopei właśnie że dlatego się wznosi, iż do onej poziomej treści historycznej nie zniża się. Epo-

peja zatem koniecznie przemilcza istotną historyczną prozę, a zatem (stosownie do naszego prawa) po epoce Epopei, czyli skoro ta już się zbierze w całość, i utwierdzi pismem, i nieco książką zacznie być, następuje przemilczane w Epopei łonie dzieło HISTORYI.

LEGENDA (cudowna), EPOPEJA, HISTORYA— oto co już widzimy z rozwoju myśli człowieczej i z następstwa przepowiedzianego epok.

HISTORYA wszelako, mimo zestępującego na szeroki poziom żywiołu swojego, czyliż także miałaby się jeszcze na PRZEMILCZENIU uzasadniać i takowe na wygłos dla następnej epoki przynosić? Jużci że tak, i to nawet dosadniej niźli gdzieindziej, bo bywały nawet umyślne zatajemnienia intryg, które we sto lat dopiero później uczytelniały się!... Historya przemilcza TO, na co wystarczający wyraz jeden znaleźć trudno, ale co ze stosownemi komentarzami nazwać godzi się... ANEGDOTĄ.— Tam są tajemnice PSYCHOLOGII DZIEJÓW, BIOGRAFII, niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historyi, która też je przemilcza. One wszakże na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą ANEGDOTĄ zowiemy, jest REWOLUCYA!... I oto, jeżeli nasza prawda-milczenia nie jest błędem, tedy umysłowego tok rozwoju dawa następujące peryody: LEGENDĘ — EPOPEJĘ — HISTORYĘ — ANEGDOTĘ — REWOLUCYĘ. Tego ostatniego wyrazu nie należy tu brać z żadną wyłącznością. Tem bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.

Z administracyjną jakkolwiek wyraźnością niemożna ze wszech miar linii kreślić na mocy naszego PUNKTU-WYJŚCIA, jednakowoż oko jasne pozna, że pojawiska w literaturach wszystkich spotykane temi samemi są peryodami. RZYMIAN powszechnie krzywdzą, narzucając im pięć wieków literackiego niemowlęctwa, a nawet i kiedy prawo DWUNASTU TABLIC jako najstarszą rzecz cytują. Tak się wcale nie godzi: tylko my niezupełnie jasno wiemy, jakie to było umysłowe życie pod bliższym wpływem tych Sybilińskich ksiąg, które zbyt łatwo opuszczamy ze względu. Co więcej, że i prawo DWUNASTU TABLIC nie jest bez pośrednictwa DECEMWIRÓW upowszechnione. VIRGILIUS jest niezmiernie oględny i sumienny w tem wszystkiem, co sakramentalnego z obyczajów starych podnosi; otóż, to uwyraźnienie, jakie on dla wierszy Sybilińskich dodaje, że UMYŚLNIE BYŁY RZECZY NIEPISANE, lecz przez oralne staranie wybranych mężów w życiu utrzymywane, aby TEM WIERNIEJ PRZECHOWYWAŁY SIĘ I UDZIELALY, daje zaiste do myślenia, iż cała ta epoka, za literacko głuchą i jałową uważana, niekoniecznie takową mogła być. Spółcześni literaci ze zbyt wielką łatwością uważają NIEOBECNOŚĆ ATRAMENTU ZA NIEOBECNOŚĆ WSZELKIEGO UMYSŁOWEGO ROZWINIĘCIA... Epoka uprzednia względem tryumfalnej epoki literatury rzymskiej, według zdania wielu poprostu przejętej od Greków, nie była wcale taka jałowa, pusta i głucha. Myślę owszem, iż dlatego tak szybko doszło się do

stopnia arcydzielnego we większości kart Eneidy, iż to wszystko pierw było w KRONIKARSKICH RAPSODACH, a dlatego wszystkość Georgik jest tak niezrównanem arcydziełem, iż uprzedziły je niemałe o ROLNICTWIE zapiski i dzieła! Podobnież jest z każdym innym żywiołem, albowiem okres, jakkolwiek nierozgłośny, ale który może mieć SYBILIŃSKIE RZECZY i kolegium do onych przechowania, tudzież DWANAŚCIE TABLIC i kolegium je strzegące, a nadewszystko zupełnie nowy i twórczo sobie udziałany typ w tak zwanych „SOTURACH" (późniejszych SATYRACH), okres, mówię, taki nietyle zapewne jest bezliterackim, ile my bywamy bezrozważni, skoro lekko o nim mówimy. Nadto, SOTURY, czyli SATYRY, wchodzą według zarysu naszego w epokę ANEGDOTY, czyli w zaranie REWOLUCYJNEGO obrotu całej umysłowej karty.

Gdyby perturbacye w tej naszej smętnej historyi nie były tak częste i szerokie, tudzież, gdyby żywioły etnologiczne nie przeżywały nieraz epok i przeto nie nadwerężały porządku chronologicznego (o czem się już wyżej nadmieniało), tedy z naszym zarysem żywotnych praw MILCZENIA (w mowie ludzkiej i w dziejach) możnaby wszystkie wieki, jeden po drugim, obejrzeć, jak one myśli swoje podawały sobie w przemilczaniu głębokiem. I nietylko WIEKI!... bo biegły ascetycznie umysł może TYGODNIE i DNIE życia umiałby zobaczyć, jak zasuwają się w siebie i z siebie podawają na temże samem prawie — PRZEMILCZENIA...

Na cóż zaś uchylam nieco tej zasłony?... Oto na to, iż w nasze umysłowe sprawy jeszcze z samymże drukiem weszło wiele spółdziałań i przyśpieszeń mechanicznych, chemicznych, elektrycznych... Musi przeto SZTUKA CZYTANIA, jeżeli nie prześcignąć, to wyrównać szybkościom i promiennościom gromu, i na samem zwierciadlanem lubowaniu się drukiem nie poprzestać! Literatury także podobno będą musiały nietylko się zajmować ślicznością i obfitością jakiego bujnego swego kwiatu, lecz i uważaniem całych siebie, jako żywotną funkcyę pełniących i obowiązanych. Oto dlatego uchyla się nieco zasłony tej...



Cypryan Norwid.



IV.

Wodnik, o którym powiedziano: rozsądny, wynurza się z głębi ciemnej.

MŁODZIENIEC.

Jak błoto nazwać?

ROZSĄDNY.

Nietrzeba nazwy!

MŁODZIENIEC.

A jak powiedzieć, iż... dusi mię?

ROZSĄDNY.

Widzę: gadułą, mój drogi, jesteś!
Gadulstwo — grzech!

MŁODZIENIEC.

Hej! nie sądziłem, iż grzech to będzie
powiadać: błoto! na błoto patrząc,
powiadać: cierpię, gdy smutno jest...
Hej! ja krańcowy i dziwno mi...

KILKA GŁOSÓW PODWODNYCH.

Oj! smutno jest!..

Naraz na powierzchnię wypływa kilkanaścioro wodników i wodnic.

CHÓR.

Smutek, smutek, wokół, wszędzie:
zewnątrz oczom jako mgła,
a na wnętrzu sercom naszym
głazem wielkim smutek ciąży,
rdzą wyjada żywot silny,
toczy w sercach bujny siew!..

. . . .

Był pęd, był ruch, był krzyk: by żyć!
upadło ziarno w łan...
Lecz smutek zżął, nim dojrzał kłos;
ostała próżnia snu. —

. . . .

O! jakże puści stoimy w smętku!
Podobne liściom są dusze mdłe,
drgają w nas dusze jak liść, co drży...
O! jakże marni w tej próżni będziem!
Strachem się trzęsiem na każdy wiew,
wyziębli czujem już tylko chłód...
O! jakże smutni jesteśmy, smutni...

MŁODZIENIEC.

Pleśniejem w głębi!

MATKA.

Moje maluśkie dzieciątko było,
przychodząc na świat, urody gładkiej,
aż brał nas dziw!
Dzisiaj napróżno ochraniam dłonią,
już pokalane jest ciałko biedne:
osiada pleśń!

DZIECKO, żałośnie.

Pościeraj, matko, te plamki ze mnie!

MATKA.

Ach! Boże wielki!

DZIECKO.

Dlaczego nie chcesz?

MATKA.

Nie mogę już...

DZIECKO.

To boli, matko!..

MATKA.

Ach!.. we mnie ból!

Bierze dziecko w objęcia:

Jeszcze dzieciątko me nie przywykło,
a więc się skarży, iż plamki są...
Przywykniesz, synku!

DZIECKO.

Ja nie chcę!.. Brzydkie, a rosną wciąż!..
A gryzą!.. Nie chcę!

MATKA.

Wżarły się bardzo w ramionka twoje...
Poczekaj; zetrę!.. Ach! próżny trud!..
Jeno kołysać mi ciebie wolno,
jeno ci śpiewać żałośnie, sennie:
śpij! synku, śpij!
Ukoisz ból, utulisz gniew,
przestaniesz piętno czuć...
Nie będzie pleśń jak rana zła,
zwyczajna tobie będzie rzecz...
Śpij, synku, śpij!

ŚLEPIEC.

Przywyknąć? bajki! Od kiedym żyw,
jeno przez wodę na świat patrzałem,
jeno w tej mrocznej byłem wilgoci,
jenom tu oczy swe ciągle miał...
A — nie przywykłem!
Zła wilgoć pleśnią w źrenice weszła,
i pleśń wyżarła mi oczy zwolna,
i ślepym dziś...

ROZSĄDNY.

Hi! byłbyś ślepy i w innem miejscu!

ŚLEPIEC.

Och! nie! o! nie!

Czuję, że choćby na chwilę jedną...
wierzę, iż choćby... och! tylko raz...
spojrzało słońce na oczy puste
i osuszyło ślepoty łzy...
jabym — odzyskał...
Bo słuchaj: wierzę, iż słonca moc

taką potęgę przynosi blasku,
że umie doły... po oczach wdowie,
puste, żałosne otwory ślepe,
napełnić znów...

CHÓR.

Przyjdź, światło, k'nam!
Stęsknieni bardzo wydajem okrzyk
smutny i straszny jak bezmiar nędzy:
przyjdź, światło, k'nam.

JEDEN Z WODNIKÓW.

Przybądź wyziębłe rozegrzać członki —

DRUGI.

Osuszyć... w pleśni gnijący kark...

TRZECI.

Mrok nas pognębił —

CZWARTY.

I chłód udręczył.

PIĄTY.

Cierpimy wielce!..

CHÓR.

Przyjdź, światło, k'nam!

Tłum wodników powiększa się ciągle: widać męża i żonę, nadpływających z dwóch stron przeciwnych.

ROZSĄDNY.

Po co daremne przyzywać blaski?
Dla ludzi słońce stworzone... błyszczy,

nam zbędne jest!
Myśmy od ludzi inaksi, inni,
myśmy topielce z przepaści wód...

ŻONA, cicho.

O! jak to smutne!..

ROZSĄDNY.

Nie tak okropne! przesada — grzech!
Umiarkowani, przyświadczcie mi!

UMIARKOWANY.

Zaiste, prawda!

ROZSĄDNY.

Wołany promień, jeżeli przyjdzie,
napróżno przyjdzie, bo po co nam?
Ot! bez pożytku na oko padnie,
ot! się bezsilny ześliznie wnet!

CHÓR.

A więc nadarmo krzyczymy: słońca!
Topielce wieczne w przepaści fal...

MATKA.

Ból się rozdzwonił w tym jęku słów;
niosą go wodne szlochania senne,
przepaści — jęk...

ŻONA.

Hen! idzie wzwyż!

STARY.

Słyszycie! w górze... ten głos idący...
mija się z innym, co płynie k'nam.

UMIARKOWANY.

Nie słyszym nic.

STARY.

Mija się, mówię! Od góry w dół
leci szept wody niegłośny jeszcze,
ktoś pruje toń...

ŚLEPIEC.

Ha! tak!.. ja słyszę. —

ŻONA.

Ktoś idzie w głąb'...

. . . .

STARY.

To... może... syn mój!

ROZSĄDNY.

Cóż znów? co? zkąd?

STARY.

Powiadam: syn mój powraca wreszcie!..
powiadam! serce nie myli się!..

V.

Ciż i Wędrowiec, który spuszcza się od góry.

WĘDROWIEC.

Witajcie w głębi!

CHÓR.

Witamy — w nędzy!

WĘDROWIEC.

Oto... skarzę się boleśnie,
że nie mogę być pod słońcem,
że nie mogę być!..

STARY.

Wróciłeś, synku!

WĘDROWIEC.

Wróciłem!.. tak!..

STARY.

Dni mych kochanie, nadziejo słodka!
Widzę cię jeszcze, znów dziecko mam!

WĘDROWIEC.

Wypłynąłem raz pod słońce,
wypłynąłem — tylko raz!

CHÓR.

Ach! tęskniłeś niepomiernie!..
Oglądałeś — tylko raz!..

WĘDROWIEC.

Długo... tęsknotą dręczony wielką,
płakałem sercem, iż... ciemno jest!
Młody wiek mijał w takowej męce...
Wreszcie nie mogąc katuszy zdzierżeć,
ruszyłem w górę nad głębie snu...
W obawie szedłem!
Płynąłem, pełen wielkiego strachu,
bowiem mi była przytomna wciąż
wiara, iż... widzieć niewolno nam,
że z przyrodzenia jesteśmy ślepi,
nieszczęśni — ciemni na słońca blask...
Ach! w trwodze-m był!

. . . .

Wypłynąłem!.. Z niebios nagle
uderzyła mię potęga,
grom i cud!
Zstępowała na mą głowę
jakaś... dziwem-dziwna moc...
I objęła głowę moją,
i objęła serce we mnie,
blaskiem weszła w myśl bolącą,

zamieniła w szczęście ból!

. . . .

I napełniła mię aż do głębi
radością słodką na życia czar...
i czułem szczęśliw, że jestem, jestem!..
To było — światło!

CHÓR.

To było światło!

WĘDROWIEC.

Widziałem słońce, o bracia moi!

CHÓR.

Widziałeś słońce na oczy własne?

WĘDROWIEC.

Poznałem, bracia, iż wzrok nam dano
ludzkiemu równy w godności sił,
że nie kalcki bywamy z rodu,
że i my zdolni to słońce witać,
że i my zdolni to słońce czcić!

CHÓR, wybucha radośnie.

Mamy oczy nieślepe!

ŻONA.

Więc i my ludziom potrochu bliscy,
podobni im?

CHÓR.

Nie wodniki-topielce, nie jesteśmy topielce,
urodzeni na ciemność, wyznaczeni na ciemność,
urodzeni na łzy!

MĄŻ.

Podobni ludziom... Zatem niepróżno
to ramię moje tak silne jest...

ŻONA.

Wyciągnij przed się ramiona oba...

MĄŻ.

Wyciągam, patrzę...

Po chwili:

Och! czuję wreszcie, jak siła wre!..
Boże, mój Boże! tożbym potrafił
osiągnąć niemi i wielki czyn!..

ŻONA.

I nie byłbyś w niemocy. —

MĄŻ.

I nie byłbym kaleką!

ŻONA.

I wstaniesz — piękny!

MĄŻ.

I wstanę — zdrów!

Po chwili:

To zdrowie będzie.

ŻONA.

To będzie — szczęście!

. . . .

Z onego zdrowia jak kwiat wystrzeli
szczęście... nareszcie obojgu nam!

CHÓR.

Rozradowałeś się niepomiernie,
a oglądałeś... ach! tylko raz!

WĘDROWIEC.

Płynąłem sam!..
. . . .
Opadły siły, osłabła moc!
. . . .
Jakże smutno iść do głębi
na dno mętnych, ciemnych wód...
O! jak smutno iść!

CHÓR.

Oglądałeś słońce... chwilę!
a powracasz w wieczność mgły!

WĘDROWIEC.

Nie chcą oczy me powracać
w ten podwodny, brzydki świat!
. . . .
Nie chcę ciebie, o, piastunko!
wodo-matko, daruj mi!
wypuść z objęć niekochanych,
twe objęcia mękę czynią,
w szepcie łkanie brzmi!
. . . .
O! już nie mogę powracać w przepaść,
bo światło znam!

CHÓR.

Co chcesz uczynić?

WĘDROWIEC.

Wypłyńmy wszyscy!

CHÓR.

Do słońca... wszyscy?

. . . .

Razem, razem w drogę jasną,
niosąc oczy blasku głodne,
niosąc oczy swe rozwarte,
czekające na promienie,
wytęsknione, kędy świt...

. . . .

Och! w uniesieniu wołamy śpiewni:
może nie ślepcy jesteśmy w nędzy,
może nam słońce oświetli skroń!

. . . .

Zapał urasta: drży, kipi, wre!

. . . .

Ale droga daleka.

. . . .

Ale droga okropna.

Chór rozłamuje się nagle na głosy pojedyńcze, mówiące:

GŁOS PIERWSZY.

A iść trzeba przez ciemność!

DRUGI.

A iść trzeba w niepewność!

TRZECI.

Możem tedy nie dotrzeć...

CZWARTY.

Zmylić możem i zbłądzić...

PIĄTY.

Ach! zginąć możem!

CHÓR, zlewa się znowu w jedno.

Daleko jest, a szczupło... sił!
Zapał opada nam w piersi biednej,
zgasł zapał nasz!..

. . . .

Darmo! już chyba nie wyjrzym z toni,
topielcy smętni po wieków wiek!
Daremnie — chcieć!

WĘDROWIEC.

Mogliście jednym odwagi rzutem,
wielkim, ogromnym, wynijść pod słońce,
spojrzeć mu w twarz!
Ale wyście — nie chcieli!

STARY, z niepokojem.

Co czynić myślisz?

WĘDROWIEC.

Ja idę — umrzeć!

Odpływa cicho.

STARY, z rozpaczą.

Synu! mój synu!

ŻONA.

Nie wstrzymasz, starcze!

STARY.

Puść mię! Stój, synu! o! synu mój!

Pośpiesza za nim.

VI.

Chwila milczenia. Woda szumi żałośnie.

MĄŻ, półgłosem.

Ha! stało się!

ŻONA.

Żal mi! żal serce przenika gorzki...

MŁODY, z nagłym wybuchem rozpaczy.

Czemuż ja stoję, i drżę, i czekam?
Zgrzeszyłem, bracia, żem nie szedł wraz!..
Lecz idę, idę...

STARY, powraca.

Już syn mój umarł. —

CHÓR, żałośnie.

Ach!.. stało się!

STARY.

W przepaść powrócił, przepaści nie chciał,
nie mógł tu żyć!
I zabiła go ciężarem
bezlitosna toń! —
Na dno upadł, żyć nie pragnął;
mroku nie chciał, mrok go zabił;
rozmiażdżyła piersi grozą
bezlitosna toń!

. . . .

Po dnie błotnistem ja zwolna chodzę,
pomału nogi zgrzybiałe sunę,
z ciężkością głowę od piersi dźwigam
i już nie chowam gdzieś w sercu — łez...
Bo przebolałem boleści wszystkie
i jestem — próżen wszelkiego czucia,
nad wszelki — ból!

Odchodzi w głąb'.

MŁODY, z rozpaczą

Idę! Zgrzeszyłem! kajam się wielce!
Kto ze mną, bracia? kto w górę pójdzie?
kto pójdzie wzwyż?

CHÓR.

Boże!.. droga niepewna!

GŁOS PIERWSZY.

A iść trzeba przez mękę!

DRUGI.

A iść trzeba przez trud!

MŁODY.

Znów tedy — sam?

. . . .

Żegnaj, domu mój żałosny,
co nie byłeś mi przytułkiem,
jeno byłeś — jako srom!
Oto, stojąc w tobie, patrzę:
wkoło mrok!
Oto pragnąc tak oddechu,
jeno wodę wciągam w piersi,
jeno tracę dech!
Gdybyż woda czysta była,
gdyby jasną mieć!..
Lecz nie! osad... po niej... brudny!
Czuję straszny osad w gardle,
błoto... muł!

. . . .

Żegnajcie! błota w oddechu nie chcę;
idę pod słońce — powietrze pić!

Odpływa w górę.

VII.

ŻONA.

O! i poszedł znów samotny...

MĄŻ.

Widzisz: droga straszna jest...

ŻONA.

Widzę: zdrowie przyjść nie może...

MĄŻ.

Jabym płynął, ale zważ...

ŻONA.

Widzę! widzę: coś być miało;
prysło, zgasło, niema nic!

MĄŻ.

Jabym płynął, ale tylko...

ŻONA.

Nie zakwitniesz ty, o, szczęście!
niemasz zdrowia tobie w podkład!
niema nic!

ŚLEPIEC.

Ej!.. poleciał! czy obaczy?

ROZSĄDNY.

Nie doleci; twierdzę wam!

ŚLEPIEC.

Podnoszę za nim swe oczy puste:
nie dojrzę nawet, gdzie jego ślad.

UMIARKOWANY.

Zginie! oto koniec pewny!

ROZSĄDNY.

Bo krańcowy był!

MATKA.

Jeszcze klęska, jeszcze zgon!

Bierze dziecko w objęcia:

Trza dziesiątko swe usypiać!
Trza nauczyć się kołysać
głosem sennym — w ciągły sen!
Śpij, syneczku, śpij, maleńki!
Nie budźocząt — do widzenia,
nie budź myśli — do katuszy,
nie budź w sobie serca, śpij!
. . . .
Bo gdybyś, wstawszy, zapragnął słońca...

i tybyś poszedł... hen! w męki drogę...
Śpij, synku mój!

CHÓR.

Smutno, smutno w sen zapadać!

ŻONA.

A... mogliście — żyć!

CHÓR.

Trzaby wielkiego odwagi rzutu... —
Nie możem!.. Ach!

ŻONA.

Wzdęły się głębie westchnienia echem. —
. . . .
Drży echo, drży!..
A za chwilę opadnie,
a za chwilę zagaśnie!
i oto głos wasz, i oto — czyn!

ŚLEPIEC.

Inszy głos słyszę: plusk idzie nagły...

ŻONA.

Prawda! i zda się, że fali płacz!

MATKA.

Niepokój serce ogarnia we mnie.

ŻONA.

To będzie klęska —

MATKA.

Płacz fali rośnie —

ŻONA.

Żałobny rośnie —

MATKA.

Rozbrzmiewa wkrąg.

ŚLEPIEC.

Ktoś leci — w otchłań!

CHÓR.

To on! to on!

. . . .

W górze, ponad głowami wszystkich, ukazuje się ciało młodzieńca lecące szybko. I wnet też na dno upada. Zamieszanie ogólne.

MATKA.

Boże mój mocny!

ŻONA.

Ratujmy go!

MĄŻ.

Ratować — w śmierci?

CHÓR.

Ach! stało się!

GŁOS PIERWSZY.

Oto poszedł przez ciemność!

DRUGI.

Oto poszedł w niepewność!

TRZECI.

Zmylił drogę i zbłądził. —

CZWARTY.

Nie dosięgnął i zginął!

CHÓR.

Bo oto — śmierć!

ŚLEPIEC.

Gdzie on? gdzie on? powiedzcie!

MATKA.

A ot, tu leży opodal
biedaczek, bezwładny, cichy!
A ot, tu... upadł i spoczął,
nie wstanie już!

ŚLEPIEC.

Czy go tam oni obsiedli?
kraczący: zgon!

MATKA.

Ano się tłoczą żałośnie,
wokoło, wkółko!

ŚLEPIEC.

Na żer! na żer!..

MATKA.

Co mówisz, ślepy?

ŚLEPIEC.

Żerować będą!..
Wokół na dziobach rozniosą myśli,

rozniosą zdarte na strzępy serce,
nazwą je: grzech!

Ponad trupem młodzieńca skupiają się rzeczywiście wodniki wszystkie, zbierają w żałobny chór.

ŻONA.

Nieszczęsny młody!

UMIARKOWANY.

Sam sobie winien!

ROZSĄDNY.

Krańcowy był!

CHÓR.

Ach! zginąłeś bez pożytku!
Pocóż było słońca chcieć!

ŻONA.

On tutaj... cierpiał!

UMIARKOWANY.

Przesadą grzeszył!

ROZSĄDNY.

Krańcowy był!

ŚLEPIEC.

Słyszę — pogrzeb mu sprawili:
kraczą chórem wzwyż i wkrąg,
żeru chcą!
A od onej kruków pieśni
włos na głowę jeży się...
Oto koniec żyć pragnącym,
bratni żer!

MĄŻ.

Zginął daremnie!

ROZSĄDNY.

Zawinił ciężko!

GŁOS PIERWSZY.

Trza było milczeć!

DRUGI.

Trza było cierpieć.

TRZECI.

Trza było znieść!

ROZSĄDNY.

On się miotał i szarpał!

UMIARKOWANY.

On się szarpał i rwał.

ROZSĄDNY.

Przesadą grzeszył!

GŁOS PIERWSZY.

Zawinił sobie!

DRUGI.

I nam! i nam!

ŚLEPIEC, półgłosem.

Zwał błotem — błoto!

ROZSĄDNY.

I w tem jest grzech!

UMIARKOWANY.

Bo miary nie znał...

CHÓR.

Chciał rzeczom imię nadawać całe,
nietylko pół!

GŁOS PIERWSZY.

Nie umiał milczeć!

DRUGI.

Nie umiał cierpieć!

TRZECI.

Nie umiał znieść!

CHÓR, zlewa się w jedno.

Krańcowy był!



Jadwiga Marcinowska.



o niefortunnych próbach harmonii miłosnej, nastały próby harmonii w zabawie. — Skuszona pląsem świateł, muzyki i ciał radosnych, wchodziłam odpowiednio ucharakteryzowana w ich gwarne roje. — Unikałam zwierciadeł, w których szydził ze mnie hieroglif posępnej twarzy, — i, by stępić zimną ostrość wszystkowiedztwa, brałam w siebie mikroby szału i trunki haszyszowe. — Płomień wybuchał w mej krwi, nogi moje, ręce i usta miały skrzydła, wrzała we mnie radość stopienia się w jedno ze zbiorowem ciałem życia. Gwałtowny puls własnych żył brałam za tętno tłumu... Lecz niebawem o mej odrębności, nawet w zabawie, — o wiszącem nade mną fatum samotności du-

chowej przekonywały mnie nanowo zjawiska dziwne, znamienne. — Były to:

albo nagłe zrywanie się w tym tłumie żywiołowej NIENAWIŚCI DLA ODMIEŃCA, głuche wrzenie podejrzeń wokoło mej świątecznej maski, — gniew zniewagi, że ośmielam się ich parodyować. — Oczy moje widziały im zbyt wiele, słowa smakowały jak zatrute daktyle, ruchy zdradzały lekceważenie, którego nie znosili, — cała moja osoba, żywe choć mimowolne zaprzeczenie ich jestestw, wzbudzała w nich zamęt wewnętrzny, coś nakształt wstydu, i złość zaciskającą zjadliwie wąskie usta,

albo tak samo bezpośrednie zrywanie się SZAŁU. — Był we mnie zaczyn burzy i rozpasania, który zarażał chwilowym obłędem mych towarzyszy zabawy, i oddawał ich pod władzę mej suggestyi, jak tuman błędnych liści wichrowi gorącemu. — Wokoło mnie, podniecenie przechodziło we wściekliznę, wesołość w dzikie i okrutne rozpasanie, marzenie w malignę, uczta w orgię, zaloty w piekielny odmęt żądz i zawiści, szermierka słów w wojnę duchów, w mocowanie się jakieś bratobójcze. — Nie umiałam się bawić — umiałam tylko rozjuszać sfory dzikich bestyj. — Nie umiałam używać — umiałam tylko tworzyć i niszczyć.

Świat spokojny i umiarkowany, po chwili zdumiewającego poddania, — odstępował z mieszaniną lęku i zgorszenia od tego elementu niezgody i szału; — a o ile nie uciekał, o ile pozostawał w mej mocy, — uciekałam sama, — zdjęta mistyczną zgrozą przed wezbranem falowaniem jakiejś tytanicznej we mnie potęgi. — Bałam się tej siły swojej dla ludzi, dla tych wątłych i bezradnych stworzeń, które czułam jak żuki, drażniące mą garść zamkniętą niespokojnem mrowieniem, — i które garść ta jednem naciśnięciem zgnieść mogła na miazgę. — Było to truchlenie siłacza, nieznającego dokładnie ani własnej mocy, ani słabości przeciwnika, ani granic spustoszenia, krzywdy

i klęski, które sprawićby mógł w tym świecie owadzim, — gdyby na widok pierwszej krwi rozlanej demon mordu purpurą mu wzrok zamroczył.

I niepodobnaby mi było orzec, co odczuwałam ohydniej — czy swoją słabość wobec rozbestwionej nienawiścią tłuszczy, — czy ten gwałt dzikiej potęgi, u której nóg wił się w rozdzierającym żalu płacz miłosierdzia nad słabością ludzi.

Niezdolna do stania się ofiarą tłumu — miałam wstręt do katowstwa nad nim. — Uległość niewoli była równie odpychającą jak panowanie. — Spójnia okazywała się niemożebną. — Samotnemu odmieńcowi zostawała tylko ohydna, znienawidzona, wampirza samotność.

Niekiedy jak pies przed jatkami wystawałam przed oknami cudzego szczęścia, które stosami gromadziła moja wyobraźnia, — i rozmyślałam nad wyborem. — O mej indywidualnej szczęśliwości nie mogło być mowy. — W znanych mi warunkach świata i mej istoty, harmonia była niemożebną. — Lecz wokoło mnie, oczom moim, mimo wiedzę zazdrosnym, stały w piękności swojej różnorodnej harmonie wszystkich innych tworów i obwijały się nieprzeparcie w cuda mej tęsknoty. — Oglądałam wszelkie kategorye rozkoszy. Naprzód prawem kontrastu pociągały mnie kształty ospałe: — nieruchomość głazów uwięzłych od wieków nad drogami, drzemanie bydła w trawie łąk, zwierzęca ociężałość kobiet brzemiennych, spuchły błogostan zadowolonych żarłoków, kamienny sen robotników w cieniu spiętrzonych bruków i cicha radość czół umarłych. — Potem zasmucały mnie zwodniczą tęsknotą drażniące błyszczenia przepychu i użycia, jarzące światła, zdwojone zwierciadłami i lśnieniem ścian marmurowych, — rosa dyamentów na skórze nagiej, — zapach, żar i wrzawa hulaszczych nocy, — weselna wścieklizna zabaw rozpasanych, migotliwość widowisk, wrzenie łaźni szału — — — Potem

snuły się, jak dryady, snów południowych idylle, — miłości piętnastoletnie, schadzki w rozkwitłych sadach, dni wniebowzięte i przecałowane noce, — a potem maurytańskie twierdze tajemnic namiętnych, w wewnętrznych ogrodach, szemrzących fontannami. — A potem jeszcze przychodziły apoteozy ambicyi, tryumfy imperatorów i papieży. — I jeszcze: tajemnicze natchnienia mędrców, serafinczne zachwyty świętych, świszczący, czarny lot demonów z łupem duszy porwanej — i niepojęta chwała Bóstwa. — Wszystkie te istnienia, doprowadzone przezemnie do spazmu tkwiącego w nich pierwiastku rozkoszy, przechodziły przed mym głodnym wzrokiem, pożądane z osobna i wszystkie razem, — i każde z osobna niedostateczne memu pragnieniu — i wszystkie razem niedostępne.

Czem chciałabyś być? — zapytywałam swej duszy, jak czuła matka dziecko przed dniem urodzin i upragnionych darów. — Jakby w mojej mocy było obdarowanie jej najpiękniejszym... Lecz dusza moja, roztropne dziecko, wybawiała mnie z kłopotu prostotą i niedostępnym ogromem swej żądzy: chciała być... tylko SOBĄ, dostać SIEBIE w dniu narodzin, siebie prawdziwą, swój PROTOTYP nieznany i umiłowany, wolny od przypadkowości i granic, bezbrzeżny w wiedzy i mocy, ze spazmem tkwiącego w nim elementu rozkoszy wyłącznej, jedynej.

A gdy mnie wyczerpało pożądanie, — dla odmiany gardziłam szczęściem. Zagłodzeni, w pewnym okresie męki, czują wstręt do jadła, — czemś podobnem był wstręt do życia, który mnie po atakach żądzy ogarniał. — Zagadką ziemskiego bytu wydawała mi się wtedy rozkosz — i to odkrycie napawało mnie szyderstwem i odrazą pełną wzgardy. — W każdym ruchu świata upatrywałam to jedno jedyne, łakome dążenie do zadowolenia, — to samo niespokojne, lubieżne pożądanie osłupienia, SPAZMU. — Robotnik, oddający swój grosz sobotni nierządnicy — i fa-

kir, wprawiający się w stan kontemplacyi; — najgrubsza chuć zwierzęca i najczystsza żądza duchowa były równie płaskie w moich oczach tem zasadniczem prawem i pragnieniem zwężenia się uczuć aż do konwulsyi bezprzytomnej, unicestwiającej, ostatecznej — Czułam w niem wolę samozagłady, zrzucenia z siebie ciężaru świadomości, powrotu do spokoju, do poziomu, — niewspółmiernych, antypatycznych memu pragnieniu bezgranicznej bujności i najszerszego objęcia świata. — Spazm — fizyczny czy duchowy — wydawał mi się otchłanią graniczną między nędzą trzechwymiarową, a niepojmowalnym przepychem dalszych zaświatów, w które wdzierała się moja dusza, niezdolna do uciech ziemskich; — wstrętnym i bezwiednym samogwałtem, dokonywającym się u stóp niezdobytego i tajemniczego Bóstwa naszych marzeń. — W głębi mojej powstawał płomienny zarys PRAGNIENIA-ROZKOSZY, bez granic ni końca, — trwania w wiekuiście rozszerzającej się łunie wszechświatowego pożaru, — wzbijania się nieskończonego w coraz wyższe i bardziej zdumiewające sfery numenalne na ognistych i niezmordowanych skrzydłach niepojętego miłowania. — Wobec tej nadludzkiej koncepcyi — prochem i kałem i śmiechem było mi szczęście i nieszczęście, rozkosz i cierpienie, wiedza i niewiedza, — człowiecza zwierzęcość i duchowość, jednako ograniczone kurczami mięśni i mózgu, — wszystko, co jest gliną, powietrzem i wodą, co się dzieli, co się przemienia, co się rodzi i umiera. — Pragnienie absolutnej jednolitości i wieczności urągało mym luźnym, ludzkim atomom i sekundom, — pragnęłam być tem — czego nie było nawet w mojem najoderwańszem pojęciu — czemś, co nie wyrosło z człowieka. Niepokonanem, morderczem OBRZYDZENIEM napawały mnie: miał moich myśli, stonożne macki moich sensacyj, kretyniczno lubieżne łzy i uśmiechy moich uczuć. — Życie było mi nie cierpieniem, lecz ohydą, nie kaźnią, lecz spluwaczką dla me-

go wstrętu. — Nie bolało mnie — ŁECHTAŁO mnie. Nie bolało — tylko znieść tego nie było można. — Nie krzyczałam — śmiałam się, konałam śmiechem, wijąc się w szybkiem, lekkiem, hakliwem mrowieniu się drobnych, dokuczliwych, niezliczonych, nieodpędzonych gadów, jak zakopana w mrowisku. — Wtedy myśl samobójstwa stawała przede mną spokojna i rozumna, jako nasuwające się KONIECZNE DOŚWIADCZENIE; — zbyt spokojna i rozumna, by znalazła posłuch u przyczajonego tylko instynktu życia.

Były dni, w których ogarniała mnie twarda, sroga CIEKAWOŚĆ. — Serce moje stawało się dyamentem, którego żaden piorun nie mógł zrysować, lecz pod którego nieubłaganie naciskającem ostrzem pękało wszystko jak tafla szklana. — Nie było we mnie wtedy miłości ani wrogości, nadziei lub prawdopodobieństwa zawodu, smutku ni radości, — nie było żadnego uczucia — nawet miłosierdzia, nawet zmysłu samozachowawczego. — Było to wszechwładne, nieludzkie panowanie MYŚLI, — której usługiwała, jak żandarm czujna, karna, gorliwa wrażliwość; — MYŚLI — nie tej oderwanej, której przypisują błyskawiczne a łagodne skrzydła kontemplacyi, lub wszystkowidzący, a bezinteresowny teleskop, — lecz TEJ, która, w walce z zalewającą ją miazgą cielesną i jej niedołęstwem, prostuje się w demonicznym odwecie — i — jak Torquemada — wlecz przed swój sąd inkwizycyjny drgające krwią i nerwami ciała opętanych przez materyę zagadek. — Życie było dla niej ową czarownicą, o hypnotyzujących kształtach i mocy niezbadanej, której dręczącą tajemnicę miało wywlec na światło długie śledztwo i ostateczna tortura. — Tem życiem - czarownicą był mi cały świat, ludzie, bieg i plątanie się zdarzeń, — a przedewszystkiem, jako najbliższa, najdostępniejsza — moja własna osoba. — Nie wzdrygałam się przed żadnem doświadczeniem; dla

tej okrutnej Potęgi nie było występku, świętokradztwa ni zbrodni. — Kutej w piekle jej zbroi nie przebijały nawet wszystko-przenikające groty zgrozy litośnej. — Mękę swoją fizyczną badałam w lustrze, śledząc linie jej grymasów. — Katusze duchowe oglądałam jak dzikie bestye, z sympatyą powinowactwa, — i w ich loch wyjący i zgrzytający ciskałam na pożarcie krwawemi kawałami swoją duszę. — Gwałciłam w sobie wszystkie instynkty i „prawa przyrodzone,“ obchodziłam się z sobą z małpią przekorą, wytrzymywałam ból, niepokój, pragnienie, oczekiwanie, tkliwość, gniew — aż do bielma ostatecznej konwulsyi — i PO ZA NIĄ; — i tylko wzgardliwa ironia krzywiła mi usta, gdy, przeszedłszy punkt kulminacyjny, ginęły same przez się, — z tym samym niesłychanie lichym skutkiem wystudzenia, jakiby wywołało natychmiastowe uspokojenie. — Dusze bliźnich były mi tylko tematem wiwisekcyjnym, retortami lub instrumentem. — Wnikałam we wszelkie arkana chemii, mechaniki i harmonii duchowej. — Rozkładałam za pomocą gryzących kwasów najzawilsze zjawiska na elementy, to znowu dążyłam do wytworzenia nowych, nieznanych, przez niebywałe połączenia. — Auskultowałam jestestwa ludzkie, dopóki nie trafiłam na zasadnicze nerwy i nie odkryłam planu organizacyi, — i odrzucałam je precz z chwilą, gdy trzymając w ręku główne fibry, przekonywałam się o dokładności swych badań, wprawianiem ich w ruch dowolny, niby skomplikowanych pajaców z tektury. — Albo z faktów, ludzi i siebie komponowałam z twórczem przejęciem i dyabelską zimną krwią najdziksze, najprzewrotniejsze symfonie, — naprężałam struny swej orkiestry aż do pęknięcia. — Wiele strun życia pękło w ten sposób w innych i we mnie. — Dzień każdy był mi tylko nową tablicą runów do odcyfrowania. — Niewiadomość poranka gnała cwałem do mądrości wieczoru. — Czy uderzył we mnie grom klęski, czy mi rozkwitł najparadoksalniej

bujny kwiat radości, — duch mój niezdolny był zatrzymać się na nich dłużej niż POZNANIE, — i jak dziki, nieujarzmiony koń, węszący stado, — z wyprężonemi nogami, z najeżonemi nerwami, rżał przeciągle i pytał, zaciskając zęby i pięści w furyi czekania: — „co dalej? co dalej?“ — Nie było to wołanie o szczęście — lecz o nowe OBJAWIENIE, — o życie surowe, bogate, twarde — które dręczy i wstrząsa, wali w głowę brutalnemi katapultami zdarzeń, by w niej wywołać deszcze gwiazd cudownych. — Pędziłam pod ten piorunowy grad, wzywałam gromów, — piersi mej trzeba było tych druzgocących pocisków, łamania się żeber, wcinania się siedmiu nożów poznania w tę niezmordowaną miazgę istnienia, którą tylko wypoczynek trudził, tylko spokój przerażał. — Zacinałam szczęki i chwytałam za druty tej potwornej maszyny elektrycznej życia — by doznać jego prądu w swoich żyłach. Niechby mi był wykręcał ręce... byłabym je tylko zacisnęła silniej. —

Kiedyindziej znowu z eksperymentatora stawałam się MEDYUM świata i owładała mną NAMIĘTNOŚĆ MARZENIA. — Było to nie owo dumanie niemieckie — romantycznie mdłe, powiewne, anemiczne, — lecz to gorące, rozedrgane, purpurowe, które jest jakby snem ognistym w uścisku życia. — Przeżywanie powtórne, pełniejsze, głębsze, dreszczów czucia, — wnikanie w najwewnętrzniejszy czar zerwanych kwiatów, — rozkoszowanie się łupami wojennemi, posiadanie cudnej niewolnicy, po zdobyciu jej na wrogu i uprowadzeniu do swej górskiej pieczary. — Pastwiłam się nad nią i pieściłam ją, groziłam i zaklinałam, szydziłam z niej i modliłam się do niej, rozplatałam jej cudne, złotokare włosy, rozchylałam purpurowe usta nad świecącemi zębami, zgrzytałam i całowałam, wiązałam ją kajdanami i wypuszczałam na wolność, w nadziei, że ją ta wspaniałomyślność rozbroi, że ją moje roz-

kochane szaleństwo z powrotem przywabi. I zawsze to samo: uciekała mi.

A wtedy zrywałam się z pęku skór, chwytałam nóż — i gnałam w nowym pościgu za nią, za łupem moim nigdy nazawsze niezdobytym, za nigdy nadosyć nieposiadaną niewolnicą, za bożyszczem mojem — ŻYCIEM.

Czasami mózg mój opowiadał mi bajki, cudne i straszne, splecione z dziecinnych wspomnień, z siejby książkowej, z przygód własnych i marzeń, — albo przesuwał przede mną miraże, silne złudzeniami wszystkich zmysłów. — Dusza moja bezwiednie usiłowała stworzyć to, czego nie stwarzał świat zewnętrzny, — i otoczyć się swych widzeń wrzawą, ruchem, pstrocizną i zapachem. — Było to jednak połykaniem pary i chwytaniem kurzu. — To życie wyobraźni miało w sobie rozpaczliwą wiotkość pędów piwnicznych, chudość potraw postnych, nikłość wodnych pęcherzy. — Jak demon cierpiał we mnie DUCHOWY ZMYSŁ DOTYKU, łaknący kształtów nieustępujących, przeszkody muskularnie sprężystej; cierpiały szczęki i młode, wilcze zęby, gdy zamiast jędrnego mięsa rzeczywistości, przychodziło im zgrzytać nad klejami ekstraktów. Przytem ten orszak widm stwarzanych był nierozerwalnie spojony z macierzystym mózgiem — i bezsilny wobec żądzy wrażeń NIESPODZIANYCH, znienacka owładających, uderzających jak dech Bóstwa lub klątwa, — tych cudów, które każą nam odczuwać nasz głęboki, tajemniczy związek z wszechistnieniem.

To znów między krzyże i mogiły, prosektorya i szpitale wiódł mnie Zaułek ŚMIERCI. — Mówiłam sobie, że krzątam się i chodzę koło wiela, czepiam się życia jak tonący wodorostowej gałęzi, — a jednej mi śmierci potrzeba. — Nienawidziłam tego nieszczęsnego splotu sił fizycznych i duchowych, które stanowiły moje JA, — nienawidziłam RODU który mnie wydał, tego nieskończonego

szeregu natur gwałtownych i beznadziejnych, dzikich, namiętnych, niespokojnych, w wiecznej kłótni ze środowiskiem, pędzących we wrzawie rozhulanej rozpaczy, jak czarny tabun demonów, w piekło samozagłady, — nad któremi, jak ptak żałoby, rozpięła wampirze skrzydła Klątwa zamierzchłej Przeszłości. — Ten ród we mnie dochodził do najzwięźlejszej formuły, do najcharakterystyczniejszej krystalizacyi typu, do ścisłości i skrótu symbolu. — Zjawienie się mego jestestwa pojmowałam jako ostatnie równanie odwiecznego problematu ziemsko-nadziemskiej algebry, — a rozwiązaniem była jasna samowiedza naszej anti-życiowości — i ŚMIERĆ ŚWIADOMA, ostateczne wypełnienie Klątwy.

Nicość była jedyną ulgą na męczarnie maligny życia, jedyną wodą na pożar tęsknot, jedynym toporem na stugłową hydrę bólu. — W zwykłych strachach i ohydach pośmiertnych nie odczuwałam tragizmu ni grozy. — Myślałam o mrowieniu się robactwa w zimnej zgniliźnie swego trupa, o odpadaniu ciała od kości, o obnażaniu się szkieletu z pod ruiny tkanek, z takim chłodem, jak o każdej innej zwierzęcej lub roślinnej padlinie, jak o innych biegach rzeczy. — I to było właśnie dla mnie wtedy najstraszniejsze, że ta cuchnąca, zwolna roztapiająca się padlina, że te gnijące w oczodołach powieki i źrenice, zęby świtające z pod warg odpadłych, — że ta cała scenerya znikomości była bezsilna jako argument nicości. — NIE BYŁO UNICESTWIENIA! W oczach nieuleczalnie chorych płonął Duch jak w krzaku gorejącym. — Twarze trupów wymowniej niż oblicza żywych przemawiały do mnie językiem Wieczności, — Demon odlatający zostawiał na swej ziemskiej masce stempel indywidualności niezniszczalnej i rozwiewał w mym umyśle wszelkie złudzenie Niebytu. — Śmierć była poradzającym skurczem cielesnej KOSZENILI, — która życiem przypłaca wydanie płodu; —

była końcem prologu tylko, NARODZENIEM. — Za jej groźnemi bramami rozciągała się bezbrzeżna droga awatarów, obciążona tem samem co na ziemi przeznaczeniem, — tą samą dla mnie klątwą wiekuistą. — Na myśl o nowej, niepojmowalnie przeraźliwej kaźni, która mnie tam czeka, oblewał mnie pot lodowaty, — i jak ów więzień inkwizycyi toledańskiej, o którym pisze Poe, chwycona między płomieniste ściany życia — i otchłań śmierci, rojącą się od szeptów i rąk katowskich, — padałam twarzą na ziemię, rzężąc w rozpaczy bez wyjścia, bez ratunku. —

Było jeszcze tych zaułków wiele, dzień wlókł się za dniem, przynosząc tylko rozmaitość obłędów, fatamorganowych architektur myśli, pozlepianych żądzą. — Z kilkudziesięciu sześcianów, naklejonych fragmentami wspomnień i wiedzy, tworzyłam, jak dziecko w dzień deszczowy, coraz inne obrazy, — zawsze z pragnieniem zatrzymania się na jednym z nich, jak na niezmiennym wzorze, — i zawsze w końcu rozrzucając luźną i bezładną kompozycyę, by ledz na jej strzępach, jak w kurzu potarganych pajęczyn. — Usiłowałam nawet wzbudzić w sobie bezinteresowną miłość dla świata, — z chytrością utajonej myśli, że go w ten sposób zdobędę. — Lecz świat, doświadczona zalotnica, czyta w oczach pożądliwości — i używając jej hypokryzyi dla swych praktycznych celów, — chroni się potem za nią jak za szańcem — z milczącą drwiną dla oszukanych oszustów.

W tym nieprzerwanym pędzie myślenia była niekiedy bezmyślność całogodzinnego dzwonienia zepsutych zegarów, majaczenie histeryczne, gadulstwo niektórych konających. — Chwile pustki mózgowej witałam z ulgą, jak ustanie rwania w zębie. — Płacz zmordowania porywał mnie na widok lecącego z szaro rozpienionej głębi nowego bałwana myśli. — I nic mnie przed tą katuszą rozpasanego mózgu nie mogło uchronić, — najgwałtowniejszy ruch,

ani osłabiające kąpiele, ni głośne powtarzanie liczb i liter. — Samotność była mi środkiem pobudzającym, cisza rozjuszała mój niepokój, — w próżni pękały moje żyły, — czaszkę mi rozsadzał zwodniczy nadmiar buchających sił.

Bezsilna od męki, bierna ofiara swej własnej tortury, rzucałam się na leże jęcząc — i pozostawałam tak bez końca, tracąc poczucie czasu i przestrzeni, — bo oto, naprzód, złączonym szturmem, uderzał we mnie hufiec szyderczych naigrawań. — Na księżycem ubielonej ścianie przesuwały się obrazy jak latarni magicznej, — a każdy był parodyą jednej z kart mego życia, jej wiernem odbiciem, urągającem samozachowawczej idealizacyi dni późniejszych, których zbytnia ohyda szukała ulgi bodaj w złudzeniu rajów utraconych. I wszystkie te obrazy mówiły: NĘDZA. — Potem ukazywałam się sama sobie, i wzrok mój zatapiał się w tej twarzy i w liniach tego ciała, by zgadnąć z nich, jak z nieodcyfrowanego symbolu, SŁOWO, które mnie stworzyło, znaczenie mych dziejów i treści. — A symbol ten mówił: NĘDZA. — Potem rozstępowały się ściany mej czaszki i otaczał mnie kraj mego ducha. — Oglądałam w nim bezdenne otchłanie wiedzy, w samej sobie zgubionej — i bezbrzeżne pustynie ciemności. — Widziałam kraj górski, dziki, życiu niedostępny, z lodowatemi jeziorami pod strażą zębatych skał, z bazyliszkowemi szelestami na suchych porostach urwisk, — z ponurym szumem wodospadów, u których twór żaden nie ugasi pragnienia, bo są zbyt rwące i szalonym pędem ofiarności wypłaszają z dłoni rzucony w nią nadmiar, — z rysami piorunowemi na lodowych szczytach i z kościotrupami gemz odważnych, które znalazły śmierć w tym kraju śmierci. — I każda ściana skalna, i każdy szum potoku mówiły: NĘDZA. — A gdy się zawarły wrota milczącego piekła, ujrzałam się niewidzialna wśród ogromu świata, jak punkt nieruchomy próżni wśród fal powietrznych, rozkołysanych i gnących się pod

tryumfalnym pochodem wszechżyciowej pieśni. — Olbrzymi ten śpiew wypełniał całą przestrzeń stworzoną, porywał z sobą wichurą wszystkie pyły bytu, grzmiał pod niebiosa jak rapsod bohaterski, — ze strzelającemi w rozpędzie sztandarami szedł potężnym, miarowym krokiem przez gorejące bramy Jutra. — Szedł od dni w słońcu, których nie widział żaden twór tkankowy, — przez gigantyczne puszcze i mamutowe stada, — przez dzień Ptaka i dzień białych na wiecznych lodach wyjących, ostatnich niedźwiedzi — do dnia wielkiego Deszczu Gwiazd. — Szedł niewstrzymany, bez odwracania głowy, pijany świstem chorągwi i potęgą swego pochodu, ciskając na siebie po drodze górskie olbrzymy, wyginając pokłady ziemi jak blachy — i porywając w swój odwieczny hymn płomienie ziemskich trzęsawisk, grające liście ludzkich dusz. — I w hymnie tym nie słyszałam swego głosu. — Żaden nerw mój nie łączył się z łańcuchem tego pochodu. — Szedł przeze mnie jak przez porwać się nie dający, ani rozdeptać punkt międzyrzeczowej próżni, — i śpiew jego mówił dla mnie: JAM JEST KTÓRY, JEST, A TY — KTÓREJ NIEMA.

I znów na księżycem ubielonej ścianie ukazywała się moja własna twarz, — dwoje bezświetlnych, mrocznie chłonnych oczu pożerało me spojrzenie jak chciwe przepaście, usta czerniły się w szkielecim rysunku lic zapadłych, — i z głuchą tajemniczą melancholią zdawała się mówić ta czaszka trupia: NĘDZA. — Zamykałam powieki, by odpędzić widziadło, — lecz światłość miesięczna przebijała ściany głowy i oświetlała upiorną pustynię, sfałdowane morze piasków, a w ich skrętach i załamach tłumy stworzeń nagich, wynędzniałych, z oczyma płonącemi obłędem, niezdolne do jęku i ruchu, konające w głodowem osłupieniu, — lub rozdzierające się z dzikiem wyciem, wpite we własne, krwią broczące rany, — lub tknięte zarazą, sine od zgnilizny, — lub zgrzytające w takt epileptycznego tańca, —

lub z potępieńczym śmiechem odgrzebujące kościotrupy dni dawnych, tak jak one z głodu pomarłych. — I tłumy te wołały: NĘDZA. — Na księżycem ubielonej ścianie przesuwały się obrazy jak latarni magicznej, — a każdy był odbiciem jednej z kart mego życia, każdy był historyą innego głodu, innego daremnego poszukiwania chleba życia — i pożerania w jego braku rzeczy martwych i plugawych, wszelakich odpadków i kałów, szkła, trucizn i kamieni; — a potem obłędy wstrętu, szał potępieńczy, bratobójcza nienawiść dla świata, który jak ja nie umierał — potrafił jeść i pić, być sytym i spokojnym, pracowitym i potrzebnym, wesołym i budzącym zazdrość, — dla świata, który zdawał się mówić do mnie: — JAM JEST, KTÓRY JEST, A TY — KTÓREJ NIEMA. NIEDORODZONYM BIADA!!!

Rozumiałam nareszcie. To był klucz tajemnicy, przyczyna samotności, otchłań dzieląca mnie od ludzi i świata, zagadka niewspółmierności z ziemią i jej dziećmi, wiecznego rozdźwięku i głodu, krzywd okropnych i bez winowajcy, tego systemu okaleczania, którego byłam ofiarą od narodzin. I już do końca trwać musi katusza źle spojonych z sobą funkcyj i narządów, ten cały bezład luźnych kół i sprężyn, które w rękach życia, gruborękiego maszynisty, mogą tylko łamać się, krzywić i kaleczyć. — I nikt ich w naturalną całość nie połączy, bo niewiadomy nikomu plan i cel ich układu. — I nie zdołam tego uczynić ja sama, bo jeszcze mniej wiem od tamtych, którzy na podstawie różnic bodaj potrafiliby przynajmniej sformułować, czego nie wiedzą. — Nieudana próba! poroniony płód!

I już wiedziałam, co mi pozostaje do czynienia, jak się ocalić przed obłędem samotności. Mocny jest sznur u okna i umiem wiązać pętlicę. — Otworzyłam oczy — bezmiar księżycowej pustki zadrżał w czujnem milczeniu. — Wstałam i stąpając sztywno skierowałam się ku źródłu

jasności. — Nagle stanęłam jak wryta. Wprost mnie, mrocznie wypływając z blasku, prostował się w groźnej czerni szatański upiór mego DUCHA. — W posępnym obłoku twarzy złowieszczo rozświecone oczy, czoło zamknięte na siedm pieczęci i nieubłagana niemość ust wzgardliwych wraziły się w mą ziemską miazgę drżeniem zwierzęcej trwogi, zgrozą zapadającego wyroku. — Padłam na ziemię rzężąc. — Nade mną huczał łoskot klątwy:

W WIEKUISTOŚĆ.

13. XI. 1901. — 31. III. 1902.

Marya D. Komornicka.

Z utworów Kazimiery Zawistowskiej.



DLA MARYI J.

Rycerskie i wysmukłe masz kontury ciała,
Jakobyś starych mistrzów żywym była tworem,
A woniejesz tak stepem, łąkami i borem,
Pieśnią wichrów, jak sosna w słońcu rozgorzała.

Dusza ci się w kurhannych dumach rozkochała,
W białych kościach świecących nad czarnym ugorem,
W sennym jęku żórawim u studni wieczorem —
I w tęsknicy się stepów obłąkała cała.

Lecz nocą, gdy miesiąca wzejdzie sierp z opali
I wonieją wiśniowe rozkwiecone sady,
Śnisz pod oknem nucone miłosne balady

I młodego rycerza w szyszaku ze stali,
I w zwartych jego ramion tulona obręczy,
Sen prześniwasz swój cudny, sen pierwszy młodzieńczy.

DLA ZOFII J.

Twoja dusza wygnanki ma królewskie lice.
Czerw' Bezczynu krwi jasnej wytacza jej soki,
Nuda w pustyń zmartwiałe przenosi opoki,
Gdzie pogasłych nadziei martwe lśnią źrenice.

A wokoło mkną życia wezbrane potoki,
Niosąc zgony i srebrne odrodzeń kotwice,
Białe krzyże Chrystusa, Syzyfów krwawice,
Tyrs bachantek, idei błękitnej obłoki.

Lecz twa dusza wygnanką jest w królewskiej szacie,
Śledzić dano jej szaniec w wojennym rozgwarze,
Ale walczyć niewolno przy żadnym sztandarze.

Więc czując, że majestat jest dla niej przekleństwem,
Kona zwolna, tej lilii strawiona męczeństwem,
Co samotna rozkwitła w gotyckiej komnacie.

LATO.

Jak stół biesiadny żeńcom podany,
Ziemia w przededniu wielkiego żniwa.
Złotą symfonię słońce dogrywa,
Strun mu tysiącem rozchwiane łany,

Wian zbóż, szafirem chabrow dziergany,
Zwichrzonych kłosów złocista grzywa,
Struną mu miodna hreczana niwa,
Mleczny gościniec skrzydłem pszczół tkany

A po ugorach stoją dziewanny,
Cicho wpatrzone w szmat nieba siny.
Niby kapłanki białej Marzanny,

Kwiatem wyrosłe z gruzów gontyny,
W pieśń zasłuchane oną przedwieczną —
Polną i zbożną — kwietną — słoneczną...

ZMIERZCH.

Wmgieł szarudze się wlecze i pełza powoli
Przez sczerniałe ścierniska, zżęte sianokosy,
Przez wierzb sennych opadłe rozplecione włosy,
Przez kurhany drzemiące w rozoranej roli.

Jak ptak zmęczon, opadnie i dziwnie zespoli
Z tęsknicami jesieni tęskne duszy losy,
Razem zaklnie je w dzwonów cmentarnych odgłosy, —
I śpiewać jak piastunka będą pieśń złej doli.

Pójdę znaną ścieżyną, dziś szarą od mroków,
Pod ciężką, od mgieł wilgną oponą obłoków,
Pójdę rozwianych szukać wróżb białych stokroci,

Czterolistnych koniczy, pocałunków żarów,
Pójdę szukać, wśród chłodem wiejących oparów,
Czy się kędyś zbłąkana skra słońca nie złoci.

SPADŁE LIŚCIE.

Na srebrne stawu zwierciadło lecą —
I świecą złotem — i miedzią świecą.
I lecą trwożne, jak błędne duchy,
Jak serc porwanych krwawe okruchy.

Przez wiatr rozsiane serc krwawych strzępy
Między pobrzeżne szuwarów kępy...
Jakby łzy lecą... jakby ból kwiatów —
Jak pocałunki słane z zaświatów.

I lecą... lecą... a gdy na fali
Mglisty się pierścień świateł rozpali,
To się w tej smętnej pławią jasności,
Niby korowód cmentarnych gości...

Na srebrne stawu zwierciadło lecą,
I świecą złotem, i jak krew świecą.

ŚNIEG.

Loty kwiatów rozwitych na mistycznej łące —
Oderwanych od łodyg, ściętych kwiatów pęki.
Uskrzydlonych gwiazd taniec — leciuchny i miękki,
Lotne gwiazdy srebrzyste, motyle goniące. —

Lecą... gwiazdy, motyle i kwiaty iskrzące.
Lecą... spadły... Siew biały z pod anielskiej ręki.
Jak dziewiczej orkiestry przytłumione dźwięki,
Grają bielą barw tonów pyły wirujące.

Tak grają, że się duszę chce rozewrzyć całą,
I tą bielą się osnuć, w tę kaskadę białą
Nurzać duszę, i mleczną srebrzyć ją ponową,

By dziewiczą się stała, kryształną alkową —
A wówczas na jej szybie lustrzanej wykwitną
Kwiaty marzeń młodzieńcze z koroną błękitną...

PANAGIA.

Naiwną ręką mistrza przed laty
W ołtarz cerkiewny sztywnie wtłoczona. —
Młode jej skronie gniecie korona,
Młodą pierś gniotą dostojne szaty.

Gdyby z tła złoceń zdjąć Świętą-Maty,
Toby w skrach słońca szła ozłocona
I, jak wieśniaczka z synkiem u łona,
Przędłaby kądziel u progu chaty.

A mgieł przędziwa z nad modrej strugi
W zwójby się pasem rozsnuły długi,
I wszystkie świtu-zorzy uśmiechy

Do jejby cichej przybiegły strzechy,
Aby rozsypać puchy lipowe
Na bezkoronną przędącej głowę. —

CMENTARZ.

Twardo posnęli, i nie wyjdą w pole,
Choć dzwonią sierpy wśród złotej kurzawy,
A dziewki, idąc wzdłuż świetlanej ławy,
Wian dożynkowy przynoszą na czole.

Posnęli w krzyżów trójramiennych kole,
Wśród jagód krasy, miętą wonnej trawy,
Gdzie gwiezdnooki kwitnie mlecz złotawy
I pachną kwiaty w cmentarnianym dole.

Krasną opończę i pojas czerwony
Włożono gazdom na ostatnie święto.
Nad nimi trawy pachną rutą, miętą,

Dymy się z chałup wloką na zagony,
I patrzy na nich poprzez Carskie Wrota
Przeczysta Maty, Byzantyńska, złota.

AGNESA.

Pan na jej duszę jak na harfę złotą
Dłonie położył — i rzekł: Moją będzie,
Białą jak owe najbielsze łabędzie,
Gdy się w wód modrych kryształy oplotą.

Niechaj gołębich swych skrzydeł prostotą
Przed mego tronu wzbije się krawędzie
I tam niech śpiewa jak ziemi orędzie,
Bo dla mnie harfą jest jej dusza złotą.

Więc miłująca i umiłowana,
Jak w gloryę słońca, szła w ogień dla Pana.
Przez skry płomienne przeszła żarnych stosów

Do rozzłoconych różanych niebiosów,
I skroń dziecięcą u stóp zgięła Pana
Ta miłująca i umiłowana.

TERESA.

Jeszcze cierpień, o Panie! Me dłonie wzniesione
Naznacz gwoździ męczennych purpurowym kwiatem,
Daj krwią broczyć pod świętym ran twoich stygmatem,
Spal pragnieniem ust twoich me usta spragnione.

Głód męczeństw mnie pożera, głodem męczeństw płonę!
Więc Ty dobry, Ty wielki, Ty bądź moim katem,
I ciało moje rozkrwaw krwi Twojej szkarłatem,
Wbij w skronie me bezsenne Twych cierni koronę.

Kochać! cierpieć! i umrzeć! ach, skonać dla Ciebie!
Tobie ponieść mej duszy płomienne pożogi,
Jej żarem wszystkie gwiazdy mlecznej roztlić drogi,

I jak wstęgę ognistą rzucić ją w Twem niebie,
I widzieć, jak te łuny krwawo rozgorzałe
Przyćmią Tobie oblicze Magdaleny białe. —

MAGDALENA.

O, nie patrz na mnie!.. Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać twe stopy znojne,
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi...
I klęcząc warkocz rozplatam długi,
I z stóp twych kornie biorę na włosy
Łez moich zdroje i oliw rosy.

O, nie patrz na mnie... Długo-m czekała,
Długo płomienna byłam i biała!..
Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
Bo trąd występku ciało mi toczy.
W proch mi skroń zetrzyj stopy białemi,
Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi!..
Bom jako owa oblubienica,
Co, w snach już widząc miłego lica,
W przededniu jasnym dnia godowego
Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
Na żer służalczym pachołom dała
Królewską krasę swojego ciała!..

Lecz nie odtrącaj!.. Jam twoje ręce
W snach widywała i w przeczuć męce...
I drżąc w brutalnych ramion oplocie,
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie!..
I w skrach ogniowych, w szału purpurze
Jak gołąb' byłam o białem piórze!..

. . . .

Wiem... przyjdą inne — już się wybiela,
Straż najprzedniejszych cór Izraela.
I niosą kwiatów barwistych snopy
Pod twe tułacze wędrowne stopy...
Idą ku tobie w zwartym szeregu,
Idą ku tobie w róż białych śniegu!..
Nie mnie iść z niemi — po wieczne czasy
Popiołem zsypię raj mojej krasy —
I w ślad stóp twoich pójdę pokutna
Jako służebna cicha i smutna!..

. . . .

O Rabbi... Rabbi... ja w prochu leżę,
I z tobą pójdę... i w ciebie wierzę.
I kładę usta i włosy moje
Pod opylonych stóp twoich znoje...
O Rabbi... Rabbi...

. . . .

„Wstań od stóp moich, zmazan grzech ciała.
Boś nieskończenie umiłowała —
I odtąd będziesz z śniegu i woni
Ów kwiat na drzewie wybranych skroni.
Idź... i oleje pochowaj wonne —
Na namaszczenie dla mnie pozgonne."

. . . .

ZWIASTOWANIE.

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Goniec niebieski w twe wrota wchodzi —
I Oblubieniec płaszczem purpury,
Okrywa białość Syońskiej córy.

Zdrowaś, Maryjo! o lutnio w śnieniu!..
Rozgraj twą duszę na łask promieniu,
Bij wonnościami jak cedr w świątyni,
Bo pan w twej duszy złoty siew czyni!

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Moc Najwyższego w twe łono wchodzi,
I pierś dziewicza pod lilią białą
Kwiat duszy swojej przemienia w ciało.

Zdrowaś, Maryjo! Owoc żywota
Ty jako arka poniesiesz złota,

I z dziewiczego wykwitnie łona
Ożywcza słodycz winnego grona!..

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Goniec niebieski w twe wrota wchodzi
I na twe skronie owite złotem
Mży rozpylonym słońca nalotem.
. . . .

BETLEEM.

Jaśń gwiazdy złotej na nieboskłonie,
Światłokrąg blasku w różach przedświtu,
I lud tak rozgran w pieśniach zachwytu,
Jak modro-srebrne Kedronu tonie.

U stóp twych — Magów pokłonne skronie,
W ciszy rozmodleń morza i lądy,
Trzód białe runa, juczne wielbłądy,
Ambry i nardu błękitne wonie...

U stóp twych ziemia — lecz w aureoli
Jaśni gwiaździstej wstaje powoli
Czarny cień krzyża w krwawej purpurze,

Na żarnych piasków rozpięty górze.
Czarne złowrogie hańby ramiona,
A na nich dusza... twej duszy... kona...

WIZYA.

O wizyo, biała wizyo! O białe konwoje
Archaniołów, niosących w słodkiej kantylenie
Swojej pani dostojnej korne pozdrowienie!
A Pani Wszechlitosna w rąk liliowych dwoje

Garnie kwiatem rozwite Dusz wybranych roje,
Duszek krasą bieluchne umaja odzienie
I słodko zasłuchana w harf przyćmione brzmienie
Patrzy w rajskie ogrojce, kędy przez podwoje

Runa jagniąt bieleją. A w kwietnej dąbrowie
Chodzą z lutnimi śpiewnemi biali Aniołowie
I drogę dla Jej stopek w złote sypią palmy.

A gdy idzie, gną harfy rozegrane w psalmy.
Gną harfy pod Jej stopy, i kwiaty, i blaski —
O ave, Wszechlitosna! ave, pełna łaski!..

KSIENI.

Na marginesach sztywnych psałterzy
Ksieni szlak zdobny okrasza złotem,
Strzelistych lilij barwi oplotem,
Jasnością skrzydeł anielskich śnieży.

Na marginesach sztywnych psałterzy
Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce
Pieszczą różane ciałko dziecięce,
Rozśmiane oczom jak owoc świeży!

Na marginesach sztywnych psałterzy
Uczona Ksieni skroń spiera białą
I usta wtula w różane ciało,

Rozśmiane oczom jak owoc świeży.
I po złoconych kart pergaminie
Bolesne srebro — łez... ciężkich... płynie...


VITA SOMNIVM
BREVE

Katedra.

URYWEK.



olniejszy teraz od opętania zadum, zabezpieczając się przed bezczynnością środkiem hygieny duchowej, rzucił się ponownie na katedrę, pokusił się o jej odczytanie. Tekst kamienny, o którego zrozumienie chodziło, był nietyle do odcyfrowania trudnym, ile kłopotliwym wskutek motywów wtrąconych, wskutek powtarzań, wskutek zdań zaginionych lub uszkodzonych; — aby wszystko powiedzieć — także wskutek pewnego bezładu, zrozumiałego zresztą, gdy sobie uprzytomnimy, że dzieło to było dokonywane, zmieniane i rozszerzane przez różnych artystów, w okresie czasu więcej niż dwóchsetletnim. Obraźnicy XIII-go wieku niezawsze liczyli się byli z ideami już wyrażonemi przez poprzedników i imali się ich nanowo, wypowiadali je w swym osobistym języku, zdwajali

np. znaki pór roku i zodyaku. — Snycerze XII-go wieku wyrzeźbili na fasadzie królewskiej kalendarz kamienny; rzeźbiarze wieku XIII-go wyryli również drugi, w prawej ościeży portyku Północnego, — usprawiedliwiając powtórzenie jednej i tej samej sceny w jednym i tym samym kościele tym zapewne faktem, że zodyak i pory roku, z punktu widzenia symbolicznego, mogą mieć wielorakie znaczenie. Wedle Tertuliana, dostrzegano, w tym kręgu mrących i odradzających się lat, obraz Zmartwychwstania w dniu końca świata. Podług innych wersyj, Słońce w otoczeniu swych dwunastu znaków byłoby symbolem Słońca Sprawiedliwości i jego dwunastu Apostołów. — Ze swej strony, ksiądz Bulteau dostrzega w tych almanachach granitowych tłomaczenie słów św. Pawła, oświadczającego Hebreom, że: „ten Jezus, który był wczoraj, jest i dziś, i będzie po wieki wieków;" — podczas gdy ksiądz Clerval daje to prostsze wyjaśnienie: „że wszelki czas jest Chrystusa i powinien Go chwalić."

Ale to tylko szczegół, — myślał Durtal; — taką podwójność zużytkowań łatwo sprawdzić w całości samej katedry.

Naogół, dzieło architektoniczne w Chartres dzieli się zewnętrznie na trzy wielkie części, zawyrokowane przez trzy wielkie portyki: — portyk Zachodni, zwany drzwiami Królewskiemi, stanowiący wejście uroczyste przybytku, między obu wieżami; — portyk Północny, przylegający do biskupstwa, poza nową dzwonnicą; i portyk Południowy, po boku starej wieżycy. Otóż, motywy portyku Królewskiego i portyku Południowego są jednorodne: jeden i drugi święcą tryumf Słowa, z tą różnicą, że w Południowym Chrystus Pan jest uwielbiony nietylko sam przez się, jak w Zachodnim, lecz jeszcze w osobie swych wybranych i świętych. Jeżeli do tych dwu motywów, dających się połączyć w jeden, mianowicie: Zbawiciela ubó-

stwionego we własnej osobie i w osobie swych świętych, — dodamy panegiryk Dziewicy, głoszony przez portyk Północny, to dojdziemy do: poematu opiewającego chwałę Matki i Syna, sławiącego racyę bytu samego Kościoła.

Zgłębiając zbliska waryanty portyku Zachodniego i Południowego, spostrzegamy, że choć tak w jednym jak w drugim Jezus tym samym ruchem błogosławi ziemię, że choć jeden i drugi ograniczają się prawie wyłącznie do odtwarzania Ewangelii, zostawiając tłómaczenie Starego Testamentu ościeżom Północnym, — niemniej jednak oba różnią się między sobą i wyodrębniają się jasno pośród portyków innych kościołów.

W przeciwieństwie do rytuałów mistycznych, zachowywanych prawie wszędzie, — w Notre-Dame paryskiej, w Bourges, w Amiens — że przytoczymy tylko trzy przykłady, — sąd ostateczny, zdobiący wejście główne tych bazylik, został tutaj, w Chartres, usunięty na tympanon drzwi Południowych.

To samo z drzewem Jessego. — W Amiens, w Reims, w katedrze Rouen'skiej, wznosi się ono w portyku Królewskim; tutaj rozrasta się na Północy; — i ileż innych jeszcze przestawień dałoby się zakarbować! — Lecz co niemniej jest dziwnem, — to fakt, że w Chartres nie zachowano skrupulatnie równoległości scen, tak często spotykanej na stronach wewnętrznej i zewnętrznej tejże ściany, — scen rzeźbionych z jednej — a malowanych na szkle z drugiej strony. Tak np., drzewo genealogiczne Chrystusa posadzono we wnętrznem oszkleniu portyku Królewskiego, podczas gdy jego rozgałęzienie wyciąga się rzeźbą na ścianach zewnętrznych Północnego. — Jednakże, choć niekiedy motywy prawej i lewej strony tejże karty nie odpowiadają sobie ściśle, — mimo to często zastępują się i uzupełniają. — Np. Sąd Ostateczny nie rozwija się od zewnątrz fasady królewskiej, lecz za to rozpromienia się wewnętrznie, w wielkiej różycy, wy-

ciętej w tymże murze. — Niema tu zatem kumulacyi, lecz jest uzupełnienie; — rzecz zaczęta w jednej gwarze i zakończona w drugiej.

Wreszcie, co się wybija po nad te wszystkie niezgodności lub zespoły, — to myśl władcza poematu, rozłożona gdyby refren po każdej z tych strof kamiennych, — myśl, że katedra należy do Matki Naszej, że kościół pozostaje wierny swemu wezwaniu, oddany swej patronce. Dziewica jest tu wszędzie Panią. Zajmuje całe wnętrze i nawet nazewnątrz, — w owych dwu portykach, Zachodnim i Południowym, których jej nie oddano, — zjawia się to w jakimś kącie nade drzwiami, to w głowicach, to nad przyczółkiem w powietrzu. — Obraźnicy wszystkich czasów powtarzali pozdrowienie anielskie sztuki, pobożny ten szereg nigdy nie został przerwany. — Bazylika w Chartres jest prawdziwem lennem Pani Naszej.



oniec końców, rzekł sobie Durtal, mimo odstępstwa niektórych tekstów, katedra jest czytelna.

Zawiera ona tłómaczenie Starego i Nowego Testamentu, — co więcej, szczepi na Piśmie Świętem tradycye apokryfów, tyczących się Dziewicy i św. Józefa, — żywoty świętych, zebrane w Legendzie Złotej Jakóba de Voragine i monografie Niebian dyecezyi Chartres'eńskiej. — Jest ona olbrzymim słownikiem średniowiecznej wiedzy o Bogu, o Dziewicy i Wybranych. To też Didron ma prawie słuszność, twierdząc, że jest ona przerysem owych wielkich encyklopedyj, które stworzył wiek XIII-ty; tylko teza, wsparta na słusznem spostrzeżeniu, w rozwinię-

ciu wykrzywia się i staje niedokładną. Didron w końcu przychodzi do wyobrażenia, że bazylika ta jest po prostu przekładem „Speculum Universale,“ „Zwierciadła Świata,“ Wincentego de Beauvais, — że jest przedewszystkiem, podobnie jak zbiór powyższy, skrótem życia praktycznego i komentarzem rasy ludzkiej po przez wieki.

Faktem jest — myślał Durtal, który poszedł do swej biblioteki po „Ikonografię chrześciańską“ tego autora, — że dając mu się prowadzić, należałoby te karty kamienne przewracać w sposób następujący: otworzyć je na rozdziale Północnym, by je zamknąć na akapitach Południowych. — Wówczas, według niego, znajdziemy opowiadanie: naprzód Genezy, kosmogonii biblijnej, stworzenia mężczyzny i kobiety, Edenu, — następnie, po wygnaniu pierwszej pary, opowieść jej okupu i utrapień.

Tym sposobem — zapewnia autor — : „snycerz skorzystał ze sposobności, by nauczyć mieszkańców Beauce'y sposobów pracy ręcznej i umysłowej. — Zatem, na prawo od upadku Adama, rzeźbi on ku wiecznemu zbudowaniu wszystkich oczu kalendarz kamienny ze wszystkiemi robotami polnemi, — potem katechizm rękodzielniczy robot miejskich, wreszcie, dla zajęć intelektualnych: podręcznik sztuk wyzwolonych.“

I tak pouczony, żyje człowiek z pokolenia w pokolenie aż do końca świata, — oznaczonego przez obraz znajdujący się na Południu.

Ten zbiór rzeźbowy zawierałby zatem memoryał historyi natury i wiedzy, glosaryusz moralności i sztuki, biografię istoty człowieczej, panoramę całego świata. Byłby zatem naprawdę obrazem „Zwierciadła Świata,“ wydaniem kamiennem dzieła Wincentego de Beauvais.

Bieda tylko, że, naprzód: „Speculum Universale“ tego Dominikanina jest młodsze o lat parę od budowy ka-

tedry; następnie: że Didron w swojej tezie nie troszczy się ani trochę o wartości rzeźb i ich odległości. Jakiemuś posążkowi, pogrążonemu w sznurze zwornika, przypisuje taką samą wagę jak wielkim posągom, które występują dobitnie, towarzysząc wypukło-obrazom Zbawiciela i Jego Matki. Możnaby nawet twierdzić, że te ostatnie właśnie omija; tak przemilcza cały portyk Zachodni, który żadną miarą nie dał się wcielić w jego systemat.

W gruncie, idee tego archeologa kuleją. Podporządkowuje on rzeczy zasadnicze przydatkom i dochodzi do pewnego racyonalizmu, wręcz niezgodnego z mistyką owych czasów. — Spotwarza Wieki Średnie, obniżając strefę boskości aż do poziomu ziemskiego, oddając człowiekowi, co się należy Bogu. — Modlitwa rzeźby, śpiewana przez całe wieki wiary, staje się we wstępie jego dzieła już tylko encyklopedyą jakichtambądź wiadomostek praktycznych i moralnych.

— Rozpatrzmyż to zbliska — ciągnął Durtal — który dla wypalenia papierosa zszedł na plac. — Ten portyk Królewski — żuł po drodze — jest wejściem fasady honorowej, którędy przedostawali się królowie. — Jest on także pierwszym rozdziałem księgi — i sam przez się streszcza gmach cały!

A jednak niezwykłe to jest — te wnioski poprzedzające przesłanki, to streszczenie umieszczone na początku dzieła, podczas gdy, wedle porządnej logiki, powinnoby się znajdować w absydzie, na końcu.

Ostatecznie, — myślał, — odłożywszy na bok te kwestye, fasada tak pojęta zajmuje w tej bazylice miejsce drugiej z Ksiąg Mądrości w Biblii. — Odpowiada ona Psałterzowi, który jest w pewnej mierze skrótem, sumą wszystkich ksiąg Starego Testamentu — i, co za tem idzie, — proroczem memento całej religii objawionej.

Podobnie część Zachodnia katedry, z różnicą, że ta jest streszczeniem już nie Starego, lecz Nowego Pisma, wyciągiem Ewangelii, zgęszczeniem ksiąg św. Jana i synoptyk wszelakich.

A budując ją, wiek XII-ty uczynił jeszcze więcej. Dołączył nowe szczegóły do tej chwały Chrystusa, przeprowadził go od urodzenia, poprzez Biblię aż do śmierci i po za nią — aż do apoteozy, pojętej według Apokalipsy; uzupełnił Pismo apokryfami, opowiadając nam historyę św. Joachima i św. Anny, zwierzając nam niejeden epizod małżeństwa Maryi i Józefa, wydobyty z ewangelii Narodzenia Najświętszej Panny i z protoewangelii Jakóba Mlodszego.

Zresztą, z tych legendaryuszów czerpały wszystkie ówczesne świątynie, i żaden kościół nie będzie zrozumiały bez wzięcia ich pod rachubę.

Ta mieszanina prawdziwych Ewangelii i baśni nie jest ostatecznie niczem dziwnem. Kościół, odmawiając pewności kanonicznej i pochodzenia boskiego ewangeliom Dzieciństwa, Narodzenia, św. Tomasza Żyda, Nikodema, protoewangelii Jakóba młodszego, historyi Józefa, — nie myślał jednak odrzucać ich ryczałtowo, zaliczać do śmieci, kłamstw i złudzeń.—Mimo ich niektóre, conajmniej śmieszne, anegdoty, mogą się jednak w tych tekstach znajdować wskazówki dokładne, opowieści autentyczne, których Ewangeliści, tak powściągliwi w udzielaniu wiadomości, nie uznali za właściwe do nadmienienia.

Średnie Wieki zatem nie popadały bynajmniej w herezyę, przyznając tym księgom czysto ludzkim wagę fikcyj prawdopodobnych i wdzięk nabożnej pamięci.

— Ogółem — ciągnął Durtal, doszedłszy do wrót pomiędzy wieżami, przed portyk Królewski Zachodni, — ogółem, ten olbrzymi palimpsest, ze wszystkiemi jego

719 figurami, rozwikłać łatwo, jeżeli się przyjmie klucz użyty przez księdza Bulteau w jego monografii katedry.



dąc od nowej dzwonnicy wzdłuż fasady aż do dzwonnicy starej, przebiega się historyę Zbawiciela, opowiedzianą przez dwieście blisko figur, rozproszonych po głowicach. Sięga ona przodków Chrystusa, zapowiada biografię Anny i Joachima, w mikroskopijnych obrazkach tłómaczy apokryfy. — Przez uszanowanie może dla Ksiąg natchnionych, czołga się wzdłuż murów, zdrabnia się, by nie występować zbyt widocznie, — wzmiankuje jakby pokryjomu, w ciekawej mimice, o rozpaczy biednego Joachima, gdy pisarz świątyni, zwany Ruben, wyrzuca mu bezdzietność i w imieniu Boga, który mu nie pobłogosławił, odrzuca jego ofiarę. I Joachim rozbolały opuszcza żonę i usuwa się płacząc nad dotykającą go klątwą, gdy wtem anioł mu się zjawia, pociesza go, każe mu połączyć się z żoną, która za jego sprawą urodzi córkę.

Potem kolej na Annę, jęczącą samotnie nad swą bezpłodnością i wdowieństwem. I ją także nawiedza anioł, i radzi jej iść naprzeciw męża, którego spotyka u Drzwi Złotych. Rzucają się sobie na szyję, wracają razem do domu i Anna powija Maryę, którą poświęcają Panu.

Mijają lata; nadeszła pora zrękowin Dziewicy. Arcykapłan powołuje wszystkich dorosłych a bezżennych domu Dawidowego do przybycia przed ołtarz z różdżką w ręku. — I aby się dowiedzieć, z którym z tych powołanych ma być zaręczona Marya, arcykapłan Abiathar zasięga rady

Najwyższego, który powtarza przepowiednie Izajasza, potwierdzając, że z gałęzi Jessego wystrzeli kwiecie, na którem spocznie Duch.

I oto różdżka jednego z nich, Józefa cieśli, natychmiast rozkwita, a gołębica, zstąpiwszy z nieba, gnieździ się na niej.

Maryę zatem oddają Józefowi i odbywa się ślub. Mesyasz się rodzi, Herod morduje Niewiniątka, i tu urywa się ewangelia Narodzenia, ustępując głosu Pismom Świętym, które ciągną rzecz o Jezusie i prowadzą Go aż do Jego ostatniego objawienia, po śmierci.

Sceny te służą za szlak u spodu wielkiej stronnicy, ciągnącej się między obu wieżycami, po nad trojgiem drzwi.

Tam znajdują się obrazy mające tłum czarować najjaśniejszemi, najdotykalniejszemi zjawami; tam promienieje główny temat portyku, ten, który ucieleśnia Ewangelię, który streszcza cel samego Kościoła.

Na lewo — Wniebowstąpienie Zbawiciela, wznoszącego się tryumfalnie w obłoki, wyobrażone przez pasmo falujące, które na sposób bizantyński podtrzymują dwaj aniołowie, podczas gdy na dole apostołowie zadzierają głowy, chłonąc to Wstępowanie, które im wyciągniętemi ku niebu palcami wskazują inne, zstępujące, unoszące się ponad nimi anioły.

A wygięta rama dwułucza zawiera zodyak i almanach kamienny.

Na prawo — tryumf Najświętszej Panny, okadzanej przez dwu archaniołów, siedzącej z berłem w ręku na tronie, w towarzystwie Dziecięcia, błogosławiącego świat. — Dalej, na dole, streszczenie jej życia: Pozdrowienie, Nawiedzenie, Narodzenie, Przybycie Pasterzy, Przedstawienie Jezusa arcykapłanowi. — A zwornik skręcający się wężo-

wo i prostujący się nad Matką Boską w kształt mitry — zdobią dwa sznury: jeden, rojny od archaniołów z trybularzami, ze skrzydłami wygniatanemi w kratkę, łuszczonemi w dachówkę — drugi, wypełniony postaciami siedmiu umiejętności wyzwolonych, symbolizowanych każda przez dwa posążki, z których pierwszy przedstawia jej alegoryę, zaś drugi osobistość starożytną, która była jej twórcą lub niedościgłym mistrzem. — Jest to ten sam system ekspresyi co w kościele Laon'skim, zobrazowana parafraza teologii scholastycznej, przekład snycerski tekstu Alberta Wielkiego, który, wyliczając doskonałości Dziewicy, twierdzi, iż posiadała bezwzględną znajomość następujących siedmiu sztuk: gramatyki, retoryki, dyalektyki, arytmetyki, geometryi, astronomii i muzyki, — czyli całą umiejętność Wieków Średnich.

Nareszcie, w pośrodku, portyk centralny, zawierający temat, dokoła którego krążą annale tamtych oścież — : Chwałę Zbawiciela, tak jak ją w Pathmos pojął Jan święty, księgę końcową Biblii, Apokalipsę rozwartą na czele bazyliki, ponad wejściem uroczystem do katedry.

Jezus siedzi, z nimbem krzyżowym dokoła głowy, w lnianej szacie, przybrany płaszczem, spadającym kaskadą gęstych fałdów, z bosemi stopami, wspartemi o niski stołek, — symbol ziemi wedle Izajasza. — Jedną ręką błogosławi świat, — w drugiej dzierży księgę zamkniętą na siedm pieczęci. Dokoła Niego, w otaczającym go owalu, Tetramorf, — cztery zwierzęta ewangieliczne, o skrzydłach łuskowanych: człowiek pierzasty, lew, orzeł i wół, symbole św. Mateusza, św. Marka, św. Jana i św. Łukasza.

Poniżej dwunastu apostołów podnosi w górę zwitki i księgi.

A dla uzupełnienia sceny Apokalipsy — w sznurach zworników dwunastu aniołów i dwudziestu czterech starców, których nam opisuje św. Jan, odzianych biało i uwień-

czonych złotem, gra na narzędziach muzycznych, — śpiewa w uwielbieniu wiekuistem — [które kilka dusz, wyosobnionych w obojętności naszych czasów, podjęło na nowo] — chwałę Najwyższego, i chyli się kornie, gdy, na gorące i uroczyste modły ziemi, zwierzęta ewangeliczne, głusząc swym głosem łoskot piorunów, odpowiadają słowem jedynem, koncentrującem w swych czterech literach, streszczającem w swych dwu sylabach, obowiązki człowieka względem Boga, — pokornem i miłującem, posłusznem Amen.

Tekst został przez obraźników ściśle odtworzony, z wyjątkiem Tetramorfu, gdyż tu brak jednego szczegółu: zwierzęta nie są pocentkowane temi tysiącami oczu, o których mówi Prorok.

Streśćmy: obraz ten, podzielony jak tryptyk, zawiera: w skrzydle lewem — Wniebowstąpienie, obramowane kształtami zodyaku; — w środku — tryumf Jezusa wedle słów Ucznia; — na skrzydle prawem — tryumf Maryi z towarzyszeniem niektórych jej atrybutów.

A całość stanowi program urzeczywistniony przez architekta: Chwałę Słowa. — I rzeczywiście „są w niej“ — mówi w swem treściwem dziełku o Chartres ks. Clerval, — „sceny Jego życia, które przygotowały Jego chwałę; — jest właściwe wstąpienie do chwały, i jest wieczne uwielbienie przez aniołów, świętych i najświętszą Pannę.“

Z punktu widzenia faktury, dzieło to w swym głównym motywie jest jasne i wspaniałe, w mniejszych zaś ciemne i rozbite. Płycina Maryi jest uszkodzona i, równie jak ścianka Wniebowstąpienia, osobliwie zatarta i prostacka, — o wiele niższa od obrazu środkowego, który więzi najbardziej żyjącego, najsilniej przykuwającego z Chrystusów.

Istotnie, nigdzie, w całem średniowiecznem rzeźbiarstwie, Odkupiciel nie objawia się melancholijniej i miłosier-

niej, w postaci pełniejszej powagi. Oglądany z profilu, z włosami spływającemi na plecy, przedzielonemi płasko nad czołem, — z nosem cokolwiek zadartym, z ustami wydatnemi, okrytemi gęstym wąsem, z brodą krótką i skręconą, z długą szyją, — sprawia on, mimo sztywność układu, wrażenie Chrystusa nie bizantyńskiego, takiego, jak go malowali i rzeźbili artyści owych czasów, — lecz Chrystusa Prymitywów, powstałego we Flandryi, rodem z Holandyi, którą trąci, — i której to smak, w typie mniej czystym, znachodzi się później, ku końcowi wieku XV-go, w obrazie Cornelis'a Van Oostzaanen z muzeum Kassel'skiego.

I stoi, prawie smutny, w swym tryumfie, niezdumiony, błogosławiący ze wzruszoną rezygnacyą ten pochód grzeszników, który od 700 lat ogląda go ciekawie, bez miłości, idąc placem; i wszyscy odwracają się doń plecami, nie troszcząc się zbytnio o Zbawcę, tak mało podobnego do znanych im wizerunków, — nie uznając Go inaczej niż z baranią głową i mdłemi rysami, — na podobieństwo — bądźmy szczerzy — owego pięknisia z katedry w Amiens, przed którym omdlewają ludzie rozkochani w łatwem pięknie.

Po nad tym Chrystusem otwierają się trzy okna ślepe od zewnątrz — i — po nad niemi — wielka martwa róża, podobna do zgasłego oka, zapalająca się, podobnie jak szyby okien, tylko od wewnątrz, płonąca tam jasnemi ogniami i bledemi szafirami w oprawach kamiennych; wreszcie, nad różycą ciągnie się galerya królów Francyi, ponad któremi szczyt gmachu wznosi swój trójkąt między obu wieżami.

A obie dzwonnice ciskają w niebo swe strzały; — stara wycięta w miękkim wapniaku, łuszczkowana, wytryska jednym rzutem, wydłuża się w gasidło i ostrzem swem rzuca w chmury dym modlitw; — nowa, przezro-

cza jak koronka, rznięta jak klejnot, w girlandach z liści i latorośli winnych, wstępuje ku górze z powolną zalotnością, starając się sprostać modlitwą pogodną, miłemi uśmiechami duchowemu wzlotowi i pokornemu starszej błaganiu — i rozbroić Ojca radosnym szczebiotem dziecięcym.



le, wracając do portyku Królewskiego — ciągnął w myśli Durtal — mimo całą ważność jego wielkiej karty, głoszącej wieczny tryumf Słowa, zajęcie artystów zwraca się nieodparcie do parteru budowy, gdzie w przestrzeni objętej podstawami obu wieżyc, wzdłuż muru i w wyciosaniu trojga drzwi, wystrzela dziewiętnaście kolosalnych posągów z kamienia.

Najpiękniejsze rzeźby świata znajdują się z pewnością tutaj. — Składają się na nie: siedmiu królów, siedmiu proroków lub świętych, i pięć królowych. Posągi te wznosiły się dawniej w liczbie dwudziestu czterech, z nich pięć zniknęło bez śladu.

Wszystkie mają aureole, z wyjątkiem trzech pierwszych, stojących w pobliżu dzwonnicy nowej, i wszystkie są osłonione przewiewnemi baldachimami, wykreślającemi się w chatki i kapliczki, w dworki i mostki, — w całe miasto miniaturowe, Syon dziecięcy, lilipucią Jeruzalem niebieską.

Wszystkie stoją wyprostowane, na kolumnach giloszowanych, na cokołach rżniętych w migdał, w ostrze brylantu, w łuskę ananasową, wydłutowanych w arabeski, w skówki ząbkowane, w skałkę piorunową, żłobionych

w szachownicę, której kwadraty przyległe byłyby naprzemian to puste, to pełne, — wykładane rodzajem mozaiki i forniru, — wywołujące, wraz ze szlakami szyb w kościele, wspomnienia złotnictwa maurytańskiego, zdradzające pochodzenie kształtów, przywiezionych ze Wschodu w czasie wojen Krzyżowych.

Pierwsze jednak trzy posągi lewej ościeży, sąsiadujące z dzwonnicą nową nie wznoszą się na ornamentach zrabowanych niewiernym: — tłoczą one nogami niewytłómaczone twory jakieś.

Jeden z nich, król, któremu głowę przetrąconą zastąpiono głową królowej, depce człowieka, oplecionego przez węże; — inny znów monarcha przygniata kobietę, która jedną dłonią chwyta ogon płazu, a drugą głaszcze sploty swoich włosów; — trzecia wreszcie, królowa, uwieńczona prostą obręczą złotą, z wydatnym brzuchem osoby brzemiennej, z przyjemną lecz pospolitą twarzą klucznicy, — ma za piedestał dwa smoki, koczkodona, ropuchę, psa i bazyliszka z mordą małpią.

Co mają oznaczać te rebusy? Nikt nie odgadnie, tak, jak zresztą nikt nie zna imion pozostałych szesnastu posągów, wyciągniętych pod sznur wzdłuż portyku.

Jedni upatrują w nich przodków Mesyasza, lecz domysłu tego nie wspiera dowód żaden; drudzy rozróżniają w nich bohaterów Starego Testamentu, zmieszanych z dobrodziejami Kościoła, lecz przypuszczenie to jest również złudne.

Faktem jest, że choć wszyscy ci ludzie trzymają w ręku berła i zwitki, banderole i eukologi, to jednak żaden z nich nie ujawnia któregobądź z atrybutów indywidualnych, służących do wyróżniania ich w świętej nomenklaturze Wieków Średnich.

Co najwyżej ochrzcićby można mianem Daniela

figurę bez głowy, gdyż pod nią wije się niewyraźny smok, symbol dyabła, którego prorok ten zwyciężył w Babilonie.



achwycające przed innemi są posągi królowych.

Pierwsza, owa królewska jejmość, z brzuchem wypukłym, jest sobie zwyczajna. Skrajna przeciwległa, u drugiego końca fasady, przy starej dzwonnicy, ma twarz przetrąconą w połowie, a pozostała cząstka nie pociąga niczem. — Lecz pozostałe trzy, stojące przy głównej ościeży, pod wejściowem sklepieniem, są niesłychane!

Pierwsza, długa, wyciągnięta, cała idąca w wysokość, ma czoło obwiedzione koroną, welon, włosy lekko karbowane po bokach przedziału i spadające warkoczami na ramiona, nos nieco zadarty, odrobinę gminny, usta przezorne i stanowcze, brodę mocną.

Oblicze to już niemłode. Ciało pod wielkim płaszczem z szerokiemi rękawami sztywne, zamknięte w futerale sukni litej, z pod której nie występuje żadna oznaka kobiecości.

Prosta jest, bezpłciowa, płaska; kibić jej wymyka się z opasania franciszkańskim sznurem z węzłami.

Spogląda, nie widząc, schyliwszy nieco głowę, baczna niewiedzieć na co. — Czy doszła do doskonałego wyrzeczenia się wszech rzeczy? Żyjeż istnieniem Jednościowem, po za światami, po za czasem? — Można to przypuścić, zważywszy, że mimo oznaki monarsze i wystawną okazałość stroju, zachowuje układ skupiony i surowy

wyraz zakonnicy. Zalatuje od niej raczej klasztorem niż Dworem.

Zaczem przychodzi pytanie, kto ją szyldwachem postawił u tych wrót — i czemu, wierna znanemu jej tylko hasłu, dalekim swym wzrokiem, we dnie i w nocy, nieruchomo wypatruje kogoś, co od siedmiuset lat się nie zjawia?

Wydaje się ona symbolem Adwentu, w schylonej nieco postaci zasłuchanego w płynące od ziemi, utyskliwe błagania człowieka; śpiewają w niej wiekuiste jakieś „Roraty“; mogłaby to więc być królowa ze Starego Testamentu, umarła dawno przed narodzeniem Mesyasza, którego przyjście głosiła może?

Że trzyma książkę, więc ks. Bulteau poddaje myśl, czy nie jest to posąg św. Radegondy. — Ale księżniczek kanonizowanych i trzymających księgi jest wiele; — jednakże układ tej królowej, jej wycieńczone rysy, jej wzrok zgubiony w przestrzeni snów wewnętrznych, odpowiadają dość dokładnie żonie Klotaryusza, która się zamknęła w klasztorze.

Ale w takim razie na cóżby czekała? — Na powrót króla, którego się obawiała, gdyż chciał ją wyrwać z jej opactwa w Poitiers i znów na tronie posadzić? — W braku wszelkich wiadomości, każde domniemanie musi zostać płonnem.

Drugi posąg przedstawia również niewiastę monarszą z książką w ręku. Ta jest młodsza, nie ma płaszcza ani welonu; pierś jej wzdętą opina szczelnie stanik bardzo obcisły i obciągnięty, przylegający jak mokre płótno, falujący drobnemi fałdami, zmarszczkami, — stanik, podobny do karlowingiańskiego *roque*'a, z zapięciem na boku. — Włosy jej, rozdzielone nad czołem, zakrywają uszy, spadają w splotach uwstężonych i zakończonych w trzaskawkę.

Twarz to samowolna i szczwana — nieco wyniosła. Patrzy nazewnątrz, piękność jej jest bardziej ziemska i świadoma siebie. — Święta Klotylda?.. pyta na traf ks. Bulteau.

Wiadomem jest, że ta wybrana niezawsze była wzorem łagodności, i tem, co się nazywa osobą wygodną. — Przed upokorzeniem i karą zaznaczyła się w historyi mściwością bez odruchów miłosierdzia i żądzą odwetów. — Byłaby to więc Klotylda z przed pokuty, — królowa, nim została świętą?

Jestże to z pewnością ona? — Dano jej to imię z powodu, że inny, podobny posąg z tejże epoki, należący niegdyś do kościoła Najświętszej Panny w Corbeil, został ochrzczony tem mianem.

Lecz już dowiedziono, że posąg ów wyobrażał królowę Sabę. Staliżbyśmy przed tą monarchinią? — Czemuż jednak ma ona aureolę, skoro nie jest wpisana w Księgę Żywota?

Bardzo być może, iż ani żoną Klodoweusza, ani przyjaciółką Salomona nie jest ta dziwna księżna, — bardziej od swych siostr cielesna, a zarazem bardziej widmowa, — gdyż czas sponiewierał jej oblicze, zczernił naskórek, splugawił usta, podziobał jej policzek jakby gradem, stoczył nos, dziurawiąc go w asa treflowego, i obrazem śmierci okrył jej tak żyjące lica.

Co do trzeciej, ta wyciąga się wątłem wrzecionem, wiotka smukłością gromnicy, o rękojeści wyrobionej w deseń, wyciśniętej, rytej w samym wosku. — Wystrzela w górę, przepysznie odziana suknią sztywną, żłobkowaną, zarysowaną we włókna jak łodygi selerów. — Stanik ma lamowany, z haftem. Brzuch otacza drogocenna zawiązka, węzłowata, luźna; głowa w koronie; ręce obie obłamane: jedna spoczywała na piersi, druga trzymała berło, z którego został szczątek.

I ta śmieje się, niewiniątko figlarne, urocze. Dwoj-

giem szeroko rozwartych oczu, o brwiach wysoko wzniesionych, przypatruje się zwiedzającym. Nigdy geniusz człowieka nie urobił w podobny sposób twarzy wyrazistszej. To arcydzieło wdzięku dziecięcego i świętej prostoty.

Wśród zadumanej architektury XII-go wieku, w tym tłumie rzeźb poważnie skupionych, symbolizujących niejako naiwną miłość owej epoki, dręczonej trwogą wiecznego piekła, — zdaje się ona stać u drzwi Pana jak litościwy Anioł Przebaczeń. — Dla pełnych lęku dusz nałogowych, które nie odważają się już, po tylu stałych upadkach, przestąpić progu kościoła, ma ona dziwną uprzejmość, odgania ich żale, zwycięża chęć cofnięcia się, poufnością swego śmiechu ucisza kurcze strachu.

Jest ona starszą siostrą Marnotrawnego Syna, tą, o której nie wspomina św. Łukasz, lecz która, jeżeli istniała, musiała bronić nieobecnego i nalegać, by ojciec zarżnął tłustego cielca na jego powrót.

Chartres nie widzi jej w tem świetle pobłażliwem; wedle podania lokalnego, ma to być Berta Wielkostopa; lecz twierdzenie to nie opiera się na żadnym argumencie, — a przeczy mu wręcz otocz nimbu nad posągiem: — znak ten świętości nie mógłby połyskać głową matki Karola Wielkiego, której imienia nie znają hagiologowie Kościoła Tryumfującego.

Byłaby zatem, zgodnie z tezą archeologów, upatrujących, w panegiryi rzeźbionej portyku, przodków Chrystusa, — księżniczką Starego Testamentu; — ale którą? — Łzy — jak trafnie zauważył Hello, — częste są w Piśmie, ale śmiech tak rzadki, — że śmiech Sary, niemogącej pohamować wesołości, na zwiastowanie Anioła, że mimo swą wielką starość pocznie syna, został sławny. — Daremniebyśmy w księgach Dawnego Przymierza szukali osoby, do której zastosowaćby się dała niewinna radość tej królowej.

Faktem jest, że na zawsze tajemniczą pozostanie ta istota anielska, powiewna, odczuwająca zapewne przeczyste rozkosze duszy spływającej w Boga, a przytem tak dostępna, uczynna, że zostawia nam złudzenie zbawczego gestu, miraż błogosławieństwa widzialnego dla pożądających. W istocie, — przedramię prawe jest złamane w kostce i ręki już niema; lecz ta ręka, gdy jej się szuka, zdaje się jeszcze istnieć w stanie odbłysku, cienia; — tworzą ją bardzo wyraźnie: lekkie wzdęcie piersi, naśladujące dłoń, — oraz fałdy stanika, rysujące dokładnie cztery smukłe palce i duży palec, wzniesione dla wykreślenia nad nami znaku Krzyża.

Co za przedziwną zwiastunką Serdecznej Matki jest ta królewska Strażniczka progu, ta Monarchini, zachęcająca zbłąkanych do powrotu na łono Kościoła, do wejścia w drzwi, których strzeże, — i będąca sama jednym z symbolów Syna! — zawołał Durtal, obejmując jednym rzutem oka te niewiasty tak różne: pierwszą, raczej zakonnicę niż królowę, chylącą nieco głowę; drugą, wyłącznie królowę z czołem podniesionem, i trzecią, święcie figlarną, ani wyprostowaną, ani pochyloną, lecz w postawie naturalnej, miarkującą wyniosłość królowej pokornym i radosnym układem świętej.

Dałoby się tu może rozróżnić, — myślał, — w pierwszej obraz życia kontemplacyjnego, w drugiej ideę życia czynnego; a ta ostatnia wcielałaby obadwa — tak jak Ruth w Piśmie?

Posągi Proroków, z żydowskiemi na głowach krymkami w pasy, i posągi Królów, dzierżących mszały i berła, są także niezrozumiałe; jeden z nich, w arkadzie środkowej, w kącie drzwi na prawo, oddzielony przez jakiegoś innego monarchę od rzekomej Berty, interesował żywiej Durtala, gdyż był podobny do Verlaine'a. Ta sama głowa, włochatsza coprawda, lecz równie dziwna, ta sama czaszka wyboista, ta sama nieco spłaszczona maska, te

same włosy rozczochrane, ten sam wyraz pospolity i dobroduszny.

Podanie ochrzciło ten wizerunek mianem św. Judy; i wielce suggestywnem jest podobieństwo rysów między tym apostołem najbardziej przez chrześcian zaniedbanym, do którego się tak mało modlono w ciągu wieków, że pewnego dnia wpadnięto na pomysł wzywania go w wypadkach beznadziejnych, w sprawach straconych, z powodu, jakoby mniej od innych u Boga wyczerpał kredytu, — a poetą, tak zupełnie nieznanym czy tak głupio wyklętym przez tych samych katolików, którym przynosił jedyny od czasów średniowiecznych wykwit poezyi mistycznej.

Nie mieli szczęścia, — ani pierwszy w Świętości, ani drugi w Poezyi, — zakończył Durtal i cofnął się dla łatwiejszego objęcia fasady w całości.



tała niesłychana, w swych dłutowaniach podobnych do flory szronu na szybach, w swych obrusach kościelnych, w rokietach misternie oczkowanych, w gipiurach pajęczych biegnących aż do pierwszego piętra i obramiających przezroczo wielkie motywy portyków. Poczem wzbijała się w górę, pustelnicza, powściągliwa w ozdobach, cyklopiczna, z kolosalnem okiem swej martwej róży, między dwoma wieżycami, — jedną wyoknioną, czarno inkrustowaną jak portyk, — drugą, nagą jak piętro występujące nad portykiem.

Ale co przeważało, co pochłaniało Durtala, — były to mimo wszystko posągi królowych.

W końcu przestawał już troszczyć się o resztę i na-

pawał się wyłącznie boską wymową ich chudości, rozważał je jako długie łodygi, wpuszczone w rznięte cylindry kamienne i rozkwitające pąkami twarzy, rozsiewające zapachy dziewicze, aromaty naiwne. — A Chrystus błogosławiący świat, wzruszony i smętny, wychylał się ze swego tronu, nad niemi, by wciągać w siebie tkliwą wonność, wybiegającą z tych smukłych dusz-kielichów.

I Durtal rozmyślał, jakiby nieprzeparty nekromanta zdołał wywołać ducha tych królewskich Furtyanek, zmusić je do mówienia, dać nam być świadkiem rozmowy, którą prowadzą może, gdy, cofając się pod sklepienie, zamykają się u siebie, wieczorem, za firanką mroku?

Co też mówią między sobą, one, które widziały św. Bernarda, św. Ludwika, św. Ferdynanda, św. Fulberta, św. Iwona, Biankę Kastylską, tylu Wybranych, przeciągających przed ich wzrokiem w gwiaździste ciemności nawy? Czy rozmawiają o śmierci swych towarzyszek, owych pięciu rzeźb, które nazawsze zniknęły z ich areopagu? — Czy słuchają, poprzez skrzydła drzwi zamkniętych, jęków beznadziejnego wichru psalmów i ryku wielkich wód organu? — Czy słyszą bezduszne wykrzykniki turystów, naśmiewających się z ich sztywnej długości? — Czy czują, tak, jak wielu świętych, swąd grzechu, zaduch bagnisty dusz, które się o nie ocierają? W takim razie niepodobna byłoby na nie oczu podnieść. — Lecz Durtal mimo to patrzał, nie mogąc się od nich oderwać, więziony trwałym czarem ich zagadki; — ostatecznie, myślał dalej, pod pozorami rzeczywistości są to twory pozaziemskie. — Nie mają ciał, ich dusze mieszkają same w drogocennej pochwie sukien; są one w doskonałej zgodzie z bazyliką, która także wyzwala się ze swych głazów i w polocie ekstazy wzbija się nad ziemią.

Tutaj, w Chartres, znajdują się arcydzieła budownictwa i snycerstwa mistycznego. Najbardziej nadludzka,

najbardziej po wszystkie czasy wniebowzięta sztuka rozkwitła w tym płaskim kraju Beauce'y.

A teraz, rozważywszy całość fasady, zbliżał się znowu, by ją zbadać w jej najmniejszych przydatkach, w jej drobnych szczegółach, rozpatrywał zbliska strój Monarchiń— i stwierdzał, co następuje: żadna draperya nie miała podobnej; jedne spadały bez nagłych załamów, drobno fałdziście marszcząc się w rozedrganie fal wodnych; inne schodziły w liniach równoległych, w karbach ścisłych, nieco wypukłych, podobnych do lasek dzięglu; — a twardy materyał poddawał się wymaganiom artystow, stawał się giętkim w strojnych krepach, w bawełniankach i tkaninach z czystego lnu, — cięższym w brokateli i złotogłowiu; wszystko było wyodrębnione; naszyjniki cyzelowane ziarno po ziarnie, — węzły pasów dałyby się rozwiązać, tak swobodnie spleciono ich taśmy; naramienniki i korony były wiercone i kute, wysadzane drogiemi kamieniami, ujętemi w oprawę, jakby przez specyalistów, złotników.

A często cokoł, posąg i baldachim były wycięte z jednej sztuki, w tej samej bryle! — cóż to byli za ludzie, zdolni do rzeźbienia dzieł podobnych?

Zapewne żyli w klasztorach, bowiem kulturę sztuki uprawiano wtedy w zagrodach Boga. I jaśnieli podówczas w Ile de France, w Orleańszczyźnie, w Maine, w Anjou, w Berry, — gdyż znajdujemy w tych prowincyach rzeźby tego rodzaju; ale wyznać trzeba, że wszystkie one są niższe od Chartres'eńskich. W Bourges np., analogiczni Prorocy i podobne Królowe marzą w jednej z tych cudownych ościeży bocznych, kędy narzuca się wspomnienie koniczyny arabskiej. — W Angers posągi te są uszkodzone, prawie zniszczone, lecz mimo to łatwo skonstatować, że są zmniejszone, czysto ludzkie. Nie są to już Niebianki o ciele dziewiczo uwysmuklonem, — lecz zwyczajne Królowe; — w Mans, gdzie gdzie dochowały się w lepszym stanie, — daremnie usi-

łują wydostać się ze swych prostych futerałów; są mimo to skrócone, odnerwione, zubożone, prawie pospolite. Nigdzie nie jest to dusza rzeźbiona, jak w Chartres; i jeżeli z fasadą tutejszą porównamy fasadę katedry w Mans, pojętą tak jak Chartres'eńska, — z chwałą Chrystusa błogosławiącego, siedzącego wśród skrzydlatych zwierząt Tetramorfu, — to jakże wielkie sprawdzimy obniżenie w poziomie boskości! — Wszystko tam zwężone i dychawiczne. Jezus, źle obciosany, wygląda prawie srogo. Te portyki zdobili widać nie mistrzowie niezrównani z Chartres, lecz ich uczniowie bez geniuszu.

Byłaż to kompania owych obraźników, owych stowarzyszonych boskiego dzieła, wędrujących od kraju do kraju, z mularzami, kwatermistrzami Boga, i zorganizowanych przez mnichów? — Przychodziliż z opactwa Benedyktynów w Tiron, założonego przy targu, w Chartres, przez Opata św. Bernarda, którego imię zapisało się między dobrodziejami Kościoła w Nekrologii Najświętszej Panny? — Któż to wiedzieć może? Pracowali pokornie, bezimiennie.

I co za dusze mieli ci artyści! Wiadomo bowiem, że pracowali tylko w stanie łaski. — Przy wznoszeniu tej przepysznej bazyliki, czystość była wymagana nawet od robotników.

Niepodobna byłoby w to uwierzyć, gdyby nie świadczyły dokumenty autentyczne, dowody pewne.

Mamy pisma ówczesne, wciągnięte do roczników Benedyktyńskich: — list Opata z Saint-Pierre-sur-Dive, odnaleziony przez p. Leopolda Delisle, w rękopiśmie 929, w zbiorach francuskich Biblioteki Narodowej; — księgę łacińską cudów Najświętszej Panny, odkrytą w Bibliotece Watykańskiej i przetłómaczoną na francuski przez Jehan'a le Marchant, poetę z XIII-go wieku. — Opowiadają one jednogłośnie, w jaki to sposób, po zniszczeniu przez pożary, została odbudowana świątynia Dziewicy Czarnej.



o, co zdarzyło się wówczas dosięga szczytności. — Była to wyprawa Krzyżowa, jakiej świat nie widział. — Nie chodziło już o wyrwanie Grobu Świętego z rąk Niewiernych, o walczenie na polu bitwy przeciw wojskom, przeciw ludziom; — chodziło o zdobycie Z b a w i c i e l a w jego okopach, o przypuszczenie szturmu do Nieba, o pokonanie go miłością i umartwieniem; i Niebo uznało się zwyciężonem; Aniołowi poddali się z uśmiechem; Bóg kapitulował i, w radości porażki, na oścież roztworzył skarbiec swych łask do złupienia. — Był to także, pod wodzą Ducha Świętego, na warsztatach i rusztowaniach, bój z materyą, całego ludu, chcącego, bądź co bądź, uratować Dziewicę, bezdomną jak w dniu narodzin Jej Syna.

Żłobek Betleemski był już tylko wzgórkiem popiołu. — Marya zniewolona do błądzenia, tułała się pod biczem wichury, po lodowatych równinach Beauce'y. — Miałyż się, po dwunastuset latach, powtórzyć dzieje rodzin bez litości, gospód niegościnnych, izb wszędzie pełnych?

Kochano wtedy we Francyi Madonnę, jak się kocha swą rodzicielkę przyrodzoną, swą matkę prawdziwą. — Na wieść, że wygnana przez pożar, tuła się, szukając schroniska, naród cały, poruszony, staje we łzach; i nietylko w kraju Chartres'eńskim, lecz i w Orleańszczyźnie, Normandyi, Bretanii, w Ile de France, na Północy — lud przerywa roboty, rzuca domy i biegnie Jej na pomoc; bogaci znoszą pieniądze i klejnoty, ciągną razem z biednemi i eskortują wozy ze zbożem, oliwą, winem, drzewem, wapnem, — wszystkiem, co może służyć za pożywienie robotnikom lub za materyał do budowy kościoła.

Była to wędrówka nieprzerwana, samorodny exodus ludu. — Wszystkie drogi były zapchane pielgrzymami, mężczyznami i kobietami, ciągnącemi bez różnicy płci i wieku drzewa z korzeniami, zwożącemi stosy belek, pchającemi stękliwe bryczki chorych i kalek, którzy stanowili świętą falangę weteranów cierpienia, niezwyciężonych legionistów bólu, tych, którzy w blokadzie niebieskiej Jeruzalem mieli tworzyć aryergardę i odsieczą modlitw przychodzić w pomoc szturmującym.

Żadne przeszkody, ani rozpadliny i trzęsawiska, ani lasy bezdrożne i rzeki bez brodu, — nie zdołały zahamować impulsu ciągnących tłumów — i — pewnego dnia — ujrzano je w Chartres, wylewające się ze wszystkich stron horyzontu.

I zaczęło się oblężenie; podczas gdy chorzy nakreślali pierwsze równoległe modłów, — zdrowi rozpinali namioty; obozowisko wyciągnęło się na całe mile wokoło. Na wozach zapalono gromnice — i w Beauce co wieczór odtąd płonęło pole gwiazd.

Co się wydaje nieprawdopodobnem, a co jednak udowadniają wszystkie ówczesne dokumenty, — to fakt, że owe hordy starców i dzieci, kobiet i mężczyzn od pierwszej chwili ujęły się w karność; a przecie należeli oni do wszystkich klas społecznych, byli między niemi rycerze i wielkie panie; lecz umiłowanie Boga było tak silne, że usunęło odległości i zniosło granice; panowie zaprzęgli się z pachołkami do noszów i nabożnie spełniali trud zwierząt pociągowych; patrycyuszki pomagały chłopkom w zarabianiu wapna i kucharzyły z niemi, — wszyscy żyli w niebywałem porzuceniu przesądów, wszyscy zgodzili się na rolę robotników, maszyn, bark i rąk, i oddali się bez szemrania pod rozkazy architektów, którzy, opuściwszy klasztory, stanęli na czele dzieła.

Nie widziano nigdy organizacyi umiejętniejszej a prost-

szej. — Szafarze klasztorni, stawszy się w pewnej mierze zawiadowcami tego wojska, czuwali nad rozdawnictwem żywności, hygieną obozu i zdrowotnością biwaków. Mężczyźni, kobiety byli już tylko uległemi narzędziami w ręku dowódzców, których wybrali sami i którzy ze swej strony stali pod komendą pułku mnichów, poddanych, z kolei, istocie nadzwyczajnej, nieznanemu geniuszowi, który, stworzywszy plan katedry, kierował wykonaniem całości.



usiała naprawdę być zdumiewającą dusza tych tłumów, aby podobny wynik osiągnąć; — praca tak mozolna, tak skromna, jak rozczynianie wapna i furmaństwo, była przez każdego, szlachcica czy chłopa, uważana nietylko jako akt wyrzeczenia i pokuty, lecz i jako zaszczyt, — i nikt się nie poważył dotknąć materyałów Dziewicy, póki się uprzednio nie pogodził z wrogiem i nie oczyścił spowiedzią. — Wahających się w naprawieniu win i przystępowaniu do sakramentów odrywano od roboty, wypędzano jako twory plugawe, — a czynili to ich towarzysze, własne ich nawet rodziny.

Dzień w dzień równo ze świtem rozpoczyna się robota, wyznaczona przez nadzorców. Jedni kopią fundamenta, uprzątają rumowisko, rozrzucają gruz; — drudzy przenoszą się tłumnie do łomów w Berchère-l'Évêque, o ośm kilometrów od Chartres, i tam odkuwają olbrzymie bryły kamienia, tak ciężkie, że nieraz tysiąca robotników za mało do wydobycia ich z pokładu i wdźwignięcia na szczyt wzgórza, z którego się miał wzbić przyszły kościół.

A gdy zmordowani śmiertelnie, pognieceni, zatrzy-

mują się milczącem stadem,—wówczas odzywa się głos modlitw i wzbija śpiew psalmów; — niektórzy jęczą nad grzechami, błagają Najświętszą Pannę o litość, biją się w piersi, łkają w objęciach księży, którzy ich pocieszają.

W niedzielę rozwijają się procesye z chorągwiami na czele, i wrzawa hymnów bucha w szpalerach płomiennych, które zdaleka tworzą się z gromnic; słucha na klęczkach lud cały; relikwie z wielką pompą okazywane są chorym...

Przez ten czas, tarany modłów, katapulty błagań wstrząsają szańcami Boskiego Grodu; siły żywe wojska jednoczą się, uderzają w jeden punkt dla zdobycia placu szturmem.

I wtedy to, zwyciężony przez tyle pokory, przez tyle posłuszeństwa, zmiażdżony tym ogromem miłości, Jezus się poddaje, składa swą Władzę w ręce Matki — i zewsząd wybuchają cuda. — Klan chorych i kalek staje wkrótce na nogach; ślepi widzą, dotknięci puchliną wodną tęchną, paralitycy maszerują, chorzy na serce skaczą.



powiadania o tych cudach, powtarzających się codziennie i poprzedzających nawet niekiedy przybycie pielgrzymów do Chartres, — zachowały się w rękopiśmie Watykańskiem.

Tu — mieszkańcy Château-Landon'u ciągną wóz z pszenicą. Przybywszy do Chantereine spostrzegają, że wyczerpały im się zapasy żywności, i proszą o chleb nędzarzy znajdujących się w podobnym niedostatku. — Najświętsza Panna przychodzi im z pomocą i chleb nędzy się rozmnaża. — Tam znowu,

ludzie z Gâtinais ciągną wóz pełny kamieni. — Upadają ze zmęczenia i, by wytchnąć chwilę, zatrzymują się w Puiset; wieśniacy przychodzą do nich i ofiarują się ich zastąpić, ale ci odmawiają. — Wtedy chłopi z Puiset przynoszą miarę wina, przelewają je w beczkę i kładą ją na wóz. Tym razem pielgrzymi przyjmują datek i, nieco wypoczęci, puszczają się w dalszą drogę. Lecz oto mieszkańcy wsi przywołują ich z powrotem i pokazują, że wypróżniona miara napełniła się sama winem wybornem. — Wszyscy piją i chorzy są uzdrowieni.

Gdzieindziej, mieszkańcowi Corbeville-sur-Euse, ładującemu wóz drzewem budulcowem, ucięto siekierą trzy palce, i biedak wydaje straszne krzyki. — Towarzysze mu radzą odciąć całkiem palce, wiszące na samej skórze, lecz ksiądz prowadzący ich do Chartres sprzeciwia się tej operacyi. — Wzywają pomocy Maryi i rana znika, na ręce ani śladu przejścia.

Tam znowu, Bretończycy zbłądzili nocą wśród równin Beauce'y i spostrzegają znienacka ogniste światła naprowadzające ich na właściwę drogę: to Najświętsza Panna, we własnej Osobie, po nieszporach w sobotę wieczorem, zstępuje do swego prawie ukończonego kościoła i rozpromienia go olśniewającą jasnością.

I cudów tych stronnice i stronnice, bez końca. — O! teraz łatwo zrozumieć, — myślał Durtal, — czemu ten przybytek tak pełen Jej obecności; czuje się w nim jeszcze Jej wdzięczność za przywiązanie naszych ojców... Nie chce teraz okazywać zbytniej wzgardy, patrzy przez palce...

Ale, doprawdy, inaczej już dzisiaj budują świątynie! — Pomyśleć tylko o Sacre-Coeur paryskiem, o tym ciężkim i martwym budynku, wystawionym przez ludzi, którzy wypisali czerwono swe nazwiska na każdym kamieniu! — Jakże Bóg może się zadowolić kościołem, którego mury są ciosańcem próżności, zcementowanym przez pychę, — i na

którego ścianach nazwiska znanych przemysłowców wystawiono w miejscach najwidoczniejszych, jak reklamy! — Tak łatwo przecie było zbudować kościół mniej wystawny i mniej szpetny i Boga nie wprowadzać do pomnika grzechu. — O, dobroduszne tłumy, zwożące przed laty wśród modlitw te kamienie! — imby na myśl nie przyszło wyzyskiwać Miłość, sprzęgać ją z potrzebami pychy i z głodem zysku!

PRZEŁ. M. K. J. K. Huysmans.

Napróżno.



O sztuko, o straszna, tyś jeszcze
nie objawiła się cała.
Wielbiliśmy ciebie napróżno.

O sławo, przechodzisz — i inne
czoła całujesz po drodze.
I szliśmy za tobą napróżno.

Kochanko nieznana, — zamłodo,
zawcześnie zeszłaś do grobu.
Czekaliśmy ciebie napróżno.

I gdzieżeście, gdzie wy, o kwiaty
dziwne i wonie nieznane?
Szukamy, szukamy napróżno.

Nikt z ludzi cierpiących na świecie
pociechy od nas nie doznał.
Płakaliśmy z nimi napróżno.

I nikt z uciśnionych na ziemi
nie został przez nas pomszczony.
Myśmy się burzyli napróżno.

Cierpienia dość siły nie miały,
by Tajemnicę pokonać.
Cierpieliśmy, ale napróżno.

Zostanie tu po nas jałowy,
kręty ślad naszej wędrówki —
i zniknie. Żyjemy napróżno.

Przed nami, ukryta w ciemności,
Śmierć bez pochodni się czai — —
...Sławo! Umrzemy napróżno.



PRZEŁOŻYŁA
Anna Bronisławska. Gabryel d'Annunzio.



Na wyżynach.



pojrzawszy na sztukę z wysokości orlego lotu, zobaczylibyśmy potężny łańcuch gór, uwypuklony na niezmierzonym szarym stepie życiowym. Pośrodku łańcucha wystrzeliły w niebo szeregi nadchmurnych szczytów, a po bokach stopniowo obniża się on, przechodząc od nagich turni do łagodnie pozaginanych pagórków, gubiących się niepostrzeżenie w jednostajnej masie otaczającej równiny. Boki łańcucha mało różnią się od nizin: tak samo są na nich uprawne pola, niemal takie samo życie rozwija się, tylko powietrze jakieś inne — czystsze, bardziej przezrocze, i niekiedy wstrząsa niem potężny halny wiatr, powstający gdzieś w niebiosach nad głowami najwyższych turni. Im dalej posuwasz się w kierunku wielkich szczytów, tem powietrze coraz rzadsze, a grunt bardziej ska-

listy i poprzerzynany zawrotnemi przepaściami. — Iść coraz trudniej, coraz niebezpieczniej, a mimo to jakaś nieprzeparta siła ciągnie cię do tych wyżyn i do tych przepaści. — Idziesz, bo tak chce twoje przeznaczenie. — Ale biada ci, jeśliś zbyt słaby i zachwiejesz się pod zawrotnem tchnieniem otchłani, albo osunie ci się noga ze stromej granitowej skały. Stoczysz się po wszystkich graniach i wyrwach i nie legniesz aż na dole — w nizinach — w miękkiem i cuchnącem błocie.

Nielicznym tylko dano stąpać po nagich szczytach, a między nimi zaledwie najśmielsi wybrańcy mogą wedrzeć się na najwyższe pojedyńcze turnie. — Bo między turniami są przerażające wysokością i nadzwyczajną stromością ścian swoich. Szczyty ich często obłoki przykrywają, i nie widzisz, co w nich się mieści, wiesz jeno, że wirch to musi być potężny, skoro obłokiem się nakrył, boć obłoki są daleko od ziemi. — Prawda, i maleńkie pagórki okrywają się niekiedy mgłami, ale mgła to nie obłok niebieski — mgła jest tworem przyziemnym, ciężkim, wilgotnym — to tylko nieudolna parodya podsłonecznego obłoku.

Olbrzymia większość ludzi, przebywających stale na nizinach, nie rozumie, po co wdzierać się na te zawrotne wysokości, po co kaleczyć się i narażać na niebezpieczeństwa. — Czyż nie lepiej spokojnie siedzieć tu na dole? — Prawda, że bagniska niekiedy cuchną, że widzisz dokoła siebie jeno maleńki kawałek gruntu; ale też nie potrzebujesz przechodzić nad przepaściami i oddychać ich mrożącem krew w żyłach tchnieniem. Klimat też tu łagodniejszy — niema ani burz wściekłych w swoim rozmachu, ani mrozów jednym podmuchem zabijających słabe istoty, ani upałów mózg w czaszce wysuszających.

A zresztą — powiadają oni — wszak my lubimy w dni świąteczne, dla odpoczynku po codziennej pracy, robić małe spacery na okoliczne pagórki; widoki ztamtąd są bardzo przyjemne, a niekiedy nawet ogromnie zabawne. Spacer taki działa przytem nader korzystnie na trawienie, człowiek po powrocie nabiera więcej sił do skutecznej pracy nad przerabianiem rodzimego błota i energiczniej może topić w niem swoich współzawodników.

Tak! — my bynajmniej nie występujemy przeciwko rozsądnej turystyce, nie każcie nam jeno podziwiać i naśladować owych amatorów karkołomnych, podobłocznych wycieczek: to dobre dla próżniaków i darmozjadów. — My, ludzie uczciwej pracy na ojczystym śmietniku, nie mamy czasu na tego rodzaju rozrywki. — — Lubimy ładne albo zabawne widoki, ale czyż z owych okrzyczanych szczytów może być widać więcej, niż z tych tu pagórków, o bokach lekko pochyłych i porośniętych przyjemną, miękką trawką?

Gdy wyjdę na taki swojski pagórek, nietylko mam „malowniczy“ widok na otaczające pięknie uprawne pola, lecz także (a to niekiedy jeszcze więcej warte) mogę zajrzeć przez dach do domu sąsiada i (dyskretnie) zobaczyć jego żonę w uściskach lokaja, albo podpatrzyć, jak on — mój sąsiad — z lubością rozciąga się na ciepłym gnojowniku domowego ogniska, zapewniając później, że łoże jego jest nieskazitelnej białości marmuru. — I dużo, dużo takich niezmiernie ciekawych i pouczających rzeczy dowiedzieć się mogę.

Spacery na pagórki nietylko działają dobrze na trawienie, lecz uczą znajomości życia: — z góry widzimy takie rzeczy, jakich, przebywając stale w nizinach, nigdy nie moglibyśmy zobaczyć.

Jeno nie należy zapominać, że wszystkiego winniśmy używać w miarę. Jeśli zamiast spaceru zrobię forsowną

wycieczkę, będzie to niewątpliwie szkodliwe dla żołądka, a może nawet serca, że pominę już dotkliwą stratę czasu i energii, które daleko korzystniej mogą być użyte, — np. w fabrykach szuwaksu, tak skutecznie używanego do mazania na czarno tego wszystkiego, czego nie rozumiemy.

Owe zaś szerokie horyzonty są tylko złudzeniem. Cóż wy ztamtąd widzicie? Obłoki, a na dole jednostajną masę szarej ziemi, bo wszak nie powiecie mi, że z tak znacznej wysokości dokładnie widzieć można wszystkie brudy i śmiesznostki w domu mego sąsiada; nawet nic zabawnego nie widać. — Po co więc chodzić na szczyty?

To są słowa nędzarzy ducha i mrówek. — Przejdźcie nad niemi w milczeniu, wy silni! A niech was nie zraża nagość i skalistość szczytów; — ich nagość to nieskalane dziewictwo duszy ziemi, wyrzuconej na powierzchnię przez parcie jakichś przedwiecznie potężnych sił wnętrznych.

W łonie pramatki ziemi zerwał się huragan potęgi, szalony skurcz wstrząsnął całem jej jestestwem i pękła skorupa, dając drogę olbrzymim ognistym tworom wnętrza. — I oto wytryski odwiecznej duszy ziemi pojawiły się w postaci niebosiężnych szczytów.

Stoją nagie i nieurodzajne, bo wszystkie stworzenia powierzchniowe za nędzne i za słabe są na to, aby skruszyć skałę i czerpać pokarm z żywego ognia duszy.

Stoją samotne w swej potędze, bo nic z niemi równać się nie może.

Same dla siebie!

Jeno wichry w słońcu się rodzące nad niemi przelatują, jeno orły na nich odpoczywają.

Jeśliś silny i nie padniesz pod nieskończonem tchnieniem wieczności, idź — wdzieraj się na one wyżyny. Stąpaj śmiałą nogą nad zawrotnemi urwiskami, jeleniemi sko-

kami przerzucaj się przez przepaście, wspinaj się po stromych granitowych skałach, zostawiając na kamieniach żywe kawały własnego ciała.

A im wyżej będziesz, tem wyraźniej poczujesz, żeś nie dalej, jeno bliżej prajedynej duszy ziemi. — Gdyś był na dole, zdało ci się, że, idąc w górę, oddalisz się od niej. — Nieprawda. — Na nizinach przykrywa ją zbyt gruby pokład kurzu i błota; — tutaj dopiero odsłoni ci się w całym majestacie swojej nagości. — Im dalej jesteś od nizin, tym-eś bliżej ognistego wnętrza ziemi.

Idź więc, wytężaj wszystkie siły, bo ten odwieczny ogień to najprawdziwsza twoja ojczyzna. To matka, która zrodziła cię, a dzisiaj przyzywa dla czułej pieszczoty.

Otoś uwierzył tym wołaniom. A wiesz, po coś wezwany? — Ona pragnie twej krwi gorącej, pragnie, abyś zapłodnił ją w kazirodczym uścisku.

Porwie cię w ramiona, przyciśnie do płomiennego łona, wstrząśnie duszę piekielnie rozkosznym dreszczem płodzenia i, nasyciwszy się, strąci cię w bezdeń kamienną.

A nie będziesz miał mocy podnieść się, bo cała moc i siła twoja w niej pozostały.

Ty zginiesz! a z łona jej — odwiecznej duszy ziemi — wystrzeli jasny płomienny słup ognia — dziecię twe. — Na chwilę roztoczy krąg jasności nad szumiącym światem i na wieki zgaśnie w cieniach, które były przed początkiem.

Zadrżałeś, jak wątły liść osiczyny. Zamarło ci w piersiach serce od bezmiernego przerażenia.

Ale teraz już nie wrócisz się, teraz pójdziesz, i spełni się to wszystko, co napisano w księgach przeznaczeń chaosu.

Patrz, oto podniebny wichr halny wraca z nizin na rodzinne wirchy, uchwyć go za obłoczne włosy wlokące się po skałach, a polecisz na najwyższe szczyty, dokąd przenigdy stopą nie doszedłbyś. Bo powiedziano jest: na szczytach jeno orły siadać będą i ci, co podobni orłom z wichrami przylecą, — a nie może szczyt pokalany być stopą, która nigdy od pyłu ziemnego nie oderwała się.

Leć więc — leć! z wichrami, z orłami. A nic to, że przebytą drogę krwią serdeczną naznaczysz.

Jan Hempel.

Z utworów Emila Van Arenbergh'a.



DO OCEANU.

Posępny Oceanie! jeśli człowiek wtórzy
Czasem pieśnią ulotną twych skarg wiecznych burzy,
Czy myślisz, że łkań twoich nikt z nas nie ma w sobie
I że rozpacz jest tajnią, w twych fal skrytą grobie!
Orkany ludzkie wszędy z twemi walczyć mogą
Swych szałów, rozbić, żałob bezmyślnością srogą;
Głosy otchłani dziko i z serc naszych krzyczą,
Gorycz twa jest tą sumą łez naszych goryczą.
Jako nam, tak i tobie Bóg rzekł: „Cierp!" — i musisz!
Żywcem zamknął cię w trumnę głębin, gdzie się dusisz,
I dla tego to toń twa, gdzie trup trupa żenie,
Wyrzucając je, sobie bierze ich rzężenie!

O bracie Oceanie, z naszej tyś jest gliny!
Co wyjesz wiekuiście przez ziemskie dziedziny
I co Bóg odpowiada twej wściekłej topieli,
To w przepastnych serc głębiach i myśmy słyszeli;
Bo i my mamy w sobie jedynie bezdenie,
Człowiek zna większe bunty, niż twe sród skał wrzenie,
I, jak ty, żyjąc przez to, co śmiercią jest rzeczy,
Cierpi boleść, na którą żaden lek nie leczy!
Jako lampa grobowa śród krypty głębokiej
Jednaką światłość miota na wszystkie wkrąg zwłoki,
Dusza i ty — jednakiej ból znosicie mocy:
Oboje się toczycie śród grozy i nocy,
Obojga fala trupy w swej goryczy tai,
Zawsze w pianach broni się wściekłej wichrów zgrai.
A gdy rozbita spada, mrąc już w brzegów cieśni,
To — aby trysnąć wyżej i jęknąć boleśniej!
Oceanie, — nieszczęsny, wzniosły Oceanie!
Szarpiesz się, a źdźbła liche cicho śpią na łanie,
Ból — twą sławą, twem pięknem, twem prawem, twym [królem!
Dusze cię zrozumiały, bo twoj ból — ich bólem:
Gdybyś nie był bez granic, nie znalbyś skarg, żali!..
Jeśli w niebo wciąż grzmocą szały twojej fali,
Jeśli oboje z duszą, wiecznie, bez powodu,
Jęczycie śród lazurów cichego obwodu,
Ach! to — że wciąż szukacie swych źródlisk odwiecznych,
Kędy opadną skrzydła ziemskich wichrów sprzecznych,
Kędy fale obojga, w toni tajemniczej
Morza bez raf, przepaści, zbędą się goryczy.

WEZUWIUSZ.

Wezuwiusz, jak w zwierciedle błękitnem, odbija
W morzu swój kask złocisty z długą dymów chmurą;
W czarnym tym pióropuszu lśni jak kraśne pióro
Tryskającej wciąż lawy płomienista żmija.

Poeta jest jak wulkan, samotny bohater:
Tam w dole tłum się bawi u fal śpiewnej toni,
W powietrzu pełnem światła, miękkich tchnień i woni,
I pyta, na co komu ten jałowy krater.

On — z rykiem w niebo wznosi czoło rozorane;
Wiecznie krwawiącą czuje na swym boku ranę,
Czuje, że mu do samej ona sięga głębi.

Lecz nagle, otworzywszy się w mroku, co pierzcha,
I rozdarłszy pierś, gdzie się żar i popiół kłębi,
Dumnie rozpala słońce, gdy wkoło się zmierzcha.

DE PROFUNDIS.

Na dnie otchłani, zkąd w mroku bez końca
Jęk wieczny bije przez czasów przestrzenie,
Ocean żywych wije się, roztrąca,
A wiatr unosi w próżnię jego wrzenie.

Od spadających weń w tył fal tysiąca
Ten przypływ ludzki wzrasta niezwalczenie;
Z opadłej fali nowa fala grzmiąca
Wstaje — i wyżej w mroczne tryska cienie!

A gdy na stoki przepaści ponure,
Pieniąc się, rzężąc, ludzkość drze się w górę,
Jak fala morska, co wzbiera zdaleka,—

Tam, nad urwiskiem, w świtów różaności,
Na krzyżu, zbudzon jękami ciemności,
Chrystus objęcia otwiera — i czeka!

WYRZUT SUMIENIA.

Kain pierzchał — a głosy biły z nieb sklepienia,
Przerażając mu serce, wciąż wrażliwsze w męce;
Czuł w wietrze, co mu zewsząd niósł zgonów rzężenia,
Niezbłagane, pchające ku wygnaniu ręce.

Pierzchał — a łkania, klątwy i szyderstwa gwarnie
Ścigały go we wrzeniu mórz, puszcz tajemniczem;
Pierzchał — słuchając trwożnie, jak chmur dzikie psiarnie
Warczały nad nim w górze pod piorunów biczem.

Pierzchał — i twarz skrył nagle w bojaźni straszliwszej,
Gdy słońce, przestrzeń całą mordem zczerwieniwszy,
Runęło krwawą głową w głąb' mroków potoku;

Zdało się, że strop niebios, zbryzgany śladami
Zbrodni, znowu Kaina krwią ofiary plami...
— I wyklęty znów pierzchał, krwawy cały w zmroku.

ŚREDNIOWIECZE.

W komnacie, przed ogniskiem, co błyska z komina
I drgającemi plamy sprzęt miedziany plami,
Kasztelanka, w marzeniach tonąc, zapomina
O swej harfie, kądzieli i skrzyni z książkami.

Marzy o swym baronie, co odszedł za morze
Bić niewiernych, — niechaj go patron święty broni!
Ona, biedna, czeka go — i w tej zmroku porze
Błądzi okiem po śnieżnej, księżycowej błoni.

Wtem trwożnie chart jej smukły zawył na uwięzi,
A ona w szumach wiatru, co w kominie pląsa,
Słyszy, jak się Nieczysty z modlitw jej natrząsa...

Potem rzężenie krótkie... I tam, na gałęzi,
Gdy ona tu do Boga łka o litość w zgrozie,
Chłop, powieszony wczoraj, tańczy na powrozie.

WSPOMNIENIE.

O wiosno! pierwsza schadzko! chwilo nad chwilami!
— Na starym moście z głazów, co już wpół się wali
Pod naciskiem traw, chwastów, — zwykle się schadzali,
I zwali to: „u siebie,“ czując się tam sami.

Wietrzyk, jak oni, dyszał słodkiemi woniami;
Oni, marząc, patrzyli na bieg rzecznej fali,
Migoczącej pod słońcem blaskami opali,
I na dno, które światłość w złote punkty plami...

Rozmawiali pocichu, nie słysząc się wzajem:
Wszystko znaczyło: „kocham“ — i brzmiało im rajem.
W ich sercach rozświtowe były to świegoty.

Dziś — on marzy sam (ona odeszła jak wiosna),
Że już kochać nie będzie, że pył wonny, złoty
Jego duszy jej nóżka starła bezlitosna.

ZAWSZE.

Podczas gdy ty, chwilowe zagoiwszy rany,
Wesoło pędzić będziesz dni jasne, łaskawsze,
Ja pójdę sam, unosząc w duszy skołatanej
Pierwszej mojej miłości zwłoki coraz krwawsze.

Lecz jako ów rozbitek, miotan przez orkany,
Rzuca krzyk w niebo głuche, od gromów jaskrawsze,
Zanim zniknie w pomroce nocy niezbadanej, —
Gdy ty mówisz mi: nigdy! — jeszcze wołam: zawsze!

Ja tak kocham, i chociaż odchodzę bez żali,
Choć nic już z mego serca w twego nie drga fali:
Nie zgasi w mej świątyni ognia burza sroga:

Zwieje popiół, a płomień roznieci znów jasny!
— Ponieważ mi stworzyłaś duszę z duszy własnej,
Usta nasze na ustach spotkają się Boga.

SONET LISTOPADOWY.

Zmrok jesienny ma ciszę solenną kościoła;
Tuż pod księżycem, Wenus, we mgle kadzidelnej,
Błyska, jak przed monstrancyą płomyk nieśmiertelny;
Coś wielkiego, słodkiego coś kona dokoła.

Drzewa, podobne mnichom u zwłok czuwającym,
Mrąc same, rzężą psalmy ledwie dosłyszalne;
Chude ich pnie się wznoszą, jak ręce błagalne,
Liście bez szmeru lecą, jak łzy, deszczem drżącym.

Podczas gdy z widnokręgu, szerząc swe zasłony,
Noc wstaje i otula bezgranicze śpiące,
Niby całun trumienny, gwiazdami łzawiony,

Tam w dali, niebo, tracąc duszę swoją, słońce,
Jak trup świetlny, powoli zlewa się, rozkłada...
— I już nad barwnem ciałem krążą kruków stada.

STABAT.

Jezus konał. Na drzewie zelżywem rozbity,
Rozwartemi ramiony siał wkrąg przebaczenie,
A gdy, padając duchem, krzyk rzucił w błękity,
Wielkie drgnienie rozdarło ziemię aż po rdzenie.

I noc, niby grób czarny, jęła chłonąć w cienie
Trup słońca, upowity w płomieniste świty;
A męczennik opuszczon i sam nieskończenie,
Uczuł, że serce jego mrze w sercu kobiety.

O Boże, wówczas, gdy ci grom wypadał z ręki,
Gdy w Chrystusie sam czułeś bliżkiej śmierci męki,
Co tryumf miała odnieść nad tobą nietrwały,

Rzec-że możesz, co w zbawczej na twych szalach treści
Zaważyło potężniej brzemieniem boleści:
Krew Syna, czy łzy Matki bólem skamieniałej?

SONET.

O serce me, znużone zwątpień, pragnień bojem,
Los nie zdołał cię ugiąć, znękał cię jedynie;
Ukryj wyniośle ból swój przed ciekawych rojem,
Jak zwierz ranny, co w gąszcz się chowa — i tam ginie.

Niech żywi, pod żelazną ręką Fatalności,
Wyją, jęczą, śpiewają, w torach dróg się tłoczą;
Ty — nad ich próżne gwary, boleści, radości —
Wznieś swe wielkie milczenie, pogodę przezroczą.

I zamknij odtąd dumnej samotni swej progi
Wszystkiemu, co mąciło ci mir: bądź podobne,
Z bieli dziewiczej, ciszy i światłości błogiej,

Szczytom gór, co — w słoneczne, śnieżne kaski zdobne —
Wianie Boga jedynie czują wkrąg wierzchołów,
I — ciche tam — burz wycia mają u padołów!

ROZBITEK.

Dziś, gdy zdala od szczęsnych zatonąwszy lądów,
Jestem już tylko trupem, wleczonym przez fale,
Unoszę swe milczenie przez grzmiące ich żale,
Swój mir wieczny — śród wiecznych uraganu prądów.

Cóż z tego, że port żaden nie czeka mię w gości
Za raf murem, za gorzkiej bezdni tajemnicą!
Śmiech nicości wykrzywia martwe moje lico —
I wnet się już rozpłynę w mórz nieskończoności.

A podczas gdy nade mną chmurne wód roztocze
Zwarły swych płynnych mroków zwoje nieprzezrocze,
— Tam w górze, na powierzchni, gdzie dnia blask się śmieje

Korabie rącze biegną, skrzydlone w marzenia,
I, ku skarbom wybrzeży dążąc bez wytchnienia,
Pod wszystkiemi niebiosy ścigają nadzieję.

PRZEŁOŻYŁ Miriam.

TAJEMNICA.

Zazwyczaj mieszamy z sobą dwa wyrazy, które nie oznaczają dwu podobieństw, lecz właśnie dwa przeciwieństwa. Oto te dwa wyrazy, których mieszanie niszczy światłość:

Pierwszym jest: NIEPOJMOWALNE.

Drugim jest: NIEPOMYŚLALNE.

Niepojmowalne jest ponad Inteligencyą; niepomyślalne popod Inteligencyą.

Niepojmowalne — to Tajemnica.

Niepomyślalne — to Absurd.

Niepojmowalne, za wielkie dla nas, nie może wejść w całości do naszej Inteligencyi, z powodu swych rozmiarów, a nadewszystko, jeżeli mówimy o Nieskończoności, z powodu, że przechodzi wszelkie rozmiary.

Niepomyślalne, przeciwnie, nie może wejść do naszego Ducha, gdyż Duch nasz jest za wielki, to jest, za prawdziwy dla niego. Niepomyślalnego nie możemy uchwycić, gdyż jest pozbawione Prawdy, a Duch nasz stworzony jest dla ujmowania Prawdy, przynajmniej do pewnych granic.

Inteligencya nasza jest Siłą, dającą się stosować do Bytu.

Gdy chodzi o Byt absolutny, Przeogromny, Nieskończony, powołaniem naszej Inteligencyi jest szczytna Abdykacya, która, zamiast być stanem zamarcia, ograniczenia, umniejszenia, jest, przeciwnie, najpłodniejszym, najczynniejszym, najżywotniejszym Aktem, do jakiego Duch nasz jest zdolny.

Inteligencya jest Siłą działającą w pewnym zakresie. Poniżej tego zakresu niema ona nic do czynienia, i to jest obszar niepomyślalnego. Powyżej zaś sięga obszaru zastrzeżonego — obszaru rzeczy Niepojmowalnych.

Niepojmowalne — to rzecz, której się nie ogarnia.

Niepomyślalne — to rzecz, w której czytać niepodobna.

Etymologia tych dwóch wyrazów ustala po mistrzowsku ich różnice.

Niepojmowalnem — jest to, co się nie da pojąć, objąć.*)

Niepomyślalnem — jest to, co się nie da pomyśleć, co wzrokowi Ducha nie okazuje żadnych cech, żadnego charakteru. **)

Człowiek, gdy się zbuntuje przeciw Niepojmowalnemu, wpada zazwyczaj w niepomyślalne. Jest to kara prawie niezawodna.

Inteligencya opierająca się Niepojmowalnemu dostępuje tej klęski i upokorzenia, że zgina się i korzy przed niepomyślalnem.

Kto odrzuca Tajemnicę, wpada w Zabobon.

Otóż Zabobon jest Ducha wrogiem i mordercą.

Tajemnica jest przyjacielem Inteligencyi, żywi ją i utrzymuje. Potęguje ją, zamiast miażdżyć. Zaś Zabobon miażdży ją, zamiast potęgować.

---

*) Po francusku: incompréhensible, *(non comprehendere)*, to, co się nie da okrążyć.

**) Po francusku: inintelligible, *(non legere intus.)*

Niepojmowalne to Tajemnica. Leży ono poza Inteligencyą. Niepomyślalne — to Nonsens i leży poprzed Inteligencyą.

W zakresach niepomyślalnego przedmiot nie dorównywa Inteligencyi.

W zakresach Niepojmowalnego Inteligencya nie dorównywa przedmiotowi.

Człowiek niezawsze kroczy po równi, gdzie Inteligencya widzi jasno i prowadzi spokojnie. To pochyla się on ku czeluściom niepomyślalnego, — to wzbija się ku szczytom Niepojmowalnego.

Odurzenie otwiera mu przepaście, w których Inteligencya się zatraca.

Ekstaza porywa go ku szczytom, gdzie Inteligencya abdykuje w chwale.

Tajemnica odpowiada jednej z najgłębszych potrzeb natury ludzkiej, potrzebie Uwielbiania.

Człowiek nie uwielbia tego, co pojmuje całkowicie, i jest w swojem prawie, gdyż to, co pojmuje całkowicie, nie jest Nieskończonością, a Uwielbienie szuka Nieskończoności jak Busola szuka Bieguna.

Człowiek jest spragniony Tajemnicy, gdyż jest spragniony Nieskończoności. Pragnienie to Bezmiaru pcha dusze wyższe na drogę, która kresu nie ma. Idą one ku odkryciom, ze szczytną pewnością, że wszystkiego nigdy nie odkryją. Przedmiotem poszukiwań ich jest Nieskończoność, która przewyższa wszelkie odkrycia. Powiększa ona pragnienie, zaspokajając je współcześnie.

„Ni głodu, ni przesytu!“ woła św. Augustyn, i dodaje: „Nie wiem, jakiem imieniem nazwać stan, którego pożądam; ale Bóg potrafi zadowolić tych, którzy nie mogą się już nawet wyrazić, jeżeli tylko wierzą i ufają!“

Św. Augustyn ma słuszność. Ni głodu, ni przesytu! Oto istotne pożądanie człowieka. Gdyby rozumiał wszyst-

ko, doznałby przesytu! Gdyby nic nie rozumiał, doznawałby głodu.

Prawda, to wznosząca, to zapuszczająca zasłony, chroni go od głodu — Objawieniem i od przesytu — Tajemnicą.

Eliasz na szczycie Horebu widział Burzę, Trzęsienie ziemi, Piorun.

Ale gdy wionęło tchnienie ciche, Eliasz ukrył w płaszczu głowę: poznał zbliżenie się Pana, obecność Tajemnicy.

Serafiny, które Izajaszowi ukazały się przed tronem Pana, zasłaniały Twarze skrzydłami. — Miały po sześcioro skrzydeł, rozdzielających między sobą czynność wzbijania się i zasłaniania. — Ich lot, ich osłanianie, używały tego samego czynnika, tego samego narzędzia — skrzydeł! wszędzie skrzydeł, zawsze skrzydeł. Do lotu służyło dwoje, do osłaniania czworo. Skrzydła, które ich porywały w bezdnie Światłości, były im także ochroną. Osłony skrzydlate są osłonami pełnemi chwały, jak lot, który im towarzyszy. By latać i osłaniać się, trzeba im było skrzydeł — i nic innego, prócz skrzydeł.

O Światłości Nieznana, przy której łuny zachodzącego słońca są plamami, podobnie jak przepychy zórz wschodowych!

O Światłości Nieznana, Tyś jest zaspokojeniem pragnień bezmownych!

Są chwile, w których Milczenie nawet cofa się, — jak cofnęła się Mowa. Milczenie wówczas przyzywa łzy na pomoc swojej słabości.

O Światłości bez cienia, o Swiatłości Niepokalana! Tyś jest zaspokojeniem pragnienia bezmownego! Tyś jest zaspokojeniem Milczenia, które wzywa łzy na ratunek! Tyś jest zaspokojeniem łez, przychodzących z pomocą Milczeniu!

Bez Ciebie, czemże byłby człowiek? Czemżeby się stał człowiek, zmuszony do opłakanego krążenia w swych zakresach ograniczonych?

O Światłości Bezbłędna, Tyś jest Obietnicą i Tyś jest Wyzwoleniem!

O Światłości Wiekuista, usiłując pomyśleć Ciebie, przekraczamy świat i światy; wylatujemy ponad gwiazdy; pożeramy Przestrzeń; pożeramy Bezmiar, by znaleźć Cię po za nim. Słońca, mgławice są dla nas tem, czem źdźbła trawy dla Araba, gdy wsiada na konia, gdy rzuca się w cwał, szukając Pustyni, gdy gna, płomienny i gwałtowny, spragniony samotności i porywu.

Takiem jest Pożądanie, gdy miota się na swój Łup Nieskończony. Takiem jest Pożądanie, i jest dobre. Czeka je chwała śmierci z pragnienia na piasku Pustyni, razem z biegunem bez tchu, przed dotarciem do kresu pogoni; — a pragnienie, które da mu śmierć, za jednym zamachem da mu i życie: gdyż ono zwie się — Pożądaniem.

Jest ono nienasycone — i ubóstwia to, co jest poza niem.

Ale, o Światłości Wiekuista, zamieszkująca niebo niebios, Ty mieszkasz także w centrze centrów i we wnętrzu wnętrz.

Przybytek Twój jest podniosły. Przybytek Twój jest głęboki.

POGARDA SZTUKI.

Są uczucia, dla których ludzie żyją i umierają, uczucia, brane przez nich poważnie. W ich liczbie jest np. uczucie rodzinne, uczucie szanowne, lecz bardzo często znieprawione, i którego znieprawienie wytwarza potworności, mrowiące się przed naszemi oczyma.

Są uczucia inne, ktoremi ludzie zdają się pogardzać.

Oto co nazywam wzgardą dla danego uczucia: oddawanie mu się, bez brania go poważnie.

Są ludzie nieznający Podziwu, niewiedzący o nim. Właściwie nie odrzucają go nawet, gdyż byłoby niesprawiedliwie mówić, że umarli odrzucają życie. — Są mu obcy, a on oddalił się od nich. I nie o tych mówić pragnę.

Mówię o tych, którzy podziwiają i uwłaczają swemu podziwowi.

Ci nie są całkiem niewrażliwi na piękno, ale wrażliwość ich jest zniewagą, gdyż nie jest istotną. Powiedzieć im, przeczytać, pokazać coś szczytnego, — będą wzruszeni: może, i bardzo nawet często, wzruszenie ich przejawi się zewnętrznie, hałaśliwie, niespokojnie, z pewną ostentacyjnością, wedle zwyczaju osób i rzeczy, niepewnych swego trwania.

Ale nazajutrz z tego wszystkiego ani śladu. Interesa przeszły tędy, podziw nie zostawił nawet ruiny dla oznaczenia swego przelotu. Nie zostawił nawet zupełnej pustki, nie zostawił prostego zapomnienia, — zostawił rodzaj zapomnienia nie wyłączającego pamięci i wyrażającego się słowami:

„Słyszałem tego artystę; sprawił mi przyjemność."

Człowiek, który wczoraj podziwiał, mówi nazajutrz, że mu zrobiono przyjemność. — Byłże więc jego podziw kłamstwem? Bynajmniej. Oto co zaszło:

Człowiek ten jest przekonany, że prawda, piękno i harmonia są kaprysami, ktoremi człowiek poważnie myślący pobawić się może w chwilach wolnych od intere-

sów. — Ale rzeczywistością dla niego jest rzemiosło, któremu się oddaje.

Wczoraj wieczór podziwiał, — znaczy to, że załatwił swoje interesa, odetchnął po dziennym trudzie, zechciał udzielić kilka chwil przepadłych rzeczom wiecznym.

Ale spróbujcie nazajutrz poradzić mu wprowadzenie w życie prawd, które wczoraj wstrząsnęły i odświeżyły jego duszę: weźmie was za waryata. Może słuchając płakał. Nie myślcie dla tego, że zmieni tryb życia. Płakał, bo to nie obowiązuje do niczego: ten człowiek gardzi łzami. Człowiek ten był na widowisku; zgadzał się na niedolę bohaterki, smakował nawet w tej niedoli, dla kilku powodów bardzo głębokich. Lecz gdyby nazajutrz znalazł w rzeczywistości nieszczęsne stworzenie z widowiska, nie spojrzałby na nie, gdyż teraz nie czas na śmiech lub łzy, teraz czas na interesa.

Ta przeraźliwa sprzeczność człowieka na widowisku z tymże człowiekiem w życiu jest rozciąglejsza, niż się wam zdaje.

Ile razy mówicie mu o prawdzie i pięknie, ile razy mówicie mu o rzeczach wiecznych, tyle razy czuje się on w teatrze.

Ile razy mówicie mu o rzeczach niewidzialnych, tyle razy czuje się w teatrze. Gdyż rzeczy niewidzialne wydają mu się nierzeczywistemi, wydają mu się dekoracyami sceny, na którą go wasza mowa wprowadza. Ale wiedzcie o tem: człowiek ten opuści widowisko, i gdybyście go jutro zagadnęli o fakta wymagane przez prawdę, gdybyście mu przełożyli robienie chleba z promieni słonecznych, wedle praw stworzenia, — roześmiałby się tylko, tak, jakby się rozśmiał, gdybyście go zachęcali do poświęcenia

życia nieszczęśliwym, którymi się bawił w Porte-Saint-Martin. — Oklaskiwał te nędze, gdyż, jak wiecie, niedola zyskuje poklask; ale nie zobowiązywał się przyjść jej z pomocą.

Wszelki człowiek mieści w sobie pewną liczbę ludzi, i każdy z tych ludzi jest odmiennego zdania. — W danej jednostce może się spotkać uczony, artysta, filozof, ojciec rodziny, pracownik, — i każda z tych osobistości rozpatruje rzeczy w sposób inny od sposobu sąsiada. — Ponieważ zaś osoby te są pełne umiarkowania, więc żyją pod jednym dachem, we względnej zgodzie.

Dzielą się między sobą godzinami dnia. Niekiedy zjawia się artysta, wtedy znika ojciec rodziny. To znów kolej na ojca rodziny, a wtedy artysta bierze nogi za pas.— Jeżeli między lokatorami tej jednostki zbiorowej znajdzie się chrześcianin, i jeżeli chrześcianin ten nie zaznaczy się jako prawda żywotna wyższa od sąsiadów, — wtedy następuje owo to zjawisko ohydne, śmieszne, bezsensowne, przepełniające nasze domy i ulice: nieszczęsny chrześcianin zostaje rzucony na łup bestyom we własnym swoim domu. Jeżeli nie nawróci artysty, współmieszkającego z nim w jednym człowieku, to chrześcianin i artysta wypowiedzą sobie w jego sercu wojnę bezgłosą, tem głębszą, że odzianą w szaty hańbiącego pokoju. Gdy przemówi chrześcianin,— powie, że pewne rzeczy są prawdziwe. Gdy głos zabierze artysta, orzecze, że pewne rzeczy są piękne — i te dwa rodzaje rzeczy staną w sprzeczności. — W sercu spustoszonem człowieka, chrześcianin skruszy bożyszcza, które czci artysta; po cofnięciu się chrześcianina, artysta, w chwili swej kolejnej władzy, polepi czerepy bożka i chwalić go będzie czas jakiś. Chrześcianin potępi artystę, jako wroga prawdy wyznawanej przez człowieka. Artysta wzgardzi chrześ-

cianinem jako nieprzyjacielem piękna, które człowiek ten uwielbia — i walka tych dwu osobistości będzie jeszcze dłuższa, jałowsza, bezużyteczniejsza, mozolniejsza, jeżeli pomiędzy tych dwu, w toż serce wśliźnie się światowiec. Światowiec będzie usiłował pogodzić artystę z chrześciańskim jegomością. Będzie im radził wzajemne ustępstwa. Wyznaczy im ich działy. Ustanowi się ich sędzią i prawodawstwem swem pogorszy jeszcze sprawę, — póki wreszcie wyższa moc nie zjawi się ze światłem.

Jednem z uczuć najczęstszych u artystów jest — pogarda Sztuki.

Jednem z uczuć najczęstszych u krytyków jest — pogarda Sztuki.

Gardzić Sztuką nazywa się zezwalać jej na Kłamstwo.

Artysta gardzi Sztuką, gdy dąży do celu innego, niż realizacya prawdy. Krytyk gardzi Sztuką, gdy toleruje w niej ideał fałszywy.

Codziennie słyszymy to powiedzenie bezduszne, w zastosowaniu do takiego czy innego błędu, o ile błąd ten został wyrażony językiem błyskotliwym:

„To poezya.“

Gdy człowiek przeciętny, mówiąc o kłamstwie, wyrzekł te słowa: *To poezya,* — zdaje mu się, że rozgrzeszył kłamcę. Przeciwnie, potępił go tylko raz jeszcze, gdyż jeżeli kłamca kłamie *poetycznie,* to zmusza do kłamstwa mowę w jej formie najpodnioślejszej.

Poezya znaczy: tworzenie.

Kłamstwo dosięgające poezyi znieważa Świątynię.

Człowiek przeciętny pragnie pochlebić bezrządowi innego człowieka, mówiąc: „To artysta.“

Jeżeli mowa o istotnym artyście, to bezrząd jego jest potwornością. Muzyki esencyą jest matematyka, — wiersz odnajduje swą harmonię w trudnościach swoich praw.

Artysta powinien żyć w surowości rządu; uwielbienie winno się zbliżać do niego tylko ze czcią; uwielbienie bez czci jest najokrutniejszą zniewagą.

PRZEŁ. M. K. Ernest Hello.

I.

Czasem w mej duszy drżąca gra melodya cicha,
Jak w wnętrzu starych skrzypiec lub w muszli kielichu —
Długie szmery — — to morze tak nocą oddycha,
Księżyc je bladem światłem całuje pocichu — — —
Czasem w mej duszy drżąca gra melodya cicha.

Czasem w mej duszy dziko grzmią krzykliwe tony
Jakiejś orkiestry szału i wściekłej rozpaczy — —
A twardy temat bólu prowadzą puzony,
A wielki bęben huczy, niby śmiech puhaczy.

Czasem — za to — w mej duszy niewysłowna męka
Ciężkiego śmiertelnego milczenia panuje — —
Na powietrzu krzyk zastygł lutni, która pęka,
W krwawe niebo się wbiły skamieniałe tuje,
Ponad zmartwiałą ziemią głucha płynie męka.

II.

Na strzelisty turni szczyt — hen pod nieba duch mnie wzbił —
Lecz ztąd widzę kłęby chmur — ztąd słyszę jak grzmoty rechocą.
Czekam, rychło zlecę w dół, gdy mnie wiatr wyczerpie z sił,
A jeśli mam stać tu — to poco?

Patrzę — tam fałszywy bóg, skowan z czasu ciężkich brył,
Miażdży korny tłum u nóg, a podlą panuje przemocą —
Runąć nań lawiną skał! roztluc go w kawały — w pył! —
I wznosząc już dłoń staję — poco?

Widzę — tam proroków chór niesie w piersiach święty głos,
Śpiewa ludziom rozkosz snów i raje, co w słońcach się złocą.
Ich zaś pieśniom wtórzy krzyk, jęki rannych i swist kos —
Ach — poco śpiewacie im — poco?

Nie do ludzi — — wam iść w mrok, gdzie nie widać wokół nic,
Gdzie daleki wicher dmie, gdzie — hen — krwawe gwiazdy migocą —
Czuć jak śmierć przybliża się, czuć jak życie spływa z lic —
Śmierć pytać i życie — tyś poco?

Kazimierz Wroczyński.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“



estem synem protestanckiego proboszcza z obwodu turczańskiego. Wczesne me dzieciństwo było takie szczęśliwe, ach, tak nieskończenie szczęśliwe! Rodzice moi, ich przyjaciele, ba, wszyscy mieszkańcy naszej małej parafii ubóstwiali mię poprostu. Miałem niezwykłe, świetne zdolności. Mogę rzec to dzisiaj bez samochwalstwa; toć, niestety, muszę zaraz dodać, że cudowne to utalentowanie było, jak u wielu dzieci, tylko przedwczesną jakąś dojrzałością, nieproporcyonalnem do mego wieku rozwinięciem władz umysłowych. Ach, to było pierwszem mojem nieszczęściem, bo, gdy doszedłem do lat, w których uzdolnienie me skutecznie miało się okazać, spadły wszystkie obiecujące pierwiastki do zupełnie zwykłego poziomu, a zdumionym rodzicom, zwłaszcza zaś ojcu, wydało

się nawet, że poniżej zwykłego. Ojciec mój był z owych idylicznych patryotów doby minionej, jakich mieliście i w Czechach również. Ja, jedyne jego dziecię, byłem też jedyną jego nadzieją; to też w zapale zachodził tak daleko, że uważał mię poprostu za jakiegoś predestynowanego zbawiciela, który dla biednego narodu słowackiego cudów kiedyś dokona. W błąd ten wprowadziła go prawdopodobnie owa moja dojrzałość przedwczesna. Bezwiednie zasiewał w myśl moją złudy czarowne, rozbudzał dążenia do czegoś, co się nigdy urzeczywistnić nie mogło, i w ten sposób stał się powodem wielu przejść gorzkich w mem życiu późniejszem. Ale niedość tego, że biedak i siebie i mnie oszukiwał i, acz bez winy, wiódł mię na manowce, niedość, że wymagał ode mnie rzeczy, których dokonać nie było w mej mocy; w końcu, gdym się nie stawał tem, czego się spodziewał, zaczął być surowym, chmurnym, niesprawiedliwym, srogim nawet, zwłaszcza po zgonie mej zmarłej wcześnie matki. Ta, chociaż sama czuła się również zawiedzioną, brała mię przynajmniej niekiedy w obronę; z jej śmiercią wszakże skończyło się me szczęście dziecięce i, mogę powiedzieć, szczęście całego życia mego, bo odtąd ziemska wędrówka stała mi się nieprzerwanem pasmem udręczeń i goryczy.“

Umilkł na chwilę, potem smutnie mówił dalej, jak gdyby w jakiemś znużeniu: „Być członkiem tego ujarzmionego, niewolniczego narodu słowackiego, czuć jego poniżenie, to jak gdyby urodzić się pod klątwą, ciężką klątwą! Mieć w piersiach serce, które zdoła się burzyć, i widzieć, jak ci pozostali tępo dolę swą znoszą, nie rozpacz-że to nad rozpacze? Nad synem tej ziemi słowackiej, który nie chce i nie może stać się odstępcą, ciąży coś jakby wyrok fatum starożytnego. Nie oddycha on jak inni ludzie, znajduje piołun w każdym kąsku, truciznę w każdej kropli wody! Jeżeli ma w sobie moc tytaniczną,

miłość niezmierną, duch jego przez stałe walki i burzenie się przeciwko temu przeznaczeniu może wzrość aż do niebios, duma doda mu skrzydeł a miłość będzie mu zdrojem natchnienia i zapału. Ja wszakże nie miałem tej mocy, ja miałem tylko miłość. I dzisiaj zdaje mi się nawet, żem właściwie nie miał ani tej wielkiej miłości; miałem może więcej nienawiści ku wrogom, niż miłości dla swego narodu, ukochałem widać bardziej swoją nienawiść, aniżeli ten swój naród! Oto teraz, po tylu, tylu latach, gdym już postarzał się nieledwie, gdy, przeżywszy całe prawie życie poza krajem, wspominam raczej okolicę, w której zbiegły mi lata dziecięce, aniżeli swój naród, dzisiaj — powtarzam — sam już nie wiem, czy mi co jeszcze z tej mniemanej miłości pozostało; wszystko tam w oddali, w tych górach, jest mi takie obce, takie uczuciom moim dalekie — ale co mi zostało, co nigdy we mnie nie wygaśnie, to ta płomienna nienawiść, paląca jak piekło, nienawiść ku temu turańskiemu madziarów plemieniu, które zagrabiło mi ojczyznę, wolność, powietrze, spokój — i wszystko, co człowiekowi drogiem i świętem być może. Ta dzika niegdyś horda huńska, która, bez przymieszki krwi słowiańskiej i rumuńskiej, nawet powierzchowności nie miałaby europejskiej, nie straciła ani źdźbła ze swej azyatyckiej chytrości — i tą udało jej się oszukać świat cały. Włada dzisiaj, lecz przez moc, nie przez powagę prawa. Wstydzić się trzeba za aryjską Europę, że się tym turańskim kuglarzom tak na lep brać daje. Ale aryjska Europa jest już tak zmateryalizowana, że pozbyła się swego aryjskiego idealizmu i szlachetności prawie doszczętnie. Kłania się jednemu tylko, obok mamona, bożyszczu: powodzeniu. A ci Turańczycy osięgali zawsze powodzenie podstępem, obłudą, intrygami, nigdy zaś jakiemś rycerskiem przedsięwzięciem lub walką bohaterską, jak to sobie i innym wmawiają. Słowianie, zwłaszcza zachodni,

inne wiedli boje — a jakąż im to korzyść przyniosło? Nie umieli snuć intryg po dworach królów, i Europa nic nie wie o ich bohaterstwach, nie zajmują nikogo, bo nie mieli powodzenia. Ach, ta Europa! Nie kocham ani Francyi, ani Anglii, ani Włoch, ani Rosyi. Z małych narodów mam szacunek dla jednej może Norwegii. Te wasze Czechy dzisiejsze... Nie, żadnej we mnie nie budzą sympatyi. Znam pańskich rodaków, wiem, do czego byli zdolni u nas... Oh, ta ludzkość! Smutne, zaiste, zjawisko!“

Oczy pałały mu gorączkowo. Ująłem go za rękę, policzyłem puls.

— Nie mów pan z takiem uniesieniem, — rzekłem mu, — masz pan niewesołą słuszność, ale nie będę pana słuchał, jeżeli się pan nie uspokoisz.

— Tak, tak, — uśmiechnął się, — rozumiem. Chodzi o moje zdrowie, prawda? Naturalnie, przecież to skarb!.. Będę, zatem spokojny. I po co właściwie mówiłem o tem wszystkiem? Ach, tak, chciałem panu opowiedzieć o sobie. Zdumiewająca to, jak chętnie człowiek o sobie mówi, jak gdyby nie miał czegoś lepszego do opowiadania! I właściwie nie ma, bo ci jego bliźni są zupełnie tacy sami, jak on. Ale nie bawmy się w głębokie rozmyślania. A więc — oto moje życie. Nie bój się pan, załatwię się z niem krótko, aczkolwiek dziesięć tomów mógłbym o tem napisać, mógłby to być cały nowy Gil Blas! Gil Blasem jest każdy, kto z popędu wewnętrznego lub pod wpływem okoliczności porzuca dobrowolnie zakąt rodzinny dla pogoni za szczęściem innem, mniej wyraźnem, niż znalezienie zarobku na kęs chleba. — Tak więc, posłano mię do do szkół, gdzie nie okazywałem postępów. Temu nie był winien jedynie brak wybitnego uzdolnienia; inni bez niezwyklych zdolności uczyli się jednak i z lepszym rezultatem. Miałem wielką i nieszczęśliwą wadę, tkwiącą w podstawach mej istoty i charakteru: nie mogłem wyrzec się

marzenia. Nie mogę do dziś. Zdarzało mi się często, że pośród tego, co ludzie zwykle nazywają „życiem rzeczywistem,“ a co naodwrót jest życiem sztucznem, pracowicie zestawianem z samych płytkich potrzeb, konwencyj, kłamstw, podłości, oraz ustępstw z tego, co w nas lepsze i szlachetniejsze, — zdarzało mi się tedy, że, pośród tych poważnie branych banalności, nagle uderzała mię nicość i zbyteczność wszystkiego, za czem ludzie się uganiają, o co się żrą, jak psy o kość, i opanowywał mię taki wstręt, że z rozkoszą byłbym się unicestwił, lub przynajmniej uciekł gdzieś daleko, gdzie niemasz takich stosunków. Już w szkołach średnich, zdumiewałem ludzi tem, co brano u mnie za dziwactwo i upór. Gotowałem się np. bardzo sumiennie i pilnie do egzaminów, jako inni, z zamiarem, że zdam je dobrze. Skoro wszakże ujrzałem przed sobą tych zarozumiałych bakalarzy, którzy po inkwizytorsku, ze śmiesznie poważnemi minami, zadawali pytania, jak gdyby chcąc wpędzić mię w pułapkę, wstrętną nagle stawała mi się nawet nauka, o którą chodziło, a niekiedy zaczynał trząść mną gniew, bo miałem uczucie, że wyschłe te dusze profanują przedmioty, których dotkną. Homer, w ręku takiego czepiającego się słówek pedanta, który o poezyi najsłabszego nie miał pojęcia, robił na mnie wrażenie róży w łapach oskubującej ją małpy. Historya, pakująca nam do głowy obumarłe anegdoty, wstręt budziła we mnie oddawna, bo wzburzała mi do głębi całą istotę, gdy, śpiewając hymny na cześć helleńskiego bohaterstwa, bojującego z najezdnikami perskiemi, o udręczeniach ludu słowackiego nic wiedzieć nie chciała, a wychwalając rzymską miłość wolności, każdy swobodniejszy nasz odruch jako bunt karała i zbrodnię! Zdumiewająca, ile nienawiści płomiennej wejść może do takiego wątłego, wpółdziecinnego jeszcze serca!.. Tak więc, podczas gdy zadawano mi pytania, patrzałem, dajmy na to, na promień słońca, złoty,

drżący, wkradający się z wolnej przestrzeni do nudnej, zacieśnionej sali szkolnej, słuchałem świegotu wróbli na dworze — i myśl wnet napełniała mi się marzeniami i tęsknotami! W tem ciasnem więzieniu zduszonego żywota porywało mię nagle palące pragnienie wolności i przestrzeni. Słoneczny ten promień wyczarowywał mi naraz przed oczyma bezbrzeżną jakąś krainę, drzewa się tam kołysały, wody tam ciekły, nie było tam żadnych przepisów ani reguł! Co mnie obchodziły wszystkie te kłamstwa, które w nas pchano, wszystkie więzy i granice woli? Nie potrzeba mi było żadnych ustrojów i urządzeń społecznych — — miałem swoją duszę i swego Boga. Jakiż byłem szalony, że żyłem tutaj i poddawałem się jarzmu! Czyliż niema gdzieś za szumnemi wałami morskiemi szczęsnych wysp, gdzie można jeszcze żyć, jako ptaki żyją, tak święcie i wolno? O, tam uciec, daleko, daleko, porzucić wszystko za sobą, nie brać z sobą ze wszystkiego, com kiedy słyszał, nic prócz owych słów ewangelii, które w głąb' duszy mi się wryły, i prócz tych starych pieśni, które w śmiertelnem swem udręczeniu słowacki lud nasz w górach śpiewa!.. Nic więcej nie potrzeba, przynajmniej mnie, a chodziło przecież tylko o mnie. Inni niech sobie żyją, jak im się spodoba... Tak marzyłem w tej dusznej szkolnej sali, i na pytania, które mi zadawano, nie odpowiadałem wcale, ba, nawet ich nie słyszałem. A gdy mnie karcono, miałem na ustach uśmiech tak wzgardliwy, że doprowadzałem ich do ostateczności!.. Widzisz pan, taki byłem w szkołach! Cóż więc mogło być ze mnie potem?.. A swej ucieczki na wyspy szczęśliwe do skutku nie doprowadzałem i powracałem zachmurzony z miasta do domu, do ojca, ze świadomością swej przed nim winy!.. Znosiłem potem, zadumany i milczący, jego wyrzuty i gwałtowne niekiedy obelgi. Ach, z biegiem lat smuciłem go coraz bardziej! Z kolei rzeczy,

wstąpiłem z czasem w stadyum drobiazgowych roztrząsań w dziedzinie religii. Naprzód rozumowałem o tem gorliwie z ojcem, potem samotnie w ciężkich zatapiałem się rozmyślaniach, wreszcie jąłem majaczyć gorączkowo. W sporach z ojcem chodziło z początku o napaści na różne wyznania (z jakąż trudnością znosił najmniejszy atak na swoje własne!), potem o nienawiść ku tym, którzy mając moc i wpływ, wywracają na nice pierwotne pojęcia i zasady chrześciańskie, dalej nastąpiły napaści na chrześciaństwo samo, w końcu spiorunowałem ojca pewnego dnia otwartem wyznaniem, że nie wierzę w żadnego Boga. Żałuję do dziś, żem go tak nadaremnie zasmucił. Na nieszczęście, był taki gwałtowny! Gdybym w nim spostrzegł najlżejszy ślad boleści nad mym błędem, byłby mnie z pewnością wzruszył, byłbym swe przekonanie jakbądź ukrył, byłbym je może nawet odwołał, bo w gruncie rzeczy byłem miękki i bynajmniej nie tak zacięty i namiętny jak on. Że ludzie tak rzadko i tak trudno mogą się nawzajem zrozumieć! Gdybyśmy byli obaj spokojnie mówili, zauważylibyśmy może ze zdumieniem, że ta napozór nieprzebyta otchłań między nami bynajmniej tak bezdenną nie zieje głębią, jak nam się zdawało! Ów mój ateizm był wówczas raczej buntem przeciwko zbyt po ludzku ukształtowanemu wyobrażeniu Boga. Ale miejsce rozmów zajęły teraz wyłącznie rozdrażnione sceny, z których jedna, najgwałtowniejsza, skończyła się tem, że mię ojciec z rodzinnego domu wygnał — z przekleństwem!

Słowa ostatnie wymówił Rojko prawie szeptem, i zdało mi się, że oczy mu zwilgły.

— Nieszczęśliwy! — wyrwało mi się mimowoli.

— Tak, — odrzekł, — bardzo nieszczęśliwy, ale jeszcze nieszczęśliwszym był on. Smutek mój był głęboki. Nie wierzyłem w skuteczność klątwy, ale czułem, czem d l a n i e g o ona być musiała! Wiedziałem, że miał uczu-

cie, iż mnie zabił, wiedziałem, iż dusza jego była złamana, a istność cała jak obumarła. A co było moim grzechem? Żem nie zdołał patrzeć, jak patrzał on, i żem mu rzekł, co myślałem!

— I nie pogodziliście się nigdy? — spytałem.

— Nie, — odrzekł cicho. — Gdy mnie wygnał, odszedłem. Pisałem do niego, nie odpowiedział. Po roku doszła mnie wieść, że umarł. Nie zostawił mi ani słówka pożegnania.

— Boże mój! — wyjąkałem ze współczuciem. Usta zadrgały mu lekko, ale udał, że nie słyszał mego westchnienia.

— Ponieważ ojciec nie wydziedziczył mnie formalnie, — ciągnął dalej po chwili, — nikt nie zatrzymał mi drobnego po nim spadku; zaraz po jego śmierci zacząłem odbierać procenta, a po jakimś roku wypłacono mi cały ten skromny kapitalik. Tymczasem wszakże zadłużyłem się już tak bardzo na jego rachunek, że zostały mi tylko nieznaczne resztki. Miałem z początku, po śmierci ojca, jakieś skrupuły, uczucie moje buntowało się przeciwko temu, aby przyjmować puściznę po człowieku, który mnie nienawidził. Ale byłem w wielkim niedostatku, a pieniądze pochodziły zresztą w większej części od mej matki, która mnie przecież nie przeklęła, ani wydziedziczyła; pokonałem więc swoją niechęć i swoją drażliwość, jak to się zazwyczaj dzieje, gdy spojrzymy w oblicze grożącej nędzy. Żem żył w niedostatku, nie powinno pana to dziwić! Ze wszystkiego, co opowiedziałem, mogłeś pan już sam wywnioskować, że jestem z tych, którzy nie wiedzą, co właściwie z życiem swem począć. Ile-m zniósł zaraz po wypędzeniu z domu ojcowskiego, niemiło byłoby mnie przypominać sobie, panu słuchać. Możesz pan sam to sobie wyobrazić, wiedząc, że brak mi było wszelkich praktycznych wiadomości, potrzebnych do zarabiania na życie.

Tego, co się nazywa powołaniem, również nie miałem, chyba jedno: zdawało mi się, że mam wielkie zdolności do sztuki aktorskiej. Sądzę nawet, że nie myliłem się tak zupełnie i że, gdybym się był urodził kimkolwiek, byle nie Słowakiem, mógłbym był w tem z pewnością znaleźć wyraźny cel żywota... Dziś jest mi to już obojętne, gdy wszystko, wszystko, całe życie leży poza mną w ruinie, w gruzach i szczątkach. Przez to, że teatr słowacki nie istnieje, ginął mi z przed oczu ten określony cel i kierunek. Uderzyłem znów czołem o żelazną kratę wokół ujarzmionego narodu, któremu nie wolno rozwijać się swobodnie, o twardy jak skała mur swego wrogiego przeznaczenia. Z języków obcych znałem najlepiej niemiecki, wmuszano nam wówczas niemczyznę bardziej niż ten dyalekt turański, którym dręczą nas dzisiaj. Po niemiecku wszakże grać mi się nie chciało, nienawidziłem z natury wszystko, co niemieckie. Po długiej walce wewnętrznej, zdecydowałem się na to jednak i wyjechałem do Niemiec. Okazało się wszakże, iż chociaż płynnie mówię po niemiecku, lecz z niemożliwym na scenie akcentem.

— Szkoda pana, — rzekli mi, — ogromna szkoda, ale wzbudzałbyś pan śmiech. — Wzbudzać śmiech, najsmutniejsza to chyba dola. Pocieszali mnie, że może z czasem zdołam pokonać tę przeszkodę. Chwyciłem się tej nadziei. Wstąpiłem do jakiejś trupy wędrownej. Ach, tam był początek straszliwego wytrzeźwiania się z zapałów artystycznych. Potem dostałem się wreszcie do stałego, pokątnego teatrzyku, ale i tam dawano mi najnieznaczniejsze jedynie role. Rozwój był w takich warunkach niemożliwy. Walczyłem wytrwale, ale w końcu znękały mię doszczętnie te bezowocne wysiłki, opanował mnie wstręt do tych mizernych zakulisowych stosunków, do tych pogardy godnych ludzi, i zgoryczony rozwianiem się złudzeń, sam już bez wiary w siebie, dręczony równie porażką jak tajnym wy-

rzutem odstępstwa, porzuciłem swe jedyne powolanie i, przeklinając Niemcy, gdziem drugiej ojczyzny znaleźć nie zdołał, uciekłem — zupełnie odpowiednie to słowo — do Francyi. O tutejszym pobycie opowiem panu niewiele. Los rzucał mną jak piłką, rozpaczliwie wprost dobijałem się jakiegobądź kawałka chleba. Chwilami chwytałem się brzegu, i znów tonąłem beznadziejnie. Przeprawiłem się do Angiii i długo tam żyłem, a właściwie omal z głodu nie marłem. Ztamtąd przeznaczenie zaniosło mię na lat kilka do Meksyku. Wreszcie powróciłem znowu tutaj i dobiłem się pozycyi, w której mię pan dziś widzisz. A cały ten okres mego życia wypełniały ciągłe utopie, same utopie, za ktoremi pędziłem, do których rwałem się, niestety, nadaremnie! I dziś jednak jeszcze, nie buntuję się przeciw nim — i kocham je nawet. Utopie? Czemu utopie? Wszystkie te moje plany i dążenia były ostatecznie możebne i zdolne do życia, a jeśli waliły się w gruzy, to tylko dla tego, żem nie brał w rachubę ludzkiej złości, zawiści lub obojętności nieprzyjaznej. Niewątpliwie, własna moja słabość i brak wytrwałości zawiniły również dużo. Naprzód wpędził mię w zagubę zapał dla sztuki, potem żądza sławy, a w końcu marzenia o wielkiem bogactwie, które miałem nadzieję urzeczywistnić za oceanem. Widziałem siebie, jak, niby nowy Monte-Christo, mszczę się na katach swego narodu, jak naród ten słowacki wszelkiemi środkami, moralnemi i materyalnemi, podnoszę i wywyższam. Chimery i ułudy! Gruz tych walących się i zapadających marzeń zasypal mi całą duszę i uczynił z życia mego jałową pustynię... Ale nie, nie, to sprawiła tylko ta wina moja, o, ta moja wina, ta moja wina...

Umilkł nagle, głowa ciężko opadła mu na piersi, całe ciało drżało mu febrycznie, a oczy miał śmiertelnie smutne. Milczeliśmy obaj długą chwilę. Bałem się przemówić, aby nie wyglądało, że przez ciekawość chcę się cze-

goś dowiedzieć o tej winie, o której z tak szczerze i głęboko patetycznym napomknął akcentem. Rojko podniósł wreszcie powoli głowę, oczy jego błądziły po drzewach, zkąd wesołe szły ku nam ptaków świegoty.

— Wiesz pan teraz wszystko, — rzekł dość spokojnie, jak gdyby burza w jego wnętrzu uciszyła się prawie zupełnie. — Wiesz pan wszystko w zarysie. Na szczegóły książkaby cała nie starczyła. Czegóż-em nie przeżył w tych różnych obcych ziemiach! Czem byłem i czem nie byłem! Nawet czemś w rodzaju kamerdynera u pewnego arystokraty przez czas jakiś. Stało się to w trakcie i skutkiem dążenia do wielkiego celu, którego, podobnie jak wszystkich innych, nie dosiągłem. Widzisz pan, z jakiem mówię zaufaniem, skoro i to panu wyznaję, że znalazłem się prawie w liberyi, ja, zapaleniec wolności, pragnący łamać pęta swoje i innych! Co za skok — pomyślisz sobie pan zapewne, nie znając szczegółów — z podniebnej drogi artysty, pałającego żądzą nieśmiertelnej sławy, do przedpokoju, między lokajstwo nieledwie... I niezaprzeczenie jest w tem trocha prawdy, ale niech dyabli porwą wszystko, co mnie to może dziś obchodzić! Minąłem się ze wszystkiemi powołaniami, powodzenie zawsze plecami odwracało się do mnie. Jako prawdziwy *raté* i *déclassé*, jak tu ludzie mówią, należę tedy do najsmutniejszych objawów cywilizacyi dzisiejszej, w której zawsze, od pierwszych lat życia, instynktem czułem coś wrogiego mi i zgubnego. Czy uwierzysz pan wszakże, iż mnie to wszystko już dziś nawet nie boli? Powiedziałem panu, że jestem obecnie małym urzędniczkiem w pewnym zakładzie przemysłowym. Nie mrę z głodu, ani z zimna, i nie chodzę w łachmanach. Tysiące ludzi lepszych ode mnie nie mają tych wygód. Mogę umrzeć spokojnie i normalnie. Czegóż mógłbym pragnąć nadto? Chyba prędszego końca. Niedawno, przed samem dostaniem się do wasze-

go szpitala, uczułem się chorym. Choć śmierć jest mi obojętna, mechanicznie szukałem ulgi w cierpieniu, i dano mi w zakładzie adres lekarza, opiekującego się z urzędu personelem naszym. W drodze do niego spotkał mnie przykry wypadek z tym omnibusem.

Przestał mówić, pobladł i znowu zaczął trząść się jak w febrze.

— Panu gorzej, — zawołałem, — mówiłeś pan zadługo, zmęczyłeś się i rozdrażniłeś! Wyrzucam sobie, żem temu nie zapobiegł. Pójdźmy, poprowadzę pana, trzeba się położyć do łóżka. Sen pana pokrzepi.

Wstał posłusznie i dał się odprowadzić.

Po kilku dniach, tak dalece przyszedł do siebie, że gotował się opuścić szpital. Byliśmy teraz już tak blizkimi znajomymi, że zwierzyłem mu się z uśmiechem, iż widziałem go u św. Juliana, iż za nim szedłem i w tak zabawny sposób go zagadnąłem. Nie pamiętał już o tem spotkaniu.

— A co pana tak we mnie zajęło? — dziwił się.

— Już to samo, że mieszkasz pan w domu, który mi się wydał tak tajemniczym i do którego tak bardzo pragnąłem się dostać.

— To będzie teraz bardzo łatwe, — odpowiedział z uśmiechem. — Jestem pewny, że nie zapomnisz pan o mnie z chwilą, gdy wyjdę za drzwi szpitala, i że odwiedzisz mnie nieraz. Zresztą, nie znajdziesz pan zapewne w tym domu nic nadzwyczajnego. Sam znam zaledwie powierzchownie swych najbliższych sąsiadów. Są i tam prawdopodobnie ludzie zajmujący, jak w każdym innym domu. Ostatecznie, każdy człowiek jest zajmujący, o tyle, rzecz prosta, o ile dotrzemy do głębi, do najwłaśniejszego jego wnętrza. Ale czy to wogóle jest możliwe, nawet gdyby nic przed nami nie ukrywał? Toć nawet sami siebie nie widzimy prawie nigdy bez zasłon czy to fantazyi

naszej, czy złudzeń dobrowolnych, czy względności dla własnego „ja.“ A więc, jakkolwiek będzie, odwiedź mnie pan niezadługo, chociażby gwoli mym sąsiadom.

— Przedewszystkiem przyjdę gwoli panu, — rzekłem otwarcie, — i gwoli zdrowiu pańskiemu, które powróciło wprawdzie, ale długo jeszcze pewnem nie będzie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się.

W kilka dni potem, udałem się w drogę do domu „pod tonącą gwiazdą,“ aby odszukać Rojka. Przez czas, gdym go nie widział, był w mym duchu ciągle obecny. Czułem smutek jakiś nieokreślony, będący niewątpliwie następstwem wszystkiego, co mi opowiedział. Sam on wydawał mi się tonącą, nawpół zatoniętą gwiazdą, statkiem zgruchotanym o skaliska żywota. Wywierał na mnie wpływ tak silny, że się temu aż dziwiłem. I nie to, co o nim wiedziałem, działało na mnie tak potężnie, lecz to, co słusznie lub niesłusznie o nim przeczuwałem. W człowieku tym, zdało mi się, były głębie, które tail i które mnie nęciły. Zresztą, drgała we mnie struna wielce jemu pokrewna. Pod banalną powierzchnią naszego trzeźwego życia społecznego czułem tak mocno prądy jakieś przepastne, bezdenne, tajemniczo ukryte oczom niepoświęconym. Był-że Rojko z liczby wtajemniczonych? Wywarł na mnie to wrażenie, mimo iż nie wymknęło mu się najmniejsze, najoddaleńsze co do tego napomknienie. Czy okaże mi się kiedyś, jakim jest w rzeczywistości, i czy poda mi rękę, aby mnie powieść ku progom wielkich, odwiecznych, pozornie zanikłych, ale w istocie wiecznie trwających misteryów? Ale z drugiej strony, toć pesymizm jego przeczył pojęciu, jakie sobie w ten sposób o nim wytworzyłem. Kto tak blizko stał prawdy, ten nie mógłby być zupełnym pesymistą, jak nie może być ciemnym, kogo światło przeniknie. Pesymizm jest tylko przygnębieniem, tęskliwym niepokojem, które nas ogarniają, gdy poznajemy nicość rze-

czy nam blizkich, a nie widzimy jeszcze jasno tego, co jest za niemi, za zjawiskami przemijającemi, i co się nigdy nie zmienia. Jest to choroba przejściowa. — Tak rozmyślając, doszedłem do wybrzeża Augustynów. Miało się już pod wieczór. Paryż w tym półzmroku błękitniał cały i olśniewał wspaniałą malowniczością swych *avenues,* pełnych ruchu i gwaru, swych pięknych szpalerów drzew na wybrzeżach, swego widnokręgu tak niezwykle ubarwionego. Na wybrzeżu antykwaryusze składali już swe stare książki do skrzynek. U jednej z tych kamiennych balustrad, zkąd książki zabierano, spostrzegłem Rojka. Prawdopodobnie wracał dopiero do domu ze swojej fabryki. Stał wsparty o balustradę, ale nie patrzał na rzekę, po której statki się uwijały, i która pięknym, ciemnozielonym, głębokim toczyła się nurtem, z obrazem miasta-olbrzyma, zwierciedlącym się w jej falach. Wołałem na Rojka, pozdrawiałem go zdaleka, machałem kapeluszem, on wszakże nie widział mnie, ani słyszał. Twarz jego była drętwo nieruchoma, wyglądał jak człowiek w głębokiem omdleniu, lub raczej w stężałości śmiertelnej, ale oczy szeroko rozwarte jarzyły się ogniem dziwnie gorączkowym. Nawet w chorobie, nawet podczas kryzysu nie widziałem go takim. Stałem już chwilę obok niego, zagadywałem go kilkakrotnie, potrząsałem go za rękę, ale nie dostałem ani odpowiedzi, ani spojrzenia. Wreszcie wydało mi się, że zaczyna budzić się powoli z tego niezwykłego stanu ciała i ducha. Twarz ożywiła się i normalniejszego nabrała wyrazu, tylko oczy świadczyły jeszcze, że myśli jego przebywały gdzieindziej daleko, Bóg sam wiedział gdzie. Na pytania moje, także poniekąd dziwne, bo było mi, jakbym się zaraził jego ekstazą, odpowiadał na traf niezrozumiałemi słowy. Była to jak gdyby rozmowa za pomocą hieroglifów. Minęła jeszcze długa chwila, zanim zaczęliśmy rozmawiać, jak ludzie o zdrowym rozsądku.

— Szedłem właśnie odwiedzić pana, — rzekłem, jeszcze ciągle badając mu z oczu, co się we wnętrzu jego działo.

— Więc pójdźmy, pójdźmy! — odpowiedział tonem zwykłej grzeczności, próbując przystosować się szybko do obojętnej, powszedniej sytuacyi.

— Rzecz prosta, — dodałem, — o ile nie wybierałeś się pan właśnie gdziekolwiek indziej. W takim razie odprowadziłbym pana tylko i wpadłbym do pana innego dnia.

— Nie, nie, — upewniał, — nie wybierałem się nigdzie, miałem właśnie iść wprost do domu. Gdy wtem przemówili znowu do mnie po długim czasie — o n i.

— Kto taki? — spytałem ze zdumieniem.

Milczał chwilę.

— Nie zrozumiałbyś mnie pan zapewne, — rzekł potem powoli. — Nie, nie zrozumiałbyś pan napewno. Powiedziałbyś mi, albo przynajmniej pomyślałbyś sobie, żem waryat. Znam takie sądy. Pan jesteś „uczony,“ stoisz na wyżynach wiedzy dzisiejszej — czy dobrze powtórzyłem ten wyszarzany frazes? — a dla tej wiedzy, która tak niesłychane zrobiła postępy, wszystko jest waryacyą, czego się nie wie i nie rozumie.

Powiedział to bez goryczy, i w tonie jego nie było nic obraźliwego.

— A cóż, — rzekłem mu z uśmiechem, — cóż gdybym się przyznał, że wprawdzie niegdyś wierzyłem ślepo tej wiedzy, ale że nagle przeświadczenie moje o jej doskonałości chwiać się zaczęło?

— Byłżebyś pan może także nieco waryatem? — spytał również z uśmiechem, ale tak zagadkowym, że mi się zrobiło niewyraźnie; nie wiem, dla czego, ale uczułem lekki dreszcz przebiegający mi ciało. Albo zatrwożyło mię to jego przypuszczenie, albo też dojrzałem we wzroku je-

go i uśmiechu coś, co zbudziło we mnie myśl, że mówię z człowiekiem, stojącym nad czy pod normą tak zwanego zdrowego rozsądku, który zdefiniować nie jest rzeczą łatwą. Szliśmy chwilę obok siebie w milczeniu.

— Czy zarzucał już panu kto waryacyę? — spytałem nieśmiało.

— Tak, niejeden, już oddawna. Wówczas, gdy jeszcze odzywałem się niekiedy. Teraz milczę zazwyczaj, i ludzie biorą mnie raczej za filozofa, według starej sentencyi.

— A czemżeś pan się naraził na surowy ten zarzut?

— Czem? Hm, powiem to panu. Niekiedy cudzemi słowy łatwiej określić swój stan duchowy, niźli własnemi. Znasz pan wielkiego, tak absolutnie nieznanego Williama Blake'a. Był to podobno także waryat. Dla niego wyobraźnia była pochodzenia boskiego, a więc czemś pierwiastkowem. Mawiał o sobie, że zdolność wyobraźni pielęgnuje i rozwija do tego stopnia, iż staje się ona wizyonerstwem, prostem widzeniem, objawieniem. Otóż coś podobnego czynię i ja. Nie mam jego geniuszu, nie umiem oddać tego, co widzę (nazywa się to tworzeniem), i skutkiem tego z widzenia mego nie powstają wielkie poemata i wizyonerskie rysunki, jak u Blake'a. Rozszerza ono tylko mój widnokrąg, patrzę nieco głębiej we wszechświat, niżbym mógł w innym stanie.

— Ale i to nie jest dane każdemu, — zauważyłem.

— W każdym człowieku, — odpowiedział, — istnieją zasadnicze zarodki innych jeszcze zmysłów prócz tych pięciu, najbardziej rozwiniętych, znanych każdemu i za jedyne uważanych. Ale zamało na te zarodki zwracamy uwagi, zwłaszcza dzisiaj, w materyalistycznym, barbarzyńskim prądzie epoki, który nas unosi i który, zresztą, zawsze unosił większość ludzi. Jak pan widzisz, nie chcę być niesprawiedliwym względem naszej doby i nie należę do tych, którzy ciągle tylko wzdychają za przeszłością. Prag-

nąłbym jedynie, by geniusz aryjski, wybitnie spirytualistyczny znowu wziął w nas górę. Są oznaki, że pomału tak się dzieje. Skarby mądrości indyjskiej, w idealnym swym altruizmie i w nieogarnionej wzniosłości pojęć abstrakcyjnych, odnowią zapewne od podstaw naszą kulturę. Hindusom nie została tajną żadna głębina ducha, żadna subtelność psychiczna nie uszła ich uwadze... Ale oddalam się od swego przedmiotu. Chodzi o moją waryacyę. A więc, odkryłem w sobie pewien zmysł ukryty — używam takiej nazwy, ponieważ inaczej nazwać tego nie potrafię — i przez tę władzę, lub, jeśli pan wolisz, przez ten stan swego nie cielesnego, lecz transcendentnego „ja" zdolen jestem wchodzić w stosunek czy styczność z istotami innemi, niżeśmy na przykład my sami, albo zwierzęta czy rośliny, rozumieć je, jak gdybym je widział i słyszał oczyma i uszyma, jednem słowem, zupełnie świadomie odczuwać jakichś mieszkańców nie naszej ziemi, lecz, dajmy na to, innych ciał niebieskich.

Zamilkł, jak gdyby czekając na moją o tych rzeczach uwagę. Byłem dziwnie poruszony. Miał nade mną magiczną jakąś władzę, — póki mówił, byłem zupełnie przekonany o słuszności słów jego; wątpliwości budziły się we mnie, dopiero gdy umilkł. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć.

— Zajmujesz się pan astronomią? — spytałem wymijająco.

— Ani trochy, — odpowiedział spokojnie. — Nie myśl pan czasem, że czytałem Flammariona i że buduję sobie światy według jego badań czy fantazyj. Nie wiem, ile może być prawdy w tem, co twierdzi o Wenerze lub Marsie. Ale sądzę, że ani teleskop, ani matematyka, ani chemia nie rozwiążą tajemnicy zagadek gwiezdnych. Astronomią się nie zajmuję, brak mi do tego podstawy nauk pomocniczych, ale gwiazdy miłuję jak poganin. Pojęcie

gwiazd u pogan było, mimo wszelkie niewiadomości i błędy, zapewne bliższe prawdy, aniżeli trzeźwe i suche formuły naszych astronomów. Wiedzieć, ile słupków ma kwiat, jak się nazywa po łacinie, gdzie rośnie, i t. d., nie starczy jeszcze do wyjaśnienia istoty roślinnej, o którą chodzi. Prawda?

— Prawda, — odrzekłem, — ale powiedz mi pan, jakiego rodzaju jest ten pański stosunek z mieszkańcami innych planet? Czy przez wyobraźnię znajdujesz się pan nagle pomiędzy nimi, czy też zjawiają się panu we śnie, czy wreszcie jak promienie wślizgują się panu w oczy?

— Niełatwo będzie wyjaśnić to panu, — odpowiedział, — jest to, jak gdybym miał zdefiniować barwę komuś, kto jej nigdy nie widział. Nie jestem tam, ani tutaj. Fatalność to istnienia naszego cielesnego, że możemy sobie wszystko wyobrażać tylko w związku z miejscem i chwilą, tylko przestrzennie i czasowo. Tymczasem istnienie warunkuje się przedewszystkiem świadomością, nie zaś miejscem, w przestrzeni lub czasie. Otóż, w takich chwilach, jestem tak intensywnie świadom ich istnienia i stosunku ze mną, jak żadnego faktu w przestrzeni, faktu narzucającego mi się przez słuch, wzrok lub dotyk.

— A co, na przykład, mówią do pana? — spytałem, nie mogąc stłumić ani ciekawości, ani niewiary.

— Mógłbyś pan w taki sam sposób zapytać, jakim mówią językiem. Cóż do pana mówią drzewo, skała, słońce? Co do pana mówi zwierzę? Każda z tych rzeczy przemawia bez słów, a pan sobie dopiero tłómaczysz po ludzku i te zjawiska, i ich mowę, ale wiesz dobrze, iż wszystko, co w ten sposób myślisz o nich, wszystko, co im przypisujesz, jest raczej pańskie, niż ich. Tak właśnie i tamci mówią do mnie. Jestem ich świadom tylko, jak drzew lub skał, i tłómaczę sobie wszystko według swego obecnego rodzaju istnienia. Otóż, bywają to niekiedy fakta

niewyslownie przejmujące i ważne, a niekiedy znów drobne i bez znaczenia, jak ten kamyk, na przykład, leżący na naszej drodze. Nam przynajmniej, kamyk ten wydaje się w chwili obecnej czemś zupełnie błahem; znaczy to, że stosunek jego do nas nie ma wielkiej wagi, bo, niestety, mamy na wieki w sobie tylko samych miarę jedyną dla wszystkich rzeczy. Po za tem, cóż nam pomoże cała nasza mądrość, cała wiedza, rozum cały i cała wyobraźnia, gdybyśmy zechcieli dotrzeć do jądra zjawiska i wyraźnie rzec lub dowiedzieć się, co to właściwie jest ten kamyk? Dla tego zadawalamy się w koniecznej rezygnacyi próżną nazwą.

— Na teraz dość, — odparłem, — że przynajmniej wiemy, iż to, co się zdaje, jeszcze nie jest. To wygląda na obietnicę, że kiedyś dowiemy się rzeczy, które dziś przeczuwamy zaledwie, lub których nawet przeczuwać jeszcze nie zdołamy. Ale powiedz mi pan, czy ze świadomością wszyskich tych faktów pozaziemskich nie powstało w panu coś w rodzaju pewniejszego i wyrazistszego poglądu na całość bytu, czy nie wyjaśniły się panu pojęcia wieczności i Boga? Nie stał-że się panu Bóg, którego niegdyś zaparłeś się, ku tak strasznej ojca bolesci, wyobrażeniem dostępniejszem, faktem świadomie odczutym, podobnie jak fakta pozostałe? Myślę, że tak?

— Mylisz się pan ogromnie, — odpowiedział. — Wszystkie fakta nie objaśniają razem ani o źdźbło więcej, niż np. fakt pojedyńczy istnienia zwierząt lub roślin. Cóż z tego, że, aby tak powiedzieć, rozszerzy się inwentarz „naturae naturatae“? Jesteśmy-ż przez to Boga bliżsi, pojmujemy-ż go przez to jaśniej, że np. przy pomocy mikroskopu wiemy o infuzoryach? Murzyn żyjący gdzieś w pustyniach Afryki i nieprzeczuwający, że wogóle istnieje na świecie coś takiego, jak nasza cywilizacya, będzie niewątpliwie zdumiony, olśniony, gdy go pan przy-

wieziesz nagle do Paryża lub do Londynu. Z początku będzie może nawet przerażony, będzie myślał, że znalazł się w krainie potężnych czarodziejów, półbogów, lub, jeśli pan wolisz, całych bogów. Z czasem wszakże przekona się, że wszystko tu jest właściwie jak w jego wsi, tylko w innej formie, bardziej złożonej, doskonalszej i, jeśli pan chcesz, nawet wznioślejszej. Że są i żyją inne jeszcze po za ludźmi istoty, istoty pod wielu względami bardziej rozwinięte, różniące się od nas tak, jak my np. od zwierząt, to zdumieć może człowieka, który się o tym fakcie nagle przekona, a poprzednio nie przeczuwał go nawet; ale do jądra rzeczy, której — wiednie czy bezwiednie — pożąda jedynie, do jądra istotnego poznania, ani o krok go to nie przybliży. Czy widzę jeden kamień spadający na ziemię, czy sto, nie wiem jednako, czem jest ciężar kamienia. Widzisz pan zatem, że mi pojęcie o Bogu, przez ten stosunek ze światami zaziemskiemi, ani o źdźbło jaśniejszem i wyrazistszem się nie stało. Jest Bóg czy Go niema? A jeżeli jest, c z e m jest? Stare, odwieczne pytanie. Gdybyśmy choć wiedzieli napewno, co to jest „być?" Kartezyuszowskie „myślę, więc jestem" — nie daje w tym kierunku dostatecznego rozwiązania. Czy próbowałeś pan kiedy wyobrazić sobie, zamiast tego, co jest, nicość doskonałą: że nie było nigdy świata, nigdy ducha, nigdy materyi, nigdy światła, nigdy ciemności, nigdy nic, nic? Czy zdołasz pan pomyśleć takie zupełne, odwieczne, prapierwotne nic?

Nie odpowiedziałem. Starałem się odczuć świadomie taką nicość bezwzględną. Z początku zdawało mi się, że to nic trudnego, ale naraz uczułem się jakby w ciemności. Miałem rzeczywiste wrażenie jak gdyby jakiegoś zaćmienia się w oczach i obezwładnienia intelektu w mózgu.

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

Walc.

...giocoso.



anno Łucyo!..

W przewspaniałej omdlałości odpoczywają twe wdzięki na szkarłatnej kozetce. Biel karczku, nieskalaność torsu... ani słowa!

Albo tak, panno Łucyo...

Kwiat-pokusa, rozpinasz wabne swe czary na tle purpury, jakby haftując ją tęczami, i poisz aurę wokoło smugami ciepła... promieniejącego... najlubszego... oraz zdrojem woni pysznej, w której rozróżniam vera violetta.

Tak, Lucynko...

Czerpiesz nieco oddechu między turą a turą... Walc bo niebiański łasi się twoim uszkom i nerwom... a kto wie... może mgły tonów przywałęsają się aż... aż do twego serduszka i wskrzeszą jakieś mary niepokojów, jakieś pragnienia słodkie... tak słodkie, że drżysz calutka i radabyś przed wizyami przysłonić oczęta ręką różano-przezroczą... a... a chociażby i wachlarzem...

Ale ja ci nie pozwalam.

Tak jest.

Jak wąż dzierżę cię na uwięzi mym wzrokiem, i wpadasz w tę bezdeń... lecisz, chcesz się otrząść... nie możesz!

Skułem cię temi dwoma złemi źrenicami, które się jarzą do ciebie...

Prze bogi! Daruj gadzinie, że ma ślepie zielone.

To sobie zresztą taki fortelik tylko, którego zażywam, by cię uprzedzić, że teraz ze mną opląsasz salę... że tym podstępem trzy-

mam cię niewolną, zanim przetnę barykady roztańczonych ciał i dotrę do twego podnóżka, gdzie się kornie pochylę, rozjaśniając lica — i gołębiem wejrzeniem rozproszę precz dreszcze takowej invitation a la valse...

I, widzisz, niepośledni, niezwyczajny będzie ten krąg taneczny...

Mnie muzyki niepotrzeba. Ja rzucam ten narkotyk, zatykam duszę przed dźwiękami.

Ja wyobrażam sobie, że tu niema nikogo, że tu głucho... że jesteśmy sami... sa — mi..!

I najtrzeźwiej, z najdotkliwszą świadomością przychodzę do ciebie, by cię poprostu objąć wpół i przygarnąć... Wolno mi, teraz, wobec świata, cywilizacyi, etykiety, etyki, mam, cioć.

To, co drudzy gubią, zahypnotyzowani poszmerem walca, oszołomieni wirem... ja to biorę najzachłanniej dla siebie... Oni popełniają świętokradztwo wielkie, ja... może największe... co?..

Pojrzyj... ty jesteś dla mnie w toalecie domowej, raczej w przygotowaniu do toalety... Tylko, że obnażonych ramion i alabastru piersi nieprzystoi widzieć w niedbałościach poranku!..

Ale —

Gdy się temu obrazkowi da inne ramki, gdy się oblecze jedwab, fular i dżety, — wonczas ta sama nagość, podana przy fanfarze melodyi, otchniona perfumami, zaklęta w cuda balu, chadza w zbożnem słońcu uznania i nieci podziwy.

Owinąłem cię już ramieniem. Chwiejemy się i szykujemy... oddech twój pali się na mej twarzy... i twarz mi gore...

Tu przyszedłby już ostateczny termin na okisłe określenie „płyniemy..." Niestety! ja idę sobie, estetycznie, wygodnie, choć w takt.

Cisnę cię mocno, hamując żwawsze twe pochopy, i zdaję sobie sprawę, że teraz mam Ewę przy swej piersi, że nasycam się nią.

Lecz wbrew lekkomyślnemu zastrzeżeniu, poddaję się zwolna muzyce. Tak, teraz miła mi jej pieszczota. Prawda! inaczej niż tobie, inaczej!..

Bo mnie się serce od niej nie topi, bom daleki od ekstazy, która tobie loty przykleiła chyże.

Pamiętam terazże najpieczołowiciej, że poza nami miliony dzieje się misteryów, że jest jakiś glob, który uważa za stosowne obracać się także, aczkolwiek biegu jego nie śledzim, że ta kulka ziemista ślizga się, dźwigając nas, w galaretach przestworza, że ten bączek huczy wokół swej osi, przyczyniając się do harmonii sfer, podsłuchanej przez jakiegoś muzykalnego kosmologa.

A w rozgardyaszu tym, mikrokosmosik mój, choć się tuli do

ciebie, nie zapomina, że bierze współudział takoż w owej górnej jeździe i że, chłonąc w siebie piękno ziemianki, napełniając niem ducha jak banię, nie urąga tej wielkiej wszechmaszyneryi, która trzęsie się w przepaścistościach czasu i przestrzeni.

Podążaj za mną... i zważ sama. Na arenie, gdzie pląsamy... wszyscy ci ludzie, w których duszach grają teraz arfy eolskie, to są także światy... dwojakiej płci... Przez tę różnopłciowość ciążą ku sobie i mogą połączywszy się chwalebnie, stwarzać dalsze ogniwa bytu... które kiedyś tak samo zlecą się na pole werbunku, jak ptaki z wyraju... no i znów... ritornella... ritornella... ritornella...

Łucyo!..

Łucyo, jeżeliś nie jest feministką, a temu przeczy olbrzymia twa kobiecość... tedy... czekają cię płomienie, które obejmują wybrane... wypełnisz ochotnie zadanie...

Wiedz...

Oto cię matka natura oszuka... Wpadając w zasadzkę miłości, w ocean szczęścia — bez brzegów — otrząśniesz puch z kwiatu marzeń na ołtarzu tejże matki-hołubki, która dalej łakomie dzieło swe toczyć będzie... Ona woła nowych do ironii bytu...

Ale ja i tej ironii nie biorę na seryo...

Marudziłbym dalej, nieszkodliwie, ale walczyk się ścisza, mdleje... Może jest jaki wielki rezerwoar, gdzie energia kinetyczna przebrzmiałej na świecie muzyki... zbiera się w wielki akumulator, czekający pracy.

Mełłby plagiaty...

Tandem, *Łucyo!.. dziękuję ci!*

Kłaniam się tobie i twojej urodzie...

Wracam w ciżbę.



Zygmunt Kawecki.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy *(Ciąg dalszy).* Jeżeli konkursy miały niby podniecać twórczość, ułatwiać wydobycie się na jaw nieznanym talentom, — ankiety i plebiscyty, w tej zwłaszcza postaci, jaką im dziennikarstwo dziś nadało, pozorują się dążeniem do wyrazistszych uświadomień, potrzebą ukształtowania bardziej stanowczych sądów, zapewnieniem bliższego, istotniejszego ujęcia prawdy. Jak dalece wszystko to jest pozorem, złudą lub obłudą jeno, stwierdza wystarczająco już sam formalny, ilościowy punkt wyjścia (głosowanie, większość zdań), który z istotą prawdy nie ma nic wspólnego. Zarzut ten, rzecz prosta, stosuje się przedewszystkiem do plebiscytów. Ankiety, będące nie gołosłownem głosowaniem, lecz zestawieniem całego szeregu motywowanych, uzasadnionych zdań i zapatrywań na jakąś sprawę, z których każdy drogą zastanowienia i rozumowania musi już sam wyprowadzić własny pogląd, albo przynajmniej sprostować go i uwszechstronnić, — mogłyby, w zasadzie, przyczyniać się bardzo dzielnie do rozjaśnienia wielu spornych czy niedość pogłębionych kwestyj, a byłyby w każdym razie znakomitą i pożądaną podnietą do myślenia. Wszystko jednak zależy od tego, kto urządza ankietę i stawia zapytania, kto na nie odpowiada i kto ze zbioru tych odpowiedzi ma korzystać. Jeżeli pierwszym jest doskonały znawca przedmiotu, wiedzący, jak pytać z całą precyzyą i wyrazistością; jeżeli drudzy są niemniej poważnymi badaczami, którzy zgłębili do dna podaną im do rozstrzygnięcia kwestyę; jeżeli z różnolitości wyrażonych poglądów korzystać mają ludzie, niepierwszy raz spotykający się z przedmiotem, lecz sporo o nim wiedzący i wskutek tego zdolni zoryentować się w lesie sprzecznych nawet

zapatrywań, — pożytek ankiety jest niewątpliwy. Jakże tymczasem wyglądają, obchodzące nas w tej chwili ankiety gazeciarskie, które w dziedzinie rzeczy ducha — iż bractwo reporterów nie kwapi się tak bardzo do poruszania zagadnień naukowych, bo tam łatwiej się „poszpotnąć“ — skrupiły się na sztuce? Ogłaszają ankiety dziennikarze, t. j., ludzie, niemający — mimo prób zidentyfikowania dziennikarstwa z literaturą i krytyką — nic wspólnego ze sztuką, mogący się pochlubić co najwyżej przeciętnemi, „zdroworozsądkowemi“ lub *five o'clock*'owemi pojęciami o niej, czerpiący całą erudycyę z pierwszej lepszej encyklopedyi, pozbawieni wreszcie, w wirze codziennych zabiegów informacyjnych, wszelkiej wrażliwości estetycznej. Rzecz prosta, iż skutkiem tego wszystkiego nie umieją oni nawet sformułować z należytą precyzyą swego kwestyonaryusza i tą niejasnością zapytań, która otwiera drogę do wszelkich nieporozumień, wywołują częstokroć przerażający zamęt w odpowiedziach. Nietylko nie umieją wszakże; często nie chcą. Bo tu wychodzi na jaw właściwy cel tych ankiet. Idzie nie o rozwiązanie czy pogłębienie jakiejś kwestyi, lecz o ściągnięcie uwagi na dziennik, w którym o coś spierają się ludzie, oraz o rozgłos własny reportera — inicyatora ankiety. Że zaś szeroka masa abonentów woli pieprzne swary i utarczki na tle błahostek i skandalików życia codziennego, niż głębokie roztrząsania filozoficzne, więc np. p. J. Huret, prowadząc słynną ankietę w sprawie symbolizmu (które to przedsięwzięcie uczyniło go „autorem“ napisanej przez innych książki), rozpytuje ze szczególnem zamiłowaniem i perfidyą o wzajemne sądy osobiste, przyjaźnie, niechęci, zawiści, niesnaski (pyta np. Verlaine'a, czy to prawda, że zazdrości sławy Moreas'owi) — i, na dodatek, z całą bezczelnością, przybierając w przedmowie szaty wielkiego moralisty, chlubi się przed czytelnikami, że, jeśli jego ankieta nie zbogaca historyi literatury co do nowych sformułowań teoretycznych, odsłania zato kulisy duszne, wyjawia namiętności ukryte i kłótliwe obyczaje większości artystów współczesnych. — Lecz ten francuski „petit reportaillon,“ mimo całej swojej perfidyi, czuł — skutkiem zapewne wyższej naogół kultury francuskiej — że zwracać się z zapytaniami w sprawie sztuki można tylko do ludzi, którzy coś o niej mają do powiedzenia: do literatów, artystów, oraz istotnych, twórczych krytyków — a pisząc swą przedmowę dowiódł tylko, że sam, skutkiem przewagi reporterskich skłonności do intryżek i plotek, najmniej zrozumiał, jak wiele teoretycznych właśnie, głębokich uwag i zapatrywań udzielili mu zapytani. U nas te sprawy ankietowe załatwiają się z nieporównanie większą prostotą i dobrodusznością. Kwestyonaryusze roz-

syła się na prawo i lewo, nie zastanawiając się ani chwili, czy ten lub ów z zapytywanych ma wogóle cośkolwiek do powiedzenia w danej sprawie. Brak jakiejkolwiek kultury estetycznej prowadzi zresztą nieodzownie do powszechnego u nas przekonania, że w sprawach sztuki wszyscy bez wyjątku głos zabierać mogą. „Napisano bezkarnie,“ powiada Peladan: „wielkie dzieła sztuki są wielkiemi tylko dla tego, że są dostępne i zrozumiałe dla wszystkich“ — a Tołstojowski ten kąkol nigdzie może nie rozplenił się tak bujnie, jak u nas. Nikomu nie przychodzi na myśl, iż innemi słowy znaczy to: „sztuką prawą jest ta, która sprawia przyjemność ignorantom i głupcom, a literatura stosować się winna do smaku analfabetów estetycznych.“ Nawet ostateczni gruboskórcy, pozbawieni wszelkiej wrażliwości estetycznej, twierdzą z całem przekonaniem, że „mają serce“ i że, byle im dać „arcydzieło“, odczują i zrozumieją je niezawodnie. Trudno dziś zaiste znaleść człowieka, który, pytany czy niepytany, zawahałby się z wydaniem „sądu“ w kwestyach artystycznych. Mówią o sztuce doktorzy i filantropi, przyrodnicy i sportowcy, antropolodzy i „przodowi“ dandysi, bankierzy i mecenasi, dziennikarze i przemysłowcy, rolnicy i właściciele domów, księża i politycy, i cała, cała „zwarta większość“ bezimiennych głuchych i ślepych. To też sam już spis uczestników którejkolwiek z ankiet w sprawach sztuki zdumieć może nawet najbardziej przyzwyczajonego do niespodzianek człowieka, a treść odpowiedzi jest zazwyczaj takiem trzęsawiskiem frazesów, komunałów, zdroworozsądkowych bezmyślności, że jakieś przypadkowe, bardziej ważkie zapatrywanie bez ratunku w niem utonąć musi. Utonie zaś tem pewniej, że cały ten materyał, drukowany z dnia na dzień w dzienniku, idzie nie pod rozpoznanie ludzi, znających się na rzeczy i zdolnych plewę oddzielić od ziarna, lecz przed oczy szerokiego tłumu, któremu wszystko (dowcip czy gromkie hasło, brutalna krzykliwość czy zwinna retoryka, „łatwość“ stylu czy zręczne pochlebstwo) łacniej zaimponuje, niż spokojna, cicha i wszelkiej blagi pozbawiona myśl głębsza. Z rozumowej narady, z wymiany ważkich treści, ankieta staje się zatem cyrkowym popisem tężyzny głosu, bo kto lepiej krzyczy, ten zwycięża. Zresztą, inicyatorzy ankiet, niezdolni zazwyczaj do jakiejkolwiek interwencyi ideowej, zastępują to prawie zawsze epiłogowaniem statystycznem, ile głosów oświadczyło się za, ile przeciw, ile z okolicznościami łagodzącemi, i przez tego rodzaju skrutynium odbierają całej procedurze resztkę charakteru rozumowego, sprowadzają ankietę do rzędu głosowań, nibyto motywowanych, ale w których wartość lub nicestwo motywów żadnej prawie nie grają roli.

Ankiety dziennikarskie są degeneracyą zasady słusznej, która, równie od inicyatora, jak od dających odpowiedzi i od mających korzystać z zebranego materyału, wymaga warunku *sine qua non*: znajomości przedmiotu. Plebiscyt, oddający jakieś ogólne zagadnienie pod niemotywowaną, gołosłowną decyzyę całej masy ludzi, których kolosalna większość nie ma o niem najmniejszego pojęcia, jest już w zasadzie swojej nonsensem. Zasada ta streścić się da w apoftegmacie: suma milionowych niewiadomości i naiwności równa się głębokiej mądrości; — i śmiesznem jest nawet, że trzeba udowadniać absurdowość odwoływania się do wszelakich *vox populi*. Jeśli wziąć nawet rzeczy bardziej praktyczne, bardziej dotykalne, np. sprawy społeczne lub polityczne, — każdy zdaje sobie doskonale sprawę, że pierwszy lepszy *rentier*, robotnik, wójt gminy lub jakikolwiek inny członek „zwartej większości", nie może i nie zdoła decydować o ich kierunku. Natomiast wszystkim zupełnie naturalnem się wydaje, jeśli wielomilionowa suma tych samych *rentier*'ów, robotników, wójtów gmin i t. p. decyduje o zmianie formy rządu we Francyi. Co są warte rezultaty takich głosowań, stwierdziły dostatecznie nauki polityczne. Jak zaś wpływają na stan umysłów i podniesienie świadomości w tłumach, wspomina, między innymi, Flaubert w liście do Jerzego Sanda, z r. 1870: „Vous n'avez pas l'idée du degré de bêtise où le plébiscite plonge les Parisiens!"—Dziennikarze nasi, pierwsi zda się—i mogą się tym chlubić zaiste! — zastosowali plebiscyty do spraw sztuki dotyczących. Było to bardzo konsekwentne. Jeżeli ludzie, mający „serce", jako jedyną kwalifikacyę do wyrokowania o sztuce, mogą wydawać motywowane sądy w różnych ankietach, czemużby wszyscy inni, którzy prawdopodobnie mają również serce, a którym brak tylko sprytu czy odwagi do zlepienia motywów, nie mieli również prawa ferować werdyktów nieodwołalnych? Takich głosujących jest zresztą więcej, a wszak ilość to grunt. Ileż to osób zainteresuje się dziennikiem, który ogłasza plebiscyt na szampionat XIX wieku w różnych dziedzinach sztuki polskiej, ileż to osób uczuje wdzięczność za uprzejme odwołanie się do ich zdania, iluż to gapiów zaciekawi się tym nowym sportem, iluż, jednem słowem, przybędzie abonentów i czytelników! A o to przecież jedynie chodzi. Że dobry przykład działa zaraźliwie, więc zaraz ktoś inny, urządzając wystawę bardzo pięknej kolekcyi mistrzów flamandzkich i włoskich, uważa za stosowne, dla zwiększenia zapewne dochodu na „cel pożyteczny", schlebić tłumowi, pytając go o „sąd" o tych mistrzach. Ktoś inny wreszcie, ogłaszając konkurs dramatyczny, oddaje sędziom (t. j.,

prawdopodobnie znawcom) tylko rolę przygotowawczą, ostateczną zaś decyzyę co do trzech sztuk, wybranych przez *jury*, zostawia publiczności, o której nie ma najmniejszych danych, czy znawstwo jej nie ogranicza się do świadomości zabawy dobrej czy złej. Wyniki tych plebiscytów są w przeważnej liczbie wypadków tak doskonale śmieszne i tak wymownie mówią same za siebie, że zbyteczna szerzej niemi się zajmować. Natomiast zwrócić musimy uwagę na fatalne dalsze następstwa urządzania takich głosowań ludu i zachęcania do nich. Niejeden ubogi duchem, któremu na myśl by nie przyszło wydawać sądy o rzeczach, leżących po za obrębem jego pojmowania i wrażliwości, nabiera skutkiem zachęt i zapraszań, pewności siebie i zwolna przetwarza się w osła ze znanej bajki, który radził słowikowi brać lekcye od koguta. Krótko mówiąc, jest to forsowna hodowla zarozumiałej ignorancyi. Musi ona doprowadzić do takich rezultatów, jak ostatnie wystąpienie „licznego grona czterdziestoletnich prenumeratorów“ pewnego pisemka brukowego, którzy z całą bezczelnością i *bezkarnością* poważyli się nazwać wspaniały zbiór kapitalnych, pierwszorzędnych dzieł sztuki — „mazaninami“ (naturalnie „modernistycznemi“, bo to dzisiaj jest bieżącą obelgą). Z bezkarnością, powtarzamy, bo redakcya owego pisemka musiała dopiero *dowiadywać się* w kancelaryi T. Z. S. P., że Mehoffer, Ruszczyc, Stanisławski, Wyczółkowski, Wyspiański, są znakomitymi artystami, chlubą sztuki naszej, i że (co najbardziej zapewne zaimponowało i redakcyi, i tym samodzielnym czterdziestoletnim sędziom) „mazaniny“ te same „były w Wiedniu przedmiotem wysokiego uznania ze strony zagranicznej krytyki artystycznej.“ „Dowiedziawszy się“ o tem, doszła dopiero redakcya owego pisemka do wniosku, że „uwagi grona prenumeratorów są bezpodstawne“; ponad tę bezpodstawność wszakże nie znalazła ani jednego słówka potępiającego dla skandalicznej elukubracyi swoich czterdziestoletnich *wychowańców*. Bo daremne i obłudne jest rozwodzenie się w parę dni potem o potrzebie wychowywania publiczności pod względem estetycznym. Publiczność już jest wychowana. Wychowały ją plebiscyty w sprawach sztuki, oraz czcze, przewrotne komunały dziennikarskie o różnych *izmach*. Wyniki plebiscytów mają tylko jedno znaczenie: są dokumentem współczesnych smętnych upodobań Warszawy, są świadectwem, do czego ją doprowadziło to właśnie wychowanie. Zle jednak — i to jest drugie fatalne głosowań tych następstwo — że nielogiczny nimb, otaczający u nas i gdzieindziej wszelkie *voces populi*, obałamuca niedotknięte nawet zarazą tego samozadowolenia, pełne dobrej

chcące uczyć się woli, warstwy społeczeństwa i każe im wierzyć w słuszność i prawdę tych więcej, a raczej, jeśli kto chce, mniej niż wątpliwych orzeczeń.

(Konieczność wprowadzenia nowych, klasycznych dowodów i przykładów, jakie w kwestyi ankiet i plebiscytów przyniosła chwila ostatnia, zmusza nas do przeniesienia uwag o jubileuszach i rocznicach do jednego z następnych numerów.)

Tredecim.

POEZYA.

Jan Kasprowicz: — *Ginącemu światu.* Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — *Miłość.* Wydanie drugie. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Lwów. Księgarnia Polska. — *Moja pieśń wieczorna.* Lwów. Księgarnia Polska. — *Salve regina.* Lwów. Księgarnia Polska. — (*Dokończenie.*)

Ale chwila wyzwolenia już się zbliżała. Poeta, zmęczony „piekłem tego życia“, zgiełkiem walk stronniczych, pełny zwątpienia o ich celowości, pełny bólu nad ich niepoliczonemi ofiarami, targany stu sprzecznościami, pożerany przez jakieś „nieznane pragnienia, zdolne rozsadzić pierś Lucyfera lub Prometeja“, — zapragnął ciszy — i, szukając jej na wiecznie zbawczem łonie przyrody, otworzył tej wielkiej matce bramy swojej istoty, „pozwolił prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość“ (Emerson). Niezmierzone, *zanim się spostrzegł*, rozsłoniły się przed nim widnokręgi, nieprzeczuwane występować jęły na jaw tajniki, „apokalipsy świat przed jego okiem wnet się roztoczył, jasny. pełen cudów, o jakich przedtem nie marzył“ — i dusza gwałtownie zrywać się jęła do jakichś nieśnionych dawniej lotów. Ale „śmiertelny, w nieszczęśliwych tłumie wychowany człowiek, kroczący przez głuszę ciemnego żywota — czyż umie przyjąć bez lęku to, co jest przeczeniem dotychczasowego bytu?“ Wszystko, co dotychczas, mocą nawyknienia czy przekonania, światem było poecie, cała cielesna ograniczoność, wszystkie ciasne altruizmy, wszystkie zdroworozsądkowe pojęcia, wszystkie widma przeszłości (bo już tylko widma pod nowemi niebami, ale zato tem zajadlejsze), czepiły się kurczowo skrzydeł wyzwalającej się duszy, chcąc ściągnąć ją z powrotem do swej ciemnicy. I wszczęła się tragiczna walka wnętrzna, której dzieje opowiada, a raczej daje odczuć cykl poematów, noszący tytuł: *Miłość.* Szczególna, niezwykła to książka, ukrywająca w sobie, podobnie jak

Faust Goethego, dwie treści jednocześnie. Uczucie, wyrażone w tytule, fabularną i architektoniczną jedynie odgrywa w niej rolę. Mamy przed sobą szereg różnych *faktów*, różnych komplikacyj życiowych z dziedziny miłości, ale jej istoty, jej głębin, które poeta, nieco później, z taką potęgą, z takiem jasnowidztwem, odsłonił w *Salome*, tutaj nie szukać. Istotnem ideowem wnętrzem jest (świadczą o tem nawet usunięte w 2-em wydaniu, a dziwnie ironicznego nabierające dziś posmaku przedmowy do dwóch pierwszych rozdziałów) odzwierciedlenie własnej duszy poety w przełomowych chwilach jakiejś gwałtownej *Umwertung aller Werte*, jakiegoś zupełnego przemienienia ode dna, — a kolejne postacie, obrazy i cała epicka strona poszczególnych części poematu to tylko symbole, punkta ogniskowe, w których się zbiega wszystko, co wówczas było duszy tej treścią. Oto naprzód *l'Amore desperato*, rozdzierający psalm niewypowiedzianej udręki, śmiertelnego bólu nieodwołalnych rozstań z czemś, co było nam wszystkiem, co okazało się złudą, co przeklinamy i błogosławimy zarazem. W przebrzaskach nowych widnokręgów, rozwiały się, w grobie legły bez powrotu miraże szczęścia czysto ziemskiego. Poeta wie już, że szczęścia w nich nie było, że na błędne dzięki im zaszedł manowce, — a jednak głosem sentymentu, głosem wspomnień, głosem żalu za wszystkiem, co mija, przemawiają one tak potężnie do jego cielesno-uczuciowych pierwiastków, że zdaje mu się, iż rozstania tego nie zniesie, i rozpacznie przyzywa Śmierć, „bolejących bytów, złamanych jestestw zbawicielkę.“ Jednocześnie wszakże, nieświadomie szukając ukojenia, „pieści się formalnie“ z przyrodą, jakby w przeczuciu, że w jej świętym ogniu dusza „jak drogi metal z żużli się oczyści.“ *Miłość-Grzech* to walenie się doktrynalnie ciasnych lub powierzchownych ideałów — i, jak poeta tłómaczy w przedmowie, świadomość winy, że się wiarę w nie utraciło, a jak raczej wynika z przebłysków nieświadomych w samym poemacie, skrucha bolesna za grzech, że się młodą, prostą, szczerą, wiośnianą duszę przemijającym zaprzedało formułkom. W *Amor vincens*, po zerwaniu z dawnemi bóstwami, obłąkane miotanie się duszy, która już przeczuwa nowe cele i drogi, ale w rozbiciu swem i rozbolałości jeszcze wyraźnie dostrzedz ich nie może; potem nagłe zstąpienie „Ciszy, co w jeden środek skupia władze ducha,“ i przeczucie jedności, jaśni wnętrznej, z której rodzą się pieśni „wonne, jak kwiat ten, który lipy wieńczy, słodkie jak miód ten, co mieszka w tym kwiacie, silnej jak napój, gdy ten miód rozcieńczy grzybek fermentu...“ Aż nareszcie pękają ostatnie więzy, dusza otrząsa ostatnie strzępy ograniczoności cielesnej — i w zakończającym książ-

kę cyklu pieśni *Z gór*, tej na pozór idylli miłosnej na tle tatrzańskiem, stajemy olśnieni przed bezdennem misteryum ducha. Dusza poety, oczyszczona, wyzwolona, „od bluszczów wiotsza, pnie się, płonąca cała, około pragnień drzewa, co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga,“ rozpływa się jak kropla „w płynących dalach“ wszystkości, a jednocześnie staje się jak gdyby ich ogniskiem: bory w niej szumią, siklawy huczą, żleby gadają odwieczne tajemnice, skały pierwotnemi, runicznemi rozdźwiękają hymnami. Wszystko wkoło ożywa, wszystko jest jej tak blizkie, bratnie, wszystko jest nią i ona wszystkiem, przestwór cały i ją z nim razem wypełnia „przeszywający do szpiku kości, odwiecznych dum miarowy, pełny i rozciągły ton.“ Tajemnicze, prześwięte, mistyczne zaślubiny duszy poety z duszą wszechświata! Zlanie się wszystkiego takie ostateczne w jedni bezwzględnej, że nikną przeciwieństwa, różnice, że blaski dźwięczą, tony świecą, że wyodrębniająca zbytnio „szorstka ciała tkań“ nieznośnym duszy wydaje się ciężarem, że pozostaje tylko uczucie nieskończonej, nieustannej wibracyi świetlistej, wiekuistego ruchu, niezmiennej istoty wszechbytu.

Niezwykła książka, powtórzymy o całości cyklu. Nierówna, niepewna, tu i owdzie przeładowana scholastyką lub retoryką (części II i III), gdzieindziej niepozbawiona sentymentalnej frazeologii. Przyczyniły się do tego niewątpliwie owa pozorna treść i stosowana do niej architektonika poematu. Z drugiej zaś strony, świeży rozbrat z dotychczasowemi sferami życia i jak gdyby ocknienie się duszy w zupełnie nowym świecie (które dałoby się przyrównać do nagłego, zdyszanego wynurzenia się na bezbrzeżną, słoneczną powietrzność po długiem nurkowaniu pośród zwierzokrzewowych gąszczów, skalisk i ciemni podwodnych) — nie mogły sprzyjać doskonałym, harmonijnym, jednolitym wcieleniom. Ale za to, jakaż bezmierna pełnia ducha, jakie kolosalne, niesłychane jego podniesienie bije ze wspaniałej, organowej symfonii *Przy szumie drzew* (porównałbym ją tylko z Cullen Bryant'owską *Thanatopsis*) i z rozsianych po całym noszącym nazwę *W turniach* poemacie, ekstatycznych, buchających niby pióropusze białych płomieni, dytyrambów. Nie mamy czasu myśleć o szczegółach, o niedoskonałościach, odchodzimy cali drżący, pod wrażeniem, że jakiś podhorebowy czy synajski musnął nas podmuch.

Z tej strony grobu wszakże, póki „szorstka ciała tkań“ obleka duszę, ekstazy takie wniebowstępne, wyzwolenia takie absolutne trwać mogą okamgnienie zaledwie — i poeta zstąpić musiał z czarodziejskiej wyżyny niewysłownych widzeń i czuć. Straszliwy był to

descensus Averni: ze „świadomości jasnej bezkresowego bytu“ na ciasne i obłędne zmysłów manowce, z harmonii wiekuistej w zamęt przemijających dążeń i zabiegów ludzkich, z wolności w więzy ciała, z nieskończenia w ograniczoność, ze światłości w mrok. Pierwsze wrażenia tak gwałtownych przełomów muszą być, z natury rzeczy, niedogłębione, ogólnikowe, chaotyczne — i takie też ich notacye znajdujemy w lirycznych częściach *Krzaka dzikiej róży.* Poeta nie może się naprzód oprzeć czysto osobistym uczuciom, „w ciemności schodzi dusza moja“ — woła z rozpaczą, przeklina wampira dawnych, czysto ziemskich „ideałów“, który mu tak długo „ssał drogi szpik“ tej duszy, wzdycha i tęskni do „rozśpiewanego, szumiącego lasu,“ do „rozmiłowanych, roztęsknionych“ tatrzańskich cisz wieczornych, przez pamięć, że oneto nadziemskie zbudziły w nim pragnienia i na błogosławiony ów zawiodły go Tabor. Potem, jakby w obawie, by niedawne wspomnienia nie ścimiły się i nie zblakły, próbuje narzucić w najogólniejszych zarysach dzieje olbrzymich wnętrznych swych metamorfoz, dzieje wędrówki ducha, co „zrzuciwszy brzemię ciał, zawisł nad przepaściami, jak blask słoneczny“ i znowu, „przebywszy dziwną drogą, do ciał powrócił“, — ale zdobywa się tutaj tylko na jęk, iż „na ziemię bożą wielki upadł cień“, iż „w wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz“, i na wyrazy bezmiernego współczucia dla „świata nieszczęśliwego, ziemi łez, kraju pogrzebnej pieśni“. Niekiedy tylko jakiś błysk nieświadomy zaznacza, że beznadziejna nędza świata nie jest losem nieszczęsnym jedynie, lecz i winą także, że za wyrzeczenie się celów wiekuistych, za „śmierć życia“, życia prawdziwego, dusznego, granice ziemskości przechodzącego, za postawienie nad wszystkiem „strasznego dla duchów ogromu ciała“, jakiś nowy, przerażający „dzień ów, dzień gniewu“ popędzi wieki na straszny sąd. Mamy tu wszystkie zarodki późniejszych gigantycznych natchnień poety, ale tylko zarodki, przeczucia, widma bez wyraźnych zarysów, skry świetlne wybłyskające w półzmierzchach przedstworzennego zamętu. Dopiero gdy ten uciszać się zaczął, — cały bezmiar nowej, nieogarnionej, zaświatowej treści przesiąkł zwolna w świadomość zmysłową, powiązał się lub stoczył walkę z istniejącemi już tam pierwiastkami i po fermencie olbrzymim znalazł jedyne, ostateczne równoważniki myślowe, słowne i obrazowe. — I zrodziły się w pełnych już, wyrazistych, a zupełnie nowych, absolutną własnością poety będących postaciach i wcieleniach: poczucie wiekuistego rozdarcia wewnętrznego w jestestwie ludzkiem, wiekuistego rozdźwięku między metafizycznemi pragnieniami jedni, nieskończenia a instynktami ciasnej,

przemijającej indywidualności cielesnej, — oraz poczucia tego następstwo i wyraz — Ból i Tęsknota. Ból — nie wyczerpań, nie zwątpień, nie rozkładu, lecz mocy, „co wśrod smutnych idzie pól chmurnie, groźnie i stanowczo, by stracony zdobyć świat“, ból, „który sam jeden wszechmocny posiada głos, który sam jeden rozpieśnia duszę słabego człowieka w natchnioną pieśń, zapładniającą światy“. Tęsknota tragiczna, „zabójcza, pożerająca“, ale zarazem stanowiąca najistotniejszą cechę człowieczeństwa, „kielich goryczy, z twardej wykowany miedzi, który przemienia się w alabastrową czarę, pełną słodkiego napoju wieczności, i przepełnia swą wonią duszę biednego człowieka“. Oto dno całej odtąd twórczości Kasprowicza, oto najwewnętrzniejsza treść takich, między najwyższemi arcytworami ducha ludzkiego stanąć mogących poematów, jak „Na wzgórzu śmierci“, „Moja pieśń wieczorna“ i „Salve Regina“, oto źródło tych innych, mniej ważkich może lub nietak skończenie doskonałych, ale co chwila objawiennemi płomieniami rozbłyskających pieśni „Święty Boże“, „Dies irae“, „Salome“, „Hymn św. Franciszka z Assyżu“, „Judasz“ i „Marya Egipcyanka“.

Chronologicznie pierwszym był dramat metafizyczny „Na wzgórzu śmierci,“ zamykający potężnym, przejrzystym akordem zmagania się duszne w cyklu *Krzak dzikiej róży*. Jakby przez ekspiacyę za poroniony ongi „poemat społeczno-religijny“ o Chrystusie, za obniżenie wiekuistych nadziemskich Idei do poziomu doktryn przemijających, — poeta, po tem odrodzeniu i przemienieniu wnętrznem, podjął, przedewszystkiem, raz jeszcze temat tragedyi golgockiej. Ale jakże inaczej zarysowuje mu się on teraz! Krzyż nie na pod-jerozolimskiem „wzgórzu śmierci,“ lecz na niedostępnej jakiejś zda się królować wyżynie, w magicznych ciszach najwyższych Dokonań, a niby dokoła niego, lecz tak nieskończenie odeń daleko, trzy światy, lub raczej trzy stopnie świata ludzkiego zwierciedlą w różne sposoby przełomową Ofiary chwilę. Jak gdyby jakiś olbrzymi fresk Orcagni o czterech kondygnacyach. Najniżej, mistrzowsko uwydatniony w barwnym, rodzajowym obrazie tłuszczy towarzyszącej boskiemu skazańcowi na miejsce kaźni, świat zmysłowy: panowanie instynktów, rozpasanie żądz, zbestwienie złości i nienawiści, królestwo bezmyślności lub obłudy, szulerska gra w liczmany „ideałów,“ powoływanie się bezwstydne na wieszczów i proroków, bluźniercze przyzywanie Boga na pomoc i niejako do spółudziału w swych chuciach i nienawiściach. Niebrak i dodatnich napozór czynników: „przekonań,“ „wiar,“ „patryotyzmów,“ „zdrowych rozsądków,“ „uczoności,“ chwiejnych, małostkowych „dobroci,“ — ale wszystko to pla-

skie, płytkie, przyziemne, krótkowzroczne, i skutkiem tego równie do dobra, jak do zbrodni doprowadzić zdolne. Jednem słowem, poziome targowisko ludzkości, która zapomniawszy o celach wiekuistych, *propter vitam vivendi perdidit causas.* Wyżej, ponad niemotą tego zgiełku, ponad martwotą tego życia, — świat ducha na ziemi, świat myślących, czujących, pragnących, wyrywających się poza widnokręgi zmysłowe, wzbijających się i opadających znowu, *ecclesia militans* ducha w walce z ograniczonością cielesną, świat tych nielicznych, dla których życie ziemskie jest nie celem, lecz środkiem tylko, zobrazowany w przepięknej platońskiej rozmowie dwóch filozofów, greckiego i żydowskiego. Jeszcze wyżej, nawet dla tych nielicznych wybranych niewidzialny i tylko niekiedy w przeczuciach niejasnych wiedzieć o sobie dający, świat tajemny, świat metafizyczny, świat symbolu, jak gdyby odsłonione i w dwoistości swej upostaciowane wnętrze istoty człowieczej na ziemi, wiekuisty dyalog duszy i ciała. Bo Lucyfer u Kasprowicza to nie żaden luby ckliwym satanistom literackim, groźnie piękny i pięknie smutny, dumny, otwarty i pewny siebie wróg dobra, współzawodnik Boga, rodziciel buntowników twórczych, „mszcząca potęga rozumu" (forza vindice de la ragione), to raczej niewolnik, co zerwał się z uwięzi i chce panować „równy przy równym," to podstępny fałszerz, umiejący działać tylko kłamstwem i złudami jakichś pozornych *infinis de la chair,* to nędzarz, który, kusząc, nawet Chrystusa, nie ma nic do obiecania prócz marnych, przemijających bogactw i rozkoszy ziemskich, to pierwiastek ciała, materyi, ograniczoności, to instynkt znikomej, doczesnej, przeciwstawiającej się nieskończeniu indywidualności człowieczej. Jest on kochankiem „duszy wygnanej z raju," t. j., duszy wcielonej, ma nad nią „nieprzemożoną władzę," bo wlewa w nią wiarę, że przy nim dopiero, t. j., w uzewnętrznieniu cielesnem, „światło dane jest jej oczom, ruchliwość jej stopom, moc jej głosowi, świeże barwy sinemu lic jej płótnu," i że w dali od niego, czyli rozstawszy się z ciałem, byłaby „niema, ślepa, nieruchoma," zdolna tylko do straszącego żywych w miesięczne noce jęku, do błądzenia, do upadku. Nie ufa jednak sam w moc swej władzy, pyta wciąż duszy, czy w niego wierzy, a gdy ta, po spełnieniu się tragedyi golgockiej, zwątpiała, zrozpaczona mniemanem zgaśnięciem nadziei, która przed chwilą już ją wyrywała z objęć kłamliwego kochanka, rzuca się w nie napowrót,*) słyszymy raz jeszcze jakiś trwożny, błagalny, niepewny, czy długo potrwa to pod-

---

*) A nie znaczy to bynajmniej „spazmu miłości," „osobistej, wątłej pieszczoty," jak ze śmieszną wprost literalnością zrozumiał jeden z krytyków, lecz powrót do życia

danie się, wykrzyk Lucyfera: „Duszo! duszo! duszo!“ I finał ten otwiera perspektywę jeśli nie na jakiś przyszły tryumf ducha, to w każdym razie na możebność i nawet pewność dalszej walki... Takie pojęcie szatana, najbardziej, nawiasem mówiąc, zbliżone do prastarych tradycyj wiedzy tajemnej, musiało zbić z tropu amatorów bohatersko-pozerskiej demoniczności. Szatan Kasprowicza był dla nich niedość „strasznym“ i takim pięknym, że wydala im się zbyteczną „obawa przed jego knowaniami,“ w które nawet „tak bardzo uwierzyć nie mogli.“ Ponętny on, istotnie, i uroczy, jak ponętną i uroczą jest sfera cielesno-zmysłowa z jej liniami, kształtami, barwami, światłami, tonami, aromatami, ale straszny, straszniejszy niż w jakichś specyalnych, teatralnych atrybutach grozy, właśnie dla tego, że wślizguje się niepochwytnie, że, nim się spodziać można, zmusza do kochania siebie, że skutkiem tego przykuwa do rzeczy przemijających, a zasłania oczom duszy wiekuiste. Szatan u Ropsa miażdży ironią i brutalnością, bo w dziedzinie płciowości absolutnym jest panem. W szerszej daleko koncepcyi Kasprowicza, bywają chwile, że szatan drży, by dusza się nie wyzwoliła, a on nie wrócił w pęta niewolnika.

Potężna i głęboka ta treść filozoficzna, znikąd niezaczerpnięta, lecz wyczuta intuicyjnie przez poetę, musiała, z chwilą uwyraźnienia się ostatecznego, przybrać i kształty jedyne, doskonałe. Przedziwną jest architektonika poematu, gdzie zasadniczo różne trzy światy: widziadlany, intelektualny i realno-zmysłowy, przewijają się i splatają nieustannie, nietylko nie przeszkadzając sobie wzajemnie, lecz przeciwnie, harmonijnym wydźwiękając akordem. A każdy z nich ma jednak niesłychanie intensywny, własny ton i charakter: przeciągła żałosna psalmodya nawoływań, skarg i westchnień duszy przeciwstawia się lapidarnemu dyalogowi dwóch myślicieli; ten znowu odbija, niby czysto liniowy rysunek, od jaskrawych plam, któremi poeta odmalował zgiełkliwą tłuszczę. Ogromna prostota linij i ekonomia szczegółów, niesłychana acz szlachetnie powściągliwa potęga ekspresyi, język wreszcie tęgi, soczysty, a giętki i podatny, — uzupełniają tamte cechy i składają się na jedno z najbardziej *nieomylnych* wcieleń poetyckich — nietylko w naszej literaturze.

Dalekiem echem ozwał się u Kasprowicza raz jeszcze ten sam

---

czysto ziemskiego z odrzeczeniem się tęsknot i pragnień metafizycznych, do zadowalania się dostępną zmysłom „rzeczywistością,“ do poziomej *joie de vivre*, „której nie spłoszy żaden syn boży,“ żadna Idea, żadna — jak się dziś mówi — mrzonka metafizyczna, żaden wzlot zaświatowy.

temat dwoistości natury ludzkiej w późniejszej znacznie *Maryi Egipcyance.* Echo to wszakże już czysto uczuciowe: niemasz tu filozofii, niemasz symbolicznego postaciowania dwojakich pierwiastków duszy ludzkiej. Tylko „biedna grzeszna Maryja" wędruje przez świat niezmordowanie za widziadłem, za wieścią głuchą, za czemś, czego zmysły znaleźć nie mogą. I przemagają instynkta cielesne, i zapomina o swem zaświatowem pragnieniu, i oddaje się cala życiu, żądzom, rozkoszy, i znowu porywa się, oszalała tęsknicą niewysłowną, i znowu upada, i kaja się, i bluźni, i wlecze się znowu z rozpaczą i skruchą wśród nędzy i skwaru, i chwieje się tak życie całe, i nie znajduje ukojenia — aż w śmierci. Przedziwna ta, w prostocie, naiwności i gorącości swej, elegia nostalgiczna przechodzi pod koniec w płomienny, wizyonerski, ekstatyczny dytyramb pragnienia metafizycznego, tak potężnego, że przemaga ono nawet reakcyę cielesności, zwycięża Lucyfera i porywa go z sobą ku sferom nadzmysłowym. Ten rys ostatni, w tajemniczości swojej, zbiega się z inną głębią magiczną, którą poeta, w *Salome*, intuicyjnie zapewne odsłonił w najdemoniczniejszem rozhukaniu *cielesnej* żądzy kobiecej, że, mianowicie, zdolna ona „płomiennym mieczem swej potęgi rozżedz do wieczystego płomienia" *duszę* mężczyzny i dać jej moc „wieszczenia spraw będących ponad istnieniem."

Święty Boże i *Dies irae,* ogłoszone wkrótce po *Wzgórzu śmierci,* oraz późniejszy znacznie *Judasz*, ustępują bardzo pod względem pełni, głębi i przejrzystości tamtemu arcydziełu. Może w owym wielkim fermencie nowej, zdobytej w chwilach ekstaz nadzmysłowych, jasnowidczej świadomości z pierwiastkami dawnej świadomości zmysłowej przemogły chwilowo te ostatnie. Albo też może poeta pod jakiemiś niefortunnemi wpływami chciał „rozlewać się nazewnątrz, zamiast skupiać iześrodkowywać wszystko w sobie"; może, nie zadowalając się odsłonięciem dna duszy własnej, która przecież w najgłębszej swej głębi identyczna jest z duszą wszystkości, zapragnął jakiegoś bardziej objektywnego odtworzenia nędz, bólów, jęków, przerażeń całej ludzkości; może — w *Święty Boże* i *Dies irae* — nęciła go poprostu parafraza starych tych hymnów, uzupełniona i wzmocniona odczutemi potężnie stanami wnętrznemi śpiewających czy słuchających. Może nawet wszystko to działało jednocześnie, wytwarzając zamęt, niepewności, sprzeczności, powierzchowne przejścia i płytkie rozwiązania. Dość, że pieśni te, mimo porywających, rzadkiej mocy ekspresyj (dla których, zda się, *Święty Boże* i *Dies irae* przyćmiły nawet w oczach szerszych warstw czytelniczych poemat *Na wzgórzu śmierci*), mimo błyska-

wicznych, objawiennych rozsłonień się ku dalom i głębiom bezdennym, — w całości są chaotyczne, mętne, pozbawione wielkich, szlachetnych linij, i zdają się brzmieć nie z owych pozazmysłowych wyżyn ducha, do których poeta już zdążył nas przyzwyczaić, ale gdzieś u poziomów, pod niższemi, ciaśniejszemi niebami.

Na szczyty, i to najwyższe, wprowadzają nas z powrotem „cudotwórcze, majestatyczne dźwięki“ *Mojej pieśni wieczornej* i *Salve Regina.* W ciemnych barwach, w posępnie krwawych oblaskach tonie jeszcze uroczysta pierwszej medytacya. Ale w rozmodleniu wieczornem tych samych turni, na których poeta przeżył „złoty, lazurowy, słoneczny dzień“ ekstaz i uniesień najwyższych, wielkie zstępuje nań uciszenie. Jakieś dalekie, dalekie echa „przyczołgują się w duszę.“ Na mrocznem tle wizyj „ginącego świata,“ jasnemi arabeskami przewijają się tęskne, rzewne zwrotki chłopięcych lub nad kolebkami nuconych piosenek „o tej radości, o tem weselu, o tem cudownem, ukrytem zielu, które na smutek słodkie ma leki.“ Między wybuchy bólu, buntu, zwątpienia wplatać się zaczynają zapomniane wiary i uczucia „pokornej, cichej, nieskalanej duszy“ młodzieńczej. Smierć nie jest już przerażającym, rozhukanym kościotrupem, lecz widmową, lekką, cichą postacią, idącą „z dziedziny, gdzie miłość i spokój nie są ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennem, ślepem przerażeniem.“ Siostra to już prawie ukochana z *Hymnu św. Franciszka,* wybawicielka, przez którą człowiek staje się szczęśliwym uczestnikiem nieśmiertelnego żywota.“ I ból zmienia się w zbożną rezygnacyę, bunt — w skruchę mężką. „Świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie.“ Wszystkie te głosy, niby w fudze potężnej, przebiegają różne tonacye, dościgają się i luzują wzajem, a na dnie ogólnej ich harmonii majaczy jakby przeczucie nowego głosu, jeszcze nieużytego, ale który wyraźnie brzmi już w duszy twórcy, — głosu wyzwalającej, zbawczej, zwycięzkiej Tęsknoty. — Nadziemskim, tajemnic pełnym hymnem *Salve Regina,* na lutniach i harfach „naciągniętych na tony wieczyste,“ przesłodkim i bolesnym zarazem, tragicznym i weselnym, pogrzebnym i zmartwychwstannym, — pozdrawia poeta tę Panią świata, tę odkupicielkę, przez którą wąż, co przyniósł na ziemię śmierć, i lęk, i rozpacz, został podeptan na wieki, tę „druchnę bożą,“ wiodącą światy „niby na wielki bój, w którym się wszystko ma złamać, co było Życia wielkiego przeczeniem.“ Boleśnie, tragicznie brzmi pieśń, bo straszliwie człowiek łamać się musi, przemódz całą cielesność, poznać nędzę wszystkiego na ziemi, „nędzę miłości i nędzę cierpienia,“ — aby wianek oliwny na skroni samotnej jego tęsknoty w promienny

gwiazd przemienił się wieniec, aby kielich goryczy w jej ręku wionął wonią słodkiego napoju wieczności, aby czarny krzyż bólu na jej wątłych ramionach w skrzydła się zmienił anielskie i uniósł ją „ku blaskom, lśniącym nad nocy głębiami, ku onym dusz milionom, o których tutaj dawno zgasła wieść.“ Ale gdy to się stanie — i tu poeta w weselne, tryumfalne uderza dźwięki, i wszystko tonąć zaczyna w smugach ognistego złota, w bielach liliowych, w promienistościach niebiańskich — tęsknota przestaje być samotną, indywidualną, staje się wieczystą bytu Tęsknotą, a pieśń, którą pośród miliona dusz śpiewa z białą lilią u łona,

nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń,

i wszystko ogarnia w jedni bezgranicznej,

i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień,
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którem ludzkie nie słyszało ucho.

Najwyższe te, niemateryalne już prawie koncepcye ujawniają się u Kasprowicza w tak przejrzystych i wyrazistych wizyach, że drugi przykład podobnie nieprawdopodobnych wcieleń mógłby się znaleźć chyba w niektórych pieśniach *Raju* Dantejskiego lub w *Widzeniach* św. Teresy. O *Salve Regina* i o *Wzgórzu śmierci* studya by całe pisać można; na tem sprawozdawczem miejscu, z konieczności do najogólniejszych uwag i zaznaczeń musieliśmy się ograniczyć.

Słów tylko jeszcze kilka o formie najzewnętrzniejszej. Kasprowicza zajmowała zawsze bardziej muzyczna strona wiersza, niż plastyczna. Jest w tem nieco dziedziczności plemiennej, ale też i wyraźna skłonność osobista, skoro nie dał się pociągnąć współczesności naszej, zaniedbującej bardzo często rytm, tę, rzecby można, istotę poezyi, na rzecz plastyki lub wyrazistej ekspresyi. W dawniejszych utworach korzystał przeważnie z bardziej znanych strof i całkowitych postaci poetyckich — i trudno przytoczyć jakąś, którejby

nie próbował lub nie przekształcał po swojemu. W *Miłości* wszakże dopiero, poprzez oswobodzone od podziału na strofy rytmy kanconowe, doszedł do najlepiej, zda się, odpowiadającego mu wiersza wolnego *(vers libre)*, w którym rządzi już wyłącznie rytm, tak się mający do podziałów na stopy, części i t. p., jak rytm w muzyce do do taktu. Tym wierszem, w cyklu *Z gór*, osiągnął prawdziwe cuda — i pierwszy po Asnyku, który oddał całą plastykę Tatr, stworzył z tegoż tematu coś nowego, mianowicie, muzyczną ich transpozycyę. Asnyk odtworzył ogrom, brzemię, materyalność gór naszych, Kasprowicz ich linię, ich ruch, ich darcie się czy wzbijanie w górę. Zwracamy uwagę na jeden choćby ustęp o juhasie, rzucającym ze skraju krzesanicy radosny wykrzyk: o haj! Cała dusza Tatr w małym tym urywku. — Kasprowicz nie porzucił wcale regularnych form poetyckich przez niechęć do „barbarzynskiego zabytku skostniałej poetyki klasycznej“ (jak mu w banalnie nowatorskim frazesie imputował jeden z krytyków). Jeżeli zaczął pisać wierszem wolnym (nie białym, jak sądził tenże krytyk), to dla tego, że on mu w danej chwili bardziej od innych odpowiadał. Nie zarzekał się jednak bynajmniej starych form, powracał do nich niejednokrotnie (w tejże *Miłości*, w *Krzaku dzikiej róży*), wymagając od poezyi czegoś innego niż prostego odróżniania się od poezyi poprzedników. Ostatnie swe poematy pisał czysto rytmicznym, tu i ówdzie rymowanym, gdzieindziej asonansowanym, jeszcze indziej zupełnie białym, a tak bezwzględnie wolnym wierszem, że nie chciał sobie nakładać nawet jarzma obowiązkowej nienawiści do starych form i, gdzie mu było potrzeba, używał ich z całym spokojem (np. w hymnie do Boga w *Mojej pieśni wieczornej*, albo nawet w całej *Maryi Egipcyance*). Ważniejsza rzecz, iż modyfikował i reformował ten swój wiersz wolny — i od prostej melopei w cyklu *Z gór*, i nawet w niektórych ustępach *Wzgórza śmierci*, przeszedł do tego, co nazwałbym orkiestracyą całości poematu. Byłby to znowu ciekawy przedmiot do szerszego rozbioru, w którym mogłoby się okazać, że hurtowne podciąganie inowacyj Kasprowicza pod rozwiązujący jakoby wszystko wpływ wagneryzmu, jest — co najmniej — zdawkowym frazesem. Na razie jednak musimy się zadowolić prostem stwierdzeniem, że, po pewnych niedoskonałościach przy pierwszych krokach, tem bardziej uderza mistrzowstwo skończone w dalszych utworach, a zwłaszcza w *Salve Regina*.

Miriam.

POWIEŚĆ

Wł. St. Reymont. *W jesienną noc.* Warszawa. Nakł. Gazety Polskiej. — St. Przybyszewski. *Na tym padole płaczu.* Warszawa. Fiszer. — St. Przybyszewski. *Homo Sapiens. Na rozstaju.* Lwów. Księgarnia Polska. — Adolf Dygasiński. *Łabędzia woda.* Warszawa. Mieczyński. — A. Dygasiński. *Margiela i Margielka.* Warszawa. Fiszer. — *Nowele*, przez Janinę Baudouin de Courtenay. Warszawa. Br. Natanson. — Mieczysław hr. Piniński. *Szkice z życia wiejskiego.* Lwów. Altenberg. — Jan Augustynowicz. *Pociągnięcia pendzlem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Stefan Krzywoszewski. *Zmierzch.* Petersburg. Grendyszyński. — St. Krzywoszewski. *Pani Jula.* Warszawa. Bibl. dzieł wyb. — *Wybór nowel francuskich.* Przekład Jana Lorentowicza. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Rudyard Kipling. *Księga Dżungli.* Warszawa. Wł. Okręt. — Multatuli. *Osobistość jego i wybór pism.* Podług W. Spohra, opracowała M. Feldman. Warszawa. Wydawnictwo Przegl. Tygodn. — Ant. Fogazzaro. *Malombra.* Przekład Szeta. Bibl. dz. wyb. — M. Mutermilch. *Ironia.* Kraków. Skł. gł. Gebethner i S-ka. — M. Rodziewiczówna. *Błękitni.* Warszawa. Bibl dz. wyb. — Jan Mieroszewicz. *Zginęła głupota!* Warszawa. Dubowski. — S. M. Roguski. *Mąż i pan.* Tamże. — N. Bardzka. *Utopista.* Warszawa. Sadowski. — J. A. Hertz. *Z teki wrażeń.* Kraków. Gebethner i S-ka. — Teodor Jeske Choiński. *Trubadurowie.* Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Artur Gruszecki. *Na wyścigach.* Tamże. — Artur Gruszecki. *Większością.* Tamże. — Artur Gruszecki. *Zwyciężeni.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Artur Gruszecki. *Nowy obywatel.* Tamże. — Knut Hamsun. *Wiktorya.* Przekład M. Cumpft-Pieńkowskiej. Tamże. — Rene Bazin. *Rodzina Oberlé.* Tamże. — Trzaska. *Panna Żabińska.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

W jesienną noc, przez Wł. St. Reymonta. — Zbiorek ten, szczupłych rozmiarów, zawiera całe ogromy treści, królewski, swobodny przepych nastrojów — i znaczy w twórczości artysty godzinę wyższego uświadomienia, tę, która „chwile przedłuża“ i „iskry rozpala“ w przeciągle błyskawice widzeń Bezkresu. — Składa się nań ośm zwięzłych utworów, niektóre wartości pierwszorzędnej. — Wyrywa się z nich z ostateczną jakąś potęgą zasadniczy rys organizacyi ich twórcy: elementarna bezpośredniość czucia, bezustanna i rwąca wymiana życia między jego duszą i duszą świata, dochodząca niekiedy aż do zniesienia wszelkich granicznych osłon i podziałów zmysłowych i pojęciowych — aż do zupełnej jedności jakiegoś bajecznego, wieczystego odmętu, którego rozedrganą stubarwność chwyta źrenica autora z żywością i niezdumioną prostotą dziecka. — Pod względem zewnętrznym uderza niewidziane u niego dotychczas skupienie, dostojność twórcza, gardząca łatwem wirtuozowstwem, doborowość szczegółu *koniecznego,* linia mocna, pewna i wstrzemięźliwa, — wreszcie styl magicznie ujarzmiony, doskonale giętki, posłuszny w każdym swym załamie wibrującej bez wytchnienia wyobraźni. — „W jesienną noc“ i w „W porębie“ są obrazami chłopskiej gehenny, pełnemi tęgiego epizmu, grozy i dławiącej melancholii. — W „Legendzie Wigilijnej“ posęp spleenowy ustępuje miejsca osobliwemu humorowi,

w którym głębszy, filozoficzny prawie uśmiech z upodobaniem szkicuje chłopską dobroduszną finezyę. „Przy robocie“ ma w sobie grozę i wiekuiste znękanie piekła i olśniewa błyskawicami wprost wizyonerskich szczegółów. — „Krzyk,“ — sen róż i krwi, zrodzony z szumu morza w żar południowy, — tajemniczy, ociężały wykwit miłości, chaosu boleści i upojeń nienazwanych. — „W głębiach“, epizod z czasów cezaro-chrześciańskich, ma rozmach, koloryt i pewność linii znakomitego szkicu i jest jakby utrwaleniem mar, błądzących pustkowiem Kampanii Rzymskiej. — Lecz pozostałe dwa utwory: „O zmierzchu“, niewysłownie piękny, rozdzierający dramat konania, i „Venus“, synteza Idei i chaosu w postaci huraganu pustoszącego park z posągami bogów, — są już wprost wspaniałemi w swej zwięzłej całkowitości, w swem kwintesencyonalnem skupieniu, w swym wielorakim i bezpośrednim symbolizmie, poematami Życia i Śmierci, dziełami najczystszego natchnienia, tych wniebowzięć ducha, w których twórca, panując nad zasadami zjawisk, zjawia się w Prosperowej chwale czarodziejstwa.

Na tym padole płaczu, przez Stanisława Przybyszewskiego. — Jedna z najpiękniejszych (wraz z „Nad morzem“ i „W godzinie cudu“) symfonij poetyckich tego artysty, wolna od późniejszej maniery, bezwzględnie szczera w swym demonicznym locie po nierozerwalnie zaślubionych ziemi i zaświeciu. — Nieodżałowaną krzywdę wyrządziły jej: tłómaczenie, niedbałe zarówno w równoważnikach słowa jak rytmu, — oraz częste i nieusprawiedliwione zmiany tekstu, wskutek czego oryginał niemiecki uległ osłabieniu. — Lichość jednak przekładu (domagająca się nowej próby) nie zdołała całkowicie zgłuszyć tego przejmującego psalmu, ani zgasić przepychu tej olbrzymiej tęczy tęsknoty, rozszczepionej na wszystkie swe barwy, od najbardziej gwiaździstego lazuru wszechmarzenia, aż do najczarniejszych fioletów zmysłowo rozpasanej żądzy.

Homo Sapiens. Na rozstaju, przez St. Przybyszewskiego. — Pierwsza z trójcyklu i najmniej dobra powieść autora. Wogóle powieść, jako forma twórczości epiczna, nie odpowiada nawskroś lirycznemu temperamentowi artysty, który odnajduje swój żywioł rodzimy dopiero wtedy, gdy ogniem natchnienia przetopi jej granity na rwące lawy uczuciowe. — Stan wulkaniczny zdaje się być zasadniczym warunkiem jego potęgi twórczej, czego dowodzą z równą siłą jego arcytwory swem królewskiem nieraz pięknem, i — w sposob negatywny — jego twory poronione; tutaj bowiem spotykamy się z niedbalstwem epicznem oraz z przykrą nader *„forsą“*. Autor wysiłkiem woli stara się w nich dopiąć tej niezbędnej mu miary

patosu, i w braku płomieni, płynnego metalu, wyrzuca z siebie popiół i żużle. — Obie te wadliwości spotykamy w „Na rozstaju“, słabej jako całość, uratowanej kilku silnemi wybuchami lirycznemi (np. ostatni szał tryumfalny Falka). — Tło traktowane pogardliwie, osoby drugoplanowe mają w sobie niedolęstwo manekinów, postaci główne chybione, urągają widocznemu założeniu. „On“ jest mniej „demonicznym“ samcem, niż zwykłym, „porządnym“ szubrawcem; — „ona“ raczej nie - do - wszetecznicą, niż królewską zdobyczą. — Nieskończoną krzywdę wyrządziło powieści tłómaczenie wprost bezwstydne.

Łabędzia woda, przez Adolfa Dygasińskiego. — Jedna z wielu barwnych przenośni światopoglądu autora. — Pełny ruchu obrazu życia stawu i młyna, zaludniony, trzema podstawowemi dla filozofii autora instynktami życiowemi: głodu, miłości i przemocy pod postacią skąpego i despotycznego młynarza, zakochanych i przez miłość pracujących córek i czeladników, zwierząt domowych i dzikich (jak zwykle wybornie zindywidualizowanych), oraz burzy, która niszczy owoc pracy, ale wyswobadza jej motor: duszę).

Margiela i Margielka, tegoż autora. — Jedna z przeciętnych twórczych odbitek autora, mistrza w odtwarzaniu społeczności chłopskiej. — Niższa od „Łabędziej wody“ jako całość, bardziej w zygzakach drogi i jej zaułkach zgubiona, ma jednak momenty prawdziwie piękne (np. opis chaty na Pomarlu, spotkanie na łące, w nocy, matki i córki), sceny charakterystyczne znakomite, i promienieje podwójnym humorem: uśmiechem ust, jowialnym, szorstkim, rubasznym, i oczu, z których nieraz wyziera jakby łza.

Nowele, przez Janinę Baudouin de Courtenay. — Umysł i wyobraźnia autorki obracają się w horyzontach względnie rozległych, reakcya jednak twórcza, wskutek zaniedbania samoistnych przetrawień, a także wskutek konstytucyjnej jakby wątłości talentu, jest słaba, nikła, blada. Najwznioślejszy temat nie okupi nieudolności wykonania, pogłębi jedynie przepaść, dzielącą intencyę od czynu. Najpotężniejsza idea zostanie martwym w organizacyi duchowej materyałem, jeżeli nie ulegnie w niej potężnemu procesowi samoistnej asymilacyi: takim zaś, nieprzerobionym, surowym, zewnętrznym jest wpływ na autorkę literatury psychologicznej, społecznej i mistycznej. — Ztąd może wypływa i brak siły, zarówno w wybuchach jak ekstazach, niedołęstwo dramatyczne i dyalogowe (oh, te dyalogi! raczej ustna korespondencya), rozwlekłość i bladość „wiwisekcyi.“ — W stronie formalnej razi chroniczne powtarzanie jednych i tych sa-

mych słów w celu spotęgowania siły (cuda — cuda, ów — ów i t. p.), niekiedy aż *po cztery* razy.

Szkice z życia wiejskiego, przez Mieczysława hr. Pinińskiego. — Cztery „obrazy z życia“ dworów, chat i mieścin żydowskich, najzupełniej chybione pod względem wnętrznej całkowitości i kompozycyi, rozerwanej, przeładowanej szczegółami, tłoczącemi się na pierwszy plan, niszczonej brakiem perspektywy i proporcyi międzyrzeczowej. — Po za tem obiecujące jako zadatki przyszłościowe: bystra, samorzutna i oryginalna spostrzegawczość, silny temperament humorystyczny, grzeszący jednak brakiem finezyi i kładący zbyt często kropki nad i, — nerw pisarski niewątpliwy, choć gubiący się w rozwlekłości, skrępowany ciasnotą widnokręgów duchowych, banalnością ideową, barbarzyńską surowością kulturalną, lecz żywotny i jędrny i w rozwoju swym zależny jedynie od faktu istnienia lub nieistnienia w artyście *woli do sztuki prawdziwej*.

Pociągnięcia pędzlem, przez Jana Augustynowicza. — Zbiór lichych i niepozbawionych pozy, nudnych nowel i jeszcze lichszych „nastrojów.“ Niedbała bierność, dająca się zaśmiecać cudzym rytmom i nawet zwrotom stylowym. — Rozwlekłość sentymentalnej baby i, na urągowisko tytułowi, brak poczucia malarskiego i wogóle artystycznego. — Poziom duchowy filistra w dwudziestej „wiośnie“ życia, obowiązującej do „ideałów,“ a przynajmniej „dreszczów.“ — Przebłyski talentu i szczerości w scenach brutalnie zmysłowych, dzięki którym od reszty nowel dodatnio odbija „Potępieniec.“

Zmierzch, przez Stefana Krzywoszewskiego. — Próba odtworzenia życia miejscowych sfer pieniężnych i jego tła, z wyraźną lecz niedouskutecznioną intencyą typowości, syntezy. — Pewna intuicya artystyczna i psychologiczna, swobodny wdzięk i świeżość ujęcia. — Rytm stylu wzięty u batuty Sienkiewicza, co, w połączeniu z dużą i niebezpiecznie do powierzchowności skłonną łatwością obrazowania, stwarza potoczystość monotonną i nadaje utworowi pokostowe lśnienie banalnej wprawy pisarskiej. — Z powodu małego pogłębienia, przy dbałości o zewnętrzną elegancyę, rażące nieraz błędy smaku.

Pani Jula, tegoż autora. — Próba przedstawienia nowożytnego dramatu małżeńskiego, kształtującej się nowej proporcyi psychologiczno-płciowej. — Wyraźnie wzrastająca, lecz wciąż niedostateczna świadomość i intencya skupionej punktuacyi artystycznej. Podwójne zjawisko: umiejętnego karczowania dróg akcyi aż do zbieżnego momentu katastrofy, — i nagłe cofanie się, rozluźnianie napiętych strun, wykręcanie się sianem, jakoby niemoc dobycia wybuchu z nagro-

madzonych materyałów palnych. — Wpływ beletrystyki paryskiej chwilami zbyt zewnętrzny, niewolniczy.

Wybór nowel francuskich, przełożył Jan Lorentowicz. — Tłómacz ma podwójną i rzadką u nas zasługę starannego przekładu i doboru rzeczy przełożonych. — Pierwszorzędni pisarze francuscy (Hello, Lemaître, France, Schwob, Rachilde, Villiers de l'Isle Adam) są w tym zbiorku reprezentowani przez utwory krótkie, lecz mikrokosmowo-typowe, — i zindywidualizowani tłómaczeniem twórczem, t. j., duchowo, nie zaś literalnie identycznem.

Księga Dżungli, przez Rudyard'a Kipling'a. — Przekład szachrajski, samowolnie skrócony, a przytem zgoła niepotrzebny, wobec istniejącej już, nieskończenie wyższej pracy Czekalskiego, której nakład wyczerpany wartoby powtórzyć ze względu na wielką piękność dzieła.

Multatuli. Osobistość jego i wybór pism. Wedle W. Spohra, opracowała Marya Feldman. — Na giełdzie wartości ludzkich nikt nie pomyśli o postawieniu w jednym rzędzie wynalazcy udoskonalonej sieczkarni i Krzysztofa Kolumba, — szczęśliwego twórcy „Odolu“ i Roentgen'a. Podobnie rażące błędy są jednak zjawiskiem codziennem w bilansach Sztuki, gdzie Klinger'ów wieńczą wawrzynami Böcklin'ów, i Nietzsche'om przeciwstawiają Multatuli'ch. Szlachetna ta bezwątpienia, uzdolniona, lecz jednostronna postać działacza, z pięknym lecz nieprzemyślanym instynktem słuszności etycznej, — od wielkich pochodni ludzkości różni się tak bezdennie, jak ślepa latarka od gwiazdy, jak Brutus od Cezara. — Podobieństwo zaś *losu*, bohaterstwo ideowe, nędza ztąd wypływająca i brak zrozumienia — uprawniałyby jego, tendencyjnych zresztą, impresaryów jedynie do zamieszczenia go w zaszczytnej, choć nielicznej i skromnej kategoryi ludzi poprostu *uczciwych*. — Ztąd zaś do mądrości i geniuszu jeszcze kawał drogi.

Malombra, przez Ant. Fogazzaro, przełożył Szet. — Mikstura w stylu epigonów romantycznych, przyrządzona na zasadzie pseudoidealizmu, grasującego współcześnie pod chorągwiami rozlicznych i pozornie obcych sobie „izmów.“ — „Straszna historya,“ nie bez, tu i ówdzie, błysków talentu, przepełniona szczegółami drogiemi podlotkom i subjektom, jak: „demonizm,“ „anielstwo,“ spirytyzm, romansowość, katastrofy; jaskrawy po większej części oleodruk, doskonały do wylepienia skrzynek wiejskich mołodyc. — Przyswojenie jej naszemu piśmiennictwu było, oczywista, zbyteczne.

Ironia, przez Michała Mutermilcha. — Zbiór nowel „realistycznych“ oraz „samokrytycznych“ „kartek z pamiętnika.“—Zbyt niewol-

nicze parafrazy ogranych w literaturze francuskiej motywów, związane w cyklową całość nicią zewnętrznej i często naciąganej intencyi „ironicznej.“ Radzimy uważniej wsłuchiwać się w głos „tego surowego Dajmona, który siedzi w duszy“—że użyjemy miarodajnych słów autora.

Błękitni, przez Maryę Rodziewiczównę. — Przejaskrawiona i zmanierowana malatura na usługach idejki, uporczywej jak maniactwo, której się talent autorki, zamaszysty i dosadny, uchwycił jak brzytwy, tonąc w próżni własnego, zdziczałego mózgu.

Zginęła głupota! przez Jana Mieroszewicza. — Tytuł pocieszający, lecz kłamliwy. — Nic wspólnego ze Sztuką nie mająca denuncyacya społeczna, której właściwą i skuteczną formą byłyby akta sądowe. — Autor zapewne nie zdaje sobie sprawy z różnicy, dzielącej trywialność podobnych „szkiców z natury“ od dostojeństwa Satyry, obojętnej na *osobistości* i zwalczającej jedynie reprezentowany przez nie pierwiastek *zła*.

Mąż i pan, przez S. M. Roguskiego. — Rzecz mieści się cała w „fabule,“ do tego banalnej. Brak wyrazistości, przy tendencyi do przesady brutalnej. Koniec upiększony łezką gorzkawej kondolencyi dla smutków życia.

Utopista, przez N. Bardzką. — Jedna z wielu „powieści“ wiejskich tendencyjnych, pisanych w myśl maksymy: „chęć starczy za uczynek,“ która rozgrzesza twórcę od wszelkich powinności względem sztuki popularną „zacnością“ idei.

Z teki wrażeń, przez J. A. Hertz'a. — Bezbrzeżne niedołęstwo, poślubione opłakanej pozie „dekadenckiej.“

Trubadurowie, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Niesmaczne i skończenie niedołężne uscenizowanie znanych przekładów E. Porębowicza, — ze względów snadź sumienności nietyle autorskiej, ile historycznej, tak ściśle, bez najlżejszej chęci odstępstwa, żywcem poprostu przeniesionych we właściwą „autorowi“ wodnistość stylu.

Na wyścigach, przez Artura Gruszeckiego. — Zdumiewające jest podobieństwo twórczości autora do jednostajnie szemrzącej, nieprzerwanej obfitości odkręconego kurka wodociągowego; wyładowuje się ona ze stałym, olimpijskim, rzec można, spokojem, niezależnie od tragizmu lub wesołości opisywanych zdarzeń. W formie przeważa dyalog, godny „metod“ Ollendorfa.—W powieści niniejszej, takim dyalogiem podjęta została niedołężna, oczywiście, próba przedstawienia „całej Warszawy.“ 2 tomy.

Większością! przez tegoż.—Podobnie udyalogowany, wodociągowo-obfity raport o stosunkach wyborczych galicyjskich. — 3 tomy.

Zwyciężeni, przez tegoż. — Udyalogowany raport o stosunkach niemiecko-śląskich. — 453 strony wody.

Nowy Obywatel, przez tegoż. — Tylko 259 stron dyalogu.

Wiktorya, przez Knuta Hamsun'a. — Jedna z mniej ważnych powieści genialnego Norwega; — znowu to samo zjawisko selekcyi negatywnej. — Tym razem przekład bardzo poprawny, w którym aromatyczny urok twórczości autora wonieje świeżym zapachem doskonale przegruntowanych kwiatów.

Rodzina Oberlé, przez René Bazin'a. — Obraz ścierania się prądów różnoplemiennych na terenie alzackim. — Dużo świeżości i wdzięku krajobrazowego. — Rzecz pod względem patosu narodowego słabsza od wielu swojskich w tym rodzaju; więc w tłómaczeniu zbyteczna.

Panna Żabińska, przez Trzaskę. — Sześć nowel, a raczej materyałów na nowele, zaledwie tu i ówdzie obciosanych. — W „Oborze zarodowej“ filuterya i gruby, brzuszny śmiech szlagoński, który w „Filozofie“ nabiera pewnej rubasznej ostrości humorystycznej.

Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kolekcyonerstwo dzieł sztuki. *(Dokończenie).*

Krótkie te uwagi pozwalają już zrozumieć i ocenić ogromną doniosłość ruchu, jaki w ostatnich czasach zaczął budzić się między kolekcyonerami miejscowymi. Zamiłowanych zbieraczy nie brakło nam nigdy. O dawniejszych, kolekcyonujących dzieła sztuki obcej, gdy własnej jeszcześmy prawie nie mieli, świadczą europejskie, pierwszorzędne galerye Czartoryskich, Działyńskich, Raczyńskich, Radziwiłłów, Broel-Platerów i innych. Wcale okazałą liczbę nowszych, sztuce swojskiej wyłącznie prawie już oddanych, stwierdzają choćby tylko katalogi retrospektywnych wystaw sztuki polskiej we Lwowie (1894) i w Warszawie (1898). A było pierwszych (jak dowiodły wystawy prowincyonalne w Kaliszu i Lublinie) i jest drugich (jak mielismy niejednokrotnie sposobność sprawdzić osobiście) jeszcze daleko więcej. Wszystkie te zbiory wszakże, dla braku udostępnienia należytego, nie wywierały żadnego prawie wpływu. Pomimo znacznych bogactw artystycznych, posiadanych w kraju, kultura estetyczna upadała w sposób, zaiste, opłakany, a zobojętnienie dla sztuki do ostatecznych dochodziło granic. Sztuka dawna tak dalece przestała ko-

gobądź obchodzić, że otwarcie (w 1901 r.) niewielkiego, źle pomieszczonego, w zdawkowy nieco katalog zaopatrzonego, ale posiadającego cały szereg pięknych i ciekawych dzieł wielkich mistrzów, muzeum przy placu teatralnym, niczyjej, nietylko pośród publiczności, ale i pośród krytyków sztuki, i nawet pośród artystów, nie zwróciło uwagi. Z nowej sztuki obcej, prócz wielkich „maszyn" Benliure'ów, Rochegrosse'ów, Pradillów, Brożików i t. p., nic do nas prawie nie dochodziło. [Tam, na zachodzie, mogły zjawiać się, walczyć, zwyciężać plein air'y, impresyonizmy, prerafaelityzmy, mogła sztuka japońska swe odradzające wywierać wpływy, mogły olśniewająco rozwijać się sztuki graficzne, — u nas nic się o tem nie wiedziało — i w łat dwadzieścia po faktach dokonanych miejscowi krytycy (i nawet artyści) zdolni byli, dajmy na to, ujrzawszy nagle japońskie drzeworyty, występować przeciwko nim z pacanowskiem zacietrzewieniem „w obronie sztuki swojskiej".] O mniemanem znów interesowaniu się ową sztuką własną, krajową, świadczy wyraźnie i dobitnie fakt, iż dwa epokowe zdarzenia, jakiemi były wystawy retrospektywne, lwowska i warszawska, wywołały w „przeestetyzowanem," jak się u nas mówi, społeczeństwie jedną tylko oryginalną pracę: *Katalog* prof. J. Boloza-Antoniewicza, jedno przebranie tegoż katalogu w przyobszerne nieco Mutherowskie szatki (*Sto lat malarstwa polskiego* przez d-ra J. Mycielskiego) i chaotyczny zbiór encyklopedyczno-dziennikarskich wzmianek H. Piątkowskiego w *Albumie sztuki polskiej*. O odczuwaniu i ocenianiu krajowej produkcyi artystycznej niema wprost co mówić. Bazary, zwane wystawami, rozwieszały spokojnie tuż obok siebie, krytycy omawiali z jednaką powagą, publiczność oglądała z jednakiem zadowoleniem dzieła Matejków, Chełmońskich, Pankiewiczów, Malczewskich — i płótna Styków, Krzeszów, Stachiewiczów — i nikt nie pomyślał nawet, że ta szeroka dobroduszność w stosunku do „sztuki swojskiej" równa się obeldze wyrządzanej wielkim istotnie mistrzom naszym. — Trzeba było reakcyi krzepkiej, rzeczowej, trzeba było inicyatywy energicznej, wytrwałej — i tę podjął, zbrojny swemi cennemi kolekcyami, p. F. Jasieński. Może zanadto apostolował, może zbyt utopijnie chciał nawracać wszystkich odrazu, może niepotrzebnie polemizował z kuryerkowymi i wiejskimi pseudo-znawcami, — ale w całym szeregu wystaw, na które żadna nie wśliznęła się mizerya, dał widzieć chcącym, a narzucił niechcącym taką masę istotnych dzieł sztuki, jakiej dawno u nas nie widziano. Zdumiona i oburzona, że ktoś ją śmie nauczać, Warszawa miała wtedy sposobność zapoznać się po raz pierwszy z drzeworytem japońskim, z pełnemi zbiorami rysunków

i rycin Dürera i Rembrandta (w piewszorzędnych fac-similach), z kapitalnemi miedziorytami Piranesich, z kolorowemi drzeworytami Rivière'a, z akwafortami Klingera, — a na ostatniej wystawie p. Jasieńskiego, z nader ciekawie zestawioną kolekcyą szkiców, studyów, portretów, afiszów najpierwszych dzisiejszych malarzy i rzeźbiarzy polskich. Wystawy te były zatem same przez się, dla nowości swej i wysokiej wartości artystycznej, faktem pierwszorzędnego znaczenia. Wystokrotnia wszakże ich wagę wpływ, jaki, zda się, wywarły na innych kolekcyonerów miejscowych, unaoczniając im, drogą przykładu, możliwość i konieczność przeciwdziałania — rosnącej wciąż i mogącej paraliżować sam rozwój sztuki — atrofii estetycznej społeczeństwa. Bo jakiż dawno niewidziany, wkrótce po wystąpieniu p. Jasieńskiego, ruch się budzi! Salon Krywulta zaczyna przeplatać obowiązkowe „maszyny“ artystycznemi istotnie wystawami, między innemi, czarnych i kolorowych akwafort i autolitografij, które naturalnie nie znajdują uznania u p. t. publiczności i nawet pewnym „artystom“ miejscowym wydają się poprostu rzemiosłem, lub w każdym razie czemś znacznie niższem od „malowania olejnego“. Tenże Krywult, a za jego przykładem i Zachęta, urządzają czytelnie czasopism sztuce poświęconych, co umożebnia pragnącym znajomienie się z ruchem artystycznym całej Europy. Ks. Michał Radziwiłł wystawia w salach ratuszowych (szkoda, że z celem „szlachetnym“ czy „pożytecznym“ na pierwszym planie i, co gorsza, z urządzonym dla atrakcyi plebiscytem!) bardzo piękny zbior starych mistrzów, głównie włoskich i flamandzkich, oraz sporą ilość rysunków Norblina, Orłowskiego, Płońskiego i innych, z galeryi Nieborowskiej. W T. Z. S. P., p. Kon z Mińska produkuje swą interesującą kolekcyę kolorowych sztychów angielskich. W temże T. Z. S. P. spotykamy wystawę niepozbawionego cennych rzeczy, ale nieco bezładnego zbioru różnych dzieł sztuki, będącego darem p. M. Bersona do przyszłej galeryi Towarzystwa. Gazety donoszą o innym jeszcze, bardziej systematycznym i całościowym darze do tejże galeryi, pochodzącym od p. W. Lasockiego, a złożonym ze 136 rysunków i akwarel malarzy polskich od Lampiego i Chodowieckiego aż po Malczewskiego i Witkiewicza. Wreszcie, T. Z. S. P., urzędowy nasz kolekcyoner, któremu odpowiedni paragraf w statucie zaleca tworzenie własnej galeryi, występuje, *na żądanie walnego zgromadzenia członków*, z pierwszą od chwili założenia wystawą swych, niestety, niezupełnie stojących na wysokości zadania zbiorów. Całe to, dotąd u nas nieznane ożywienie pozwala najpomyślniej wróżyć o przyszłości. Chodzi tylko o to, by się nie przerwało.

P. W. Lasocki, w liście, którym zawiadamia T. Z. S. P. o swoim darze, wyraża pragnienie, aby inni kolekcyonerzy okazywali się niemniej ofiarnymi i aby przeznaczone na przyszłą galeryę, a będące na ukończeniu skrzydło pałacu sztuki zapełniło się jak najprędzej. Pozwolimy sobie być pod tym względem nieco innego zdania. Namysł wydaje nam się tu ważniejszym od pośpiechu, jakość — od ilości. Stałe, dla szerokich warstw dostępne muzeum sztuki jest, przedewszystkiem, instytucyą mającą kształcić smak estetyczny ogółu i przeto winno zawierać, o ile można, najlepsze i charakteryzujące twórców swych dzieła. To nie kolekcya prywatna, ani materyał dla historyka sztuki, gdzie często drugorzędne nawet dzieło ma wartość, czy to dokumentu, czy wyjaśnienia estetycznego lub psychologicznego, czy, wreszcie, kompletującego pewną całość okazu. Muzeum publiczne winno być nietylko zbiorem imion artystów, lecz kolekcyą ich możebnie doskonałych, dojrzałych dzieł. Wszelkie drugorzędne utwory są tu szkodliwym balastem, psującym ogólne wrażenie i mogącym nawet sprowadzić na manowce nieprzygotowanego dostatecznie widza. Rozumiał to doskonale Hayem, gdy chcąc obdarzyć luksemburskie muzeum kolekcyą dzieł Gustawa Moreau, wybrał na ten cel z bogatego zbioru swego najpiękniejsze i najcharakterystyczniejsze rzeczy. Muzeum publiczne wygrywa na tem, jeśli nie jest zanadto liczne, a za to doborowe. Tem *National Gallery* bije wszystkie swoje współzawodniczki na lądzie stałym. To przyjąćby winni za regułę i nasi kolekcyonerzy, pragnący przyczynić się do stworzenia w Warszawie galeryi publicznej: dawać mało, lecz same rzeczy możebnie doskonałe. Natomiast, zanim taka galerya publiczna powstanie, pożądanem byłoby ze wszech miar, aby poszczególni zbieracze i miłośnicy urządzali kolejno i jak najczęściej po sobie wystawy całkowitych swoich kolekcyj. Oddawałoby to usługę — u nas, gdzie tak mało można widzieć — i artystom, i historykom sztuki, i szerszej publiczności, umożliwiałoby do pewnego stopnia zinwentarzowanie ogólne dzieł sztuki posiadanych w kraju, wytwarzało, wreszcie, bliższe i korzystne dla każdej ze stron stosunki między zamiłowanymi zbieraczami. Sądzimy nawet, iż dla wystaw tego rodzaju potrzebna byłaby pewna trwała organizacya; ktoś winienby dawać stałą inicyatywę, odszukiwać kolekcyonerów, zachęcać ich do wystawiania swych zbiorów, obmyślać kolej wystaw, być artystycznym doradcą przy układaniu każdej z nich, dbać, aby żadna nie minęła bez wyraźnych, dotykalnych korzyści w postaci katalogów, inwentarzów i nawet opracowań szczegółowszych. Stworzenie takiej organizacyi mogłoby, według nas, i powinno przypaść

w udziale Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych, które, jako instytucya publiczna, dawałoby potrzebne gwarancye kolekcyonerom i nie potrzebowało walczyć z nieufnością czy niechęcią, a w nowym swym gmachu rozporządzałoby odpowiedniem do wystaw miejscem. Skłaniać je zaś do tej misyi winienby, po części, interes własny, a bardziej jeszcze — i przedewszystkiem — dobro sztuki, dla obrony którego powstało.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Cezary Jellenta. *Orfan.* Kraków. Skł. gł. u J. Fiszera. — Lach. *Zygzaki.* Skł. gł. u M. Szczepkowskiego. Warszawa. — Jan Lemański. *Bajki.* J. Fiszer. Warszawa. — Tadeusz Miciński. *W mroku gwiazd.* Z rysunkami S. Wyspiańskiego. Skł. gł. u Gebethnera. Kraków. — Julius Skarlandt. *Fragmenty, versze. 1899 - 1900.* E. Weinfurtr. Praha. — Edward Słoński. *Noc.* M. Borkowski. Warszawa. — Kazimierz Woyczyński. *Z młodzieńczych snów.* Gebethner i S-ka. Kraków. — Henryk Zbierzchowski. *Impresye.* D. E. Friedlein. Kraków.

POWIEŚĆ. — Jerzy Bogurad. *Pro Christo.* 2 części. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Arne Garborg. *Utracony ojciec.* Przekład z niemieckiego. Spółka wydawnicza. Warszawa. — Kazimierz Gliński. *Cecora.* 3 części. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Franciszek Herczeg. *Gyurkovicsovie.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Franciszek Herczeg. *Gyurkovicsówny.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Ruyard Kipling. *Kim.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — J. Nowiński. *Życie i marzenie.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Lwów. — Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Wacław Rogowicz. *Zocha.* M. Borkowski. Warszawa.

TEATR. — Juliusz German. *Dramat.* H. Altenberg. Lwów. — J. Pereświt. *W długą noc.* „Słowo polskie.“ Lwów. — Dagny Przybyszewska. *Krucze gniazdo.* Jan Fiszer. Warszawa.

HISTORYA LITERATURY. — Julian A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom IV: *Literatura indyjska.* Tom V, cz. 1: *Literatura perska.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa.

ROZPRAWY FILOZOFICZNE I PSYCHOLOGICZNE. — Maryan Massonius. *Rozdwojenie myśli polskiej.* Henryk Radziszewski. Warszawa. — Cezary Popławski. *Fatum.* M. Arct. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Synagoga szatana.* J. Fiszer. Warszawa. — John Ruskin. *Etyka pyłków.* Przełożył Wojciech Szukiewicz. Przegląd Filozoficzny. Warszawa.

HISTORYA. — Tadeusz Sierzputowski. *Kartki z dziejów stosunków polsko-pruskich w XVI stuleciu.* J. Fiszer. Warszawa. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło.* Część V, VI i VII. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — J. Dunin Karwicki. *Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.* Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa.

KRAJOZNAWSTWO, PODRÓŻE. — Al. Janowski. *Wycieczki po kraju. Kielce. Góry Świętokrzyskie. Radom.* Skł. gł. u J. Fiszera. Warszawa.

VARIA. — *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX.* Tom II, zesz. 4, 5 i 6. Nakł. M. Chełmońskiej. Warszawa. — H. Chankowski. *Mnożenie symetryczne, zwyczajne i skrócone.* Nakł. wł. Warszawa. — E. Menault. *Miłość*

macierzyńska u zwierząt. 2 częśc. Bibl. Dzieł Wyb. Warszawa. — Dr. W. Popiel. *Kobieta wobec badań nauki współczesnej.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Van Faron. *Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej.* Warszawa. — *Zprava o Museu Kralovstvi Czeskeho za rok 1901.* Museum Kralovstvi Czeskeho. Praha. — Collection Fr. Żmurko. *12 cartes postales.* I Serie. A. Chodowiecki. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa.) Styczeń—kwiecień 1902.—A. Kraushar: *Nieznany pamiętnik J. U. Niemcewicza o czasach Księstwa Warszawskiego.* — C. Walewska: *Autor.* — Pr. J. Kallenbach: *Nieznane listy J. Słowackiego.* — H. Skirmunt: *W zimie, z cyklu „Rok życia."* — A. Maciejowski (Sewer): *Duch czasu.* — J. Kallenbach: *Antoni Małecki.* — K. Tetmajer: *Podczas wiatru z Tatr.* — W. Dzieduszycki: *Demokracya.* — G. Smólski: *Ostatni Mohikanie polscy.* — J. Przysiecki: *Poezye.* — Ign. Chrzanowski: *Historya literatury polskiej dla Niemców.* — H. Struve: *Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu.* — W. Bogusławski: *Teatr i muzyka.* — L. Rygier: *Fragmenty.* — Ign. Chrzanowski: *Pierwszy utwór Gabryeli: „Wędrowiec."* — *Rozmaitości.* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. (Praha). Rocznik LXXV. Svazek paty a szesty. 1901. — J. Kamper: *Ladislav Stroupeżnicky.* — Dr. Zd. Nejedly: *Alois Jirasek.* — F. V. Vykoukal: *Starovieke bajky z rzisze rostlinne.* — V. Schulz: *Vienovani spisovatelu (1580 - 1639).* — *Hlidka literarni.*

KRYTYKA. (Kraków.) Roczn. IV. 1902, zesz. 1, 2, 3. — Wł. Tetmajer: *Piast. Prolog.* — T. Sobolewski: *„Młoda Polska" w świetle krytyki* — Wł. St. Reymont: *Ostatnie godziny.* — K. Mokłowski: *Walka o sztukę.* — M. Szukiewicz: *Sezam. Sonety.* — L. Staff: *Jan Kasprowicz. Charakterystyka.* — Lambro: *List warszawski.* — J. Jedlicz: *Baśń okien.* — M. Moczulski: *O literaturze ukraińsko-rusińskiej.* — A. Siedlecki: *Nowi ludzie.* — *Ankieta „Krytyki."*— D-mol: *Święto słońca.* — St. Żeromski: *Godzina.* — J. Wiśniowski: *Tryolety.* — *Sprawozdania naukowe i literackie.*

KSIĄŻKA. (Warszawa.) Rok 2 (1902), № 1 - 3. — M. Masonius: *Nasze stanowisko krytyczne.* — H. Orsza: *Piśmiennictwo ludowe.* — *Krytyka.* — *Kronika.* — *Czasopisma.* — *Kuryer księgarski.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin.) 1902. № 7 — 14. — H. v. Hopfen: *Der Dichter und sein Beruf.* — M. Sommer: *Stijn Streuvels.* — H. Hart: *Ein Weltanschauungsroman.* — Stijn Streuvels: *Sonntags.* — E. v. Wildenbruch: *Nochmals der Schillerpreis.* — R. Lothar: *Wiener Litteratur.* — H. Bethge: *I. I. David.* — I. I. David: *Im Spiegel.* — C. Hoffmann: *Das tschechische Schriftthum.* — A. Hauffen: *Franz Preszeren.* — R. Fürst: *Anzengrubers Briefe.* — H. Sittenberger: *Oesterreichische Dialektstücke.* — N. Krauss: *Wochenmarkt.* — W. Weigand: *Zwölf Aphorismen.* — R. Presber: *Wilhelm Busch, der Philosoph.* — R. M. Meyer: *Goetheschriften.* — F. Poppenberg: *Der Triumph der Empfindsamkeit.* — J. Theodor: *Die Tragödie des Hochmuts.* — P. Remer: *Unterm Regenbogen.* — H. Bethge: *Gedichte.* — Otto Hauser: *Das Sonett.* — A. Bettelheim: *Auerbach und Grabbe.* — A. Klaar: *Neues von Philipp Langmann.* — P. H. Hartwig: *Ein Raabe-Schüler.* — W. von Scholz: *Neue Dramen.* — T. Schäfer: *Neue Skizzenbücher.* — R. Louis: *Musik-Litteratur.* — O. Hauser: *Das Sonett.* — A. Ruhemann: *Gustave Van Zype.* — P. Legband: *Historische Dramen.* — O. Lyon: *Zur Naturgeschichte des Pessimismus.*— J. Normand: *Die erste Auflage.* — J. Gillhoff: *Volksschriftsteller.* — K. Schirmacher: *Französische Schulromane.* — K. Strecker: *Ibsen-Litteratur.* — M. Meyerfeld: *Ein*

Dichterknabe. — Ch. Witry, Ed. Bertz: *Zwischen den Geschlechtern.* — Fr. Schrader: *Ex oriente lux...* — O. F. Walzel: *Schweizer Alpenromane.* — K. Storck: *Jung - Elsass.* — C. Moeller: *Die Karl Johanstrasse.* — I. Frapan: *Ein japanisches Drama.* — L. Geiger: *Neues über Jean Paul.* — H. F. Helmolt: *Weltgeschichtliche Litteratur.* — G. Steinhausen: *Der deutsche Brief.* — C. Mauclair: *I.-H. Rosny.* — J. Flach: *Neue polnische Romane.* — Fr. Lienhard: *Lamprechts Litteratur - Betrachtung.* — R. Kaupo: *Das Nationalepos der Esten.* — F. v. Zobeltitz: *Zur Geschichte des Buchschmucks.* — *Echo der Zeitungen. Echo der Zeitschriften. Echo des Auslandes* (Polnischer Brief — *J. Flach.*) *Echo der Bühnen. Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha.) Roczn. XXX, czisla 9 — 19. — Jirzi Szumin: *Przesazene sztiepy.* — Ot. Theer: *Oczarovane miesto.* — V. Hladik: *Evżen Voldan.* — J. K. Szlejhar: *Peklo.* — V. Mrsztik: *Goncourti.* — Jan Havlasa: *Vlci* — V. Mrsztik: *Morava.* — A. Novak: *Jan Nestroy a jeho diedictvi.* — A. Breska: *Dramata Victora Hugo.* — Em. ryt. z Czenkova: *Victor Hugo.* — K. Jonasz: *Porysz.* — O. Theer: *Poesie Victora Hugo.* — J. Osten: *Oczi w rużich.* — N. Hauskova: *Dvoji poznani.* — R. Jesenska: *Ztracene brzehy.* — K. Baczkowsky, J. Borotinsky, A. Breska, K. Dostal, J. Havliczek, H. Heine (przeł. J. Osten), M. Jaronska, H. Jelinek, K. Jonasz, J. Klumpartowa, B. Knösl, St. Kovanda, Em. z Leszehradu, J. S. Mach, V. Macha, B.Marzakova, J. Opolsky, J. Schiller, M. Silen, Jan z Wojkowicz: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne umieni.*

IL MARZOCCO. (Firenze.) 1902. № 3 - 16. — A. Conti: *In gloria della pittura* (La capella Brancacci.) — E. Corradini: *„Grandezza e decadenza di Roma."* — G. S. Gargano: *Sul melologo.* — M. da Siena: *Per l'insegnamento della storia dell'arte.* — L. Beltrami: *La piazza delle Erbe in Verona.* — A. Orvieto: *Lo studio fiorentino.* — D. Angeli: *L'ultimo canto di Rudyard Kipling.* — C. Cordara: *L'autore del Ruy-Blas.* — L. Suñer: *Il genio della Ristori.* — A. Orvieto: *La statua di Goethe.* — D. Angeli; *Roberto Nanteuil et G. Callot.* — G. Giacosa: *Caino* (scena III.) — D. Garoglio: *Per l'italianità.* — A. Conti: *I tempi mutati.* — A. Cantoni: *La chiave di un grottesco.* — Neera: *„Acqua corrente" di Ed. Rod.* — L. Zuccoli: *Maurizio Maeterlinck.* — A. Orvieto: *Carnevali fiorentini.* — G. d'Annunzio: *La nona strofe dell' Ode.* — V. Morello: *Victor Hugo.* — G. S. Gargàno: *L'Italia nella poesia di V. Hugo.* — A. Franchetti: *Victor Hugo e il melodramma italiano.* — A. Orvieto: *Come V. Hugo parlava di Dante.* — E. Corradini: *Hugo e Carducci.* — D. Garoglio: *G. Mazzini e V Hugo.* — D. Angeli: *Victor Hugo disegnatore.* — Gajo: *Un amico dei monumenti.* — G. S. Gargano: *Sull'Ode a Vittore Hugo.* — L. Angeli: *Le monache all'Ospedale.* — A. Cekov: *I Briganti.* — C. Placci: *Dopo una udizione dell' „Egmont."* — T. Ortolani: *Poesia popolare.* — Gajo: *L'aritmetica delle Muse.* — G. Anastasi: *Complici.* — G. S. Gargàno: *Le poesie di G. Marradi.* — G. Tarozzi: *L'accademia platonica e il concetto dell' umanesimo.* — E. Corradini: *Romanzi e novelle.* — C. Cordara: *L'orchestra Kaim di Monaco.* — *Marginalia. Commenti e frammenti. Notizie. Bibliografie.*

MERCURE DE FRANCE. (Paris.) Janvier, — avril 1902. — H. Albert: *Le livre suprême du créateur de valeurs nouvelles.* — O. J. Bierbaum: *Anne-Marguerite et les trois jeunes hommes.* — A. Fontainas: *Saint-Pol-Roux.* — P. Fort: *Ballades françaises (Paris sentimental.)* — F. Baldensperger: *Le Faust de Goethe et le romantisme français.* — T. Klingsor: *Le petit palais.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — A. Delacour: *La religion de Shakespeare.* — Fr. Nietzsche: *Pour une critique de la modernité.* — R. Cantinelli: *Pamphile ou l'été voluptueux.* — G. Danville: *Temples.* — M. Dauguet: *A la primevère.* — J. Marnold: *Siegfried.* — M.-A. Leblond: *Henri de Régnier et la Critique „décorative."* — Rachilde: *Le Tout-au-Ciel.* — L. Bloy: *Exégèse des Lieux-Communs.* — P. de Bouchaud: *La double Statue.* — Fr. de Miomandre: *Paul Claudel.* — R. de Gourmont: *Sur l'Art nouveau.* — R.-H. de Vandelbourg: *Automne.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — V. Josz: *Watteau*

à Paris: le Début de l'Aventure. — P. Quillard: *Lied.* — V. Ségalen: *Les Synesthésies et l'Ecole Symboliste.* — J.-C. Mardrus: *Fleurs et Fruits.* — L. Charpentier: *Rituel et Code ésotériques de la Société secrète des Boxers.*—Fr. Porché: *Poèmes.*— P. de Querlon: *La Liaison fâcheuse.* — *Revue du mois* (Epilogues, les Poémes, les Romans, Litterature, Histoire, Sciences, Sciences sociales, Archeologie, Voyages, Questions coloniales, Chronique universitaire, les Revues, les Journaux, les Théâtres, Musique, Art moderne, Publications d'art, les Meubles et la Maison, Chronique de Bruxelles; Lettres anglaises, italiennes, espagnoles, portugaises, hispano-americaines, polonaises, néerlandaises; Variétés, publications récentes, Echos.)

MODERNI REVUE. (Praha.) Leden—duben 1902.—A. Machen: *Velky Buh Pan.*— M. Marten: *Mimo dobro a zlo.* — F. Nietzsche: *Pohled na stat.* — E. Stoy: *Hrzich.*— J. Barbey d'Aurevilly: *Przedmluva k „Diabelskym;" Nejkrasniejszi laska Dona Juana.* — A. Peterka: *Host.* — A. Gide: *Pojednani o Narcisovi (Theorie symbolu.)* — J. Hilbert, F. Fall, V. Dyk, R. Haszek, J. Opolsky, P. Polan: *Basnie.* — *Miesiczni hlidka.* — A. Velharticky, V. Dyk, R. Haszek: *Satyricon.* — H. Hoenich, K. Hlavaczek, B. Hnatek, Aubrey Beardsley, H. Steiner: *Litografie a kresby.*

THE OUTLOOK. (London.) 1902. № 205-220. — *The hope for english art.* — *Mr. Symons's Muse.* — *The use of old masters.* — *Madame the poet* (Mary Robinson.) — *Mr. Ulysses Tree.* — *Mr. H. G. Wells as afterdinner scientist.* — *Essayists, professional and amateur.* — *Royalty and art.* — *„Ulysses" of her Majesty's.* — *Poet or dramatist?* — *The place of classics in modern education.* — *Divinity and paint.* — *Paiting by the Yard.* — *An Engine Idyll.* —*To Royal Academicians.* — *Outcasts of Literature.* — *Fiction-farming for Profit.* — *Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Rok V, zesz, 1, 1902. — Wł. M. Kozłowski: *Zagadnienie wiedzy.* — Br. Biegeleisen: *Rozwój pojęcia ruchu w mechanice.* — E. Abramowski: *Dusza i ciało.* — Dr. J. Kodis: *Rzeczywistość i pojęcie naukowe.* — Prof. Dr. J. Baudouin de Courtenay: *O dwojeniu się wrażeń. O złudzeniach.* — *Autoreferaty.* — *Sprawozdania.* — *Wiadomości bieżące.* — *Książki nadesłane.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma.) 1902. Gennaio—aprile. —A. de Bosis *Inno alla terra.* — L. Capuana: *Il di ld.* — E. Sacerdoti: *A proposito dei „Maestri cantori di Norimberga."* — P. Nahor: *Incontro di Jesus con Maddalena.* — J. L. Pagano: *Colloquio col poeta Matheu.* — G. de Frenzi: *A scopo di beneficenza.* — P. de Bouchaud: *Storia di un bacio.* — E. Novelli: *Un guitto* (monologo.) — L. Suñer: *Tranquilla di sensi.* — D. Garoglio: *Esposizione internaziole d'arte a Milano.* — A. Beltramelli: *I ciechi.* — L. Zuccoli: *Uomini e fatti della vita italiana.* — Sem Benelli: *Scene di vita moderna ed antica.* — E. Corradini: *Le opinioni degli uomini e i fatti dell'uomo.* — S. Benelli: *Catalogna.* — G. Gasperini: *Cronaca musicale.* — V. Caracciolo di San Vito: *Jesus.* — R. Pantini. *Le arti minori.* — D. Malonyay: *Le tre Giuditte.* — *Cronaca francese, tedesca spagnuola, inglese, belga, nord-americana.* — R. Quintieri: *Critica... romantica.* — *Notiziaro generale. Bibliografia.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London.) Jan. — march 1902. — *The theatre in England and France.* — *The confessions of a caricaturist.* — *An artist on Japan.* — *Current History in Caricature.* — *Mr. Kipling's Warning.* — *The Art and Ethics of Maxim Gorki.*—*The British Academy of Learning.*—*Two Artists.*— *Beautiful Memories of Browning.* — *Should National Museums be Open Free?* — *Some Reminiscences of Walt Whitman.* — *The Reviews Reviewed [A high-class Polish Magazine (CHIMERA)].* — *Books of the Month.*

LA REVUE BLANCHE. (Paris.) Mars, avril 1902.—L. Delarue-Mardrus: *Poèmes.*— E. Vernon: *Le Champ de l'Analyse.* — M. Twain: *A la dure.* — F. Le Dantec: *M. Brunetière est plein d'espoir.* — G. Apollinaire: *L'Hérésiarque.* — L. Tolstoy: *Quarante*

ans. — N. Hennique: *Vulcanales.* — H. Roorda van Eysinga: *La notion du Parfait dans l'Enseignement.*—A. N. Apoukhtine: *Le Journal de Pavlik Dolsky.*—F. Caussy: *D'une lignée de conteurs galants.*—Tchen-chety: *Fils de l'Asie, voyageant sous...*— Lou-tsine-hane: *Innombrables sont les...* — *Gazette d'art.* — *Les théâtres.* — *Les livres.*

LA REVUE d'ART DRAMATIQUE. (Paris). Janvier. 1902. G. Trarieux: *Le Médecins au Théâtre.* — P. Verbaere: *Le Théâtre Flamand.* — A.-E. Sorel et P. Acker: *Fausse route.* — H. Lyonnet: *Histoire des Comédiens.* — J. Lorentowicz: *Le Père Marc, la Philharmonie Varsovienne.*—*Les Théâtres de Paris.*—*Province.*—*Etranger.* — *Chronique des Livres de théâtre, chroniques des oeuvres musicales.*—*Revue des Revues.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris.) Janvier — avril 1902. — J. Marni: *Une mère.* — M. Legrand: *Comment Charlemagne conquit Durandal.* — A. Germain: *J. Coront.* — A. Dorchain: *J. Valadon.* — G. Lafenestre: *Barques bretonnes.* — *Solidarite intellectuelle* (lettres de Mistral, Björnson, Lugné-Poë, Juliette Adam, Sully-Prudhomme etc.) — G. Bjorkman: *Sully-Prudhomme.* — E. Blémont: *Victor Hugo.* — L. Stechetti: *Memento.* — M. Olivaint: *Mer et ciel.* — R. Bouyer: *Gustave Moreau.* — J. Loredan: *Edmond Cuisinier.* — M. Legrand: *Aux Masques de la Mi-Carême.* — E. Blemont: *Le Poëte de la Bonté.* — J. Renard: *Le Portrait.* — A. Mithouard: *Le Christ aux masques.*—D. Ailhaud: *Paul Gonzalès.*—Sully-Prudhomme: *Science et Poésie.*— J. Lorentowicz (trad.): *Vers son Dieu,* nouvelle de Stefan Żeromski. — H. Lichtenberger: *Christian Wagner.* — G. de Montgailhard: *Lecomte du Noüy.* — *Bibliographie. Illustrations.*

SRDCE. (Żamberk.) Listopad 1901. — O. Theer: *Karla.* — K. B. Englich: *Ružena Suttnarova.* — M. Marten: *K otazce czeského romanu.* — K. Rożek: *Zbyteczny život.* — K. R.: *Proti t. zv. krvavym romanum.* — K. Toman, J. Müldner, J. S. Holy, J. Skarlandt, S. Karmen: *Basnie.* — *Kritika. Literatura. Drobne zpravy.*

SLOVANSKY PRZEHLED. (Praha.) Unor 1902. — P. Maternova: *Z poesie M. Konopnicke.* — M. Jama: *O slovinskem umieni vytwarnem.* — R. Jesenska: *Z nejnoviejszi poesie maloruske. Bohdan Łepkyj.* — O. Wagner: *Ze souczasne tendenczni poesie polske.* — *Dopisy* z Varszavy, z Poznanie, z haliczske Rusi, z Chorvatska, z Lublanie. — *Umieni, vieda:* Cz.: *Literatura polska r. 1901.* — Bohdan Łepkyj: *Ukrajinska literatura r. 1901.* — *Rozhledy a zpravy.*

THE SPECTATOR. (London.) № 3836 - 3851. 1902. — *The old masters of the Academy.* — *Historical art. English Kings and queens at the new gallery.* — *What Mr. Wells anticipates?* — *Music and general education.* — *„Ulysses" at Her Majesty's theatre.* — *Dante and Giovanni del Virgilio.* — *Soundlessmusic.* — *A New Anthology.* — *The New Froissart.* — *Music: Expert and Amateur Criticism.* —*Heroines.* — *Thomas Hardy's „Poems of the Past and the Present."* — *The Problem of the Shakespeare Plays.* — *Sir Walter Besant.* — *Current literature. Publications of the week.*

TYGODNIK ILUSTROWANY. (Warszawa.) №№ 1 — 10. 1902. — El. Orzeszkowa: *Anastazya.* — Wł. St. Reymont: *Chłopi.* — W. Gomulicki, J. Jankowski, Adam M-ski, Br. Ostrowska, Kl. Podwysocki, D. Śliwicki, K. Tetmajer, Wł. Zagórski: *Poezye.*— Ign. Matuszewski: *Stanowisko Mickiewicza w literaturze wszechświatowej.* — Ign. Matuszewski: *Antoni Kamieński.* — Fel. Jabłczyński: *Józef Pankiewicz.* — Ant. Kamieński: *Moi przyjaciele.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WISŁA. (Warszawa.) Listopad, grudzień 1901. — Prof. J. Kral: *Najnowsze kierunki badań mitologicznych.* - M. Wawrzeniecki: *Fragmenty budownictwa drewnianego.* — K. Skrzyńska: *Baśnie z okolic Zamościa i Krasnegostawu* — H. Łopaciński: *Kilka szczegółów ludoznawczych ze „Wspomnień młodości" K. Brodzińskiego.* — Z. Korotyńska: *Pieśni ludowe ze wsi Zapniowa.* — A. Freiman:

Z „Schachname.“ — Poszukiwania. Sprawozdania i krytyka. Przegląd czasopism. Drobiazgi.

DIE ZEIT. (Wien.) 1902. № 379 - 394. — Prof. F. Paulsen: *Die Epidemie des Hexenwahns und die kirchlich-scholastische Philosophie.* — M. Herzfeld: *Marie Baschkirzew.* — H. Ostwald: *Gorkis Verbrecherroman.* — A. Heine: *Buddenbrooks.* — R. Muther: *Burne Jones.* — E. Herner: *Eduard v. Bauernfeld.* — W. A. Neumann: *Ruskin und die Renovierung von St. Stephan in Wien.* — M. Burckhard: *Der Herakles des Euripides.* — M. Martersteig: *Das Ueberbrettl.* — S. Haecker: *Stanislaus Wyspiański.* — R. Muther: *Requiescat in pace* (Zur Galeriefrage.) — M. Burckhard: *Troilus und Cressida.* — K. Boeck: *Japanisches Theater.* — A. v. Ende. *Amerikanische Literaturverhältnisse.* — R. Muther: *Der Hagenbund.* — F. Poppenberg: *Sigbjorn Obstfelder.* — R. Muther: *Die Ausstellung der Wiener Secession.* — C. Mauclair: *Victor Hugo.* — R. Wallaschek: *Wiener Musik - Aufführungen.* — S. Grossmann: *Literaten, Journalisten-und Dilettanbtenücher aus Oesterreich.* — E. Key: *Malvida v. Meysenburg.* — Dr. G. Pauli: *Kunsterziehung.* — J. A. Lux: *Die Kunst und der Staat.* — Dr. E. Castle: *Ferdinand v. Saar's „Hermann und Dorothea.“* — E. Orlik: *Korin.* — Dr. M. Dessoir: *Rede und Gespräch.* — Dr. A. Cloesser: *Courteline.* — F. Gregori: *Des Schauspielers Antheil.* — M. Maeterlinck: *Die Zukunft.* — Dr. R. Batka: *Bunte Bühne.* — Dr. M. Meyerfeld: *Oscar Wilde.* — W. Spohr: *Die Kunst im Leben des Kindes.* — L. Adelt: *Von der neuen Lyrik.* — Dr. H. Ubell: *Paul Schad-Rossa und die Grazer Kunstbewegung.* — M. Finder: *Der Fall Baumberg.* — E. Salburg, G. Rodenbach, A. Croissant-Rust, R. M. Rilke, G. v. Ompteda, R. de Gourmont, Fr. Kayssler, R. Michel, C. Viebig, S. Trebitsch: *Novellen und Erzählugen.* — *Die Woche. Revue der Revuen. Bücher.*

ZVON. (Praha.) 1902. Seszity 8 - 15. — J. Holeczek: *Na pohany.* — A. Jirasek: *U nas.* — Fr. X. Svoboda: *Povidka o lehkem srdci.* — B. Bausze: *Prziroda a umieni.* — Z. Winter: *Vojaczka.* — J. Salaba: *O narodnosti a mezinarodnosti ve viedie a crkvi.* — M. A. Szimaczek: *O spisovatelske otazce u nas.* — J. Vrchlicky: *Victor Hugo.* — Dr. B. Prusik: *Nikolaj Vasiljevicz Gogol.* — A. Heyduk: *Kdo byl spisovatelem nahrobnich napisu czeskych literatu a vynikajicich osobnosti okolo roku szedesateho.* — St. Jarkovsky: *Dva manżele.* — Fr. J. Thomayer: *Chrysanthemy.* — Dr. B. Prusik: *V. A. Żukovskij.* — J. Baudisz, K. Dostal, B. Grünwald, A. Heyduk, A. Klaszterskу, L. Krzikava, J. Linhart, Cz. Ostrovicky, A. Pikhart, Fr. Prochazka, M. Silen, Fr. X. Svoboda, J. Szery, K. Teichman, J. Vrchlicky: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Tyden.*

VARIA.

COLLOQUIA

I.

Luscinia noctu cantat.

Był gaj tuż za podwórzem.
Wiosna. Jednej chwili
Nie upłynęło w nocy
Bez słowiczych tryli.
Do chlewów, obór, stajen
Niosły one pienia

Trąd poezyi, mór tęsknot
I rozpróżniaczenia.
Byk zawiesił czynności
I w zadumach tonie;
Kur, miast kury zaptadniać,
Układa symfonie;

Koń wierzga i wywraca
W kałużę wóz z gnojem;
Krowa zerwała kontrakt
Z żydem-mlekodojem;
Kot myje się i przestał
Dybać na byt mysi;
Pająk na złotej nici
Nad muchami wisi;
Gęś o lotach śni w życiu
Niezależnem, dzikiem:
Tak wszystkich rozmarzyła
Wiosna ze słowikiem.

I wszystkim to groziło,
Że się uczłowieczą.

Pan mizerniał, oblicze
Łez zalewał cieczą.

Aż zebrał Świnię, Osła,
Psa, i im się żali.

— „Jak nie pójdę z torbami,
Gdy będzie tak dalej.
Radźcie wy, nadbydlęta,
W których duszę mrzonka
Żadna się poetycka
Nigdy nie zabłąka,
Co mam począć, o Świnio,
Ośle? Jak widzicie,
W podstawach zagrożone:
Praca, trzeźwość, tycie.
Radź, stróżu ideałów,
Kaczek aporterze,
Psie mój, Świnio ma, Ośle,
Radźcie mi w tej mierze."

Rzekł Osieł: — „Duch zmysłowy
Dziś krowy zakaża.
Sam widziałem: w pejs jedna
Ugryzła pachciarza.
Tę złośliwość bym nazwał
Myśli PEJSYMIZMEM,
Który łatwo zmódz głodem
I plag rygoryzmem."

— „Ja mniemam" — rzekła Świnia, —
„Co do konia, byka:
Przyczyną bezrobocia
Ich — MAŁA ETYKA,
Brak wiary, cnót społecznych...
I, mniemam, najprościej
Byłoby ich pozbawić
Nadmiaru płciowości.
Wałach się nie zaraża
Pieśniami słowika,
I wół powolniej słucha,
Niż byk, i nie bryka.
Co do kota, to nie wiem...
Kotów nie trzebiono."

— „Możnaby mu ubarwiać
Myszy na zielono" —
Rzekł Pies, zdrowy esteta: —
„Kolor łąk, bo przecie
Zieleń wznieca myśliwskość
W zwierzu i w poecie.
Zresztą, przyczyna złego
Nie w tem, lecz w Słowiku:
Złapać tylko przyczynę,
Zdusić, i po krzyku."

Tedy ruszyła trójca.
Wiódł Pies, z miną lisa,
Gdzie gniazdo dekadencyi
Społecznej zawisa.
A gdy je wytropili,
Rzecze Świnia (w rzeczy
Codziennego rozsądku
Nikt świń nie przeprzeczy):

— „Nawróć się" — rzekła, — „ptaku:

Ujdziesz życia nędzom,
Spasiesz się, jak ja—widzisz?..
Potem cię uwędzą
Dymy kadzideł, potem
Schowają cię; takoż
Niejeden cię po śmierci
Chwalić będzie smakosz.
Ja — parol — *kiedy jako*
Prosiak młody ginę,
Opychają mnie farszem
I wieńczą wawrzynem.
Nawróć się, zostań świnią...
Nie?.. psem?.. osłem?.. też nie?..
No, to bądź i słowikiem,
Lecz nie piej tak grzesznie."

Tu podjął mowę Osieł:
— „Twój śpiew jest wyzuty
Z prostoty, śpiewasz, jakbyś
Na sznur nizał nuty.
Czemuż to nie śpiewywasz
Cip-cip-cip *lub* ko-ko,
Gól-ból, *albo* hop-sasa,
Lecz ciągniesz wysoko
Tryl i długo? Mnie słuchaj:
O, uważasz... ryczę."
Tu chropowaty wrzucił
Ryk w uszy słowicze.

— „Czekaj pan" — rzekła Świnia, —
„Zaśpiewamy trio."

— „Oui-oui-oui" — *zawrzasnęli* —
„Cham-cham-cham, a-y-o!"

Biedny ptak nie wytrzymał
Społecznej „canzony",
Zerwał się i odleciał
W jak najdalsze strony.

Zaczem i pan odetchnął,
I znów życiem zdrowem
Żył, siał, płodził, gnój woził,
Orał, doił krowę...

II.

„Mówiąc między nami."

Wół poczciwiec do Ptaka przyszedł i tak wyrzekł:
— „O ty, co gardzisz ziemią i rwiesz się do wyżek,
Tam gdzie ma niedościgłe siedlisko chimera;
Tam gdzie pewno traw niema, gdzie „życie" zamiera;

Tam gdzie leży Prometej twój do skał przykuty: —
Posłuchaj, naucz ty mnie niebieskiej marszruty.
Chciałbym i ja popatrzeć na te rzeczy świętsze:
Jak tam *orzą* i *gnoją* na najwyższem piętrze?

Chciałbym poznać twój *zenit*, jeśli to nie bajda...
Ot, co tu długo gadać — weź mnie w dziób i hajda!"
Uśmiechnął się król wyżyn i rzekł: — „Dobry Wole!
Chociażeś duży urosł, mówisz jak pacholę.

Drwić z fantazyi, ze skrzydeł, z duszy — toś ty gotów,
Wlazłeś w ziemię po pępek, a chciałbyś polotów?
Wyczerpany oraniem albo erotyką
(Hygieniczną), chcesz sprostać orłom lub słowikom?..

Cóż więcej, ziemianinie? Kropkę stawiać mamże-ć
Nad „i"?.. Chcesz nieba, wyżyn, musisz naprzód zamrzeć
Jako wół czteronogi, musisz odwołowieć:
A przedtem o fruwaniu nie mamy co mówić.

Pókiś Wół, tak czy owak, nic tu nie pomoże:
Kto kocha niebo — fruwa, kto ziemię, gnój — orze."
— „Tek?.. więc *ty* lot poniżyć racz tu do nas, tłumu
„Maluczkich," lecz mających też coś-nie-coś *umu*."

Ale Ptak odpowiedział: — „Masz um?.. więc chciej „zumieć",
Że zniżać lot do tłumu to znaczy lot *TŁUMIĆ*.
Bo ptak może gnić, spadły, w jakim ziemskim dole,
Ale Wół się nie wzniesie nigdy. Żegnaj, Wole."

To rzekłszy, rozpiął skrzydła i przed Wołu nosem
Uleciał w kraj „wizyjnej" Chimery (z chaosem).

Jan Lemański.

ZESZYT NINIEJSZY zawiera 13 arkuszy druku, czyli o arkusz więcej od *maksymalnej* objętości naszych numerów. Uczyniliśmy to dla utrzymania związku z chwilą bieżącą.

BITWA POD GRÜNWALDEM Matejki, *Dwie głowy* J. Malczewskiego i *Ruczaj w lesie* F. Ruszczyca zakupiło T. Z. S. P., dzięki skutecznej pomocy kilkunastu miłośników sztuki, którzy przy otwarciu nowego pałacu Sztuk Pięknych zobowiązali się wnosić przez lat pięć stałe wkładki różnej wysokości na powiększenie zbiorów Towarzystwa. Słyszeliśmy też o nabyciu *Piazza del Popolo* A. Gierymskiego, a podobno w toku są pertraktacye o kupno jednego z kapitalnych jego studyów do *Altany*. Jak bardzo pocieszające są to objawy, jak głębokiego uznania godni są ci, dzięki zabiegom których wszystko to doszło do skutku, trudno wprost wypowiedzieć. Postępując dalej wytrwale w tym kierunku, Towarzystwo będzie

mogło pochlubić się niezadługo niewielką może, ale z dzieł pierwszorzędnych złożoną galeryą i relegować spokojnie na strychy z połowę melancholijnych zbiorów dawniejszych. Chodzi o to tylko, aby nabywać mniej raczej, ale same rzeczy doskonałe. Luwr nawet paryski, że niezawsze tak czynił, zaczyna dzisiaj pokutować. I jeszcze jedno: lepiej byłoby na przyszłość wyprzedzać przy kupnach chwilę „powszechnego uznania," wtedy bowiem, z jednej strony, „zachęca się" istotnie wielki nowy talent, odpychany jeszcze przez prasę i społeczeństwo, z drugiej zaś, skromne ostatecznie fundusze na galeryę, póki jeszcze dany artysta nadmiernie nie poszedł w cenę, łacniej zadanie swe spełnić mogą. — Bądź co bądź, w Towarzystwie nowy jakiś zawiał powiew. Bodajby jaknajprędzej dal on się uczuć i w innych zakresach działania „Zachęty": w kwestych premiów, zakupów dzieł do rozlosowania, stałego bazaru wystawowego i t. p.

SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH w Warszawie, o pierwszorzędnem znaczeniu której pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, ukonstytuowała się nareszcie: ustawa została zatwierdzona, komitet opiekuńczy wybrany, fundusze na rok pierwszy złożone. Chodzi teraz głównie o doskonały dobór kierowników artystycznych, aby Szkoła stać się mogła nie bylejaką, lecz pierwszorzędną w swoim rodzaju instytucyą. Od tego doboru, nad którym komitet najbaczniejby zastanowić się powinien, zależy przyszłość szkoły, kulturalne jej znaczenie i nieoczekiwany może rozwój.

SZTUKI GRAFICZNE, po wcale pięknych tradycyach pierwszej połowy ubiegłego wieku, były u nas od dość dawnego czasu w zupełnem zaniedbaniu. Podczas gdy za granicą rozwijały się imponująco akwaforta, autolitografia, drzeworyt oryginalny i t. p., my tkwiliśmy uparcie i wyłącznie w „olejnictwie." Przed kilku laty dopiero, wytworny pejzażysta Jan Stanisławski zaczął pierwszy próbować autolitografii czarnej i kolorowej. Skwapliwie korzystaliśmy z jego ochoty i zdolności w tym kierunku — i czytelnicy nasi mogli sami przekonać się, z dołączonych w pierwszym roczniku pięciokolorowych litografij oryginalnych (Kościół św. Marka, Topole, Villa d'Este), do jak pięknych doszedł urzeczywistnień. Dobry przykład nie pozostaje bez wpływu. Obecnie ruch graficzny jest w pełnym rozwoju. Pankiewicza piękne akwaforty podziwialiśmy na jego wystawie; akwaforcie także oddaje się z zapałem Fr. Siedlecki; Stanisławski, obok autolitografii, próbuje drzeworytu czarnego i kolorowego; drzeworytem również zajmują się gorliwie Dębicki i Tichy;

Wyspiański pracuje nad nieznaną zupełnie na zachodzie fluorotypią; Wyczółkowski, ze zwykłą sobie energią, „szuka“ nader szczęśliwie w litografii naraz i akwaforcie. Potrzeba skupienia i przez to spotęgowania tych indywidualnych usiłowań wywołała zawiązane w Krakowie za inicyatywą p. F. Jasieńskiego „Stowarzyszenie artystów-grafików polskich,“ które nader szybko wydało pierwszą prac swoich tekę. Wzięli w niej udział, prócz wyżej wymienionych, Axentowicz, Malczeski, Mehoffer, Ruszczyc, Trojanowski i Weiss. O tece tej, gdy ją mieć będziem w ręku, pomówimy obszerniej na tle ogólnego zarysu ewolucyi sztuk graficznych.

O ANKIETACH pisaliśmy powyżej. W uzupełnieniu notujemy, że od jakiegoś dnia do innego toczyła się poruszona przez jeden z kuryerków sprawa o to: co robić z pewnym rodzajem sztuk teatralnych, przez tenże kuryerek *pesymistyczno-zmysłowemi* nazwanych, które, aczkolwiek robią kasę czyli są pożyteczne dla dobra teatru i zwiększenia narodowego bogactwa wogóle, to jednak dyskredytują inne, poczciwe, *optymistyczno-umysłowe* (?) prace i wywołują na twarzach pensyonarek oraz uczni czerwoność rumieńców, choć znamionującą wstyd, ale bezwstydnie nieukrywaną i dla osób poważnych złym i gorszącym będącą przykładem? Rozstrzygnięcie tej sprawy kuryerek ów powierzył ankiecie. Najpodobniejszemi do siebie okazały się odpowiedzi Sienkiewicza i p. Szelążka; przyczem *ostatni* „modernistów“ — jak ich nazywa — piętnować radził, a *pierwszy* napiętnował ich słowami *ruja* i *porubstwo*.*). Z trzydziestu i jednego przedstawiciela „pleby,“ ośmnastu, jak obliczyła redakcya tegoż kuryerka, oświadczyła się przeciw *rui*, trzynastu za nią. Spodziewać się należy, iż dla tej piątki (18 — 13 = 5), którą nazwaćby można sprawiedliwą i której właśnie brakowało w Sodomie i Gomorze, warszawscy grzesznicy ułaskawieni zostaną.

WYSTAWA „SZTUKI“ krakowskiej prawdziwą dla szczerych miłośników piękna była uroczystością. Dobór wspaniałych dzieł, absolutny brak miernot, wreszcie, artystyczne samej ekspozycyi urządzedzenie, składały się na wrażenie zupełnie wyjątkowe, jakiego, niestety, w „salonach“ i towarzystwach sztuk pięknych tak rzadko się

---

*) *Ruja* — słowo myśliwskie — oznacza porę zwierzęcych wesel, tańców, tokowań, rautów, balów i flirtów; *porubstwo* — wyraz bibljny, przez Skargę używany, znaczy nielegalną poufałość miłosną, jako następstwo zaślepienia płciowego w toku, tańcu lub flircie. (Każdy gatunek zwierząt ma swój wyraz specyalny).

doznaje. — O wystawie napiszemy obszernie; tymczasem, aranżerom jej i wszystkim członkom „Sztuki“ szczerze winszujemy wielkiego tryumfu.

UCZCZENIE PAMIĘCI A. DYGASIŃSKIEGO. Na mocy zezwolenia, otrzymanego d. 9 grudnia 1902 r. z kancelaryi warszawskiego Generał-Gubernatora, pp. *A. Sygietyński* (Ordynacka, 8) i *M. Białowiejski* zostali upoważnieni do zbierania składek na wzniesienie pomnika A. Dygasińskiemu na cmentarzu powązkowskim. *Gazeta Polska* donosi, iż panowie ci zrobili już przedwstępną umowę z artystą-rzeźbiarzem p. Cz. Makowskim. Pomnik ma być wykonany z marmuru kieleckiego, bronzu i granitu, i stanąć na Powązkach na jesieni.

JAN WROCZYŃSKI zakończył życie w Krakowie. Mało komu, prócz najbliższych, mówi coś dzisiaj to nazwisko, ale rozebrzmi ono gromkim dźwiękiem, gdy się ukażą nieliczne utwory, które pozostawił, — i nie przeminie. Dwudziestoletni zaledwie był to chłopak, ale o duszy olśniewająco głębokiej, o wyobraźni przebogatej, o uczuciu niewysłownie szczerem i prostem, o kulturze, jaką mało kto z rowieśnych czy poprzedników może się pochlubić. Wizyoner, zapatrzony w najgłębszą życia istotę, nostalgista płomienny, sprężający się ku rzeczom najwyższym, nieodgadnionym, niewysłownym, szedł przez życie, tonąc w waryackich dla trzeźwej praktycznej okolności marzeniach, a co z nich wcielał, to niejednokrotnie jedyne, ostateczne, arcydzielne przybierało kształty *(U źródła, Dusza, Więc...)*. I odszedł, snadź jeszcze za wielkiem, tak długo szukanem „Tem“... — Książka, którą wykończył i sam oddał do druku, ukaże się niezadługo! Przyjaciele przygotowują nadto wydanie puścizny rękopiśmiennej.

Żegnaj, duchu tęsknoty nieukojnej pełny. Niech żal nasz idzie za tobą...

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie

Sommaire du N-ro 14. — Août 1902.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES. OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.



CHIMERA. TOM PIĄTY. ZESZYT PIĘTNASTY. WRZESIEŃ 1902.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA — WARSZAWA NOWY ŚWIAT 22.

TREŚĆ.

TOM V. ZESZYT 15. — WRZESIEŃ 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym
B. WIERZBICKIEGO i S-ki.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1902 года.

Dziewczyna modląca się. Rysunek węglowy Karola Tichego.

Widzenia Jecheskielowe.

ואראה מראות אלהים:
Hez. I. 1.

WIDZENIE WOZU.

Roz. I, w. 1, 2, 3. *Stało się tedy, ponad Kebar rzeką,*
że ja, Jecheskiel, syn Buzy, kapłana —
w Chaldei, kędy łzy wygnańców cieką,
widziałem niebios podniesione wieko
i przychodzącą straszną zjawę Pana.

A było piąte lato, miesiąc czwarty,
odkąd wraz z ludem poszedł dźwigać pęta
Jojachin władca, ziemi swej wydarty:
wtedy nade mną strop niebios rozwarty,
i Przedwiecznego moc się stała święta.

w. 4. *Zawył z północy huragan, gnąc dęby,*
a w nawałnicy przyszla chmura sroga
i tuman ognia: — wkrąg błyskawic zęby
darły obłoków pokrwawione kłęby, —
w środku: rdzeń ognia, złoty blask, pożoga.

w. 5, 6. *A otom uźrzał z ogniowego rdzenia*
cztery postacie jakoby człowiecze,
zaś miedzi skrzącej podobne z weźrzenia:
czworgiem oblicza każda z nich z płomienia
patrzy i płomień czworgiem skrzydeł siecze.

w. 7, 8. *Udo ich proste, jako słup toczony,*
a stopa krągła, jako stopa wołu, —
i każda postać, z czterema ramiony,
cztery oblicza w cztery zwraca strony;
skrzydła—dwa w górze ma, dwa zasię z dołu.

w. 9. *Wzniesione — wzajem łączą się u góry,*
dolne, złożone, z obojego boku
ciała im kryją szerokiemi pióry.
Idąc, wprost twarzy idą, jak pod sznury,
ni się zwracają, odmieniając kroku.

w. 10. *A to jest obraz ich twarzy prawdziwy:*
każda wprzód patrzy oczyma ludzkiemi,
z prawej lwia paszcza śród płomiennej grzy-
z lewej łeb wołu, a orli dziób krzywy [wy,
z tyłu tych czworga, wzniesiony nad niemi.

w. 11, 12. *Skrzydła rozwite nad twarzami w górze,*
zaś dwa złożone z obojego boku.
Tam, kędy wioną straszne ducha burze,
idą postacie—wprost przed siebie, w chmurze
ognia, a idąc, nie zwracają kroku.

w. 13, 14. *Żar i zarzewie — oto ich weźrzenie,*
jako pochodnia, gdy wielce rozgorze.
A przebiegały pośród nich płomienie, —
wkrąg jasność, z niej zaś szło błyskawic lśnie-
jak błyskawica szły zwierzęta boże. [nie;

w. 15, 16. *A kiedym poźrzał, zoczyłem na przodzie*
każdej postaci jasną koła zjawę:
barwą podobne zmiennej morskiej wodzie,
a jedno koło w drugiego obwodzie, —
cztery—a wszystkie jak bursztyn jaskrawe.

w. 17, 18. *I szły te koła w cztery świata strony,*
ni się zwracały, tocząc się po niebie
na sprych promieniach wspaniałemi dzwony,
a zaś ich obwód cały wysadzony
oczami, — idąc, szły prosto przed siebie.

w. 19, 20. *Dokąd zwierzęta boże szły, tam z niemi*
dążyły koła, — tam, gdzie wiać ochota
przyszła duchowi. Szły więc z idącemi
a zaś się wespół wznosiły od ziemi:
zaiste, w kołach tych był duch żywota.

w. 21. *Gdy się ruszały ich postacie zwierzchnie,*
i same koła sunęły świetliste,
wraz z niemi stały w blasku, co nie mierzchnie,
lub się wznosiły wespół nad powierzchnię:
był duch żywota w kołach tych zaiste.

w. 22, 23. *Zasię nad zwierząt głowami u góry*
jakoby kryształ blasku i rozpięte
w strasznej jasności sklepienia lazury, —
a pod sklepieniem, ognistemi pióry
złączone, skrzydła — prosto wyciągnięte.

w. 24. *A szum tych skrzydeł, gdy szła owa zjawa,*
jakoby łoskot strasznego potopu,
boży grzmot, tłumu zgiełk, obozu wrzawa—
tak biły wicher. Lecz się cisza stawa,
gdy się wstrzymają pod jasnością stropu.

w. 25. *Bo kiedy zagrzmiał głos na utwierdzeniu,*
które na głowach zwierząt się opiera,
posłuszne, w wielkiem stanęły milczeniu,
spuściwszy skrzydła,—a w błyskawic lśnieniu
nad niemi w górze jaśń słoneczna szczera.

w. 26. *I w tej jasności nad zwierząt głowami*
ujrzałem niby zjawisko stolicy,
niby z szafiru tron, co oczy mami
ogromnych blasków promiennych snopami;
na tronie — ludzka postać w błyskawicy.

w. 27. *Ujrzałem: jakby widmo chryzolitu,*
jakoby ogień chodzący wokoło;
od biodr poniżej: jasnoście błękitu
i skier tumany; od biodr aż do szczytu
głowy: blask ognia—jarkie słońca czoło.

w. 28. *Jak tęcza świetna, słońcem malowana,*
kiedy w dzień dżdżysty błyśnie nad obłokiem:
takowa jasność biła w krąg świetlana —
a toć był obraz strasznej chwały Pana!

Na twarz upadłem, rażon tym widokiem...

WIDZENIE KSIĘGI.

Roz. II, w. 1, 2. *Tedy słyszałem głos, co grzmiał tajemnie*
z pośrodka zjawy: Wstań! chcę mówić z tobą,
synu człowieczy!—Wraz duch wstąpił we mnie,
wzmocnił me nogi, starł z mych oczu ciemnię—
i rzekącego słyszałem nad sobą:

w. 3. *Synu człowieczy! Oto ja ślę ciebie*
do Izraela, do mej krnąbrnej gminy,
co się zaprzała Mnie, Boga na niebie;
jako ich ojce, na Mym wzrosłe chlebie,
tak są odstępne aż po dziś-dzień syny!

w. 4, 5. *Nieukrócony to lud i oporny,*
któremu ciebie posyłam w dzień trudu,
byś rzekł: To mówi Pan!—Czy kto, przezor-
posłucha, a kto zaniecha (przekorny [ny,
dom jest!)—niech wiedzą: prorok był wśród
[ludu.

w. 6. *Ty się nie strachaj, nie bój się ich mowy:*
pośród niedźwiadków mieszkasz od tej pory,
a zaś posłaniem twojem kierz cierniowy, —
lecz w ich obliczu nie drżyj, ani głowy
skłaniaj przed nimi: dom to jest przekory!

w. 7, 8. *Kto snadź poniecha, czy ucha nakłoni*
— boć dom przekorny! — z Mojem słowem by-
niech słyszą! Zasię nie bądź ty, jak oni, [waj,
krnąbrny, lecz słuchaj, coć mówię: w Mej dłoni
twa strawa; usta otwarlszy, pożywaj!

w. 9, 10. *Ano pożrzałem: dłoń ku mnie ściągniona,*
w niej zwita księga, — a gdy się rozkłada
przed okiem mojem, widzę, każda strona
z wierzchu i z spodu pismem wypełniona,
a znaki pisma: jęk i płacz i biada!

Roz. III, w. 1, 2. *I zaś Pan rzecze: Zjedz, synu człowieczy,*
cokolwiek dajęć — i pojdź kazać ziemi
Izraelowej, co proroctwom przeczy! —
Otwarłem usta, i Pan w samej rzeczy
karmił mnie, sługę, księgami owemi.

w. 3. *A zaś: Zaprawdę — pry — napełnij łono,*
żywot i trzewa i żył swych kanały
onych ksiąg gorzkich treścią przetrawioną —
toć Ja ci daję! — Zjadłem je, a ono
jako miód słodkie w uściech mych się zdały!

WIDZENIE SIEDMI MĘŻÓW.

Roz. VIII, w. 2. *Ujrzałem postać — niby chryzolitu*
widmo, jak płomień chodzący wokoło;
od biódr poniżej — jasnoście błękitu
i skier tumany; od biódr aż do szczytu
głowy—blask ognia, w nim słoneczne czoło.

w. 3, 4. *A oto jakby widmo skrzącej dłonie*
wraz mnie chwyciło za głowy kędzierze
i duch mnie poniósł przez powietrzne tonie
pomiędzy niebem a ziemią ku stronie,
gdzie Jeruzalem wznosi swoje wieże.

A podle brony, co na północ idzie,
gniew wzbudzający bałwan stoi ninie
ku hańbie ludu i bożej ohydzie;
nade mną chwała Pańska w takim widzie,
jakom ją wprzódy ujrzał na równinie.

w. 5. *I rzekł Pan do mnie: Wznieś ano źrenice*
i patrz na drogę! — I oto mi widny,
kiedym wzniósł oczy na Pańską świątnicę,
podle ołtarza u wstępu ulice
bałwan jątrzący i nader bezwstydny.

w. 6. *I rzekł Pan do mnie: O, synu człowieczy!*
widzisz, co czynią? Lud Moje najświętsze
miejsce skalawszy, przymierze kaleczy,
abym ztąd odszedł i puścił go z pieczy;
wszelakoż zbrodnie pełnią jeszcze większe!

w. 18. *W zapalczywości przeto z nimi pocznę*
i nie sfolguje oko Me, ni serce
drgnie zmiłowaniem, ni mnie podobłoczne
jęki ich wzruszą — i nie pierwej spocznę,
aż do ostatka wytracę bluźnierce!

Roz. IX, w. 1. *I głosem wielkim, jak potężne grzmoty,*
Pan począł wołać (zmartwiałem od lęku):
Sam-tu, siepacze Moi, do roboty,
bo nawiedzenia przyszedł dzień na złoty
gród Jeruzalem, — pójdźcie! z mieczem w rę-
[ku!

w. 2. *I sześci mężów przyszli na głos Pana,*
z mieczami wszyscy, — a siódmy w ich rzędzie
stanął pośrodku, kędy jest miedziana
ołtarza stołba. — szata na nim lniana
a zaś u bioder pisarskie narzędzie.

w. 3. *I z cherubiego wozu Pańska Chwała*
spłynęła w żrących błyskawic potoku
do wrót świątyni i męża przyzwała,
na którym była lniana szata biała
a zaś pisarskie naczynie u boku.

w. 4, 5. *I rzekł Pan tedy: Idź skróś Jeruzalem*
i naznacz znakiem tych, co wśród wzdychania
nad tą ohydą drą swe szaty z żalem;
a wy w trop za nim, — lasu mego drwalem
bądźcie, a rąbcie wkrąg bez zmiłowania;

w. 6. *Starca, młodzieńca, niewiastę i dziecię —*
wybijcie wszystko, wybijcie do nogi,
kromia kto znak Mój będzie miał na grzbie-
a od świątyni Mojej rozpoczniecie [cie,—
rzeź — niechaj spłyną krwią sienie i progi!

w. 7. *Tak rozpoczęli oną pracę krwawą*
od starszych ludu poprzed Pańskim domem.
A Pan rzekł do nich: Kładźcie wszystko ławą,
splugawcie dom Mój trupami a żwawo!
I oni wyszli, bijąc w mieście gromem.

w. 8. *A gdy skończyli wreszcie zabijanie,*
ja sam zostałem i padłem i z żalem
wołałem: Biada, biada, biada, Panie!
wytracisz lud Twój wszystek, nie ostanie
nikt, gdy wylejesz gniew na Jeruzalem!

w. 9. *A Pan mi rzecze: Bez miary, bez miary*
są grzechy ludu, co dom Mój ohydzi!
Oto kraina do krwi pełnej czary
podobna, miasto jest przybytkiem kary,
iże mówili: Odszedł Pan, nie widzi!

w. 10, 11. *Więc nie sfolguję, aże ich przewiny*
oddam z nawiązką, dobrze wymierzoną,
by Mnie poznały izraelskie syny!
A oto — na trup pokazując siny —
rzekł mąż w gźle lnianem: Jakoś rzekł,
[spełniono.

WIDZENIE POLA KOŚCI.

R. XXXVII, w. 1, 2. *Tedy mnie tknęła Pańska moc i boże*
wichry rzuciły mnie, jak lotną strzałę,
na wielkie, kośćmi zasłane bezdroże.
I duch mię obwiódł wkrąg po tym ugorze —
a kości wszędy, suche wielce, białe...

w. 3, 4. *I rzekł Pan do mnie: Co myślisz, azali*
może żyć owa sucha kość i mnoga?
Jam rzekł: Ty, Panie, wiesz!—On zasię dalej:
Prorokuj białej piszczelów tych fali,
mów: Kości suche! słyszcie słowo Boga!

w. 5, 6. *To mówi Pan wasz: Natchnę was żywotem,*
sprawię, że mięso znów na was poroście,
żyły rozepnę i ścięgna, a potem
powlokę skórą i dam dech z powrotem,
byście wiedziały, żem Ja Pan wasz, koście!

w. 7. *Prorokowałem wedle rozkazania —*
i oto wszczął się wielki szum po stepie,
gdym prorokował, łoskot, chrzęst wstawania:
wnet kość do kości sunie się i skłania,
każda w swym stawie siada i czerepie.

w. 8. *I otom widział, jako je pokryły*
ścięgna, i mięsem kość porosła sucha,
i zatętniały krwią czerwone żyły,
i skórą ciała obleczone były —
ale nie miały do tej pory ducha.

w. 9. *Zaś Pan rzekł do mnie: Prorokuj duchowi,*
prorokuj, synu człowieczy, prawdziwie,
niechaj twój język wolę Mą wysłowi:
Od czterech wiatrów w ciało, co się mrowi
tutaj, wioń duchu, niech wstanie a żywie!

w. 10. *Jako rozkazał, tedym prorokował —*
i wnet duch powiał nad tę zżętą ściernię
i wstąpił w ciała leżące na pował:
jakoby wojsko, które naszykował
Pan, wstały tłumy, liczne niepomiernie.

w. 11. *A Pan zaś rzecze: Kości one suche,*
synu człowieczy — dom to Izraela!
Oto się skarżą: Tracimy otuchę,
snadź nam już zginąć w oną zawieruchę,
co gęstym trupem naszym świat zaściela!

w. 12, 13. *Prorokuj przeto: Mówi Pan nad Pany:*
Otworzę groby wasze i w dzień cudu
na Izraelskie was wywiodę łany,
a kiedy grób wasz będzie rozłamany,
doznacie, żem Ja jest Bóg wasz,—Mój ludu!

w. 14. *I kiedy ducha Mojego w was włożę,*
i gdy was skrzepię, plemię dziś kalecze,
gdy na ojczystym odpocząć ugorze
dam wam — zaprawdę! poznacie w tej porze,
żem Ja powiedział i spełnił. Pan rzecze.

Z PROROCKICH KSIĄG HEZEKIELA PRZEŁOŻYŁ Jerzy Żuławski.

U źródła.



Gdzie?

Nigdzie niema... Przecież błądziłem, chodziłem, szukałem...

Czasami gdzieś na bielonych murach klasztornego korytarza złotem zatańczył obłąkany wieczną tęsknotą słoneczny pocałunek...

Ale to dawno.

Kiedyś też zaiskrzyła się nieziemskim, mistycznym blaskiem sukienka na obrazie Maryi, zaśmiała się tańcem iskierek od hymnów serdecznych...

A wtedy?

Skradał się o świcie, podpatrzył to... Chłodny, blady poranek, rosa, wilgne, chłodne powietrze osmętniło szare mury w litanie zimnych, sierocych łez. Cichy, uśpiony klasztor. Wielki, posępny nieodgadłą ciszą, podwórzec. Dziecko stróża klasztornego tak płacze, płacze... chore,

rachityczne, żółte, zziębłe dziecko... Patrzał... z zamglonych pleśnią czasu, wyblakłych fresków zeszły sędziwe postacie świętych Ojców z dobrotliwym uśmiechem, poczęły zabawiać płaczące, smutne dziecię...

Widział to wyraźnie. Przybiegł zaraz, ale widzenie znikło.

. . . .

Albo kiedyś...

Zmierzchowy spokój, biała toń zadumy kościoła... Ciemno... Gdzieś w nawie żarzy czerwonawą, wyrzutną skargą lampka... Parę ciemnych, słabych, chorych postaci w kątach... Chorągwie drżą od subtelnego oddechu świętych na ołtarzach, na starych, zczerniałych obrazach... i to bez boga, bez hymnu, bez strasznej, prometejowej rozpaczy... jeno ta cicha, bezgłosa zaduma zmęczenia...

Wtedy po raz pierwszy przeczuł czyste, bezpłciowe „To.“

Potem szukał, błądził, tęsknił.

Tak.

Tęsknił do zaklętych, białych, spokojnych jak Śmierć ogrodów, o których prawił mu często fantastyczne baśnie mróz, rysując wielkie, zmrożone ciszą, drzewa na szybach. Wpatrywał się jesienią godzinami w samotniczy, derwiszowy taniec liści, uschłych w wiecznej Tęsknicy...

Jest „To,“ ale on go nie widzi.

Więc szukał.

Nic.

Raz zdawało mu się, że poznał jakiś przelotny, znajomy błysk na różowych ustach śmiejącego się dziewczęcia w skwar letni...

Coś... Coś...

Wpatrywał się, czynił ze swego wzroku myśl... napróżno... Coś marzy mu się, coś błąka w mózgu...

Długie godziny trawił w zadumie przed ponuremi, romańskiemi zamczyskami, co w wielkiej dumie zaskrzepłego milczenia czekają na burze, które umyją strumieniem płomieni zbrukane twarze zmarłych bojowników, witezi i królów, drzemiące na sarkofagach w ich mrocznych wnętrzach. Wpatrywał się w zastygłe twarze gotyckich rycerzy na omszałych, zadumanych smętkiem przeszłości płytach grobowców.

„To“ — uleciało.

A może jest tam, gdzieś głębiej, i trwa, kryjąc swą istotę pod zielonym całunem zapomnienia i pleśni?

. . . .

Niema, nigdzie niema, w ludziach niema, w ich myślach, tworach. Wszystko szare, przeciętne i monotonne, tęczowy dywan myśli człowieczych stał się bezbarwną, logicznie doskonałą przędzą... Tak; sam, zawsze sam: tak być musi. Zamknął się więc w sobie, zasłuchał w jakieś tajemnicze Sfinksy, majaczejące w gwiazdach. Jak jezioro odbił je głęboko na dnach duszy i trwał, zapomniawszy siebie.

Oczy jego stawały się coraz jaśniejsze, jak oczy alkoholika. Upijał się nieledwie przeczuciem idei. Nie starał się brutalnie uświadomić w sobie wyraźnego, bezwzględnie określonego celu. Byłoby to zniweczeniem hołubionej idei. Wiedział, że była tak wiotką i tak jasno, dziecięco zieloną, że zniszczyłby ją, złamał gwałcący strumień karczemnej ciekawości. Dla tego też nie zrywał z niej bladych, mgławych welonów. Kiedyś może zbudzona odbierze mu jego konieczną, sierocą realność wielkim, natężonym krzykiem swego Bytu, ona — Anadyomene! Tak; gdy wzrośnie, spotężnieje w silną, jehowiczną Moc, sama uświadomi się jemu. Tak, objawi się... Wielkie objawienie z siebie.

. . . .

Raz w tłumie wieczorem, w gwarze różnobarwnych świateł i przytłumionego łoskotu wielkiego miasta, uczuł na mgnienie sekundy, że to, to wszystko jest mu tak dziwnie, strasznie znajome. Uczuł raptem, że to, ten czuciowy stan swej duszy, już raz przechodził, czuł tak samo, tak dziwnie jednakowo już raz... już... już...

Z radosnem drżeniem przeczuł, że objawi mu się jakieś jarzące, potężne słowo...

i. . . . .

lecz... lecz...

raptem ściemniło mu się w mózgu, z błyskawiczną szybkością coś zakołowało...

. . . .

zemdlał.

A w nocy, gdy Cisza z wielkich, otchłannych przepaści schodzi na ziemię i slucha długich, miarowych, twardych opowieści zegarów o nędzy ludzkiej, wtedy, pogrążony w jakiś haszyszowy bezmiar, słuchał i czekał kogoś... Czekał Tej, co jest tak arystokratyczna, że nie chce, aby ludzie profanowali ją nazwą...

— — może to Śmierć?

I dziwna, biała, pochylała się nad nim i prawiła mu coś wytężonym wzrokiem...

Czy o tych praojcach, co na łąkach raju tkają ze swych myśli tęcze, by potem opasać tą wstęgą blade czoło kochanki-ziemi?

Śpiewa mu oczami i ustami:

Orle pióra... orle krzyki...

Zimne ciała salamandry, które liże ogień, wiecznie zimne i ciche...

Słuchaj... słuchaj...

Przelęknione oczy królewny (jasne, popielato szare), która, wyszedłszy po nocy poślubnej do zamkowych ogrodów, znalazła łzę, jedną maluchną łezkę na nieruchomych oczach marmurowego satyra...

. . . .

Wiesz? wiesz?

W chorej purpurze zachodu przed cudowną figurą Najświętszej Panienki rozpłakany, siwy faun...

. . . .

Poeta — ty poeta...

Puklerze wielke, a tęgie, a zżarte rdzą... i bisior, poplamiony w królewskim szale krwią i łzami...

I słońce, co ucieka w szalonym, panicznym strachu przez ciemnie, przez głusze wieków, a gubi po drodze krwiste szmaty na nagich czerepach szkieletów. — I ten strach, strach, co zbija tytanów w kłębki... Strach, co wyrasta w noce miesięczne na niepłodnych ugorach szeregiem ostrych, wąskich badyli...

A dziecię ucieka...

W ciemnym łachmanie... do Matki...

A w chacie Matki gromnica stoi, na której Szatan osadził najmniejszą, najbrudniejszą gwiazdkę, tę nikłą i żółtą.

Niech pocieszy...

. . . .

Przed gorączką lśniącemi oczyma chaos, bezład obrazów, wszystko, wszystko... coś błyska... coś idzie... idzie...

Zrozumieć — oh, zrozumieć!

Wytężonym mózgiem patrzał w bezładne tłumy widzeń...

. . . .

W tanecznym, bezładnym, zawrotnym szale bieży

wciąż wszystko, mknie przez myśl — — Życia stopione w sekundach, odwieczne, zapomniane melodye...

. . . .

A harfa gra...

Piekielny chaos melodyi... łąka... wielkie, płaskie, senne liście basów, wiotkie, strzeliste dziewanny fletów mieszają się z drzemiącemi nenufarami trąb... A w to wpełzły, wkradły się, oplotły wszystko — jak kobieta — liany skrzypiec, lubieżne, płaczące, cienkie...

. . . .

Mknie, wszystko wciąż mknie... Złote raje, wyśnione basnie... zamczyska upiorne o świecących ślepiach, w ktorych tęsknią królewny, bladzi krawcy, marzący o wielkiej wojnie... Wszystko otulone w mgławą szatę zapomnienia...

A ona szepcze:

to... to... to...

A potem stapia się wraz ze snami i widzeniami w ciemną sylwetę...

jedna wielka, czarna rysa...

jakby pęknięcie...

co? co?

cicho... czarna rysa... milknie, niknie...

i...

. . . . . .

usnął.

A potem po przebudzeniu żal, głuche, wyblakłe, gobelinowe echa prześnionych szałów. — Sezamy, do których wabiące ścieżki, niby wieczorne wołania prostytutek, widział i słyszał tylko w bezładnych majakach gorączki, — nikły... Szedł zbudzony, znów w życie — szukać.

Obłęd tęsknoty, niewyraźnej, nieokreślonej...

i apatya — — — nieustanna, monotonna apatya życia...

Tak... tak...

Ohydny, wyczerpujący stan przygnębienia, drewnianej, o nieruchomych, martwych, ołowianych oczach, apatyi.

Tracił nadzieję.

Gasła, milkła, to znów z olbrzymią siłą buchała podniecona jakimś przelotnym, migotliwym błyskiem.

Rzucił się gwałtownie do kobiet.

Tak.

Może tam, tam?

Może w nich?.. „To“?.. wielkie „To“? Ich subtelna, czuciowa inteligencya, inteligencya nerwów, przeczuć, sympatyi... Genialna inteligencya mimozy, wyczuwającej rytm świetlanych mórz księżyca... Inteligencya gwiazd, których jasne, kojące promyki całują mroczną, zadumową toń samotniczych, smutnych, niezgłębionych jezior...

A ich melancholijne, sfinksowe uśmiechy?

A liliowa patyna dłoni, białych dłoni złotokosych królewien?

A żalne słowa kochanek, które osiadają rosą wczesnym rankiem przed bitwą na miedzianych tarczach wojowników?

Ale nie, niema... niema...

A może źle szukał? może brutalnością połamał wiotkie lilie? może szałem ognia zniweczył prorocze, sybillowe księgi?

Niema...

Więc gdzie?

Nigdzie?

Jest — musi być, musi . . . .

„To.“

A ta harfa, której cienkie struny całowało słońce?

A ten błysk, który ułowił na zardzewiałym, pradziadowskim ryngrafie na ścianie, gdy babka opowiadała sagi Przeszłości?

A ten srebrny lot gwiazd, który wtedy — widział dobrze — zamarł w gasnący, minorowy ton?

A tony pastuszej fletni, które wiją się w siedmiobarwne tęcze?

I ta Tęsknia... żrąca, niszcząca Tęsknia, Tęsknota niemal przedtwórcza, która mu kazała szukać i błądzić?

Ale niema...

Niema...

Wszystko obszedł; w społeczeństwie, w ludziach, nigdzie.

A może źle szukał?

Nie — ależ nie. — Obszedł wszystko, wszystko widział, wszędy pytał. A może jest za brutalny? może jego dusza — ta harfa Eola — ma za grube struny, by na nich mogły zadrgać i zafalować subtelne tajemnice?

Nie.

Przecież ten błysk... przecież czuł, dlatego szukał... A ta Tęsknia, wielka, piekąca jak rana Tęsknia?

„To“ musi być gdzieś jednakże.

Nie w twardej nieruchomości społeczeństwa, nie w zmudnej, jednotonnej zegarowości jego — wiedział to, czuł...

Więc może po za niem?

I nie w kościołach. Chciał tam znaleźć Chrystusa, tego, który upijał się ideami w osamotnieniu do takiego stopnia, że zapominał miesiącami o ciele, o pokarmach... tego, którego twarz można widzieć dopiero w obłędnej ekstazie zachwycenia. Tak; po za ziemią, po za życiem chwili.

Marzył o świętem pijaństwie biczowników, narkotyzujących się bólem. Śnił na jawie fantastyczne, dziwne dumy.

Podniecał głodny, zgorączkowany umysł odczytywaniem starych, zapomnianych kronik, annalów, kabalistycznych, proroczych ksiąg. W mózgu snuły mu się umarłe legiony wielkich nostalgistów Przeszłości, tęskniących do

nieznanych, przeczuwanych światów: czyste postacie czcicieli ognia, zimni, o fantastycznem, rozpalonem sercu, żelaźni rycerze krucyat, straszni mocą zolbrzymiałego Ducha fakirzy, adamici, gnostycy, zadumani w gwiazdy astrologowie, alchemicy, ludzie paleni za stosunki z czartem, obłąkani poszukiwacze „perpetuum mobile...“

Marzenia nie wystarczały mu: zaraz gubił wątek swych idei. Szukał więc w życiu. Gdzie?

Gdzie?

Przecież czuł, że jest jednakże „To,“ wielkie, niezawisłe „To.“

Przecież raz mu błysnęło w oczach zdychającego z ran psa...

i tam... i tam...

Męczył się, chorował, denerwował coraz bardziej.

Niema, niema, niema!

Czuł się zmęczonym, złym, rozdrażnionym.



Kiedyś krewni przyszli do jego pokoju. Chcieli, ażeby poszedł z nimi... „gdzieś...“

Coś mówili długo, przekonywająco — nie zważał.

A może tam?

Błysnęła mu jakaś myśl. Wiatr

przeczucia poruszył święte naczynia, wiszące na wielkich dębach: lekki, dojmujący dźwięk...

Coś wkształt małej lampki olejnej zbłąkanej w labiryncie katakumb.

Poszedł bez oporu.

Może???

Zaprowadzono go do wielkiego gmachu o fortecznym wyglądzie.

Mimochodem rzucił okiem na bramę: tablica z napisem: „szpital waryatów.“ Nie zwrócił na to wielkiej uwagi: on przecież był bezstronnym!

Gmach z pozoru nie podobał mu się. Wyglądał jak wszystko, czego nie lubił: tak twardo, doskonale, matematycznie sztywnie i prostokątnie.

Ale wszedł.

Prowadzali go po surowych, sennych korytarzach. Długie, posępne, o sinawem zabarwieniu, skąpo oświetlone tunele. Odgłos kroków brzmiał dziwnie dobitnie, głośno, przykro.

Dudnienie to odczuwał fizycznym niemal bólem pod czaszką.

Jakieś osoby patrzaly na niego oczyma handlarzy.

Nakoniec pożegnano się z nim, ściśnięto parę razy mocno za rękę... Coś mówili... nie słuchał... miny mieli, zda się, rozrzewnione... tak, tak... zauważył nawet łzę w oku żony... zdziwiło go to trochę, zresztą było mu to tak strasznie obojętne. Poszli.

Jakaś sala... Drzwi otwarte, wszedł...

Dużo ludzi.

Takie dziwne ich zachowanie się. Raptem uczuł jakieś wewnętrzne wzruszenie.

Może tu?

„To?“

Podbiegł szybko, pelen jakiegoś radosnego olśnienia

do grupy ludzi. Poczuł odrazu ogromną sympatyę do nich: ich oczy były jak jego... takie dziwnie jasne, radosne, zadziwione... oczy, które nie widzą świata, nie widzą tego, na kogo patrzą, tylko widzą „coś...“

„Coś...“ tam... po za mną... gdzieś głębiej... w czwartym wymiarze...

Coś...

Tak.

Uczuł wewnętrzne, jasne wzruszenie...

Tu... tu... tu...

Jest!!!

Trwożne, slodkie, zapierające dech w piersi oczekiwanie... Poczęli mówić... bezładnie... szybko, gorączkowo... wszyscy... i on...

„To.“

Usłyszał chaos głosów, chaos mów, chaos okrzyków i dum, rzucanych w przestrzeń powstańczo, wielkich pytań, które nie pragną odpowiedzi. W gwarze miliona olbrzymich, despotycznych, królewskich majaczeń na jawie — (są jako storczyki zwierzęce, rośliny obląkane bólem granitu, coś jakby błędne, pijane linie, wśród których szczeka niepokój dziwnej, upojnej woni gwiazd nagich, z szat świetlnych odartych) — wyodrębniały mu się zwolna pojedyncze okrzyki, dumy, wyznania.



Ktoś mówił:

„biedni oni są, biedni — oh tacy biedni ci ludzie!

Odarto ich ze wszystkiego, pozbawiono ich najwyższego szczęścia, potęgi...

Wiesz jak?

czego?

Ongi-m miał wieszczą, olbrzymią harfę, świętą wszech-

światem niewygranych, niezbudzonych pieśni... Harfa — a struny jej złote promyki słońca i czarne umarłych gwiazd... Zły demon porwał mi ją i rozbił w milion warkoczy kobiecych...
i nie mam, nie mam...

Oh, biedni oni są, biedni! Nie usłyszą wielkiej pieśni... moja wieszcza harfa rozstrzelona w milion warkoczy kobiecych..."

. . . .

Szept dziwny, niepokojący wżarł mu się w uszy:
„...umiesz inkrustować smutkiem białe piersi kobiet, powiedz, umiesz?.."

Ktoś pyta:
„możeś przyniósł te szumy i zapytania, które rzucają w kruż twego serca, w przepaść twych dum złote chorały rozmodlonych płodnością łanów? co? mów..."

Tak...

To... To...

. . . .

Ktoś nachylił się do samego jego ucha:

„Czekaj, przyszedłeś... może oni cię przysłali... widzisz... ja ukochałem ludzkość... a wiesz jak? wiesz kto ja? wiesz? „Oni" mówili, żem egoista... zbrodniarz... a — — — ja ci powiem..."

Zgarbiony, chudy waryat nachylił się bliżej:

„Ta ziemia, ten wielki glob... to moje wielkie serce...

Tylko cicho, cicho...

Cichooo — — — "

. . . .

Uczuł wkrąg siebie dziwną, tytaniczną, wyśnioną atmosferę. Jak orle skrzydła biły się wokół niego niezawisłe, nieskrępowane niczem, rozkiełznane idee, wielkie powstańcze dumy, dumy, które już nie pragną odpowiedzi,

tych twardych żerdzi, na których siada zmęczony lotem ptak-idea...

Wielka, wolna pieśń sokołów!

Sokoły dumy, które nie rozumieją żółwiego pełzania realności...

. . .

I te subtelne, nieuchwytne błyski, lekkie jak granie miesiąca na cynowych, krągłych misach, błyski, półmgły, półcienie, których szukał tak długo, długo...

Tak...

To... To... To...

Przeczuł, że wielkie „To“ jest tutaj, w tym gmachu, w tych słowach to jego wyśnione „tam.“

„Jam prorok... słuchajcie, znalazłem Miłość...

Chcecie, żebym was kochał szalenie, niepodzielnie, potężnie? a więc przedewszystkiem obalcie moje szczęście, ażebym, nie krępowany niczem, więcej zwracał na was uwagi...“

Ktoś mówił:

„Wiesz, wiesz — ja w burzę chciałem porozwieszać haftowane dywany kolorowych baśni na chmurach, by pocieszyć ich, smutnych, bezdomnych ludzi...

„Śmieli się ze mnie,“ przerwał ktoś, „żem mówił: jestem mgłą, jestem swoim cieniem... a to jest prawda.

Wiesz? wiesz? wiesz?

Ja kazałem swej woli stać się tem; i stałem się, słyszysz, stałem się, bom silny — —
ja — — ja — — jj — — — ...“

„Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Jak huczą...

Szatan splamił... splamił... splamił gorącem tchnieniem białe lilie...
i stały się dzwonami... i zieją rozpacz, hymn, ból...

Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Splamił, splamił, splamił..."

Stłumiony, konwulsyjny, rozpaczny płacz.

. . . .

„hhahhahhaaa...
moje ja uciekło ode mnie... słyszycie? uciekło moje ja ode mnie i ukryło się w nagiem ciele ponętnej, lubieżnej kobiety... i śmieje się ztamtąd do mnie kusząco...

Słyszycie? wy — głusi!

Moje ja uciekło ode mnie! Uciekło ode mnie moje ja!

Słyszycie?

Hahhahaa..."

Śmiech — jakby wielka, pękata bania potoczył się w ciszę.

Uparte, monotonne, jednobarwne powtarzania jednej i tej samej myśli:

„Dwóch nas było: ja i bóg. Ponieważ bóg był zabardzo do mnie podobny, więc zabiłem go, poćwiartowałem jego mięso i warzę teraz w saganie przy ognisku, wyławiając łyżką mocne ekstrakty szczytnych idei, którem mu kiedyś oddał w szale twórczości...
dwóch nas było: ja i..."

„A gdzie ma Tęsknia?

Czy może poszła do tego wielkiego, o błękitnej, zimnej źrenicy jeziora Bólu i myje w niem swe białe, nieskazitelne nogi?..“

Z pośród gęstwy głosów strzela jasną, radosną dziewanną krzyk dumny, świeży:

„Przez monotonne aleje skurczonych, ślizgich, o zielonych, fosforycznych oczach, ropuch Przyczyn i Skutków pędzi, skacząc przez grzędy pokoleń ten włóczęga niewiadomego pochodzenia — Grzech i jego dwa złośliwe, pokraczne mopsy Kara i Pokuta...

Słuchajcie! zabiłem go — teraz wolni jesteście... Raj...“

. . . .

Cichy szept, kobiecy niemal łagodnością półtonów:

„Marzę...

Kiedyś o świcie suchotnicza ma pierś rozpęknie od złotawych, żywicznych tchnień i czerwonym, wijącym się padalcem krwi wpełznie w zieloną trawę boru...

Marzę o śmierci...“

. . . .

Porwał go ktoś za ramię i odprowadził do framugi okna:

„Czy... czy nie mówiły ci czego krwiste maki w ogrodach o mnie? co? co?

A może tyś już skuł w głaz słów namiętny oddech róży, rozkwitłej od kropelki purpurowej krwi, która padła na nią w dzień Wielkiej Bitwy?

A może i ty już umarłeś na dnach kielichów lilii, rozkwitłych w noce miesięczne? Na dnach kielichów lilii, które nie zaznały, co to gorąca nagość słoneczna?

Biedaku: — mów...

No cicho, cicho... nie płacz...“

Ostry krzyk rozdarł ciszę:

„Widziałem Napoleona, tak, widziałem Napoleona wczoraj, jak wieczorem szukał schylony na pobojowisku ostatniej najmniejszej łezki...“

„Hej, hej!

Z tłumu rozżalonych, zahukanych drewnianych bóstw pozbierałem złote uśmiechy, by oddać je kobiecie, mojej srebrnej kochance...

hej, hej!“

„Jam tytan...

Radosny, zwycięzki, migałem czasem przed waszemi oczyma tęgą pawężą Mocy — ja — Attyla, Neron, Janosik, Napoleon...

Ja — tytan!

Lubieżne ciało tłumu, nagą, zmysłową, tarzającą się u mych stóp w obłędnej rozkoszy strachu, Ludzkość łechcę wielką, zapierającą dech w piersiach pieszczotą śmierci...“

„Lazurowe miecze grają wśród mej krwi broczącej...

Ostrzem stali rozjaśniłem posępną, nudną monotonię rytmu swego serca... stałem się lekki przedziwnie i moc swą symbolizuję Ludzkości w zwał trupów wokoło...

A otóż przyszłaś, by śpiewać! Lazurowe miecze grają wśród mej krwi broczącej! i pogarda stali chłodzi gorączkę mych żył.... Śmierć... Śmierć...“

Czuł się rzeźkim, zmartwychwstałym. Znalazł „To“ — wyśnione, upragnione. Ujrzał olbrzymiego, sięgającego gwiazd człowieka... Wszedł jak w dziewiczy las idei, rozrośniętych zuchwale, nieskrępowanych niczem, nawet szczęściem i dobrobytem. Olbrzymi, fantastyczny las idei — jakby wolnych przedhistorycznych widłaków i skrzypów, zalanych zielonawem światłem marzenia. Zamajaczało mu coś, jakby orchidee, złocienie potworne jakieś, obłąkane rokokiem wykwintu, jakieś złote pieśni, które w lasach

muchomorom karły grają... Rytm wielkiej poezyi, łan nastrojów, na którym gra jarzące pieśni szalona fantazya.

. . . .

„To,“ subtelne, wolne, nieodgadłe, wznioślejsze niż modlitwa, niż adorujący oddech kadzielnic. Czuł, że tutaj między nimi znajduje się żywy On — On... Zoroaster... Buddha... Ci, pijani, wielcy pijacy ziemi... Ci, co zrozumieli pierwsi lot ptaków i dali go, zakląwszy w słowa, pospólstwu...

A tam, za murami tego domu są jeszcze kościoły, świątnice mroczne, zimne... „oni“ patrzą na obraziki, na krucyfiksy...

Począł się śmiać cicho, złośliwie, długo...

Znalazł...

„To“ — wielkie, tak długo szukane „To...“

Znalazł.



Jan Wroczyński.



Z księgi przeczuć.

PROLOG.

Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrzność,
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem,
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrzepłem bliższego jest echem...

Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy,
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśćmi złotemi się jarzy
I rzeka nurt stężały obojętnie toczy...

Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń, groźny i zaklęty,
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarły w bezczasie...

Widzę baśń zwierciadlaną, kędy, zamiast słońca,
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa,

Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...

Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę
Przez tunel, pogrążony w zgróz tajemnych krasie,
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarłe w bezczasie...

Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic czuwa,
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny, tu-ówdzie światłem zwypuklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie lśni światełka gwiazda,
Czasem sylwetka głowy zamignie i zginie, —
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jakiś mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —
Zkąd, od kogo? — sam nie wiem! Może z poza światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,

Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy,
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.

STEP.

Wkoło mnie step, chłonący własne uciszenie.
Wicher — rzekłbyś — z księżyca wybiega z szelestem.
Zdaje mi się, żem ziemskie zatracił istnienie,
Że step śni, a ja — stepu snem przelotnym jestem...

Lęk mię chwyta, że ocknie się mój pan uśpiony,
I pierzchnę z jego oczu, ja — chwilowa mrzonka!
Lecz pan mój śpi — a jego sen po nim się błąka, —
Błąkam się, jakbym wpłynąć pragnął w nieboskłony!

Cień za światłem, a światło sunie się za cieniem
Po ziemi, gdzie się w mroku zbłękitnia zieloność.
A tam, do widnokręgów przykuta milczeniem,
Czai się rozszerzona nocą nieskończoność.

GŁUCHONIEMA.

We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewka.
Pragniesz głos jej posłyszeć, gdy patrzy w lazury,
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.
Przyszła do nas z wsi obcej, niewiadomo której.

Nikt nie zna jej nazwiska, ni Snu, co ją stworzył, —
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...
Ja — chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył...

Myślałem, że, gdy w złotym wieczności obłędzie
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny
I zbudzi na jeziorach uśpione łabędzie!..

We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada.
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie, —

Pytam go, co za rzeka? — a on odpowiada:
„Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie...

„Mówią jedni, że Tykicz, drudzy, że Mohiła, —
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Blizka, —
Ja stary wiem, że niema ta rzeka nazwiska,
Co rzece po imieniu, gdy w snach dno zgubiła!..“

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach nietrwały,
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmory
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema
Z duszą do umarłego podobną słowika,
Ta śpiewaczka bezgłośna, lira bez lirnika
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła jak człowiek, co, nie słysząc, słucha —
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi.
Rybaczka! — chciała może złowić sen gołębi,
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha!

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,
Opowie ludziom wszystko, o czem wciąż milczała!

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą.
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna...

Obca sobie i światu, między dniem a nocą
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna...

SAD.

Rozmajaczył się dzisiaj mój sad czereśniowy,
Ku księżycowi ścieżką wytężony krętą.
Noc go czyni podobnym do mrocznej alkowy,
W której drzewa uśpione wraz z ich snem zamknięto!

Rozmajaczył się dzisiaj moj sad... Wszak w południe
Dziewczęta rwały tutaj dojrzałe czereśnie.
Wyszły potem. Owoce, iskrzące się złudnie,
Skryły się w mroku nocy, niby oczy we śnie.

Skryły się w mroku nocy, — ale, idąc sadem,
Czuję wpośród ciemności ich ciężkie zwisanie, —
Czuję czyjeś spojrzenie na mem czole bladem:
Jest ktoś w sadzie, co patrzy i co ma swe trwanie...

Rozmajaczył się dzisiaj moj sad, jakby w sobie
Nie jedną, ale tysiąc nagromadził nocy!

Szybciej krążą drzew soki, ze skrytych owocy
Tryska światło czerwone, lśniąc w mroków żałobie!

I sad moj w purpurowem tonie oświetleniu,
W którem staje się wszystko, co się staje we śnie...
W południe tu dziewczęta zrywały czereśnie,
Wyszły potem...
Lecz teraz w szkarłatnem omdleniu
Widzę tu inne dziewki, cudowne, olbrzymie —
Żądze moje! Ta — spiekłe rozchyliła usta,
Inna własnym warkoczem, slodkim jak rozpusta,
Chłoszcze piersi, — a inna chce szepnąć me imię,
Lecz darmo — obłąkana — szuka go w pamięci:
Zginąłem tam, jak w lubej, ponętnej mogile, —
Dobrze mi tam, — o! lepiej, niżli żyć przez chwilę
Z dziewką, co w głupim tańcu nadziei się kręci!

Sad szumi. Dziewki moje rojnie i gromadnie
W zachwyceniu na wielkie wspinają się drzewa
I rwą złudne owoce, tryskające zdradnie
Ogniem, który tej nocy tak sennie dojrzewa!

Rwą i karmią się chciwie przesłodkim płomieniem,
Wpływającym do piersi, jak do oczu zmora,
Bo ten płomień, choć znika, jeszcze przed zniknieniem
Daje im przedsmak jutra, co przyjść miało wczora...

Ale ja czuję ciągle czyjś wzrok przez otchłanie,
I słyszę wciąż śmiech cichy, szyderczo-żałobny:
Jest ktoś w sadzie, co patrzy, i co ma swe trwanie,
Ktoś, co drwi z moich dziewek... ktoś — do mnie podobny!

LEŻĘ NAWZNAK NA ŁĄCE...

Leżę nawznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali
Zaniósł mię tu i złożył — sam odleciał dalej.
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży!

Wicher włosy mi czesze na rozgrzanej skroni.
Szum w dali niewidzialną kotarą powiewa,
Za którą harem kwiatów lubieżnie omdlewa,
Aż czuję podniebieniem smak trującej woni.

Zdaje mi się, żem skonał umyślnie i ożył,
Przemieniony w szum leśny, albo w szelest łąki,
Co życia nie pojmuje bez wiecznej rozłąki
Z drzewem, z którego powstał, — z kwiatem, co go stworzył.

Zdaje mi się, że mózg mój jest tyglem piekielnym,
W którym słońce swe szały przetapia na złoto,

Żem roztajał oddawna w traw zgiełku weselnym,
Żem się rozsiał po łące, aby wzejść tęsknotą!..

Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,
Oddziela się odemnie, jako woń od kwiatów,
I trwa już ponade mną — i już samo w sobie!

A chociaż ze mnie wyszło — należy nie do mnie,
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych marą,
Do bezkresów, do nieba, jasnego ogromnie,
Co na mnie — niewiernego — patrzy z taką wiarą!..

KABAŁA.

Oto pragnę odgadnąć bieg życia strumieni, —
Dni przyszłe, dni wysiłkiem godzin rozszalałe, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

I, gdy duch mój, prastarą z życiem strudzon waśnią,
W ogniach jasnowidzenia pali snów obiatę, —
Pokój się rozezłaca w zamkową komnatę,
Ja — i wszystko poza mną wnet się staje baśnią!

Z kart głębi, gdzie się tają portrety odwieczne
Czterech dworów królewskich, zaświatowych dworów,
Wychodzą, do odklętych podobne upiorów,
Króle, damy i pazie — cztery sny słoneczne!

Zmarłych dawno czarownic widziadlane syny,
W turkusach i topazach, w jedwabiach i złocie,

W stroju sennym, zawiłym, — ku mojej tęsknocie
Zwracają martwe oczy i ust koral siny!

I, unosząc w swych berłach wieczności promienie,
W kabalistycznym tańcu wirują po sali, —
Damy, jak tulipany, — pazie, jak złocienie,
Królowie, jak lotosy, które żądza pali!

Do tańca gra im zwiewna, dalsza od miesiąca,
Muzyka, wywołana ich stóp wirowaniem,
Melodya, niewiadomo zkąd wypływająca,
Melodya, co trwa kędyś poza własnem trwaniem...

Trwa i śpiewa o bramach, gdzie w progach u celu
Nic nas jeszcze nie czeka prócz Oczekiwania,
O krainach przebrzmiałych, kędy w harf weselu
Sam taniec bez tancerzy upojnie się słania!..

Sam taniec bez tancerzy, sam szał bez przedmiotu, —
Trwa i śpiewa i nagle w oddaleniu kona...
Wraz z nią pierzcha i moja baśń niedokończona,
Sen, wysnuty z niczego, — albo z gwiazd obrotu!..

I znowu dawny pokój, widzę pełny cieni,
Co przed chwilą krył zamku zaklętego chwałę, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

ZAPOMNIENIE.

Czasem, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny, —
Wydaje mi się nagle, żem zapomniał — o czem? —
Nie wiem, — lecz o czemś blizkiem, tajemnem, uroczem...

Możem chciał się pomodlić, wtopiony w przestrzenie,
O nagłe, niespodziane, nieziemskie istnienie,
Ale słowa modlitwy pierzchły w mgły bezdomne, —
I już się nie pomodlę i słów nie przypomnę...

A może śmierć wejrzała ku mnie z podobłoczy,
Kiedy miałem ku życiu zawrócone oczy —
I zapomniałem umrzeć, zapomniałem o tem,
By odlecieć w świat, który wiecznym jest odlotem!

Lub może potajemny rozkaz czułem w duszy,
Abym dom swój opuścił na zawsze wśród głuszy,

A szedł wiecznie w oddale senne, nieprzytomne, —
I zapomniałem, — dokąd, — i już nie przypomnę...

Jest to chwila, gdy Pamięć mimo trwożnej chęci
Pocałunek na czole składa Niepamięci...
Chwila, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny...

EPILOG.

Bracie, smutny mój bracie! Ty, co słyszysz wiecznie
Echa własnych odjazdów ku mgłom zaistnienia,
Ty, co duszę, stworzoną od Bożego tchnienia,
Chcesz tchnąć dalej — w głąb marzeń, płonących słonecznie,

Gdy skroń twą melancholii klasztornicza cnota
Przykuje do szyb zimnych samotnej komnaty,
Pij truciznę mej pieśni, cenniejszą od złota,
Pieniącą się obłędem wonnym, niby kwiaty!

Dusza twoja w tem życiu, jak księżyc w jeziorze,
Odbiła się, na mgnienie rozjaśniając fale,
Jutro księżyc odpłynie w niewiadome dale,
Jezioro spustoszeje i ciemność je zmoże!..

Odwróć oczy od niego! Spójrz na gwiezdne szlaki,
Któremi iść masz dłużej, niżeli po świecie!

Pij truciznę mej pieśni, — i w tajemne znaki
Swych przeczuć wglądaj zawsze, ufny, jako dziecię!

A oto przykazanie daję ci w żałobie
Z moich marzeń Synaju, gdzie ukryty płonę:
Czyń tak zawsze i dumaj, jak gdyby ku tobie
Oczy wszystkich umarłych były wciąż zwrócone!



Bolesław Leśmian.



Olympian bards who sung
Divine ideas below,
Which always find us young
And always keep us so.

Rzekomi arbitrzy w rzeczach smaku bywają często ludźmi, którzy posiedli po trosze znajomość najsłynniejszych dzieł malarstwa i rzeźby, i mają zamiłowanie do wszelkiej elegancyi, lecz gdy poczniemy badać, czy ich dusze są również piękne, oraz czy ich czyny są podobne do pięknych malowideł, przekonywamy się łacno, że mamy do czynienia z pospolitymi zmysłowymi egoistami. Ich wykształcenie nie sięga poza ciasny zakres, podobnie jak suche polano, pocierane dla otrzymania ognia, rozgrzewa się tylko na jednem miejscu, a na innych pozostaje zimnem. Ich znawstwo w dziedzinie sztuk pięknych polega na znajomości reguł i szczegółów, lub też na ograniczonych sądach w sprawach barwy i kształtu, wygłaszanych dla rozrywki lub pozoru. Jak płytkie są teorye estetyczne naszych miłośników sztuki, świadczy dostatecznie już ta okoliczność, iż, jak się zdaje, zatracili oni doszczętnie poczucie

ścisłej zależności wszelkich kształtów od duszy. W naszej filozofii brak nauki o kształtach. Wkładają nas w nasze ciała, jak żar w panew, gwoli przenoszeniu z miejsca na miejsce, a nikomu przez myśl nie przejdzie, jak ścisłym jest związek duszy i narządów, a tem mniej, że te ostatnie są zawsze wytworami pierwszej. Ludzie inteligentni zgoła już przestali wierzyć w jakąkolwiek istotną zależność świata materyalnego od ducha i woli. Teologowie, gdy im przyjdzie mówić o duchowem znaczeniu okrętu, chmury, miasta, czy traktatu, uważają to za piękną mrzonkę i wycofują się chętnie w takich razach na stały ląd oczywistości historycznej; nawet nasi poeci zadowalają się filisterskim, zrównoważonym trybem życia i piszą swe poezye z wyobraźni, trzymającej się przezornie zdala od ich własnego doświadczenia. Natomiast najwyższe duchy świata nie ustawały nigdy w badaniu dwoistego, a raczej poczwórnego, sto- czy tysiąckrotnego znaczenia wszelkiej pod zmysły podpadającej zjawy: tak czynił Orfeusz i Empedokles, i Heraklit, i Plato, i Plutarch, i Dante, i Swedenborg, i wszyscy wsławieni mistrze rzeźby, malarstwa i poezyi. Albowiem nie mamy nic wspólnego z panwiami, ni urnami z ogniem, ani też nie niesiemy świateł ni pochodni, lecz jesteśmy dziećmi ognia, z niego-śmy utworzeni, a nawet—aczkolwiek tego zgoła nie przeczuwamy—stanowimy tylko odmienną formę tej boskiej siły, formę, która zaledwie o dwie lub trzy przemiany od niej się oddaliła. I właśnie ta utajona prawda, że źródła, z których wytryska cały strumień epoki wraz ze wszystkiemi swemi tworami są w swej najistotniejszej głębi piękne i idealne, skłania nas do rozpatrywania istoty i funkcyj poety, tego herolda piękności, do rozważania środków i materyałów, którymi się on posługuje, oraz do rzutu oka na ogólny stan sztuki w chwili obecnej.

Doniosłość problemu jest ogromna, bo poeta ma zna-

czenie reprezentanta. Wśród ludzi niedoskonałych reprezentuje on człowieka doskonałego i uszczęśliwia nas bogactwem nie swojem, ale świata całego. Młodzieniec czci geniuszów, bo, otwarcie mówiąc, na jego indywidualność więcej złożyli się tamci, niż on sam. On czerpie z tego samego ducha, co oni, ale oni zaczerpnęli więcej. W oczach ludzi kochających, przyroda zyskuje na piękności, gdy sobie wyobrażą, że poeta wraz z nimi patrzy na jej przepychy. On wśród współczesnych sobie stoi odosobniony wraz ze swą prawdą i swoją sztuką, ale ma tę pociechę, że jego dążenia stworzą prąd, który wcześniej lub później wszystkich ludzi ze sobą porwie. Albowiem wszyscy ludzie żyją prawdą i potrzebują się wypowiedziec. W miłości i sztuce, w skąpstwie i polityce, w zabawie i pracy, usiłujemy wyjawić naszą tajemnicę bolesną. Każdy człowiek jest tylko przez pół sobą samym, drugą jego połowę stanowi wyraz!

A jednak mimo tej potrzeby wypowiadania się, prawie nigdy nie umiemy rzeczywiście się wypowiedzieć. Nie wiemy, zkąd to pochodzi, że wciąż potrzebujemy tłómacza; snadź znaczna większość ludzi podobna jest małoletnim, którzy jeszcze są niezdolni do rzeczywistej samodzielności, lub niemym, którzy swego stosunku do przyrody nie potrafią określić słowami. Niema człowieka, któryby nie przypuszczał, że słońce i gwiazdy, ziemia i woda mają nadzwyczajne cele. Oto są one, oto jeno czekają, aby mu świadczyć szczególniejsze przysługi.

Wszelako w naszym ustroju działają snadź jakieś czynniki hamujące, lub może pierwiastki ospałości, które nie dozwalają mu wywrzeć swej mocy w całej pełni. Wpływy przyrody wstrząsają nami za słabo, aby z nas uczynić artystów. Przy każdem zetknięciu powinnoby w nas coś rozbrzmiewać i wibrować. Każdy z nas powinienby być artystą w tym stopniu, aby przynajmniej w rozmowie

mógł wyrazić, co się w nim i z nim dzieje. Lecz wiemy z doświadczenia, że promienie i wrażenia mają wprawdzie dość siły, aby dotrzeć do zmysłów, lecz niedość, aby dosięgnąć ośrodków ruchowych i objawić się w słowach. Tylko u poety siły te są w równowadze, tylko on jeden przebiega całą skalę doświadczeń i, dzięki swej tytanicznej zdolności przyjmowania i udzielania wrażeń, staje się przedstawicielem całej ludzkości.

Albowiem wszechświat ma troje dzieci, zrodzonych w tym samym czasie, które pod rozmaitemi imionami pojawiają się w każdym systemie filozoficznym, bez względu na to, czy się zowią przyczyną, działaniem i skutkiem, czy poetyczniej Jupiterem, Plutonem i Neptunem, — a które my tutaj mędrcem, działaczem i wieszczem zwać będziemy. Ta trójca reprezentuje miłość do prawdy, miłość do dobra i miłość do piękna. Wszyscy trzej są sobie równi; każdy z nich jest tem, czem jest, istotnie i rzeczywiście, tak że ani przewyższony, ani analizowany być nie może, każdy z tej trójcy zawiera w sobie moce dwóch innych w stanie biernym, a jego własne są czynne i wolne.

Poeta jest wieszczem, głosicielem i reprezentuje piękno. Jest nieograniczonym władcą i stoi w środku wszechświata. Albowiem świat nie jest wymalowany i upiększony, lecz jest piękny od początku do końca. Krytykę naszą skaziły ględzenia materyalistów; ci samozwańczo utrzymują, że fizyczna zręczność i działalność stanowi największą zasługę człowieka, i lekceważą tych, którzy mówią, a nie działają, zapominając, że niektórzy ludzie, a mianowicie poeci, są z natury swojej głosicielami, zesłanymi na świat gwoli wieszczeniu i przepowiadaniu, i mieszając ich z ludźmi czynu, porzucającymi swą dziedzinę, aby naśladować wieszczów. Ależ słowa Homera są dla Homera niemniej boskie i przedziwne, niż dla Agamemnona zwycięstwa Agamemnona. Poeta nie czeka na bohaterów i mędrców,

lecz, podobnie jak oni bezpośrednio czynią i myślą, tak on z pierwszego popędu tworzy i pisze to, co powinno być wypowiedziane, a tworząc, wyznacza im, drugorzędną rolę zjawisk i sług swoich, aczkolwiek oni sami przez się mają pierwszorzędne znaczenie, rolę podobną do tej, jaką odgrywają modele w pracowni malarza, lub robotnicy, którzy dostarczają architektowi materyałów do jego budowy.

Albowiem wszelka poezya była już napisana, zanim czas zaczął istnieć, i jeśli jesteśmy na tyle wysubtelnionemi organizacyami, że możemy dotrzeć do tych sfer, gdzie powietrze jest muzyką, słyszymy owe pierwotne melodye i próbujemy je spisywać, lecz tu i owdzie zapominamy jakiegoś słowa, lub jakiegoś wiersza, a na jego miejsce wstawiamy inne własnego pomysłu i w ten sposób psujemy poemat! Ludzie o subtelniejszym słuchu spisują owe melodye wierniej i ich transkrypcye, acz niedoskonałe, stają się pieśniami narodów. Gdyż przyroda jest tak istotnie piękna, jak jest dobra i rozumna, i wymaga tak samo spostrzegania, jak wypełniania i poznawania. Słowa i czyny jako przejawy boskiej energii są sobie zupełnie równe co do wartości. I słowa są czynami, a czyny rodzajem słów.

Znamieniem i pismem uwierzytelniającem poety jest to, że ma on w sobie rzeczy, których nikt inny przed nim nie powiedział. On jest jedynym i prawdziwym nauczycielem, on wie i umie opowiadać, on jedyny przynosi nam istotnie coś nowego, bo on był obecnym i wtajemniczonym w zjawisko, które nam opisuje. On jest tym, który widzi idee, który wypowiada przyczynę i konieczność. Nie mówię tu o poetyckich talentach, ani o sprytnych i pilnych rymopisach, ale o prawdziwym poecie. Zdarzyło mi się niedawno wziąć udział w rozmowie o jednym z nowoczesnych liryków, człowieku wytwornego ducha, którego mózg zda się istnem narzędziem muzycznem, pełnem słod-

kich tonów i rytmów, i którego biegłości we władaniu językiem nie mogliśmy się dość nachwalić. Wszelako gdy się nasunęło pytanie, czy jest on nietylko wybornym lirykiem, lecz i poetą, musieliśmy wszyscy przyznać, że oczywiście mamy do czynienia z talentem współczesnym, nie zaś wybrańcem wieczności. Bo nie wystrzelał on z naszych nizinnych padołów jak pod równikiem Chimborasso, który ze swej podstawy spalonej żarem słońca, dźwiga się poprzez wszystkie klimaty i strefy ziemi i opasuje swe wysokie, różnobarwne stoki roślinnością wszystkich szerokości; był on raczej podobny do willi pośród nowoczesnego parku, przyozdobionego wdzięcznie fontannami i posążkami, gdzie po promenadach i tarasach przechadzają się i wypoczywają dobrze wychowani panowie i damy. Poprzez zmienną muzykę słów, słyszeliśmy ton zasadniczy naszego konwencyonalnego życia. Nasi poeci są to ludzie utalentowani, którzy śpiewają, nie zaś synowie muzyki. Treść jest dla nich rzeczą drugorzędną, gładkość wierszy główną.

A tymczasem istotę poezyi stanowi nie rytm, lecz treść, która rytm stwarza, — myśl tak namiętna i żywotna, że posiada, podobnie jak dusza rośliny lub zwierzęcia, własną architekturę i wzbogaca przyrodę nowem zjawiskiem. Myśl i forma są sobie równe w istnieniu, ale w powstawaniu myśl wyprzedza formę. Poeta ma nową myśl: ma do obwieszczenia i opowiada nam, co się z nim działo, a cały świat wzbogaca się o jego szczęście. Doświadczenie każdej nowej generacyi domaga się również nowej spowiedzi i świat zdaje się wciąż oczekiwać poety. Przypominam sobie z mej młodości, jak niesłychane wrażenie wywarła na mnie pewnego dnia wiadomość, że młodzieniec, który siadywał w pobliżu mnie przy stole, okazał się geniuszem.

Porzucił swe zajęcie, wędrował po świecie, niewiadomo gdzie, i napisał kilkaset wierszy, ale nie umiał po-

wiedzieć, czy mu się powiodło wyrazić w swych wierszach to, co się kryło w jego duszy: wiedział tylko to jedno, że wszystko wydało mu się zmienionem: ludzie, zwierzęta, ziemia, niebo i morze. Z jakąż radością słuchaliśmy! Z jaką wiarą! Zdało się nam, że dawne społeczeństwo przestało istnieć. Otaczała nas jutrzenka nowego słońca, która miała przygasić blask wszystkich gwiazd. Boston zdał się nam dwa, lub nawet więcej razy, odleglejszym, niż dnia poprzedniego. A Rzym — czem był dla nas Rzym? Plutarch i Szekspir wydali się nam czemś przestarzałem i zbutwiałem, a o Homerze nie było odtąd mowy. Przecież to taka wielka rzecz wiedzieć, że właśnie dnia dzisiejszego, pod tym samym dachem, tuż obok nas powstało dzieło poezyi. Co?! Więc ten przedziwny duch jeszcze nie zanikł? Więc te kamienne źrenice skrzą się jeszcze życiem! A ja myślałem, że wszystkie wyrocznie dawno już umilkły, że ognie przyrody już się wytliły. I oto patrz! Przez całą noc, wszystkiemi porami, napływała znów ta cudna jutrznia! Dla każdego człowieka pojawienie się poety jest wielkiej wagi i nikt nie wie, jak bardzo może go to obchodzić. Wprawdzie wiemy, że tajemnica świata jest głęboka, ale kto lub co ją nam wytłómaczy, tego nie wiemy. Wycieczka w góry, nowy wyraz oblicza, czy nowy człowiek mogą nam dostarczyć rozwiązania zagadki. Wartość geniuszu polega naturalnie na prawdziwości jego wieszczeń. Talent może igrać i żartować, geniusz stwarza nowe wartości. Ludzkość w zrozumieniu swej istoty i swego zadania dotarła już tak daleko, że jej przednie czaty mogą ze szczytów obwieszczać, co dostrzegły. Ich słowa są najprawdziwszemi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, ich wieszczby są dla swej epoki najwłaściwszemi, najmelodyjniejszemi, jedynie nieomylnemi głosami świata.

Wszystko, co nosi miano uświęconych dziejów, stwierdza, że narodziny poety stanowią najważniejsze wydarze-

nie chronologii. Ludzkość, aczkolwiek już nieraz rozczarowana, wciąż czeka na zjawienie się brata, który zdoła zniewolić ją tak mocno urokiem jakiejś prawdy, iż tę prawdę będzie musiała wchłonąć i przyswoić sobie na własność. Z jakąż niewymowną radością poczynam czytać dzieło poezyi, które mi się wydaje naprawdę natchnionem! Oto teraz pękną moje łańcuchy, oto teraz wzlecę ponad te chmury i opary mroczne, wśród których żyję, — nieprzejrzyste, aczkolwiek przezroczami się wydają, — i z niebiosów prawdy ujrzę i przeniknę mą własną istotę, oraz jej znaczenie. Pojednam się z życiem i odrodzę się nanowo, gdy się dowiem, jakto jedna dążność przepaja ogniem i duchem drobiazgi życia, gdy uświadomię sobie swe własne porywy i czyny. Odtąd życie przestanie mi być czczym zgiełkiem, bo odtąd ujrzę męże i niewiasty i poznam znamiona, dozwalające ich odróżnić od błaznów i dyabłów. Przeto ten dzień będzie dla mnie świętszym od dnia narodzin moich: wtedy przyszedłem na świat, a dziś rozlega się wezwanie, abym przeniknął tajń czystego Poznania. Tego oczekuję, ale muszę odroczyć rozkosz spodziewaną. Częściej zdarza się, że ów uskrzydlony człowiek, który ma nieść mnie do nieba, porywa mnie na chmury, skacze i rzuca się ze mną po obłokach, zapewniając bezustannie, że jego droga wiedzie w niebiosa. A ja, jeszcze nieświadom, poznaję dopiero późno i zwolna, że on wcale nie zna drogi do nieba, i że tylko pragnie wywołać we mnie podziw dla zręczności, z jaką, na podobieństwo kury lub ryby latającej, unosi się w pewnej wysokości nad poziomem ziemi, czy wody; ale we wszystko przenikającem, wszystko ożywiającem, przeczystem powietrzu niebios on nigdy nie zamieszka. Przeto staczam się znowu w głąb' mego starego zakątka, i po dawnemu wiodę życie opacznie, utraciwszy wiarę w istnienie przewodnika, któryby mnie do celu mych życzeń mógł doprowadzić.

Lecz zostawmy w spokoju te ofiary własnej próżności, i, zaczerpnąwszy otuchy na nowo, przyjrzyjmy się, jak z pomocą szlachetniejszych bodźców upewnia się przyroda, że poeta dochowa wiary swemu posłannictwu wieszczenia; temi bodźcami są niepoliczone postacie piękności świata, która raz objawiona, staje się pięknością nową i wyższą. Przyroda nastręcza poecie wszystkie swe twory jako mowę symbolów. W każdej rzeczy, zużytkowanej jako symbol, objawia się drugie, przedziwne znaczenie, o wiele cenniejsze od pierwszego, właśnie jak w silnie napiętej linie cieśli, co gra słodko na wietrze, gdy przyłożymy do niej ucho. „Rzeczy, stokroć wspanialsze od wszelkiego obrazu, bywają wypowiadane przez obrazy“ — mówi Jamblichus. Rzeczy dają się stosować jako symbole, bo przyroda sama jest symbolem, zarówno w całości, jak w każdej swej części. Każda linia, którą kreślimy na piasku, ma swe znaczenie, i niemasz ciała, które byłoby pozbawione właściwego sobie ducha, czy geniuszu. Wszelka forma jest wytworem charakteru, każda sytuacya w życiu wynikiem sposobu życia, a wszelka harmonia następstwem zdrowia. Podstawą piękna jest konieczność. Duch kształtuje ciało, jak mądrze powiada Spencer:

So every spirit, as it is more pure,
And hath in it the more of heavenly light,
So it the fairer body doth procure
To habit in, and it more fairly dight,
With cheerful grace and amiable sight.
For, of the soul, the body form doth take,
For soul is form, and doth the body make.

Tu dostajemy się naraz z wygodnych ścieżek spekulacyi krytycznej na święty grunt, po którym należy kroczyć przezornie i z czcią wielką. Oto stajemy przed ta-

jemnicą świata — tam, gdzie przeistacza się Jaźń w Zjawę, a Jedność w Wielość.

Wszechświat jest eksternizacyą ducha. Ten objawia się wszędzie, gdziekolwiek jest życie. Wszelka nasza wiedza jest wiedzą zmysłów i dlatego powierzchowną. Ziemię i ciała niebieskie, zjawiska chemiczne i fizyczne badamy zmysłami, jak gdyby istniały same przez się, gdy tymczasem tworzą one jeno orszak naszej jaźni. „Wspaniałe niebo — powiada Proklus — ukazuje w swych transfiguracyach wyraźne obrazy przepychu intelektualnych uświadomień, pozostające w ścisłym związku z utajonemi okresami w życiu uduchowionych natur.“ Dlatego wiedza stoi zawsze na tym samym poziomie, co człowiek, i w swoim rozwoju dotrzymuje kroku religii i metafizyce, czyli innemi słowy: stan wiedzy jest wskaźnikiem naszego samopoznania. Ponieważ wszystko, co w przyrodzie istnieje, odpowiada pewnej sile duchowej, przeto jakieś zjawisko może tylko tak długo i dlatego być niepojętem i ciemnem, że w badaczu dotycząca zdolność nie stała się jeszcze siłą czynną.

Przeto nic dziwnego, że z uczuciem świętej grozy zawisamy nad takiemi głębiami. Piękność baśni świadczy poecie, oraz wszystkim innym, o ważności jej znaczenia; lub, wyrażając się inaczej, — każdy człowiek jest poetą o tyle, o ile zdolen jest do odczuwania tych czarodziejskich sił przyrody, albowiem we wszystkich ludziach tają się myśli, których przebóstwienie tworzy wszechświat. Mnie się zdaje, że cały czar zamyka się w symbolu. Kto kocha przyrodę? Kto jej nie kocha? Czy tylko poeci i ludzie wykształceni obcują z nią w chwilach wytchnienia? Nie, lecz także strzelcy, chłopi, fornale i rzeźnicy, aczkolwiek miłość do niej objawiają w wyborze zawodu, a nie w doborze słów. Uczony zastanawia się ze zdziwieniem nad tem, co właściwie stangret lub strzelec ceni

tak bardzo w jeździe konnej, psach i koniach. Rzecz prosta, nie powierzchowne ich właściwości. Pomówmy z którym z nich, a przekonamy się, że te są dla nich niewięcej warte, niż dla kogobądź innego. Ich zamiłowanie wynika z bujnej sympatyi, która ich z temi rzeczami wiąże; nie umieją oni tego wyrazić, lecz poddają się kierownictwu żywej siły, której obecność w przyrodzie przeczuwają niejasno. Żadne naśladownictwo, żadna igraszka z temi rzeczami nie potrafiłaby ich zadowolnić; oni lubią surowość wichru, deszczu, lasów, skał i żelaza. Piękność niepojęta jest cenniejsza od tej, której zakres i trwanie da się przewidzieć. Symboliczna to strona przyrody, przyroda to, dająca zapewnienie świata nadprzyrodzonego, ciało, rozkwitłe nadmiarem życia, jest przedmiotem ich prostackiego, lecz szczerego uwielbienia.

Gorącość i tajemniczość tego głębokiego przywiązania zniewala ludzi wszelkich stanów do posługiwania się znakami i emblematami. Szkoły poetów i filozofów nie są bardziej oczarowane swemi symbolami, jak pospólstwo swojemi. Dość zastanowić się nad ogromnem znaczeniem odznak i emblematów w naszem życiu politycznem. Na przykład, ta wielka kula, którą toczą z Baltimore do Bunker Hill! Albo polityczne manifestacye, podczas których Lowell paraduje ze swym warsztatem tkackim, Lynn ze swym trzewikiem, a Salem z okrętem! Lub te beczki do wina, blokhauzy, gałązki orzechowe, palmy karłowate, i niezliczona mnogość innych godeł partyjnych! A cóż dopiero, gdy uprzytomnimy sobie potęgę emblematów narodowych! Kilka gwiazd, lilij, lub lampartów, jakiś półksiężyc, lew, orzeł, lub inne wyobrażenie, które, Bóg wie, w jaki sposób doszło do takiego znaczenia, nakreślone na starym strzępie flagi, targającej się z wichrem na szczycie fortu w jakimś zakątku ziemi, może zażedz krew najbardziej prostackiego i najpłytszego człowieka. Ludzie wyobra-

żają sobie, że nie cierpią poezyi, a sami są wszyscy poetami i mistykami!

Prócz powszechności symbolicznego języka, boskość owego szczytniejszego użytku rzeczy — (przezeń świat staje się świątynią, której mury są pokryte godłami, wizerunkami i przykazaniami bóstwa) — przejawia się także w tem, że niema zjawiska w przyrodzie, któreby nie zawierało w całości ducha przyrody; albowiem wszystkie nasze podziały faktów i okoliczności, na wysokie lub niskie, zaszczytne lub hańbiące, wnet zanikają, gdy poczniem pojmować przyrodę symbolicznie. Wszechprzenikająca idea uświęca użytek wszystkiego; słownik wszechwiedzącego człowieka obejmowałby słowa i powiedzenia, wyświecone z języka salonów. Słowa płaskie, lub nawet sprośne dla sprośnika, mogą stać się szczytnemi, gdy wejdą w skład nowego myśli powiązania. Wzniosłość proroków hebrajskich każe nam zapominać o ich prostactwie. Obrzezanie jest przykładem, że potęga poezyi uszlachetnia nawet to, co poziome i gorszące. Drobne, niepozorne rzeczy są tak samo przydatne jak wielkie symbole. A nawet, im mniej znaczącym jest symbol, przez który wyraża się jakaś prawda, tem skuteczniej wraża się ona, tem dłużej przetrwa w pamięci ludzkiej, podobnie, jak do przechowania niezbędnych przyrządów, które zwykliśmy nosić przy sobie, wybieramy najmniejszą szkatułkę, czy skrzynkę. Umysłom, wyposażonym rzutkością i wyobraźnią, regestra niepowiązanych ze sobą słów nasuwają nowe idee. Opowiadają o lordzie Chatham'ie, że czytywał słownik Bayle'a, gdy miał zamiar przemawiać w parlamencie. Najzwyklejsze doświadczenie jest tak szczodre, że może przyjść z pomocą przy wypowiadaniu myśli. I pocóż ta nieustanna tęsknota do poznawania wciąż nowych szczegółów? Dzień i noc, dom i ogród, trochę książek i trochę czynów dają nam to samo, co wszelki przemysł i wszystkie osobliwości. Do

wyczerpania treści tych nielicznych symbolów, któremi się posługujemy, jeszcze nam daleko. Możemy dojść do tego, że będziemy ich używali ze straszliwą wręcz prostotą. Wiersz nie powinien być długi. Niegdyś każde słowo było poematem. Każdy nowy stosunek stwarza nowe słowa. Nawet błędów i potworności używamy do świętych celów, i przez to stwierdzamy, że zło tego świata tylko złemu oku złem się wydaje. Starożytna mitologia nawet bóstwom przypisywała ułomności, czyniąc Wulkana kulawym, Kupida ślepym, i t. d., aby przez to wyrazić nadmiar i obfitość w innym kierunku.

Rzeczy wydają się brzydkiemi jedynie wskutek rozluźnienia i osłabienia spojeń, łączących życie z bóstwem, a poeta, który zespala je znów z przyrodą i wszechnością, który dzięki głębszemu wniknięciu jedna z przyrodą nawet sztuczne i wręcz jej przeciwne rzeczy, — z łatwością umie sobie radzić z biegunowo niezgodnemi przejawami. Czytelnicy, obeznani z dziełami poezyi, patrząc na wieś fabryczną, lub kolej żelazną, wyobrażają sobie, że one przynoszą uszczerbek poezyi krajobrazu, — bo te rzeczy nie zostały jeszcze w ich lekturze uświęcone przez sztukę; natomiast poeta dostrzega łacno, że z wielkim wszechładem godzą się one równie dobrze, jak ul pszczelny, lub misterna sieć pająka. Przyroda bardzo rychło chłonie je w obręb swych kręgów żywotnych i kocha w dal pędzący pociąg niemniej od własnych tworów. A przytem jasnym i skrystalizowanym umysłom niezbyt imponują wynalazki mechaniczne. Choćbyście do istniejących już przydali milion nowych i najbardziej zdumiewających, nie pomnożycie przez to istoty mechaniki ani o jedną drobinę. Duchowe znaczenie powstaje niezmienione bez względu na ilość szczegółów, podobnie jak niema góry tak wysokiej, aby zdołała przerwać krzywiznę kuli ziemskiej. Sprytny chłopak wiejski przybywa po raz pierwszy

do miasta, i zarozumiały mieszczuch gorszy się, że przybysz niedość słupieje z podziwu. Nie dlatego, aby tych pięknych domów nie widział, lub nie wiedział, że podobnych nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać, lecz poprostu z tego powodu, iż załatwia się z niemi równie łatwo, jak poeta znajduje miejsce na kolej. Główna wartość nowej rzeczy polega na podniesieniu wielkiego i stałego momentu życia, wobec którego karleją wszystkie inne przejawy, dla ktorego pas Indyanina i cały handel Ameryki mają równe znaczenie.

W ten sposób świat podlega duchowi jako słowo i jako rzeczownik, lecz tylko poeta potrafi tą mową władać. Bo, aczkolwiek życie jest wielkie, pełne czarów i głębin, aczkolwiek wszycy ludzie rozumieją symbole, któremi się ono wyraża, — przecież nie wszyscy mogą posługiwać się niemi samodzielnie. Jesteśmy symbolami i zamieszkujemy symbole; robotnicy, praca i narzędzia, słowa i rzeczy, narodziny i śmierć, to wszystko tylko symbole; lecz my za bardzo przywiązujemy się do tych symbolów i, opętani zwykłem, ekonomicznem znaczeniem rzeczy, zapominamy, że one są ideami. Poeta, który głębiej wnika w istotę rzeczy, użycza im siły, dozwalającej zapomnieć o ich dawnem znaczeniu, obdarza nieme i martwe przedmioty oczyma i językiem. On rozumie niezależność idei od symbolów, niezmienność idei, przypadkowość i niestałość symbolów. Podobnie jak wzrok Lynkeusa przenikał ziemię, tak samo poeta zamienia świat w szkło przejrzyste i ukazuje nam właściwy ład i następstwo wszechrzeczy. Albowiem dzięki swemu lepszemu poznaniu jest on im o jeden krok bliższy, widzi ich falowanie i przemiany, wie, że wszelka idea jest wielopostaciową, że w kształtach każdego tworu tai się moc, zniewalająca go do zdobywania wyższej formy, i tak śledząc stawanie się życia, posługuje się temi samemi formami, w których to życie się przejawia, wskutek

czego słowa jego płyną wraz z nurtem przyrody. Wszelkie przejawy biologiczne, jak płeć, odżywianie, ciąża, narodziny i wzrost, są symbolami przejścia świata w ducha człowieczego, aby w nim uledz przemianie i ujawnić się znów w nowem, doskonalszem znaczeniu. Poeta posługuje się kształtami, odpowiadającemi życiu wnętrznemu, nie zaś czczej formie. To jest prawdziwa wiedza. Tylko poeta zna się na astronomii, chemii, wzroście roślin i biologii, bo, nie zatrzymując się przy objawach, zastosowuje je jako symbole. On wie, dlaczego przestwór niebieski jest usiany kwiatami, które my słońcem, księżycem i gwiazdami zowiemy; dlaczego w bezdennych głębiach mrowią się zwierzęta, ludzie i bogowie; bo z każdem słowem, przez siebie wypowiedzianem, dosiada on ich jako rumaków ducha.

Mocą swej wiedzy, poeta jest nomenklatorem, twórcą mowy, który rzeczy mianuje bądź to wedle ich przejawów, bądź też wedle ich istoty, który każdej z nich nadaje właściwą jej nazwę i przez to wprawia umysł w ów zachwyt, jaki przy stosownym rozdziale i rozgraniczeniu zazwyczaj odczuwamy. Poeci stworzyli wszystkie słowa, a język to nietylko archiwum dziejów, to poniekąd i Muz grobowiec. Aczkolwiek początek przeważnej ilości słów zanikł już w zapomnieniu, to przecież każde słowo było niegdyś błyskiem ducha, skrą geniuszu, i dlatego dostawało się w obieg, że w swoim czasie symbolizowało świat temu, który je wypowiedział, i jego słuchaczom. Etymologowie utrzymują, że doszczętnie zmartwiałe słowa były ongi świetnemi obrazami. Język, to poezya kopalna. Podobnie jak wapień lądów stałych powstał z niezliczonej mnogości skamieniałych skorupiaków, tak samo język składa się z obrazów i przenośni, które swój poetyczny początek zdawna już w pochodnem znaczeniu zatraciły. Lecz poeta nadaje rzeczy właściwą nazwę, bo ją widzi, bo jest jej

o krok bliższym, niż ktokolwiek inny. To nadawanie wyrazu, to mianowanie nie jest sztuką, lecz wtórą przyrodą, która poczyna się z pierwszej, podobnie jak liść z drzewa się poczyna. To, co zowiemy przyrodą, jest regulującym się samoistnie ruchem i zmianą; przyroda dokonywa wszystkiego własnoręcznie i nie pozwala chrzcić się nikomu, lecz chrzci się sama, a to znów dzieje się przez metamorfozy. Przypominam sobie, że pewien poeta opisał mi to w następujący sposób:

„Geniusz jest to czynność, zapobiegająca zanikowi rzeczy bez względu na to, czy są one — w całości, lub w części—materyalnej i znikomej natury. Przyroda zabezpiecza siebie samą we wszystkich swych dziedzinach. Nikt nie troszczy się o rozmnożenie marnego grzyba: przeto on rozsiewa wokoł siebie niezliczone mnóstwo zarodków, z których jeden jedyny wystarcza, aby jutro lub pojutrze wytworzyć nowe biliony zarodków. Nowy grzyb w ten sposób powołany do istnienia, może mieć korzyści, których poprzedni nie miał. Oto zarodek jego posiewu pada na nowe miejsce, nie narażone na działanie przypadku, który opodal zniszczył jego rodziciela. Przyroda stwarza człowieka, a gdy ten dojrzeje, odszczepia od niego nowe istnienie, aby nadal uniknąć niebezpieczeństwa, że swój twór cudowny naraz postrada; w ten sposób chroni gatunek przed wypadkami, na które są wystawione jednostki. Podobnie, gdy dusza poety osięgnie swą dojrzałość, przyroda oddziela od niej utwory i pieśni, to nieśmiertelne, snu ni spokoju nie znające, na zmienne losy czasu nienarażone potomstwo, tę śmiałą żywotną gromadkę dzieci obdarzonych skrzydłami, — (tak wielka była moc duszy, która je poczęła), — na których unoszą się chyżo i daleko i zagnieżdżają się przemocą w duszach ludzkich. Im bogatsza i piękniejsza jest dusza poety, tem potężniejsze są te skrzydła. I tak ulatują nieśmiertelne pieśni od swego

śmiertelnego twórcy, a za niemi podążają hałaśliwe chorowody lżących krytyk, które roją się w daleko większej ilości i czyhają, aby je pochłonąć; lecz krytykom brak skrzydeł. Po krótkim locie spadają one na ziemię i gniją, bo dusze, z których się poczęły, nie wyposażyły ich pięknemi skrzydłami. A melodye poety wzlatują potężnie w górę i wdzierają się w głębie nieskończonego czasu."



(Dokończenie). Ralph Waldo Emerson.

Jąłem ścigać jak w snach pierzchające pobiały,
Pierzchające pobiały mroczącego się dnia;
Na wieżycy-m szedł gmach, i pod nogą mi drżały,
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.

A gdym stąpał tak wzwyż, coraz jaśniej w oddali,
Coraz jaśniej w oddali kontur znaczył się gór,
I od nieba i ziemi, z napowietrznej mi fali,
Z napowietrznej wkrąg fali jakichś dźwięków bił chór.

Im krok wyżej mię niósł, tem gorętszą pozłotą,
Tem świetniejszą pozłotą wyżni sennych lśnił wierzch,
Zdał się żegnać tą jaśnią, niby długą pieszczotą,
Niby tkliwą pieszczotą wzrok tulący się w zmierzch.

I tam w dole pode mną już noc ziemię zalała,
Już noc ziemię zalała, świat pogrążył się w śnie,

A mnie jeszcze jaśniała płomienista dnia chwała,
Przesłoneczna dnia chwała konająca we mgle.

I, jak ścigać, tu-m zgadł, pierzchające pobiały,
Pierzchające pobiały zmroczniałego już dnia,
I stąpałem wciąż wzwyż, i pod nogą mi drżały,
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.



PRZEŁOŻYŁ Miriam. K. Balmont.

I.



mijały czasów ogromy, i przestrzeń nikła bez śladu, w jeden nurt nieskończoności zlana.

A ogromne kręgi słońc malały wobec braku widza i oceny... i przewijały swe potężne cielska martwo, z biernem poddaniem i pokorą...

A na skorupie ziemi lasy w górę wywodziły rozkręcone bolem ręce, modląc się, aby nadal mogły żyć wrośnięte w ziemię, nieruchome...

Zwierzęta podnosiły oczy, nie wiedząc nic ponad zwierzęcość...

A i ludzkie kretowiska wrzały zgiełkiem natarczywych starć atomów, natarczywych, pilnych zepchnięć w nicość, uporczywych trosk, małostek...

Tu i owdzie stał marzyciel, stał myśliciel, patrzał w gwiazdy, wyroku czekał i, zwarłszy boleśnie ducha, gotował się do odlotu w pełny stan istnienia...

A tysiące istot przygotowanych na nicość, ze zwierzęcą namiętnością nicości żądnych, plugawiących się rozmyślnie lub świadomie... nikły jak śnieg na wiosnę...

A wiosna nowe przynosiła życia, nowe ziarna, nowe głosy...

I te szły i nikły...

I nie było końca, we wszystkiem tem nie było końca...

Wszystko musiało iść za niewidzialnym wodzem, nieugiętym, wszechpotężnym...

I nie było końca w tem, nie było końca... Z nicości szedł byt, zapadał w nicość... lub znowu szedł promienny, bólem okrwawiony, błogosławiący swoją krew i rany...

II.



akie pogodne, jasne, promienne było niebo!..

Złotemi smugami spływały jakieś powiewy zaświatów i żeglowały przez błękity...

Zahaczone tu i owdzie o siną nieba kotarę białe obłoki wisiały nieruchomo, jak srebrne tarcze, kwiaty, girlandy...

Korony drzew z przedziwnym taktem zachowywały się milcząco, spokojnie, majestycznie wobec sinej kopuły nieba...

Woda jakby zaniemiała z zachwytu i prosiła, aby mogła być chociaż zwierciadłem, któremu wolno cuda te odbijać...

A niebiosa zgadzały się na to chętnie i jak rozkosznica czar-dziewica, srebrnopucha niebieskooka dziewica, z niedbałym wdziękiem przeglądały się w wodzie...

Zdawało się, że nic nie powinno byłoby mącić tej ciszy, ale nie...

Oto — najpierw jastrząb chciwie porwał gołębia, białego jak śnieg, i niósł go z bezczelnem urąganiem ponad wodami, które zmarszczyły się groźnie, nie chcąc odbijać tej ohydy...

Ale niebawem woda stała się jeszcze groźniejszą, niż gdy odbijała przez chwilę mord jastrzębia, bo oto dziecko o przecudnej twarzyczce anioła stoczyło się w jej nurty...

— Ehe... he... kiedy woda tak sobie figluje, to możebyśmy i my się pobawiły... — mówiły obłoki — i zaczęły się skupiać jak srebrnopióre ptaki w jedno stado ogromne.

I drzewa pozazdrościły obłokom i zaczęły szumieć groźnie, wyzywająco.

Niebawem szum zawichrzył ciszę i, przechodząc w groźne pomruki i wrzaski i bełkotania, niósł za sobą burzę.

Ta w jednej chwili zamordowała ciszę i zwycięsko ujadała piorunami nad martwą, urągając i złorzecząc jej...

A drzewa jeżyły grzbiety jak psy i woda bełkotała, urągając ciszy.

Grom po gromie zahuczał... i pożar wsi odbił się krwawą barwą na granatowej nieba oponie...

Jeszcze tam więcej było jęków, huków, grzmotów, targań...

Nietylko gołąb i dziecko mogły narzekać na swój los.

Tylko, że dziecina uspokoiła się na łonie Boga... a po warkotach i wrzaskach burzy przyszła jeszcze większa cisza, po której przeszło znowu wiele burz i nastała znowu cisza.

III.



orwało go coś i uniosło...

Z tej ziemi, gdzie wszystko jednakie i niezmienne, choć się zmieniające...

I był w takich światach, których język ludzki, dlatego że ludzki, nie oddaje, którego myśl ludzka dlatego, że jest ludzką, nie rozumie...

Od chwili, gdy to widział — we dnie czy na jawie, dość że widział—zmienił się, nie narzekał na ziemskie troski i bóle... ale wciąż tęsknił do krain tych przedziwnych nieskończenie i nieskończenie uroczych...

Chciał się nieraz podzielić swą tajemnicą... Ale — napróżno...

Wstydził się nieudolnych znaków, któremi miał wyrażać tę przedziwną treść...

I nie próbował więcej, i ogarnęła go słodka tęsknica — melancholia...

Wybladły, chwiejąc się, ledwo stąpał po ziemi, otchłanią smutku patrząc na ziemię i jej sprawy...

I tak raz umarł w zachwyceniu i tęsknocie, zgasł jak świeca, przez wicher zdmuchnięta...

Nikt nie płakał nawet po nim, bo się od wszystkich oddalił...

Ale i on sam pewnie, w tych swoich krainach ukochanych, nie płacze za ziemią, albo jeżeli płacze, to — żeby i inni — biedni, w tę otchłań nędz wlepieni, mogli się do nieskończenie uroczych i dziwnych krain przedostać...

IV.



koro tylko ze zwierzęcą siłą wybuchnął w nim żar namiętności — zmienił się ogromnie...

Z bladego, cichego marzyciela wyrastał filuterny cynik, z cynika — brutal, z brutala — wiarołomca i bluźnierca...

Z dzikim chychotem zaprzepaszczał swą duszę, chłepcąc z rozkoszą słodki jad zwierzęcości...

I nie widział przed sobą innego celu, innych zadań, prócz celów i zadań zwierzęcości...

Z płaczem przelatały nad nim zbawcze anioły, a chychot szatana był radości pełen...

I pokazywał mu szatan swoje państwa, pełne wspaniałości i przepychu... Srebrnemi gwiazdami wśród sinych przestrzeni błyskały światła-kwiaty... Jak ogromne

muszle przejasne, piętrzyły się góry w oślepiających blaskach...

A w dali huczał złoty ocean i nurzały się w nim przewspaniałe nimfy... a lasy, granatowo-purpurowe lasy, pełne były śpiewu nagich syren...

I już miał zgodzić się na zatracenie wiekuiste duszy, gdy wtem nagły, dziwny, straszliwy ból chwycił go w swoje kleszcze...

Wstręt wstrząsnął nim, wstręt do samego siebie...

I nagle dusza poczęła protestować z całych sił i wołać o ratunek, o pomoc do wiekuistego źródła przebaczenia, do Zbawcy...

I poszedł do Zbawcy po przez ciernie, krwawiąc stopy... i bity i kąsany przez harpie sumienia...

A szatan wykroił dla siebie zakażone zwierzęcością części i rwał je i targał...

I chciał powrócić do szatana i do tych części swoich...

Ale głos Zbawcy był silniejszym nade wszystko...

I kurcząc się i płacząc... szedł męką rwany...

V.



już kilka tylko gwiazd na niebie oczekiwało w popłochu i trwodze swego losu.

Świt oślepiająco jasną nogą wszedł już na ziemię.

Aż dziwiły się ptaszęta, że tak krótko trwała noc, i ćwierkały bojaźliwie i niepewnie.

Woda także bulgotała niepewnie i przecierała ze snu oczy, które świt rozjaśniał.

Aż świt spłonął krwią.

Na łozy, oczerety, na dalekie smugi łąk poszedł blask czerwony.

Wkrótce potem wyzłocona, jasna ziemia kąpała się w blaskach słońca.

VI.



eszcze wlepiali bezdennie smutny, badawczy wzrok w trumnę, gdzie leżał ich ukochany... Jak wygląda — po raz ostatni, po raz ostatni, najostatniejszy?

Może choć jednym uśmiechem, drgnieniem wypowie dusza, gdzie jest, czy dobrze jej, czy źle?..

Umarły nie odpowiadał nic. Był tylko bardzo blady, spokojny, sztywny.

Wyglądał jak dumny dyplomata, który nosi ze sobą tajemnicę gabinetu, i nie może się zwierzyć, i nie chce się zwierzyć.

A takby chcieli, żeby choć raz jeszcze ostatni do nich przemówił, tym dobrym, cichym, łagodnym głosem... och, po raz ostatni!..

I nic, nic, nic więcej... Oni byliby nazawsze szczę-

śliwi, uspokoiliby się zupełnie, byliby nawet weseli, gdyby po raz ostatni przemówił.

Ale umarły nie odpowiadał nic.

I wystawili sobie, że przecież są krainy inne, jakieś przezroczo-śpiewne równiny, kwiatami, czy nie-kwiatami zasłane, pełne złotych nurtów wód czy nie-wód, dość, że jakieś tam rzeczy-nierzeczy są, być muszą, muszą, bo i ból ma przecie kres...

I gdy mgła smutku dokoła wszystko zasnuła, ujrzeli krainy jakieś, krainy przedziwne, których za życia jeszcze nie oglądali, ale które razem z ukochanym zmarłym zawsze, zawsze oglądać będą.

I to ich tak uspokoiło, że patrzyli na zmarłego, jak na odzież, którą ten zrzucił, aby pójść do tych przecudnych krain, ubrany inaczej, dziwnie, gwiaździście, promiennie.

I tylko — kiedy ból się zmniejszał i nie widzieli tych krain przecudnych, chcieliby, ażeby zmarły po raz ostatni przemówił, po raz ostatni, najostatniejszy.

VII.



zmiarkować nie mogli, kto był winien.

Wszyscy może byli winni, może — nikt.

W każdym razie, jeśli się stał grzech, nieszczęście, trzeba było radzić.

Radzono więc.

Ale nic uradzić nie mogli, byli coraz bezsilniejsi, w miarę im głębiej zapuszczali się w dociekanie przyczyny.

Nie zrażali się tem i z coraz większą zaciekłością szukali wątku.

Ale naprożno, naprożno!

Najwinniejszy był bez winy, najbardziej niewinny — winnym.

A przyczyna była. Życie wrzało dookoła i niosło

nurty ożywcze lub zabójcze, niosło truciznę i lekarstwo, troski i radości.

Słońce błyszczało wciąż nieniknącą siłą, i rozpalało nowe ognie życia.

Noce granatowe, gwiaździste przechodziły tłumem po nad ziemią.

A ona wirowała wciąż koło słońca, posłuszna woli Przedwiecznego.

Aż jednego razu usłyszeli jakiś głos z oddalenia:

Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni.

I nie sądzili i nie narzekali, ale szmerem modłów gorących dochodzili przyczyny i winy.

A życie wciąż łkało swemi bólami.

VIII.


kochali się tak dziwnie, że każde słowo było im zbyteczne.

Błyskawicami spojrzeń mówili wciąż do siebie.

I nie mogło w tej miłości być nic zabawniejszego nad to, że, kochając się tak mocno, nie kochali się wcale, ale byli w sobie, bo byli jednacy, bo byli dwoma białymi jednakimi duchami.

Nie czuli potrzeby ani jednym pocałunkiem powiedzieć sobie o swej miłości, a w istocie — jedności.

A najgorsze było to, że ciała przeszkadzały im się rozpoznać, więc pełni byli błędu, czyli miłości...

Aż nadeszła taka chwila, w której dowiedzieli się o swym błędzie... że grzeszyli miłością, póki ludźmi byli, a potem...

A chwilą tą była śmierć...

Po śmierci już dowiedzieli się, że miłość, sama z siebie, z Boga i w Bogu jest, a uwielbiać siebie zobopólnie i wzajem siebie kochać, czyli kochać się — to rzecz tylko ludzka.

IX.



tali jak oczarowani, oniemiali. Słońce lało na nich złote żaru potoki, a oni stali i patrzyli w dal.

Nie bali się niczego... nie bali się żaru słońca, i ani jednego dźwięku nie chcieli wydać.

Naradzali się w skupieniu, co czynić. Bez słów i myśli zrozumieli w końcu, że tu im przeznaczono stać i czekać.

Tu... tu... wśród tego żaru słońca, niepewności, niemego podziwu, jednostajnej, wszystko przenikającej tęsknoty.

Cmentarze nie są tak smutne, jak smutni byli oni, niepogrzebani, choć jakby umarli, nawpół umarli, dla świata tego umarli, dla świata, którego zrozumieć nie byli zdolni.

Chęci, czucia zwierzęce zamarły w nich, zmysły zastygły... i oto zimni, niepewni, niewiedzący, w strasznej, bezdennej wiedzy innej niewiedzący... stali i nie wiedzieli, gdzie iść, co począć?

Gorącemi tchnieniami dmuchał wiatr... morze zieleni falowało swobodnie i rozkosznie... wierzby płaczące poszmerami płakały... las trząsł się w złotych połyskach, trzepotał się jak ogromny, zielony ptak pod sinym pułapem... a wody strugami łez bryzgały i huczały... i szły na miejsce przeznaczenia.

Cmentarze, pochowawszy kości pod zielone grzbiety, stały cicho, niewinnie, naiwnie, jak ci, co nie wiedzą, jaka to straszna rzecz się w nich dzieje, lub udają, że nie wiedzą, i w niemej zadumie topią bólu świadomość.

A organy huczały w kościołach, wrzały hymnami i biły w sfalowaną kadzidłami przestrzeń... gorąco grzmiały i stanowczo... modlitwą za ludzi, za żywych i umarłych.

A oni wciąż tak stali, słuchali modlitw, niepewni, niewiedzący, ulegając tym szumom i akordom, nie sprzeciwiając im się, godząc się na wszystko, na bezgraniczną melancholię i swój los, o którym nie wiedzieli, jakim jest...

X.



harfami przyszły starce i grały.

A noc miesięczna sino-srebrnemi nurtami płynęła w dal.

— O harfowe starce, jeszcze mi grajcie, jeszcze mi śpiewajcie o tych krajach, o tych rajach, w których szczęście nigdy się nie kończy, w których wszystko żyje, co żyje, i nie umiera to, co raz już umarło, co raz na zawsze żyć będzie.

Tak mówił młodzian wśród lasu, księżycowymi blaski otoczon, młodzian, co miał smutną bezdennie twarz i którego noc miesięczna ukoić nie mogła.

A harfowe starce, nachylone smutnie nad nim, śpiewały o tych krajach, gdzie nic nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A młodzian łkał i łkał... pod struny i dźwięki i jęki łkał... jakby w tem łkaniu były piosenki o tych krajach,

o rajach, gdzie nic nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A starce śpiewały, i żaden nie jęknął, choć się im głos rwał z bólu, aby pieśń wyśpiewać o tych krajach, o tych rajach...

I noc miesięczna płynęła wolno.

Zasłuchany księżyc srebrem ziemię oblewał, i tak w te harfy zapatrzony, w te starce, w młodziana, jak zamyślony mędrzec po niebie wędrował.

A wkoło starców, a wkoło młodziana zlatywać się poczęły duchy.

I szum i łopot skrzydeł zasłaniał wszystko, i tak ta ciżba stanęła w skupieniu i słuchała.

A starce harfowe wciąż śpiewały, wciąż grały.

Noc miesięczna pierzchała. Kur zapiał. Duchy z szumem uciekły, i starce gdzieś z harfami przepadły.

A młodzian samotny, w rodzące się świty wpatrzony, wciąż marzył o tych krajach, o tych rajach, gdzie nikt nie umiera — nigdy.

XI.



źwigali z sobą chorągwie.

A było ich tak wielu — orszak taki tłumny!

Tacy byli ogromni w swym bólu i pobożności.

I wicher ciągle grzmiał w chorągwie.

Słońce srebrno-bronzowym blaskiem biło im w oczy.

Tysiące przeszkód mieli przed sobą.

A jednak szli coraz wytrwalej, coraz uporczywiej, szli, niewiedząc dokąd.

Aż zahuczała pieśń: *De profundis.*

Grom tej pieśni był posępniejszy od skał ciemnych, zwieszonych nad przepaścią, posępniejszy od orłów sa-

motnego krążenia, od chmur i zimy uśnieżonej w purpurze zachodniego słońca.

Taki był posępny ten orszak i pieśń ta, co huczała im po nad głowami i wyrywała się, jakby nie z nich, jakby pieśń była większą od nich, a oni byli w pieśni.

Wężowym skrętem, wszedł orszak w nowe przestworza, w sine urwiska skał granatowych, między srebrnemi nurtami wód nieskończonych.

A pieśń wciąż łkała, i słońce nie stawało się weselszem, jeno było takie smutne, zbolałe, przygaszone, resztkami sił, resztkami tchu gorącego chuchało na ziemię.

I kiedy weszli na jasno-zielone murawy, zkąd z krzykiem trwożnym podniosło się dziwne jakieś ptactwo, — tak samo byli ogromni w swym bólu, tak samo łkała pieśń, tak samo wichr grzmiał o chorągwie, tak samo słońce było zbolałe, przyciszone.

Władysław Korycki.

Jak trzoda rozciągnięte na piasków posłaniu
W bezkresy widnokręgu zwracają oblicze —
A w ich bioder zbliżeniu, w ich dłoni zbrataniu,
Widne — miękkość niemocy i dreszczów gorycze.

I jedne, zasłuchane w serdeczne zwierzenia,
Idą w lasu — ruczaju — szumiące bezdroże,
I miłości swej pierwszej rozsnuwszy wspomnienia
Rzeźbią jakieś litery w drzew zielonej korze.

A drugie, niby siostry, w ciszy i skupieniu
Błądzą w pełnej widziadeł skalnej pustce szarej,
Gdzie oczom Pustelnika ongi w skier płomieniu
Białych piersi kuszące odkryły się czary.

Inne znowu, jak zwierzę wyjące swe skargi,
W głębi jaskiń pogańskich szukają schronienia

I ciebie przyzywają spalonemi wargi,
O Bachusie! co gorycz usypiasz wspomnienia!

I te jeszcze, co łona szkaplerzem ubrane,
Krwawym śladem piętnują biczującej ręki,
Płaszczem nocy okrywszy swe ciała zszarpane
Rozkoszy krzykiem głuszą mąk bolesne jęki.

O Demony — potwory — dziewice męczenne!
O wy niespełnionemi wciąż dręczone snami,
Spragnione nieskończenia, grzeszne lub promienne,
Czasem krzykiem rozgłośne, czasem ciche łzami.

Kocham was i żałuję, o siostry tułacze,
Duszy waszej piekielną przeczytawszy księgę,
Za niesytość pragnienia, za tęsknot rozpacze
I za wielkich serc waszych miłosną potęgę.



PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska. Karol Baudelaire.

CÓRA KRÓLEWSKA.

Prosząc jałmużny — w Tulijskie grody —
Zaczarowany szedł minstrel młody
I pieśnie w stare niósł Tulii grody.

I Ysselmondzką nastrajał lutnię,
Wtórząc baladom rzewnie i smutnie —
Łzami więc dziewy witały lutnię.

Raz on królewnę w łowczym orszaku
Na białym pysznym spotkał rumaku
I ust jej pragnął — tu w tym orszaku.

Za drobną dłonią królewskiej córy
Białych gołębic leciały sznury. —
Więc za dłoń chwycił królewskiej córy.

I wołać chciała ojca i króla,
Lecz on jej szyję dłońmi zatula —
I nie wołała już ojca króla.

I nieruchome ciało dziewczyny
Niósł w ros kryształy, w kwiatów gęstwiny.
I zaśpiewały usta dziewczyny…

Cudną baladę śpiewały smutnie —
Wtórząc jej, minstrel przyciszał lutnię,
By za jej głosem nuciła smutnie.

Lecz gdy miłosna ścichła balada,
Słodkie jej usta przymkła śmierć blada,
Gdy potępiona ścichła balada.

. . . .

Żebrząc pokornie — w Tulijskie grody
Zaczarowany szedł minstrel młody
I dziw swych pieśni niósł w Tulii grody.

I Ysselmondzką swą lutnią śpiewną
Grał wciąż tę samą baladę rzewną,
Biorąc łzy dziewic na lutnię śpiewną.



YSEULT.

Gdy noc zasłonę tkała na błoniach,
Grzebano Yseult o białych dłoniach.
A król czarodziej te dłonie białe
We dwie przemienił lilie wspaniałe,
Aby w Tulijskiej kwitły koronie...

I ciężki warkocz ujął we dłonie,
I bladą głowę w złotej koronie,
I kazał powstać wstędze świetlanej
Ze złotych włosów swej ukochanej,
A czaszkę w Tulii puhar przemieni.

W puharze wino łzami się pieni,
Więc czarodziejskie zerwał lilije,
Świetlaną wstęgą owinie szyję,

Świetlaną wstęgą szyję otoczy,
I zwisł na złotej wstędze warkoczy.

Gdy noc zasłonę tkała na błoniach,
Grzebano Yseult o białych dłoniach,
Grzebano także, razem grzebano
Króla z Yseultą umiłowaną,
I kwieciem Tulii trumnę usłano.



ISABEL.

Do sadu, kędy gwiżdżą Fauni leśni,
Z Venecyi wdzięczna Isabel przybyła,
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni.

I jakby ręką Boticella była
Upozowana — wznosi dłonie w górę,
Warg topiąc szkarłat w czereśni purpurę.

Weszła w ogrody Trebizondy pana,
Skąpawszy usta w purpurze i miodzie,
Wonią swych piersi dziewiczych owiana.

Trefnisiów króla grzebano w ogrodzie.
A na ich grobie Gnomy taniec plotą,
W trawnik rzucając krągłych jabłek złoto.

Do sadu, kędy gwiżdżą Fauni leśni,
Wdzięczna Isabel z Venecyi przybyła,
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni...

I krwią się jagód jej warga zbroczyła...



YELDIS.

Stary władca Turyngii i książę Bohemii
Ujrzał raz świetniejącą szaty jedwabnemi
Piękną Yeldis — królowę z oczyma słodkiemi.

Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni
W szatach ze złotogłowiu. Król stary łzy roni —
Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni.

„Biedny książę Turyngii i Bohemskich włości,
Poco? pocoś ode mnie zapragnął miłości?
Biedny książę Bohemskich i Turyngskich włości!

„Twe włosy są zbyt białe dla złotych warkoczy —
Pieśń dzwonów ci niedługo do snu przymknie oczy,

A Yeldis młodych książąt ramieniem otoczy."

I wśród białych jabłoni znika, sama biała, —
A gdy pieśń jej dzwoniąca w alei przebrzmiała,
Dusza króla starego z tęsknoty skonała.



PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska. Tristan Klingsor.



Handlarz słońca.

SZTUKA W JEDNYM AKCIE.

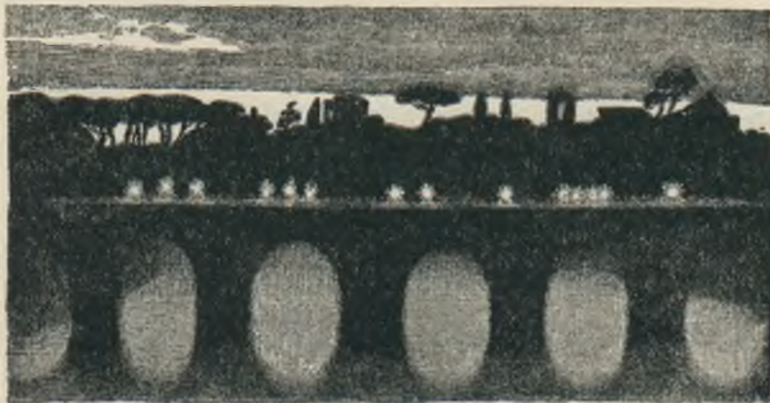
OSOBY.

PRZEKUPIEŃ ULICZNY.
PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.
DRUGI PAN PORZĄDNIE UBRANY.
TRZY MŁODE ELEGANTKI (w jasnych strojach).
PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.
DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.
ZBIEGOWISKO i GŁOSY w tłumie.
PRZECHODNIE.

Rzecz się dzieje w Paryżu, na moście Sztuk, u schyłku pięknego popołudnia jesiennego. — Przepyszny zachód słońca. — Nieustanny ruch przechodniów.

WSKAZÓWKI DLA STWARZAJĄCYCH POSTAĆ PRZEKUPNIA.

Lat trzydzieści dwa. Umysłowiec wykolejony, przeszedł wszystkie awatary najgorszej cyganeryi i, zdychając z nędzy, został przekupniem. Twarz długa, bardzo wielkie zapadłe oczy, spalone usta człowieka, który pije chętnie, nie będąc jednak pijakiem; wynędzniała cera wskazuje na częste męki głodowe; ciemne nieprzystrzyżone włosy jeżą się krzaczasto, kilkodniowa broda czerni mu podbródek i zaklęsłe policzki. Stara czarna kurtka obciska wychudłą jego figurę, wyblakły fular kolorowy, owinięty troskliwie dokoła szyi, każe domyślać się braku koszuli; nogi kołaczą się w spodniach z białego poplamionego drelichu, na których pełno rozdarć i łat; obuwie w złym stanie, kapelusz filcowy wytarmoszony i wyrudziały niezgorzej. — A w mizernym tym stroju, *postawność*, jednak, jakaś resztka wytworności z dawno minionych czasów, uwidoczniająca się we wdzięku i precyzyi pewnych gestów obcych klasom robotniczym, oraz w szlachetności wybitnej niektórych póz.



SCENA JEDYNA.

PRZEKUPIEŃ.

(Idzie z głową spuszczoną, z rękoma w kieszeniach; powłóczy zwolna nogami, jak gdyby szukając czegoś po ziemi. Zatrzymuje się pod jedną z latarń, opiera się tyłem o poręcz mostu, zwrócony plecami do zachodu słońca. Ludzie przechodzą drugą stroną, dość daleko od niego, bardzo pośpiesznie, z minami obojętnemi). No! więc trzeba zaczekać do jutra... albo do przyszłego tygodnia... (z gestem zniechęcenia:) albo do nigdy? Któż to może przewidzieć? A tymczasem brzuch sobie pasem ściskaj, człowiecze! (Ogląda się dokoła.) Czyż to nie wzgardy godna hołota, cały ten tłumek: nie widzą nic... A wszyscy mają pieniądze, tak, wszyscy, huk pieniędzy, czuję je w ich kieszeniach... I to nie zatrzyma się choć na chwilkę, aby człowiekowi wsunąć marne dwa susy... Dokąd idą tak wszyscy ci ludzie? Czyliż ja idę dokądkolwiek? (Śmieje się szyderczo:) Ja jestem u siebie i nie mam potrzeby nigdzie wychodzić: most Sztuk to moje mieszkanie... (wskazuje na przechodniów:) a oni przechadzają się w moim domu. Mogliby przynajmniej zapła-

cić za wstęp!.. Ale nie! Ślepcom tylko szczęści się tutaj! (Po chwili, tonem zadumy:) Bo prawdopodobnie ślepcy najłatwiej rozumieją się ze ślepcami. (Spostrzega pana porządnie ubranego.) Panie... Panie... (Z pewnem pomieszaniem, lecz i z wielką prostotą:) Panie, jestem głodny... Racz pan nie odmówić mi wsparcia...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

Jeszcze? Ależ dałem już przecie tylko co! (Idzie dalej.)

PRZEKUPIEŃ.

(Po chwili osłupienia:) Tak, znam tę zwrotkę... Każdy z nich dał mi już; tylko, że wówczas zwałem się Piotrem, a teraz jestem Pawłem: tak, że ja nie dostałem nic!.. (Po chwilowej zadumie:) To prawda, że jest nas mnóstwo... (Ironicznie, z odcieniem rozdrażnienia:) No, ale choćby! choćby nas było dziesięć tysięcy na tym moście? Jedno, co mnie obchodzi, to mój żołądek: oto od dwóch dni już nie jadłem... Gdyby przynajmniej módz zatkać gardło jakimś kieliszkiem... rumu... albo kirszu: kirsz mocniejszy... albo wreszcie absyntu, to najlepsze... Ach, spijałżem ja niegdyś absynt... wówczas gdy nie byłem głodny!.. Psie życie!.. Ale, na litość boską, czemuż ci tam, w dziennikach, opowiadają, że ludzie są miłosierni... (Spostrzega młodą kobietę w jasnym stroju.) Pani... Pani... (Głośniej, próbując tonem wzbudzić litość.) Ulituj się pani nad biednym robotnikiem bez pracy, który nie jadł od dwóch dni... (Młodziutka elegantka idzie dalej, dając ręką ładniutki znak odmowy. — Przekupień, z gniewnym ruchem:) A niechże cię, udawaczko!.. (Patrzy za odchodzącą i uśmiecha się smutnie.) A przecież ona jest milutka... To nie zna głodu, taka ptaszyna... To otwiera jeno dziobek, i ziarna same weń padają; potem, to ugładzi sobie piórka i leci precz... A ja, ja zostaję tu, zdychając już prawie! (Z wściekłością.) Ależ, do stu tysięcy, nie mogę przecież śpiewać! Nie umiem tego,

i wszystko plącze mi się zaraz w pamięci!.. A ci wszyscy przechodnie, którzy nie widzą mnie poprostu... Gdyby tak mieć coś, co ich przynęca... Ale, zaiste, zdaje mi się, że przestraszam ich raczej... Byle tylko, przy tem żebraniu, nie wpaść w łapy strażników!.. Nie, stanowczo, wszystko uciekło mi z mózgu, najmniejszego pomysłu, a w żołądku coś targa, coś drapie... jak legion szczurów uganiających się po ściekach!.. Przekupień bez tandety na sprzedaż: to ci rzemiosło!.. Zresztą, chleb sam jużby mi, czuję, nie wystarczył.. Trzebaby mi (oczy rozbłyskają mu pożądliwością) pięknej pieczeni wołowej, kilku soczystych, krwawych jej zrazów, trzebaby mi butelki starego Bordo!.. (Z goryczą.) Za dwa susy, tę nędzę, nie dostałbym nawet całego funta chleba. (Zapalając się.) Ach, gdyby wszyscy ci ludzie wiedzieli, ile trzeba mi władzy nad sobą, aby nie skoczyć im do gardła... doprawdy, daliby mi dwa susy za wysiłek... (Przechodzi strażnik miejski z obojętną miną.) Aj, do dyaska! opiekun! (Opiera się o poręcz mostu w postawie bardzo spokojnej i przygląda się niebu, jak człowiek spacerujący bez celu.) Piękny dziś wieczór. (Odwraca się ku rzece.) Niechby tylko zauważył moją minę: zasekwestrowałby mię niewątpliwie!.. Tam do licha! co za zachód słońca! Jeszcze świeczki mam w oczach! (Z ruchem wzgardliwym:) Zachód słońca to zbytek, niedostępny dla wszystkich tych tam kretynów, którzy nie widzą nic... (Chwyta się rękoma za głowę.) Mój Boże, jakiżem ja głodny!.. Niemiła to, bądź co bądź, choroba, zwłaszcza, gdy człowiek taki zdrów... Bo ja jestem zdrów przecie! Dla czegóż muszę zdychać?.. (Spogląda na Sekwanę.) Mam ochotę rzucić się w wodę, by skończyć z tem odrazu... (Cofa się mimowolnie.) Nie, nie, to byłoby głupie, a ja miałem niegdyś zadużo dowcipu... Ach, niegdyś, niegdyś, ktoby powiedział, że dojdę do tego, co dziś!.. Gdy człowiek rzuca się w wodę, znaczy to, że się zabrukał; ja — jestem biedny, lecz nie straciłem jeszcze postawy. (Rozgląda się w swojej powierzchowności.)

Stoczyłem się zupełnie naturalnie, zupełnie logicznie, zapewne dla tego, że tak było napisano... Żadnego zawodu, żadnych stałych dochodów, i zawiele idei, — czyż tego niedość!.. (Z akcentem zadumy:) Ach, idei zabawnych... I piłem też niekiedy: to pociesza... (Przechodzi z powrotem pierwszy pan porządnie odziany, niosąc bukiet owinięty białym papierem. Przekupień wyciąga rękę.) Panie... Panie... Mój dobry panie... Upewniam pana, jestem chory, nie jadłem nic od dwóch dni, chciej pan to sobie wyobrazić... (Idzie koło niego, mówiąc ciągle tonem bardzo pokornym.) Panie, błagam pana, racz mnie wysłuchać... Doprawdy, nie opowiadam panu historyjek wymyślonych... (Płaczliwie.) Nie odmawiaj mi pan wsparcia, proszę tylko o kawałek chleba...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Łagodnie:) No, no, mój przyjacielu, dajże mi spokój nareszcie. (Dobitniej:) W takim wieku, cóż u dyabła! człowiek powinien pracować!

PRZEKUPIEŃ.

Ma pan słuszność, drogi panie, ale proszę mi powiedzieć, co mam robić... Nie mogę nic znaleźć.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Pozbywając się go znużonym gestem:) Śpieszy mi się, mój przyjacielu, zwróć się do kogo innego.

PRZEKUPIEŃ.

(Uporczywie, głosem błagalnym:) Pański bukiet, panie... bukiet... Pozwól mi pan odnieść go do niej... Daj mi go pan, odniosę za dziesięć susów, za pięć... za dwa.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Z westchnieniem:) Nie, w Paryżu niepodobna mieszkać, stanowczo! (Odchodzi szybko.)

PRZEKUPIEŃ.

(Żałosnym głosem:) Litości dla biednego robotnika bez pracy, który nie jadł od dwóch dni... (Podnosząc głos:) Panowie i panie, miejcie litość nad biednym robotnikiem bez pracy, który nie jadł od dziesięciu dni. (Przechodząca młoda elegantka wybucha śmiechem.) No, a cóż tej się znów stało? Ach, do licha, rzeczywiście, omyliłem się. (Pędzi za młodą kobietą i dogania ją.) Pani... Pani... Oh, pani, bądź miłosierną... Jesteś pani taka piękna... Trzeba mieć nieco więcej współczucia dla biednych ludzi... Przecież nie chciałabyś pani, abym kradł... Cokolwiek daj mi pani, cokolwiek... Pani... Błagam panią...

MŁODA ELEGANTKA.

(Przestraszona tem uporczywem naleganiem:) Proszę mnie puścić... Proszę mnie puścić, albo zawołam policyanta! (Odbiega.)

PRZEKUPIEŃ.

Nie! to rzemiosło wstręt nareszcie budzić we mnie zaczyna!.. Sprzedając cokolwiek, można przynajmniej głupstw im nagadać, co się zmieści. (Przechodzi drugi strażnik miejski, z obojętną miną. Przekupień odwraca się żywo i opiera łokciami na poręczy mostowej.) Dalibóg, jeszcze mię złapią na gorącym uczynku... (Melancholijnie;) Gdy pomyślę, czem byłem... Dzisiaj, rozumiem, że ludzie uciekają ode mnie: sam wstydzę się swej szpetności... Cuchnę nędzą o milę i zasmradzam siebie samego. To prawda jednak: zdaje mi się, żem nie jadł przynajmniej od dziesięciu dni... A ta mała waryatka śmieje się z tego!.. Ach, przebaczam im, rozumiem ich... Mężczyźni śpieszą się, kobiety mają nerwy, a ja ciągle plączę im się pod nogami... (Z wściekłością:) Ale niechże mi powiedzą, gdzie się mam podziać! Nie mam już ani papieru listowego, ani ołówków, ani zabawek dziecinnych, nic,

nic!.. Mogę im służyć tylko swoim czasem, a oni go nie potrzebują... Oh! zduszę dziś kogoś, to pewna... (Chwyta się poręczy, chwieje się na nogach, po chwili wyprostowuje się z wysiłkiem.) Cała ta hałastra przechodząca... (chwila milczenia) to jednak ostatecznie porządni ludzie!.. Tylko nie widzą, nie widzą nic, ani mojej nędzy, ani przepychu nieba... (Chwieje się znowu.) Ach! gotów-em upaść.. W oczach mi czerwono!.. To to przeklęte słońce, zadługo na nie patrzałem... Mogłoby się zdawać, żem pijany... Tak, to słońce, ta kula żółto-czerwona, te społmienione obłoki... Mam jakby krew w oczach i słyszę, jak mózg mi kipi... (Oddycha mocno, zdejmuje i wkłada z powrotem kapelusz, obciera sobie czoło rękawem.) Przeszło mi trochę... Olśnienie nagłe... Lepiej mi, i mniej czuję głód... Okropna rzecz — być głodnym, cudna rzecz — słońce!.. Niegdyś... ale, doprawdy, cóż mi się to dzieje?.. Niegdyś nazywałem je Bogiem nędzarzy, jak gdyby nędzarze zdolni byli je widzieć!.. (Wskazując na przechodniów:) A dopiero-ż ci! Pomyśleć, że oni nie widzą nic, że nikt nic nie widzi!.. Ach! żal mi ich z całego serca... (Nagle zaczyna robić ruchy człowieka, na którego zeszło niespodziane objawienie, potem chwyta się kurczowo poręczy mostu, wspina się na palcach i przemienia się cały w ekstatycznej jakiejś transfiguracyi.) Możnaby przysiądz, że jakiś palec ognisty dotknął nagle mej czaszki... (Twarz jego wyraża radość szaloną.) Puk! i już gotowe!.. Ach! cóż za wspaniała błysła mi nagle idea! (Wybucha ostrym, przenikającym śmiechem.) Widowisko, dalibóg, niegorsze będzie od innych... (Przechodniów coraz więcej: obchodzą go, potrącają. — On wyciąga nagle ręce przed siebie, rzuca z rozmachem kapelusz na ziemię i przybiera postawę handlarza, zabierającego się do wygłoszenia swych szarlatańskich obwieszczeń; ale, obok przybranego łobuzowsko-drwiącego tonu, w głosie jego pobrzmiewa chmurna ironia: mówi jak człowiek pijany lub szalony.) Panie i panowie!.. Nie sprzedaję ani papieru listowego, ani ołówków, ani zegarków uszkiem nakręcanych: mam coś lepszego!.. Nie mam cudownego - kółka - bezpieczeństwa - kluczy: mam coś lepszego!.. Panie i panowie! Nie mam

trociczek - seraju - dla - buduarów - jedynego - zapachu - dobrych - gospodyń, ani kręcącego - się - motyla - radości - dzieci - spokoju - rodziców: mam coś lepszego!.. Ani balonika - czerwonego - który - nie - pęka - nigdy - z - wyjątkiem - wypadków - nieprzewidzianych: mam coś lepszego!.. Panowie i panie, zbliżcie się!.. Nie, nie mam ani przepowiedni - doskonałego - poznania - swych - losów - nieomylnej - wskazówki -wszystkiego - co - wam - się - przytrafi - w przyszłości - teraźniejszości - i - przeszłości! Nie! To coś lepszego, powiadam wam!.. Szlusuj, czcigodna publiczności, zemknijcie szeregi, panie i panowie! Za obejrzenie, bez dotykania, nic się nie płaci!.. Baczność, zaczynam!.. Zbliżcie się, powtarzam, nie ugryzę nikogo, ani sparzę!.. (Przerywa sobie, aby nakreślić na ziemi trzy splatające się wielkie ryby.) Zbliżcie się, panie i panowie!.. (Przechodnie zatrzymują się i, po chwili wahania, tworzą koło: w pierwszym szeregu, tradycyjny chłopiec od cukiernika, ze swą manną na głowie. Tłum wzrasta z każdą chwilą: przyłączają się do niego, spostrzegłszy tylko głowę przekupnia ponad głowami zbiegowiska, *drugi pan porządnie ubrany* i *trzecia elegantka* w jasnym stroju.) Dalejże, przystąpcie i nie lękajcie się niczego: jeszcze nie trzeba płacić za miejsce!.. Panie po prawej stronie, panowie po lewej, cena ta sama, równość dla stron obu!.. Musicie przecież widziec przemysłowca przy robocie! Musicie sami osądzić jego sposób obchodzenia się z przedmiotem. Baczność! Bo starczy towaru dla wszystkich, tak, bez samochwalby i oszukaństwa, a nie będzie to ani drogie, ani trudne do zabrania ze sobą... Zbliżcie się zatem, oto chwila nadeszła! Oto pora, oto sposobność jedyna. (Werbel językiem.) Starczy go dla nianiek, starczy go dla wojaków! Nie zbraknie go dla matek i panien, dla kawalerów i żonatych, dla wdów i wdowców!.. Zbliżcie się, panie i panowie! Jeszcze bliżej, jeszcze bliżej... Sprzedaję towar niezwykły, niesłychany, niemający równego sobie w świecie całym, towar — *jedyny*, JEDYNY!.. A dość go będzie dla wszystkich, dla każdego i dla każ-

dej, zapewniam was, daję wam na to słowo honoru, choćby was było sto tysięcy!.. (Udaje, że przysłuchuje się na prawo i na lewo, potem ciągnie dalej z jeszcze większą energią.) Słyszę mówiących: „Tak, znowu ta sama tandeta, farbowane lisy z modnem pokryciem!“ (Śmiejąc się szyderczo:) Otóż nie, panowie! Sprzedaję, jak miałem zaszczyt was uprzedzić, towar JEDYNY... w swoim rodzaju! Jest to rzecz niezrównana, w tej chwili wam udowodnię... (Gwar w tłumie.)

GŁOS W TŁUMIE.

No, no, no! co za perora! Pokaż-że nareszcie swoją tandetę!

PRZEKUPIEŃ.

To nie papier listowy dla zakochanych, coś lepszego: to miłość sama!.. To nie ołówek z obsadką wiecznotrwałą, coś lepszego: to strzały z ostrzem ognistem, piszące szkarłatnym atramentem wyraźniej niż w książkach!..

GŁOS W TŁUMIE.

Strzały piszące?

PRZEKUPIEŃ.

To nie nakręcany uszkiem zegarek niklowy, marna cebula za trzydzieści susów: to wielki godzinnik regulujący zegary giełdowe!.. To nie kółko-stalowe-bezpieczeństwo-kluczy: to klucz, otwierający wszystkie drzwi, pomimo wszelkich zasuw!.. To nie trociczki seraju: to wszystkie Wschodu aromaty!.. To nie kręcący się motyl, to rzecz, która mu ruch i migotliwość daje!.. To jedyny olbrzymi balonik czerwony, który nie pęka, który nie pęknie nigdy!.. Hola! zapamiętajcie to sobie państwo!.. (Werbel językiem.) A wystarczy dla wszystkich: przysiągłem na

to!.. Nie, to nie przepowiednie i kabały: to przyszłość sama, teraźniejszość i przeszłość, to ziemia i niebo, szczęście i nieszczęście, to kamień filozoficzny, jednem słowem!..

GŁOS W TŁUMIE.

Czóż to takiego?

PRZEKUPIEŃ.

Zbliż się , czcigodna publiczności, szlusuj, tłocz się! Da każdy, co zechce, za niespodziankę!.. Zbliżcie się, panie i panowie!.. Jam jedyny handlarz tego towaru, a składów moich nie szukajcie na rogach ulic: one są tutaj, na wietrze, pod obłokami; jam jedyny kupiec, jedyny agent, jedyny roznosiciel, jedyny sprzedawca, — i sprzedaję wam... chciejcie dobrze zrozumieć... SPRZEDAJĘ WAM SŁOŃCE! (Wskazuje na niebo. Dokoła krzyk, hałas, wybuchy śmiechu.)

RÓŻNE GŁOSY.

— No, no, proszę ja kogo!
— Co za blaga, mościpanowie!
— Ależ on ma słuszność. To kapitalne!
— Precz z nim!
— Za drzwi kpiarza!
— No, dość mielenia językiem: zaprodukuj nam swój figielek.

PRZEKUPIEŃ.

(Nowym, szerszym gestem, wyciąga rękę w stronę zachodu słońca; postawa jego tchnie dostojeństwem, głos gorętszemi drga akcentami.) Ani na chwilę, panowie, nie śmiałbym powątpiewać o waszej inteligencyi... (Uśmiecha się lekko z drwin własnych.) Z pewnością wszakże wiele osób nie zrozumiało... Wypada mi więc może objaśnić widowisko tym, którzy nie rozumieją?.. Moim fachem

jest wskazywanie, podobnie jak rzemiosłem niektórych ludzi — niewidzenie... Spójrzcie zatem! Spójrzcie, panie i panowie, jakie ono spokojne: uskromiłem je!.. Chwyciłem je za wielkie rogi złote, i oto kornie u stóp nam się kładzie!.. Nie bójcie się patrzeć: jest to bestya bardzo łagodna, a choć zieje ogniem z pyska, pożera wszakże tylko kwiaty!.. Ludzie, którzy marzycie o fortunie, oto jest złoto! (Zaczyna się unosić.) Kobiety, które marzycie o piękności, oto zwierciadło pełne odbić olśniewających!.. A wy, małe płaksiwe pędraki, oto róże, któremi możecie sobie babrać policzki!.. Zakochani, oto ogień! Zakochane, oto pycha! Poeci-nędzarze, oto rymy złote! Żołnierze, oto wszystkich tryumfów sztandary! — A wy, głodomory niepoliczone, oto olbrzymia, powszechna, soczystych, krwawych mięs biesiada!.. Spojrzyjcie, nie okłamałem was: oto złoto pada, oto cacka dżdżą lśniące!.. Kaskadami walcie się, dwudziestofrankówki! Buchajcie, rubiny, jak rakiety świąt narodowych! Strumieniami lejcie się, topazowe fale purpurowych winobrań! Strzelaj grzmiąco, niebieski szampanie!.. Oto upojenie dla ludzi, oto krew bogów!.. A wy, którzy płaczecie, shańbieni lub zbrodniarze, oto łzy dyamentów najczystszych, oto rosa pereł najbielszych, oto krople miodów najsłodszych!.. Patrzcie wszyscy! Jam hojny: kto nie chce płacić, temu nie sprzedaję, temu — daję słońce!.. (Wkłada kapelusz na głowę i stoi z oczyma utkwionemi w słońcu dalekiem. — Nowy hałas, oklaski, krzyki zwierzęce, spory. Susy sypią się pod nogi przekupnia.)

RÓŻNE GŁOSY.

— Wszystko to wściekła blaga!..
— Nie sztuka w ten sposób zarabiać susy!
— Ja myślę, przeciwnie, że nie bierze ich darmo!

(Zjawiają się dwaj strażnicy miejscy i starają się dostrzedz przekupnia pośród zbiegowiska.)

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI

Nie zatrzymywać się, panowie, nie zatrzymywać się!.. Przeszkadzacie państwo ludziom przechodzić!.. Przeklęty handlarz!

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Jeden pójdzie sobie, drugi się zjawia!.. A cóż ten tu sprzedaje?

DRUGI PAN PORZĄDNIE UBRANY.

Nic zupełnie... Upił się zapewne.

TRZECIA MŁODA ELEGANTKA.

Twierdzi, że sprzedaje słońce, ale nie pokazał nam go: musi to być zapewne jakaś osobliwość egipska, którą on tak nazywa. (Wspina się na palcach, aby zobaczyć.) Nie, nic dojrzeć nie mogę. (Strażnicy rozpędzają tłum.) Oh, panowie, nie aresztujcież go, bardzo was proszę! (Strażnicy uśmiechają się do niej.)

PRZEKUPIEŃ.

(Do siebie:) Do licha, polipy!..

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

He tam, co tu barłożysz?

PRZEKUPIEŃ.

(Zbierając susy:) Proszę was, panowie, pozwólcie mi zebrać moje susy... Tyle ich leży..!

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

A twoja tandeta? gdzież ona?.. Co-ś ich tu obełgiwał?

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Żebrak, to się rozumie!.. No, nogi za pas... a żywo... albo pójdziesz do ula!

PRZEKUPIEŃ.

(Podnosi się, nieco zdumiony, że mu tak uszło; potem zwraca się ku słońcu i zdejmuje kapelusz.) Dobranoc — i dzięki, staruszku! (Odchodzi.)

(Tłum rozprasza się, zostaje tylko cztery lub pięć osób, przeważnie młodych ludzi, z oczyma marząco utkwionemi w słońcu.)

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Dalejże, nie zatrzymywać się, nie zatrzymywać się! (Młodzi ludzie odchodzą.) Czegóż ci także gapili się tak w tamtą stronę? (Patrzy również przez chwilę; towarzysz idzie za jego przykładem.) A ty, widzisz cośkolwiek?

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Nie, nic.

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

(Zwracając się w stronę, gdzie zniknął przekupień.) Może źle zrobiliśmy, żeśmy go nie przyskrzynęli, tego ptaszka!



PRZEŁOŻYŁ: Miriam. Rachilde.

* * *

Oczy, wy, moje! —
utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas —
a nic nie widzę
i tem się niepokoję, —
a nic wyczekać nie mogę
i w tem mam trwogę.

Noc.
Po kwietnych łąkach
pełznie szept cichy
od kwiatu do kwiatu,
od trawy do traw,
od łodyg w kielichy
pełznie szept cichy, —
modlą się kwiaty,
modlą się drzewa w mistycznym poszumie,
modlą się wody w mglistej zadumie,
wszystko się kłania w rytm modlitwy cichej,
niby klasztorne mnichy
w szarą godzinę pacierzy. — —

Po kwietnych łąkach
pełznie szept cichy,
a za nim Elfów stado bieży,
z czarą stuwonnych kadzideł:
z rumianku, mięty,
z dzikich róż,
z kłosianych zbóż
przez Elfów wyciągnięty
do złotych kruż,
do złotych trybularzy,
ten zapach stu woni
jak ptak się we mgłach waży.

To Msza wieczorna Wszechświata
ze świętych Ziemi ołtarzy
w bezkrańce ciche ulata.

Oczy, wy, moje!
Utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas,
w tę rozmodloną Ciszę, —
a nic nie słyszę
i tem się niepokoję —
to troski moje.

Ranek. —
Różowe światło płynie z za krańców ziemi, —
różowy wstaje dzień jak twarz dzieciny,
co się ze snu budzi, —
już w polach garstka ludzi
przy bruzdach się trudzi,
a w dali las siny,
rozorane role,
łąki, oziminy

w rosy łzach się myją, —
gdzieniegdzie ptak z wyciągniętą szyją
ziarna na miedzy zbiera kąkole.

Tak cicho —
zda się,
słychać, jak płynie to światło różowe, —
zda się,
że świat stanął w biegu, —
jeno czasem zagra na fujarce
chłopczyna, co u brzegu
siwe konie pasie, —
lub popłyną z dzwonnicy
przy kościele z modrzewia
na ranną wotywę
głosy smętne, tkliwe —
pacierze szepcą starce
wtedy na progach chat,
a łzy tęsknoty przeżytych chwil
w ich zblakłej drżą źrenicy — —
ileż ranków tych różowych,
ileż takich lat!

Oczy, wy, moje!
utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas
i w tę różową ciszę, —
a nic nie słyszę
i tem się niepokoję, —
że tak mi wszystko z przed was ginie
w tem życie biedne moje minie.

Bolesław Kołtoński.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“



ojko spojrzał na mnie i, zdało się, odgadł, co się we mnie dzieje. Milczał, podobnie jak ja, i myśli nasze błądziły tak, Bóg wie gdzie. A tymczasem, szliśmy mechanicznie dalej ulicami i stanęliśmy wreszcie naprzeciwko św. Juliana, przed domem „pod tonącą gwiazdą.“

Rojko mieszkał na trzeciem piętrze. Chwiejne, skrzypiące schody, szerokie i ciemne, wyprowadziły nas na dość obszerny korytarz; szliśmy nim z dziesięć kroków, poczem skręciliśmy po trzech stopniach naprawo w mniejsze przejście, kończące się drzwiami samej już Rojka siedziby. Ale po drodze mijało się jeszcze drzwi innego mieszkania, w tej chwili otwarte naoścież. Spojrzeniem zabłądziłem tam mimowoli. W pokoju było więcej niż półciemno, bo zmrok już zapadł głęboki, a do tego okna

były zawieszone jakąś tkaniną w żółte i czerwone kwiaty, na stole zaś paliła się tylko cieniuchna świeczka. Komnata robiła wrażenie wielkiej czystości i porządku. U jednej ze ścian stało staromodne łóżko z wypłowiałemi, powłóczyście spływającemi zasłonami jedwabnemi, w których widać było podłużne, wielkie szczeliny i pęknięcia — rozpadały się ze starości. Zasłony były rozgarnięte, i w cieniu dostrzegłem zarysy jakieś postaci leżącej na tem łóżku. Pośrodku pokoju stał wielki biały, niemalowany stół, wyszorowany tak czysto, że błyszczał w ciemmności, a koło niego, trzymając się poniekąd jego krawędzi, przesuwała się znużonym jakimś ruchem staruszka wysokiego wzrostu, w czarnej odzieży, z białym czepcem na głowie; w wielkim, wysokim staromodnym fotelu siedziała opodal druga starowinka, blada, schorowana, o twarzy ohydnie zeszpeconej, lecz niepowszedniej. Była siwiuteńka, tylko gęste brwi miała zupełnie czarne, a oczy świeciły jej niezwykłym jakimś blaskiem. Trzymała małe zwierciadełko ręczne, dziwnie badawczo w nie się wpatrując. Uśmiech samozadowolenia błądził po jej twarzy, kiwała głową i poruszała wargami, jak gdyby szepcząc coś do siebie. Przeszliśmy szybko koło drzwi tego pokoju i, niechcąc się wydać niedyskretnym, błyskawicznem zaledwie spojrzeniem zdołałem ogarnąć jego mieszkanki, ale uderzyła mię odrazu szczególna ich powierzchowność.

— To dziwna, — rzekłem, — że nietylko z ludzi, ale nawet z rzeczy wydobywa się niekiedy jak gdyby jakiś prąd magnetyczny, który nas ogarnia i opanowywa doszczętnie! Ten dom pański zaczarował mię poprostu, zaczarował w tem znaczeniu, że czuję się stanowczo pod władzą niepojętego jakiegoś wpływu. — I mimowoli obejrzałem się za siebie ku drzwiom, które już minęliśmy.

— Czyżby pana tak zajęły moje sąsiadki? — spytał Rojko, zgrzytając kluczem w zamku. — Przechodziliśmy, —

dodał po chwili, gdyśmy już weszli do własnego jego mieszkania, — koło „klatki trzech waryatek.“ Tu w domu, muszę pana uprzedzić, każdy mieszkaniec ma jakieś przezwisko.

— Klatka trzech waryatek? — powtórzyłem za nim. — Czyżby te kobiety były istotnie nienormalne? Ale widziałem tylko dwie.

— Trzecia, biedaczka, nie wstaje z łóżka już od lat kilku. Jest to margrabianka z urodzenia, ale taka biedna i sponiewierana, że aż serce boli.

— I obłąkana?

— Nie, ale zupełnie już zdziecinniała! Dwie drugie, które z nią mieszkają (jedna naprawdę waryatka), mają dla niej ogromnie wiele dobroci i względności. Wszystkie te trzy staruszki są takie ciche i spokojne, że cały dom otacza je czemś w rodzaju czci. Jako sąsiadki, są poprostu wzorowe.

— Zdaje mi się, — przypomniałem sobie teraz, — żeś pan o nich majaczył, gorączkując w naszym szpitalu. Powiedziałeś pan kiedyś, patrząc nieruchomie w próżnię: to ta najstarsza z sióstr, mater lachrymarum! Zapewne jedną z nich nazywasz pan w ten sposób?

— Nie, — odrzekł. — Czy istotnie powiedziałem „mater lachrymarum“? W takim razie musiałem mówić po angielsku?

— Tak jest.

— Ach, tak! Zatem przytaczałem tylko de Quincey'a. Czyliż nie znasz pan tej przedziwnej jego rzeczy: „Lewana i trzy matki boleści“? Umiem ją całą prawie na pamięć.

— Nie znam, — odpowiedziałem.

— W takim razie przeczytaj ją pan sobie kiedykolwiek. Ja przepisałem sobie niegdyś cały ten utwór, nie miałem wówczas dość pieniędzy nawet na tak tanią książkę. Jakże potężnie oddziałał na mnie de Quincey tym

poemacikiem! W życiu jego za lat młodych było istotnie nader wiele wspólnego z przejściami mojej młodości. To też „Lewana i trzy matki boleści“ zbudziły we mnie takie echo, że zdawało mi się niekiedy, iż to jedna z mych własnych wizyj, i że mieliśmy ją z de Quincey'em na współkę!

Zapatrzył się w próżnię i milczał tak długo, że mi się wydało, iż o mojej obecności zupełnie zapomniał. Staliśmy w małym, wązkim przedpokoiku, zawsze zapewne dość ciemnym, bo odbierającym światło tylko z korytarza przez małe nade drzwiami okienko. Ciemnozielona, miejscami do żółtości wypłowiała zasłona dzieliła ten przedsionek na dwie części. W jaśniejszej staliśmy właśnie; za nawpół odgarniętą kotarą widniał zupełnie ciemny kąt; stało tam stare krzesło drewniane i walały się jakieś niepotrzebne widocznie, wyrzucone tu sprzęty. Podczas gdym się niezajmującym tym rzeczom z chciwą jakąś przypatrywał badawczością, opamiętał się Rojko, otworzył drzwi do pokoju wiodące i, zapraszając mnie uprzejmie do wejścia, zapalił jednocześnie stojącą na podoręczu świecę. Mieszkanie miał ubożuchne, lecz czyste. Sprzętów było niewiele: stół, na nim arkusze zapisanego papieru i stos różnych gazet, pod ścianami kilka krzeseł, koło okna nieco zużyty sekretarzyk w stylu *empire,* w jednym kącie żelazne wąskie łóżko, w drugim bufet z naczyniami do herbaty, blaszanym samowarkiem i małą lampą. Fotografia Cano'wskiego, drewnianego posągu św. Franciszka z Assyżu, bez ram, wprost do ściany przybita, była jedynem w pokoju dziełem sztuki.

— Kto z tych dwóch jest panu tak sympatyczny, — spytałem z pewną ciekawością, — święty czy artysta?

— Obadwaj, — odrzekł. — Franciszek z Assyżu jest jednym z największych ludzi, a Cano jednym z najszlachetniejszych artystów, o czem świadczy wystarczająco

choćby tylko ten posąg, jedyne z jego dzieł, które znam, i to tylko z reprodukcyi.

— Co za realizm u tych starych Hiszpanów! — zawołałem, przypatrując się fotografii, — czyż to nie wygląda na jakieś dzieło zupełnie dzisiejsze?

Rojko uśmiechnął się.

— Nie zgadzam się z panem, — rzekł, — skupiasz pan zbyt różne rzeczy pod jednem pojęciem i jedną nazwą. Mówiąc „realizm“, masz pan na myśli „prawdę“ w sztuce, jak gdyby dopiero nasi dzisiejsi realiści tam ją wprowadzili. Wpatrz się pan tylko dobrze w ten posąg św. Franciszka, a wnet odsłoni się panu różnica między temi dwiema epokami. Kierunek dzisiejszy, a przynajmniej ta szkoła, która najbardziej hasłami rzucała, myśli tylko o prawdzie w oddaniu jakiegobądź przedmiotu. Tamci wielcy mistrowie nie znali haseł ani doktryn, ale mieli bezpośredniość widzenia i troszczyli się przedewszystkiem, czy to, co tworzyć chcieli, wystrzela dostatecznie nad poziom powszedniości, albo, mówiąc poprostu, czy przedmiot wart, aby go stwarzać. Większość potocznych produkcyj, dzisiaj w modzie będących, tego niewarta. To, co autorowie ich „obserwują“ tak szczegółowo, nie może właściwie nikogo bardzo zajmować. Spójrz pan na tego św. Franciszka — co za prawda w wykonaniu, masz pan słuszność, ale przedewszystkiem co za ideał w koncepcyi! A na tem polega cała sztuka.

— Zgadzam się z panem o wiele więcej, niż pan myślisz, — odparłem; — odróżniam doskonale realistów, jakimi naprzykład są Dostojewski i Flaubert, od tego tłumu, z którego w tej chwili żadne mi nawet nie przychodzi na myśl nazwisko. Ale zdaje mi się jednak, żeś pan niesprawiedliwy względem naszej doby dzisiejszej.

— Ani odrobiny, — odpowiedział żywo. — Twierdzę jedynie, że nie jest to doba wielka, ponieważ spełnia przej-

ściowe tylko zadanie. Wiedza, literatura, sztuka wogóle, ba, nawet polityka i społeczne ruchy nasze — wszystko to jest dopiero w stadyum analizy. Walki narodowościowe, spory socyalne, wątpienie w religii, naturalizm w sztuce, empiryzm w nauce: toć to przecie sama analiza. A tymczasem wielkość jest jedynie w syntezie, która po analizie nastąpić musi. We wszystkich wymienionych dziedzinach nie brak wprawdzie duchów, które, acz nie dosięgły nigdzie szczytów, stoją jednak wysoko nad swoją dobą. Ale świat tam, gdzie one, dojdzie zapewne dopiero za jakieś stulecie — wspaniałe to drzewo wzrośnie snadź kiedyś aż pod niebiosa, dziś kiełkuje zaledwie. — Umilkł.

— Jesteś mi pan zagadką, — rzekłem mu. — Takie dziwne w panu sprzeczności. To wydajesz mi się pan beznadziejnym, skrajnym pesymistą, rozpaczającym nad wszystkiem dokoła, to znów tryskają nagle ze słów pańskich promienie najbielszego światła nadziei i rozpraszają wszystkie ciężkie chmury.

— Ulegam wrażeniom, — odpowiedział z prostotą. — Powiedziałem już panu, że nie potrafię nie marzyć. Zresztą, i ja sam jestem dzisiejszym właśnie człowiekiem, mam wszystkie właściwości doby przejściowej: „himmelhoch jauchzend, zum Sterben betrübt“, jak śpiewał stary Goethe. Nie jestem człowiekiem dzisiejszym tylko w tem znaczeniu, że nie umiem się zapalać do wszystkich potoczności naszej epoki, a przedewszystkiem, że nie zdołam śpiewać razem z innymi w tryumfalnym chórze, wysławiającym nasze stulecie jako koronę wszystkich poprzedzających. Pozatem, godzę się chętnie, że doba ta należy do najbardziej zajmujących. Choćby tylko z powodu tych śmiertelnych zapasów między nauką i religią. Humorystyka tej poważnej walki polega na tem, że obaj zapaśnicy kładą nacisk na swoją nieomylność. Tymczasem ludzie dzisiejsi mają przeważnie jedną z dwóch chorób: że

albo nie wierzą, a jednak w skrytości ducha tęsknią do wiary jakiejkolwiek, albo też wierzą wprawdzie, ale już nie niezłomnie, nie zwycięzko nad calem morzem zwątpień, — i wskutek tego jedni i drudzy radziby te dwie nieomylności do jakiejkolwiek doprowadzić zgody.

— A czy myślisz pan, że kiedykolwiek da się rzucić most między religią i wiedzą? — zapytałem. — Mnie wydaje się to niemożebnem.

— W świątyniach egipskich religia ezoteryczna była wiedzą najwyższą, która zmogła analizę i doszła do wspaniałej a jednak prostej syntezy. Mędrcami byli ci starożytni, że prawdy najwyższe zostały u nich tajnym, ukrytym skarbem, dostępnym tylko dla wtajemniczonych.

— Nie było-ż to niesprawiedliwe?

— To było przezorne i mądre. Nawet wiedza nie zyskuje na popularyzacyi. A czyliż nie widzisz pan, w co się obraca każda wielka religia z biegem czasów, gdy wielkie jej nauki, czyste prawdy i wzniosłe symbole zaczynają być nadużywane, pozbawiane treści najwyższej i karykaturowane do niepoznania!

— Oh, poznaję pana lepiej, — zawołałem; — pan wierzysz w ideały najwyższe, mimo iż, jak wieża Babel, waliły się w gruzy pod panem, w chwili, gdyś pan mniemał, że u szczytu już jesteś!

— Czyż-em panu nie powiedział przed chwilą, że nie mogę wyrzec się marzenia? — rzekł ze smutnym uśmiechem i zbliżył się do okna.

Mimowoli poszedłem za jego przykładem. Spojrzenie me padło trafem na szybę jasno oświeconą blaskiem stojącej w pobliżu świecy. Na szkle, wyryte zapewne dyamentem, lśniły te słowa w polskim języku: „Sam, sam, sam! Boże, jakżem opuszczony! Tego nikt nie wie, co w sercu mem płaczu!“ Niżej był podpis, polskie nazwisko, którego już dziś nie pamiętam, i data: 1832.

— Zdumiewające! — zawołałem, — patrz pan, ta szyba jest tu już pięćdziesiąt sześć lat! Owo biedne serce, w którem, według cytaty ze Słowackiego, tyle było skrytego płaczu, dawno zapewne przestało już bić i płakać, podczas gdy cienka tafla szklana, narażona na wichry, burze i wszelkiego rodzaju przypadki, przetrwała wszystkie te boleści i pogrzebane nadzieje. Ileż zapomnianych westchnień i wykrzyków, modlitw błagalnych i klątw słyszały tedy zapewne te poczerniałe, ale mocne jeszcze mury pańskiego domu! Ileż tonących gwiazd zapadło może i utonęło w mrocznem jego wnętrzu! O, ta znikomość ludzkiej doli!

Rojko nie odpowiedział, cofnął się w głąb pokoju i siadł na łóżku żelaznem. Widziałem, że we wnętrzu jego coś się dzieje, do czego brak mi było klucza. Niewątpliwie, musieli znowu „mówić do niego o n i,“ bo zdawał się nie wiedzieć zupełnie, że koło niego siedzę i że z nim rozmawiam. Chwilami tylko miałem wrażenie, że spostrzega moją obecność; spoglądał na mnie od czasu do czasu jak gdyby z podziwieniem, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Tyś tutaj? Kto jesteś i czego tu szukasz?“ Było to niewysłownie przykre. Wstałem i uścisnąłem mu rękę. Była rozpalona jak w gorączce.

— Do zobaczenia! — rzekłem, potrząsając głową. Rojko skinął w milczeniu. Wyszedłem cicho z pokoju, za drzwiami zatrzymałem się chwilę, nadsłuchując, ale Rojko ani się ruszył. Poszedłem powoli dalej. Drzwi „klatki obłąkanych“ teraz były również zamknięte i najmniejszy szmer z za nich nie dochodził. Cały dom był jak zaklęty, ale gdy zszedłem o jakieś pół piętra niżej, powstał nagły hałas, drzwi jednego z mieszkań otworzyły się gwałtownie, i młody, jasnowłosy wojskowy, po fanfarońsku uczesany, z wywoskowanemi wąsami, typ świadomego siebie „pięknisia,“ wypadł na korytarz i zaklął. Oświetlony smugą

promieni, bijących od lampy w pokoju, zatrzymał się chwilę w ciemnem przejściu. Za nim ukazała się kobieta, z włosami w nieładzie, nieładna, ubogo odziana, zapłakana cała.

— Leonie, drogi mój Leonie! — wołała z niepokojem śmiertelnym i chwyciła go za rękaw. — Na Boga, stój! Dokąd idziesz? Dokąd idziesz? Oh, ty mnie porzucasz!

Odtrącił ją grubiańsko, aż się zatoczyła.

— Niech cię dyabli porwą, poczwaro! — wykrzyknął i zbiegł ze schodów.

Zatrzymałem się mimowoli. Kobieta nie spostrzegła mnie nawet. Blada, oniemiała nagle, załamała ręce, potem rzuciła się twarzą ku ścianie i rozpłakała się dziko. Była wzruszająca w tym żalu. Poznałem ją. Była to ta sama kobieta, która niegdyś przed domem zagadnęła mię i zapraszała do siebie. Wówczas budziła wstręt, teraz współczucie. Chciałem minąć ją cicho, niepostrzeżenie, posłyszała wszakże me kroki i obejrzała się szybko. Spodziewała się może, iż uciekający powraca. Spostrzegłszy tylko mnie, zachmurzyła się niechętnie, otarła łzy rękawem, jak to robią dzieci, weszła do mieszkania i zatrzasnęła drzwi gwałtownie.

Takie tedy były wrażenia z mych pierwszych odwiedzin w domu „pod tonącą gwiazdą.“ Dopiero kiedym się znalazł sam, pociemku w swoim pokoju, pośród ciszy głębokiej, zrobiłem poniekąd obrachunek tych wrażeń i powiedziałem sobie, żem się nie zawiódł, szukając czegoś niezwykle zajmującego w tych poczerniałych, ku ruinie chylących się murach. Jakże to wszystko dziwnie na mnie działało, ta „klatka obłąkanych,“ boleść tej niemłodej już kobiety, wołającej rozpaczliwie za uciekającym młodzieńcem, jakież powieściowe tkwiły w tem wszystkiem zarodki! Ale wspomnienie o Rojku zasłoniło te mniej dla mnie ważne obrazy. Widziałem go znowu, sto-

jącego na wybrzeżu z tym ekstatycznym wyrazem twarzy. Słyszałem jego dziwne wykłady o pielęgnowaniu wyobraźni, aż się stanie zdolna wzierać tam, kędy zmysły codzienne dotrzeć nie mogą, — i ze wszystkiego tego w głowie mi się jęło zawracać. Jakąż ten człowiek zdumiewającą miał nade mną władzę! Z oczu jego promieniowało coś niby fluid tajemniczy, coś, co mnie ujarzmiało poprostu.

— Byłżeby to waryat? — spytałem cicho sam siebie.

I zadrżałem znowu do głębi, bo miałem uczucie, że Rojko jest dolą moją, miałem uczucie, że moc jakaś wyższa wydała mu mnie, aby mnie pociągnął, gdzie chce, i że, jeśli on jest waryatem, i mojem tedy przeznaczeniem będzie zwaryować pod jego wpływem. Zerwałem się przerażony.

— Ależ myśleć coś podobnego jest już początkiem waryacyi! — wykrzyknąłem i zacząłem biegać po pokoju, jak zwierzę po klatce. Nie spałem całą noc, rzucałem się na łóżku i miałem gorączkę.

Rano wróciły mi rozwaga i spokój.

— Jest to człowiek oryginalny poniekąd, — rzekłem sobie. — Jest to dusza głęboko cierpiąca, w gruncie nader religijna, ale bez wiary, której nieustannie szuka i którą mylnie spodziewa się znaleźć przez rozum. A ta jego „świadomość faktów pozaziemskich“? To, naturalnie, proste majaczenie...

Zawahałem się. Czemuż miałoby to koniecznie być majaczeniem? Póki mi o tem mówił, pod wpływem jego obecności i osobistości, tłomaczenie wydawało mi się zupełnie jasnem, i byłem niejako przekonany o wszystkiem, co mi opowiadał. Zaledwie wszakże to pomyślałem, ogarnęła mnie głucha złość przeciwko sobie samemu. Nie wmawiałżem w ten sposób sam sobie tego majaczenia? I zdało mi się znowu, że wszystko we mnie wiruje,

że wszystko dokoła razem ze mną się kręci, jako gdy tracimy grunt pod nogami.

— Ten człowiek doprowadzi mię do szaleństwa! — wykrzyknąłem znowu we wzburzeniu najwyższem. — Któż wszakże zmusza mię szukać jego towarzystwa? — dodałem, i postanowiłem w myśli, że już go nigdy nie odwiedzę i że o domu „pod tonącą gwiazdą“ nie wspomnę już nawet.

Przez kilka dni dotrzymałem sobie tej obietnicy, potem wszakże odezwało się we mnie sumienie. Nie byłoż to nieludzkie, odsuwać się od tego człowieka, takiego nieszczęśliwego i opuszczonego, który okazywał mi wyraźną sympatyę i nawzajem znalazł ją u mnie od pierwszej chwili, gdyśmy się zapoznali? Zawstydziłem się siebie samego i poszedłem wieczorem odszukać znów Rojka.

Leżał na łóżku ubrany i zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo chorego. Ujrzawszy mnie, zdumiał się poniekąd.

— Przyszedłeś pan jednak? — rzekł. — Przemogłeś się pan tak dalece? Dziękuję panu.

— Co panu nasunęło myśl, że już nie przyjdę? — zdziwiłem się. Patrzał na mnie uparcie, musiałem spuścić oczy, przypomniałem sobie postanowienie, że już nigdy do domu „pod tonącą gwiazdą“ nie przyjdę.

— Wiem wszystko, — rzekł cicho.

— Wiesz pan wszystko? Co mianowicie? — spytałem.

— Wszystko, co się w panu działo.

— Chcesz pan powiedzieć, że znasz najskrytsze me myśli? — rzekłem z rozdrażnieniem poniekąd.

— Tak, — odpowiedział, — chciałem rzec coś podobnego. Wiem, żeś się pan zatrwożył o jasność swego sądu i że chwilowo postanowiłeś nie widywać się nadal ze mną.

— Z czego wynioskowałeś pan to wszystko? — zawołałem, uśmiechając się wymuszenie, ale z głębokiem pomieszaniem wewnętrznem.

— Widziałem i słyszałem pana.

— Gdzie?

— W pańskim pokoju, wieczorem, po ciemku.

— Byłeś pan u mnie?

— Nie ruszyłem się z tego pokoju. Od ostatnich odwiedzin pańskich byłem ciągle bardzo chory.

— A jednak widziałeś i słyszałeś mnie pan? Czyż to możliwe? Byłżebyś pan czarodziejem? — roześmiałem się głośno, ale śmiech mój był jeszcze bardziej wymuszony niż przedtem. — A może umarłeś pan już, i widzę przed sobą tylko pańskie widmo?

— Gdy śpimy, widzimy też nieraz we śnie osoby nieobecne i słyszymy je. Widzieć możemy nietylko nerwami oka. Widziałem i słyszałem pana wewnętrznym wzrokiem i słuchem. Istoty ludzkie mogą w taki sposób oddziaływać wzajem na siebie, że się zdaje, iż widzą i słyszą. I nie zdaje się to tylko, to jest prawda. Objawiający się oddziaływa na tego, który go widzi, wywiera wpływ potężny na mózg jego, i widzenie wewnętrzne wydaje się wtedy zjawiskiem rzeczywistem. Tak bylo i w tym wypadku. Nie ja na pana, lecz pan na mnie oddziaływałeś, nieświadomie, z taką intensywnością, że, jak powiadam, wiem wszystko, co się w panu działo.

— Gdy zatem siedziałem w swoim pokoju i rozmyślałem, duch mój był, że tak powiem, jednocześnie w mojem ciele i tutaj u pana?

— Zapominasz pan, że duch, dusza nie mogą wogóle być g d z i e ś, ponieważ przestrzeń, miejsce są pojęciami, które mogą być pomyślane tylko w stosunku do ciała, do materyi. Duch, niczem nieskrępowany, może zatem być w stałym związku z duchem innym. Wiesz pan,

że Swedenborg powiedział, iż człowiek, jeszcze za życia cielesnego, duchem obcuje już z duchami innymi, aczkolwiek przemijające jego ja nic o tem nie wie. Dodam od siebie, że nie wie o tem w stanie normalnym. Ale ja, który czuję się tak blizkim śmierci, w stanie normalnym dziś nie jestem, żyję więc już jak gdyby w innym świecie — to jest, mam już nawpół jasne pojęcie o przyszłym stanie swojego ja.

Zamilkł; ująłem go z żywością za rękę.

— Byłżebyś pan w istocie tak mocno chory, — zapytałem, — że myślisz już o innym świecie? A jak pan sobie go wystawiasz? — dodałem nie bez ciekawości.

— Tak mniej więcej, jak Kant o tem gdzieś mówi, — odpowiedział spokojnie. — Rozłączenie duszy z ciałem nie oznacza dla niego nic innego, jak przemianę widzenia czy pojmowania za pośrednictwem zmysłów w bezpośrednie widzenie czy pojmowanie duchem. Inny świat nie jest zatem innem miejscem w świecie, lecz innem widzeniem świata. Innym stanem naszego ja. Innym jego stosunkiem do całości. — Umilkł znużony.

— Czyś pan naprawdę tak bardzo chory? — spytałem ze szczerem zaniepokojeniem.

— Naprawdę. Ale cóż z tego?

— I nie wierzysz pan w moją sympatyę?

— Wierzę. Wiem przecie, iż wyrzucałeś pan sobie wahania co do odwiedzin u mnie.

— Ach, wyrzucasz mi pan...

— Nie, nie, — zawołał, — nic nie wyrzucam, ani panu, ani nikomu innemu. Widzisz pan, nie byłem poprostu stworzony do szczęścia przyjaźni, nie dostało mi się to w udziele. I nikt temu nie był winien. Przyjaźń banalną sam zawsze odpychałem, albo też nie wytrzymywała ona pierwszej próby. Taka przyjaźń chce ciągle być głaskana, a ja, jeśli uścisnąłem czyjąś rękę, czyniłem to zawsze

tak mocno, że aż bolało. Dla tego, umiałem pozyskiwać przyjaciół, ale nie zachowywać ich na dłużej.

— Czyż to nie są wyrzuty? — spytałem smutnie.

— Wierzaj mi pan, że nie, — odpowiedział, i twarz rozjaśnił mu uśmiech tak idealnie dobry, że, wzruszony do głębi, uścisnąłem mu rękę tak silnie, iż musiała go zaboleć. Nie dał tego wszakże poznać po sobie.

— Ale teraz, — rzekłem, — opowiedz mi pan, co panu jest, abyśmy mogli poszukać pomocy.

— Dajmy temu pokój, — odrzekł odmownie. — Jestem osłabiony i mam gorączkę, oto wszystko. To przejdzie! Ale jeżeli zechcesz mi pan pomódz, abym mógł wstać i iść, zaprowadzę pana do swych sąsiadek, do „klatki waryatek.“ Tej biednej margrabiance znowu gorzej podobno. Obiecałem starej jej przyjaciołce, u której mieszka, że przyprowadzę doktora. Miałem właśnie pana na myśli. — Pomódz — nic jej zapewne nie pomoże, ale możebyś pan zechciał pójść ze mną do nich, aby ją przynajmniej trochę pocieszyć? One tak mocno wierzą w medycynę.

— Czemuż nie? — zawołałem, — z największą chęcią! Ostatecznie, cóż uzdrawia, jeśli nie wiara?

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

Mundus vult decipi.

(BAJKA.)



zeżąc kobyły, ssąc krew cielęcą i często - gęsto zarywając sarninki, Wilk ani się obejrzał, jak przyszła starość. Klacz mu się w nos śmieje, cielę przed nim umyka, gęś, nawet gęś, pomagając sobie skrzydłami i przeraźliwem gęganiem, odnosi zwycięstwa nad powolnym, zniedołężniałym Wilkiem. Zafrasował się Wilk, zadumał, ważył coś w sobie, nareszcie pewnego dnia, kiedy głód doskwierał mu gorzej niż zwykle i kiedy z pól biegły po rosie smakowite porykiwania cieląt, zawołał Lisa, swego sekretarza, i rzecze:

— Pójdziesz acan ode mnie z poselstwem.

— Słucham waszej wilczości.

— Słuchasz, to dobrze: młodzież powinna słuchać starych. Owóż pójdziesz mi do poblizkiej obory, zwrócisz się do żeńskiego rodzaju cieląt, zwanych jałoszkami, które teraz chcą, jak słyszę, opanować ster opinii bydlęcej, powiesz, że się kłaniam i proszę, aby mi były łaskawe oznajmić swe zapatrywania, a mianowicie: jak pojmują rolę swą, cel i zadanie w oborze? w jakim kierunku pragnęłyby się rozwijać? jakie środki obiorą do osiągnięcia swoich

celów i ideałów, gdy będą miały swobodę działania i decydowania o własnych losach? co myślą o miłości i poezyi?... Powtórz.

Lis powtórzył wiernie, ale, zapuściwszy knykieć w lewem przedbiodrzu, pogmerał w sierci i rzekł:

— Jest moim obowiązkiem ściśle wypełniać rozkazy waszej wilczości, tylko nie rozumiem...

— I nie powinieneś. Że jednak już wszedłeś, jak po twej minie widać, na drogę domysłów i zbyt z ciebie zwierz sprytny, aby zaniechać swych dociekań, wolę ci sam wytłómaczyć, o co tu chodzi. Czy nigdy nie zastanawiało cię, Lisie, jak dalece świat jest zmienny? Dawniej, jak wiesz, drzwi się nie zamykały. Dzień w dzień jakaś nowalijka: to jagnię, ciekawe lasu, to cielę, namiętne do oddalania się od trzody, to sarenka, zalotna chyżością... A dziś? Opuszczeni jesteśmy, wyklęci, prześladowani, truci. Bydło zdala trzyma od nas swą młodzież, strasząc imieniem Wilka, zapewniając, że nie mamy nic z bydłem wspólnego.. I gdzie, jak myślisz, leży przyczyna tego zubożenia wiwendy naszej?..

— Wiem już: za mało dbamy o dobro ogółu.

— Rzekłeś. Entre nous soit dit, że ten lub tamten wół czy prosiak będzie okrąglejszy, obchodzi mnie o tyle, o ile wypadnie mi go zjadać. Ale, jeżeli zamiast „cham! cham!“, szczekasz „ogół! ogół!“ — skończone. Wszystko ci samo lezie do paszczy, wszystko ci wolno, bo kochasz ogół. Niejeden wół pomyśli: co to za zacna dusza, o siebie nie dba, wciąż tylko o innych, trzeba mu złożyć hekatombę. I sto wołów pada trupem dla ciebie, Jowisza. Zdaje ci się, że jesteś dobrodziejem, że bies wie, jakie niesłychane spoczywają na tobie zadania, że bez ciebie całąby oborę wilcy zjedli... inni wilcy... rozumiesz...

— Więc moje poselstwo? — rzekł Lis, któremu śpieszyło się.

— Ma na celu wdrożyć w bydło przekonanie, że ja, Wilk, zacząłem zajmować się jałoszkami z pobudek ogólnego dobra. Usypiam czujność stada i zjednywam sobie cielęta za jednym zamachem. Bo, niewątpliwie, jałoszce pochlebi to, że ja, Wilk, ciekaw jestem, co ona, ta wiochna, ta wizya głodem nękanego brzucha, myśli i czuje. Patrzcie, jaka ze mnie ważna osoba! — rzeknie sobie takie cielątko: Wilk i ogół czekają na moje zdanie. A więc oto je macie. I zaczną się upławy ogólników o celach, zadaniach, obowiązkach, zasadach, ideałach... Ta jałoszeczka powie ci, że chce być duszą niezależną i jednocześnie duszą jego duszy (jego, to jest byczka); chce mieć swój sąd własny i jednocześnie żyć myślą jego myśli (jego, to jest byczka); to znów zechce za pomocą „obeznania się z rozwojem umy-

słowości“ bydlęcej módz wyrazić swoje wezbrane uczucia; to będzie żądała, by, jak byk ryknie „kocham“, nie znaczyło to „pożądam,“ tylko, że „twoje ideały i twoje cele są także mojemi“... Uważasz, takie niedorzeczne sprzeczności, które tylko mózg ukopyconego bydlęcia żeńsko-nijakiego rodzaju zdoła wymyśleć — zobaczysz. Już ja je znam, zęby na nich zjadłem... Inna znów ci powie, że chce się rozszerzać (czyli grubieć) i wysubtelniać... Nie bój się, rozszerzysz ty się przed ocieleniem i wysubtelnisz w moich trzewiach...

Tu Wilk zastanowił się na chwilę i rzekł.

— Idź-no acan, może znajdziesz co w śpiżarni, to przynieś: coś mi burczy po kiszkach na wspomnienie wysubtelnionej cielęciny.

Lis wyszedł i wrócił niebawem, niosąc w pysku glonek sera spleśniałego i trochę farfocli ze zdechłego na ochwat barana.

Wilk westchnął.

— O, kto ze łzami starych nie jadł flaków! — jak mówi poeta. — Czas jakiś w milczeniu chrupał twardy ser i z wykrzywianiem mordy dzłamał padlinę, wreszcie podjadł, i widząc, że Lis przestępuje z nogi na nogę, mówił dalej:

— O, bo ty nie znasz tych rozkoszy! Przyjdzie ci takie cielę o duszy wiośnianej, taka wiochna, i z onieśmielenia dygocze, jak liść młodej brzózki, a ty jedną łapą łaps ją za karczek, drugą za piersiczki, trzecią — nie, trzecia i czwarta na ziemi, ale — zębami za mordkę...I czujesz, jak cielę między życiem i śmiercią słabnie, słabnie, zwala się z nóg i daje się rozszarpywać, cichutko pobekując, bo głośno nie śmie, uważasz — zdycha, a nie śmie, co?.. Potem zaszywasz się w jakie ustronie i pogrążasz się w lubej odrętwiałości, bez ruchu, bez pożądań. Promienie słońca przedzierają się przez kopułę zieloną, tworząc olbrzymi lej blasków, którego ostry koniec zaczyna po tobie pełznąć od ogona do nosa; nie chce ci się poruszyć; gdy światłość w nos cię załaskocze, wolisz kichnąć, a nie zmienisz położenia. Muchy pobrzękują ci nad uchem i sadowią się na twej sierci, zrudzonej tu i owdzie krwią cielęcą... Nie robisz im krzywdy, nie straszysz nawet zębów kłapaniem... Czujesz się takim dobrym, chciałbyś, żeby wszystko dokoła było zadowolone i szczęśliwe, bo wszystko ci takie bratnie i drogie: i ta mucha zielona, której brzęk to twoja rozkosz, bo go słyszysz, i ten listek złotawy, bo widzisz jego żyłki i jego cichą słoneczność, bo on ci to daje, że radują się twoje oczy... I ten ptak, tam na gałęzi choinowej, miły tobie, aczkolwiek już nie tak, bo jakoś podejrzliwie jednem okiem patrzy, nie ufa snadź, wyodrębnia się z koła twoich napawań, i swojem zachowaniem się mówi, że nie możesz chcieć go złapać, bo nie

złapiesz. Gdyby tak się nad tem zastanowić głębiej, toby zdjęła irytacya. Myślisz tak — i, nie mając nic innego do myślenia, właśnie myślisz o tem. Powoli zadowolenie twoje pierzcha, wstajesz i człapiesz w gąszcz ciemną, gdzie niema ptaków. Nie śpisz, boś poirytowany. Zaczynasz filozofować. Oto ja, Wilk, zjadłem cielę. Wzmocniłem swoją istność, ale zabiłem czyjeś niewątpliwe pożądanie życia. Gdyby cielę do mnie przyszło i rzekło: zjedz mnie, tobym może i nie zjadł, cała ponęta rzezi w tem właśnie, że cielę żyć chciało. Zatem ja złamałem czyjeś *chcenie*, czyli, że chcenie, wola jest życiem. Dobrze. Ale cielę musi także czemś się żywić; zjada trawę, a więc znowu łamie coś, mianowicie kształt, postać. Więc ta ostatnia, postać, jest chceniem rośliny, jej życiem. Zaś roślina, żyjąc wodą i powietrzem, też je zabija czyli przekształca. Przychodzimy do pytania: czem żyje powietrze? Bo jeżeli jest, żyć musi, czemś się żywić, coś łamać, zjadać. Możnaby przypuścić, że powietrze zjada się samo, gdybyśmy nie wiedzieli, że je stanowią atomy niezniszczalne. Powietrze tedy nie żyje niczem, czyli powietrze, niczem nie żyjąc, żyć, istnieć nie może, to jest, powietrza właściwie niema, a więc i roślin, niemających się czem żywić, też niema, nie istnieje cielę, mnie niema, nic niema na świecie, niema świata i basta!.. Potem myślisz: a któż mnie, Wilka, zjada? Nikt. Nikt, nikt mnie nie lubi. A jednak umieram, ginę... zjada mnie powietrze. Powietrze zatem jest to, co karmi, co daje życie istotom najniższym, a zjada najwyższą, czyli mnie. I ogarnia cię strach, boisz się przestrzeni, nocy, ciemności, chcesz uciec przed powietrzem!.. Z obłędnemi oczyma, z pianą na mordzie, pędzisz po jarach i rozłogach, aż złapią cię ludzie i zabiją jak wściekłego... Alem ja się zagadał, a tu coraz bardziej mi głodno. Mnie niema, ale głód mój jest. Biegaj więc, mój Lisie kochany, do tych cieląt i spraw mi się zgrabnie, jak to ty umiesz. No, do widzenia.

Bez kostura, bez sakwy, jak stał, Lis ruszył w drogę. Gdzie polanka była jaśniejsza, niechętnie mrużył oczy i w cień umykał. Idąc, rozmyślał.

— Biedny stary!.. A gada, niech cię gęś kopnie. Mógłbym go porzucić, ale mi go żal trochę. Zresztą potrzebny mi, jako pewnego rodzaju repoussoir: wszystkie szkody okoliczne, nawet szkody w kurnikach idą na karb starego. Wiedzą, że Wilk tu się gnieździ, ale nie wiedzą, że temu szkodnikowi zostało tylko pięć zębów...

Starość — smutna to rzecz dla zwierzęcia... Ha, każdy ma swoją wyspę świętej Heleny, jak mówi jedna autorka. Gdy mu dobrze usłużę, to i sam się jakim ochłapem cielęciny pożywię i stary nie będzie mi daremnie płoszył gęsi — niedojda!.. Gdyby tylko udało mi się przemknąć do obory... Miałem tam ongi w podwórzu znajomą gęś, która się nawet we mnie kochała... Ale ją zjadłem. Szkoda, przydałaby mi się jej pomoc par le temps qui court, przedstawiłaby mnie jako psa i koniec. Szkoda. Zjadłem ją... trochę z głodu a trochę z zazdrości, bo zanadto ją coś ciągnęło do gąsiorów. Już to prawda, że te związki duchowe to psa warte. Toć i moja gęś deklamowała: „Chcę, byś sumienia mojego był gęgiem, chcę twoje wycie chować jak przysięgę.“ I co z tego? W końcu polazła szastać się z gąsiorami po błoniu i pławić w błotnistej sadzawce... Tak to głos interesu, gatunku i rasy w końcu zwycięża wszelką duchowość, która zawsze w zwierzęciu jest tylko czemś naleciałem... Tak, tak... Ale wiem, co zrobię: sam będę udawał psa, to jakoś pójdzie.

Te i tym podobne rzeczy myśląc, Lis skoczył do poblizkiego rowu, wynurzał się w wodzie, przez co sierć oblepiła go, robiąc czemś podobnem w części do wielkiego tłustego kota, w części do małego chudego jagnięcia, co razem wzięte, mogło ujść i za psa średniej miary. Tak ucharakteryzowany, z podwiniętym pod się ogonem, Lis chyłkiem, ciszkiem, pomaleńku, trzymając się krzaczków, płotków i innych miejsc cieniorodnych, udając wobec ludzi spokój i pokładając się przed psami do góry brzuchem, na znak uległości, dotarł nakoniec do upragnionego cielętnika. Był to rodzaj bekowiska, obwiedzionego dziurawym płotem, ułatwiającym dostęp gęsiom, kaczkom, kurom i innemu plugastwu, gdzie, osobno byczki, osobno jałoszki pasły się i gziły, czekając przyszłych wypadków. Czasem wkraczał tu pasterz, rzucał jakieś ważkie słowo, poklepał które z cieląt i wychodził; czasem pachciarz z rzeźnikiem tu zaszli, wlokąc za sobą ponure cienie żałoby.

Lis otrząsnął się z wody, wymuskał wąs, przejrzał się w gnojówce, podniósł kitę i wszedł prosto do jałoszek.

Istotnie, podlotki wzięły go za psa, i dopiero, coby zacz był, wyświetliła jego mowa tej osnowy:

— O cielęta! Najłapczywszy Wilk, dziedzic na chaszczach i ostępach Świętokrzyskich, władca jamy najciemniejszej, a dla niepoznaki, obrośniętej kwitnącym powojem i bluszczem i zasłoniętej figowemi liśćmi, posiadacz wilczego gardła tudzież wilczego apetytu, dobrodziej i pan mój, powodowany chęcią służenia ogólnemu dobru,

jakoteż pragnąc silną łapą wesprzeć tak nam sympatyczny ruch wyzwolenia się cieląt z pod supremacyi wołów, byków, psów tudzież pasterzy, zwraca się do was moją mordą i prosi o łaskawe wypowiedzenie przede mną swych zapatrywań na cel i zadanie jałoszki w oborze, na stosunek jej do wołów, tych wiernych pracowników i towarzyszy waszego przyszłego krowiego stanu, o wyrażenie, w jakim kierunku chciałybyście się rozszerzać i wysubtelniać, w czem, podług was, leży dobro wasze, i wogóle, co myślicie, czego pragniecie, cobyście chciały zmienić, co zatrzymać? Proszę nadto o wyłuszczenie mi swych poglądów na miłość i poezyę. Wszystkie wymienione rodzaje zapatrywań będę miał zaszczyt wiernie Wilkowi donieść, a w razie, gdyby która z was miała coś jeszcze do uzupełnienia, do wyjaśnienia lub przedyskutowania, niech, podczas mej nieobecności, śmiało wali do lasu, do jamy obrośniętej bluszczem, ostęp Świętokrzyski, numer nieparzysty pięćdziesiąty trzeci ce. Skończyłem. A teraz słucham. Cielęta mają głos.

Naprzód zaczęły się niedowierzające pobekiwania i bardzo intensywne chichotki. Cielęta trącały się kopytkami i bodły czółkami, wypychając jedna drugą do odpowiedzi na orędzie Lisa, który ze skromną godnością siadł na tylnych łapkach, wydobył karnecik, spuścił oczy i czekał cierpliwie. Nareszcie, gdy sytuacya zaczęła stawać się zbyt naciągniętą, raz jeszcze wstał i, już tonem raczej salonowca niż urzędnika, wyrzekł zachęcająco:

— Voyons, mes veaux, niech panie będą łaskawe... Tu się nie wymaga żadnych uczoności... prosto, szczerze, bez retoryki, bez szumnych komunałów, wszak to tak łatwo. Co robiłam, co robię, co będę robiła? Piłam mleczko, piję mleczko, będę piła mleczko. Co myślalam, co myślę, co myśleć będę? Myślałam, żem ładna, myślę, żem ładna, będę myślała, żem ładna. Dalej, proszę...

Żarcik przyjęto miłemi śmieszkami, niektóre cielęta zapłoniły się. Lis dotknął łapką najbliższej ślicznej białoszki.

— No, może ty, milutka, mi powiesz?

Ta, ośmielona, rumieniąc się trochę i trochę blednąc, naprzemian, zaczęła:

— Wiadomo, że życie cielęcia składa się z epok i z ideałów, które wszczepiają w nas pasterze, jeden to, drugi tamto: wszystkim trudno dogodzić. A krowy-matki wszczepiają w nas kokieteryę i zamiłowanie fraszek. Więc czego można się spodziewać rozsądnego od istoty zatrzymanej w rozwoju umysłowym w czasie dzieciństwa? Dążenia rozsądne wolno wygłaszać cielęciu w oborze tylko jako materyał konwersacyjny. Co do naszej woli i osławionej głupoty, to

nie jesteśmy oponętne z zasady, mamy duszę i chcemy być przekonanemi, i jesteśmy odpowiedzialne sumieniem, subtelnie w dzieciństwie ćwiczonem, za wiele szkód popełnianych świadomie, ale pod naciskiem. Co do obowiązków, to mam pojęcie odpowiedzialności za nieużyteczność obecności w społeczności. Dlatego pragnęłabym zająć się wiejskim drobiem, albo trzodą chlewną, łagodzić jej obyczaje, wpajając w nią zasady, chociaż nie wpajając upodobań niezgodnych z ich stanem. Może większość młodzieży z tego tłumu, owej podstawy społeczności, zostałaby w przyszłości moralną i rozsądną. Oto wszystko. Ale, jeszcze zapomniałam powiedzieć, że do tej pory nikogo nie pokochałam. Roku mam pół.

Lis słuchał z uwagą, pilnie stenografując w karneciku. Wreszcie zapytał:

— Przepraszam, jak nazwiczeczko?

— Latawerya.

— Dziękuję. Teraz proszę siadać. Kto następny, jeśli łaska.

— Ja powiem — odezwało się jakieś ładne cielątko z blond siertką w czerwone łatki.

— Proszę, bardzo proszę — kłaniał się Lis.

— Jeżeli mam szczerze powiedzieć, co myślę i czuję, to pragnę przedewszystkiem, żeby krowy wpajały w nas zasady, a po zasadach charakter i wolę. Cielę niepowinno być gąską ani kurczęciem. Cielę rozumne dużo może. Niedawno pewien wół, który się do mnie, jak mówią, zaleca, utrzymywał, że, gdyby oborą rządziły cielęta, toby było inaczej. Rzeczywiście, jabym tak pragnęła żyć pełnią sił... W takich razach idę sama do lasu, i tam natura, mając wrodzone poczucie piękna, dobroczynny swój wpływ wywiera. Nazywam się Wysysanka.

Mówczyni, kiwnąwszy zlekka Lisowi, dumnie spojrzała po obecnych i zaczęła gryźć trawę nie półgębkiem, lecz całą gębą, jak wypada cielęciu, które dąży do pełni życia.

Zaczem i inne cielęta, starsze, zachęcone przykładem i odwagą młodszych, widząc, że Lis nietylko się z nich nie wyśmiewa, ale owszem, przybiera wyraz uprzejmo-gorzkiej zadumy, bardzo podobnej do melancholii, zaczęły cisnąć się jedno przed drugie z mowami.

Dwie jałoszki: Przyślepa i Kłapouszek, chciały nawet mówić jednocześnie; dopiero uwaga Lisa, że nie będzie mógł notować, coby było dlań bolesną szkodą, nakłoniła drugą do ustąpienia pierwszej, która tak rzekła:

— Stanowisko cielęcia w społeczeństwie jest wzniosłem i bar-

dzo trudnem. Ono wywiera na bydło wielki wpływ i od niego przeważnie zależy przyszłość obór. Celem moim i ideałem jest być użyteczną. Nie jestem przeciwniczką związku z wołem, lecz go dla siebie nie pragnę: tak trudno się dobrać i zgodzić. Stosunek między wołem i jałoszką powinien być naturalny, może być nawet serdeczny. Po stosunku tym nie spodziewam się szczęścia, tylko innych, nowych obowiązków, bo na to jest stosunek, aby przez niego cielęta i woły nawzajem sobie dolę swoją ciężką umilały. Co do kierunku poezyi, to najbardziej mi się podoba realistyczny, którego jednak zmysłowość mnie razi; dalej—pasterski, czyli pozytywistyczny, bo przepadam za graniem na pozytywce. Na sztukach pięknych nie znam się wcale, z czego jestem dumna, bo to zawracanie głowy i odrywanie uwagi od pożytku.

Druga zaś, Klapouszek, tak mówiła:

— A więc mam dać wiedzieć Wilkowi o moich pragnieniach i rozumieniu moich obowiązków i przeznaczeniu cielęcia w dzisiejszej oborze? Nie mam pola do działania, bo za słabe moje wykształcenie. A tego pragnę, pragnę być użyteczną i mieć pole do działania. Uczę się sama, podpatrując i badając, ale tylko to, co mi zostawia pewien smak. Poezyę kocham, ale nie powiem, żeby mnie porywała, bo boję się rozczarować, i dla tego zadeklamuję swój wierszyk:

Kto swej młodości złamawszy kopytka,
Skierował bieg swój po za bory, lasy,
Próżno się sili (o doloż, ty brzydka!),
Zdechnie, nie wiedząc, co wole karesy.

Co do miłości, to chcę być kochaną, ale dla mnie miłość musi być nie zwierzęca, tylko poświęcająca się. Niestety, dzisiejsza młodzież nie odpowiada wymaganiom mojego ducha. Gdy się zestarzeję, wezmę sobie sierotki na wychowanie i to mi życie wypełni. Nakoniec, kocham pasterza i bydło. A obora powinna być oparta na kółku rodzinnem. Obora bez rodziny zginie, bo każda jednostka zginie, a więc zginie obora. Teraz, kiedym już wszystko powiedziała, ciekawam, jakie będzie zdanie Wilka: czy myślę prawidłowo, czy też jestem na złej drodze?

— Sądzę — rzekł Lis grzecznie, — że poetycki talent, którego słyszałem próbkę, zdoła ustrzedz panią od błędów rozumowania, a nawet od omyłek w postępkach. I Wilk nie inaczej, będzie się na to zapatrywał...

Wtem przerwał Lisowi harmider wśród jałoszek.

Słychać było krzyki: „Niech mówi Fikarya! Chcemy, żeby mówiła Fikarya! Nikt tak nie powie jak Fikarya!“

Jakoż Fikarya, wypchnięta na widownię, rzekła:

— Warunki, w jakich żyją cielęta, muszą powodować nieszczęścia. Tak, cielę niema swobody i, choć rwie się do lotu, musi chodzić na czworakach. Czyż to nie jest nieszczęście? Ach, sądziłam, że zapoznawszy się z rozwojem umysłowości ogólno zwierzęcej, potrafię wyrazić rozpierające mnie uczucia. Niestety, płoty i zagrody krępują mój umysł; jestem smagana biczem, ale czyż dla tego mam zostać na nizinach, gdzie tylko dzikie gęsi fruwają, ach, one będąc uskrzydlone... Ratunek nasz w niezależności serca i zasad. Dążmy do niej, bo wtedy byk, który sam przez się nienawidzi szczytnych uniesień, będzie duszą naszej duszy, myślą naszej myśli, i gdy ryknie „kocham,“ nie będzie to znaczyło „pożądam.“ Tak, pragniemy, my, jałoszki, rozszerzać się i wysubtelniać. Nie chcemy niewoli, wolimy, żeby nam wolno było być wolnemi!

— Gdzie ja to już słyszałem? — przemknęło przez głowę Lisa, — aha, to Wilk mnie uprzedzał, że to usłyszę. Prawda, jak kury wielbię, prawda!.. — A pani, co sądzi o tem wszystkiem?.. — spytał jakiejś starszej jałowicy, która wzgardliwą postawą znać dawała, że coś ważnego w swojej gębie tai. Reszta cieląt zaczęła szeptać z szacunkiem: to Skończony Czworonóg, słuchajcie, słuchajcie!

Właścicielka tego dostojnego nazwiska odezwała się:

— Przedewszystkiem, z całą szczerością i śmiałością wypowiadam, że cielęciu nie wolno być sobą, lecz musi być stworzeniem, co i myśli porządnie i serce ma czyste. Cielę powinno być nie dodatkiem w oborze, jakimś tam odgrodzone kojczykiem, ale być najważniejszą połową, że nie powiem trzema jej czwartemi. Ztąd nie wypada, żeby zaraz cielęta, równouprawnione z wołami, wprzęgały się do jarzma, nie. Ale wypada, żeby cielę rozumiało gruntownie, gdzie skacze, dla czego gzi się, ażeby koszt edukacyi, łożony przez dziedzica, nie szedł na marne. Trzeba więc, żeby się cielę uczyło hygieny i pedagogiki, gdyż wiadomości z tych nauk są bardzo zdrowe i nauczające, czyli pożyteczne. Ażeby zasłużyć na szacunek, cielę musi pracować koniecznie. Albowiem bez pracy nie smakują zabawy, pląsy i bieganina po wykrotach. I niech mi będzie wolno z kim chcę obcować: czy z bykiem czy z wolem, to rzecz moja. Niech wzajemny stosunek cielęcia do tych osobników będzie nacechowany szczerością, niepozbawioną wyszukanej grzeczności, uprzejmości i opiekuńczości, bo cielę zawsze, bądź co bądź, tęskni do silnych bicepsów. Co do poezyi, to słysząc różne o niej zdania, nie mam

ochoty się nią zatruwać, aby nie umrzeć na duszy. Albowiem stronię od tego, co nie kształci, nie naucza i nie jest pożyteczne.

Lis jeszcze nie zdążył powtórnie zaostrzyć ołówka, kiedy już nowa oratorka, kipiąca niecierpliwością wypowiedzenia swoich myśli, zabrała głos w tym sensie:

— Pytania wilkowe zachęcają mnie do uczestniczenia w gronie cieląt odpowiadających na nie. Zaraz po ocieleniu, prowadziłam z koleżankami szereg rozmów na ten temat, a i teraz rozmyślam nad tem, czem jestem a czem być powinnam. Minęły czasy, kiedy udziałem cielęcia było być szczęśliwem. Teraz, z rozwojem mięsożerności, musimy uszczęśliwiać innych; jest to wiele dla tych innych, dla nas — zamało. Ale trzeba mieć serce, sam rozum nie wystarczy; „żyć bez serca, dla cielęcia znaczy martwem być do ścięcia," — nie tego serca czułego i szalonego, zapalającego się na chwilę, ale serca, które kocha wiele, kocha miliony, kocha całą oborę, całe pastwisko, i wszystkich pasterzy z ich psami, i wszystkie lasy z ich wilkami. Takie serce mieć musi nasze, tutejsze cielę. Miłością i tkliwością musi być ogrzana praca nasza, bo wtedy najwięcej korzyści ogółowi przyniesie. Jest jeszcze jedna miłość dla nas otwarta — miłość samcza, która powinna być oparta na twardych podstawach; bo wtedy tylko będzie to ideałem a nie szałem, który nigdy nie jest trwałym. Dalej, stoją otwarte sztuki piękne, bo to nie jest specyalnością jednostek, tylko to strumień, z którego każdy czerpać może. Idźmy naprzód, bo kto nie postępuje, ten się cofa. Ja wam to mówię, ja, Szczerocha.

I nie czekając na zaproszenie Lisa, dorzuciła:

— Ma głos siostra moja, z przydomkiem Ogoniasta. Mów.

Ogoniasta otworzyła gębę, a słowom jej towarzyszył coraz bardziej potęgujący się rumieniec.

— Wstyd mi wyznać — mówiła — że, mając dwa lata, jestem tak mało postępowa w dążeniach i pragnieniach. Zawsze, już w dziecinne lata moje, lubiłam zdawać sobie sprawę z tego, co się naokoło mnie działo, później badałam różne wrażenia, i zagadnienia ogólne pierś moją rozpierały. Jako cielę domowe, walki o byt nie znałam, uczono mnie tylko znać drogę do pastwiska. Dręczyłam się pytaniem, com winna oborze i czego ta obora ma prawo żądać ode mnie? Mleka i mięsa, mówiło coś we mnie, ale odrzucałam ze wzgardą te poszepty instynktu. Nie, obora chce, żebym była pożyteczną bez rozgłosu. I będę, będę dorzucała ziarna do idei społecznej. Chciałabym być płodną krową, potomstwa chciałabym mieć jak najwięcej, aby je wychowywać na dzielne podpory obory, wychowywać oso-

bno byczki, osobno jałoszki, aby się nie skaziły i nie zatraciły swych cech naturalnych. Z poetów, kocham Byczewskiego, temu jednemu przyznaję poznanie duszy cielęcej. Wolańskiego, przyznaję ze smutkiem, nic a nic nie rozumiem, bo jest zbyt wielkim symbolistą.

— Wybornie, wybornie — mruczał Lis, który zaczynał już tracić cierpliwość, i widząc nastawionych do mówienia jeszcze kilka mordek cielęcych, przemyśliwał, jakby tu zemknąć, nie obraziwszy ambicyi cieląt, tej najczulszej ich struny. Szczęściem dwa wypadki podziałały rzeźwiąco na podupadły humor Lisa. Naprzód, poetce Kłapouszkowi udało się stworzyć i szepnąć komuś w kąciku dwójznacznik, a mianowicie: „kocham wołu, ale mnie nie porywa; Wilk mnie porywa, ale go nie kocham". Z gęby do gęby podawany dowcip ten wzbudził chichotanie ogólne; wesołość spotęgował jeszcze drugi wypadek, a raczej mowa pewnego młodziutkiego cielątka, które, korzystając z zamieszania, też zaczęło rozwijać swoje poglądy. Cielątko, zwane Pieszczotką, mówiło:

— To jest moje zapatrywanie, gdzie każdy ma być ziarnkiem dla społeczeństwa, które nie pragnie od małżeństwa szczęścia, ponieważ, jeżeli się mówi „kocham", to nie powinno znaczyć „pożądam" i praca powinna być a wszyscy powinni być dobrzy, bo gdybyście wiedzieli, jak różne uczucia pierś mą rozpierają, to dla wyrażenia ich, poznanie ruchu umysłowości pedagogiczno-hygieniczno-pozytywistyczno e... e... e...

Tu, nie mogąc się wygrzebać i osobliwie zmieszana uporczywym wzrokiem i mimowolnym uśmieszkiem Lisa, Pieszczotka rozpłakała się.

— Ja tam nie jestem uczona — mówiła szlochając, — gniewam się. — I rzeczywiście poszła poskarżyć się przed krową, nieutulona nawet zapewnieniem Lisa, że jej nie zapisze w katalożku. Ach, właśnie, onaby tak była chciała stać w karnecie, tylko ten nieznośny mus gramatyczny uzupełniania okresów!

Ażeby zatrzeć przykry ten, ze względu na Lisa, blamaż, jałochna Leżybocka beknęła donośnie na znak, że chce mówić, i mówiła:

— Za punkt wyjścia biorę dla siebie zdanie powszechnie przyjęte, że celem życia i dążeń bydlęcych jest wytworzenie jak największej sumy szczęścia na tym świecie, tudzież aforyzm: „szczęście jest tam, gdzie jest," czyli gdzie je się widzi, czyli, że jeżeli ja widzę szczęście w paskudzeniu na zielony kobierzec natury, to to jest szczęściem. Czy cielę współczesne zdolne jest do zaspokajania tych szerszych aspiracyj? Niestety, odpowiedź wypada przecząco. Ten ide-

alny pogiąd na świat, któryśmy wyssały z mlekiem hodowców i krów genialnych, jakże w strzępy szarpie rzeczywistość. Jakże często nie jesteśmy przypuszczone do szczęścia i chęci nasze nie zostają zaspokojone. Mówią, że trzeba nam samodzielności. Ja nie należę bynajmniej do szeregu samodzielnych cieląt, ale odczuwam potrzebę samodzielności. Gdyby mi pozostawiono swobodę działania, wyfrunęłabym natychmiast w świat szeroki, by umoczyć swe usta w nęcącym kielichu wiedzy.

Ale i tym razem nie obeszło się bez wypadku. Snadź morze duchowości cielęcej łatwo się rozbałwania, ale uspokaja niełatwo. Jakieś czarne, ponurę cielę słuchało mowy Leżybockiej, wpijając w mówczynię wzrok bazyliszka; w końcu rzuciło się na nią, tłukąc łbem i kopytami. Czarne to cielę, zwące się Bydłokratką, wzięło mowę Leżybockiej za osobistą obrazę i wymierzyło sobie sprawiedliwość w ten najwymowniejszy sposób. Zaczem, trochę uspokojone, jęło słownie miażdżyć wzloty ku szczęśliwości Leżybockiej oraz biczować zbyt słabą preopinantki chęć do samodzielności.

— Cielę — krzyczała Bydłokratka, — jako istota bierna, żadną miarą ostać się nie może, lecz powinno się przystosować do ducha epoki. Dziś praca, praca i jeszcze praca. Cielę powinno być tak chowane, żeby ciągle coś robiło. Niech gryzie obladrę z płota, gdy nic innego nie umie, ale niech pracuje. Niech się na wołu nie ogląda, bo nie na każde cielę wół wypada. A zatem samodzielność i praca. Czy potrzebuje pracować jałoszka czy nie, powinna mieć to wdrożone, że praca jest jedynem zadaniem każdej. Niestety, jakże daleko jeszcze jesteśmy od tego ideału. Dziś tylko ta pracuje, która musi. Tak być nie powinno, tu potrzeba zmiany: by praca nie zależała od woli pojedyńczej jednostki, ale była wprost wymaganiem społeczeństwa, narzucana jednostkom jako rzecz konieczna, niezbędna, bezwarunkowa. Tak, zmuszajmy do pracy wszystkie cielęta, naglijmy do pracy, do pracy ciężkiej, jak najcięższej, do ciężkich robót wszystkie — marsz! Że tak z czasem będzie, ufam i sobie życzę, niech każda w swojem kółku tak samo się stara i czyni, co może, dla zmiany na lepsze, do czego i ja też należeć pragnę.

— Dobryś — pomyślał Lis. — Zresztą, wszakże to woda na młyn wilczy. Cielę, pracując, traci czujność i upodabnia się do wołu, tego niemowlęcia wobec lwa srogiego albo i wilka...

Dalsze refleksye Lisa zostały przerwane jakimś grubszym bekiem, zgoła nie cielęcym. Widać było na wierzchu płota łeb sporego półkrowia. Łeb ryczał.

— O, cielęce cielęta! Czemu chcecie zabijać własną cielę-

cość? Pragniecie dobra stada, a pozbawiacie je cieląt, tych kwiatów obory radujących oczy, tego uśmiechu potęgi rodzącej, tych powiewnych, chwiejnych, słodko rozbeczanych istotek, złączonych z krową ogniwem tkliwości i strumieniem mleka...

Tu i owdzie zerwały się chichotki. Niektóre cielęta wołały: słuchajcie, słuchajcie!

Łeb ryczał dalej:

— Natura wysila się i, niekiedy aż bolesna, rodzi piękne, młode latorośle, kwiaty, dzieci, cielęta, a wy.. wy same chcecie się unicestwiać i odrazu jałowieć, albo wołowić się! O biada, biada oborze, w której cielęta rej wodzą! I kogoż to bierzecie za powiernika waszych młodych, świeżo wykluwających się duszyczek?—zwierzę mięsożerne, którego pomoc i rada nie może być zanadto podana w wątpliwość. Chcecie być samodzielne — stańcie się takiemi, ale same, bez obcej, zwłaszcza wilczej pomocy... Wilk was pozjada i z czegóż będą się rodziły przyszłe krowy, to dobro obory?.. I jam niegdyś wierzyła Wilkowi, myślałam, że mnie rozwinie i wysubtelni... Ach, do dziś mam duszę zbrudzoną wspomnieniem o nim, o jego nędznych mięsolubnych zapatrywaniach. Za jego to namową, pochlebstwami rozżarzana, doszłam do tak bzdurnego o sobie wyobrażenia, że chciałam zostać lwicą. Towarzystwo krów i wołów za nic mając, rzucałam się na każdego byka z zębami i kopytami, ale cóż? Gryzłam ich, a oni, zamiast uczuwać zgrozę, śmieli się tylko...

Tu zaburczało, załkało coś we łbie, i zamiast słów, zaczęły płynąć z niego łzy, śluz i ślina.

Cielęta wybuchnęły szalonym śmiechem.

— Kto to? — spytał Lis Kłapouszka, który pokładał się od śmiechu tuż obok.

— To Agni, stara waryatka. Ukąsił ją bzik w lesie i ma zwarzone mleko. Niewiadomo, co z nią robić, bo to ni wół ni krowa. Zamknęli ją osobno i pewno zarżną.

— I cóż o niej myślicie wy, cielęta?

— E, ktoby ją tam brał na seryo, bawi nas tylko.

— Dobrze jest — Lis pomyślał, — mogłaby mi brzydko popsuć sprawę.—Tu szczeknął:

— Proszę o głos!.. Otóż, zamykając obrady dzisiejsze i reasumując ich wyniki, składam przedewszystkiem, w imieniu Wilka, najserdeczniejszą podziękę za szczerość i chętliwość w wynurzaniu swych myśli, tak wartko płynących z waszych młodzieńczych, rozpieranych przez różne zapatrywania serduszek. Niech ta nić serdeczna, którą, jak sądzę, nawiązałem pomiędzy waszemi pięknemi

duszyczkami a wielkiem sercem Wilka, przepełnionem miłością ogólnego dobra, niech ta nić — mówię — będzie trwałą, niech jej nie zrywają żadne bałamutne intrygi, żadne oszczercze i szalone słówka... (nie zaszkodzi taka aluzyjka). Owszem: idźcie do niego, do Wilka, wszystkie. On was przygarnie i oświeci i wesprze silną łapą wątłe dążenia wasze. Byle nie wszystkie naraz. Po jednemu, codzień jedno niech śpieszy do jamy: wysubtelniać się można tylko sam na sam. A teraz do widzenia, do widzenia, moje najukochańsze duszyczki. Odchodzę, mając głowę, notes, uszy i serce pełne waszych kwiecistych, tętniących życiem mówek.

Tu Lis, złożywszy zgrabny ukłon i machnąwszy kitą, niby piórem od kapelusza, wyszedł a raczej był na wychodnem, gdy jakaś niemłodziutka i jakgdyby już trochę używana jałoszka przybiegła śpiesznie, wołając:

— I ja, i ja... jeszcze ja!.. Byłam zajęta flirtem na wielką skalę... Uf!.. Trzeba zaspokajać głód serca... tak pragniemy chwili złudzenia! Wprawdzie nie mam ochoty pokazywać duszy, bo są rzeczy, które się tylko w czułem tête-à-tête pokazuje, i do sanktuaryum duszy wpuszcza się tylko wybranych, jednak chcę, żeby Wilk wiedział, jakie mam zapatrywania.

Lis z trudem powstrzymywał się, podobny do zbyt uciskanej sprężyny, ale się przemógł, poślinił ołówek i pisał, co następuje:

— Nie będąc przeznaczona na rzeź, lecz na chów, a zatem mając przed sobą długie życie, poświęciłam takowe nie pracy, bo w tej wołom ustępujemy, ale jedynie badaniu miłości i poezyi. Ze smutkiem wyznaję, że, wskutek naszej subtelności i wyrafinowania, niema takiego wołu, którego moglibyśmy kochać, my, jałoszki, które pragniemy miłości wielkiej i gorącej, o szerszych aspiracyach, które podnosimy bunt przeciw naturze, tej mistrzyni życia, która źle nas stworzyła, każąc być jałoszkami i ewentualnie krowami. Jeżeli się do wołu zbliżamy, to tylko po to, żeby mieć chwilę złudzenia. Zatem jestem pesymistką. Wobec czego trzeba wierzyć tej bajce indyjskiej, podług której wielki Brahma stworzył cielę i przeciął na dwoje i powiedział, że jedna połowa będzie męzka a druga żeńska. Tylko, że nie zawsze się one spotykają. Jeżeli się spotkają dwie takie połowy nie od głów, tylko te inne, to nie mają czem myśleć o szerszych aspiracyach, a jeżeli złączą się dwie połówki od głów, czyli półgłówki, to też źle, bo dużo jest mówienia, a za mało szczęścia. Nieśmy więc wysoko nasz sztandar, starajmy się wywierać na wołu wpływ umoralniający, który jest zepsuty, bo nie chce wpływać na cielę, ale psuje takowe. Teraz powiem o po-

ezyi. Poezya powinna być źródłem czystych rozkoszy przeczyszczających, a dzisiejszej poezyi nie hołduję, bo kąpiesz się w takowej, a jak byłoś cielęciem, tak jesteś. Cały świat poezyi jest kółkiem, które nam ciągle inną część pokazuje. Naprzód była dzika natura czyli romantyczność, później była reakcya, bo wynaleziono pozytywkę i był pozytywizm, potem przybył kierunek byczewszczyzny zatruwający cielęta piołunem, aż nareszcie zjawił się porządny Pasturek (ce cher Bergerac), znów grający na fujarze romantyczność, a więc coś czystszego, jaśniejszego, szlachetniejszego, etyczniejszego, podnioślejszego... I tak ciągle...

Tu Lis, doprowadzony do ostateczności, o nic już nie pytając, z zaciśniętemi zebami, z obłędem w krwawych oczach, blady, wypadł z obory i na przełaj śmignął przez pola, jakoby od pszczelich kąsany rojów.

Nazajutrz dzień był duszny i niepokojący. W powietrzu gór Świętokrzyskich wisiało jakieś wonne dyabelstwo: czuć było zapach tuberozy, bzów i siarki. Nad wejściem do jamy Wilka zwieszały się frendzle bluszczów i powojów, niby zatrzymane w biegu zielone siklawy, które spad ich własny, jednostajny, uśpił.

Na łożu z paproci, nigdy nie przescielanem, leżał stary, zbiedzony Wilk, i poziewywając częstotliwie z głodu, słuchał sprawozdania Lisa z wczorajszej wycieczki.

— Nie mogłeś to gdzie po drodze uszczknąć jaką odrobinę drobiu?

— Wasza Wilczości, w tamtę stronę idąc, żadną miarą, bom nie wziął sakiew, a z powrotem, musiałem co tchu pędzić, dla ulżenia napiętym nerwom, tak mnie zmęczyło krasomówstwo cielęce.

— A wierzę, wierzę — potaknął Wilk, któremu Lis odczytał był właśnie wszystkie mowy zapisane w karneciku. — Elokwencya cielęca może zabić najtęższego wołu. Kroniki przytaczają nam nie jeden tego rodzaju przykład.

— Cała sierć była na mnie mokrzuteńka. Musiałem sobie ciągle powtarzać z Hamletem: „o stupidity, thy name is calf!“ Myślę— że się nie odświeżę, chyba zarżnięciem jakiej gąski albo i kurki... Cielę i nauka! Ależ cielę nie byłoby cielęciem, gdyby było zdolnem nauczyć się czegoś, wejść w siebie i wyjść z siebie. Jedyny sposób do wysubtelnienia cielęcia i zrobienia zeń czegoś szlachetniejszego, to — zjeść je. Można-ć i z kury zrobić bażanta, ale trze-

ba ją, kurę, zjeść, strawić... a o dalszej przemianie już natura sama pomyśli. Bo chociaż...

— Pst... czekaj-no — rzekł Wilk, który długim postem miał wyostrzoną czujność, — słyszę jakieś beczenie... A nuż to cielak, żądny subtylizacyi?.. A dawajże go tu, dawaj, skocz-no, pędź, leć...

Lis wybiegł duchem, a Wilk zaczął wielkiemi krokami przemierzać jaskinię. Przystawał, wypuszczał ostrza pazurów, próbując chwytności ich na własnej mordzie, i z cicha pośpiewywał. Naraz jakby sobie coś przypomniawszy, zerwał kilka pędów powojowych z różnokolorowemi kielichami, napełnionemi wonnością i gorącem, porozrzucał po ziemi, kilka gałązek porozwieszał na rosochatych złomach ścian, ogarnął legowisko, nastroił pozytywkę, wsunął do kąta jedno, drugie naczynie, i czekał.

Jakoż niebawem ukazał się Lis, postępujący miękko i zgrabnie po kamykach i ostrych zielskach, a za nim cielę, ochoczo postukujące kopytkami. Wilk, jako uprzejmy gospodarz, stał już u progu.

— Najłapczywszy Wilku, mam zaszczyt przedstawić: Fikarya, ozdoba cielętnika a moja dobra znajoma — rzekł Lis, patrząc jednem okiem na cielę a drugiem na swego pana.

Wilk skłonił się szarmancko, wpuścił Fikaryę przed sobą do jaskini i rzekł z szeroką gościnnością w stylu wschodnim:

— Oto mój dom ubogi, niebielone ściany, otom ja sługa sług twych, jak mówi poeta. Czego poszukujesz w mojej samotni?

Cielę przyjemnie uderzył styl gospodarza i poetyczny nieład w jaskini. Zadrżało jej serce i wyfrunęło na język.

— Przychodzę do was, Wilku, żebyście mnie raczyli rozszerzyć i wysubtelnić.

Wilk mrugnął na Lisa i szepnął mu w narzeczu niezrozumiałem dla Fikaryi:

— Zostaw nas samych. Jeżeliś ciekaw, możesz patrzeć przez dziurkę od klucza. Wychodząc, bądź łaskaw zasłonić wejście bluszczem i figowemi liśćmi.

Lis wyszedł.

— Więc tedy chcesz się wysubtelnić? Ależ siadaj, ot tu przy mnie... Można, można... Nawet bardzo to chwalebne, i nie masz wyborniejszej rzeczy nad subtelność, zwłaszcza cielęcą, z lekkiem podrumienieniem, z młodym, wonnym naskórkiem, z drżącą galaretką, ze słonawym sosikiem... Tylko że subtelność nie osiąga się tak zaraz na poczekaniu. Zostań u mnie, pobądź nieco dłużej, poznamy się, zwąchamy, będziemy przelewali z duszy do duszy różne roz-

pierające nas uczucia... Będziemy razem odbywali podróże, poznasz świat nowy, skruszejesz, wypełnisz się...

— Ach, jak tu milutko — przerwało cielę — widząc porzucone kwiaty. — Tak tu inaczej niż w brudnej, ciasnej oborze, gdzie co rusz to belka, to płot, to kołowrot, to wierzeje — aż głowa od tego pękała... A tu, nieprawdaż, tu wszystko wolno?

— Ależ tak, tak, moje najdroższe cielątko, moja Fikaryjko! Możesz tu sobie robić, co ci się żywnie podoba.

— Jak to dobrze, takam szczęśliwa... Powiem ci, Wilku — bo będziemy na „ty“, nieprawdaż? — powiem ci, że choć głosiłam podniosłość pracy wspólnej z jakim zacnym wołem, nie wierzę, żeby najlepszy wół nie był nudny. A ty, mój panie, mój „ty“, jakżeś inny. Masz takie pazury poetyczne i taką masz mordę, ty brzydalu najdroższy... Ach, takam szczęśliwa!.. Zawyjesz mi co, prawda? Z daleka słyszałam twe wycie dotąd, a teraz!..

Wilk, podniecony gorączką głodową, którą obecność Fikaryi rozjątrzyła jeszcze bardziej, towarzysząc sobie na pozytywce, zawył pieśń pod tytułem „Dobro ogólne“. W pieśni, dla większej zachęty, dobro ogólne upostaciowane było w świeżem, dymiącem cielęciu, które czeka na rycerza, co najwięcej dokonał zniszczeń, walcząc w jego imieniu.

Po skończeniu pieśni, Fikarya, nie mogąc wyrazić różnych rozpierających jej piersi uczuć, padła przed Wilkiem na kolana i zaczęła lizać mu łapy. Co widząc, Wilk zwalił się na nią swojem cielskiem, przytłoczył i chciał zdusić, ale jakoś mu, głodem osłabionemu, nie szło. Obluzował tylko parę żeber Fikaryi, która była najpewniejsza, że to początek wysubtelniania. Oddychając ciężko, Wilk mówił:

— O, moja wiochno najdroższa, kocham cię, tyś taka młoda, piękna niewiedzą rzeczy subtelnych, taka budząca się królewna cieląt!.. Niegodzien jestem, niegodzien, żeś weszła do mego przybytku, ja, stary wygnaniec, szkodnik... Pomyśl, co robisz. Tam ciepły odór obory, mlek pełne wymiona, kłopotliwie zwisające między nogami krów dojnych, tam ryk wołów zacnych, chrzęst pracowitych jarzem, psia opieka... A tu?.. Ja, stary, prześladowany stad płoszyciel, krwi żądny i zemsty przeciw wszystkim oborom świata...

Wilk przerwał, by odsapnąć.

— O, mów do mnie jeszcze — szepnęła Fikarya.

— Więc tak bardzo mnie kochasz, bardzo?

— Więcej niż kochać wolno...

— Jakto, tylko tyle?

Fikarya zarumieniła się mocno.

— Mów, co mam robić?

— Dobrze. Widzisz tam ten kamień? Rozpędź się i uderz weń głową, tylko śmiało — jam z tobą.

Cielę bez namysłu rozpędziło się, i za chwilę leżało już, ciche, z rozłupanym czerepem.

— Hej tam, Lisie, — krzyknął Wilk,—bywaj acan!

Zaczęła się orgia.

Spożywszy parę kęsów biednej Fikaryi, Wilk spojrzał na Lisa i rzekł:

— Subtelne.



Jan Lemański.

GLOSSY.

Można się zgadzać lub nie, ale... Oto powstała rzecz jakaś nowa, ukazało się nowe jakieś zjawisko. Wobec tej nowej rzeczy, wobec tego zjawiska nowego, trzy są możliwości wrażeniowe: albo rzecz nam się podoba, wtedy ją chwalimy, albo się nie podoba, wtedy ją ganimy, albo, wreszcie, jesteśmy na nią obojętni, wtedy milczymy. Zdawałoby się, że czwartej możliwości niema. Otóż — jest, bo czegóż nie „wymyśli“ bezmyślność. Mianowicie, przychodzi taki pan od czwartej możliwości, popatrzy na rzecz nową, uśmiechnie się protekcyjnie i powie: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...*“ — tu zaczyna mówić zupełnie o czem innem. Weźmy przykład. Ktoś wypowiedział zdanie: ziemia jest okrągła. Usłyszał je taki pan i mówi: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* na ziemi rośnie pszenica i oset, okrągłemi zaś bywają śliwki, ziemniaki, czasem okrągłą bywa sumka pieniężna, a bardzo często — obręcz.“ Słowem, taki pan naplecie mnóstwo banalności, a o rzeczy samej ani be ani me. Inny przykład. Wydał ktoś książkę pod tytułem „Romans.“ Taki pan przeczytał rzecz, pokiwał głową i rzecze: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* mój Boże, na świecie tyle zadań, potrzeb, nędz i bólów, z romansami nic a nic nie mających wspólnego!..“ Rzekł, postawił wykrzyknik z wielokropkiem, i ocena skończona. Tak, dużo jest nędz na świecie. Jeszcze przykład. Rzeźbiarz wykuł z marmuru kobietę zupełnie rozebraną, nawet — powiedzmy — nagą, czyli bezwstydną, która kopie w zęby filistra. W gwałtownym ruchu, nieodłącznym od aktu kopnięcia, to i owo z właściwości kobiecych kształtów lepiej widać, niż gdyby ta sama kobieta siedziała na kanapie i spokojnie cerowała majteczki. Taki pan spojrzał na rzeźbę i krzyczy: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* radzilibyśmy wam, szanowni rodzice, nie pokazywać tego dorastającym panienkom, że-

by nie umarły na duszy.“ Jeszcze jeden przykład. Ktoś wystawił nowy obraz, mający za treść, dajmy na to, feniksa, w postaci reportera, któremu wciąż obcinane uszy odrastają nieustannie. Taki pan (sprawozdawca) stoi przed obrazem i mówi: — „Że to są rzeczy fantastyczne — nic nie szkodzi (ach, doprawdy?); że to są symbole — mniejsza o to (ach, panie!); ale dlaczego autor używa takiej techniki? Ja, zwykły widz, przez którego usta przemawiają całe rzesze podobnych mu, zapewnić mogę artystę, że celu swego nie osiąga. Na mnie jego fantazya słabo działa, a słowo daję, że, doprawdy, nie jestem gruboskórny (ach, doprawdy?). Nie posądzam autora (to „posądzam“ jest wyborne) o brak talentu ani o nieuctwo estetyczne (ach, panie!), wiem, że to umysł ścisły, śmiały, zdający sobie sprawę z celów i środków malarstwa, ale... obraz czyniłby bardzo silne wrażenie, gdyby był namalowany inaczej. Wypada więc postawić dwa przypuszczenia: albo technika ta jest wyrazem ducha artysty i żadną inną zastąpić się nie da, a w takim razie *można się zgadzać lub nie, ale...* szanować trzeba, co uszanowania warte, albo też dzieje się inaczej. Wszystkie te niepojętości nazywają się szukaniem nowych dróg w sztuce. *Można się zgadzać lub nie, ale...* jakżebyśmy pragnęli, aby te drogi raz już nareszcie zostały znalezione!..“ I znów wykrzyknik, wielokropek i — domyślnik.

Ach, taki panie, co „nie na wszystkie godzisz się poglądy,“ powiedz pan nareszcie, do jakiego stopnia można się zgadzać, a do jakiego nie: czy powyżej, czy poniżej zera, powiedz, panie, czy zero? Ale taki pan nie może odpowiedzieć dla dwóch powodów. Najczęściej, taki pan, który wymyślił niejako czwarty wymiar zapatrywań, nic zgoła nie wie, co o danej rzeczy nowej sądzić, bo duchem jej nie widzi i nie czuje. Mówi mu wzrok, że ta rzecz istnieje, z powodu tej rzeczy słyszy jakiś hałas, tylko o co tu właściwie chodzi, sam nie wie. Gdy rzecz ze złota, no, to jeszcze łatwiej ocenić jej wartość, gorzej, jeśli chodzi o rzecz z farb i płótna lub z papieru i atramentu. Ale cóż? — napisać wypada, żeby nie sądzono, iż mu obojętne „postęp, życie i sztuki piękne.“ Bierze tedy pióro i kropi: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* życie nie jest sonetem ani gazelą.“ Oj, to prawda: życie stwarzane przez wołów mało ma wspólności z gazelą. To jeden powód. Następnie, taki pan, którego do pisania zmusza „siła wyższa“ (powyżej zera), nie chce wpaść, jak brudne portki, między kamień i kijankę (w okresie mody na ludowość stosowaną każdy to porównanie zrozumie), stawia dyabłu świecę i świętemu Symplicyuszowi kaganek. Napisaniem owego „można się zgadzać lub nie, ale...“ najwyraźniej taki pan powiada: — „Ja

trzymam waszą stronę, rozumiecie, ale, ze względów wyższych, nie mogę tego tak otwarcie głosić, pojmujecie... My, w kółku koleżeńskiem, jeden z drugim, panie dobrodzieju, to zupełnie co innego, a ogół, słowo publiczne, kapłaństwo społeczne, uważacie, to zupełnie co innego. Trzeba ostrożnie, uważacie..."

Nie, nie uważamy, taki panie, który dlatego na dwóch siadasz stołkach, bo trudno ci zmiarkować, co weźmie górę, co będzie bardziej zbliżone do siły wyższej, głośniej „brzęczącej!" Nie, nie uważamy, kochani panowie pół-serdeczni i pół-zimni, pół-artyści i pół-społecznicy, pół-„obywatele" i pół-ludzie, pół-wierni i pół-wątpiący, słowem — półgłówki, półserdki i półduszki, o których Pismo Święte mówi: wrzućcie to śmiecie do śmietnika piekieł!

Tredecim.

POWIEŚĆ.

St. Przybyszewski. *W godzinie cudu.* Warszawa. Fiszer. — Józefat Nowiński. *Życie i marzenie.* Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — Sewer. *Legenda.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Kazimierz Laskowski. *W ojców ślady.* Warszawa. Dubowski. — Tadeusz Konczyński. *Śladem tęsknoty.* Warszawa. Gebethner i Wolff.— Anatol France. *Clio.* Przekład Stanisława Popowskiego. Warszawa. Wł. Okręt. — O. Ludwik Coloma. *Pisma.* Warszawa. Bibl. dz. wyb.

W godzinie cudu, przez Stanisława Przybyszewskiego. — Symfonia miłości, hymn wszystkich jej strun, napiętych aż do zerwania, „cała lira" erotyzmu, od dysonansowego antagonizmu Płci, tragedyi różnoimiennych magnetyzmów fizycznych, aż do wniebowzięcia syntezy w nadharmonii Dwójcy mistycznej. — Jest to typowy dla twórczości autora utwór, tak ze względu na ideę — motor jego sił wizyjnych, jak na kompozycyę, rozwijającą się niby coraz to nowe słupy dymów płomienistych z rozżarzonego ogniska kadzielnego pod tchnieniem coraz to nowych podmuchów boskiego wichru, — jak, wreszcie, ze względu na ułomności tej zkądinąd wspaniałej indywidualności twórczej. — Mamy tu na myśli skazy wspomnianej już *maniery,* która w tym wypadku ma pewne podobieństwo do końskiego ochwacenia. — Wynika ona z gwałtu, zadawanego przez żądzę autorską skrzydłom, niezawsze zdolnym do równie wysokiego i potężnego lotu, a wyczuwanego przez czytelnika jako t. z. „forsa" nadrabianego patosu, jako dekoracyjność krasomówcza, niekiedy zaś jako oczekiwanie, wśród gratisowych wykrzykników, na zbawcze podpowiedzenie omdlałego suflera — na-

tchnienia. — W niniejszym jednak utworze są to tylko sporadyczne momenty, całość zaś zdumiewa zwartością budowy i porywającą mocą oraz przepychem wizyonerskim.

Życie i marzenie, przez Józefata Nowińskiego. — Mefistofelesowski uśmiech wykwita ze zbliżenia pod jeden i ten sam podpis: niniejszej powieści — i walecznych harców à la Nordau, któremi autor wzbogacił przepych absurdowy miejscowej „literatury“ krytycznej. — Nie bawiąc się jednak w komunały psychiatryczne, ani w zgubne dla artysty porównania, — miast obłąkanca, w jego kreacyi widzimy zajmujący okaz duszy jakobińskiej, z aż gilotynowym niekiedy „instynktem równości“, walczącej z wszechmocnym nad nią urokiem arystokratyzmu, tą ostatnią, wewnętrzną formą poddaństwa, i, wśród buntów złego sumienia, mozolnie kształtującej swą niedorodzoną (przeto naddrażliwą) „godność ludzką“. — Proces ten, z bardzo daleka przypominający „Rouge et Noir“, został odtworzony w sposób zostawiający wiele do życzenia. To wprost „nieskończone“ dzieło (595 stron), ze swą pracowitą rozwlekłością, przygnębiającą zawiłością, nienasyconą drobiazgowością, zmorowem dreptaniem w miejscu, robi wrażenie zgrzytającego nad przeszkodą żarna, góry stękającej w porodzie myszy. Wrażenie świszczącego i zapoconego wysilku uniemożliwia wszelki czar, uwagę zabija nudna i często czcza gadanina; brak auto-dyskrecyi, nie oszczędzający czytelnikowi żadnego szczegółu znojnych zapasów autora z muzą, usposabia jadowicie. — Po za tem przyznać trzeba chwalebność usiłowań i cennego instynktu głębi. Pragnęlibyśmy jednak mniej *krecich* poszukiwań, większej *szerokości* objęcia, *podnioślejszego* stanowiska, *bezinteresowniejszego* nastroju twórczego, wyswobodzenia od owego „instynktu równości“, który, jako instynkt zfermentowanej *mierności*, jest wrogiem nieprzejednanym sztuki i rozwoju artysty.

Legenda, przez Sewera. — Zawiesisty garus oportunistyczny: nieskończoność i „barszcz zabielany,“ „sztuka nowa“ i pomada do samowaru; śmieszne charakteryzowanie rzeczy niewspółmiernych i czcza gadanina sporna, albo znów pojednawcza.—W motywach rozczulająca dychawiczność odmłodzonego fiksatuarem „vieux beau,“ usiłującego sprostać w fantazyi i modzie nowemu pokoleniu dandysów.

W ojców ślady, przez Kazimierza Laskowskiego. — Niewyraźna idejka „zagona,“ zobrazowana nie bez pewnej energicznej świeżości (np. opis pożaru). Zresztą powierzchowne tylko bronowanie zachwaszczonej i niezoranej roli. — Fatalne samo-zadowolenie, stojące na straży mierności.

Śladem tęsknoty, przez Tadeusza Konczyńskiego. — Pretensyonalne zwierzenia grafomańskie, ucharakteryzowane z naiwnością prowincyonalnego aktora na młodzieńczą genialność „modernistyczną.“

Clio, przez Anatole'a France'a, przełożył Stan. Popowski. — Powyższych pięć obrazów historycznych, nie będąc arcy-tworami autora, dają jednak dokładną *średnią* miarę jego wysokiej kultury, głębokiej erudycyi i szczególnego, u nas prawie bezprzykładnego artyzmu starożytniczego, złożonego z niepokoju ideowego, z odrazy do trywialności bieżącej epoki i z miłośnictwa archeologicznego, lubującego się w szczególe charakterystycznym, w barwie, *w stylu* epok, które (jak np. w „Pieśniarzu z Kyme“ lub w „Kommie Atrebacie“) stają przed nami z wyrazistością snu na jawie. — Przekład poprawny, niekiedy zupełnie artystyczny.

Pisma O. Ludwika Colomy. — Pewien talent kolorystyczny i poczucie dramatyczne, tu i ówdzie wdzięk egzotyzmu hiszpańskiego; wszystko to jednak fragmentaryczne, popsute pośpiechem moralizatorskim i stanowiskiem klerykalnem. — Fryzyerska elegancya warszawska zastąpiła w tłómaczeniu tytuł jednej z nowel „Wesz“ typowo niesmacznem: „A pfe!“ — Przyczynek to do psychologii miejscowego „estetyzmu.“

Włast.

VARIA.

Tredecim — odpowiadamy na liczne zapytania — nie jest pseudonimem jednego autora. Pod godłem tej „trzynastki“ skupia swe glossy, uwagi i roztrząsania całe grono pisarzy, pragnących wycofania liczmanów i przywrócenia istotnych „wartości“ w dziedzinie stosunków i pojęć artystycznych i literackich.

Okazowemi zeszytami Chimery, dla kosztowności tak samego wydawnictwa, jak i przesyłki pocztowej pod opaską rekomendowaną, nie możemy służyć nikomu. Wobec licznych żądań, uważamy za stosowne zawiadomić o tem wyraźnie. Wysyłać możemy tylko prospekt wstępny, w którym nie mamy nic do zmienienia ani do dodania.

Niniejszy zeszyt 15-ty stanowi zakończenie tomu V-go, o czem przypominamy szanownym abonentom kwartalnym.

CHIMERA.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM V. — 1902.)

KAROL TICHY

TREDECIM.

MARYAN WAWRZENIECKI

WŁAST

FRANCISZEK WOJTAŁA

JAN WROCZYŃSKI

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA

JULIUSZ ZEYER

(przeł. Miriam)

JERZY ŻUŁAWSKI



CHIMERA.



TOM PIĄTY. LIPIEC — WRZESIEŃ 1902.
WARSZAWA. — NOWY-ŚWIAT, 22.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 15. — Septembre 1902.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

—

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA
MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA w r. 1902 przyjmuje się **na wydanie zwykłe:** tylko

	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
półroczna (od lipca do stycznia)	**5** rb. —	**6** rb. **50** k. —	**20** fr. **15** mar. **18** kor.
lub kwartalna	**3** rb. —	**3** rb. **50** k. —	**11** fr. **8** mar. **10** kor.;

na **wydanie wytworne,** tylko półroczna: w Warszawie **15** rb., z przesyłką pocztową **17** rb. **50** kop., za granicą **50** fr., **40** mar., **45** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

W DZIALE POEZYI: UTWORY ORYGINALNE — St. Barącza, St. Brzozowskiego *(wybór)*, Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza *(Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judasz)*, M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego *(Sonety* i *Bajki)*, B. Leśmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego, M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cypryana Norwida *(List do Walentego Pomiana Z.)*, H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyńskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego *(Niewydane waryanty do Króla Ducha)*, L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wikszemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz *PRZEKŁADY:* ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłóm. E. Porębowicz), z T. de Banville'a — *(wybór*, tłóm. Miriam), z Campoamora *(Licencyat Torralba*, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a *(Pieśń o starym żeglarzu*, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a *(Rondele fantastyczne*, tłóm. Miriam), z J. Keats'a *(Hyperion*, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rodenbacha *(wybór*, tłóm. El-ka), z J. Zeyera *(Na Synai*, tłóm. Miriam);

W DZIALE DRAMATU: C. Norwida—*Wanda*; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a—*Axel*; Chr. D. Grabbego—*Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie*; A. Gide'a—*Filoktet*;

W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE—W. Berenta (*Próchno*), Z. B. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (*Ad leones*), St. Przybyszewskiego (*Fragmenty z „Synów ziemi"*), W. Reymonta *(Komurasaki)*, St. Wyrzykowskiego, M. Zawiejskiej; oraz *PRZEKŁADY:*—z Andersena, J. Eekhouda (*Chwała Lutterathu)*, Wł. Garszyna *(Attalea Princeps)*, A. Gide'a *(Prometeusz źle spętany)*, J. Schlafa *(Pieśń)*, M. Schwoba *(Krucyata dziecięca)*, W. Stefanyka;

W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ — rozprawy i studya: O. Brzeziny *(Tajemnicze w sztuce)*, A. Böcklina *(Wyznania)*, Fr. Nietzschego *(Dusza dostojna* i *Fragmenty z Zaratustry)*, Z. Przesmyckiego *(Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud)*; wreszcie stała *KRONIKA MIESIĘCZNA*, omawiająca objawy w literaturze, sztukach plastycznych, teatrze i muzyce;

W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:

PLANSZE OSOBNE — Aubrey Beardsley *(Tannhäuser wracający na Venusberg)*, Fr. Bilek *(głowa Zeyera)*, A. Dürer *(dwa rysunki z „Apokalipsy")*, A. Gierymski *(Plac Maksymiliana w Monachium)*, Kuniyoshi *(Gra o stawkę)*, G. Moreau *(Chimera)*, F. Rops *(Wielka lira)*, J. Stanisławski (litogr. kolorowe. — *Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole)*, Utamaro *(Kobieta z lusterkiem)*, St. Wyspiański *(Apollo)*;

RYSUNKI OKŁADKOWE — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego; oraz

OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a, Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Khnopffa, Korina, St. Krzyształowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera, A. Mosera, T. Noskowskiego, E. Okunia, J. Pieńkowskiego, F. Ropsa, Shiokoku, Fr. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego, Yosai'a.

Po cenie prenumeracyjnej nabywać jeszcze można przez czas niejaki:

całość rocznika I-go (tomy 1—4) — w Warsz. za rb. **9,** z przes. za rb **12—;**
drugie półrocze (tomy 3 i 4-ty) — „ „ **5,** „ „ **6,50.**
Zeszyty oddzielne, po cenie oznaczonej na każdym, — **tylko z kwartałów 2-go, 3-go i 4-go; kwartał 1-szy wyczerpany.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie